

# JOE HILL



# DZIWNA POGODA

**Joe Hill**, autor **Strażaka** i **NOS4A2**,  
jeszcze raz udowadnia, że jego wyobraźnia  
nie zna granic... nie raz – cztery razy!

## ZDJĘCIE

Młody nerd z Doliny Krzemowej musi znaleźć sposób na pokonanie przeciwnika uzbrojonego w aparat, który każdym zrobionym zdjęciem bezlitośnie wymazuje fragment pamięci fotografowanej osoby.

## NAŁADOWANY

W centrum handlowym na Florydzie niedoceniany ochroniarz powstrzymuje masową zabójczynię, stając się miejscowym bohaterem. Ale w świetle reflektorów jego historia zaczyna się rozpadać.

## WNIEBOWZIĘTY

Pierwszy skok w przestworzach nie kończy się szczęśliwie dla młodego człowieka, który chciał zaimponować ukochanej. Nieopierzony spadochroniarz ląduje na chmurze o niezwykłych właściwościach.

## DESZCZ

Gdy mieszkańcy Bourder w stanie Kolorado wylegają z domów, by nacieszyć się końcem lata, nadciągają chmury, które bombardują ich nie kroplami wody, lecz zabójczo ostrymi kryształami.

# JOE HILL

## DZIWNA POGODA

Z angielskiego przełożyła  
Marta Guzowska



Wydanie elektroniczne

*Tego autora*

UPIORY XX WIEKU  
W WYSOKIEJ TRAWIE  
NOS4A2  
STRAŻAK  
DZIWNA POGODA

Tytuł oryginału:  
STRANGE WEATHER

Copyright © Joe Hill 2017  
All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved  
„Snapshot” first appeared in a different form as „Snapshot, 1988” in *Cemetery Dance: The Magazine of Horror and Suspense*, Issue #74/75, copyright © 2016 by Cemetery Dance Publications.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Marta Guzowska 2018

Redakcja: Anna Jaroszek

Redaktor prowadzący: Marzena Wasilewska

Ilustracje na okładce i projekt graficzny okładki: Alan Dingman

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

Ilustracje tytułowe do nowel: *Zdjęcie* – Gabriel Rodriguez; *Naładowany* – Zach Howard;  
*Wniebowzięty* – Charles Paul Wilson III; *Deszcz* – Renae De Liz

Projekt wnętrza książki: Bonni Leon-Berman

ISBN 978-83-8125-430-4

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny*

*sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

***Dla Pana Blue Sky:  
Aidana Sawyera Kinga. Kocham Cię, dzieciaku***



# Spis treści

[ZDJĘCIE](#)

[NAŁADOWANY](#)

[WNIEBOWZIĘTY](#)

[DESZCZ](#)

[Posłowie](#)

[Przypisy](#)

# ZDJĘCIE



# 1

Shelly Beukes stała na końcu podjazdu i mrużąc oczy, wpatrywała się w nasz dom z różowego piaskowca, jakby nigdy wcześniej go nie widziała. Miała na sobie trencz, który dobrze wyglądałby na Humphreyu Bogarcie, a w ręce dużą płócienną torbę z wzorem w ananasy i tropikalne kwiaty. Na pewno nie szła do supermarketu, nawet gdyby jakiś był w pobliżu, a żadnego nie było. Dopiero kiedy dobrze się jej przyjrzałem, zrozumiałem, co nie pasuje do tego obrazka: zapomniała butów i jej stopy były tak brudne, że prawie czarne.

Siedziałem w garażu i uprawiałem naukę – tak mój ojciec nazywał to, co robiłem, gdy psułem działający odkurzacz albo pilota do telewizora. Więcej niszczyłem, niż budowałem, chociaż raz udało mi się podłączyć dżojstik Atari do radia i naciskając przycisk FIRE, mogłem przeskakiwać między stacjami. To była dość prymitywna sztuczka, ale zrobiła wrażenie na sędziach podczas targów naukowych w ósmej klasie i dostałem niebieską wstęgę za kreatywność.

Tego ranka, kiedy Shelly pojawiła się na dole podjazdu, pracowałem nad moim pistoletem imprezowym. Wyglądał jak maszyna z pulpowej powieści science fiction, służąca do wytwarzania promieni śmierci: wielki róg wyszczerbionego mosiądzu z kolbą i cynglem od lugera (tak naprawdę, żeby zrobić korpus, zespawałem razem trąbkę i pistolet zabawkę). Ale gdy tylko pociągnęło się za spust, buczał jak trąbka pneumatyczna, zapalały się lampki, a ze

środka wylatywał rój konfetti i papierowych wstążek. Miałem nadzieję, że jeśli wszystko dobrze przygotuję, tata i ja zaniemiemy go do fabryki zabawek, a może nawet uda nam się sprzedać patent sieci Spencer Gifts. Jak większość młodocianych inżynierów, uczyłem się, wprowadzając w życie sztubackie żarty. Pokażcie mi choć jednego faceta pracującego w Google'u, który nie marzył o skonstruowaniu gogli połączonych z rentgenem, żeby zaglądać dziewczynom pod spódnice.

Wycelowałem lufę mojego pistoletu w kierunku ulicy i wtedy zauważyłem Shelly, dokładnie przede mną. Odłożyłem blaster i zmrużyłem oczy, by jej się przyjrzeć. Widziałem ją, ale ona mnie nie. Dla niej wnętrze garażu było nieprzeniknione, jak czerń otwartego szybu kopalni.

Miałem zamiar zawołać, ale spostrzegłem jej stopy i tylko zassałem powietrze. Nie odezwałem się, po prostu patrzyłem. Jej wargi poruszały się. Coś do siebie szeptała.

Obejrzała się w stronę, z której przyszła, jakby w obawie, że ktoś się na nią zaczął. Ale na drodze była sama, a powietrze stało wilgotne i nieruchome pod pokrywą z zachmurzonego nieba. Pamiętam, że wszyscy sąsiedzi wystawili na dwór śmieci, śmieciarki się spóźniały i cała alejka śmierdziała.

Prawie od razu wiedziałem, że nie wolno mi jej przestraszyć. Nie było powodu, żebym zachowywał ostrożność... ale ten pierwotny umysł, który nie ma nic wspólnego ze świadomym rozumem ani racjonalnym myśleniem i który podprogowo analizuje mnóstwo niedostrzegalnych informacji – ten umysł często wie lepiej.

Dlatego kiedy ruszyłem w dół podjazdu, zaczęłem kciuki o kieszenie i nawet na nią nie spojrzałem. Gapiłem się w horyzont, jakbym obserwował samolot lecący daleko po niebie. Podszedłem do niej tak, jak podchodzi się do zabląkanego kulawego psa, co to może

polizać ci rękę z nadzieją, ale może też rzucić się na ciebie z podwiniętą górną wargą i obnażonymi kłami. Nic nie mówiłem, dopóki nie znalazłem się na odległość ramienia.

– O, pani Beukes! Dzień dobry – odezwałem się, udając, że dopiero teraz ją zauważyłem. – Wszystko w porządku?

Odwróciła głowę w moją stronę, a na jej nalanej twarzy pojawił się spokój.

– Ojej, wszystko mi się pokręciło! Przyszłam tutaj, ale sama nie wiem po co. To nie jest mój dzień sprzątanania.

Tego się nie spodziewałem.

Kiedyś, dawno temu, Shelly pucowała, odkurzała i porządkowała nasz dom przez cztery godziny w każde wtorkowe i piątkowe popołudnie. Już wtedy była stara, chociaż ciągle miała rześkość i siłę olimpijskiego mistrza curlingu. W piątki zostawiała nam mięciutkie, nadziewane daktylami ciasteczka zabezpieczone folią Saran Wrap. Och, cóż to były za ciasteczka! Teraz już nigdzie nie można takich dostać i żaden crème brûlée z Four Seasons nie smakuje tak do herbaty.

Tylko że to był sierpień 1988 roku, za kilka tygodni miałem rozpocząć liceum, a Shelly, choć sprzątała u nas przez pół mojego życia, wówczas już tego nie robiła. Przestała pracować, kiedy w 1982 roku założyli jej trzy by-passy, a lekarz powiedział, że powinna więcej odpoczywać. Od tego czasu odpoczywała. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale tak naprawdę nie wiadomo, po co w ogóle podjęła tę pracę. Nie potrzebowała pieniędzy.

– Pani Beukes? Może mój tata poprosił, żeby pani przyszła i pomogła Marie?

Marie była jej następczynią, rosła, niezbyt bystrą dziewczyną po dwudziestce, głośno się śmiejącą i z pupą w kształcie serca, która stanowiła pożywkę dla moich fantazji podczas conocnych ceremonii

trzepania wacka. Mojemu ojcu w życiu nie przyszłoby do głowy, że Marie może potrzebować pomocy. A o ile było mi wiadomo, nie spodziewaliśmy się gości. Nigdy ich nie miewaliśmy.

Uśmiech Shelly przybladł na chwilę. Obejrzała się przez ramię, na drogę. Gdy znowu na mnie spojrzała, jej twarz nie była już pogodna, a w oczach lśniło przerażenie.

– Nie wiem, chłoptysiu... może ty mi powiesz. Miałam umyć wannę? Pamiętam, że nie dałam rady tego zrobić w zeszłym tygodniu, pewnie jest nieźle zapuszczona – wymamrotała do siebie, miętosząc między palcami materiał torby. Zerknęła na mnie i jej wargi zacisnęły się z frustracji. – Nożeż do diabła! Pieprzyć to. Wyszłam z domu i zapomniałam pierdolonego ajaxu.

Zamrugalem. Chyba nie zdziwiłbym się bardziej, gdyby rozchyliła płaszcz i pokazała, że pod spodem jest goła. Shelly Beukes nie była sztywną paniusią – pamiętałem jeszcze, jak sprzątała nasz dom w podkoszulku z Johnem Belushim – ale nigdy nie słyszałem, żeby użyła słowa „pierdolić”. Nawet „pieprzyć” to było jak na nią za dużo.

Shelly nie zauważyła mojego zdumienia i mówiła dalej:

– Powiedz tacie, że wanną zajmę się jutro. Wystarczy mi dziesięć minut i będzie lśniła, jakby nikt nigdy nie usadził tam swojej dupy.

Jej płócienna torba otworzyła się. Zajrzałem do środka i zobaczyłem poobijanego, brudnego krasnala ogrodowego, kilka pustych puszek po napojach gazowanych i jednego starego adidasa.

– Już lepiej pójdę do domu – odezwała się nagle Shelly, prawie jak robot. – Afrykaner będzie się zastanawiał, dokąd poszłam.

Afrykaner to był jej mąż, Lawrence Beukes, który przyjechał z Kapsztadu jeszcze przed moim urodzeniem. W wieku siedemdziesięciu lat Larry Beukes był jednym z najpotężniej zbudowanych mężczyzn, jakich znałem; z wyrzeźbionymi ramionami i żyłami na szyi wyglądał jak były kulturysta, jak siłacz z cyrku. Musiał

tak wyglądać, to był jego służbowy obowiązek. Zbił majątek na sieci siłowni, które otworzył w latach siedemdziesiątych, kiedy karierę rozpoczynało naoliwione, zdumiewające cielsko Arnolda Schwarzeneggera. Larry i Arnie kiedyś pojawili się razem w jednym kalendarzu. Larry był lutym i rozciągał się na śniegu, nie mając na sobie nic oprócz malutkiej, czarnej pieluszki na jaja. Arnie był czerwcem: lśniąc, stał na plaży, a na każdym gigantycznym ramieniu trzymał dziewczynę w bikini.

Shelly jeszcze raz zerknęła przez ramię, a potem odeszła, powłócząc nogami, w kierunku, który wcale nie prowadził do jej domu. Gdy tylko odwróciła głowę, zapomniała o mnie; można to było poznać po wyrazie jej twarzy. Zaczęła poruszać wargami, szepcząc do siebie cichutkie pytania.

– Shelly! Czekaj, chciałem zapytać pana Beukesa, czy... o... – Próbowałem wymyślić jakiś wspólny temat, który pan Beukes i ja moglibyśmy mieć do rozmowy. – Czy nie potrzebuje kogoś do koszenia trawnika? Czy masz coś przeciwko temu, żebym poszedł z tobą do domu?

Chwyciłem ją za łokieć, zanim zdążyła ruszyć dalej. Podskoczyła, jakbym podkradł się znieuważając, zaraz jednak uśmiechnęła się wyzywająco.

– Mówiłam staruszkowi, że musimy zatrudnić kogoś do cięcia... – Jej oczy przygasły. Nie mogła sobie przypomnieć, co trzeba było ściąć. W końcu potrząsnęła lekko głową i powiedziała: – ...tego czegoś, już od dawna. Chodź ze mną. I wiesz co? – Pacnęła mnie w dłoń. – Chyba mam trochę tych ciasteczek, które lubisz.

Puściła oko i przez chwilę byłem pewny, że mnie rozpoznaje, a nawet wie, kim sama jest. Shelly Beukes oprzytomniała, by po sekundzie znów odpłynąć. Widziałem, jak opuszcza ją świadomość, jak jej wewnętrzne światło staje się słabą poświatą.

Więc odprowadziłem ją do domu. Miałem wyrzuty sumienia, bo musiała stąpać bosymi stopami po gorącej drodze. Było duszno, latały komary. Po jakimś czasie zauważyłem, że twarz kobiety poczerwieniała, a na jej starczych wąsach pojawiły się kropelki potu. Pomyślałem, że powinna zdjąć płaszcz, chociaż – przyznaję – przemknęło mi przez myśl, że naprawdę może nie mieć nic pod spodem. Była tak skołowana, że nie mogłem tego wykluczyć. Ale przełamałem się i spytałem, czy mogę ponieść jej trencz. Pokręciła szybko głową.

– Nie chcę zostać rozpoznana.

To było tak cudownie zwariowane, że na moment zapomniałem o całej sytuacji i odpowiedziałem, jakby Shelly ciągle była tą osobą przy zdrowych zmysłach, która lubiła teleturnieje i z brutalną determinacją czyściła piekarniki.

– Przez kogo? – spytałem.

Pochyliła się w moją stronę i prawie wysyczała:

– Przez Pana Polaroida. Tę przebiegłą łasicę w kabriolecie. Zawsze robi zdjęcia, kiedy Afrykanera nie ma w pobliżu. Nie wiem, ile już zabrał tym swoim aparatem, ale na więcej mu nie pozwolę. – Złapała mnie za nadgarstek. Jej ciało wciąż było otyłe, z dużym biustem, rękę jednak miała kościstą i szponiastą jak u czarownicy z bajki. – Nie pozwól się sfotografować. Nie daj mu niczego sobie zabrać.

– Będę miał na niego oko. Ale naprawdę, pani Beukes, zagotuje się pani w tym trenczu. Poniosę go, dobrze? I razem będziemy uważać na tego faceta. Wskoczy pani w płaszcz, jak tylko ten koleś się zbliży.

Odchyliła głowę i zmrużywszy oczy, przyjrzała mi się, jakbym był dopiskiem drobnym drukiem w podejrzanym umowie. W końcu westchnęła, zrzuciła płaszcz i podała mi go. Pod spodem nie była co prawda goła, ale miała na sobie czarne gimnastyczne szorty i podkoszulek włożony tyłem do przodu i na lewą stronę, z metką



powiewającą pod podbródkiem. Jej nogi były wężlaste i szokująco białe, łydki poprzecinane żyłakami. Przewiesiłem sobie przepocony i pomięty płaszcz przez ramię, podałem jej rękę i ruszyliśmy.

Drogi w Golden Orchards, naszym małym osiedlu na północ od Cupertino, wiły się jak zapętlone liny, ani jednego prostego odcinka. Na pierwszy rzut oka domy wyglądały na zbudowane w najróżniejszych stylach – tutaj hiszpański stiuk, tam kolonialna cegła. Jeśli jednak spędziło się w okolicy trochę czasu, dało się zauważyć, że za każdym razem był to mniej więcej jeden i ten sam dom – ten sam układ wnętrza, ta sama liczba łazienek, okna w takim samym guście – przebrany w rozmaite kostiumy.

Dom Beukesów naśladował styl wiktoriański, ale motywem przewodnim była plaża: w cementową ścieżkę wiodącą do schodków wciśnięto muszle, a na frontowych drzwiach wisiała wypłowiała rozgwiazda. Może siłownia pana Beukesa nazywała się Fitness Neptun albo Atleci z Atlantydy? A może był to jakiś żarcik z maszyn do ćwiczeń Nautilus? Już nie pamiętam. Wiele z tego dnia – piętnastego sierpnia 1988 roku – ciągle tkwi w mojej pamięci, ale chyba nawet wtedy nie wszystko było dla mnie jasne.

Podprowadziłem ją do drzwi i zapukałem, a następnie zadzwoniłem. Choć był to jej dom, czułem, że nie mogę tak po prostu jej tam zostawić. Pomyślałem, że muszę powiedzieć Larry’emu Beukesowi, gdzie się podziewała, i dać mu do zrozumienia – w jakiś niezbyt krępujący sposób – że nieco pomieszało jej się w głowie.

Nic nie wskazywało na to, że Shelly rozpoznaje swój dom. Stała u podnóża schodów, rozglądała się na boki i cierpliwie czekała. Kilka chwil wcześniej sprawiała wrażenie przebiegłej, nawet trochę groźnej. Teraz wyglądała jak znudzona babcia chodząca od drzwi do drzwi ze swoim wnuczkiem skautem, dotrzymująca mu towarzystwa podczas sprzedaży subskrypcji czasopism.

Trzmielę zanurzały się w pochylonych białych kwiatach. Pomyślałem, że Larry Beukes chyba rzeczywiście powinien wziąć kogoś do przycięcia trawnika. Podwórko było zaniedbane i zarośnięte, wszędzie sterczały mlecze. Ścianom przydałoby się mycie pod ciśnieniem, pod okapem widać było plamy grzyba. Dawno tam nie zaglądałem i nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak naprawdę przyglądałem się domowi, a nie tylko prześlizgiwałem po nim spojrzeniem.

Larry Beukes zawsze dbał o swoją własność, starannie i energicznie jak pruski marszałek polny. Dwa razy w tygodniu, w obcisłej koszulce, pchał ręczną kosiarkę, popisując się naprężonymi mięśniami opalonych ramion i skierowanym w niebo podbródkiem (miał cholernie dobrą postawę). Inne trawniki były zielone i porządne. Jego był bez skazy.

Gdy to wszystko się wydarzyło, miałem zaledwie trzynaście lat. Dopiero teraz rozumiem to, co wtedy do mnie nie docierało: sprawy wymykały się Lawrence'owi Beukesowi spod kontroli. Codziennie po trochu przestawał sobie radzić i dotrzymywać kroku niewygórowanym wymaganiom podmiejskiego życia, przerastała go nawet opieka nad kobietą, która sama nie potrafiła już o siebie zadbać. Myślę, że tylko dzięki wrodzonemu optymizmowi i przyzwyczajeniu – albo, jeśli wolicie, wewnętrznej sprawności, podobnej do tej fizycznej – parł dalej i oszukiwał samego siebie, że ciągle daje radę.

Zacząłem się już zastanawiać, czy nie lepiej będzie odprowadzić Shelly z powrotem do mojego domu i tam z nią poczekać, kiedy na podjazd skręciła dziesięcioletnia ciemnoczerwona limuzyna pana Beukesa. Jechał jak uciekinier ścigany przez Starsky'ego i Hucha, a podczas skręcania uderzył jedną oponą o krawężnik. Wyskoczył na podwórko, cały spocony, i od razu potknął się tak, że omal nie upadł.

– O Jezu, tu jezdeź! Szukałem cię przez całą drogę do piekła i z powrotem! Prawie dozdałem przez ciebie zawału.

Akcent Larry’ego przywodził na myśl apartheid, tortury i dyktatorów siedzących na pozłacanych tronach w marmurowych pałacach, po których ścianach biegały salamandry. Można się było nieźle pomylić, bo pan Beukes zarobił pieniądze, przerzucając żelazo, a nie krwawe diamenty. Nie był oczywiście bez wad – głosował na Reagana, twierdził, że Carl Weathers był wybitnym aktorem, i wzruszał się, słuchając Abby – ale szanował i kochał żonę i wobec tego słabości jego charakteru nie miały znaczenia.

– Coż ty robiła? – mówił dalej. – Wyszedłem tylko do pana Bannermana zpytać, czy ma detergent, wracam, a ty znikasz jak dziewczyna ze sztuczki Davida Copperfielda.

Chwycił Shelly za rękę, jakby chciał nią potrząsnąć, ale tylko ją objął. Popatrzył na mnie ponad jej ramieniem, a w jego oczach zalśniły łzy.

– Wszystko w porządku, panie Beukes – powiedziałem. – Nic jej nie jest. Trochę się... zgubiła.

– Nie zgubiłam się – odparła Shelly i uśmiechnęła się do męża porozumiewawczo. – Po prostu ukrywałam się przed Panem Polaroidem.

Pokręcił głową.

– Szsz. Zamilknij, kobieto. Zabierzmy dzie z tego złońdza i... o Panie, twoje ztopy! Powinienem cię zmusidź, żebyż je zdjęła, zanim wejdiesz. Nanieziesz wrzędzie brudu.

Jego słowa były oschłe, ale oczy miał wilgotne, a głos zachrypły od zranionych uczuć, jakby mówił do ukochanego starego kota, który wdał się w bójkę i wrócił do domu bez ucha.

Minął mnie, wspiął się po ceglanych schodkach i wszedł do środka. Uznałem, że już o mnie zapomniał, i miałem sobie pójść, kiedy on

odwrócił się i stuknął mnie drżącym palcem w nos.

– Mam coś dla Ciebie – powiedział. – Nie odfruwaj jeszcze, Michaelu Figlione.

I zatrzęsnął drzwiami.

## 2

Jakkolwiek na to spojrzeć, wybrał zabawne słowo. Nie było nawet szansy, że „odfrunę”. Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, była moja nadwaga. Byłem gruby. Nie „grubokościsty”. Nie „masywny”. I z pewnością nie „puszysty”. Kiedy przechodziłem przez kuchnię, szklanki brzęczały w kredensie. Kiedy stałem pomiędzy innymi dzieciakami z ósmej klasy, wyglądałem jak bawół pośród pisków preriowych.

Dzisiaj, w czasach mediów społecznościowych, ludzie ostrzej reagują na drwiny i jeśli nazwiesz kogoś grubą dupą, zaraz sam oberwiesz. Ale w 1988 roku „ćwierkaniem” nazywano to, co robiły wróble i podlotki. A ja byłem gruby i samotny – w tamtych latach pierwsze oznaczało drugie. Miałem mnóstwo czasu, żeby odprowadzać staruszki do domu. I nie zanieczywałem kumpli. Ponieważ nie miałem żadnych. W każdym razie nikogo w moim wieku. Ojciec czasem woził mnie na comiesięczne spotkania klubu zwanego SUWR SF (Spotkania Użytkowników i Wielbicieli Robotów z San Francisco), ale większość dzieciaków była tam starsza niż ja. I wszyscy wyglądali już jak z dowcipu. Nawet nie muszę ich opisywać, sami możecie sobie wyobrazić: kiepska cera, grube okulary, rozpięte rozporki. W tym towarzystwie nie tylko uczyłem się o płytkach z obwodami. Widziałem na własne oczy swoją przyszłość: depresyjne rozmowy o *Star Treku* do późna w nocy i życie w celibacie.

Niespecjalnie pomagał fakt, że nazywam się Figlione, co w slangu uczniów podstawówki z lat osiemdziesiątych łatwo przekręcało się na

Figiel-Balon lub Figiel-Homo albo po prostu Figiel. Przydomki te nosiłem do dwudziestego roku życia, przyklejone jak guma do żucia do podeszwy adidasów. Nawet mój ulubiony nauczyciel przedmiotów ścisłych w piątej klasie, pan Kent, raz nazwał mnie przez przypadek Figielkiem, czym wywołał wybuch śmiechu. Przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, żeby się zmieszać, zaczerwienić i przeprosić.

W sumie mogło być gorzej. Byłem miły i porządny, a że nigdy nie uczyłem się francuskiego, nie trafiłem na listę przemądrzałych, wszytkowiedzących prymusów, którzy aż się prosili, żeby skopać im tyłek. Doświadczałem tylko od czasu do czasu drobnych upokorzeń, a sprowokowany, zawsze uśmiechałem się pobłaźliwie, jakby to drogi przyjaciel przetaił mną podłogę. Shelly Beukes nie mogła pamiętać, co było wczoraj. Ja z kolei nie chciałem.

Drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich Larry Beukes. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak ociera wilgotny policzek wielką, poznaczoną odciskami dłonią. Speszyłem się i spojrzałem w drugą stronę, na ulicę. Nie miałem wcześniej do czynienia z płaczącymi dorosłymi. Mój ojciec nie był jakoś szczególnie emocjonalny, a i matce płacz chyba nie przychodził łatwo, chociaż tego akurat nie byłem pewny. Widywałem ją tylko przez dwa albo trzy miesiące w roku. Larry Beukes pochodził z Afryki, a moja matka pojechała tam w związku z projektem antropologicznym i w pewnym sensie nigdy nie wróciła. Nawet kiedy była w domu, jakaś jej część znajdowała się prawie dziesięć tysięcy kilometrów od nas, poza zasięgiem. W tamtym czasie mnie to nie złościło. Dzieciom do złości potrzebna jest bliskość. To się jednak zmienia.

– Zjeździłem dzałą okolidzę w poszukiwaniu tej cholernej, ograniczonej ztaruchy. To już trzedzi raz. Myślałem, że tym razem, tym razem weszła na szosę, między zamochoy. Cholerna, głupia...

dzięki, że przyprowadziłeś ją z powrotem. Niech dzie Bóg błogosławi, Michaelu Figlione. Niech Bóg błogosławi twoje zerce.

Wywrócił kieszeń na lewą stronę i wyleciały z niej pieniądze, zmięte banknoty i pojedyncze monety, które upadły na ścieżkę i trawę. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że zamierza dać mi napiwek.

– O rany, panie Beukes. W porządku. Nie musi pan. Cieszę się, że mogłem pomóc. Nie chcę... Czuję się głupio, biorąc...

Zmrużył jedno oko i spojrzał na mnie drugim.

– To wiedzej niż nagroda. To jezd zapłata. – Schylił się, zgarnął jedną dziesięciodolarówkę i wręczył mi ją. – No, dalej, bierz.

Kiedy się wzbraniałem, wcisnął mi banknot do kieszonki z przodu hawajskiej koszuli.

– Michaelu. Jeżeli będę muział gdzieś pojechać... czy mogę do dziebie zadzwonidź, żebyż się nią opiekował? Jezdem w domu cały dzień, nic nie robię, tylko zajmuję się tą szaloną kobietą, ale czasem muszę kupidź coź do jedzenia albo poleciedź do jednej z tych ziłowni i gasidź jakiź pożar. Zawsze coź się pali. Každy mięśniak, który dla mnie pradzuje, potrafi udźwignądź dwiećcie kilo, ale żaden nie potrafi zliczydź powyżej dziesiędziu. Bo im braknie paldzów. – Poklepał mnie po kieszonce z banknotem i wziął płaszcz żony, który ciągle zwisał mi z ramienia, zapomniany jak serwetka przez kelnera. – No to co? Umowa ztoi?

– Jasne, panie Beukes. Shelly pilnowała mnie, jak byłem mały. Myślę, że mogę... mogę...

– Tak, bydź jej niańką. Wkroczyła w drugie dziecińzdwo, Boże, miej ją w swojej opiece i mnie też. Potrzebuję kogoź, kto nie pozwoli jej łazidź po okolicy. I szukadź tego typa.

– Pana Polaroida.

– Powiedziała dzi o nim?

Przytaknąłem.

Pokręcił głową, grzbietem dłoni przygładził przerzedzone włosy wysmarowane brylantyną.

– Boję się, że któregoś dnia dziabnie nożem jakiegoś przechodnia, bo uzna, że to on. Och, Boże, co ja wtedy zrobię?

To nie było zbyt mądre opowiadać takie rzeczy dzieciakowi, którego chce się wynająć do opieki nad starą zdemenciałą żoną. W sumie mogłem się przestraszyć, że Shelly właśnie mnie weźmie za Pana Polaroida i dźgnie nożem. Ale Larry był rozkojarzony i zestresowany i chlapał językiem bez zastanowienia. Zresztą to nie miało znaczenia. Nie bałem się Shelly Beukes. Może i nie pamiętała, kim jestem i kim jest ona, nie zmieniało to jednak jej łagodnego charakteru. Ona po prostu nie mogła zrobić nic złego.

Larry Beukes popatrzył na mnie zmęczonymi, nabiegłymi krwią oczami.

– Michaelu, pewnego dnia będziesz bogatym człowiekiem. Pewnie zbierzesz fortunę, wymyślając przyszłość. Zrobisz coś dla mnie? Dla zwojego ztarego przyjaciela Larry'ego Beukeza, który od kilku lat okropnie się martwi o zwoją głupią żonę z owzianką zamiazd mózgu? Kobieta, która dała mu więcej szczęścia, niż na to zasłużył?

Znowu płakał. Chciałem się schować. Zamiast tego przytaknąłem.

– Oczywiście, panie Beukes. Oczywiście.

– Wymyśl zposób, żeby się nie ztarzedź – powiedział. – To wszyzdgo jakiś cholerny, okropny żart. A ztarość i tak nikogo nie powstrzyma przed byciem młodym.



### 3

Odszedłem bez celu, ledwo zdając sobie sprawę z tego, że się poruszam, nie mówiąc już o tym, gdzie idę. Było mi gorąco, kręciło mi się w głowie i w kieszonce koszuli miałem dziesięć dolarów, których nie chciałem. Moje brudne adidas, model Run-DMC zaniósł mnie do najbliższego miejsca, gdzie mogłem się pozbyć tej forsy.

Po drugiej stronie drogi, naprzeciwko wjazdu do Golden Orchards, stała duża stacja Mobila: tuzin pomp i cudownie chłodny sklep, w którym można było kupić stripsy z suszonej wołowiny, chipsy cebulowe i – jeśli się było dostatecznie dorosłym – magazyny z gołymi babami. Tamtego lata pijałem „drinka” według własnej receptury, z kruszonym lodem: napełniałem prawie litrowy kubek lodem i colą waniliową, a na wierzch dawałem coś, co nazywało się Arctic Blu, miało kolor płynu do mycia szyb i smakowało trochę jak wiśnia, a trochę jak melon. Zwariowałem na punkcie tego napoju, chociaż dzisiaj pewnie nawet bym go nie tknął. Dla mojego czterdziestoletniego podniebienia byłby smutkiem nastolatka.

Idąc tak i rozmyślając o Arctic Blu Coca-Cola Special, zorientowałem się, gdzie jestem, dopiero kiedy zobaczyłem znak Mobila, czyli czerwonego Pegaza obracającego się na dwunastometrowym słupie. Parking został niedawno pokryty świeżym asfaltem, czarnym i grubym jak czekoladowe ciasto. Gorąco odbijało się od niego i całe miejsce lekko falowało, jak oaza widziana w fatamorganie przez człowieka, który umiera z pragnienia. Nie

zauważyłem ani białego cadillaca przy pompie numer dziesięć, ani stojącego obok faceta, dopóki się do mnie nie odezwał.

– Hej – powiedział, a kiedy nie zareagowałem (szedłem jak we śnie, z powodu gorąca), powtórzył mniej miłym głosem: – Hej, ciasteczkowy potworze!

Tym razem go usłyszałem. Mój radar, dostrojony do każdego dźwięku, który mógł oznaczać, że oberwę, zapiszczał przy „ciasteczkowym potworze”, zaalarmowany tonem mężczyzny, pełnym lekkiej pogardy.

On sam raczej nie powinien śmiać się z wyglądu innych ludzi. Nie chodziło o ciuchy. Ubrany był dość dobrze, chociaż nie na tę okazję: w takich ciuszkach lepiej prezentowałby się na tle drzwi wejściowych klubu nocnego w San Francisco niż obok pompy na stacji Mobila na zadupiu kalifornijskiego przedmieścia. Miał na sobie czarną jedwabną koszulę z krótkimi rękawami i ze szklanymi czerwonymi guzikami, długie, czarne spodnie z kantem jak brzytwa oraz czarne kowbojskie buty haftowane czerwoną i białą nicią.

Był jednak okropnie brzydki: miał podbródek cofnięty prawie aż do długiej szyi, a policzki poznaczone starymi bliznami po trądziku. Jego opalone na brązowo przedramiona pokryte były czarnymi tatuażami; linie odręcznego pisma owijały jego ręce aż po nadgarstki długimi węzowymi splotami. Na piersiach zwisał mu krawat bolo z zapinką z przezroczystego plastiku. W środku widać było zwiniętego żółtawego skorpiona.

– Tak, proszę pana? – spytałem.

– Idziesz do sklepu? Po batona albo coś takiego?

Wetknął pistolet dystrybutora do otworu baku w swoim wielkim, białym krążowniku.

– Tak, proszę pana – powiedziałem, myśląc: Ssij mi batona, dupku.

Sięgnął do przedniej kieszeni i wysupłał zwitek pożółkłych, brudnych banknotów. Wyłuskał z niego dwudziestkę.

– Wiesz co, zanieś to do środka, powiedz im, żeby włączyli pompę dziesięć i... Hej, tępaku, mówię do ciebie. Słuchaj.

Odpłynąłem na moment, bo moje spojrzenie przyciągnął przedmiot leżący na bagażniku cadillaca: aparat Polaroida.

Chyba wiecie, jak wygląda polaroid, nawet jeśli jesteście młodzi i nigdy nie mieliście żadnego w ręce. Oryginalny polaroid instant był swego czasu ikoną: i dzięki designowi, i technologii. Był esencją lat osiemdziesiątych, jak Pac-Man i Reagan.

Dzisiaj każdy ma w kieszeni aparat, a oglądanie zdjęć zaraz po ich zrobieniu to nic takiego. Ale latem 1988 roku polaroid był jednym z nielicznych urządzeń, które pozwalały strzelić fotkę i prawie od razu ją wywołać. Aparat wypluwał gruby, biały kartonik z szarym prostokątem kliszy w środku i po kilku minutach – szybciej, jeśli machało się kartonikiem, żeby aktywować substancję chemiczną – obraz wypływał z ciemności na powierzchnię i stawał się fotografią. Wtedy była to najnowsza technologia.

Kiedy zobaczyłem aparat, wiedziałem, że to on, ten facet – Pan Polaroid, przed którym ukrywała się pani Beukes. Przebiegły jak łasica w swoim białym cadillacu kabriolecie z czerwonym dachem i czerwonymi siedzeniami. Rzucił się w oczy jak skurwysyn.

Byłem oczywiście świadomy, że cokolwiek pani Beukes twierdziła na temat tego faceta, nie były to fakty, tylko ślepe strzały z krztuszącego się silnika, który zaraz wysiadzie. Ale jej słowa: „Nie pozwól się sfotografować” nie chciały się ode mnie odczepić. Kiedy poskładałem wszystko do kupy, kiedy zdałem sobie sprawę, że Pan Polaroid to nie starcza fantazja, lecz prawdziwy gość, stojący tuż przede mną, moje plecy i ramiona pokryła gęsia skórka.

– Uch... tak, proszę pana? Słucham.

– No już – rzucił. – Weź tę dwudziestkę i powiedz im, żeby włączyli pompę. Pan Caddy jest spragniony, ale wiesz co, dzieciaku? Reszta jest twoja. Kup sobie książkę o dietach.

Nawet się nie zaczerwieniłem. Byłem półprzytomny, jego obraźliwe słowa ledwo musnęły moją świadomość.

Zerknąłem jeszcze raz i zorientowałem się, że to nie jest polaroid. A raczej nie do końca. Znałem te aparaty dość dobrze – kilka z nich rozebrałem na części – i ten wyglądał odrobinę inaczej. Przede wszystkim był czarny z czerwonym przodem, pod kolor samochodu i ubrań. Ale był też po prostu... inny. Bardziej obły. Leżał na bagażniku, w zasięgu ręki Pana Przebiegłego, lekko odwrócony, więc nie mogłem dostrzec nazwy firmy. Konica? Od razu jednak uderzyło mnie coś jeszcze innego. Polaroid miał szufladkę na zawiasach, otwieraną z przodu, gdzie ładowało się paczkę klisz. Nie mogłem dojrzeć, jak ładowało się ten sprzęt. Ale wydawało się, że został wykonany z jednego gładkiego kawałka.

Facet zauważył, że gapię się na aparat, i zrobił coś dziwnego: obronnym gestem położył na nim rękę, jak starsza pani ściskająca torebkę, kiedy na ulicy mija ją paru osiłków. Drugą dłoń, tę z wymemłaną dwudziestką, wyciągnął przed siebie.

Obszedłem tylny zderzak i sięgnąłem po pieniądze. Moje spojrzenie przesunęło się po literach obiegających przedramię faceta. Nie rozpoznałem alfabetu, ale przypominał hebrajski.

– Fajny napis – powiedziałem. – Co to za język?

– Fenicki.

– Co tam jest napisane?

– „Nie wkurwiał mnie”. Albo coś w tym stylu.

Wetknąłem pieniądze do kieszonki koszuli i zacząłem się cofać od nieznanego. Za bardzo się bałem, żeby odwrócić się do niego plecami.

Nie patrzyłem, gdzie idę, i zniosło mnie z kursu: wpadłem na tylny błotnik i omal się nie przewróciłem. Chwyciłem za bagażnik, żeby złapać równowagę, i wtedy zobaczyłem albumy ze zdjęciami.

Chyba z tuzin ich leżał na tylnym siedzeniu. Jeden był otwarty i dostrzegłem polaroidowe fotografie wsunięte w foliowe koszulki, po cztery na każdej stronie. Na zdjęciach nie było nic specjalnego. Prześwietlone ujęcie starego człowieka zdmuchującego świeczki na torcie. Zmoczony deszczem corgi wpatrujący się w obiektyw smutnymi, głodnymi oczami. Napakowany koleś w idiotycznym pomarańczowym podkoszulku, siedzący na masce pontiaca trans am, żywcem wyjęty z serialu *Nieustraszony*.

To ostatnie zdjęcie zwróciło moją uwagę. Wydawało mi się, że znam tego chłopaka w podkoszulku. Być może z telewizji, niewykluczone, że był wrestlerem i wpadł na ring na kilka rund z Hulkiem Hoganem.

– Ma pan dużo fotografii – powiedziałem.

– Taka moja robota. Jestem skautem.

– Skautem?

– Pracuję przy filmach. Jak widzę interesujące miejsce, robię mu zdjęcie. Widzę ciekawą twarz, też ją fotografuję. – Uniósł jeden kącik ust i pokazał krzywe zęby. – Po co? Chcesz wystąpić w filmie, dzieciaku? Chcesz, żebym zrobił ci zdjęcie? No wiesz, nigdy nie wiadomo. Może jakiemuś agentowi od obsady spodoba się twoja buźka. I zanim się zorientujesz... Hollywood, dziecino.

Nie podobał mi się sposób, w jaki dotykał aparatu, z jakąś nerwową gorliwością.

Nawet w teoretycznie bardziej niewinnych latach osiemdziesiątych nie miałem ochoty pozować do zdjęć facetowi, który wyglądał, jakby kupował ciuchy w firmie Między Nami Pedofilami. No i pamiętałem to, co mi powiedziała Shelly: „Nie pozwól się sfotografować”. To

ostrzeżenie było jak jadowity pająk z włochatymi nogami, pełznący w dół po moim kręgosłupie.

– Raczej nie – odparłem. – Mogę się nie zmieścić w kadrze.

Obiema rękami pokazałem kałdun rozpychający się pod moją koszulą.

Przez moment wybałuszał oczy zanurzone w jego zniszczonej twarzy, a potem zarżał chropawym końskim śmiechem, w którym słychać było i niedowierzanie, i prawdziwe rozbawienie. Wycelował we mnie palcem i przygiął kciuk jak do spustu pistoletu.

– Jesteś w porządku, dzieciaku. Lubię cię. Tylko się nie zgub w drodze do kasy.

Odszedłem na miękkich nogach, wcale jednak nie dlatego, że uciekłem dziwakowi z niewyparzoną gębą i jeszcze gorszą twarzą. Byłem rozsądnym dzieckiem. Czytałem Isaaca Asimova, wielbiłem Carla Sagana i czułem duchową więź z Matlockiem granym przez Andy’ego Griffitha. Wiedziałem, że wymysły Shelly Beukes na temat Pana Polaroida (wtedy myślałem już o nim „Fenicjanin”) były głupimi fantazjami rozjeżdżającego się mózgu. Jej ostrzeżenia nie powinny mieć znaczenia – ale miały. W ciągu tych kilku chwil naprawdę się zmobilizowałem i zarazem miałem niezłego pietra, jakbym się nagle dowiedział, że dostałem miejsce numer 13 na lot 1313 w piątek trzynastego (i nieważne, że trzynastka to fajna liczba, nie tylko pierwsza i Fibonacciego, ale również liczba emirp, co oznacza, że pozostaje również liczbą pierwszą, kiedy odwróci się kolejność cyfr i robi z niej trzydzieści jeden).

Wszedłem do minimarketu, wyciągnąłem pieniądze z kieszonki i rzuciłem je na ladę.

– To za pompę numer dziesięć, od tego miłego pana z cadillakiem – powiedziałem do pani Matsuzaki, która stała za kasą razem ze swoim synem Yoshim.

Poza nią nikt nigdy nie nazywał go Yoshi; wołali na niego Mat, przez jedno „t”. Mat miał wygoloną głowę, długie, gruzłowate ramiona i roztaczał wokół siebie atmosferę surfera luzaka. Był ode mnie pięć lat starszy i pod koniec lata przenosił się do Berkeley. Zamierzał pozabawić swoich rodziców interesu i wynaleźć samochód, który jeździłby bez benzyny.

– Cześć, Figiel – odezwał się i skinął do mnie głową, co trochę mnie uspokoiło.

Okay, nazwał mnie Figlem, ale nie wziąłem tego do siebie. Dla większości dzieciaków to po prostu było moje imię. Dzisiaj taka ksywa brzmi okropnie homofobicznie – bo taka też była! – lecz w 1988 roku, w epoce AIDS i Eddiego Murphy’ego, powiedzieć do kogoś „figiel” albo „pedał” to był szczyt dowcipu. Zgodnie z ówczesnymi standardami Mat był wzorem wrażliwości. Od deski do deski czytał „Popular Mechanics” i czasem, kiedy przyplątałem się do minimarketu, podtykał mi stare numery pisma, bo akurat znalazł w nich coś, co mogło mi się przydać: prototyp plecaka odrzutowego albo osobistą jednoosobową łódź podwodną. Nie zrozumcie mnie źle. Nie byliśmy przyjaciółmi. On był cool siedemnastolatkiem. Ja miałem lat trzynaście i byłem beznadziejnie niecool. Prawdopodobieństwo, że zostanie moim przyjacielem, było mniej więcej takie jak to, że umówię się na randkę z Tawny Kitaen. Ale myślę, że czuł do mnie coś między sympatią i współczuciem, a do tego miał niejasną potrzebę opiekowania się mną, może dlatego, że obu nas naprawdę pasjonowały obwody scalone. W tamtych czasach byłem wdzięczny za jakikolwiek przejaw sympatii ze strony jakiegokolwiek dzieciaka.

Chwyciłem wielki kubek swojego zmrożonego Arctic Blu Coca-Cola Special. Potrzebowałem go bardziej niż zwykle. W moim żołądku przelewało się i burczało, musiałem więc go uspokoić czymś z bąbelkami.

Ledwo zdążyłem dodać ostatni chlust neonowobłękitnego Blu, kiedy Fenicjanin popchnął ramieniem drzwi, mocno, jakby miał coś przeciwko nim. Nie zauważył mnie, rozglądając się po pomieszczeniu, ponieważ otwarte skrzydło zasłoniło mu widok na automat z napojami. Podszedł prosto do pani Matsuzaki.

– Co trzeba zrobić w tej spelunie, żeby dostać bak pieprzonej benzyny? Dlaczego wyłączyła pani pompę?

Pani Matsuzaka miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i była delikatnej budowy, a do tego wyćwiczyła do perfekcji puste, nierozumiejące spojrzenie, typowe dla pierwszego pokolenia imigrantów, którzy dobrze znali język, ale czasami łatwiej im było udawać głupka. Nieznacznie wzruszyła ramionami i pozwoliła mówić Matowi.

– Zapłacił pan dziesięć dolarów i dostał pan benzyny za dziesięć dolarów – powiedział chłopak ze swojego miejsca na stołku za ladą, pod stojakiem na papierosy.

– Któreś z was umie liczyć po angielsku? – spytał Fenicjanin. – Wysłałem tu dzieciaka z pieprzoną dwudziestką.

Czułem się, jakbym wypił cały mój Arctic Blu Coca-Cola Special jednym haustem. Moja krew zamarzła. Z przerażeniem poklepałem się po kieszeni. I od razu zrozumiałem, co się stało. Sięgnąłem po pieniądze i rzuciłem je na ladę, nie patrząc. A to była dziesiątka, którą Larry Beukes wepchnął mi wcześniej, a nie dwudziestka otrzymana od Fenicjanina na parkingu.

Jedyne, co mi przyszło do głowy, to pokajać się tak szybko i gruntownie, jak to tylko możliwe. Byłem gotowy płakać, chociaż Fenicjanin nawet jeszcze na mnie nie nakrzyczał. Potoczyłem się w stronę wyjścia ze sklepu i zahaczyłem biodrem o stojak z czipsami. Paczki lay'sów rozsypały się po podłodze. Wyszarpnąłem dwudziestkę z kieszeni.



– O rany, o rany, bardzo mi przykro, o rany. Och, ale to sieprzyłem. Przepraszam, przepraszam. Nawet nie spojrzałem na pieniądze, gdy rzucałem je na ladę, proszę pana, musiałem dać moją dziesiątkę zamiast pana dwudziestki. Przysięgam, przysięgam, że ja nie...

– Kiedy powiedziałem, że możesz zatrzymać resztę i kupić sobie jakieś pigułki odchudzające, nie miałem na myśli, że możesz mnie orżnąć na dziesiątaka.

Uniósł rękę, jakby chciał mnie złapać za głowę. Miał ze sobą aparat – trzymał go drugą ręką – i chociaż byłem mocno wstrząśnięty, uznałem to za dziwne, że nie zostawił go w samochodzie.

– Nie, naprawdę, nigdy bym tego nie zrobił, przysięgam na Boga...

Gadałem, co mi ślina na język przyniosła, a moje oczy niebezpiecznie piekły, gotowe spłynąć łzami. W pośpiechu postawiłem ogromny litrowy napój Blu na krawędzi lady i w momencie, kiedy go puściłem, zła sytuacja stała się znacznie, znacznie gorsza. Kubek się przewrócił i spadł, po czym uderzył o podłogę i eksplodował strumieniem błękitnego lodu. Lśniące odpryski błękitu opadły na perfekcyjnie wyprasowane czarne spodnie Fenicjanina, oblały jego krocze, a kilka szafirowych kropeł znalazło się na aparacie.

– Kurwa! – wrzasnął, tańcząc na czubkach kowbojskich butów. – Czy ty jesteś pieprzonym debilem, wielka kupo gnoju?

– Ej! – krzyknęła mama Mata, wskazując na Fenicjanina. – Ej, ej, ej, nie walczyć w sklepie, wołam policję!

Fenicjanin spojrzał w dół, na swoje ciuchy poplamione Blu, a potem znowu na mnie. Twarz mu pociemniała. Położył polaroid, nie-polaroid na ladzie i dał krok w moją stronę. Nie wiem, co zamierzał zrobić, ale był rozkojarzony i jego lewa stopa odjechała do przodu na rozsypanym, pokruszonym lodzie. Buty miały wysokie kubańskie obcasy, wyglądało to fajnie, pewnie jednak chodziło się

w nich równie trudno jak na szpilkach. Omal nie upadł na jedno kolano.

– Ja to wyczyszczę! – zawołałem. – O rany, tak mi przykro, wszystko wyczyszczę, o Jezu, proszę mi wierzyć, nigdy nie próbowałem nikogo na nic oszukać, naprawdę jestem uczciwy, nawet jak pierdnę, zawsze się przyznaję, nawet w szkolnym autobusie, przysięgam na Boga, przysięgam...

– Hej, chłopie, wyluzuj – powiedział Mat, wstając ze stołka. Był żyłasty i wysoki, miał ciemne oczy, ogoloną głowę i nie musiał nikomu grozić, wystarczyło, że popatrzył. – Wyluzuj. Figiel jest w porządku. Jestem pewien, że nie chciał panu dokuczyć.

– A ty się odpieprz – warknął Fenicjanin. – Albo uważaj, zanim wybierzesz drużynę. Dzieciak orznął mnie na dychę, cisnął we mnie napojem, a potem prawie złamałem sobie nogę na kałuży tego gówna...

– Lepiej nie zakładać takich butów, jak się nie umie w nich chodzić. – Mat nie spoglądał już na niego. – Bo któregoś dnia można sobie zrobić krzywdę.

Podał mi przez ladę rolkę papierowych ręczników, a kiedy je brałem, puścił do mnie oko, szybko i nieznacznie; niewiele brakowało, a bym to przegapił. Cały się trząsałem z wdzięczności i ulgi, że mam go po swojej stronie.

Oddarłem garść ręczników i upadłem na kolana w kałużę, żeby wytrzeć spodnie Fenicjanina. Wybaczam wam, jeśli pomyśleliście, że w ramach przeprosin chciałem mu dodatkowo obciągnąć.

– Jejku, człowieku, zawsze byłem niezdara, zawsze, nie umiem nawet jeździć na wrotkach...

Odskoczył na bok (znowu omal się nie poślizgnął), a następnie pochylił się i wyrwał mi kłęb wilgotnego papieru.

– Hej! Hej, nie dotykaj mnie! Rzucasz się na kolana jak ktoś, kto ma o wiele za dużo praktyki. Trzymaj łapy z dala od mojego wacka. Sam sobie poradzę.

Jego spojrzenie mówiło wyraźnie: już nie byłem dla niego chłopakiem, który zasługuje na kopniaka w dupę, tylko kimś, kogo najlepiej unikać. Wytarł spodnie i koszulę, mamrocząc coś gorzko do siebie.

Ciągle trzymałem w ręce rolkę papieru, więc chlapiąc niemiłosiernie, przedostałem się przez kałużę i sięgnąłem po aparat, żeby go wyczyścić.

Byłem tak zdenerwowany i roztrzęsiony, że nie kontrolowałem ruchów, i kiedy chwyciłem aparat, dłonią nacisnąłem czerwony guzik i pstryknąłem zdjęcie. Obiektyw był skierowany za ladę, na twarz Mata. Polaroid rzygnął strumieniem białego światła i wydał z siebie wysoki, mechaniczny jęk.

Zdjęcie nie wyskoczyło tak po prostu. Aparat wyrzucił ze szczeliny kwadrat białego plastiku i wystrzelił go gdzieś daleko, poza ladę. Mat szarpnął głową do tyłu i gwałtownie zamrugnął, oślepiiony fleszem.

Ja też byłem trochę oślepiony. Przed oczami pełzały mi dziwne, miedziane robaczki. Potrząsnąłem głową, gapiąc się głupio na aparat znajdujący się w mojej prawej ręce. Marka nazywała się Solarid, nigdy o niej nie słyszałem i o ile było mi wiadomo, w ogóle nie istniała, ani w tym kraju, ani w żadnym innym.

– Odłóż to – powiedział Fenicjanin, a w jego głosie pojawiła się nowa nuta.

Była znacznie gorsza niż krzyk. Był to dźwięk obracanego bębna w rewolwerze, dźwięk odciąganego kurka.

– Ja tylko chciałem... – zacząłem, czując, że język rośnie mi w ustach.

– Chciałeś tylko zrobić sobie krzywdę. I zaraz ci się uda.

Wyciągnął dłoń, a ja włożyłem w nią solarida. Myślę, że gdybym wtedy upuścił aparat, gdyby wysunął się z moich spoconych trzęsących się palców, facet by mnie zabił. Położyłby mi rękę na gardle i zacisnął. Nie miałem wówczas żadnych wątpliwości i nadal nie mam. Szarymi oczami zlustrował mnie z zimną, skłębioną furią, choć jego poznaczona bliznami twarz była nieruchoma jak gumowa maska.

Wyrwał mi aparat i wszystko to zniknęło. Przeniósł spojrzenie na młodego mężczyznę i starszą kobietę za ladą.

– Zdjęcie – zażądał. – Podaj mi zdjęcie.

Mat chyba ciągle był oślepiiony fleszem. Popatrzył na mnie. Popatrzył na matkę. Wyglądał, jakby nie wiedział, o czym mowa.

Fenicjanin zignorował go i skoncentrował się na pani Matsuzace. Wysunął rękę.

– To jest moje zdjęcie i chcę je z powrotem. Mój aparat, mój film, moje zdjęcie.

Omiotła wzrokiem podłogę, a potem spojrzała na niego i znów wzruszyła ramionami.

– Wskoczyło z aparatu i spadło obok lady. – Fenicjanin powiedział to głośno i powoli, tak jak mówią ludzie bardzo wkurzeni na cudzoziemców. Jakby decybele miały pomóc w zrozumieniu. – Wszyscy widzieliśmy. Poszukaj go. Rozejrzyj się pod nogami.

Mat potarł dłońmi oczy, opuścił ręce i ziewnął.

– Co się dzieje? – zapytał, jakby właśnie wykopał się z pościeli i ze swojej sypialni trafił w sam środek awantury.

Matka odezwała się do niego po japońsku; była zdenerwowana. Przez chwilę gapił się na nią zamglonym spojrzeniem, zaraz jednak uniósł podbródek i zerknął na Fenicjanina.

– W czym problem, człowieku?

– Zdjęcie. Fotografia, którą ci zrobił ten gruby dzieciak. Chcę ją dostać.

Fenicjanin zamilkł. Przesunął się o krok w kierunku niskich drzwiczek prowadzących za ladę i do kasy. Mama Mata, która bez większej nadziei przyglądała się podłodze, poderwała głowę i oparła dłoń o wewnętrzną stronę drzwiczek, zanim facet je pchnął. Na twarzy miała wyraz dezaprobaty.

– Nie. Klient zostać druga strona! Nie, nie!

– Chcę to pieprzone zdjęcie – wysyczał Fenicjanin.

– No, człowieku! – Jeśli Mata rzeczywiście coś otumanilo, to już się otrząsnął. Wkroczył między matkę a Fenicjanina i nagle wydał się bardzo duży. – Słyszałeś, co powiedziała. Cofnij się. Polityka firmy: po tej stronie tylko ci, co tu pracują. Nie podoba ci się? Kup kartkę i wyślij zażalenie do Mobila. Na pewno nie mogą się doczekać.

– Czy mogliby się państwo pospieszyć? Mam dziecko w samochodzie – odezwała się kobieta, która stała za mną z kilkoma puszkami jedzenia dla kotów.

A co? Myśleliście, że było nas tylko czworo w tamtej chwili w Mobil Mart? Kiedy oblałem Fenicjanina moim specjałem Arctic Blu i kiedy on przeklinał, wściekał się i groził, ludzie wchodzili, brali z półek napoje i chipsy oraz zapakowane w plastik kanapki i ustawiali się za mną w kolejce, która sięgała już do połowy sklepu.

Mat poruszył się za ladą.

– Następny.

Mama z puszkami obeszła ostrożnie kałużę, błękitną jak z filmów fantastycznych, i Mat zaczął kasować jej zakupy.

Fenicjanin popatrzył na niego z niedowierzaniem. Opryskliwa odmowa Mata musiała być zniewagą dla kogoś z plamą zmrożonego Blu na spodniach.

– Wiecie co? Pieprzcie się. Pieprzyć ten sklep, pieprzyć tego tłustego śmiecia i pieprzyć ciebie, pojebie. Mam dość benzyny, żeby wydostać się z tej gównianej dziury. Nie wrzucę do tego klopa nawet centa więcej.

– To będzie dolar osiemdziesiąt dziewięć centów – powiedział Mat do kobiety z kocim jedzeniem. – Popołudniowa rozrywka za darmo.

Fenicjanin podszedł do drzwi, ale zatrzymał się, z jedną nogą na zewnątrz, i spojrzał na mnie.

– Nie zapomnę o tobie, dzieciaku. Rozglądaj się na obie strony, jak będziesz przechodził przez jezdnię. Wiesz, co mam na myśli?

Ze strachu nie byłem w stanie odpowiedzieć. Wypadł za drzwi. Chwilę później jego cadillac z piskiem opon wystrzelił spod pompy na dwupasmówkę.

Wytarłem napój z podłogi resztką papierowych ręczników. To była ulga, opaść na kolana poniżej poziomu oczu, gdzie mogłem sobie popłakać w takiej półsamotności. Ludzie, przecież miałem dopiero trzynaście lat. Klienci obchodzili mnie dookoła, płacili za swoje rzeczy i wychodzili, dyskretnie udając, że nie słyszą moich szlochów i siąkania nosem.

Kiedy posprzątałem już ten bałagan (podłoga nadal się lepiała, ale była sucha), zaniósłem na ladę wielki kłęb nasiąkniętych papierowych ręczników. Pani Matsuzaka stała po drugiej stronie z synem, patrzyła w przestrzeń i zaciskała usta, ale gdy zobaczyła mnie z tymi mokrymi ręcznikami, oderwała się od swoich myśli i wyciągnęła spod kontuaru gigantyczny kosz na śmieci. Popchnęła go w moim kierunku i wtedy je zauważyłem: zdjęcie leżało w kącie obrazkiem do dołu. Wsunęło się pod śmietnik i dlatego wcześniej nie było go widać.

Gdy wrzuciłem wilgotne ręczniki do kosza, pani Matsuzaka też je dostrzegła i zaraz po nie sięgnęła. Spojrzała na fotografię, jakby nic

nie rozumiejąc. Potem przeniosła wzrok na mnie i podniosła zdjęcie, żebym również mógł je obejrzeć.

To powinno być zbliżenie twarzy Mata. Obiektyw był skierowany prosto na niego.

Ale na zdjęciu byłem ja.

Tylko że nie ja sprzed kilku minut. To byłem ja sprzed kilku tygodni. Na fotografii siedziałem na plastikowym krześle przy automacie z napojami, czytałem „Popular Mechanics” i popijałem napój z olbrzymiego plastikowego kubka. Na tym polaroidzie (solaridzie?) miałem na sobie biały T-shirt z Huey Lewisem i parę dżinsowych szortów do kolan. Dzisiaj natomiast włożyłem spodnie khaki i hawajską koszulę z kieszeniami. A do tego fotograf, który cyknął tę fotkę, musiał stać po przeciwnej stronie lady.

To nie miało sensu. Gapiłem się na zdjęcie w całkowitym osłupieniu, próbując wyglówkować, skąd się wzięło. Nie była to fotografia, którą sam przypadkowo zrobiłem, ale i tak nie rozumiałem, jak mogła pochodzić sprzed kilku tygodni. Nie przypominałem sobie, żeby Mat albo jego mama strzelili mi fotkę, kiedy czytałem jeden z magazynów Mata. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, dlaczego mieliby to zrobić, a poza tym nigdy nie widziałem żadnego z nich z aparatem Polaroida w ręce.

Przełknąłem ślinę i zapytałem:

– Mogę to wziąć?

Zdziwiona pani Matsuzaka po raz ostatni rzuciła okiem na fotografię, następnie odęła wargi i położyła zdjęcie na ladzie. Przesunęła je w moim kierunku, a kiedy cofnęła dłoń, potarła czubki palców o siebie, tak jakby emulsja zostawiła paskudny ślad na jej skórze.

Przyglądałem się ujęciu jeszcze przez chwilę, z nieprzyjemnym uciskiem w okolicy mostka, z jakimś uczuciem strachu, którego nie

wywołały ani gniew, ani groźby Fenicjanina. Wetknąłem zdjęcie do kieszonki koszuli i odsunąłem się od kasy. Położyłem na blacie dwudziestkę i przeszedł mnie dreszcz. Pomyślałem: To są jego pieniądze. Co będzie, kiedy sobie przypomni, że mu ich nie oddał? Lepiej rozglądaj się na obie strony, jak będziesz przechodził przez jezdnię. Lepiej dobrze się rozglądaj, Figiel. Widzicie, nawet sam się zwyzywałem.

– Przepraszam za kłopot – powiedziałem. – To za litrowy napój gazowany.

– No coś ty, chłopie. Nie mam zamiaru cię za to skasować. To tylko trochę rozlanej wody z cukrem.

Mat popchnął pieniądze z powrotem do mnie.

– Okay. W porządku. Wiszę ci za to, że nie pozwoliłeś skopać mi tyłka. Uratowałeś mi życie, Mat. Poważnie.

– Jasne, jasne – odparł, ale jednocześnie zmrużył oczy i uśmiechnął się do mnie dziwnie, jakby nie był do końca pewien, o czym mówię. Zastanawiał się chwilę, a potem potrząsnął głową. – Hej, mogę cię o coś spytać?

– Śmiało! O co, Mat?

– Mówisz, jakbyśmy się znali. Spotkaliśmy się już kiedyś?



## 4

Wyszedłem stamtąd ze zszarganymi nerwami. Szumiało mi w głowie. Byłem pewien, że Mat nie ma najmniejszego pojęcia, kim jestem, i nie pamięta, że mnie kiedykolwiek widział, że przez ostatni rok codziennie zaglądałem do tego Mobila i czytywałem jego stare egzemplarze „Popular Mechanics”. Po prostu mnie nie znał. To mną porządnie trząchnęło.

Powtarzałem sobie, że nie rozumiem, że to wariactwo, bez sensu, ale nie do końca była to prawda. Gdzieś w podświadomości świtało mi coś na temat przyczyny nagłej amnezji Mata. Czułem to tak, jak się czuje, że w ścianie mieszkają szczury, chociaż ich nie widać. Słysząc jednak skrobanie ich pazurów. Moje podejrzania co do Mata i solarida były okropne, jak z horroru Stevena Spielberga, i nie byłem w stanie dopuścić ich do świadomości. Jeszcze nie teraz.

Wróciłem do domu, mocno spanikowany. Po drodze, na Plum Street, której przejście zajęło mi dziesięć minut, w myślach umarłem siedem razy.

Dwa razy usłyszałem za sobą pisk opon samochodu Fenicjanina na asfalcie i odwróciłem się na ułamek sekundy przed tym, zanim uderzyła we mnie lśniąca, chromowana chłodnica cadillaca.

Raz Fenicjanin wślizgnął się za mną na przystanek, z łyżką do opon w rękach, zagnał mnie do lasu i zatłukł na śmierć.

Przejechał mnie, kiedy próbowałem się przekraść przez podjazd Thatcherów, a następnie utopił w ich liliowym, nadmuchiwym

brodziku. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, był bezgłowy G.I. Joe na dnie.

Fenicjanin przejechał obok, zwolnił, wystawił przez okno rękę z pistoletem i posłał w moją stronę dwie kule: jedna przebiła mi szyję, a druga policzek.

Przejechał obok, powoli, i obciął mi głowę zardzewiałą maczetą. Ciach!

Przejechał obok, powoli, i powiedział: „Hej, dzieciaku, jak leci?“, a moje słabe serce przestało bić w tłustej klatce piersiowej i zwałem się martwy z powodu rozległego zawału, w wieku trzynastu lat, taki młody, taki obiecujący.

Zdjęcie tkwiło w mojej kieszonce. Nie opuszczało mnie wrażenie, że to kawałek gorącego materiału radioaktywnego, coś, od czego można dostać raka. Wolałbym już chyba mieć przy sobie pornosa z nieletnimi. Sam fakt, że miałem tę fotografię, sprawiał, że czułem się przestępcą. Jakby to był dowód... chociaż nie wiedziałem, jakiej zbrodni.

Przeciąłem trawnik i wszedłem do domu. Usłyszałem mechaniczny dźwięk i podążyłem za nim do kuchni. Ojciec był już na nogach i ubijał mikserem pomarańczowy krem. Coś się piekło w piecyku, a w powietrzu unosił się ciepły zapach sosu, jak gdyby ktoś właśnie otworzył puszkę karmy dla psów.

- Czuję obiad. Co jest w piekarniku?
- Bitwa pod Stalingradem – odpowiedział.
- A co tam ubijasz, takiego pomarańczowego?
- Przybranie do Panamskiego Dreszczyku.

Otworzyłem lodówkę, szukając lemoniady, i znalazłem Panamski Dreszczyk – góropodobną rzeźbę z galarety, z wisienkami wetkniętymi w trzęsącą się masę. Ojciec umiał przyrządzić tylko kilka potraw, między innymi galaretkę, dania z makaronu z mieloną

wołowiną i kurczaka w sosie z zupy z puszki. Jego prawdziwy talent objawiał się w nazwach. Jednego wieczoru była to Bitwa pod Stalingradem, innego Masakra Piłą Mechaniczną (dziwna mieszanina białej fasoli i mięsa z czerwonym jak krew sosem), Cygaro Fidela na lunch (brązowa tortilla nadziewana szarpaną wołowiną i kawałkami ananasa) albo Pizza Farmera na śniadanie (omlet ze stertą sera i posiekаныmi resztkami). Ojciec nie był grubasem jak ja, ale dzięki tej diecie nie był też chudzielcem. Kiedy mijaliśmy się w przedpokoju, każdy z nas musiał obrócić się bokiem.

Nalałem sobie lemoniady, wypilem całą szklanekę czterema łykami. Za mało. Nalałem następną.

– Już prawie gotowe – powiedział.

Mruknąłem coś w rodzaju „W porządku”. Na Bitwę pod Stalingradem składały się tłuczone ziemniaki ze stekiem na wierzchu i sos mięsno-pieczarkowy ze słoika. Jedzenie tego przypominało konsumowanie wiadra płynnego cementu. Niemal się ugotowałem po drodze do Mobila i z powrotem i zapach obiadu, przywodzący na myśl jedzenie dla psa, przyprawiał mnie o mdłości.

– Nie cieszysz się? – spytał ojciec.

– Cieszę się, cieszę.

– Przepraszam, że to nie maminy placek z jabłkami. Ale muszę ci powiedzieć, że nawet gdyby mama tu była, raczej nie piekłaby placków.

– Czy ja wyglądam jak dzieciak, który potrzebuje placków?

Spojrzał na mnie z ukosa i stwierdził:

– Wyglądasz jak dzieciak, który może potrzebować środków przeciwwgorączkowych. Dobrze się czujesz?

– Po prostu muszę posiedzieć i ochłonać – odparłem. – Nie było mi tak gorąco, od kiedy walczyłem z Wietkongiem na obrzeżach Khe Sanh.

– Nie mówmy o tym. Jak zacznę myśleć o chłopcach, których tam pozostawiliśmy, łzy będą mi ciekły do bitej śmietany.

Wyszedłem, gwizdząc *Goodnight Saigon*. Tata i ja ciągle się zgrywaliśmy, jak to razem walczyliśmy z północnymi Wietnamczykami, transportowaliśmy broń dla Contras czy ledwo przeżyliśmy katastrofę helikoptera, ratując zakładników w Iranie. Tak naprawdę żaden z nas nigdy nie wyjechał z Kalifornii, nie licząc jednej podróży na Hawaje, kiedy wciąż jeszcze byliśmy normalną rodziną. To moja matka była od przeżywania przygód w odległych miejscach.

Technicznie rzecz biorąc, moi rodzice nadal byli małżeństwem, ale matka mieszkała wśród plemion południowo-zachodniej Afryki i przyjeżdżała do domu tylko od czasu do czasu, zazwyczaj nie na dłużej niż miesiąc. Nie czułem się swobodnie w jej obecności. Nie rozmawialiśmy; rozmowa z moją matką przypominała serię quizów na tematy takie, jak feminizm, socjalizm albo moje odczucia dotyczące mojej tożsamości seksualnej. Czasem prosiła, żebym usiadł obok niej na sofie, żeby mogła mi poczytać artykuł z „National Geographic” o okaleczaniu genitaliów. Albo oznajmiała, że golenie pach przez kobiety to forma patriarchalnej kontroli, a potem przyglądała mi się z wrogą fascynacją, jakby się spodziewała, że mam coś przeciwko sztywnym, szarym kępkom pod jej pachami. Kiedy zapytałem ojca, dlaczego nie mieszkają razem, odpowiedział: „Bo matka jest błyskotliwa”.

Też tak uważałem. Czytałem jej książki, chociaż nie należały do tych, od których nie można się było oderwać. Ale podobało mi się, jak zbierała do kupy drobne obserwacje i nagle rozpościerała je przed czytelnikiem – niczym wachlarz – i pokazywała stojącą za nimi głęboką myśl. Pasja całkowicie ją pochłaniała, obezwładniała ją. Nie sądzę, żeby miała jeszcze w głowie miejsce dla męża i syna.

Wyciągnąłem się na kanapie pod oknem, w półmroku salonu. Przez dobre pół minuty przesuwalem kciukiem po brzegu zdjęcia w mojej kieszeni, zanim w ogóle zorientowałem się, że to robię. Jakaś część mnie nie chciała na nie spojrzeć, ani wtedy, ani nigdy. Dziwne uczucie. W końcu to było tylko zdjęcie, na którym siedziałem obok automatu z napojami, czytając magazyn. Nic podejrzanego, dopóki się nie wiedziało, że zostało zrobione dzisiaj, a pokazywało coś, co zdarzyło się kilka dni, może nawet tygodni wcześniej.

Jakaś część mnie nie chciała na nie patrzeć, ale inna część nie mogła się powstrzymać.

Wyjąłem fotografię z kieszeni i przechyliłem, żeby ją obejrzeć w dziwnym, burzowym świetle popołudnia. Jeśli duchy mają kolor, jest to kolor sierpniowej burzy, która za chwilę wybuchnie. Niebo miało dokładnie ten sam brudnoszary odcień co odbitka polaroidowa w momencie, kiedy się wywołuje.

Na zdjęciu garbiłem się nad pomiętym egzemplarzem „Popular Mechanics”, wyglądałem grubo i niezbyt interesująco. Fluorescencyjne światło nad moją głową dodawało mi błękitną poświatę nieumarłych z filmu George’a Romera.

„Nie pozwól się sfotografować – powiedziała Shelly Beukes. – Nie daj mu niczego sobie zabrać”.

Ale on mnie nie sfotografował. Byłem na zdjęciu, choć nie wymierzył we mnie aparatu i nie nacisnął guzika. Tak naprawdę w ogóle nie zrobił tego zdjęcia. Ja je zrobiłem, a solarid był skierowany na Mata.

Upuściłem zdjęcie z uczuciem obrzydzenia, jakbym nagle spostrzegł, że trzymam wijącą się larwę.

Przez jakiś czas leżałem w chłodnym cieniu, starając się nie myśleć, bo moja głowa była jak popsuta zabawka. Próbowaliście

kiedyś nie myśleć? To jak próbować nie oddychać – nie da się na dłuższą metę.

Dojrzałość to nie jest coś, co spływa na człowieka raptem. To nie jest granica między dwoma krajami, po przekroczeniu której człowiek znajduje się na nowej ziemi i mówi obcym językiem dorosłych. Już bardziej przypomina audycję z daleka w samochodowym radiu: czasem nie sposób usłyszeć niczego oprócz szumu, a potem odbiór się wyostrza i dochodzi doskonale czysty sygnał.

Myślę, że wtedy właśnie, w całkowitym bezruchu, słuchałem Radia Dorosłość, mając nadzieję, że złapię transmisję z jakimiś przydatnymi informacjami i instrukcjami postępowania w nagłych wypadkach. Nie mogę powiedzieć, żeby cokolwiek do mnie dotarło, ale kiedy tak leżałem, moje spojrzenie padło na małą kolekcję rodzinnych albumów ze zdjęciami, które ojciec ustawił na górnej półce szafki w rogu pokoju. Tata lubił porządek w rzeczach. W pracy nosił pas z narzędziami i wszystko zawsze było na swoim miejscu: obcęgi w futerale, a nóż do cięcia izolacji w specjalnej pętelce.

Wybrałem jeden album, rzuciłem się z powrotem na kanapę i zacząłem przewracać kartki. Najstarsze zdjęcia były kwadratowe, błyszczące i – trzymajcie się stołków, dzieciaki, nie zmyślam – czarno-białe. Jedno z pierwszych ukazywało moich rodziców razem w dniach przed ślubem. Oboje byli za starzy i za porządni na hipisów i raczej nie dało się o nich powiedzieć „urocza para”. Jedyнным ukłonem ojca w stronę tamtych czasów były krzaczaste bokobrody i okulary słoneczne z barwionymi szklami. Moja matka, słynna afrykańska antropolożka, miała na sobie – nawet na rodzinnym spotkaniu – szorty khaki podciągnięte powyżej pępka i ciężkie buty trekkingowe. Uśmiechała się, jakby ją uwierały. Nie było żadnego ujęcia, na którym obejmowaliby się albo całowali, albo chociaż patrzyli na siebie.

Na kilku fotografiach trzymali mnie na zmianę. Na jednej matka, na podłodze, machała ogromnymi gumowymi kluczami nad głową niemowlęcia leżącego na pleckach, a ono próbowało dosięgnąć zabawki tłustymi paluszkami. Na innej ojciec stał po pas w czymś basenie, ściskając w ramionach nagiego malucha. Już wtedy byłem tłusty.

Najczęściej jednak to nie ojciec ani matka byli ze mną na zdjęciach, tylko... Shelly Beukes. Uświadomiłem to sobie ze zdumieniem. Kiedy sześć lat temu przeszła na emeryturę, nic nie czułem; było mi dokładnie wszystko jedno, jakby ojciec oznajmił, że wymieniamy stół. Szokuje was może uprzywilejowany siedmiolatek z Doliny, co to uważał, że wszystko mu się należy? Mój ojciec nie powiedział mi wtedy, że przeszła operację serca. Tylko że trochę się zestarzała, a starsi ludzie potrzebują więcej odpoczynku. I tak mieszkała w pobliżu, mogłem ją odwiedzić w każdej chwili.

Czy to robiłem? Och, czasem wpadałem na herbatę albo ciasteczka z daktylami i siedzieliśmy, oglądając serial *Napisała: Morderstwo*, a ona pytała mnie, jak leci. Z pewnością zachowywałem się grzecznie, ale jak najszybciej zjadałem ciasteczka, żeby móc już iść. Kiedy jesteś dzieckiem, popołudnie w przegrzanym salonie ze starszą panią przed telewizorem jest jak przepustka do zatoki Guantánamo. Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Że jej coś zawdzięczałem, że coś dla niej znaczyłem – takie kwestie nie zaprzątały mi głowy.

Ale była tu, na jednym zdjęciu po drugim.

Trzymaliśmy się krat w celi w Alcatraz, oboje wykrzywialiśmy twarze w udanym przerażeniu.

Siedziałem na jej ramionach, żeby zerwać brzoskwinię z gałęzi, wolną ręką wciskałem jej na twarz słomkowy kapelusz.

Zdmuchiwałem świece, a ona stała obok mnie, z rękami uniesionymi do oklasków. I tak... z tego okresu wszystkie zdjęcia były

polaroidami. Oczywiście my też mieliśmy taki aparat. Wszyscy mieli. Tak jak wszyscy mieli wideo, mikrofalę i podkoszulek z reklamą restauracji Wendy's i napisem GDZIE WOŁOWINA?

Kobieta na zdjęciach była stara, ale miała lśniące, nieomal dziewczęce oczy i pasujący do nich psotny uśmiech. Na jednej z fotografii jej włosy były czerwone od światła neonu reklamującego w barze piwo. Na innej miały śmieszny odcień marchewki i do tego paznokcie pomalowane pod kolor. Zawsze mnie obejmowała, czochrała mi włosy, trzymała na kolanach, a ja wsuwałem jedno z jej ciasteczek nadziewanych daktylami: gruby dzieciak w majtkach ze Spider-Manem i plamami po soku winogronowym na brodzie.

Po przeczuciu jakichś dwóch trzecich kartek znalazłem zdjęcie z dawno zapomnianego przyjęcia z grillem na podwórku. Tym razem włosy Shelly były w kolorze Arctic Blu. Obok niej stał Larry, Afrykaner w za ciasnych piaskowych spodniach i białej koszuli, z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały przedramiona jak u Popeye'a. Każde z nich trzymało mnie za jedną rękę, a ja byłem rozmazanym cieniem huśtającym się między nimi w półmroku. Shelly wiwatowała. Rozbawieni dorośli otaczali nas kołem, dzierżąc kieliszki białego wina.

Nagle uderzyła mnie myśl: to okropne, że te dni zostały jej odebrane. Okropne jak przełknięcie skwaśniałego mleka. Wręcz nieprzyzwoite.

Wszechświat nie miał nic na swoją obronę, nie dało się usprawiedliwić utraty przez Shelly pamięci i rozumu. Kochała mnie, nawet jeśli byłem za głupi, żeby znać wartość tego uczucia. Każdy, kto popatrzył na te zdjęcia, mógł zobaczyć, że mnie kochała, że w jakiś sposób ją zachwyciłem, chociaż miałem tłuste policzki i nieobecne spojrzenie, a jadłem zawsze tak, że połowa posiłku lądowała rozsmarowana na podkoszulku. Chociaż bezmyślnie przyjmowałem



jej uczucie i opiekę, jakby mi się należały. A teraz wszystko się rozplątało, wszystkie przyjęcia urodzinowe, każdy grill, każda zerwana dojrzała brzoskwinia. Rak, który żywił się nie tylko jej ciałem, ale też jej życiem wewnętrznym, jej prywatnymi historiami szczęścia, wymazywał ją po trochu. Ta myśl sprawiła, że miałem ochotę rzucić albumem o ścianę. Chciało mi się płakać.

Powstrzymałem się jednak. Otarłem oczy i przewróciłem następną kartkę – i aż sapnąłem ze zdziwienia na widok tego, co tam było.

Na tylnym siedzeniu samochodu Fenicjanina dostrzegłem zdjęcie kulturysty, opalonego na brąz młodzieńca w pomarańczowym podkoszulku, siedzącego na masce trans ama. Wydało mi się wtedy, że go rozpoznałem, że już go wcześniej widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy nasze ścieżki się przecięły. A teraz znalazłem go w moim albumie ze zdjęciami.

Trzymał dwa krzesła, takie z oparciami, po jednym w każdej ręce, każde za drewnianą nogę; unosił je nad głową. Na jednym krześle siedziałem ja i wrzeszczałem przestraszony i jednocześnie zachwycony. Miałem na sobie mokre kąpielówki, a kropelki wody lśniły na moich tłustych, chłopięcych cyckach. Shelly Beukes na drugim krześle, wczepiona obiema dłońmi w siedzenie, śmiała się z głową odrzuconą do tyłu. Na tym zdjęciu siłacz był ubrany nie w podkoszulek, lecz w mundur marynarza. Uśmiechał się drapieżnie spod swojego wąsa jak u Toma Sellecka. I nawet był tam trans am. Stał na podjeździe, widoczny z okna domu Shelly; w kadrze zmieścił się akurat tył.

– Kim ty, do diabła, jesteś? – wyszeptałem.

Mówiłem do siebie i nie spodziewałem się odpowiedzi, ale odezwał się mój ojciec:

– Kto?

Stał w przejściu do kuchni i na jednej ręce miał kuchenną rękawicę. Nie wiem, jak długo mnie obserwował.

– Facet z wąsami – powiedziałem, pokazując palcem zdjęcie, którego ojciec i tak nie mógł zobaczyć od drzwi.

Podszedł bliżej, wyciągnął szyję.

– A, ten bałwan. Syn Shelly. Sindbad? Achilles? Jakoś tak miał na imię. To było w przeddzień jego wyjazdu nad Morze Czerwone. Shelly urządziła pożegnalnego grilla. Zrobiła ciasto w kształcie okrętu wojennego i prawie takiej samej wielkości. Przynieśliśmy trochę do domu i jadłeś okręt na śniadanie przez cały tydzień.

Pamiętałem to ciasto: trójwymiarowy lotniskowiec (a nie okręt wojenny), tnący fale z błękitno-białego lukru. Pamiętałem też jak przez mgłę Shelly mówiącą, że to przyjęcie na zakończenie szkoły, dla mnie! Właśnie skończyłem trzecią klasę. Było to całkiem typowe dla Shelly Beukes: powiedzieć samotnemu dzieciakowi, że przyjęcie jest dla niego, chociaż tak naprawdę nie miało z nim nic wspólnego.

– Źle nie wyglądał – stwierdziłem.

Jakoś mi przeszkadzało, że ojciec nazwał go bałwanem. Odniosłem wrażenie, że krytykuje w ten sposób samą Shelly, i nie miałem ochoty tego słuchać.

– Och, uwielbiałeś go. To był wykapany Larry. Brał udział w zawodach kulturystycznych, kochał popisywać się tymi swoimi mięśniami. Podnosił kutasem samochód za zderzak, coś w tym rodzaju. Myślałeś, że jest Niesamowitym Hulkiem. Pamiętam ten numer. Podniósł was oboje jednocześnie i spacerował z wami po pokoju, utrzymując krzesła w równowadze. Bałem się, że upuści Shelly na głowę i będę musiał znaleźć dla ciebie nową opiekunkę. Albo że upuści ciebie i będę musiał szukać innego dzieciaka do wcinania mojego Panamskiego Dreszczyku. Chodź, jedzenie na stole. Czas się napchać.

Usiedliśmy na rogach stołu, po przekątnej, z Bitwą pod Stalingradem na talerzach. Nie byłem głodny i sam się zdziwiłem, że zjadłem wszystko i nawet wytarłem resztkę sosu bułką. Zataczałem pieczywem koła, rozmazując sos i myśląc o albumach na tylnym siedzeniu w samochodzie Fenicjanina. I o zdjęciu w mojej kieszeni, które pokazywało coś, czego nie miało prawa pokazać. Powoli w mojej głowie kształtowała się pewna koncepcja; wypływała na powierzchnię jak polaroidowy obraz, coraz wyraźniej.

Sztucznie spokojnym głosem powiedziałem:

– Widziałem dzisiaj panią Beukes.

– Tak? – Ojciec rzucił mi zamyślane spojrzenie i spytał łagodnym tonem, tak udawanym jak mój: – Jak wyglądała?

– Zgubiła się. Odprowadziłem ją do domu.

– Cieszę się. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, że tego nie zrobisz.

Opowiedziałem mu, jak znalazłem Shelly na ulicy i jak myślała, że powinna sprzątać, i nie mogła sobie przypomnieć mojego imienia. Opowiedziałem mu o tym, jak Larry Beukes zajechał w panice na podjazd, jak był śmiertelnie przerażony, że mogła wejść na szosę albo zgubić się na dobre.

– Dał mi pieniądze za odprowadzenie jej do domu. Nie chciałem ich wziąć, ale mnie zmusił.

Wiedziałem, że to się tacie nie spodoba, i spodziewałem się – a może wręcz miałem nadzieję – że mnie zawstydzi. Ale on tylko wstał po Panamski Dreszczyk i rzucił przez ramię:

– Dobrze.

– Naprawdę?

Postawił galaretkę, trzęsącą się pod dziesięcioma centymetrami bitej śmietany w kolorze oranżady, i zaczął nam nakładać do miseczek.

– Pewnie. Taki człowiek jak Larry Beukes płaci, żeby przekonać samego siebie, że ma wszystko pod kontrolą. To nie jest typ faceta, który straci swoją starą żonę, bo sam za bardzo zdiagnozował, żeby się nią opiekować. To jest typ faceta, który potrafi zapłacić komuś, kto rozwiąże problem.

– Spytał, czy mógłbym czasem pomóc. Czybym... no wiesz, czasem nie wpadł i nie posiedział z nią, kiedy on musi wyjść. Na zakupy albo coś takiego.

Ojciec znieruchomiał z łyżką Panamskiego Dreszczyku przy ustach.

– Cieszę się. Jesteś dobrym pomocnikiem. Wiem, że kochałeś tę staruszkę.

Ciekawe, co? Ojciec wiedział, że kochałem Shelly Beukes, a ja zdałem sobie z tego sprawę zaledwie kilka minut wcześniej.

– Coś jeszcze wydarzyło się dzisiaj? – zapytał.

Mój kciuk zakradł się do kieszonki koszuli i przejechał po brzegu polaroida (solarida?). Od kiedy wróciłem do domu, dotykałem zdjęcia co chwila, nerwowo, bezsilnie. Chciałem opowiedzieć o Fenicjaninie i awanturze w minimarkecie Mobila, ale nie miałem pojęcia, jak rozpocząć i nie wyjść przy tym na roztrzęsionego bachora.

I była jeszcze ta myśl na krawędzi mojej świadomości, myśl, której usilnie próbowałem uniknąć. Nie chciałem znaleźć się w jej pobliżu, a gdybym zaczął opowiadać o Fenicjaninie, musiałbym.

Więc nie wspomniałem o wydarzeniu na stacji benzynowej.

– Prawie skończyłem pracę nad tym zabawkowym pistoletem – powiedziałem.

– Wspaniale. Łatwo będzie to uczcić, jak już całkiem skończysz. Wystarczy pociągnąć za spust. – Wstał i zaniósł nasze talerze do zlewu. – Mike?

– Tak?

– Nie przejmuj się za bardzo, jeśli Shelly cię nie rozpozna albo będzie mówiła bez sensu.

– Nie będę.

– Bo to jest jak... jak dom, z którego ktoś się wyprowadził. Dom ciągle stoi, ale rzeczy już nie ma. Ktoś zabrał meble i pozwijał dywany. Faceci od przeprowadzek popakowali w skrzynie wszystkie części Shelly Beukes i wysłali ją gdzieś indziej. Niewiele z niej pozostało, tylko ten pusty dom. – Zeskrobał resztki Stalingradu do kosza. – I to, co jest na starych fotografiach.

## 5

– Dasz sobie radę? – spytał ojciec w drodze do drzwi.

Jedną nogą stał na schodku przed domem, a drugą na naszym groszkowozielonym gałgankowym dywanie. Błyskawica bezgłośnie oświetliła niskie, skłębione chmury za jego plecami.

– Od jakiegoś czasu już nie potrzebuję, żeby Shelly Beukes zmieniała mi pieluszki – odparłem.

– To prawda. Nie wiem, czy tak powinno być, ale tak właśnie jest, nie?

Ojciec rzadko przyznawał, że nasze życie nie było idealne. Otworzyłem usta, żeby mu odpowiedzieć, nie wiedziałem jednak co.

Popatrzył na niespokojne, burzowe niebo.

– Nienawidzę nocek. Jak tylko Al wróci do grafiku, wezmę dni.

Przez całe lato pracował na nocnej zmianie dla komunalnej firmy elektrycznej. Nie mieli ludzi. Jego najlepszy kumpel, Al Murdoch, leczył chłoniaka. Jeden z inżynierów, John Hawthorne, został niedawno aresztowany za prześladowanie byłej żony. Piper Wilson odeszła na macierzyński. I nagle mój ojciec został starszym monterem i zasuwał sześćdziesiąt godzin w tygodniu, z tego większość, gdy spałem.

Na początku nawet to lubiłem. Fajnie było nie spać, kiedy trzeba było, i oglądać miękkie porno na czymś, co wtedy nazywało się Skinemax. Ale w drugiej połowie lipca przyjemność bycia samemu nocą w domu minęła. Miałem bujną wyobraźnię, a pod koniec lipca popełniłem błąd i przeczytałem *Zodiaka*. Po tym pusty dom zaczął

mnie naprawdę przerażać. Leżałem w łóżku o drugiej nad ranem, miałem sucho w ustach, wsłuchiwałem się w ciszę i wstrzymywałem oddech, czekając na trzask czy jakikolwiek inny znak, że stary, dobry Zodiak wyważył łomem okno. Na pewno na moim tłustym brzuchu wyryłyby astrologiczne symbole jednym z naszych noży kuchennych – i to nie po mojej śmierci, ale jeszcze za życia, żeby usłyszeć mój wrzask.

Nigdy nie rozmawiałem o tym z ojcem. Gorsze od nocnych ataków lęku byłoby to, że wówczas zdecydowałby się zapłacić komuś za opiekę nade mną. Zodiak mógł mnie co najwyżej torturować i zabić. A ja wolałem nie żyć, niż dopuścić do tego, żeby ojciec wynajął jakąś nastolatkę z Doliny, która położyłaby mnie spać o dziewiątej trzydzieści, a potem przez resztę nocy gadała z przyjaciółmi przez telefon. Takie upokorzenie zniszczyłoby kompletnie moje kruche trzynastoletnie ego.

Ale tamtego wieczoru, po historii z Fenicjaninem, wyjątkowo bałem się zostać sam w domu. Do tego jeszcze te grzmoty i elektryczność w powietrzu, drażniąca energia, którą czułem na włoskach przedramion. Gromy przetaczały się przez całe popołudnie i było jasne, że burza niedługo się zacznie. Zacznie się i da czadu.

– Masz zamiar popracować jeszcze trochę nad tym pistoletem imprezowym? – zapytał ojciec.

– Chyba tak. Ja...

W tej chwili rozległ się grzmot, ale nie jakiś melodramatyczny, rodem z horroru. Był jak z powieści science fiction, jak eksplozja pocisku, od której rozpada się świat, jak pojedynczy zagłuszający wszystko wystrzał z armaty. Był tak głośny, że wysłał ze mnie powietrze.

Tymczasem ojciec miał spędzić tę noc jak ofiara dla niebios, na żelaznym dźwigu, reperując linie wysokiego napięcia. Ta myśl

ścisnęła mi żołądek. Za to ojciec wyglądał tylko na zde gustowanego i trochę zmęczonego; hałas go zirytował, jak odgłosy dzieciaków bijących się na tylnym siedzeniu samochodu. Przystawił dłoń do ucha, żeby mi pokazać, że nie dosłyszał moich słów.

– Prawie już działał, kiedy przyszła Shelly. Jeśli skończę, pokażę ci jutro.

– To dobrze. Musisz się pospieszyć i zarobić swój pierwszy milion dolców, żebym mógł przejść na emeryturę i robić to, co naprawdę kocham, czyli fajne rzeczy z galaretki. – Ojciec ruszył w kierunku swojego vana, ale zaraz odwrócił się z uśmiechem. – Zadzwoń, jeśli...

Następna kanonada grzmotów. Ojciec mówił dalej, chociaż nie słyszałem ani słowa. To do niego pasowało. Miał dar wypierania ze świadomości wszystkich zakłóceń w tle, które go nie dotyczyły. Gdyby siedział na dźwigu i naprawiał transformator i nagle pojawiły się przed nim czirliderki Dallas Cowboys, mogłyby tańczyć nago, potrząsając pomponami, a on i tak by ich nie zauważył.

Pokiwałem głową, jakbym go słyszał. Pewnie wygłaszał standardową formułkę, że gdyby coś się stało, mam zadzwonić do biura i powiedzieć, żeby wywołali go przez radio. Pomachał i odwrócił się. Wysoko w chmurach błysnęło błękitne światło, flesz największego na świecie aparatu. Wzdrygnąłem się („Nie pozwól się sfotografować”) i na wpół przymknąłem drzwi frontowe.

Przednie światła vana zapaliły się i w tym samym momencie popołudnie zgasło. Było dopiero piętnaście po szóstej, połowa sierpnia i słońce miało zająć za trzy godziny, ale dzień zagubił się w dławiącej ciemności. Van się wycofał. Zatrzasnąłem drzwi.



## 6

Nie wiem, jak długo stałem w holu i słuchałem walenia tętna w moich uszach. Pełna napięcia i oczekiwania cisza wieczoru zatrzymała mnie w miejscu. W pewnej chwili zorientowałem się, że przyciskam dłoń do serca, jakbym był dzieckiem składającym przysięgę wierności.

Nie, nie do serca. Do zdjęcia.

Ogarnęła mnie przemożna chęć, żeby się go pozbyć, wyrzucić. To było straszne – mieć zdjęcie w kieszeni – straszne i niebezpieczne. Czulem się tak, jakbym niósł probówki z zakażoną krwią. Nawet poszedłem do kuchni, otworzyłem szafkę pod zlewem i miałem zamiar cisnąć fotografię do śmieci.

Ale kiedy wyjąłem ją z kieszeni, zatrzymałem się i popatrzyłem: na grubego chłopaka o czerwonej twarzy, w T-shircie z Huey Lewisem, zgarbionego nad „Popular Mechanics”.

„Spotkaliście się już kiedyś?” – spytał Mat, uśmiechając się przepraszająco.

Na dworze błysnęło, zatoczyłem się do tyłu i upuściłem zdjęcie. Gdy podniosłem wzrok, przez chwilę, po drugiej stronie kuchennego okna, widziałem jego, Fenicjanina, i... Nie pozwól się sfotografować, och, Boże, nie pozwól mu...

Ale to nie był Fenicjanin ze swoim solaridem. Źródłem światła była kolejna błękitna błyskawica, a twarz, której słabe odbicie zobaczyłem w szybie, należała do mnie.

Kiedy zadudnił następny grom, byłem w garażu. Starannie położyłem zdjęcie na roboczym stole, równo przy krawędzi. Włączyłem swoją lampę Luxo i przekręciłem jej ramię na zawiasach, żeby przygwoździć fotkę w gorącym kręgu białego światła. A potem, z czymś w rodzaju paskudnej przyjemności, przebiłem ją pinezką, żeby pozostała na miejscu. Poczułem się lepiej. Teraz zdjęcie było przytwierdzone do mojego stołu operacyjnego. To tam rozbierałem rzeczy na części i zmuszałem, żeby mi wszystko powiedziały, zdradziły swoje moce i słabe punkty.

Żeby poczuć się jeszcze lepiej i pewniej, rozpiąłem spodnie i pozwoliłem im opaść do kostek, a następnie z nich wyszedłem. Już jakiś czas temu zauważyłem, że nic tak nie uwalnia umysłu jak rzucenie spodni. Spróbujcie, jeśli nie wierzycie. Amerykańska wydajność wzrosłaby co najmniej dwukrotnie, gdyby wszyscy przychodzili do pracy w samych majtkach.

Aby pokazać zdjęciu, kto tu jest szefem, zignorowałem je i zabrałem się do pracy nad pistoletem imprezowym. Nacisnąłem spust, żeby usłyszeć szum wiatraczka wewnątrz korpusu. Odczepiłem bok, podważyłem płytkę z przewodami i zacząłem przy niej grzebać. Na początku nie mogłem się skupić. Co chwila zerkałem na zdjęcie, które nie miało prawa istnieć, a potem, kiedy wracałem do mojej nowej zabawki, nie mogłem sobie przypomnieć, co właśnie robiłem. Ale po jakimś czasie zamknąłem się w bańce koncentracji. Fenicjanin, Shelly Beukes i solarid, wszystko to poszarzało – całkiem jak polaroidowa odbitka wywołująca się do tyłu, powracająca do niezmiśzanych chemikaliów.

Lutowałem i kładłem kable. W garażu było ciepło i unosił się zapach, który wciąż Kocham: stopionej gumy, gorącej miedzi i oleju. Miałem smar na dłoni, trochę WD-40, więc wytarłem go szmatą. Skóra

pod spodem była różowa. Popatrzyłem na kawałek materiału, gdzie rozlewała się plama, wsiąkając w tkaninę. Wytarta. Wchłonięta.

Na stacji Mobil zrobiłem zdjęcie Matowi, Yoshiemu Matsuzace, ale solarid uchwycił coś, co było w jego głowie, obraz, który w sobie przechowywał – mnie. Aparat wchłonął ten widok, jak szmata w mojej zaciśniętej pięści wchłonęła olej.

Za oknem zabłysło błękitne światło.

Nie bałem się. Nie zszokowała mnie myśl, która przyszła mi do głowy. Gdzieś tam tkwiło to już wcześniej. Wierzę, że podświadomość pracuje nad naszymi pomysłami całe godziny, dni, tygodnie, a czasem lata, zanim zdecyduje się zaprezentować je wyższym partiom mózgu. A poza tym Shelly przecież mi to wyjaśniła.

„Nie pozwól się sfotografować. Nie daj mu niczego sobie zabrać”.

Dziwne, że kiedy wiedziałem – kiedy zrozumiałem – już się nie bałem. Nie zacząłem się trząść, szczerkać zębami ani wmawiać sobie, że zwariowałem. Zamiast tego niemal się uspokoiłem. Pamiętam, że odwróciłem się bokiem do zdjęcia i pochyliłem nad pistoletem imprezowym. Skręciłem go i zaraz wsypałem do lufy paczkę błyszczącego pyłu, jakbym ładował muszkiet. Zachowywałem się tak, jakbym rozwiązał niezbyt trudne zadanie matematyczne.

Ostatnią częścią pistoletu była lampa błyskowa, którą chciałem przyczepić na górze, tam gdzie snajper przyczepiłby celownik. Wyjąłem ją do tego celu z naszego własnego polaroida. Trzymałem ją w rękach, jak gdybym sprawdzał, ile waży. Myślałem o aparacie wystrzeliwującym gorący, biały snop światła prosto w twarz Mata i o tym, jak Mat odwrócił głowę i raptownie zamrugał.

Pomyślałem o Shelly Beukes, patrzącej zmęczonymi oczami na okolicę, gdzie mieszkała od co najmniej dwóch dekad, zdezorientowanej, jakby właśnie oślepił ją flesz. Pomyślałem o czarnych albumach na tylnym siedzeniu w cadillacu Fenicjanina.

Pomyślałem o zdjęciu, które zobaczyłem w jednym z nich, o tym, na którym prawie na pewno był syn Shelly.

Grzmot przetaczający się przez niebo zatrzęsł garażem, a powietrze dziwnie zadźwięczało. Po chwili zrozumiałem, że to ja się trzęsę, więc gwałtownie się poderwałem, aż zakręciło mi się w głowie. Wyłączyłem lampę Luxo i stałem w ciemności, głęboko wdychając powietrze pachnące miedzią. Zastanawiałem się, czy zwymiotuję.

W uszach ciągle mi dzwoniło i wreszcie zdałem sobie sprawę, że to wcale nie od pioruna. Ktoś dzwonił do drzwi.

Bałem się otworzyć. Zgodnie z logiką trzynastolatka to musiał być Fenicjanin, który jakoś dowiedział się, że rozwiązałem zagadkę jego solarida, i przyszedł zmusić mnie do milczenia, na zawsze. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym wykorzystać jako broń, sięgnąłem po śrubokręt, a potem po pistolet imprezowy. Przemknęła mi przez głowę szalona myśl, że w półmroku holu będzie wyglądał jak prawdziwy pistolet.

Kiedy podszedłem do drzwi wejściowych, w chmurach rozległ się kolejny grzmot, który wstrząsnął domem, i usłyszałem przekleństwo wyszeptane z ciężkim południowoafrykańskim akcentem. Mój strach uleciał, pozostawiając mnie na miękkich nogach i z pustką w głowie.

Uchyliłem drzwi i powiedziałem:

– Dobry wieczór, panie Beukes.

Jego twarz, jak u Rocka Hudsona, była wymizerowana i poznaczona głębokimi liniami, usta z kolei miał bezbarwne, jakby spacerował długo na zimnie. Odkąd widziałem go ostatnio, postarzał się chyba o dziesięć lat.

Mimo że grzmiało i błyskało, deszcz ciągle nie padał. Ale wiatr szarpał trenczem pana Beukesa, trzepoczącym szaleńczo wokół jego masywnego torsu i wąskich bioder. To był ten sam płaszcz, który

Shelly miała rano. Na nim wyglądał lepiej. Powiew wiatru zarzucił mu srebrne włosy na pobrużdżone łyse czoło.

– Michael – powiedział – nie spodziewałem się, że poproszę cię o pomoc tak szybko i w taką godzinę. Bardzo mi przykro. Ale ja... O Boszszu! Co za dzień! Pewnie jesteś zajęty z przyjaciółmi. Nie znoszę... tak bez uprzedzenia...

W innych okolicznościach zabrzmiałoby to jak dowcip. Nie byłem towarzyskim motylkiem, jeśli już, to raczej towarzyską ćmą trupa główką. Ale w ciemnościach burzy, która nie chciała nadciągnąć, ledwo do mnie dotarło zdanie o moich przyjaciołach.

Burza, elektryczność w powietrzu, krótki, urywany oddech pana Beukesa i wszystkie dziwne wydarzenia tego dnia sprawiły, że trząsałem się z nerwów. Mimo to nie zdziwił mnie jego widok na naszym ganku. Podświadomie przez całe popołudnie czekałem, aż przyjdzie... czekałem na rozpoczęcie trzeciego aktu dzisiejszego spektaklu, na zakończenie tego absurdalnego dramatu, w którym byłem jednocześnie widownią i odtwórcą głównej roli.

– O co chodzi, panie Beukes? Wszystko w porządku z Shelly?

– Czy z nią...? Tak. Nie. – Zaśmiał się gorzko. – Wiesz, jęga ona jezd. Na razie źpi. Muziałem wyjeżdż. Coż się zdało. Dzisiaj jezdem jak fadzed w tonądej budce, co próbuje wybieradź wodę łyżką.

Chwilę trwało, zanim dotarło do mnie, że „tonąca budka” to w języku Larry’ego Beukesa „tonąca łódka”.

– O co chodzi?

– Pamiętasz, jak dzi mówiłem o moich ziłowniach, że tam zawsze jezd jakiś pożar? – Znowu zaśmiał się smutno. – Powinienem uważadź na metafory. Ziłownia, ta koło Microcenter... Wybuchł w niej pożar, prawdziwy pożar. Nikomu nierz się zdało, dzięki Bogu za jego łaskę. Była zamknięta. Strażacy ugazili płomienie, ale muszę oszadzowadź zdraty.

– A od czego ten pożar?

Nie spodziewał się tego pytania i zajęło mu z minutę, zanim je przemyślał. Nie dziwiłem się jego zdumieniu. Ja też byłem zdumiony. Dopóki słowa nie wyleciały z moich ust, sam nie wiedziałem, że go o to spytam.

– No... myślę, że to od pioruna. Nie powiedzieli. Mam nadzieję, że to piorun, a nie zdare kable. Firma ubezpieczeniowa powiezi mnie za moje zdare, pomarszczone jaja.

Parsknąłem śmiechem na myśl o jego starych, pomarszczonych jajach. Nigdy nie słyszałem, żeby dorosły – a już na pewno nie taki starszy pan jak Larry Beukes – mówił do mnie w ten sposób: tak świętokradczo, desperacko uczciwie, tak otwarcie, z takim czarnym humorem. To było wspaniałe. Ale jednocześnie w moim mózgu pojawiły się dwa proste słowa: To on. Zakręciło mi się w głowie.

Myśli przelatywały przez mój umysł jak karty tasowane rękami szulera.

Powiedz mu, żeby nie jechał. Jak to, przecież wybuchł pożar, musi jechać, nie miałem argumentów, żeby go zatrzymać, w każdym razie żadnych sensownych. Gdybym mu oświadczył, że w pobliżu kręci się facet z aparatem, który kradnie myśli i poluje na jego żonę, nigdy więcej nie pozwolilby mi zbliżyć się do Shelly. Może wtedy zostałaby w domu, żeby chronić ją przede mną.

Wpadłem na pomysł: On pojedzie, a ja wezwę policję i powiem, że jego żona jest w niebezpieczeństwie. Ale zaraz spytałem sam siebie: W jakim niebezpieczeństwie? Kto jej zagraża? Mężczyzna z polaroidem? Miałem trzynaście lat, nie trzydzieści, i mój strach, moje obawy nie miały znaczenia dla policji. Tylko wyszedłbym na rozhisteryzowane dziecko.

Poza tym miałem jednak nadzieję, że sam sobie szarpię nerwy głupimi historyjkami o duchach, bo w dzieciństwie czytałem za dużo

komiksów i oglądałem za dużo odcinków *Tomorrow People*. Racjonalne argumenty same się nasuwały i były nie do odparcia: Shelly Beukes nie padła ofiarą klątwy rzuconej przez zepsutego polaroida. Chorowała na alzheimera, do czego nie potrzeba było magicznych wyjaśnień. A że zdjęcie pokazywało, jak czytam „Popular Mechanics” – to co? Ktoś musiał je zrobić kilka tygodni wcześniej, a ja nie zauważyłem. Proste wytłumaczenia rozczarowują, ale zazwyczaj są najlepsze.

Problem w tym, że te racjonalne kontrargumenty były kupą gówna i wiedziałem o tym. Wiedziałem. Tylko nie chciałem tego wiedzieć.

To wszystko przeleciało przez mój mózg w jednej chwili. Na drodze zagrzechotała pchnięta wiatrem puszka. Pan Beukes odwrócił się, żeby na nią zerknąć, a potem przeniósł zrozpaczone i rozkojarzone spojrzenie na swój samochód, pracujący na jałowym biegu.

– Zawiozę Cię. Ta pogoda. Gdyby nie to, dżoz się wydarzyło rano, może bym i zaryzykował i zozdawił ją zamą dzisiaj wieczorem. Wzięła leki na zwój artretyzm i normalnie źpi po nich modzno, czasem dzieiędz godzin. Ale dziziaj zą te grzmoty. Co jeżeli się obudzi i przeztraszy? Pewnie zobie myźlisz, że jezdem bardzo niegodziwy, że ją zozdawiłem nawet na minutę.

Nie miałem jeszcze trzynastu lat i nie byłem emocjonalnie gotowy odpowiadać przerażonemu starszemu człowiekowi, który bezwzględnie winił samego siebie. Wymamrotałem jakieś elokwentne pocieszenie, coś w rodzaju: „Nie, no skąd, wcale”.

– Próbowałem zię do dziebie dodzwonidź, ale nikt nie podnoził i pomyźlałem zobie, on ziedzi w garażu i nie złyszy telefonu. Podzałowałem ją na pożegnanie, bardzo delikatnie, żeby jej nie obudzidź, i przyjechałem prozdo tutaj. – Uśmiechnął się do mnie, wyglądało to jednak, jakby się skrzywił. – Kiedy źpi, przypomina dawną ziebie. Czasem myźlę, że w snach wszyzdgo do niej wradza.

Żcieżka jej jaźni zarozła, zagubiła się w cierniach. Ale jej źpiący umyżł... czy myżłisz, Michaelu, że źpiący umyżł ma zwoją włazną ździeżkę? Taką, którą nigdy nie chadza na jawie?

– Nie wiem, panie Beukes.

Odrzucił swoje pytanie zmęczonym ruchem głowy.

– Chodź, zawiozę dzie od razu. Może weź książkę i nie wiem co jeszcze. – Opuścił wzrok i zauważył, że mam na sobie bokserki i skarpetki. Uniósł jedną białą, zdumiewająco krzaczastą brew. – Może zpodnie.

– Nie musi mnie pan podwozić, to blisko. Proszę jechać i sprawdzić, co z siłownią. I proszę się nie martwić o Shelly. Będę tam za pięć minut.

Grom zadudnił gdzieś z tyłu. Pan Beukes rzucił jeszcze jedno rozżalone spojrzenie na niebo, a potem pochylił się i ujął moją dłoń w swoje.

– Jezdeż cholernie dobrym dziedziakiem – oznajmił. – Shelly zawrze mi to mówiła, wierz? Za każdym razem, kiedy wracała do domu. „To jest bardzo dobry dziedziak, Larry. Te wszyzdgie zabawne rzeczy, jakie gada o budowaniu. Uważaj, Afrykanerze, powiem mu, żeby mi zbudował nowego męża, takiego, co się nie goli pod prysznicem, tak że potem wygląda, jakby egzplodowała tam fretka”. – Jego usta uśmiechnęły się do wspomnień, ale reszta twarzy się zapadła i przez jedną straszną chwilę myślałem, że znowu się rozplacze. On jednak uniósł dłoń i położył mi ją na karku. – Cholernie dobry dziedziak, mówiła. Zawsze wiedziała, jak ktoś noził w sobie wielgożdż. Nie marnowała czazu na drugorzędnych ludzi, nigdy. Tylko najlepsi. Zawsze.

– Zawsze? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Wyszła za mnie, nie? – I puścił do mnie oko.



## 7

Poszedłem po spodnie, a po drodze zajrzałem do kuchni i wykręciłem numer NorWes Utility. Znałem na pamięć bezpośredni do centrali i pomyślałem, że może uda im się połączyć mnie z tatą przez radio. Chciałem mu powiedzieć, gdzie będę; w końcu nie było wykluczone, że zasnę u Beukesów na sofie. Ale na drugim końcu nikt się nie odezwał, bo telefon nie działał. Usłyszałem tylko długi, martwy pisk. Odwiesiłem słuchawkę i miałem zamiar spróbować jeszcze raz, kiedy dotarło do mnie, że nie ma nawet sygnału.

Nagle zauważyłem, że w kuchni jest ciemno. Pstryknąłem włącznikiem. Pomieszczenie nie pojaśniało.

Zbliżyłem się do okna w salonie i wyjrzałem na martwą ulicę. Żadnego światła w żadnym domu, mimo ciemności na zewnątrz. Ambersonowie, po drugiej stronie, zawsze mieli po południu włączony telewizor, ale dzisiaj w ich oknie nie pulsowała widmowa niebieska poświata. W którymś momencie mojej rozmowy z panem Beukesem musiało przerwać linię, odcinając prąd w całej okolicy.

Pomyślałem: Nie. To on.

Mój żołądek wywinął fikołka. Natychmiast musiałem usiąść. Poczulem posmak Panamskiego Dreszczyku w ustach jak słodką żółć.

Dom uginał się pod naporem wiatru, trzeszczał i skrzypiał. Wichura pewnie zerwie wiele linii tej nocy. Właściwie było całkiem prawdopodobne, że pożar w siłowni miał coś wspólnego z burzą. Pożar, który tak dogodnie sprawił, że Shelly jest sama i w razie

kłopotów nie może wezwać pomocy, bo nawet gdyby pamiętała numer na policję, jej telefon będzie martwy, tak jak mój.

Miałem ochotę przebiec przez ulicę, walić pięścią w drzwi pana Ambersona i wołać o pomoc, i...

I wtedy co? Co bym mu powiedział? Że boję się, że okrutny mężczyzna z tatuażami wywołał pożar i wyłączył prąd, żeby móc zrobić staruszce zdjęcie polaroidem? Wiecie, jak by to wyglądało: tłusty dzieciak naoglądał się horrorów i wpadł w panikę z powodu kilku grzmotów i błyskawic.

Uznałem, że może lepiej będzie zostać w domu. Niechętnie się do tego przyznaję, ale przeszło mi przez myśl, że pan Beukes tak naprawdę nigdy się nie dowie, czy pilnowałem jego żony, czy nie. Oczywiście za parę godzin wróci z siłowni i mnie tam nie będzie. Zawsze jednak mogłem wcisnąć mu kit, że wpadłem do domu tylko na moment, po poduszkę, i miałem zaraz wrócić.

Ten pomysł sprawił, że poczułem wstydliwą ulgę. Mogłem zostać w domu, a jeśli Fenicjanin przyjdzie i robi coś Shelly – coś okropnego – nie będzie mnie przy tym i nie będę wiedział. Miałem zaledwie trzynaście lat, nikt więc nie mógł oczekiwać ode mnie, że będę bronił upośledzonej umysłowo staruszki przed sadystycznym wariatem z tatuażem długim na kilometr.

Bałem się iść – ale koniec końców jeszcze bardziej bałem się zostać. Wyobraziłem sobie, jak pan Beukes wraca do domu i znajduje Shelly wyrzuconą z łóżka, ze skrzyżowanym karkiem, z głową obróconą do tyłu, twarzą pomiędzy łopatkami. Gdy zamknąłem oczy, zobaczyłem ją: usta wykrzywione strachem i cierpieniem, zeszywniałe ciało otoczone setkami polaroidowych zdjęć. Mógłbym się wyłgać przed panem Beukesem, gdyby Fenicjanin odwiedził ją, kiedy ja chowałbym się w domu. Ale nie zdołałbym się wyłgać przed samym sobą. Poczucie winy by mnie zamęczyło. Zgniłbym od środka i zniszczył wszystko, co

dobrze w moim życiu. I najgorsze: ojciec na pewno się domyśli (czułem to), że okazałem się tchórzem, i już nigdy nie będę mógł spojrzeć mu w oczy. Od razu by odgadł, że nie poszedłem do pani Beukes. Nie potrafiłem go okłamać, w każdym razie nie w ważnej sprawie.

Ale to inna myśl spowodowała, że ruszyłem po spodnie i wyszedłem z domu. Wykombinowałem, że może po prostu zakradnę się do Beukesów i zajrzę przez okno. Jeśli pani Beukes będzie sama i będzie spała w łóżku – jeśli wszystko będzie w porządku – usiądę w kuchni, z kuchennym nożem w jednej ręce i moim imprezowym pistoletem w drugiej, gotowy uciekać i krzyczeć wniebogłosy, gdyby ktoś spróbował włamać się do domu. Ciągle byłem przekonany, że w mroku kończącego się dnia każdy się zawaha na widok pistoletu imprezowego. A gdybym nawet nikogo nie nabrał, zawsze mogłem nim rzucić.

Zanim wyszedłem, usiadłem przy kuchennym stole i napisałem kartkę do ojca. Chciałem tam zmieścić wszystko, czego nie miałbym szansy powiedzieć, gdyby Fenicjanin jednak się pojawił. Pragnąłem, żeby wiedział, jak bardzo go kocham i że dobrze się bawiłem na tym świecie aż do chwili, kiedy zostałem zaszlachtowany jak cielak.

Jednocześnie bałem się rozkleić podczas pisania. Nie chciałem też nagryzmolić niczego, czego wstydzilibym się do końca życia, gdyby okazało się, że nic się nie stało i że spędziłem noc, rozwiązując krzyżówki w kuchni pani Beukes. W końcu napisałem:

WSZYSTKO W PORZĄDKU. PAN BEUKES POPROSIŁ MNIE, ŻEBYM POSIEDZIAŁ Z SHELLY. WYBUCHŁ POŻAR W SIŁOWNI. NAPRAWDĘ MIAŁ CIĘŻKI DZIEŃ. KOCHAM CIĘ. PANAMSKI DRESZCZYK BYŁ DOSKONAŁY.

## 8

Kiedy otworzyłem drzwi, wiatr popchnął mnie jak pijany gość, który wpycha się do domu. Żeby oprzeć się wichurze, musiałem się cofnąć i skulić ramiona.

Ale gdy wreszcie wyszedłem za róg i ruszyłem do domu Beukesów, wiatr wiał mi już w plecy. Jego podmuchy zamieniły moją lekką kurtkę w żagiel i zmusiły mnie do kłusu. Dom na rogu był wystawiony na sprzedaż. Kiedy go mijalem, metalowy szyld z agencji, który kołysał się w przód i w tył, oderwał się i uleciał dobre sześć metrów, zanim wbił się – jak tasak! – w miękką ziemię na czyimś podwórku. Nie miałem wrażenia, że idę do domu Shelly, tylko że tam frunę.

Wielka, ciepła kropla wody spadła mi na twarz, jak czyjaś ślina. Wiatr znowu uderzył i kilka kropel zabębniło o asfalt przede mną. Wokół rozszedł się jeden z najwspanialszych zapachów świata, zapach gorącej jezdni w letnim deszczu.

Usłyszałem narastający dźwięk, grzmiący klekot, który czułem nawet w zębach. To był odgłos ulewy spadającej na drzewa, na wysmołowane dachy i samochody: bezmyślny nieustający huk.

Przyspieszyłem kroku, ale nie dałem rady jej uciec, złapała mnie po trzech susach. Lunęło tak mocno, że krople odbijały się od drogi i tworzyły drżącą mgiełkę poniżej kolan. Woda wpadała do kanałów brązowymi spienionymi strugami. Niesamowite, jak szybko to się stało. Nie uszedłem nawet dziesięciu kroków, i już brodziłem po kostki. Obok przepłynął porwany przez falę różowy plastikowy flaming.

Strzeliła błyskawica i cały świat stał się swoim własnym rentgenowskim zdjęciem.

Zapomniałem o moim planie. Czy w ogóle miałem jakiś plan? W takiej burzy nie da się myśleć.

W pędzącym strumieniu rzuciłem się do ucieczki, przebiegłem przez trawnik obok domu Shelly. Ale trawa się rozpuszczała. Rozpadła się pod moimi butami, wielkie płaty oderwały się i odsłoniły nasiąkniętą ziemię pod spodem. Upadłem, po czym dźwignąłem się na jedno kolano, podparłem dłońmi i wstałem, brudny i mokry.

Na drżących nogach przetoczyłem się przez podjazd Beukesów – który stał się już szerokim, płytkim kanałem – prosto na tyły domu. Szarpnąłem siatkowe drzwi i wpadłem do środka, jakby ścigała mnie banda dzikich psów. Drzwi uderzyły za mną we framugę, tylko odrobinę ciszej niż grom, i wtedy sobie przypomniałem, że miałem się skradać.

Woda spływała ze mnie, i z pistoletu imprezowego też. Moje ubranie można było wyżymać.

Kuchnia była cicha i ciemna. W przeszłości przesiadywałem w tym miejscu wiele razy, pogryzając daktyłowe ciasteczka Shelly Beukes i popijając herbatę. Zawsze panował tam porządek i ładnie pachniało. Ale teraz w zlewie leżały brudne talerze. Śmieci wysypywały się z kosza, a muchy krążyły nad stertą papierowych ręczników i plastikowych butelek.

Nadśluchiwałem, nie usłyszałem jednak niczego poza waleniem deszczu o dach. Brzmiało to, jakby przejeżdżał pociąg.

Siatkowe drzwi otworzyły się za moimi plecami i znowu walnęły o framugę, a mnie ze strachu zabrakło tchu. Odwróciłem się, gotowy upaść na kolana i błagać, ale nikogo tam nie było. Tylko wiatr. Przyciągnąłem mocno drzwi i prawie natychmiast kolejne uderzenie

szarpnęło zasuwką, otworzyło je na oścież, a potem zatrzasnęło. Nie próbowałem już ich zamykać.

Mój żołądek skręcał się na myśl, że miałbym wejść w głąb domu. Towarzyszyło mi silne uczucie, że Fenicjanin już tam jest, że usłyszał, jak wchodzę, i cierpliwie czeka na mnie gdzieś w ciemności, w holu, za rogiem. Rozdziawiłem usta, żeby powiedzieć „Halo”, zaraz jednak zmieniłem zdanie.

W końcu się ruszyłem, nie z powodu odwagi, ale manier. Pod moimi stopami tworzyła się kałuża. Chwyciłem ścierkę i wytarłem podłogę. Dało mi to pretekst, żeby opóźnić wejście do pokoju. Woląłem pozostać blisko drzwi, w miejscu, z którego mogłem wydostać się na dwór dwoma krokami.

Po kilku minutach podłoga była sucha. Ja natomiast – ciągle mokry, musiałem się wytrzeć. Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem za róg. Ciemny i pusty hol czekał.

Na palcach ruszyłem korytarzem. Lufą mojego pistoletu imprezowego otwierałem każde drzwi po drodze i Fenicjanin był w każdym pokoju. Był w małym domowym biurze, stał nieruchomo w rogu. Zauważyłem go kątem oka i moje tętno zatańczyło polkę galopkę, ale za chwilę spojrzałem jeszcze raz i zobaczyłem tylko wieszak na płaszcz. Był też w sypialni gościnnej. Jasne, na pierwszy rzut oka pokój wydawał się pusty. Wyglądał nawet jak w Motelu 6: starannie pościelone podwójne łóżko, tapeta w paski i mały telewizor. Jednak drzwi szafy były lekko uchylone i kiedy na nie patrzyłem, poruszyły się, jakby ktoś je właśnie przyciągnął. Czułem, że Fenicjanin tam jest i wstrzymuje oddech. Gdy szarpnąłem drzwi szafy, byłem gotowy na śmierć. W środku znajdowała się kolekcja dziwnych kostiumów: różowy kombinezon z futrzanym kołnierzem i białe jedwabie w stylu tych, jakie Elvis Presley lubił nosić w latach siedemdziesiątych. Ale żadnych psychopatów.

W końcu pozostały tylko drzwi do głównej sypialni. Delikatnie nacisnąłem klamkę i powoli je popchnąłem. Dokładnie w tym momencie siatkowe drzwi w kuchni znowu walnęły, głośno, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu.

Obejrzałem się i czekałem. Dotarło do mnie, że jestem uwięziony na końcu korytarza. Mogłem wydostać się z domu, jedynie skacząc przez okno albo wracając po własnych śladach. Zachwiałem się, przygotowany na to, że Fenicjanin w każdej chwili może wejść do holu i zablokować mi drogę ucieczki. Mijały sekundy.

Nikt nie przyszedł. Nic się nie poruszyło. Deszcz dudnił o dach.

Wetknąłem głowę do sypialni. Shelly spała po swojej stronie łóżka, pod puszystą, białą kołdrą, niewidoczna, oprócz kępy białych jak dmuchawiec włosów. Pochrapывała lekko, prawie niesłyszalnie przez bębnienie deszczu.

Wemknąłem się do pokoju małymi kroczkami, osłabiony ze zdenerwowania, ale odrobinę mniej roztrzęsiony i słaby, niż kiedy wchodziłem do domu. Odsunąłem zasłony pistoletem imprezowym. Nikt się za nimi nie chował. W szafie też nie.

Nerwy wciąż miałem napięte, ale nie bałem się już samego domu. Zresztą dlaczego ktoś taki jak Fenicjanin miałby kryć się w szafie? Jaki drapieżnik ukrywałby się przed trzynastolatkiem z wielkim, plastikowym pistoletem, równie groźnym jak megafon?

Sygnal Radia Dorosłość nabrał mocy, przebijając się przez szum dorastania. Spiker czytał wieczorne wiadomości suchym, acz rozbawionym tonem. Przypomniał powiedzenie Carla Sagana, że nadzwyczajne twierdzenia potrzebują nadzwyczajnych dowodów. Przypomniał mi, jak kiedyś wierzyłem, że zabójca Zodiak może włamać się do domu i zamordować mnie tylko dlatego, że przeczytałem o nim książkę. Spiker przypomniał swoim słuchaczom, że gdy Michael Figlione miał dwanaście lat, przez pół roku odkładał

kieszonkowe na wykrywacz metalu, bo uważał, że ma spore szanse odnaleźć w ogródku pogrzebane tam hiszpańskie dublony. Radio Dorosłość pragnęło poinformować słuchaczy, że moja obecna teoria – jakoby Fenicjanin miał aparat, który może kraść myśli – jest oparta na niezachwianych dowodach: mamrotaniu zdemenciałej staruszki i jakimś podniszczonym zdjęciu znalezionym pod koszem na śmieci.

Ale, ale, ale – a co z pożarem w siłowni? No tak, przyznało Radio Dorosłość, ogień rzeczywiście zniszczył siłownię pana Beukesa. Podczas takiej burzy z piorunami straż pożarna w Cupertino prawdopodobnie miała tego wieczoru wiele zgłoszeń. Czy przyszło mi do głowy, że burza to też robota Fenicjanina? Czy to była kolejna z jego „supermocy”? Miał aparat, który niszczył umysły. Czy miał również parasol strzelający w niebo piorunami? Mogłem się uważać za szczęściarza, że nie wykorzystał swojej magii i nie ściągnął na ziemię deszczu gwoździ.

W tym momencie miałem już dość kpin Radia Dorosłość. Byłem mokry, było mi zimno, ale byłem bezpieczny, i to musiało wystarczyć. Później jednak – tak, później – wysłucham reszty audycji. Może jakaś część mnie miała ochotę mi dokopać i pokąsać wyobraźnię przeładowaną *Strefą Mroku*.

Czułem, że w tych przemoczonych ciuchach zaraz złapię katar, więc zajrzałem do łazienki obok pokoju. Na haczyku przy prysznicu wisiał wielki, biały szlafrok wyszywany złotą nicią, taki, jakie bywają w pięciogwiazdkowych hotelach. Lepsze byłoby tylko ciepłe łóżko.

Wytarłem pistolet imprezowy, położyłem go koło umywalki i ściągnąłem mokrą koszulę. Drzwi między łazienką a sypialnią zostawiłem otwarte, ale stanąłem za nimi, żeby jeśli Shelly Beukes się obudzi, nie przestraszyło jej moje obnażone różowe sadło.

Deszcz powoli cichł; tylko delikatnie postukiwał o dach. Kiedy wycierałem sobie cycki i tyłek, poczułem, że spływa ze mnie napięcie.



Wcześniej planowałem usiąść w kuchni, przy drzwiach, żeby móc uciec na widok psychologa, teraz zaczynałem już snuć fantazje na temat gorącego kakao i ciasteczek Girl Scout.

Ulewa prawie ustała, ale błyskawice ciągle rozświetlały niebo. Jedna błysnęła tak blisko, że wypełniła łazienkę pulsującym, niemal oślepiającym, srebrnym światłem. Ściągnąłem przemoczone spodnie. Zdarłem też z nóg mokre skarpetki. Znowu błysnęło, największy piorun ze wszystkich. Zawinąłem się w szlafrok. Był nawet bardziej miękki i puchaty, niż sobie wyobrażałem. Jakbym włożył na siebie Ewoka.

Wytarłem mokre włosy i szyję i wtedy błysnęło po raz trzeci, a Shelly zareagowała cichym, niezadowolonym jękiem. Też miałem ochotę jęczeć. Tylko błyskawice, zero grzmotów.

Strach wypełnił mnie jak balon, rozdał się w moim wnętrzu, spychając organy na boki. Biały błysk pojawił się znowu, nie na dworze, lecz w sypialni.

Łazienka miała jedno okno, ale nie mogłem nim wyjść: było zrobione z luksferów, osadzone pod prysznicem i nie dało się otworzyć. Jedyna droga prowadziła obok niego. Trzęsącą się ręką sięgnąłem po pistolet imprezowy. Pomyślałem, że może dam radę rzucić nim w Fenicjanina – w jego twarz – i uciec.

Wyjrzałem zza drzwi. Serce mi waliło. Błyski pojawiały się co chwila.

Fenicjanin stał przy łóżku, pochylony nad Shelly, z aparatem, zerkając przez wizjer. Całkiem ściągnął z niej kołdrę. Shelly leżała skulona na boku, osłaniając dłońią twarz, ale Fenicjanin chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał jej rękę.

– Nic z tego – powiedział. – Chcę cię widzieć.

Flesz ponownie wypalił i aparat zawarczał. Solarid wypluł zdjęcie na podłogę.

Shelly wydała z siebie cichy, smutny dźwięk, jakby „Nie”, chociaż niezupełnie.

Obok fantazyjnych butów z wysokimi kubańskimi obcasami leżał stos zdjęć. Flesz błysnął jeszcze raz i kolejne spadło na stertę.

Zrobiłem mały krok w stronę sypialni. Jednak nawet to wymagało pewnej koordynacji ruchowej od takiego rozlazłego niechlujaka jak ja. Pistolet imprezowy uderzył o framugę. Ten dźwięk doprowadził mnie niemal do rozpaczki, ale Fenicjanin wcale nie spojrział w moją stronę, taki był zajęty.

Aparat jęknął i trzasnął. Shelly znów spróbowała unieść rękę, żeby osłonić twarz.

– Nie, suko – wysyczał Fenicjanin, złapał jej nadgarstek i zepchnął dłoń. – Co ci mówiłem? Nie zakrywaj się.

– Przestań – odezwałem się.

Wyleciało mi to z ust, zanim w ogóle zorientowałem się, że zamierzam coś powiedzieć. To wszystko przez to, jak odpychał jej rękę. Poczujęm się urażony. Czy to ma sens? Bardziej niż kiedykolwiek chciałem uciec, ale nie mogłem, bo nie byłem w stanie znieść myśli, że on dotyka Shelly w ten sposób. To było nieprzyzwoite.

Zerknął przez ramię, naprawdę zdziwiony. Jego wzrok ześlizgnął się na pistolet imprezowy i Fenicjanin parsknął cicho z pogardą. Nie dał się oszukać.

– O, popatrzcie – powiedział. – To ten gruby chłopak. Tak myślałem, że ten stary skurwysyn może przysłać kogoś, żeby z nią posiedział. Gdybym ze wszystkich ludzi na świecie mógł wybrać jedną osobę, to byłbyś właśnie ty, grubasku. Kilka następnych minut zapamiętam sobie do końca życia, z wielką przyjemnością. Przyjemnością dla mnie, bo nie dla ciebie.

Odwrócił się do mnie z aparatem. Szarpnąłem za pistolet. Miałem zamiar nim rzucić, ale mój palec zaczepił o spust.

Trąbka pisnęła. Konfetti wybuchło lśniącym deszczem. Żarówki błysnęły. Fenicjanin cofnął się, jakby ktoś uderzył go w pierś. Jego prawy obcas trafił na stosik fotografii – śliskich plastikowych kwadratów – i uciekł spod ciała. Mężczyzna uderzył nogami o krawędź stołu. Lampa przewróciła się i spadła na podłogę, a żarówka eksplodowała z ostrym trzaskiem. Fenicjanin podskoczył do przodu, ale Shelly wyciągnęła rękę, chwyciła nogawkę jego spodni i szarpnęła. Zatoczył się, z zamkniętymi oczami, prosto na mnie.

Warknął, a może ryknął. Błyszczące drobinki oblepiały jego policzki i rzęsy. Miał ich trochę nawet w ustach, jaskrawe, złote płatki na języku. Przytulił aparat do piersi jak matka niemowlę i wyciągnął w moim kierunku wolną dłoń. W tym momencie odkryłem w sobie sprawność, jakiej nie osiągnąłem nigdy przedtem ani potem.

Ruszyłem na niego, wiedząc, że oślepiony fleszem, mnie nie widzi. Kiedy się zderzyliśmy, prawie wypuścił solarida z rąk. Moje kolano trafiło w krocze Fenicjanina. To nie było solidne, mocne uderzenie, tylko słabe szturchnięcie, od którego instynktownie złączył jednak kolana. Zamachał aparatem, ale ja mu go wyrwałem. Zdusił krzyk i sięgnął po solarida. Wcisnąłem mu pistolet. Złapał go za spust i pistolet wypalił z głośnym skrzekiem. Rzuciłem się do przodu, obszedłem Fenicjanina dwoma krokami i znalazłem się za nim, obok łóżka.

Zanim zorientował się, co się stało, zatoczył się niemal pod drzwi sypialni. Wysunął rękę i chwycił framugę. Zamrugał na widok pistoletu, kompletnie zdumiony. Nie upuścił go. Cisnął nim o podłogę z trzaskiem i kopnął daleko od siebie.

Jakaś ręka dotknęła mojej nogi, delikatnie poklepała mnie po kolanie. Shelly. Leżała odprężona i patrzyła na mnie z rozmarzeniem.

Blade, bezbarwne wargi Fenicjanina, które wyglądały całkiem jak robaki, wygięły się z wściekłości.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, co ci zrobię. Nie zabiję cię. Nie zrobię ci żadnej krzywdy. To byłby nadmiar szacunku, na jaki nie zasługujesz. Ja cię po prostu, kurwa, wymażę. – Jego ciemne spojrzenie przeniosło się na aparat w moich dłoniach, a potem z powrotem na moją twarz. – Odłóż to, tłusty gówniarzu. Czy wiesz, co on potrafi?

– Wiem – odpowiedziałem drżącym głosem i podniosłem wizjer do oka. – Tak, wiem. Powiedz *cheese!*

Nie rozumiem wielu rzeczy, które wydarzyły się tamtej nocy.

Robiłem mu zdjęcie za zdjęciem. Solaridowe fotografie spadały, jedna obok drugiej, na stos obok moich stóp. Standardowy wkład do polaroida zawierał dwanaście kartoników. Wkłady ekstraduże pozwalały pstryknąć osiemnaście fotografii. Solarid jednak nie potrzebował żadnego przeładowania, klisza nigdy mu się nie kończyła.

Fenicjanin nic mi nie zrobił. Pierwsze zdjęcie oszołomiło go, jak wcześniej Mata. Miałem wrażenie, że wbiło go w podłogę na tych jego kubańskich obcasach, z pustymi oczami wpatrzonymi w jakiś odległy punkt, którego miał już nigdy nie zobaczyć. Stał jak wmurowany, jak komputer, który się zawiesił. I nie mógł się odwieść, bo ciągle strzelałem mu fotki.

Po pierwszym tuzinie zdjęć w końcu się poruszył. Nie po to jednak, żeby mnie zaatakować. Ostrożnie, nieomal z gracją, skrzyżował kostki i osunął się na podłogę; usiadł jak uczeń medytujący w aśramie. Po kolejnych dwudziestu zdjęciach przechylił się na bok. Dziesięć zdjęć później zwinął się na podłodze w pozycji embrionalnej. Przez cały czas miał na twarzy delikatny, przebiegły, wszystkowiedzący uśmiech, ale w pewnym momencie jeden z kącików jego ust zwilżyła ślina.

Shelly ocknęła się z narkotycznej mgły wywołanej przez solarid i mrugając sennie, zdołała usiąść. Włosy spływały w błękitnych pasmach wokół jej wysuszonej twarzy.

– Kto to? – spytała, patrząc na Fenicjanina.

– Nie wiem – odpowiedziałem i zrobiłem jeszcze jedno zdjęcie.

– Czy to Almagüselum? Mój ojciec mówi, że Almagüselum żyje w ścianach i pije łzy.

– Nie, to nie on – odparłem. – Ale może są krewniakami.

Nie przypuszczałem, żeby Fenicjanin pił łzy, ale na pewno lubił je oglądać.

Po jakichś pięćdziesięciu zdjęciach powieki Fenicjanina opadły do połowy, a jego oczy uciekły do tyłu, pokazując białka. Zaczął się trząść. Jego oddech wyrywał się krótkimi, gwałtownymi haustami. Opuściłem aparat, przestraszony, że mężczyzna będzie miał atak. Patrzyłem na niego uważnie i po jakiejś minucie drżenie zaczęło ustępować. Był zwiotczały jak szmaciana lalka, jego twarz przybrała żałośnie bezmyślny wyraz.

To musiało działać jak terapia elektrowstrząsami. Można ich przyjąć tylko pewną ilość, a potem system się przeładowuje i serce staje. Zdecydowałem, że dam mu szansę zaczerpnąć tchu. Schyliłem się i podniosłem z podłogi kilka zdjęć. Wiedziałem, że nie powinienem na nie patrzeć, ale i tak to zrobiłem. Oto co zobaczyłem:

- Płaczącego mężczyznę po pięćdziesiątce, klęczącego w zwirowej alejce, nagiego, z kluczykami samochodowymi w ręce wyciągniętej w desperackim geście. Jego ciało poznaczone było ranami, cienkimi, czerwonymi nacięciami, z których płynęła krew. W tle widoczny był wielki, biały cadillac – taki, jakim jeździł Fenicjanin – zaparkowany pod wierzbą, lśniący i czysty, jakby właśnie wytoczył się z reklamy w piśmie z lat pięćdziesiątych.
- Zdjęcie odbicia w bocznym lusterku cadillaca: kurz podnoszący się z drogi częściowo zasłaniał nagiego mężczyznę, który leżał twarzą do ziemi, a w plecach miał coś, co wyglądało jak rydel

ogrodniczy. Nie potrafiłem powiedzieć, dlaczego to zdjęcie było tak radosne, tak beztroskie. To musiało mieć jakiś związek z późnowiosennym światłem. Fotograf uchwycił atmosferę wolności, swobody.

- Dziecko, dziewczynkę, w zimowej czapce z nausznikami, ściskającą ogromnego lizaka. Uśmiechała się niepewnie do fotografa. Spod jednego ramienia wystawał jej Miś Paddington, przyciskała go do siebie.
- To samo dziecko w trumnie, pulchne rączki złożone na welwetowym stanie sukienki, twarzyczka gładka i nieniekajona przez sny. Szarfa w kolorze najciemniejszego wina artystycznie owijała jej gardło. Miś Paddington był pod tym samym ramieniem; wyglądał spod niego w mniej więcej ten sam sposób. W kadrze zastygła wychudła ręka, jakby chciała odgarnąć lok żółtych włosów z brwi dziewczynki.
- Piwnicę. W tle była ściana z cegły pomalowanej na białe, ze znajdującym się jakieś dwa metry nad ziemią wąskim oknem zarośniętym pajęczynami. Pod samym oknem ktoś namazał czarne znaki; byłem pewny, że to pismo fenickie. Na podłodze z cementu nakreślono popiołem trzy kręgi, lekko zachodzące na siebie. W tym najbardziej na lewo leżało stłuczone lustro. W tym najbardziej na prawo leżał Miś Paddington. W środkowym był aparat Polaroida.
- Starych ludzi, wielu starych ludzi. Co najmniej tuzin. Chierlawego, starego mężczyznę z rurką do tlenu w nosie. Obok niego pękatego starusznka z łuszczącym się nosem spalonym od słońca. Osłupiałą grubaszkę z opuszczonym kącikim ust, tak typowym dla kogoś, kto miał ciężki udar.
- I w końcu... mnie. Michaela Figlione'a stojącego obok łóżka Shelly, z wyrazem przerażenia na okrągłej jak księżyc twarzy,

z solaridem w rękach, strzelającym fleszem. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył Fenicjanin, zanim zacząłem robić mu zdjęcia.

Pozbierałem śliskie kwadraty w kupkę i wsadziłem je do głębokich kieszeni puszystego, białego szlafroka.

Fenicjanin przetoczył się na bok. Jego oczy trochę pojaśniały i przyglądał mi się z bezrozumną fascynacją. Zmoczył spodnie; na jego kroczu i udach widniała ciemna plama. Nie sądzę, żeby zdawał sobie z tego sprawę.

– Może pan wstać? – spytałem.

– Po co?

– Bo już czas iść.

– Och.

Ale się nie poruszył, dopóki nie pochyliłem się, nie ująłem jego ramienia i nie powiedziałem mu, żeby wstał. Wtedy to zrobił, oszołomiony i potulny.

– Chyba się zgubiłem – powiedział. – Czy... my... czy my się znamy? Mówił z przerwami, jakby miał kłopoty ze znalezieniem słów.

– Nie – odpowiedziałem z naciskiem. – Chodźmy.

Pokierowałem nim przez hol do drzwi frontowych.

Myślałem, że tej nocy już nic strasznego nie może mi się przydarzyć, ale się myliłem. Doszliśmy do schodków i tam wmurowało mnie w ziemię.

Całe podwórko i ulica były usłane martwymi ptakami, chyba wróblami. Musiało ich być co najmniej z tysiąc, małe, sztywne, czarne kłębki piór i pazurów, z oczkami jak kulki śrutu. A na trawie leżały niewielkie, szkliste kamyki. Trzeszczały pod nogami, nawet kiedy schodziłem po schodach. Grad. Uklęknąłem – wciąż miałem miękkie nogi – i spojrzałem na jednego z martwych ptaków. Nerwowo



puknąłem go palcem i zobaczyłem, że jest zamrożony, sztywny, zimny i twardy, jakby dopiero co wyciągnięty z zamrażarki. Podniosłem się i popatrzyłem na ulicę. Pierzasta śmierć była wszędzie, jak sięgnąć wzrokiem.

Fenicjanin zakołysał się na obcasach, bezmyślnie przyglądając się rzezi. Shelly stała za nim, w otwartych drzwiach, ze spokojnym wyrazem twarzy.

– Gdzie pan zaparkował? – zapytałem.

– Zaparkował? – zdziwił się. Pomacał przód spodni. – Jestem mokry.

Ale raczej mu to nie przeszkadzało.

Na wschodzie zagrzmiało. Niebo na zachodzie miało jaskrawy kolor płonącego złota, tuż nad horyzontem przechodzący w czerwień – niezwykły odcień, kolor ludzkiego serca. To była dziwna godzina.

Zostawiłem Fenicjanina na podwórzu i poszedłem szukać jego samochodu. Dziwicie się? Że zostawiłem go samego z Shelly Beukes i sobie poszedłem? Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się tym przejmować. Już wiedziałem, że ogłupiający efekt solarida potęgował się z każdym zdjęciem. A ponieważ cyknąłem Fenicjaninowi ponad pięćdziesiąt fotek, to tak, jakbym mu zrobił lobotomię – przynajmniej tymczasową. Do dzisiaj jestem przekonany, że uszkodziłem mu coś w mózgu i nigdy całkiem nie wydobrzał.

Oczywiście Shelly też nie wydobrzała. Już o tym wiecie, prawda? Jeśli mieliście nadzieję, że na końcu ta stara dzielna kobieta się pozbiera, moja historia was rozczaruje. Tak jak żaden z ptaków nie wstał i nie odleciał, tak samo nie powróciło nic z tego, co straciła.

Kiedy tylko znalazłem się na ulicy, zacząłem płakać. Choć nie szlochałem, żałośnie leciały mi łzy, a oddech się rwał. Na początku próbowałem nie nastąpić na żadnego ptaka, ale po kilkudziesięciu

metrach dałem za wygraną. Było ich zbyt wiele. Trzeszczały pod moimi stopami.

Podczas gdy byłem w domu, temperatura spadła, teraz jednak znowu zaczęła rosnać i kiedy wreszcie odnalazłem cadillaca Fenicjanina, asfalt dookoła auta już parował. Stało niedaleko, tuż za rogiem, przy krawężniku, tam gdzie nie dotarło jeszcze osiedle. Po jednej stronie drogi tkwiły, w dość dużych odległościach od siebie, wiejskie domy, ale druga była zarośnięta lasem i krzakami. Dobre miejsce, żeby zostawić samochód, jeśli chciało się pozostać niezauważonym.

Gdy wróciłem do domu Beukesów, Fenicjanin siedział na krawężniku. Trzymał martwego ptaka za pokrytą łuskami nóżkę i przyglądał mu się uważnie. Shelly znalazła miotłę i energicznie zamiatała trawnik, starając się zepchnąć małe ciała w jedno miejsce.

– No już – powiedziałem do Fenicjanina. – Chodźmy.

Wsadził sobie martwego ptaka do kieszonki koszuli i posłusznie wstał.

Poszedłem z nim ścieżką, a potem ulicą za róg. Nie zauważyłem, że Shelly idzie za nami z miotłą, aż do momentu, kiedy podeszliśmy do wielkiego cadillaca.

Otworzyłem drzwi samochodu. Fenicjanin przez chwilę wpatrywał się tępo w siedzenie kierowcy, a potem wślizgnął na nie. Popatrzył na mnie z nadzieją, że powiem mu, co dalej.

Zastanawiałem się, czy jeszcze pamięta, jak się prowadzi. Pochyliłem się i poklepałem go po kieszeniach spodni w poszukiwaniu kluczyków. I wtedy uderzył mnie wyciskający łyzy z oczu smród benzyny. Spojrzałem na tylne siedzenie i obok stosu albumów ze zdjęciami zobaczyłem czerwony kanister. Od razu zrozumiałem to, do czego detektywi dochodzili przez kolejne trzy tygodnie: że pożar

w siłowni pana Beukesa w Cupertino nie był spowodowany uderzeniem pioruna, tylko uderzeniem zła.

Jednocześnie brak prądu w sąsiedztwie to była robota burzy. Mniej natomiast jestem pewien, czy ta burza była naturalnym zjawiskiem. Godzinę wcześniej poważnie brałem pod uwagę, że Fenicjanin miał jakiś magiczny wpływ na pogodę, ale wtedy odrzuciłem ten pomysł z pełnym rozbawienia niesmakiem. Teraz jednak, kiedy patrzyłem na hektary martwych ptaków, ta myśl nie wydawała się już tak absurdalna. I w tym maczał palce? Może tak, może nie. Tak jak powiedziałem, nie rozumiem wiele z tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru.

Wyobraziłem sobie, że sięgam na tył cadillaca i tym, co zostało w kanistrze, oblewam Fenicjanina, a potem rzucam mu na kolana samochodową zapalniczkę. Oczywiście nie zamierzałem tego zrobić. Było mi niedobrze już od chodzenia po martwych wróblach. Nie mógłbym zamordować człowieka. Zostawiłem benzynę, gdzie była, ale pod wpływem nagłego impulsu chwyciłem album leżący na szczycie stosu i wsadziłem go sobie pod pachę. Zauważyłem kluczyki w popielniczce na desce rozdzielczej i włączyłem silnik.

Fenicjanin wpatrywał się we mnie z oddaniem.

– Może pan już jechać – oznajmiłem.

– Dokąd?

– Nieważne. Jak najdalej stąd.

Powoli pokiwał głową i na jego dziobatą twarz wypłynął słodki, rozmarzony uśmiech.

– Ten hiszpański gin to potrafi rozpieprzyć głowę, nie? Powinienem był poprzestać na jednym. Coś mi się wydaje, że jutro rano nic nie będę z tego pamiętał.

– Może powinnam zrobić panu zdjęcie – odezwała się Shelly zza moich pleców. – Na pamiątkę.

– Hej – odpowiedział. – To dobry pomysł.

– Wielki uśmiech, chłoptysiu – rzuciła Shelly, a gdy jej posłuchał, walnęła go w zęby kijem od miotły.

Usłyszałem suchy trzask i głowa Fenicjanina odskoczyła na bok. Shelly zachichotała. Fenicjanin przycisnął dłoń do ust; spomiędzy palców płynęła mu krew. Spojrzał na nas oczami pełnymi dziecięcego przerażenia.

– Trzymaj tę szaloną sukę z dala ode mnie! – krzyknął. – Hej, suko! Lepiej uważaj. Znam naprawdę złych facetów.

– Już nie – odparłem i trzasnąłem go drzwiami w twarz.

Wcisnął blokadę i przyjrzał nam się z niemym lękiem. Jego ręka opadła, ukazując krew na zębach i szybko puchnącą górną wargę, wykrzywioną w bolesnym grymasie.

Nie chciałem patrzeć, jak odjeżdża. Chwyciłem Shelly za ramię, odwróciłem ją i ruszyliśmy do domu. Uszliśmy góra metr, kiedy nas minął. Jak się okazało, nie zapomniał, jak prowadzić tego wielkiego cadillaca, co dzisiaj wcale mnie nie dziwi. Pamięć ciała jest umieszczona gdzie indziej niż pozostałe procesy myślowe. Wielu ludzi całkiem zagubionych w białej mgle starości wciąż potrafi bezbłędnie zagrać na pianinie kawalki, których nauczono ich w dzieciństwie. Umysł zapomina, ale ręce pamiętają.

Fenicjanin nawet na nas nie zerknął. Pochylał się nad kierownicą, a jego oczy, lśniące od strachu, omiatały drogę. Miał na twarzy dokładnie ten sam wyraz co Shelly wcześniej tego samego dnia, kiedy rozpaczliwie skanowała okolicę w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – znajomego.

Na końcu ulicy włączył migacz, skręcił w prawo na autostradę i wyjechał z mojego życia.

## 10

Kiedy przykryłem ją kołdrą, Shelly uśmiechnęła się sennie i złapała mnie za rękę.

– Wiesz, ile razy ja ciebie otulałam, Michaelu? W życiu są różne podpórki, ale trzeba wytrzeszczać oczy, żeby je dojrzeć.

Pochyliłem się i pocałowałem jej skroń, miękką i suchą w dotyku jak starożytny pergamin. Nigdy więcej nie wymówiła mojego imienia, chociaż w niektóre dni na pewno je pamiętała. Przez większość czasu jednak nie, ale bywało, że jej oczy rozświecił błysk rozpoznania.

I jestem pewien, że na końcu wiedziała, kim jestem. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Pan Beukes wrócił do domu dopiero o drugiej nad ranem. Miałem dość czasu, żeby się pozbierać i wrzucić ubrania do suszarki. Dość czasu, żeby uprzątnąć z podwórka martwe ptaki. Dość, żeby wypić pokrzepiającą szklankę rozpuszczalnego kakao o smaku truskawkowym (pan Beukes dodawał go do swoich proteinowych shake'ów, a u mnie powodował rozrost dupy) i zastanowić się nad sytuacją.

Dość czasu na przejrzenie ukradzionego albumu. Oznaczonego literami S. BEUKES, wypisanymi czarnym markerem na wewnętrznej stronie okładki.

To mogłyby być wspomnienia dowolnej osoby, chociaż najstarsze zdjęcia musiały zostać zrobione, zanim upowszechniła się kolorowa fotografia. A na wielu fotkach widniały rzeczy, których nikt nigdy by nie sfotografował.

Był tam drewniany konik na kółkach, z kawałkiem sznurka przewleczonego przez dziurę w głowie, ciągnięty po betonowym chodniku.

Było tam rozświetlone słońcem błękitne niebo z pojedynczą chmurką w kształcie kota z ogonem wygiętym jak znak zapytania. Pulchne rączki małego dziecka wyciągały się w jej kierunku z dolnego brzegu kadru.

Była tam krzepka kobieta z wielkimi, krzywymi zębami, obierająca ziemniaka nad zlewem, a w tle, na kuchennym blacie, świeciło radio

w orzechowej obudowie. Podobieństwo sugerowało, że to matka Shelly, gdzieś koło 1940 roku.

Była tam dwudziestoletnia laska z ciałem pływaczki olimpijskiej, w białych majtkach, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i w fedorze na głowie. Przyglądała się sobie w dużym lustrze. Wielki osiłek, całkiem nagi, też był widoczny w odbiciu, siedział na krawędzi materaca. Uśmiechał się drapieżnie i gapił na nią ze szczerym podziwem. Patrzyłem na ten obrazek przez dobre pół minuty, zanim zrozumiałem, że dziewczyna to Shelly, a facet za nią to jej przyszły mąż.

W połowie albumu natrafiłem na serię czterech polaroidów, które mnie paskudnie zszokowały, cztery zdjęcia, których nie potrafiłem wytłumaczyć. To była znowu dziewczynka, ta dziewczynka z Misiem Paddingtonem. Martwa dziewczynka z fotografii („myślografii”?) z umysłu Fenicjanina. Oboje ją znali.

Te zdjęcia zostały zrobione w późnych latach sześćdziesiątych albo wczesnych siedemdziesiątych. Na jednym dziewczynka siedziała na blacie kuchennym, miała mokre od łez policzki i zadrapane kolano. Dzielnie przyciskała misia do piersi, a duże piegowate ręce Shelly wsuwały się w kadr z plastrem. Na drugim zdjęciu silne i pewne dłonie Shelly manipulowały igłą, zszywając tył głowy Misia Paddingtona, dziewczynka zaś przyglądała się temu ciemnymi, poważnymi oczami. Na trzecim z kolei spała w łóżeczku bogatego dziecka, otoczona pluszowymi misiami. Ale to Paddingtona przyciskała do piersi we śnie.

Na ostatniej fotografii mała dziewczynka leżała martwa u podnóża najbardziej stromych schodów na świecie, twarzą w dół w rozlewającej się kałuży krwi, z jednym ramieniem odrzuconym do tyłu, jakby chciała sięgnąć po Paddingtona, który zatrzymał się w połowie schodów.

Nie wiem, kim była. Nie córką Shelly. Może kimś, kim Shelly opiekowała się, gdy była młodsza, kiedy pierwszy raz pracowała jako niania? Te strome schody raczej nie były w Cupertino, może w San Francisco?

Nie jestem do końca pewien, w jaki sposób dziewczynka z misiem łączyła Shelly i Fenicjanina – już mówiłem, że wiele z tego nie rozumiem – ale mam swoją teorię. Myślę, że Fenicjanin chciał wykasować siebie. Że odwiedzał ludzi, którzy go znali albo mogli znać, zanim został Fenicjaninem. Myślę, że każdy album ze zdjęciami w jego samochodzie należał do kogoś, kto mógł pamiętać mężczyznę albo chłopca, jakim był, zanim jego ciało stało się bluźnierczym rękopisem w zapomnianym (i dobrze!) języku. I nie odważę się nawet zgadywać, dlaczego musiał wymazać poprzednią wersję siebie z pamięci żywych.

Ciężko było patrzeć na ostatnie strony w albumie Shelly. Wiecie, co na nich było.

Byłem tam ja, siedzący na betonowym stopniu, spokojnie pozwalający Shelly zawiązać sobie buty zniszczonymi, poznaczonymi starczymi plamami dłońmi, o wiele starszymi niż na zdjęciach z Misiem Paddingtonem. Siedziałem na jej kolanach, a ona czytała mi książkę *Aleksander – okropny, straszny, niezbyt dobry, bardzo zły dzień*. Moje pulchne siedmioletnie wydanie, z wypełnionymi nadzieją oczami pod zmierzwioną grzywką, wyciągało do niej zielono-złotą żabkę, nie większą niż ćwierćdolarówka.

To ramiona matki powinny mnie otaczać, a ojciec powinien mi czytać, ale tak nie było. Była Shelly. Zawsze, zawsze była Shelly Beukes, kochająca – doceniająca – samotnego grubego chłopca, który rozpaczliwie pragnął, żeby ktoś go zauważył. Moja matka nie chciała tej posady, a ojciec nie bardzo wiedział, jak to robić, więc została Shelly. Ona zaś uwielbiała mnie z entuzjazmem kogoś, kto właśnie wygrał samochód w teleturnieju. Jakby była szczęściarą, mając mnie,



jakby to był największy dar losu, że piekła mi ciasteczka, składała moje majtki i wytrzymywała moje nastoletnie wybuchy złego humoru czy całowała moje skaleczenia. A to ja byłem szczęściarzem i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy.

## 12

Przez kolejne półtora roku Shelly miała dwa rodzaje dni: złe i gorsze. Pan Beukes i ja próbowaliśmy się nią opiekować. Zapomniała, jak się używa noża, i musieliśmy kroić jej jedzenie. Zapomniała, jak korzystać z toalety, i zmienialiśmy jej pieluchy. Zapomniała, kim jest Larry, i czasem wpadała w panikę, kiedy wchodził do pokoju. Nigdy nie bała się mnie, ale często nie wiedziała, kim jestem. Chociaż może gdzieś tam ciurkał jeszcze cienki strumyczek pamięci, bo nierzadko, gdy wchodziłem do domu, wołała: „Tato! Przyszedł facet naprawić telewizor!”.

Czasem, kiedy nie było Larry’ego, siadałem przy niej i pokazywałem jej album ze skradzionymi przez Fenicjanina wspomnieniami. Próbowałem zainteresować ją tymi fotografiami, źle oświetlonymi i w błotnistych kolorach. Ale Shelly zazwyczaj się dąsała. Odwracała głowę, żeby nie musieć na nie patrzeć, i mówiła coś w rodzaju: „Dlaczego mi je pokazujesz? Idź napraw telewizor. Zaraz będzie *Klub przyjaciół Myszki Miki*. Nie chcę przegapić fajnego programu”.

Tylko raz zareagowała na zdjęcie z albumu. Pewnego popołudnia spojrzała z nagłą dziecięcą fascynacją na fotografię martwej dziewczynki na dole schodów.

Przytknęła kciuk do zdjęcia i powiedziała: „Zepchnięta”.

– Tak, Shelly? Naprawdę? Widziałaś, kto to zrobił?

– Zniknął – odparła i rozcapierzyła palce w teatralnym geście „puf”. – Jak duch. Masz zamiar naprawić telewizor?

– Oczywiście – obiecałem. – Zaraz *Klub przyjaciół Myszki Miki*.

Jesienią, kiedy byłem w drugiej klasie liceum, Larry Beukes zdrzemnął się przed telewizorem i Shelly wyszła z domu. Znalaziono ją dopiero o czwartej następnego ranka. Dwóch gliniarzy wpadło na nią prawie pięć kilometrów dalej; grzebała w śmietniku koło restauracji Dairy Queen w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Stopy miała czarne od brudu, podrapane i zakrwawione, paznokcie połamane, a palce obtarte, jakby wpadła do rowu i musiała się stamtąd wydostać. Ktoś zabrał jej obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Nie reagowała na swoje imię. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie była, i nie obchodziło jej, dokąd idzie, byle był tam telewizor.

Następnego popołudnia przyszedłem ją odwiedzić. Larry otworzył drzwi w rozciągniętym podkoszulku z napisem MEXICO! i bokserkach, srebrne włosy stały mu z boku głowy. Gdy zapytałem, czy mogę pomóc przy Shelly, twarz mu się ściągnęła, a podbródek zaczął drgać.

– Hector ją zabrał! Zabrał ją, kiedy zpałem!

– Tato! – krzyknął głos gdzieś z tyłu. – Tato, z kim rozmawiasz?

Larry zignorował go i dał krok na schodek, w stronę światła.

– Co ty zobie o mnie pomyślisz? Pozwoliłem Hectorowi ją zabrać. Podpizałem wszyzdgie papiery. Zrobiłem, jak mi kazali, bo jestem zmęczony, a z nią jest za dużo kłopotu. Myślisz, że ona kiedykolwiek oddałaby mnie?

Rzucił mi się w ramiona i zaczął szlochać.

– Tato! – Hector znowu krzyknął i podszedł do drzwi.

To był on: kulturysta i marynarz, dumny właściciel nowego pontiaca trans am, rocznik 82, prosto z *Nieustraszonego*, syn Shelly i Larry'ego; tylko czasem o nim pamiętałem. Dzieciak, który zrobił urodzinową sztuczkę, podnosząc jedną ręką krzesło z siedzącą na nim matką.

Urosła mu oponka, a tusz na tatuażu z Marynarzem Jerryem przyblakł i zatarł się. Z wiekiem nie nauczył się wcale ubierać i wyglądał jak guru fitnessu. Miał jaskrawoczerwoną opaskę, która utrzymywała jego falowane włosy z dala od oczu, i podkoszulek bez rękawów, z piratem. Wydawał się zakłopotany.

– Jezu, tato. Daj spokój. Dzieciak będzie się okropnie czuł. Przecież nie wysłałeś jej do rzeźni. Możesz ją codziennie widywać. Oboje możemy! To dla niej najlepsze. Wpędzasz się przedwcześnie do grobu, ganiając za nią. Myślisz, że tego by chciała? Daj spokój. Daj już spokój.

– Objął ojca potężnym ramieniem i delikatnie oderwał ode mnie. Skierował go z powrotem do domu, uśmiechnął się do mnie smutno i powiedział: – Wejdz, chłoptysiu. Właśnie zrobiłem daktylowe ciasteczka.

Zadrzałem na dźwięk słowa „chłoptys”.

Shelly została przyjęta do miejsca zwanego Belliver House. Hector zawiózł ją tam rano, kiedy jego ojciec spał. To nie był hotel Four Seasons, ale będzie tam dostawała lekarstwa na czas i nie będzie grzebać za jedzeniem w śmietniku Dairy Queen. Hector powiedział, że ojciec od tego czasu płacze. Powiedział mi to wszystko, gdy Larry Beukes wrócił do łóżka, gdzie spędził prawie cały dzień. Siedzieliśmy, Hector i ja, przed telewizorem, z herbatą i jeszcze ciepłymi daktylowymi ciasteczkami, wypełnionymi słodkim i lepkiem nadzieniem z kawałkami orzechów do pochrupania.

Hector pochylił się nad swoim talerzem i odezwał się do mnie poufnym tonem, całkiem niepotrzebnie, bo byliśmy sami:

– Byłem o ciebie zazdrosny, wiesz. O to, jak moja matka o tobie mówiła. Że wszystko robisz jak trzeba. Dobre stopnie. Nigdy nie pyskujesz. Dzwoniłem do matki z Tokio i chwaliłem się jej, że właśnie zjadłem sushi z kuzynem cesarza, a ona odpowiadała: „Och, świetnie, a przy okazji, chłoptys właśnie zbudował działający reaktor z klocków

Lego i gumek”. – Potrzęsnał głową i uśmiechnął się pod wąsem jak u Toma Sellecka. – Ale miała rację co do ciebie. Jesteś dokładnie takim świetnym dzieciakiem, za jakiego cię miała. Gdyby nie ty, nie wiem, jak mój ojciec dałby sobie radę przez ostatnie półtora roku. A mama... Zanim to wszystko wymknęło jej się z rąk, dzięki tobie miała powód, żeby codziennie wstać rano z łóżka. Rozśmieszałeś ją. Myślę, że uszczęśliwiałeś ją bardziej niż ja kiedykolwiek.

Zamarłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie odrywając wzroku od telewizora, z pełnymi ustami odparłem:

– Świetne ciastka. Dokładnie takie, jak robiła twoja mama.

Ze zmęczeniem pokiwał głową.

– Tak, znalazłem przepis w jednym z jej zeszytów. Wiesz, jak nazywała te ciasteczka?

– Ciasteczka z daktylami?

– Przysmak Mike’a – odpowiedział.

## 13

Odwiedzałem ją niekiedy przez następnych kilka lat. Czasem z Larrym, czasem z Hectorem, który przeprowadził się do San Francisco, żeby być bliżej rodziców. A później jeździłem sam.

Przez pierwszy rok, czy jakoś tak, zawsze się cieszyła na mój widok, chociaż uważała mnie za faceta od naprawy telewizora. Ale kiedy kończyłem liceum, już mnie nie rozpoznawała podczas wizyt, zresztą nikogo innego też nie. Siedziała przed telewizorem w przepelnionym pokoju dziennym, słonecznym pomieszczeniu śmierdzącym kurzem i moczem starych ludzi, z brudnymi płytkami na podłodze i rozpadającymi się używanymi meblami. Głowa opadała jej do przodu, fałdy na szyi wciskały się w pierś. Od czasu do czasu szeptała do siebie: „Następny kanał, następny, następny, następny”. Bardzo się podniecała, gdy ktoś zmienił program, przez chwilę podskakiwała na siedzeniu, zanim opadała na zapadniętą kanapę.

Jakiś miesiąc przed wyjazdem do MIT pojechałem do San Francisco, żeby spotkać się z komputerowymi hobbystami, a w drodze powrotnej odbiłem z międzystanowej dwa zjazdy wcześniej i zawinąłem do Belliver, by zajrzeć do Shelly. Nie było jej w pokoju, pielęgniarka w recepcji nie potrafiła mi jednak powiedzieć, gdzie ją zastanę, skoro nie ma jej przed telewizorem. W końcu znalazłem ją na wózku, przy automatach z napojami w bocznym korytarzu, samotną i zapomnianą, daleko od sypialni.

Już od dawna mnie nie zauważała i nie było mowy o tym, żeby mnie rozpoznała. Ale kiedy obok niej uklęknąłem, coś – jakiś słaby

błysk świadomości – rozświetliło jej zielone oczy, na co dzień miękkie i zamglone jak kawałek szkła wyrzucony przez morskie fale.

– Chłoptysiu – szepnęła. Jej spojrzenie odpłynęło, ale zaraz powróciło. – Nienawidzę tego. Wolałabym. Zapomnieć. Jak się oddycha. – W jej oczach znowu zamigotało światełko rozbawienia. – Hej. Co zrobiłeś z tym aparatem? Nie chciałbyś zrobić mi zdjęcia? Swojej najlepszej dziewczynie, na pamiątkę?

Poczułem gęsią skórę na plecach i zimno, jakby ktoś wylał na mnie wiadro lodowatej wody. Odsunąłem się, obszedłem wózek dookoła, chwyciłem za rączki i popchnąłem ją do holu, a potem wtoczyłem szybko do pokoju dziennego. Nie chciałem wiedzieć, co miała na myśli. Nie chciałem się nad tym zastanawiać.

Zaszedłem do pielęgniarki w recepcji i nakrzyczałem na nią. Powiedziałem, że chcę wiedzieć, kto zostawił moją matkę przy automatach do napojów, jak długo tam była i jak długo byłaby jeszcze, gdybym tam przez przypadek nie zajrzał. Nie miałem wrażenia, że kłamię, gdy mówiłem, że Shelly jest moją matką. I dobrze było wyładować złość. Prawie tak dobrze, jak być kochanym.

Krzyczałem, aż pielęgniarka się zaczerwieniła, zawstydzila i poczuła dotknięta. Miałem satysfakcję, gdy zobaczyłem, że ociera łzy chusteczką i że trzęsą jej się ręce, gdy sięgała po telefon, żeby zadzwonić po przełożonego. Kiedy dawałem upust gniewowi, Shelly siedziała na wózku, z głową na piersi, tak samo niewidzialna i zapomniana jak przy automatach z napojami.

Łatwo zapominamy.

# 14

Tamtej nocy przez Cupertino przeleciał gorący wiatr, jak podmuch z piekarnika. Grzmiało, ale deszcz nie spadł. Kiedy rano poszedłem do samochodu, znalazłem na masce martwego ptaka. Podmuchał wróblem o przednią szybę z taką siłą, że złamał mu kark.



Ojciec spytał, czy planuję odwiedzić Shelly przed wyjazdem do Massachusetts. Powiedziałem, że chyba tak.

## 16

Solarid leżał w pudełku w garderobie znajdującej się przy mojej sypialni, razem z albumem myśli Shelly i szarą kopertą ze wspomnieniami Fenicjanina. A co, myśleliście, że je wyrzuciłem? Że mogłem cokolwiek z tego wyrzucić?

Pewnego dnia, kilka tygodni po tym, jak ostatni raz widziałem Fenicjanina, zdjąłem ten nieaparat z półki i zaniósłem do garażu. Już samo dotknięcie go mnie zdenerwowało. Pamiętałem, jak Frodo włożył na palec pierścień i stał się widoczny dla czerwonego oka Saurona. Bałem się, że przez sam kontakt z solaridem mogę wezwać Fenicjanina z powrotem. Hej, grubasku. Pamiętasz mnie? Tak? Naprawdę? No to już niedługo będziesz pamiętał.

Ale w końcu obróciłem aparat parę razy w dłoniach i odłożyłem go na półkę. Nigdy nic z nim nie zrobiłem. Nie rozebrałem go na części. Nie wiedziałem jak. Chociaż to niemożliwe, był z jednego kawałka. Może dowiedziałbym się więcej, gdybym zrobił zdjęcie, ale nie odważyłem się. Nie, zaniósłem go z powrotem do garderoby i ukryłem za pudełkami kabli i drukowanych płytek. Po miesiącu albo dwóch doszedłem do tego, że potrafiłem o nim nie myśleć przez jakieś piętnaście minut ciągiem.

W weekend przed planowanym wyjazdem do Bostonu – lecieliśmy tam razem z ojcem – otworzyłem garderobę, żeby go poszukać. Jakaś część mnie nie spodziewała się, że go tam znajdę, ponieważ prawie uwierzyła, że Fenicjanin przyśnił mi się kilka lat temu, w gorączce

i stresie. Solarid jednak tam był, tak jak pamiętałem. Jego puste, ślepe, szklane oko mechanicznego cyklopa patrzyło na mnie z górnej półki.

Położyłem go ostrożnie na tylnym siedzeniu mojej hondy civic, żeby go nie oglądać podczas drogi do Belliver House. Już samo wzięcie go wydawało mi się niebezpieczne. Jakby mógł nagle i mściwie wypalić i wyczyścić mój umysł, żeby ukarać mnie za to, że skazałem go na zbieranie kurzu przez cztery lata.

Shelly była w swojej sypialni, pokoju niewiele większym od więziennej celi. Wiedziałem, że Hector i Larry przyszli ją odwiedzić kilka godzin wcześniej – zawsze wpadali w sobotnie poranki. Specjalnie zaplanowałem wizytę krótko po nich, żeby mieli ostatnią szansę spędzić z nią trochę czasu.

Siedziała na wózku, twarzą do okna. Byłoby cudownie, gdyby widziała coś pięknego. Zielony park z dębami, fontannę, ławki i dzieci. Ale jej pokój wychodził na spalony słońcem parking i parę śmietników.

Na kolanach miała walkmana, a na uszach słuchawki. Hector zawsze je zakładał, kiedy wychodził, żeby mogła słuchać muzyki ze *Stań przy mnie* – piosenek, do których tańczyła z Larrym, gdy on był w nowym kraju, a ona właśnie ukończyła szkołę.

Ale muzyka dawno się skończyła i Shelly siedziała sobie po prostu, głowa lekko jej podrygiwała, z ust zwisała nitka śliny, a pielucha wymagała zmiany. Czuję to. Och, godność srebrnych lat.

Zsunąłem jej słuchawki i ustawiłem wózek przodem do łóżka. Usiadłem na materacu naprzeciwko niej; nasze kolana prawie się stykały.

– Urodziny – rzuciła Shelly. Spojrzała na mnie i szybko odwróciła wzrok. – Urodziny. Czyje urodziny?

– Twoje – odpowiedziałem. – Dzisiaj są twoje urodziny, Shelly. Mogę zrobić ci zdjęcie? Mogę sfotografować urodzinową dziewczynę?

A potem... potem zdmuchniemy świece. Pomyślimy razem życzenie i zdmuchniemy je wszystkie.

Jej spojrzenie wróciło do mnie i nagle w jej oczach pojawiło się jakieś ptasie zainteresowanie.

– Zdjęcie? Och. Okay, chłoptysiu.

Zrobiłem jej zdjęcie. Flesz błysnął. I jeszcze raz.

Jeszcze raz. I jeszcze raz.

Fotografie upadły na podłogę i zaraz się wywołały: babcia Shelly wyciągająca z pieca blachę ciasteczek z daktylami, z papierosem wetkniętym w kącik ust; czarno-biały telewizor, dzieci z przyczepionymi uszami Myszki Miki; nazwisko Beukes zapisane wyblakłym, czarnym tuszem na różowej dłoni, obok numeru telefonu; tłuste niemowlę z piąstkami wzniesionymi w powietrze i bródką umazaną dżemem, Hector już wtedy miał potargane loki.

Zrobiłem ponad trzydzieści zdjęć, ale ostatnie trzy się nie wywołały i po tym poznałem, że skończyłem. Były szarymi, toksycznymi ślepekami koloru burzowych chmur.

Kiedy się podniosłem, płakałem, cicho i z wściekłością, i czułem w ustach smak miedzi. Shelly pochyliła się do przodu, oczy miała otwarte, lecz niewidzące. Oddychała ciężko, całymimi haustami. Wydęła wargi... jakby zamierzała zdmuchnąć świece z urodzinowego tortu.

Pocałowałem ją w czoło, głęboko wciągając zapach pokoju, w którym spędziła ostatnie lata życia: kurz, odchody, rdza, zaniedbanie. Czułem się strasznie, ale nie dlatego, że skierowałem na nią obiektyw... tylko dlatego, że tak długo z tym zwlekałem.

Hector zadzwonił następnego dnia, żeby mnie poinformować, że odeszła o drugiej nad ranem. Nie obchodziło mnie, co było przyczyną śmierci, więc nie spytałem, ale on i tak mi powiedział.

– Jej płuca po prostu odmówiły posłuszeństwa – oznajmił. – Jakby jej ciało nagle zapomniało, jak się oddycha.

Odwiesiłem słuchawkę i siedziałem w kuchni, słuchając zegara przy piekarniku, tyk-tyk-tyk. To był bezwietrzny poranek, bardzo gorący. Tata wyszedł, wziął poranną zmianę.

Poszedłem do sypialni po solarida. Już nie bałem się go dotknąć. Wyniosłem go na zewnątrz i położyłem na podjeździe, za przednią oponą mojej hondy civic, od strony kierowcy.

Przejeżdżając po nim, usłyszałem plastikowe chrupnięcie. Zaciągnąłem hamulec i wyszedłem zobaczyć.

Gdy ujrzałem go na asfalcie, moje serce zatrzepotało jak ptak podczas wichury, rzucone bezradnie o twardą ścianę żeber. Obudowa połamała się na duże, lśniące kawałki. Ale w środku nie było żadnego mechanizmu. Żadnych przekładni, taśm, żadnej elektroniki. Zamiast tego aparat wypełniony był czymś, co wyglądało jak smoła, parę litrów gęstej zupy... zupy z okiem pośrodku, ogromnym, żółtym okiem ze szparką źrenicy w centrum. Wielka pacyna Panamskiego Dreszczyku w kolorze jeżyn, z gałką oczną. Przysięgam, że kiedy to smołowate świństwo rozlało się w kałużę, oko przetoczyło się, żeby popatrzeć na mnie. Miałem ochotę krzyczeć. I pewnie bym to zrobił, gdybym miał dość powietrza w płucach.

Ale czarny płyn zaczął twardnieć, szybko zmieniając kolor na jasny, srebrzysty. Zesztywniał na brzegach, zmarszczył się, skamieniał. Lśniaca twardość przesuwiała się do środka i w końcu dotarła do żółtego oka i unieruchomiła je.

Kiedy podniosłem tę grudę, cały czarny płyn był już kleksem matowej, lekkiej stali, trochę mniejszym niż pokrywa studzienki kanalizacyjnej, a grubości mniej więcej obiadowego talerza. Pachniał błyskawicą, gradem i martwymi ptakami.

Trzymałem ten zlepek przez moment. Dłużej nie dałem rady. Jak tylko go uniosłem, głowę wypełniły mi syk, szum i obłąkany szept. Moja czaszka stała się anteną radia nastawionego na odległą stację: nie Radia Dorosłość, lecz Radia Szaleństwo. Głos, który był starożytny już wtedy, gdy Cyrus Wielki zmiażdżył swoim butem lud fenicki, wyszeptał: „Michaelu, o, Michaelu, stop mnie i zbuduj. Zbuduj jedną ze swoich myślących maszyn. Zbuduj kom-pu-ter, Michaelu, a ja nauczę cię wszystkiego, co chcesz wiedzieć. Odpowiem na każde twoje pytanie, Michaelu. Rozwiążę każdą zagadkę uczynię cię bogaczem sprawię że kobiety będą się chciały z tobą pieprzyć zrobię...”.

Odrzuciłem to coś ze wstrętem.

A potem chwyciłem szczypcami i załadowałem do worka na śmieci.

Później, po południu, pojechałem nad ocean i wrzuciłem to pieprzone gówno do wody.

Ha, ha. Jasne.



Owszem, użyłem szczypiec i naprawdę wrzuciłem to do worka ze śmieciami. Ale nie do oceanu, tylko do garderoby, gdzie przez tyle lat trzymałem solarida.

Tamtej jesieni moja matka przyleciała do Ameryki, żeby spotkać się z ojcem i ze mną w Cambridge i zobaczyć, jak się urządzam w MIT. Nie widziałem jej od ponad roku i byłem zdziwiony, że jej włosy stały się całkiem srebrne i że zaczęła nosić okulary dwuogniskowe bez oprawek. Całą rodziną wpadliśmy na obiad do Mr. Bartley's Gourmet Burgers przy Mass Avenue i był to, o ile sobie przypominam, jeden z niewielu posiłków, jakie jedliśmy razem. Moja matka zamówiła cienkie krążki cebuli i tylko je skubała.

– Na co się najbardziej cieszysz? – spytał mnie ojciec.

Matka odpowiedziała za mnie:

– Pewnie że nie będzie musiał już tego ukrywać.

– Ukrywać czego? – dopytałem.

Odsunęła cebulowy krążek.

– Co potrafi zrobić. Kiedy raz naprawdę będziesz mógł być sobą... no cóż, nigdy nie będziesz chciał przestać.

Nie przypominam sobie, żeby powiedziała, że mnie kocha, chociaż uścisnęła mnie sztywno na lotnisku i pouczyła, że antykoncepcja to odpowiedzialność moja, a nie przyszłych dziewczyn, z którymi będę chodził. Została zabita w czerwcu 1993 roku przez członków Armii Bożego Oporu, na górskiej drodze wzdłuż północno-zachodniej granicy Konga. Zginęła razem ze swoim francuskim kochankiem,

mężczyzną, z którym – jak się okazało – żyła przez prawie dziesięć lat. Informacja o jej śmierci pojawiła w „New York Timesie”.

Mój ojciec przyjął tę wiadomość w ten sam sposób, w jaki zareagował na katastrofę promu Challenger – poważnie, ale jakby nie dotyczyło go to osobiście. Nie potrafię wam powiedzieć, czy oni kiedykolwiek się kochali i co skłoniło ich, żeby mieć dziecko. To tajemnica większa niż ta związana z Shelly Beukes i Fenicjaninem. O ile mi wiadomo, przez wszystkie te lata, kiedy żyli osobno, w życiu mojego ojca nie było innej kobiety, ani wtedy, gdy rozdzieliła ich Afryka, ani później, gdy zrobiła to śmierć.

No i ojciec czytał jej książki. Każdą. Trzymał je na półce pod albumami pełnymi zdjęć.

Ojciec żył jeszcze, kiedy ukończyłem MIT i wróciłem na Zachodnie Wybrzeże, żeby zrobić magisterkę (a potem doktorat) w Caltech. Zmarł tydzień przed moimi dwudziestymi drugimi urodzinami. W mokrą i wietrzną noc pękła linia wysokiego napięcia i gdy, trzymając skrzynkę z narzędziami, wysiadał z vana, lina spadła mu na plecy. Trafiło go sto trzydzieści osiem kilowoltów.

W dwudziesty pierwszy wiek wszedłem samotnie jako wściekły sierota. Nienawidziłem, kiedy ludzie w moim wieku narzekali na rodziców („Mama jest na mnie zła, bo nie chcę studiować prawa”, „Mój tata zasnął na mojej ceremonii rozdania świadectw”... bla, bla, bla). Ale nienawidziłem też ludzi, którzy nie narzekali na rodziców, tylko mówili o nich z miłością („Moja mama mówi, że nieważne, co robię, jeśli jestem szczęśliwy”, „Tata ciągle nazywa mnie Małym Żołnierzem”... bla, bla, bla).

Nie sposób zmierzyć, ile nienawiści nosiłem w sercu, gdy byłem młody i samotny. Żal zjadał mnie jak rak, drenował moje siły, pozostawiał smutnego i zmęczonego. Kiedy w wieku osiemnastu lat zacząłem studia na MIT, ważyłem prawie sto pięćdziesiąt kilogramów.

Sześć lat później zostało ze mnie niecałe osiemdziesiąt. To nie były ćwiczenia. To była złość. Wściekłość jest formą postu. Wściekłość to strajk głodowy duszy.

Większość zatechłych, ogłupiających dni w tamte kwietniowe wakacje spędziłem, opróżniając dom w Cupertino, pakując w pudła ubrania i wyszczerbione talerze, żeby zanieść je do sklepu dobroczynnego, i oddając książki do biblioteki. Tamtej wiosny w powietrzu wisiało mnóstwo pyłków pokrywających okna jaskrawożółtą mgiełką. Gdyby ktoś przyszedł i zobaczył mnie ze łzami ciekącymi po nosie, mógłby pomyśleć, że to żal, a tak naprawdę to była alergia. Pakowanie domu, w którym mieszkałem przez całe moje dzieciństwo, okazało się zadziwiająco beznamietnym zajęciem. Nasze standardowe meble i zwyczajne tapety w paski prawie nie odcisnęły śladu na tym miejscu.

I rzeczywiście nie pamiętałem o tym dziwnym kawałku stali w mojej garderobie, aż do momentu, kiedy sięgnąłem tam i dotknąłem go ręką. Ciągle był w torbie na śmieci, ale czułem przez plastik nierówności metalu. Podniosłem go i przez dłuższą chwilę trzymałem zawiniątko w obu rękach. Otaczała mnie ciężka, zagadkowa cisza, taki rodzaj ciszy, który spowija świat, zanim wybuchnie letnia burza.

Szepczące żelazo nigdy więcej do mnie nie przemówiło, w każdym razie nie na jawie. Ale czasem mówiło do mnie w snach. Czasem, w snach, widziałem je takie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wyciekło ze zgniecionej solarida: płyn jak asfalt, z gałką oczną w środku, dziwna, myśląca protoplazma, nie pochodząca z naszego świata.

Miałem sen, w którym siedziałem przy stole z ojcem. Był ubrany jak do pracy i wpatrywał się w miskę purpurowego Panamskiego Dreszczyku, galaretki drżącej i podskakującej niepewnie w naczyniu.

„Nie będziesz jadł deseru?” – spytałem.

Podniósł wzrok, a jego oczy były żółte, z kocimi źrenicami. Odpowiedział napiętym, nieszczęśliwym głosem: „Nie mogę. Chyba zaraz zwrócę”. Otworzył usta i zaczął wymiotować na stół; kawały czarnej masy wypływały z niego powolnym gęstym strumieniem. Słyszałem szum zakłóceń i szaleńcze bełkotanie.

Podczas ostatniego roku na Caltech pracowałem nad nowym rodzajem pamięci, który mieścił się na obwodzie wielkości karty kredytowej. W prototypie wykorzystałem komponenty zrobione z tego dziwnego, niemożliwego metalu, a rezultaty przewyższały wszystko, co ktokolwiek kiedykolwiek osiągnął, w jakimkolwiek laboratorium, gdziekolwiek. Ten pierwszy obwód był moją Afryką, był dla mnie tym, czym Kongo dla mojej matki: wspaniałym obcym krajem, gdzie kolory były jaskrawsze i gdzie każdy nowy dzień pracy obiecywał ekscytujące odkrycie. Przebywałem tam latami. Nigdy nie chciałem wrócić. Nie miałem do czego wracać. Nie wtedy.

Ale ostatecznie skończyłem tę robotę. W końcu doszedłem do tego, że mogę też osiągnąć imponujące, chociaż nieco gorsze wyniki, stosując rzadkie metale ziemskie: głównie iterb i cer. Nie działało to tak dobrze jak z szepczącym żelazem, ale i tak był to wielki skok naprzód w mojej dziedzinie. Dostrzegła mnie firma nazwana od chrupiącego i soczystego owocu i podpisaliśmy kontrakt, który od razu uczynił mnie milionerem. Jeśli masz na swoim telefonie trzy tysiące piosenek i tysiąc zdjęć, prawdopodobnie nosisz w kieszeni część mojej pracy.

To dzięki mnie komputer pamięta wszystko, o czym ty zapominasz. Nikt nie musi już zapominać. Postarałem się o to.

Shelly nie żyje już ponad ćwierć wieku. Straciłem ją, matkę i ojca, zanim skończyłem dwadzieścia pięć lat. Żadne z nich nie było na moim ślubie. Żadne z nich nie spotkało moich dwóch synów. Każdego roku oddaję na cele dobroczynne tyle pieniędzy, ile mój ojciec zarobił przez całe życie, a i tak jestem bogatszy, niż jakikolwiek człowiek powinien być. Otrzymałem nieprzyzwoicie duży kawałek szczęścia, chociaż, przyznaję, większość dostała mi się, dopiero kiedy nie nadążałem już za najnowszymi osiągnięciami w dziedzinie komputerów. Jestem emerytowanym profesorem w firmie, z którą podpisałem umowę zaraz po odejściu z Caltechu, co tak naprawdę znaczy, że trzymają mnie tam z sentymentu. Od ponad dekady nie dokonałem żadnego znaczącego odkrycia. Ten dziwny, niemożliwy stop dawno się skończył. To samo dotyczy mnie.

Belliver House został zburzony w 2005 roku. Tam gdzie stał, jest teraz boisko do gry w piłkę nożną. Teren dookoła został przyjemnie zagospodarowany i zadrzewiony, profesjonalnie zamieniony w park i łąkę z krętymi ścieżkami wysypanymi białym tłuczniem, z sadzawką i wielkim placem zabaw. Zapłaciłem za większość tej roboty. Żałuję, że Shelly nie może zobaczyć tego miejsca. Prześladowuje mnie widok, który miała przed oczami przed śmiercią, parking i śmietniki, tak samo jak prześladowuje mnie wspomnienie o Fenicjaninie. Nie lubię myśleć o jej ostatnich dniach w tym posępnym pokoiku, ale nie wymazałbym tych obrazów, nawet gdybym mógł. Mimo że okropne, te wspomnienia są mną, bez nich byłbym niepełny.

Wszyscy – moja żona, ja i nasi dwaj synowie – poszliśmy do parku na wielkie otwarcie. To był sierpień i rankiem grzmiało – potężne przetaczające się kanonady – ale po południu niebo lśniło czyste i błękitne; trudno wyobrazić sobie piękniejszą pogodę. Miasto wykonało dobrą robotę. Trzydziestoosobowa orkiestra dęta grała na podium stare przeboje. Było darmowe malowanie twarzy, facet, który robił zwierzątka z balonów, a moja dawna szkoła wydelegowała grupę czirliderek, popisujących się skokami, fikołkami i innymi sztuczkami.

Chłopcom najbardziej podobał się magik, mężczyzna z wypomadowanymi na gładko włosami i nawoskowanym wąsem. Miał na sobie fioletowy frak i zieloną koszulę z falbankami, a jego najlepszą sztuczką było sprawianie, że rzeczy znikają. Żonglował płonącymi pochodniami i w jakiś sposób każda, która gasła, znikła, jakby jej nigdy nie było. Zamknął w dłoni jajko, uderzył w nie pięścią i jajko zniknęło: skorupka i wszystko. Kiedy otworzył pięść, na jego dłoni siedziała świergocząca cykada. Potem usiadł na krześle z oparciem i nagle wylądował na ziemi, bo krzesło przestało istnieć. Moi chłopcy, czterolatek i sześciolatek, klęczeli na trawie z tuzinem innych dzieci i patrzyli z uwagą.

Ja natomiast obserwowałem wróble. Cała ich chmara usadowiła się na zboczu nad stawem i z zadowoleniem coś dziobały. Moja żona robiła zdjęcia: swoją komórką, nie polaroidem. Gdzieś daleko dęły sennie tuby i puzony. Kiedy zamknąłem oczy, przeszłość zdała się bardzo bliska, tylko cienka błona oddzielała wczoraj od dzisiaj.

Prawie już drzemałem, gdy jeden z moich synów, Boone, ten młodszy, pociągnął mnie za koszulę. Magik wszedł za drzewo i zdematerializował się. Przedstawienie skończone.

- Zniknął, cały! – krzyczał Boone ze zdumieniem. – Nie widziałeś.
- Możesz mi opowiedzieć. To będzie tak, jakbym widział.

Starszy chłopiec, Neville, zaśmiał się z pogardą.

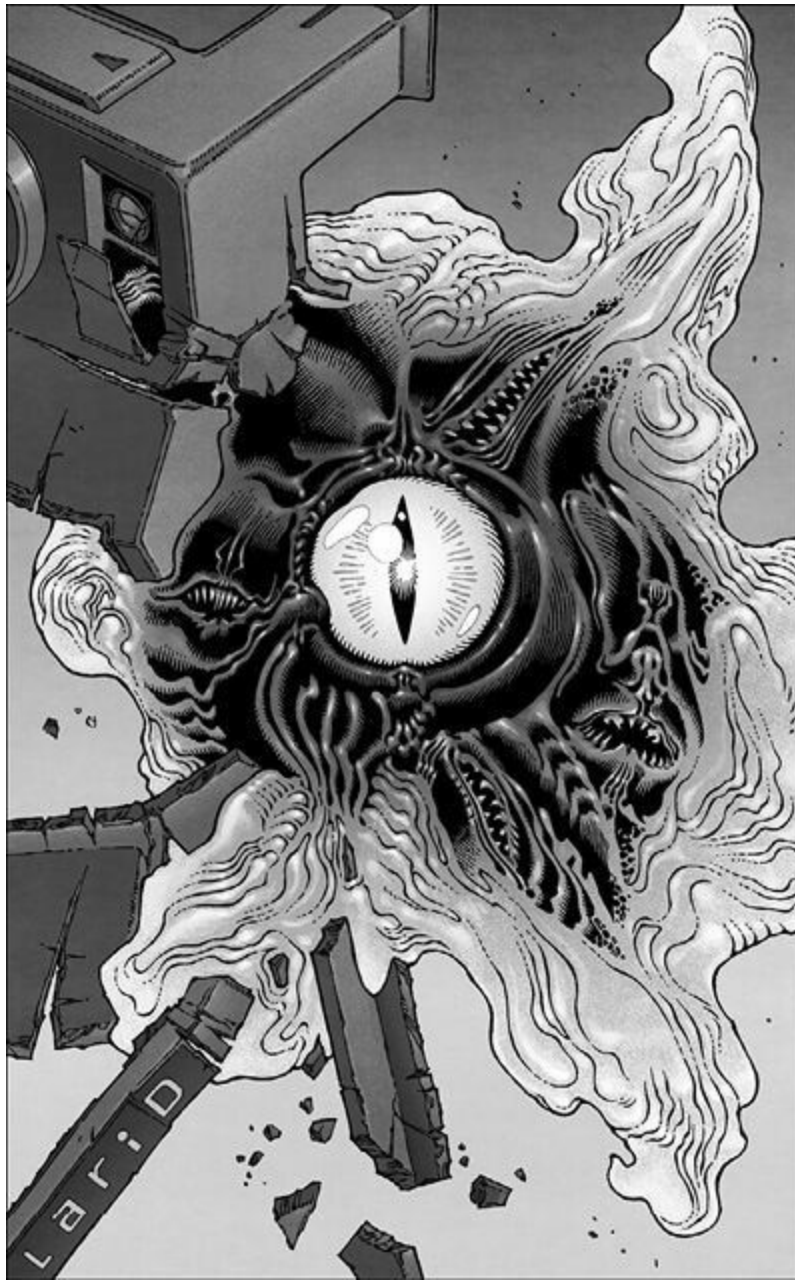
– Nie, to nie to samo. Powinieneś patrzeć.

– Tatuś też zna magiczną sztuczkę. Jak zamknę oczy, zniknie cały świat – odparłem. – Ktoś chce zobaczyć, jak znikają lody? Chyba po drugiej stronie stawu stoi budka.

Chwyciłem za rękę Neville'a. Moja żona wzięła Boone'a. Ruszyliśmy przed siebie, na przełaj przez trawnik, płosząc wróble, które poderwały się wielką ćwierkającą gromadą.

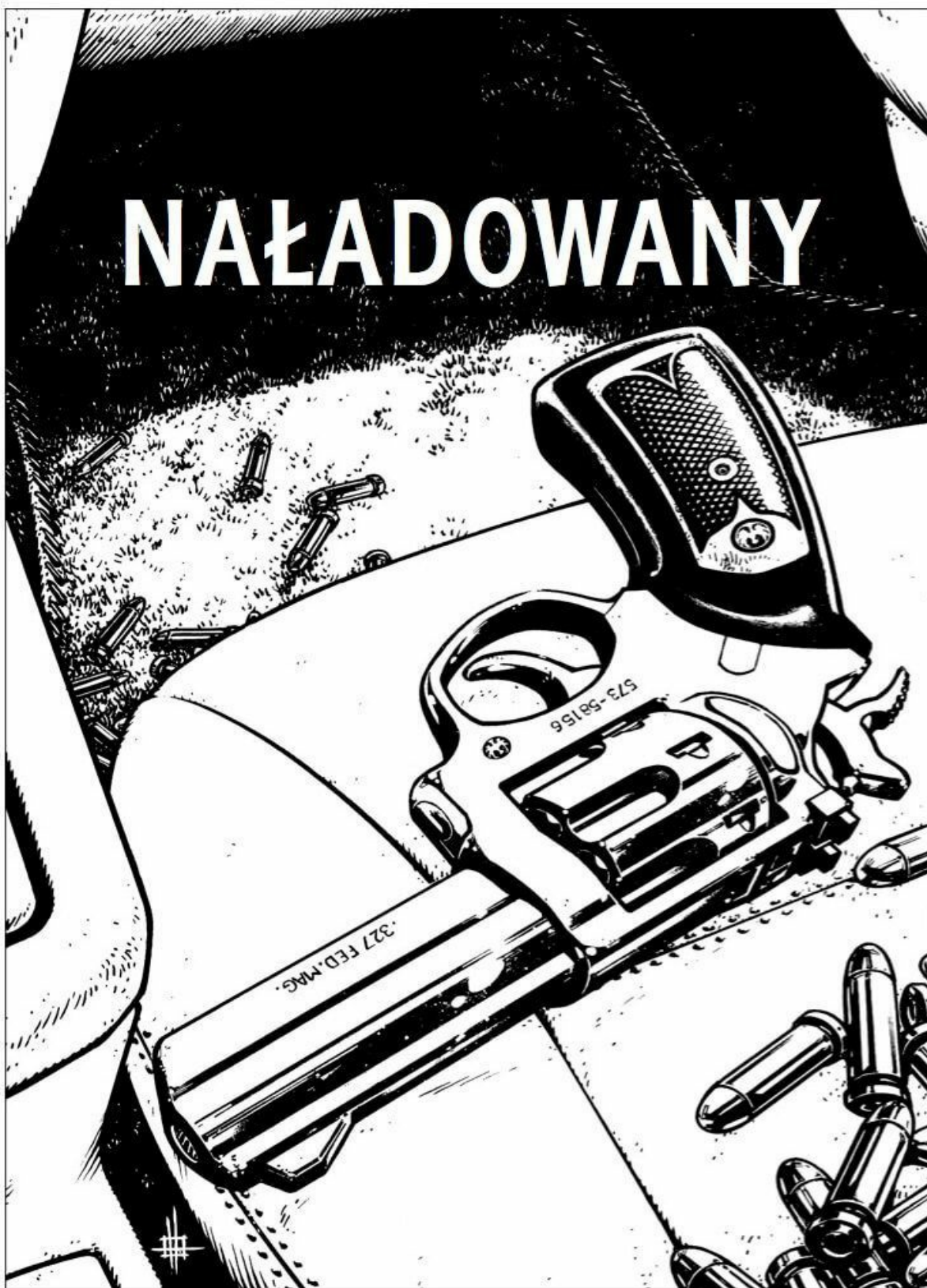
– Tato – odezwał się Boone – czy myślisz, że zawsze będziemy pamiętać dzisiaj? Nie chcę zapomnieć magii.

– Ja też nie – odpowiedziałem. I jak na razie nie zapomniałem.





# NAŁADOWANY



## 14 października 1993

Aisha zawsze myślała o nim jak o bracie, chociaż nie byli nawet spokrewnieni.

Na imię miał Colson, ale przyjaciele nazywali go Romeo, bo zagrał tę rolę ubiegłego lata w parku, u boku białej Julii o zębach tak lśniących, że powinna występować w reklamie gumy do żucia.

Aisha patrzyła, jak grał tamtego gorącego lipcowego wieczoru, kiedy zmierzch trwał godzinami, nad horyzontem jarzyła się linia czerwonego światła, a chmury złościły się na tle ciemnego nieba. Miała dziesięć lat i nie rozumiała połowy z tego, co na scenie mówił Colson, odziany w purpurowy aksamit, jakby był księciem. Nie rozumiała słów, ale bez trudności pojmowała, co znaczy sposób, w jaki spoglądała na niego Julia. Bez trudu zorientowała się też, dlaczego kuzyni Julii nienawidzą Romea. Tybalt nie życzył sobie, żeby jakiś wygadany czarny chłopak kręcił się koło białych dziewczyn, nie wspominając o tym, żeby wszedł do rodziny.

Teraz była jesień i Aisha ćwiczyła do swojego własnego przedstawienia *Wakacyjna moda*, co wiązało się z lekcjami tańca nowoczesnego dwa razy w tygodniu, po szkole. W czwartki trwały do szóstej trzydzieści i matka nie mogła jej raz odebrać po ich zakończeniu. Zamiast niej pojawił się Colson, spóźniony o dwadzieścia minut, kiedy wszystkie inne dziewczynki poszły już do domu i Aisha została sama na kamiennych schodach. Wyglądał nieźle w czarnej dżinsowej kurtce i spodniach w panterkę, gdy długimi krokami pokonując ścieżkę, wynurzył się z mroku.

– Cześć, Szybka Pięto – powiedział. – Chodź, zatańczymy.

– Właśnie skończyłam.

Puknął ją pięścią w czubek głowy i chwycił za pasek jej szkolnego plecaka. Ona trzymała drugi i nie puszczała, więc pociągnął ją za sobą w ciemność, która pachniała trawą, gorącym asfaltem i odległym morzem.

– Gdzie mama? – spytała Aisha.

– W pracy.

– Dlaczego jeszcze pracuje? Miała skończyć o czwartej.

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że Dick Clark nienawidzi czarnuchów – odpowiedział.

Jej matka pracowała przy grillu w restauracji Bandstand Dicka Clarka, w Daytona Beach, godzinę jazdy autobusem w kierunku południowym. W weekendy odkurzała w Hiltonie Bayfront w St. Augustine, godzinę autobusem na północ.

– A dlaczego tata mnie nie odebrał?

– Sprząta po pijakach.

Jej ojciec był sanitariuszem w ośrodku odwykowym dla robotników. W tej pracy łączyły się w jedno uroki bycia dozorcą – zawsze znalazły się jakieś rzygowiny do wytarcia – z frajdą zapasów z histerycznymi śmieciami w szponach odwyku. Za każdym razem przychodził do domu ze śladami ugryzień na ramionach.

Colson mieszkał z ojcem Aishy i jej macochą, Paulą. Matka Colsona była siostrą Pauli, ale nie potrafiła zatroszczyć się o siebie ani tym bardziej o kogokolwiek innego. Nikt nigdy nie wyjaśnił Aishy, dlaczego tak było, i szczerze mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Jeśli Colson Withers miał colę, a ona chciała łyka, bez wahania pozwalał jej się napić. Jeśli byli gdzieś, gdzie można było zagrać w grę wideo, a on miał w kieszeni ćwierćdolarówkę, oddawał ją Aishy. I nawet jeśli nie słuchał jej rozwlekłych opowieści o głupich rzeczach, jakie Sheryl

Portis opowiadała podczas lekcji tańca, przynajmniej nie kazał jej się zamykać.

Ruszyli wzdłuż ulicy Miedzianej do Mission Avenue. W tej części miasta przecznice biegnące ze wschodu na zachód nazwane zostały od kolorów: miedziany, złoty, różowy. Choć nie było ulicy Niebieskiej ani Czarnej (była jednak Negroponte Avenue, co – jak podejrzewała Aisha – mogło mieć rasistowski wydźwięk), na cały ten teren wszyscy od zawsze mówili Czarno-Niebieski. Ale tak jak Aishy nigdy nie przyszło do głowy spytać, dlaczego Colson nie mieszka ze swoją własną matką, tak nigdy nie interesowało jej, dlaczego sama mieszka w części miasta, której nazwa brzmi jak siniaki, a nie jak dzielnica.

Mission Avenue tam, gdzie przecinała Miedzianą, miała cztery pasy. Po jednej stronie rozciągało się Coastal Mercantile, kilka szeregów sklepów usytuowanych wzdłuż ulicy. Parking świecił pustkami, stało na nim tylko parę samochodów.

Wieczór był ciepły – prawie upalny – i pachniał spalinami. Minął ich radiowóz, rozpraszając ciemność migającym błękitnym światłem, i śmignął na żółtym w momencie, kiedy zmieniło się na czerwone.

– ...powiedziałam, że w Anglii na majtki mówi się gacie, a Sheryl na to, że Anglicy powinni używać właściwych nazw na określenie rzeczy, a ja wtedy powiedziałam, że jeśli używają niewłaściwych nazw, to jak to jest, że w szkole uczymy się angielskiego, a nie amerykańskiego?

Aisha była bardzo dumna ze swojej odpowiedzi zamykającej długą i męczącą dyskusję o tym, czy brytyjski akcent jest prawdziwy, czy tylko mówią tak w filmach, bo pokazała Sheryl, gdzie jej miejsce.

– Mhm – zamruczał Colson, czekając na zielone światło.

Wcześniej wyrwał jej w końcu plecak i niósł go na ramieniu.

– O, przypomniało mi się coś. Cole?

– Mhm?

– Jak długo będziesz mieszkał w Anglii?

Anglia prześladowała Aiszę, dziewczynka myślała o tym kraju przez cały tydzień, od kiedy dowiedziała się, że Colson złożył podanie o przyjęcie do Londyńskiej Akademii Muzyki i Sztuki Dramatycznej. Nie dostał jeszcze odpowiedzi – nie spodziewał się jej przed wiosną – ale nie próbował dostać się na żadną inną uczelnię i zachowywał się tak, jakby go już przyjęli, a w każdym razie nie martwił się ewentualną odmową.

– Nie wiem. Tyle, ile trzeba, żeby spotkać Jane Seymour.

– Kto to jest Jane Seymour?

– Doktor Quinn, lekarka. Ona zostanie moją pierwszą żoną. Pierwszą z wielu.

– A czy ona nie mieszka na Dzikim Zachodzie? Przynajmniej tak jest w filmie.

– Nie. W Londynie.

– A co zrobisz, jak nie będzie chciała za ciebie wyjść?

– Przekuję smutek w sztukę. Jeśli mnie nie zechce, będzie mi bardzo ciężko, ale wykorzystam swoje złamane serce i zostanę najlepszym Hamletem, jakiego kiedykolwiek nosiła scena.

– Czy Hamlet może być czarny?

– Może, jeśli ja go zagram. Odpuść już. Coś mi się wydaje, że będziemy musieli przebiec przez ulicę. Światła się zepsuły.

Poczekali na lukę pomiędzy autami i trzymając się za ręce, przebiegli Mission Avenue. Kiedy zwolnili po drugiej stronie i weszli na krawężnik, usłyszeli nieprzyjemne wycie syreny policyjnej i za ich plecami przemknął kolejny radiowóz. Aisha, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła nucić piosenkę reggae, tę z czołówki serialu *Gliny*. Nie było nic niezwykłego w tym, że policjanci urządzali wyścigi o tej porze, pędząc ulicami, które wypełniały się pulsowaniem ich świateł jak z dyskoteki i jazgotem syren, mogących przestraszyć człowieka na

śmierć. Nikt nie pytał dlaczego, nikt się nawet nie zastanawiał. To było jak dźwięk cykad, jeszcze jeden odgłos nocy.

Tak się złożyło, że policjanci przeczesywali Czarno-Niebieski w poszukiwaniu skradzionej mazdy miaty. Czterdzieści minut wcześniej, na północnym krańcu St. Possenti – tam gdzie stały domy ze stiukowymi ścianami i dachami z hiszpańskiej dachówki – mężczyzna w uniformie i z pończochą na głowie wszedł do domu za pewną parą. William Berry otrzymał dwa ciosy nożem w brzuch. Jego żona została dźgnięta dziewiętnaście razy, kiedy próbowała uciec. Napastnik zabrał jej fioletową torbę od Hermès, a poza tym biżuterię z sypialni, odtwarzacz DVD i kilka pornosów na płytach. Gdy rabował, co chciał, gwizdał i od czasu do czasu zagadywał do Billa Berry’ego; czterdziestodwuletni bankier leżał na podłodze, jęcząc. Mężczyzna z pończochą na głowie pochwalił wystrój wewnątrz, szczególnie podobały mu się zasłony; obiecał też, że będzie się modlił, żeby oboje wyzdrowieli. Cathy Berry to już nie dotyczyło, ale Bill Berry miał szansę przeżyć, chociaż przebywał na oddziale intensywnej terapii z przedziurawionym jelitem grubym. Był na tyle przytomny, żeby powiedzieć, że zabójca „mówił jak czarnuch” i czuć go było alkoholem. Miatę dostrzegł strażnik przeprowadzający dzieci na skrzyżowaniu, jak niecałe dwadzieścia minut później wjeżdżała do Czarno-Niebieskiego.

Parking koło Coastal Mercantile był zaniedbany; szczeliny w popękany asfalcie kiepsko załatano nitkami smoły. W ciągu sklepów mieściły się: punkt skupujący czek (otwarty), sklep z alkoholem (otwarty), drugi z wyrobami tytoniowymi (otwarty), gabinet dentystyczny (zamknięty), kościół baptystów zwany Święte Doświadczenie Odnowy (zamknięty), biuro pośrednictwa pracy pod nazwą Praca Szuka Człowieka (zamknięte na stałe) i pralnia na monety, która była otwarta wtedy, będzie otwarta o trzeciej nad

ranem i z pewnością będzie też oferować zbyt drogie usługi kiepsko działających pralek i suszarek w dniu sądu ostatecznego.

Colson zatrzymał się przy vanie Econoline z wymalowaną na karoserii sceną pustynną i pociągnął za klamkę w drzwiach kierowcy. Zamknięte.

– Co ty robisz? – zapytała Aisha.

– Wygląda, jakby uciekali nim porywacze – odpowiedział Colson. – Chciałem się tylko upewnić, że z tyłu nie leży jakaś związana dziewczyna.

Aisha otoczyła dłońmi twarz i przycisnęła nos do przyciemnianej szyby. Nie zobaczyła nikogo związanego.

Stwierdzili, że van jest zamknięty i pusty, i poszli dalej. Ich trasa prowadziła wokół budynku, wzdłuż jednego boku Mercantile, a potem przez ogrodzenie i przez Tangles: półtora hektara krzaków, palm, mrowisk i butelek po piwie.

Colson zwolnił znowu, kiedy mijali niebieską miatę, za ładną na Coastal Mercantile – czarne, skórzane siedzenia, lśniąca, wiśniowa deska rozdzielcza. Pociągnął za klamkę.

– Czemu znów to robisz?

– Musiałem się upewnić, że ta pani zamknęła drzwi. Jeśli ktoś zaparkował taki samochód w Czarno-Niebieskim, na pewno nie dba o swoje rzeczy.

Aisha wolałaby, żeby Colson przestał ciągać za klamki samochodów. Nie martwił się, że będzie miał kłopoty, więc ona musiała martwić się za niego.

– Skąd wiesz, że to samochód kobiety?

– Bo miata wygląda bardziej jak szminka niż jak auto. Takich samochodów w ogóle nie sprzedają facetom, chyba że wcześniej oddasz w depozyt jaja.

Ruszyli dalej.

– Więc jak już się ożenisz z Jane Seymour, to kiedy przyjedziesz na Florydę, żebym mogła ją poznać?

– Ty możesz przyjechać do mnie. Przyjedź do Londynu. Możesz uczyć się tańca w tym samym miejscu, gdzie ja będę się uczył, jak zdobyć sławę.

– Przecież masz studiować aktorstwo.

– Na jedno wychodzi.

– Będiesz tam mówił z brytyjskim akcentem?

– A żebyś wiedziała! Nauczę się go w sklepie z pamiątkami w pałacu Buckingham, pierwszego dnia po przyjeździe – odparł, ale w jego głosie nie było cienia zainteresowania.

Mijali poobijaną alfę romeo, z drzwiami od strony kierowcy pomalowanymi na matową czerń, podczas gdy reszta karoserii była jaskrawożółta jak napój energetyczny Gatorade. Na desce leżały rozrzucone płyty CD, jak lśniące, srebrne frisbee. Kiedy Colson pociągnął za drzwi, otworzyły się, jeden Romeo zapraszał drugiego.

– O rany – powiedział. – Ktoś nie dba o bezpieczeństwo.

Aisha nie zwolniła i miała nadzieję, że Colson pójdzie za nią. Po pięciu krokach odważyła się obejrzeć. Colson stał przy alfie i zaglądał do środka. Od tego widoku zrobiło jej się niedobrze.

– Colson? – odezwała się.

Zamierzała wykrzyknąć jego imię, jakby dawała mu reprimendę – głos Aishy świetnie się nadawał do udzielania reprimend – ale wyszło jak słaby powiew wiatru.

Wyprostował się i spojrzał na nią oczami bez wyrazu. Jej fioletowy plecak balansował mu na kolanie, rozpięty do połowy, a Colson grzebał w samochodzie.

– Colson, chodź – zarządziła.

– Momencik. – Wyciągnął z plecaka notes i poszukał długopisu. Wydarł kartkę, położył ją na dachu i zaczął pisać. – Mamy tu do



spełnienia obywatelski obowiązek.

Aisha zerknęła na ciąg sklepów. Najbliżej była pralnia, najbardziej rozświetlona ze wszystkich punktów. Otwarte drzwi przytrzymał bloczek cementu; stali na tyle blisko, że słyszeli pomruk suszarek. Aisha była pewna, że lada chwila ktoś się pojawi i zacznie na nich krzyczeć.

Podeszła do Colsona. Chciała złapać go za rękę i pociągnąć, ale kiedy spróbowała, wyszarpnął ramię i pisał dalej.

Od razu też głośno czytał:

– „Szanowny Panie. Zwróciło naszą uwagę, że dzisiejszego wieczoru zaniedbał Pan zamknięcia drzwi w swojej doskonale utrzymanej alfie romeo. Pozwoliliśmy sobie zrobić to za Pana. Proszę pamiętać, że ta okolica jest pełna śmierdzących, brudnych włóczęgów, którzy mogliby wykorzystać Pana pojazd jako toaletę. Jeśli siedzi Pan teraz w kałuży śmierdzącego moczu jakiegoś pijaczka, może Pan podziękować ekipie Promotorów Normalnego Oddawania Moczu. Wesprzyj lokalny oddział PNOM-u już dziś!”

Aisha roześmiała się, chociaż wcale nie chciała. Colson przechodził od jednego nastroju do drugiego w łagodny, luzacki sposób, jakby mu nie zależało.

Złożył list i położył go na desce rozdzielczej. Kiedy wyciągał rękę, zaczepił rękawem dżinsowej kurtki o CD i zrzucił płytę na podłogę. Podniósł ją, obejrzał, a następnie położył na dachu samochodu. Chwycił papier i ponownie zaczął pisać.

– „Pe es – powiedział. – Podjęliśmy dalsze kroki, żeby zbiec z Pana egzemplarzem *Pocket Full of Kryptonite* i ochronić Pana przed grupą Spin Doctors...”

– Colson! – zawołała Aisha.

Bardzo już chciała iść.

– „...która może uszkodzić Pana słuch. Proszę zastąpić ich Public Enemy i zażywać codzienne dawki, dopóki nie przestanie Pan być takim obciachowym dupkiem”.

– Colson! – zawołała znowu, prawie wrzasnęła.

To już nie było śmieszne. Tak naprawdę to nigdy nie było śmieszne, nawet gdy zmusił ją do chichotu.

Colson zatrzasnął drzwi i ruszył przed siebie, z jej plecakiem na ramieniu. Trzymał palec w dziurce pośrodku płyty. Na jej powierzchni lśniły tęcze. Uszedł ze trzy metry, a potem odwrócił się niecierpliwie.

– Idziemy czy nie? Najpierw drzesz się na mnie, żebym się pospieszył, a za chwilę stoisz, jakbyś zapomniała, jak się rusza nogami.

Kiedy podbiegła do niego, obrócił się i poszedł dalej.

Aisha dogoniła go, złapała za nadgarstek, zaryła obcasami w beton i pociągnęła.

– Odłóż to.

Zatrzymał się i popatrzył na płytę na swoim palcu, a następnie na rękę Aishy na prawym nadgarstku.

– Neeee.

Ruszył, ciągnąc ją za sobą.

– Odłóż to!

– Nie mogę. To mój dobry uczynek na dzisiaj. Właśnie uratowałem czyjeś uszy.

– Odłóż! To!

– Nie mogę. Zablokowałem drzwi, żeby nikt nie ukradł czegoś, co naprawdę warto, na przykład złotego medalika ze świętym Krzysztofem, który wisi na lusterku. No chodź. Daj spokój. Psujesz mi frajdę.

Wiedziała, dlaczego zabrał płytę: nie dlatego, że był złodziejem, ale ponieważ to było zabawne albo będzie zabawne, gdy opowie

kumplom. Opowie im o PNOM-ie, a płyta będzie dowodem, że tego nie zmyślił. Colson musiał mieć historie do opowiadania z tego samego powodu, dla którego pistolet musiał mieć naboje – żeby załatwiać ludzi.

Ale Aisha wiedziała, co to są odciski palców, i czuła, że jest tylko kwestią czasu, kiedy policjanci przyjdą aresztować go za wielką kradzież płyty Spin Doctors. I wtedy Colson nie pojedzie do Londynu i nie zostanie Hamletem, i jego życie legnie w gruzach, i jej też.

Chwycił ją za rękę i poszli dalej, a za rogiem skręcili w nierówną ulicę, w jeszcze gorszym stanie niż parking. Poprowadził ją na tyły, między zarośla, do pogiętego ogrodzenia z siatki, na wpół ukrytego za wysoką trawą i poszyciem. Zanim tam doszli, Aisha już płakała, bez przerwy i cicho, wciągając powietrze głębokimi, urywanymi wdechami.

Colson schylił się, żeby pomóc jej przejść przez siatkę... i szczerze się zdziwił, kiedy zobaczył łzy spływające z jej brody.

– Hej! Co się stało, Szybka Pięto?

– Masz! To! Oddać! – wykrzyczała mu w twarz, nie zdając sobie sprawy z tego jak głośno.

Odchylił się do tyłu, jak krzak w czasie huraganu, i szeroko otworzył oczy.

– Hej, hej, Godzilla! Nie mogę. Mówiłem ci. Zamknąłem ten samochód.

Otworzyła usta, żeby jeszcze raz wrzasnąć, ale zamiast tego zaszlochała. Chwycił ją za ramiona i objął, a ona drżała i wydawała z siebie żalosne dźwięki. Wytarł jej twarz swoim podkoszulkiem. Kiedy znowu coś widziała, spostrzegła, że Colson uśmiecha się jakby ze zdziwieniem. Wystarczyło zobaczyć ten uśmiech, żeby zrozumieć, dlaczego Julia gotowa była dla niego umrzeć.

– Nikogo nie obchodzą płyty Spin Doctors – zapewnił, ale ona już wiedziała, że wygrała.

Złapała oddech i powstrzymała kolejny szloch.

– Do diabła, dziewczyno. Rozwalasz świetny dowcip, wiesz? Jesteś jak policja od żartów. Wypiszesz mi mandat, bo byłem rażąco zabawny? Jak chcesz, mogę wrócić i położyć płytę na dachu samochodu. Może być?

Kiwnęła głową, bo nie ufała swojemu głosowi. Zarzuciła mu na szyję chude ramiona dziewięciolatki i wyściskała go, żeby pokazać, że się cieszy. Całe lata później, kiedy przymknęła oczy, mogła przywołać tę chwilę w najdrobniejszych szczegółach. To, jak się czuła, obejmując go, to, jak on się śmiał z jedną ręką między jej łopatkami. Jak ją uścisnął na pożegnanie.

Wyprostował się i okręcił ją twarzą w kierunku ogrodzenia. Wczepiła palce w oczka siatki. Podparł jedną ręką jej pupę, żeby pomóc jej przejść, a ona zeskoczyła na drugą stronę, w gęste zarośla.

– Zaczekaj na mnie – powiedział i pacnął siatkę.

Ruszył, ciągle z jej plecakiem z Małą Syrenką na ramieniu i płytą zwisającą mu z palca wskazującego prawej dłoni. Krążek lśnił srebrem w ciemnościach, jasny jak sztylet Romea. Po chwili Colson zniknął za rogiem.

Aisha czekała w aksamitnej ciemności, a cała nocna orkiestra owadów w poszyciu grała jej kołysankę.

Colson wrócił truchtem, który przeszedł w sprint, kiedy ktoś krzyknął. Nie było go tylko kilka sekund, góra pół minuty. Pędził zaniedbaną boczną uliczką, z opuszczoną głową i plecakiem podskakującym na ramieniu.

Za nim biegł jakiś facet, w ciężkim pasie z przyczepionymi rzeczami, które dźwięczały i brzęczały. Noc rozjaśniły srebrne

i niebieskie światła, rozbłyskujące jak sztuczne błyskawice w teatrze. Mężczyzna w brzęczącym pasie biegł wolno i ciężko dyszał.

– Odlóż to, do kurwy! – krzyczał. Aisha zauważyła, że to policjant, biały i niewiele starszy od Colsona. – Rzuć to! Rzuć to!

Colson wpadł całym pędem na ogrodzenie i uderzył w nie z taką siłą, że Aisha bezwiednie cofnęła się jeszcze głębiej w ciemność zarośli. Colson wspinał się na siatkę do połowy, a potem zamarł.

Plecak z Małą Syrenką – funkcjonariusz Reb Mooney miał później zeznać, że myślał, że to torebka od Hermèsa skradziona z miejsca zbrodni tego samego wieczoru – zsunął się z ramienia Colsona podczas biegu i kiedy chłopak uderzył o ogrodzenie, trzymał go tylko za jeden pasek. Drut siatki zaczepił o materiał i gdy Colson się wspinał, plecak dosłownie został mu wyrwany z ręki.

Colson zerknął na dół i skrzywił się, zawahał ułamek sekundy, a następnie zeskoczył. Opadł na jedno kolano, żeby podnieść plecak Aishy z ziemi.

Policjant zatrzymał się raptownie jakiś trzy metry od niego. Wtedy dopiero Aisha dostrzegła broń w jego dłoni. Mooney, wielki piegowaty chłopak, który za dwa tygodnie miał zamiar ożenić się ze swoją licealną miłością, ciężko dyszał i był czerwony na twarzy. Zza rogu Mercantile wytoczył się radiowóz, błyskając światłami.

– Na ziemię! – wykrzykiwał Mooney, podchodząc bliżej i unosząc broń. – Ręce do góry!

Colson spojrzał na niego i zaczął podnosić ręce. Na jego palcu ciągle tkwił krążek CD. Nieopierzony policjant kopnął go w ramię. Colson walnął w ogrodzenie, jęknął i odbił się od siatki. Tak mocno, że prawie wpadł na policjanta. Płyta zalśniła w jego ręce.

Broń wypaliła. Pierwsza kula znowu rzuciła Colsonem Withersem o ogrodzenie. Mooney wystrzelił łącznie sześć razy. Ostatnie trzy pociski trafiły Colsona w plecy po tym, jak upadł na twarz. W sądzie

Mooney i jego partner Paul Haddenfield mówili, że myśleli, że CD to nóż.

Noc wciąż dźwięczała echem wystrzałów i żaden z policjantów nie usłyszał, jak Aisha Lanternglass ucieka w krzaki.

Następnego lata trupa teatralna St. Possenti zadedykowała przedstawienie w parku na podstawie sztuki Szekspira pamięci Colsona. To był *Hamlet*.

Główną rolę grał biały chłopak.

## Wrzesień 2012 — grudzień 2012

Becki i Rog zawsze spotykali się na strzelnicy. Najpierw wystrzelili kilkaset pocisków, a potem on wystrzeliwał w nią na tylnym siedzeniu swojego wiśniowego lamborghini.

Kiedy pierwszy raz pojechali razem postrzelać, używali na zmianę jego glocka, dziurawiąc z trzydziestotrzystrzałowego magazynka wyciętą z papieru sylwetkę ludzką.

– Do diabła – powiedziała Becki. – Czy to w ogóle zgodne z prawem w tym stanie, takie wielkie magazynki?

– Kochanie, to jest Floryda – wyjaśnił jej Rog. – Nie wiem, czy ty jesteś tu zgodnie z prawem, ale magazynek jest w porządku. – Zupełnie jakby ona ciągle chodziła do liceum, a nie na kurs biznesu w college’u.

Stał za nią, przyciśnięty krocem do jej pupy, obejmując ją ramionami. Ładnie pachniał – cytrynami, drewnem sandałowym i morzem – i kiedy ją przytulał, myślała o jachtach i przejrzystej wodzie. Miała ochotę ponurkować razem z nim w poszukiwaniu skarbów, a następnie zmyć z niego Atlantycką pod gorącym prysznicem.

– Jedną dłoń obejmuj drugą – poinstruował ją. – Ściśnij kciuki. Stopy trzymaj oddzielnie. Dokładnie tak. Nie, nie tak daleko.

– Jestem już wilgotna – wyszeptała do niego.

Wystrzeliła do celu trzydzieści trzy pociski, wyobrażając sobie, że to wielkie sztuczne cycki jego żony. Po tym całe jej ciało drżało, jakby miała orgazm. Dla nich to zawsze była gra wstępna.

Pierwszy raz spotkała Rogera Lewisa, kiedy miała szesnaście lat. Ojciec przywiózł ją do centrum handlowego, do sklepu Devotion Diamonds, żeby wybrała sobie złotą kłódeczkę na złotym łańcuszku, prezent, który miała założyć na składanie przysięgi czystości w kościele tamtej niedzieli. Rog pomógł jej przymierzyć kilka rzeczy, a ona obracała się w jedną i w drugą stronę przed małym lusterkiem na ladzie, podziwiając błyski dookoła szyi.

– Wyglądasz świetnie – pochwalił ją Rog. – Nieskazitelnie.

– Nieskazitelnie – powtórzyła.

To było dziwnie hipnotyzujące słowo.

– Szukamy sprzedawczyń na lato. Jeśli sprzedasz przyjaciółce taką samą kłódeczkę, dostaniesz dziesięć procent zniżki na swoją. Plus oczywiście pensję.

Becki popatrzyła na metkę z ceną na złotym łańcuszku i pozwoliła ciężkiej kłódeczce z powrotem opaść na mostek. Dziesięć procent od tego, co miała na szyi, to było więcej, niż zarabiała przez cały tydzień przy pakowaniu zakupów w Walmarcie.

Wyszła ze sklepu z łańcuszkiem na szyi i formularzem podania o pracę w torebce. Tamtej niedzieli przysięgła rodzicom, dziadkom, młodszej siostrze i całemu Kościołowi, że aż do ślubu nie będzie w jej życiu żadnego mężczyzny, poza ojcem i Jezusem.

Becki ciągle nosiła na szyi kłódeczkę, gdy Rog po raz pierwszy potarł ją przez majteczki w biurze na tyłach sklepu. Skończyła już wtedy liceum i zarabiała prawie pięćset dolarów miesięcznie na samych prowizjach.

Pierwszych kilka razy na strzelnicy używali wyłącznie glocka. Ściągała włosy do tyłu, żeby trzymać je z dala od twarzy i żeby lepiej czuć bluesa. Rogowi to nie przeszkadzało, ale kiedy pierwszy raz próbowała strzelać jak gangsterzy – broń obrócona bokiem, ramię wyprostowane, a nadgarstek lekko przygięty do dołu, tak jak widziała



na filmach – pozwolił jej wydusić tylko jeden strzał, a potem pociągnął za rękę. Zmusił ją, żeby skierowała broń lufą do ziemi.

– Co to za gówno? Opróżniłaś na strzelnicy kilka magazynków i już ci się wydaje, że jesteś Ice Cube'em? Jesteś biała, jakby cię wsadzili do śmietany. Nie rób tego więcej. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył, że tak strzelasz. To by źle świadczyło o mnie.

Więc strzelała, jak jej kazał: stopy lekko rozstawione, jedna odrobinę do przodu, druga odrobinę do tyłu, ramiona wyciągnięte, ale nie całkiem. Becki celowała w środek masy, bo Rog jej powiedział, że jak trafi w klatkę piersiową, dostanie coś dobrego. Wkrótce trafiała z dziesięciu metrów, głównie w okolicę serca.

Wtedy on zmienił zasady i przyniósł na strzelnicę swój karabinek SCAR 7,62 mm, załadowany 149-granowymi pełnopłaszczowymi pociskami. Wystrzeliwała je seriami, paf-paf-paf, paf-paf-paf. Zapach gazów odrzutowych podobał jej się nawet bardziej niż zapach wody kolońskiej Roga, lubiła czuć proch w jego ubraniach i rzednących blond włosach.

– Wygląda jak pistolet maszynowy – stwierdziła.

– Bo to broń maszynowa – odpowiedział, wyjął jej go z rąk i przesunął przełącznik.

Uniósł przedłużoną kolbę do lewego ramienia, zmrużył oczy i pociągnął za spust; broń wypaliła z wściekłym, ogłuszającym jazgotem, który Becki kojarzył się z waleniem w klawiaturę starej, ręcznej maszyny do pisania. Przeciął papierową sylwetkę na pół. Becki tak bardzo chciała sama postrzelać, że prawie wyrwała broń z jego rąk. Nie rozumiała, po co niektórzy biorą kokainę, skoro prościej jest sięgnąć po pistolet.

– Nie potrzeba specjalnego pozwolenia, żeby sobie postrzelać z broni automatycznej? – spytała go.

– Jedyne, czego potrzeba, to naboje i pretekst – odparł. – Chyba że chcesz mieć pozwolenie. Ja nigdy się tym nie interesowałem.

Był drażliwy na punkcie swoich włosów, zawsze przyklepywał je tak, żeby cienkie, żółte kosmyki przykryły łysinę. Miał głębokie zmarszczki w kącikach oczu, ale jego ciało było różowe i czyste, jak u chłopca, z cienkimi, złotymi włoskami na piersi. Lubiała bawić się tym delikatnym upierzeniem, podobał jej się jego jedwabisty dotyk. Jedwab i złoto, te dwie rzeczy przychodziły jej do głowy, kiedy wyciągał się nagi obok niej. Jedwab i złoto, i ołów.

Dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem wsiadła po pracy do jego lamborghini, pewna, że zawiezie ją na strzelnicę. Ale on zabrał ją do Coconut Milk Bar and Inn, trzydzieści kilometrów na południe od St. Possenti. Wynajęli pokój na pierwszym piętrze, na nazwiska Clyde Barrow i Bonnie Parker, co – jak uznała Becki – było jednym z żartów Roga. Nauczyła się już tępo i pobłaźliwie uśmiechać, żeby się nie połapał, że ona nie wie, o co chodzi. Zawsze gadał tekstami z filmów i piosenek, których nie znała: *Brudny Harry*, Nirvana albo *Real World* z MTV – starocie, nawet niewarte wygooglowania.

Miał ze sobą czarną torbę ze specjalnego tworzywa, zamkniętą na kłódkę. Wcześniej widziała, jak przewoził w takiej torbie biżuterię, ale nie zadawała pytań.

Stara kobieta za ladą patrzyła to na Becki, to na Roga i miała minę, jakby zjadła coś zepsutego. Becki odpowiedziała na wkurwiające spojrzenie obojętnym spokojem.

– A dziś wieczorem nie ma szkoły? – spytała stara, popychając w ich stronę klucz po blacie.

Becki ujęła Roga pod ramię.

– To cudowne, że takie miejsca zatrudniają staruszków, żeby mieli coś do roboty, zamiast tylko grać w bingo gdzieś po świetlicach.

Rog roześmiał się zgrzytliwym śmiechem palacza i poklepał Becki po pupie. A do starej kobiety, z ufarbowanymi na pomarańczowo włosami, powiedział:

– Niech pani się cieszy, że nie ugryzła. Nie była szczepiona. Nie wiadomo, co można złapać.

Becki wyszczerzyła zęby do obrażonej starej suki za kontuarem. Rog chwycił dziewczynę za łokieć i pociągnął w głąb korytarza wyścielonego grubym, białym dywanem, który wyglądał, jakby nikt po nim nigdy nie chodził. Poprowadził ją pod ceglany łuk wychodzącym na patio z trzema basenami, każdy z oddzielnym tarasem, połączonymi wodospadami. Na wyplatanych krzesłach siedziały pary, obok wysokich, zewnętrznych grzejników, kolumn uwięzionego ognia. Palmy zostały udekorowane na święta, pierzaste liście obwieszono szmaragdowymi światełkami. Przypominały fajerwerki zamarzniete w trakcie wspaniałego wybuchu. Becki zamknęła oczy, żeby lepiej słyszeć dźwięk lodu uderzającego o ścianki szklanek. Nie potrzebowała drinka, żeby się upić. Już sam dźwięk ją odurzył. Nie rozglądała się, dopóki nie stanęli przed drzwiami pokoju.

Prześcieradła były ze śliskiego jedwabiu, albo z czegoś podobnego do jedwabiu, w kolorze waniliowej polewy. W łazience stała ogromna wanna wyciosana z jednego bloku skały wulkanicznej. Rog założył łańcuch na drzwi, a Becki usiadła na brzegu podwójnego materaca.

Przyniósł torbę do łóżka.

– To wszystko tylko na dzisiaj. Jutro trzeba będzie oddać.

Otworzył zamek, rozchylił okute metalem szczęki torby i wysypał górę skarbów. Złote kółka i słodkowodne perły na srebrnych sznurach, bransolety wysadzone diamentami i naszyjniki obwieszone lśniącymi kamieniami. Zupełnie jakby wyrzucił na opalizujące prześcieradła górę światła. Był też biały proszek, zamknięty w kryształowej butelce, takiej, w jakich przechowuje się perfumy.

Wyglądał prawie jak pokruszone diamenty. Rog nauczył ją brać kokę przed seksem. Narkotyki sprawiały, że czuła się seksowna i napalona. Jakby miała zrobić coś niemoralnego i zakazanego.

Niemal odjęło jej mowę na widok klejnotów, tych wszystkich błyszczących sznurów.

– Ile... – zapytała.

– Jakies pół miliona dolarów. No, dalej. Załóż to. Załóż je wszystkie. Chcę cię w nich zobaczyć. Jak konkubinę sułtana. Jak gdybym kupił cię za to wszystko.

Rog potrafił gadać lepiej niż ktokolwiek znany Becki. Czasem, rzucając poetyckie teksty w urywany, obojętny sposób, brzmiał jak kochanek w starych filmach – przecież to nie było nic specjalnego.

Pośrodku góry skarbów leżał komplet, majtki i stanik, złote paski wyszyte strasem. Było także podłużne pudełko zawinięte w metaliczny, złoty papier, przewiązane srebrną wstążką.

– Te błyskotki muszą jutro rano wrócić do sklepu – powtórzył i popchnął pudełko z prezentem w jej stronę. – Ale to możesz zatrzymać.

Chwyciła szeroką, śliską paczkę. Uwielbiała prezenty. Chciałaby, żeby Boże Narodzenie było co miesiąc.

– Co to jest?

– Dziewczyna nie powinna nosić tylu błyskotek – odpowiedział Rog. – Chyba że może być pewna, że nikt ich jej nie zabierze.

Rozdarła papier i wstążkę i uchyliła pokrywkę. W środku był smith & wesson kalibru .357, z satynowobiałą rękojeścią, która wyglądała jak perła, i lufą ze stali nierdzewnej z wyrytymi liliami i pędami bluszczu.

Rzucił coś w jej kierunku, płataninę czarnych skórzanych pasków i sprzączek, a Becki przez sekundę myślała, że może ten wieczór upłynie pod znakiem sado-maso.

– Zakładasz to na nogę – wytłumaczył. – Jeśli będziesz nosić broń po wewnętrznej stronie uda, możesz nawet chodzić w obcisłej spódnicy i nikt się nie zorientuje, że masz ją przy sobie. Idę pod prysznic. A ty?

– Może później – powiedziała, wspięła się na palce i pocałowała go.

Ukąsiła go w dolną wargę, a on złapał za pasek jej czarnych, obcisłych spodni i przyciągnął ją do siebie. Wydawał się wyluzowany, ale był już twardy, uwierał ją przez jego płócienne spodnie.

Woda pod prysznicem lała się przez piętnaście minut. Miała dość czasu, żeby zrzucić ubranie i przyozdobić się małą fortuną. Broń założyła jako ostatnią. Podobał jej się sposób, w jaki skórzane paski ścisnęły górną partię uda, podobał jej się wygląd srebrnych klamerek i czarnych linii na tle jej skóry. Uklękła na łóżku, łańcuszki i diamenty migotały między jej piersiami, srebrna obroża lśniła na szyi, a ona ćwiczyła celowanie do siebie w lustrze.

Poczekala, aż wyjdzie owinięty w ręcznik, z kropelkami wody błyszczącymi na klatce piersiowej. Uniosła broń obiema rękami.

– Rzuć ręcznik – powiedziała. – I rób dokładnie to, co ci każę, jeśli chcesz pozostać przy życiu.

– Celuj gdzieś indziej – poradził.

Nadąsała się.

– Nie jest naładowany.

– Wszyscy tak myślą aż do momentu, kiedy ktoś kończy z odstrzelonym fiutem.

Otworzyła magazynek i zakręciła nim, klak-klak, żeby Rog mógł zobaczyć, że jest pusty. A potem zatrzaskała magazynek i znowu wycelowała w niego broń.

– Rozbieraj się – rozkazała.

Wiedziała, że wcale mu się nie podobało, gdy celowała w niego z rewolweru, ale udobruchał go widok jej piersi ozdobionych tymi

wszystkimi diamentami. Upuścił ręcznik, jego cienki kutas zakołysał się przed nim (to było jednocześnie śmieszne i ekscytujące), a Rog popęztał po łóżku w jej stronę. Pocałował ją i gdy jego język posmakował jej górnej wargi, poczuła, że cała jej poza odpływa, zmiotana przez dobrze znaną falę żądz.

Pociągnął ją na łóżko, za złoty łańcuch i za jej włosy, mocno, ale niezbyt brutalnie. Zdołała włożyć broń do kabury na chwilę przed tym, zanim rozchylił jej nogi kolanem. Chyba jednak przypięła rewolwer zbyt luźno. Jej udo dociskało rękojeść broni do krocza.

Nigdy nie doszła bardziej niż w ciągu tych kilku minut, kiedy ją całował, a jej łechtaczka ocierała się o twardo-miękką gumę perłowej rękojeści. Wypaliła jak rewolwer. Sam seks to był już tylko resztką.

## 12 kwietnia 2013

Kiedy Randall Kellaway pod koniec zmiany wszedł do biura ochrony, zobaczył, że czeka na niego zastępczyni szeryfa, roześmiana Latynoska w jednym z tych brzydkich garniturów à la Hillary Clinton i z glockiem na solidnym biodrze. Już nie widywało się białych glin, chodziło o równe szanse mniejszości w miejscu pracy. Po Iraku Kellaway złożył podanie o przyjęcie do policji stanowej, do lokalnej policji, do biura szeryfa i do FBI i w żadnej z tych instytucji nawet nie wezwali go na rozmowę. Gliniarze stanowi stwierdzili, że jest za stary, biuro szeryfa nie zatrudniło go, bo został administracyjnie wywalony z wojska, agenci federalni powiedzieli mu po tym, jak rozwiązał test psychologiczny, że miałby problemy z przystosowaniem się, a lokalni gliniarze nie mieli wolnej posady i przypomnieli mu, że ma niezapłacone mandaty za przekroczenie prędkości, łącznie na dziewięćset dolarów. Doszło już do tego, że czarnuch, który gadał po murzyńsku, mógł dostać pracę, jeśli tylko zdołał ukończyć szkołę średnią i nie zamordował nikogo po drodze. Białas musiał mieć dyplom Yale i harować jako wolontariusz z sierotami chorymi na AIDS, żeby w ogóle zaczęli z nim rozmawiać.

Gdy Kellaway wszedł do biura ochrony, stanął po stronie dla klientów, obok bananowej zastępczyni szeryfa. Recepcjonistka, Joanie, siedziała na rozpadającym się biurowym krześle na kółkach za okienkiem z pleksiglasu. Był tam jeszcze jeden ochroniarz, Eddie Dowling – zdejmował pas i wieszał go w szafce. Cały Eddie, kończył robotę dziesięć minut przed końcem zmiany.

– To on, proszę pani. Mówiłam, że można go tu spotkać dopiero pod sam koniec zmiany. Pan Kellaway jest bardzo skrupulatny. Randy, to jest pani Acosta z biura szeryfa...

– Wiem, skąd jest, Joanie. Poznają mundur.

Ludzie z miejscowej policji i biura szeryfa często do nich wpadali. W styczniu pokazywali mu zdjęcie poszukiwanego przestępcy, zaręczonego z dziewczyną pracującą w knajpie. W marcu ostrzegali, że w okolicy kręci się znany pedofil, i prosili, żeby się za nim rozejrzeć.

Pomyślał, że tym razem może chodzić o tego czarnego dzieciaka, który właśnie zaczął pracę w Boost Yer Game. Tydzień wcześniej Kellaway zauważył, że chłopak wynosi tylnym wyjściem jakieś pudła i ładuje je do zardzewiałego, rozpadającego się forda fiesty. Kellaway powiedział mu, żeby stanął przy samochodzie i położył ręce na dachu, bo podejrzewał, że dzieciak zwija jakieś buty. To było na godzinę przed otwarciem i chłopak nie miał na sobie uniformu, a Kellaway nigdy wcześniej nie widział jego twarzy, nie wiedział, że jest nowy w robocie ani że dostał polecenie zawieźć nowe szykowne najki do outletu w Daytona Beach. No i wyszło na to, że Kellaway jest rasistą, a nie facetem, który po prostu się pomylił.

Tak bardzo się zresztą nie pomylił. Chłopak miał na zderzaku naklejkę ZALEGALIZOWAĆ GEJOWSKĄ MARIHUANĘ, jakby chciał pokazać środkowy palec reszcie świata dbającej jeszcze o zasady. Kellaway miał nadzieję, że Acosta przyszeła mu powiedzieć, że dzieciak był znanym rozrabiaką i że chce przeszukać jego fiestę, bo może ukrywać tam broń albo narkotyki. (Przy okazji zastanowił się, dlaczego najbardziej amerykańska z amerykańskich firm samochodowych nazwała jeden ze swoich modeli Fiesta, co brzmiało raczej jak promocyjny posiłek w meksykańskiej knajpie Taco Bell.



Chociaż pewnie fabryka, która robi te samochody, mieści się w Tijuanie, więc nazwa pasuje).

Ale zanim Acosta się odezwała, Kellaway zauważył, że Ed Dowling jest blady. Zorientował się też, że Joanie specjalnie na niego nie patrzy i udaje, że interesuje ją coś na ekranie jej przedpotopowego della; Joanie, która wtrącała się do każdej rozmowy i nie pozwalała odwiedzającym biuro odejść, dopóki nie odpowiedzieli na dziesiątki głupich pytań: czym się zajmowali, skąd pochodzili i czy widzieli ostatni odcinek *Dr. Phila*. Kellaway poczuł przelotną obawę, chwilowy niepokój, psychiczny odpowiednik przytłumionego, odległego uderzenia pioruna.

– No to słucham – powiedział.

– Proszę bardzo, skarbie – odparła Acosta i wcisnęła mu w ręce jakieś złożone papiery.

Jego spojrzenie przesunęło się po drukowanych literach: CZASOWY ZAKAZ SĄDOWY W CELU OCHRONY PRZED PRZEMOCĄ DOMOWĄ, WEZWANIE NA PRZESŁUCHANIE i ZOBOWIĄZANY DO STAWIENIA SIĘ I ZŁOŻENIA ZEZNAŃ.

– Mocą prawa obowiązującego w stanie Floryda ma pan zakaz fizycznego zbliżania się do Holly Kellaway, zarówno w jej obecnym miejscu zamieszkania przy Tortola Way czternaście dziewiętnaście, jak i w jej miejscu pracy w Tropic Lights Cable Network przy Kitts Avenue pięćdziesiąt czterdzieści, a także zbliżania się do jej syna...

– Naszego syna.

– ...George'a Kellawaya w przedszkolu Bushwick Montessori przy Topaz Avenue. W przypadku pojawienia się w odległości stu pięćdziesięciu metrów od ich miejsca zamieszkania, jej miejsca zatrudnienia albo przedszkola pana syna będzie pan aresztowany za pogwałcenie zakazu zbliżania się, czy to jasne?

– Z jakiego powodu?

– Będzie musiał pan zapytać sędziego podczas przesłuchania, którego datę wyznaczono na...

– Pytam panią. Z jakiego powodu stan Floryda zabrania mi się zbliżać do własnego dziecka?

– Naprawdę chce pan o tym rozmawiać przy swoich współpracownikach? – spytała.

– Nigdy nawet nie tknąłem palcem tej histerycznej suki. Ani chłopca. Jeśli ona mówi coś innego, to kłamie.

Acosta nagle zapytała:

– Panie Kellaway, czy celował pan do niej z broni?

Nie odpowiedział.

Joanie parsknęła jak zmęczony koń i zaczęła energicznie walić w klawiaturę, cały czas wpatrując się w ekran komputera.

– Jeśli przyjdzie panu do głowy, żeby do niej zadzwonić – ostrzegła Acosta – proszę tego nie robić. Ma pan zakaz jakiegokolwiek kontaktu bezpośredniego. Jeżeli chce jej pan coś przekazać, proszę to zrobić przez prawnika. Niech on jej powie. Tak czy inaczej, powinien pan mieć prawnika podczas przesłuchania.

– Więc zostanę aresztowany, jeśli zadzwonię, żeby powiedzieć „dobranoc” mojemu sześcioletniemu synowi? Czy mam wynająć prawnika, żeby dzwonił do niego co wieczór i czytał mu bajki na dobranoc?

Acosta mówiła dalej, jakby Kellaway w ogóle się nie odezwał:

– Ma pan wyznaczony termin przesłuchania. Data i godzina są w papierach. Jeśli nie pojawi się pan na przesłuchaniu, może się pan spodziewać, że zakaz zbliżania się zostanie bezterminowo przedłużony. Może pan przyjść na przesłuchanie z prawnikiem albo sam, panie mądralo, to zależy od pana. Od kiedy żona się wyprowadziła, pewnie je pan na kolację mrożone dania i może mieć pan ich dość. Ale proszę mi wierzyć, są i tak lepsze niż to, co dają

w więzieniu hrabstwa. Niech pan posłucha mojej rady i nawet nie spojrzysz na swoją eks, dopiero na przesłuchaniu, jasne?

Kellawaya zemdliło. Miał ochotę przywalić swoją chromowaną latarką prosto w tę jej nalaną buźkę. Nosiła fryzurę jak lesba, na pewno nie wzięliby jej do marines z takimi włosami.

– To wszystko? Skończyliśmy?

– Nie.

Nie podobał mu się sposób, w jaki to powiedziała, jakby była z czegoś zadowolona.

– Co jeszcze?

– Ma pan broń przy sobie albo w samochodzie?

– Jakie to ma znaczenie, do kurwy nędzy?

– Nakazem sądowym stanu Floryda ma pan zdać broń palną w biurze szeryfa, dopóki sędzia nie zdecyduje, czy może ją pan bezpiecznie nosić.

– Jestem ochroniarzem – podkreślił.

– Ochroniarze w centrum handlowym noszą broń? Pana kolega jej nie miał, kiedy tu wszedł. – Kellaway nie odpowiedział, więc Acosta spojrzała przez okienko na Joanie i Eda. – Macie obowiązek nosić broń w pracy?

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Słyszeć było tylko buczenie maszyny z napojami.

– Nie, proszę pani – odparł w końcu Eddie Dowling, robiąc głupią minę i zerkając przepaszająco na Kellawaya.

– A w ogóle wolno wam mieć przy sobie broń? – spytała policjantka.

– Nie przez pierwszy rok, proszę pani – poinformował ją Ed. – Ale potem to nie jest zabronione, tylko trzeba to robić dyskretnie.

– W porządku – odpowiedziała i znowu spojrzała na Kellawaya. – Ma pan broń?

Czuł żyłą pulsującą na środku czoła. Postanowiła sama go sprawdzić, popatrzyła na jego pas – nic tam nie miał oprócz krótkofalówki i latarki – a następnie omiotła wzrokiem całą sylwetkę, w górę i w dół.

– Co chowa pan przy kostce? – zapytała. – Colta pythona czy siga?

– Skąd pani... – zaczął i zagryzł wargi.

Holly. Ta głupia, przewrażliwiona suka podała ludziom z biura szeryfa spis jego broni.

– Panie Kellaway, proszę oddać broń. Wypiszę panu kwitek.

Przez dłuższą chwilę tylko na nią patrzył, a ona uśmiechała się do niego miło. W końcu oparł stopę o musztardową dwuosobową kanapę pod ścianą, tę z połatanymi poduszkami, i podciągnął nogawkę.

– Jasne, już widzę, jak ktoś nosi pieprzonego colta pythona przy kostce. Miała pani kiedyś w ręce colta pythona? – spytał, odpinając kaburę, by zaraz ją poluzować i zdjąć.

– No, byłoby ciężko z pełnowymiarowym pythonem, ale dałoby się z krótkim. Pana eks nie była pewna, którego pan ma.

Podał jej siga. Sprawnie wyjęła magazynek, odciągnęła zamek i zerknęła do komory, żeby się upewnić, że jest pusta. Kiedy nie miała już wątpliwości, że broń jest bezpieczna, wsadziła ją do przezroczystej, plastikowej torby z suwakiem i położyła na kontuarze ze sklejki. Pogrzebała w skórzanej teczce, wyciągnęła świstek papieru i pochyliła się nad nim.

– Colta trzyma pan w schowku?

– Musi pani mieć nakaz, żeby sprawdzić.

– Nie muszę. Nie w tym przypadku. Mam pozwolenie od Russa Dorra, dyrektora generalnego Sunbelt Marketplace, firmy, która posiada to centrum. Może pan do niego zadzwonić i sam zapytać, jeśli mi pan nie wierzy. Pana schowek nie należy do pana, tylko do niego.

– A co, jak go tam nie mam? Pojedzie pani ze mną do domu? Do tego musi mieć pani nakaz.

– Nie musimy jechać z panem do domu, panie Kellaway. Już tam byliśmy. Pana żona dała nam klucze i udzieliła pozwolenia na wejście, to jej prawo. Jest współwłaścicielką. Ale nie znaleźliśmy colta ani siga – zerknęła na papier – ani uzi. Serio? Uzi? To jak jakiś pieprzony Rambo, panie Kellaway. Ze względu na pana mam nadzieję, że pan go nie przerabiał.

– To spadek – powiedział. – Z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, jeszcze według starych przepisów. Jeśli pani chłopcy przeszukali moje biurko, na pewno znaleźli na niego papiery. Jestem legalnym właścicielem.

– Pewnie sporo kosztował. Ochrona centrów handlowych to musi być zatem opłacalna robota. Czy tak jest? Czy dostaje pan kupę forsy za pilnowanie, żeby nikt nie zwędził batona i nie uciekł?

Otworzył schowek i wręczył jej colta, rękojeścią do przodu, z otwartym bębenkiem. Wytrząsnęła kule na dłoń, zakręciła bębenek i zatrzęsnęła go szybkim ruchem nadgarstka. Rewolwer powędrował do plastikowej torby razem z sigiem. Acosta wypisała pokwitowanie na swoim bloczku, który przypominał te używane przez kelnerki. To tym powinna się zajmować, odbieraniem zamówień gdzieś w Waffle House.

– Uzi jest w samochodzie? – spytała.

Zamierzał poprosić o nakaz, ale kiedy otworzył usta, napotkał jej spokojne spojrzenie, którego nie mógł znieść. Oczywiście, że miała nakaz. Chciała mu go pokazać, znowu go upokorzyć.

Poszła za nim przez długi korytarz i metalowe drzwi aż na parking. Po całym dniu spędzonym w zamkniętym centrum popołudniowe słońce zawsze wprawiało go w zdumienie: wyostrzone widoki i smak oceanu w powietrzu. Pióra liści palmowych poruszały się z suchym

szelestem. Słońce stało nisko na zachodzie, a na niebie rozciągał się złoty blask, przyszarzały z powodu spalin.

Ruszyła za nim przez asfalt. Roześmiała się, kiedy zobaczyła jego samochód.

– Serio? – zapytała. – Tego się nie spodziewałam.

Nie patrzył na nią. Jeździł jaskrawoczerwoną toyotą prius. Kupili ją ze względu na dzieciaka, bo George martwił się o pingwiny. Oglądali pingwiny w prawie każdy weekend w akwarium. George mógł cały dzień przyglądać się, jak pływają.

Kellaway uchylił bagażnik. Uzi spoczywało w czarnym, twardym futerale. Wstukał kod, otworzył zamki i odsunął się, żeby Acosta mogła zobaczyć broń, ułożoną starannie w wyciętej piance. Nienawidził tej Latynoski i jej lesbijskiej fryzury, ale i tak poczuł zaskakującą przyjemność, pozwalając jej podziwiać broń, czarną i naoliwioną, i tak czystą, jakby wyszła prosto z fabryki.

Na Acoście nie zrobiło to jednak wrażenia. Gdy się odezwała, jej głos był matowy i pełen niedowierzania.

– Zostawia pan automatyczne uzi w samochodzie?

– Iglica jest w moim schowku. Chce ją pani? Będę musiał po nią wrócić.

Zatrzasnęła pokrywę plastikowego pojemnika, wyjęła swój bloczek kelnerki i znowu zaczęła pisać.

– Niech pan przeczyta zakaz zbliżania się, panie Kellaway – powiedziała, oddała pokwitowanie i wręczyła mu je. – I jeśli pan czegoś nie rozumie, proszę poprosić prawnika, żeby panu wyjaśnił.

– Chcę porozmawiać z synem.

– Sędzia się o to zatroszczy, na pewno, za piętnaście dni.

– Chcę zadzwonić do mojego chłopca i powiedzieć mu, że u mnie wszystko w porządku. Nie chcę, żeby się bał.

– My też nie. Dlatego otrzymał pan zakaz zbliżania się. Miłego dnia, panie Kellaway.

Kiedy odeszła z plastikowym pojemnikiem o krok, nie mógł się powstrzymać i cisnął zakazem w jej plecy. Kielich goryczy przelał się, gdy zasugerowała, że jej praca polega na chronieniu jego syna przed nim. Papiery uderzyły ją między łopatkami, jak strzałka. Zesztywniała i zatrzymała się tyłem do niego. A potem ostrożnie postawiła pojemnik z uzi na asfalcie.

Gdy się odwróciła, miała uśmiech od ucha do ucha. Nie wiedział, co by się stało, gdyby odpięła od pasa kajdanki – co by wtedy zrobił. Ale ona tylko pochyliła się i podniosła papiery, a następnie dała krok w jego stronę. Kiedy podeszła na odległość kilku centymetrów, zdumiała go jej masa. Była nabita jak zapaśniczka. Delikatnie wetknęła papiery w kieszeń jego koszuli, obok wielofunkcyjnego scyzoryka w skórzanym futerale.

– Daj spokój, skarbie – odezwała się. – Lepiej będzie, jak je zatrzymasz i pokażesz prawnikowi. Jeśli chcesz odzyskać prawo do odwiedzin u dzieciaka, i w ogóle mieć prawo go zobaczyć, powinieneś wiedzieć, o co cię oskarżają. Wyobraź sobie, że zgubiłeś się w lesie, a to jest kompas. Rozumiesz?

– W porządku.

– I lepiej, żebym ci nie postawiła zarzutu próby ataku, groźby czy zastraszenia wymierzonej w stróża prawa stanu Floryda, bo może on zamknąć twoją dupę za kratkami i upokorzyć cię przed kolegami i przechodniami, i Bogiem, i przed wszystkimi. Lepiej, żebyś nie sprawiał kłopotów stróżom prawa, bo mogą wpaść na przesłuchanie w sądzie i powiedzieć to i owo o rzucaniu przedmiotami i kiepskim kontrolowaniu emocji. Nadażasz?

– Tak. Rozumiem. Jeszcze jakieś pytania?

– Nie – odparła, podniosła pojemnik z uzi i przez chwilę się wahała. Spojrzała mu w oczy. – A właściwie tak. Zapytałam, czy celował pan do żony z broni, ale pan nie odpowiedział.

– I nie zamierzam.

– Nie ma sprawy. Zastanawia mnie jednak coś innego.

– Co?

– Czy kiedykolwiek celował pan do syna? Mówił jej pan, że jeśli spróbuje go zabrać, rozwali pan jego mózg na ścianie.

Wnętrznosci Kellawaya zapiekły jak polane kwasem. Chciał w nią rzucić czymś jeszcze, w twarz, zranić jej usta, zobaczyć krew. Chciał iść do aresztu – ale jeśli go zamkną, na zawsze straci prawa do George’a. Nie poruszył się. Nie odpowiedział.

Wydawało się niemożliwe, żeby Acosta zdołała uśmiechnąć się szerzej, a jednak.

– Po prostu jestem ciekawa, skarbie. Nie rób niczego, co cię wpędzi w kłopoty, słyszysz? Bo ja nie chcę cię więcej widzieć, a ty powinienes jeszcze mniej chcieć się spotkać ze mną.



## 1 lipca 2013

W dniu urodzin Jima Hirsta Kellaway wyjechał z St. Possenti w kierunku pożaru. Na tylnym siedzeniu miał prezent dla starego kumpla.

Na autostradzie ścielił się dym, szara, szczypiąca w oczy mgła śmierdząca płonącym wysypiskiem. Dzieciaki zaczynały świętować 4 Lipca kilka dni wcześniej i w krzakach za parkingiem dla przyczep rzucały w siebie petardami Black Cat. A teraz pożar pochłonął już jakieś trzydzieści hektarów. Las narodowy Ocala palił się jak stóg siana.

Farma Jima Hirsta znajdowała się pół kilometra od autostrady, na końcu wysypanej żwirem drogi z podmokłym, porośniętym czarnymi namorzynami gruntem po obu stronach. Budynek miał tylko parter, omszały i zapleśniały dach zapadał się w kilku miejscach, a rynny dusiły się liśćmi. Plastikowe płachty okrywały pół domu tam, gdzie obicie ścian zostało usunięte, a okna wyrwane jak zęby, po których pozostały ziejące otwory. Tak było od trzech lat. Jim wyskrobał trochę pieniędzy, żeby rozpocząć remont, ale nie dość, żeby go skończyć. Światła się nie paliły, a przed domem nie stał van przystosowany do wózka, więc gdyby Kellaway nie usłyszał strzałów dochodzących z tyłu, mógłby pomyśleć, że nikogo nie ma.

Obszedł niewykończoną połowę domu. Wielkie płachty plastiku łopotwały ciężko, poruszane bryzą. Strzały rozbrzmiewały w miarowych odstępach, jak pod dyktando metronomu ustawionego

w rytmie cztery na cztery. Urwały się, kiedy wyszedł z za rogu na tylne podwórko.

Jim Hirst siedział na wózku elektrycznym, a na ziemi obok ustawił sześciopak; dwie puszki, już puste, wały się w trawie. Na kolanach miał broń, mały, wyrafinowany pistolet automatyczny z wyjętym magazynkiem. Karabin AR opierał się o wózek. Jim miał dużo broni. Bardzo dużo. W garażu trzymał całkowicie automatyczny, lekki karabinek maszynowy M249, ukryty pod deskami w podłodze pod stołem. Identyczny był zamontowany na humvee, którym jeździli razem podczas sześciu miesięcy w Zatoce. Ale Kellawaya w nim nie było, kiedy wóz wjechał na rosyjską minę lądową, która nieomal rozdarła na dwoje pojazd i Jima Hirsta. W tym czasie Kellaway został przeniesiony do aresztu wojskowego i w twarz wybuchła mu tylko jego własna przyszłość w armii.

– Nie widziałem vana. Myślałem, że zapomniałeś o mojej wizycie i gdzieś sobie pojechałeś – powiedział Kellaway. – Wszystkiego najlepszego.

Jim odwrócił się i wyciągnął dłoń. Kellaway rzucił mu butelkę dwudziestodziewięcioletniej Bowmore Single Malt. Szkocka miała mosiężny odcień jak płynne złoto, jakby ktoś przedestylował wschód słońca. Jim podniósł ją za szyjkę i przyjrzał się z podziwem.

– Dzięki, chłopie – odparł. – Mary kupiła w supermarkecie ciasto cytrynowe. Poczęstuj się, a potem przyjdź wypróbować moją nową zabawkę.

Uniósł z kolan pistolet. To był szary webley & scott z laserowym celownikiem, całkiem jak w filmach szpiegowskich. Przy biodrze miał pudełko 95-granowej amunicji. Pociski z pustymi czubkami, które wybuchały jak purchawki, kiedy uderzały w miękką tkanę.

– Mary ci to dała? To się nazywa uczucie.

– Nie, chłopie, sam to sobie dałem. Mary wymasowała mi prostatę, oto co dla mnie zrobiła.

– To znaczy wsadziła ci palec do dupy? – Kellaway próbował ukryć niesmak.

– Ta dziewczyna ma klasę. To plus pompka próżniowa na wacku i wszystko działa. To się nazywa miłość. Zwłaszcza że dla niej to nie tyle seks, ile czyszczenie zapchanej rury. – Wybuchł śmiechem, który przeszedł w ciężki, rżący kaszel. – Chryste, ten pieprzony dym.

Kellaway zgarnął butelkę whisky z kolan Jima.

– Przyniosę szklanki.

Przecisnął się przez siatkowe drzwi. Mary była w kuchni, siedziała przy stole. Była chudą, kościstą kobietą z głębokimi bruzdami wokół ust i włosami, które kiedyś lśniły jak kasztany, ale dawno już spłowiały do mysiego koloru. Wysyłała SMS-a i nie podniosła głowy. Na wierzchu pełnego po brzegi kubła na śmieci leżała pielucha dla dorosłych i pomieszczenie śmierdziało gównem. Muchy brzęczały wokół śmieci i wokół cytrynowego ciasta na stole.

– Dam ci szklankę szkockiej za kawałek ciasta.

– Umowa stoi – powiedziała.

Zajrzał do szafki i wyjął kilka filiżanek do kawy. Nalał jej whisky na wysokość trzech centymetrów i usiadł obok. Kiedy się pochylił, zobaczył, że wysyłała do kogoś serię serduszek.

– Gdzie jest van? – spytał.

– Zabrali go.

– Co to znaczy: zabrali go?

– Zalegamy z płatnościami od sześciu miesięcy – wyjaśniła.

– A co z czekami z armii?

– On je wydaje na inne potrzeby.

– Jakie inne potrzeby?

– A takie, w których teraz naciska spust. – Znowu było słycać strzały. Oboje słuchali ich, dopóki nie umilkły. – Woli macać je niż mnie – dodała Mary.

– To urocza myśl, Mary. Dzięki za ten obraz.

– Może gdyby sprzedał jeden albo dwa, mielibyśmy w salonie okna zamiast dziur w ścianach. Miło byłoby mieszkać w domu z oknami.

Kellaway ukroił dwa kawałki ciasta, a w międzyczasie schylił się, żeby jeszcze raz zerknąć na jej telefon. Mary nie uniosła głowy, ale obróciła aparat ekranem do dołu.

– Jim jadł już kawałek rano. Nie powinien drugiego.

– Nie?

– Ma nadwagę i cukrzycę i nie powinien nawet jeść pierwszego.

Wyglądała na zmęczoną, miała ciemne kręgi pod oczami.

– Jak sobie dajecie radę bez vana? – zapytał.

– Przyjaciele z mojej pracy czasem nas podwożą.

– To do jednego z nich teraz esemesowałaś? Do przyjaciela z pracy?

– A jak twój synek radzi sobie z faktem, że widuje tatusia, tylko kiedy pozwoli sędzia, i to w towarzystwie policjanta? To musi być dziwne dla was obu. Jak rodzinne odwiedziny w więzieniu.

Kellaway nałożył na talerz kawałek ciasta dla Jima i jeszcze jeden dla siebie i wyszedł z filiżankami w jednej ręce i butelką w drugiej.

Ustawił talerz na lewym kolanie Jima i wziął od niego broń. Zaczął ładować naboje do magazynka, a Jim jadł ciasto palcami. Już w armii był dużym facetem, ale wtedy większość masy przypadła na klatę i ramiona. Teraz roztył się w talii i jego tłusta, okrągła twarz była pomarszczona i pofałdowana.

Na tyłach podwórza, na rozwalonym, potrzaskanym ogrodzeniu, wisiały przyczepione cele: Barack Obama w wersji zombie, Osama bin Laden w wersji zombie i rozdęta fotografia Dicka Cheney'a. Jim Hirst lubił pogardzać wszystkimi partiami na scenie politycznej.

– Kupiłeś tego gnata dla siebie? – spytał Kellaway, waząc go w rękę.  
– Wygląda jak pistolet na wodę. Co jest z tą rękojeścią?

– A może najpierw strzelisz, a potem będziesz krytykował?

Broń była tak mała, że prawie zniknęła w dłoni Kellaway'a. Uniósł ją, zerknął przez celownik i zobaczył zieloną kropkę wędrującą po czole Baracka Obamy.

– Od kiedy kręci cię takie gówno w stylu Jamesa Bonda? – dopytywał.

– Od zawsze. Celowniki laserowe, pociski zapalające. Nie mogę się doczekać inteligentnej broni, jeśli Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie w ogóle na nią pozwoli. Chciałbym gnata, który zna moje imię i wie, jaką kawę lubię. Kto by nie chciał?

– Ja – powiedział Kellaway i wypalił. Władował kulę w lewe oko Obamy, drugą w czoło, trzecią w gardło, kolejną w usta zombie bin Ladena, dwie w rozrusznik serca Dicka Cheney'a. – Wolę Bruce'a Willisa od Rogera Moore'a. Nie chcę broni z wiązką laserową i brytyjskim akcentem. Chcę broń, która gada po amerykańsku i wygląda jak zrobiona specjalnie do robienia dziur w szkolnych autobusach.

– A czemu chcesz strzelać do szkolnych autobusów?

– Jakbyś znał dzieciaki z mojej okolicy, tobyś wiedział.

Kellaway zamienił broń na whisky i wypił łyk. Szkocka smakowała słodkavo wanilią, ale spływała do przełyku jak benzyna, paląc gardło. Czuł się jak ładunek wybuchowy, który czeka, żeby ktoś pociągnął za spust.

– Mary ma humory – stwierdził.

– Mary zawsze ma humory – odpowiedział Jim i rozpedził ręką opar w powietrzu. Zamrugał czerwonymi oczami i lekko zakaszłał. Kellaway zastanawiał się, czy to tylko dym, czy jest przeziębiony. –

Wyszła w ostatnią sobotę wieczorem, moja torba na siki się przepełniła, rurka wyskoczyła i zmoczyłem gacie.

Kellaway nie współczuł mu przesadnie.

– Nie możesz sam zmienić worka na siki?

– Zapomniałem sprawdzić. Mary to robi. Ale poszła się nawalić z kumpelami w TGI Fridays. Lubią wyjść razem w weekend i ponarzekać na swoich facetów. Mary ma pewnie najwięcej do powiedzenia z nich wszystkich. Jej przyjaciółki mogą sobie gadać, że nie bzykają się za często, ale żaden z ich chłopów nie potrzebuje pompki, żeby mu stanął na trzydzieści sekund. – Metodycznie przeładował pistolet. – Siedzę w kałuży sików, a ona wraca i od razu zaczyna do mnie o forsie, że nie przyjęli jej karty kredytowej. Jakbym miał za mało problemów.

– Tak. Coś wspominała przed chwilą. Chce, żebyś sprzedał trochę broni.

– Już widzę tę kupę szmalu. Wszyscy sprzedają broń w sieci. Jest tańsza niż stal, z której została zrobiona.

– A masz coś na zbyciu? To znaczy coś takiego, czego Amerykanin nie musi się wstydzić. Nie jeden z tych pistoletów, co to masz ochotę z nich strzelać z odchylonym małym palcem, jakbyś był na herbatce i ciasteczkach u królowej.

Jim podniósł filiżankę z whisky i przytrzymał przy wargach, ale nie pił.

– Jeśli chcesz się poczuć jak rewolwerowiec, to mam supermaga kalibru .44. Zrobi dziurę wielkości kapusty w każdym frajerze, w którego wycelujesz.

– Może coś mniejszego.

Jim pociągnął duży łyk i zakaszał ciężko w pięść.

– Znajdzie się kilka rzeczy. Możemy pogadać. Mary by się uspokoiła, jakbyś wziął za parę dolców jeden ze starszych modeli.

– Jim, nie mogę ci pokazać zezwolenia. Wisi nade mną ten zakaz. Kurewska prawniczka tej suki zniszczyła mnie w sądzie.

– Hej, ty nic nie mówisz, ja o nic nie pytam. Nie sprawdzam zezwoleń. Nie jestem handlarzem bronią. Nie będę miał kłopotów. Może ty, ale nie ja.

Jim dotknął dżojstika na prawym oparciu wózka i obrócił się z wyciem silniczka. Potem zatrzymał się i rzucił Kellawayowi mroczne, zadziorne spojrzenie.

– Ale jak ci sprzedam broń, będziesz musiał mi obiecać jedną rzecz.

– Tak? A co?

– Jeśli będziesz chciał zabić parę osób, obiecaj, że zaczniesz ode mnie.

## 6 lipca 2013

### 9.38

Rog wysłał jej SMS-a z pytaniem, czy mogłaby wpaść pół godziny przed otwarciem. Becki odpisała: **Ja też chcę, BARDZO**, ale nie odpowiedział.

W samochodzie nałożyła jasną szminkę, od której wargi wyglądały jak pokryte sperma. Poprawiła sweterek, żeby było widać koronkę na brzegach szmaragdowo-czarnego stanika, a po chwili zastanowienia sięgnęła pod spódnicę i ściągnęła majtki. Wcisnęła je do schowka, obok prezentu, który zawsze tam leżał, od świąt.

O tej godzinie centrum handlowe Miracle Falls było chłodne i ciche, prawie puste, większość sklepów, wciąż zamknięta, miała na szerokich wejściach opuszczone kraty. W Boost Yer Game było otwarte, ale dwaj kolesie, którzy mieli poranną zmianę, tylko się zabawiali, wrzucając piłkę do kosza ustawionego pośrodku sklepu. Ich radosne okrzyki i piszczenie sneakersów o podłogę niosły się po korytarzu do centralnie położonego atrium.

Po drodze do Devotion Diamonds Becki nie widziała nikogo oprócz Kellawaya, głównego gliny w centrum, chociaż tak naprawdę wcale nie był gliną. Rog mówił, że prawdziwe gliny go nie chciały, że w Iraku, w Abu Ghurajb, robił jakieś paskudne rzeczy i został dyscyplinarnie zwolniony. Rog mówił, że Kellaway łązi po centrum za



dzieciakami i tylko ściska swoją wielką latarkę, jakby szukał pretekstu, żeby rozwalić kilka głów. Becki i Kellaway szli w tym samym kierunku, ale dziewczyna trzymała się parę kroków z tyłu, dopóki nie odmaszerował w stronę głównych schodów. Miał dziwnie bezbarwne oczy w odcieniu zimnej wody unoszącej się nad bardzo jasnymi kamieniami. Sprawiały niepokojące wrażenie, że jest ślepy.

Sklep Devotion Diamonds znajdował się u szczytu schodów, jego pleksiglasowe drzwi były do połowy otwarte. Becki odwróciła się bokiem i wślizgnęła pomiędzy skrzydła.

Dla niej salon wystawowy zawsze pachniał pieniędzmi, jak wnętrze nowego samochodu. Kamienie szlachetne jeszcze nie były wyłożone w witrynach, tkwiły w szufladach.

Zamknięte drzwi do biura na tyłach sklepu ciężko było odróżnić od boazerii z imitacji wiśniowego drewna. Ale teraz były częściowo uchylone, a za nimi lśnił prostokąt fluorescencyjnego światła.

Becki popchnęła drzwi do końca. Rog siedział za biurkiem; miał na sobie żółtą koszulę i szeroki, brązowy, robiony na drutach krawat. Palił, co ją zdumiało. Nigdy nie widziała, żeby palił rano. Rozchylił wielkie okno z tyłu pokoju, pewnie żeby wywietrzyć zapach papierosów, co było dość zabawne. Do środka wpadało więcej dymu z pożaru lasu Ocala, nadając powietrzu dziwny wygląd, jak w filmach. Rog napisał coś na swoim olbrzymim iMacu, wcisnął klawisz i obrócił się na krześle, żeby na nią spojrzeć. Pstryknął papierosem przez otwarte okno i nawet nie popatrzył, gdzie poleciał niedopałek. Gesty Roga były gwałtowne i urywane i nie pasowały do niego. Zdenerwowała się.

– Cześć, Dzidzia – powiedział.

– O co chodzi? – spytała.

Ta Dzidzia jeszcze bardziej ją zaniepokoiła. Tak ją nazywał, dopóki nie zaczęli się pieprzyć. Nazywał też Dzidziami inne dziewczyny,

które dla niego pracowały, taki pieśczośliwy, tatusiowy przydomek.

Ścisnął palcami nasadę nosa.

– Jedna z przyjaciółek mojej żony poradziła jej, żeby zajrzała na twój Instagram.

Żołądek Becki się zacisnął, ale udało się jej zachować twarz bez wyrazu.

– Tak? A czy to ważne? Nie jesteśmy razem na żadnym zdjęciu.

– Jest fotka z tobą na mojej łodzi.

– A skąd wiadomo, że to twoja łódź? – Zmrużyła oczy i próbowała sobie przypomnieć, co znalazło się na zdjęciu. To było selfie, szczyrzyła się do aparatu, a w jednej ręce trzymała zielone appletini; kolor drinka pasował do cytrynowej góry od kostiumu. Podpis głosił coś w rodzaju: „Póki nie jesteśmy w południowej Francji, jacht chłopaka to jedyne miejsce, gdzie można poopalać się nago. LOL”. – Mogła być czyjokolwiek.

– Myślisz, że moja żona nie pozna mojej łodzi?

– No... to jej powiedz, że cię spytałam, czy mogę z niej skorzystać. Powiedz, że byłam z chłopakiem. – Oparła dłonie na krawędzi biurka i ramionami przycisnęła piersi do siebie, a potem pochyliła się, żeby go pocałować. – To nawet nie będzie kłamstwo – wyszeptała.

Odsunął się od niej na krześle, żeby nie mogła go dotknąć.

– Opowiedziałem jej inną bajeczkę.

Wyprostowała się i objęła ramionami.

– Co takiego?

– Że zabrałaś kluczyki z mojego biurka, bez pytania. Że pewnie chciałaś sobie popływać. Zapytała, czy cię zwolnię. Obiecałem jej, że zanim dzisiaj otworzymy, już cię tu nie będzie. – Przesunął w jej stronę po blacie biurka małe kartonowe pudło. Wcześniej w ogóle go nie zauważyła. – Miałem w samochodzie trochę twoich rzeczy. I jeszcze kilka drobiazgów z szafki. Chyba pozbierałem wszystko.

– No, do diabła. Może powinniśmy bardziej uważać. Szkoda, że musisz mnie wylać. Liczyłam na parę kolejnych wypłat. I w sumie szkoda, że jak już musiałeś nakłamać żonie, to wyszłam na zdziwę.

– Dzisiaj – przerwał jej. – Nie żałuję nawet minuty tego, co było między nami. Nawet minuty. Ale zacznę, jeśli potrwa to minutę dłużej. A więc tak się miały sprawy.

Ponownie trącił pudełko.

– Tam w środku jest jeszcze coś dla ciebie. Dowód moich uczuć.

Odchyliła pokrywkę i wyjęła małe, czarne aksamitne pudełko, które leżało na wierzchu skłębionych rzeczy. W środku była srebrna bransoletka w kształcie pięciolinii, z kluczem wiolinowym ze sztucznych diamentów. Tanie gównno, które im nie schodziło.

– Byłaś dla mnie jak muzyka, dzieciaku.

To też zabrzmiało tanio. Wyglądałoby kiepsko nawet na kartce z życzeniami.

Rzuciła czarne aksamitne pudełko na biurko.

– Nie chcę tego szajsu. Co ty w ogóle wyprawiasz?

– Wiesz, co wyprawiam. Nie utrudniaj tego, i tak jest mi wystarczająco ciężko.

– Jak możesz woleć ją ode mnie. – Becki oddychała z trudem. Pokój śmierdział dymem, odorem pożaru w lesie Ocala i w powietrzu brakowało tlenu. – Przecież jej nienawidzisz. Mówiłeś mi, że nie możesz znieść jej głosu. Cały dzień się zastanawiasz, jak trzymać się od niej z daleka. A poza tym, co masz do stracenia? Mówiłeś, że podpisaliście intercyzę.

To ostatnie słowo zabrzmiało bardzo dorośle w jej ustach.

– Tak, podpisaliśmy intercyzę. Jej intercyzę. Becki... te sklepy należą do niej. Jeśli odejdzie, zostanę w jednej koszuli na grzbiecie. Myślałem, że to rozumiesz. – Spojrzał na zegarek. – Ona zadzwoni za dziesięć minut, żeby sprawdzić, jak mi poszło. No i muszę otworzyć.

Lepiej zastanówmy się, jak mamy się dalej zachowywać. Nie próbuj się ze mną spotykać. Nie przychodź do sklepu. Wyślę ci ostatni czek. Nie wysyłaj esemesów.

Gardło Becki zacisnęło się jeszcze bardziej. W jego głosie dźwięczała brutalna, bezosobowa skuteczność. Mógłby w ten sposób omawiać politykę sklepu z nowym pracownikiem.

– Co za gówno – wykrztusiła z siebie. – Myślisz, że uda ci się to tak zakończyć? Chyba cię popierdoliło, jeśli myślisz, że możesz mnie wyrzucić jak zużytą gumkę.

– Przestań.

– Jak coś, do czego się spuściłeś i na co nie chcesz już patrzeć.

– Nie mów tak, Dzidzia...

– Nie nazywaj mnie tak!

– Becki. – Splótł palce i popatrzył zmęczonym wzrokiem na swoje dłonie. – Wszystko się kończy. Powinniśmy się cieszyć z tego, co mieliśmy.

– Spierdalaj. Razem z tą gównianą bransoletką za pół ceny.

– Ciszej! – warknął. – Nie wiadomo, kto akurat jest w pobliżu. Anne Malamud z Bath and Body Works przyjaźni się z moją żoną. Tak naprawdę to podejrzewam, że to Anne powiedziała jej o twoim Instagramie. Musiała nas zobaczyć, jak się pieprzyliśmy w lamborghini albo coś takiego. Kto wie, co naopowiadała mojej żonie.

– Kto wie, co ja mogłabym jej naopowiadać.

– Co masz na myśli?

– To by była dla ciebie nauczka, nie?

I chciała dodać, że gdyby jego żona dowiedziała się o nich, nie musieliby już zrywać. Nie miała wątpliwości, co wolałby Rog, jeśli miałby wybierać między czterdziestoosmioletnią cipką żony i jej własną.

– Nie rób tego.

– Bo?

– Bo chcę, żeby było miło. Próbuję to miło zakończyć. Próbuję chronić nas oboje. Jeśli jej opowiesz, że ze sobą sypialiliśmy, ona pomyśli, że zmyślasz, bo cię zwolniłem.

– Nie ukradłam twojej łodzi, dupku. Myślisz, że twoja żona nadal będzie w to wierzyć po tym, jak sobie porozmawiamy?

– Już prędzej uwierzy, że wyszłaś stąd z parą diamentowych kolczyków za osiemset dolarów i użyłaś swojej karty, żeby wynieść je ze sklepu, i nigdy nie wróciły.

– O czym ty mówisz, do kurwy? Nie ukradłam żadnych kolczyków za osiemset dolarów.

– Boże Narodzenie – odpowiedział. – Hotel.

– Hotel? – zdziwiła się.

Nie rozumiała, aż wreszcie zrozumiała. Przypomniała sobie tamtą noc, kiedy dał jej rewolwer z rękojeścią z kości słoniowej, tamtą noc, kiedy przystroiła się w klejnoty za pół miliona dolarów.

– Gdy zabrałem biżuterię, żebyśmy się nią pobawili, użyłem twojej karty, nie mojej. A jak sprzątaaliśmy pokój, chyba zapomnieliśmy o kolczykach. Prawdziwy wypadek przy pracy. Oboje jesteśmy udupieni. Problem w tym, że zginęły po tym, jak ty je stąd zabrałaś, na swoje nazwisko.

Zajęło jej dobrą chwilę, żeby sobie to wszystko poukładać.

– Już wtedy, w grudniu, wiedziałaś, że chcesz ze mną zerwać – powiedziała cichym głosem, z niedowierzaniem. Bardziej do siebie niż do niego. – Pół roku temu. Już wtedy wiedziałaś, że zamierzasz mnie wydymać, więc zaplanowałaś jakieś gównno, żebyś wyszła na złodziejkę. Wymyśliłaś ten szantaż pół roku temu.

Nawet przez sekundę nie wierzyła, że zostawili kolczyki w hotelu przypadkowo. To nie był wypadek przy pracy. To było ubezpieczenie.

Pokręcił głową.

– Nie, Dzidzia. To straszne, że w ogóle tak myślisz.

– Co z nimi zrobiłeś? Z tymi kolczykami?

– Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Szczerze, nie wiem. Wiem tylko, że nie wróciły. Daj spokój. To okropne, że w ogóle muszę to mówić. Moje małżeństwo jest starsze niż ty i nie pozwolę, żeby jakaś histeryczna, roszczeniowa szczeniara podarła mi życie na strzępy. Tylko dlatego, że chce dostać coś, czego mieć nie może.

Poczuła, jak ogarnia ją chłód, trzęsła się, było jej tak zimno, że czekała, aż zobaczy własny oddech.

– Nie możesz zrobić czegoś takiego. To nie w porządku.

Odchylił się na krześle, lekko obrócił, wyciągnął nogi i skrzyżował kostki. Po raz pierwszy zauważyła, że ma mały brzuszek piwny, miękki wałek tłuszczu zwisający znad paska.

– Chcę, żebyś poszła do domu, dzieciaku. Jesteś zdenerwowana. Musisz pobyć trochę sama, przemyśleć to. Możesz w to wierzyć albo nie, ale mnie też jest żal. Nie tylko tobie coś nie wyszło.

– A tobie co nie wyszło? Wszystko ci wyszło. Masz to, co zawsze miałeś.

– Nie mam ciebie. Tego mi żal. – Spojrzał na nią spod opuszczonych rzęs. – Idź już. Zachowuj się. Nie próbuj się ze mną kontaktować i, na litość boską, nie próbuj kontaktować się z moją żoną. Nie bądźmy głupi. Chcę jedynie dobrze dla nas obojga.

– Tobie żal? Tobie, kurwa, żal?

– Możesz mi nie wierzyć, ale tak. Przykro mi, że nie możemy zakończyć tego... bardziej pozytywną nutą.

Zadrzała. W jednej chwili czuła gorączkę, a w następnej mróz. Pomyślała, że naprawdę się rozchoruje.

– Mnie ciebie nie żal – powiedziała. – I nikomu innemu też nie będzie.

Popatrzył na nią pytająco, z uniesionymi brwiami, ona jednak nic więcej nie dodała. Nie czuła, że się cofa, dopóki nie uderzyła biodrem o krawędź otwartych drzwi. Uderzenie obróciło ją, wykorzystała to i wyszła z biura. Nie biegła. Szła bardzo sztywno, nie zginając nóg, bez pośpiechu.

Wyszła tylko na jakieś trzydzieści minut.

## 10.03

Becki nie płakała.

Długo siedziała i ścisnęła dłońmi kierownicę tak mocno, że pobielaly jej kłykcie. Ale nigdzie nie odjechała. Po prostu siedziała na parkingu, patrząc na czarne pleksiglasowe drzwi prowadzące do centrum handlowego. Momentami gniew miazdżył jej całe ciało, jakby była astronautą doświadczającym grawitacji w jakimś większym, gęstszym, bardziej przerażającym świecie. Nie mogła zaczerpnąć tchu.

Rog zazwyczaj wychodził z pracy od tej strony. Gdyby go teraz zobaczyła, jak przechodzi przez te lśniące, czarne drzwi i mruży oczy w porannym słońcu, włączyłaby silnik, wdepnęła gaz i wystartowała swoim małym volkswagenem prosto na niego. Myśl o uderzeniu go samochodem – głuchy dźwięk, skowyt, chrzęst opon przejeżdżających po ciele – to wszystko ją podnieciło i pomogło podnieść głowę w obcej grawitacji.

Pieprzył ją przez miesiące i cały czas kombinował, jak się jej pozbyć. Spuszczał się na jej twarz, na włosy, a ona udawała, że to lubi, mrugając rzęsami i mrużąc. Teraz ją to uderzyło: myślał, że jest żalosna i dziecinna, i miał rację. Zachciało jej się krzyknąć do zdarcia

gardła. Siła grawitacji się podwoiła. Potroiła. Czuła, jak miażdży jej narządy.

Doprowadzało ją do szału to, jak łatwo ją zdeptał, zgniótł obcasem. Tak gładko zapędził ją w kąt. Prawdopodobnie rozmawiał w tej chwili z żoną przez telefon, opowiadając bajeczkę, jak to pogadał z Becki, jak trudno było ją wylać i jak ona błagała, szlochała i usprawiedliwiała się. Żona pewnie go pocieszała, że niby to on miał ciężki poranek. To nie było w porządku.

– To. Nie. Jest. W. Porządku – powiedziała przez zęby, nieświadomie naciskając pedał gazu przy każdym słowie. Silnik nie był uruchomiony, ale ona nadal dusiła pedał. – To. Nie. Jest. W. Porządku.

Potrzebowała czegoś, żeby się uspokoić. Szarpnęła za pokrywę schowka, pogrzebała w środku i znalazła należącą do Roga fiolkę kokainy z Putumayo, ostrej jak brzytwa. Sam ją przywiózł z wyprawy do Kolumbii, gdzie kupował szmaragdy. Wchodziła w mózg jak pocisk.

Zobaczyła w schowku swoje zgniecione czarne, koronkowe majteczki. Ich widok ją upokorzył, chwyciła je, żeby z powrotem włożyć. Zaczepiły o rękojeść bożonarodzeniowej broni, która z łoskotem wypadła ze schowka. Rewolwer tkwił wetknięty w kaburę na udo, wyposażoną w sprzączki i paski. Trzymała go tam, chociaż nigdy nie zakładała.

Jego widok był jak łyk świeżego powietrza. Złapała go w dłonie i ścisnęła, całkiem nieruchomo.

Kiedy Becki była dzieckiem, przed Bożym Narodzeniem przyglądała się czasem swojej ulubionej szklanej kuli. W środku był mały staw i ludzie w dziewiętnastowiecznych strojach ślizgali się pomiędzy błyszczącymi płatkami. Nakręcała kluczyk w podstawie, słuchała melodii *Noel, Noel* i opowiadała sobie historie o postaciach zamkniętych w szkle.



Teraz robiła to samo, tylko z bronią zamiast szklanej kuli. Wpatrywała się w srebrną, zdobioną lufę i wyobrażała sobie, jak wchodzi z rewolwerem do Devotion Diamonds. W jej marzeniach Rog ciągle był w biurze, rozmawiał przez telefon z żoną i nie wiedział, że Becki tam jest. A ona podchodziła do aparatu dla klientów i podnosiła słuchawkę.

„Pani Lewis – odzywała się przyjemnym głosem. – Dzień dobry, tu Becki. Chciałam tylko powiedzieć, że cokolwiek Rog o mnie mówił, to nieprawda. On po prostu nie chce się przyznać, że mnie pieprzył. Ostrzegam, że jeśli kiedykolwiek powiem pani prawdę o nas, on załatwi to tak, jakbym ukradła rzeczy ze sklepu, i każe mnie aresztować. Ale wiem, że nie wytrzymałabym w areszcie nawet jednego dnia, nawet jednej nocy, i czuję, że popełniłam z Rogiem grzech cudzołóstwa. Nie potrafię pani tego wynagrodzić, ale chcę przeprosić. Tak mi przykro, pani Lewis. Nigdy pani nie zrozumie jak bardzo”.

I wtedy strzelała do siebie, na środku sklepu, przy telefonie. Dałaby mu popalić. Zostawiłaby go z ciałem i krwią na tym białym włóchatym dywanie.

A może weszłaby do biura, przystawiła sobie broń do skroni i pociągnęła za spust – wszystko tuż przed nim. Zanimby to zrobiła, chciałaby usłyszeć, jak on wrzeszczy. Siedziała w samochodzie i przez pół godziny wrzeszczała słowo „Nie!”, raz za razem. Teraz jego kolej. Czowała, że gdyby usłyszała przynajmniej jedno jego „NIE!”, byłoby to warte kulki w mózgu. Musiała zobaczyć przerażenie na jego twarzy i tę świadomość, że nie kontroluje wszystkiego.

Ale w sumie, jeśli chciała oglądać przerażenie na jego twarzy, może lepiej byłoby wycelować broń w niego. W jego wacka. Ciekawe, czy błagałby tak samo jak ona. Mogłaby go zmusić, żeby napisał SMS-a do żony. Albo żeby zeżarł diamenty za dziesięć tysięcy dolców. Albo żeby wysłał maila do wszystkich w Devotion Diamonds i przeprosił za to, że

pieprzył dwudziestoletnią pracownicę, hańbiąc się w oczach żony oraz Pana. Możliwości wirowały jak jasne płatki śniegu w szklanej kuli, jak błyski w lśniących niczym diamenty kryształkach kokainy z Putumayo.

W końcu wcisnęła się z powrotem w majtki. Poczowała się trochę mniej zbrukana. Słońce stało wysoko nad drzewami i w samochodzie zrobiło się duszno. Nagle uzmysłowiła sobie, że potrzebuje chłodnego powietrza. Wzięła broń ze sobą.

Od zamglonej jasności wczesnego poranka zaczęła boleć ją głowa. Sięgnęła do auta po swoje tanie, różowe okulary przeciwsłoneczne. Nawet lepiej. Przy okazji ukryją jej nabiegłe krwią oczy. Nie wiedziała jeszcze, co robi, ale wiedziała, że robiąc to, chce dobrze wyglądać. Pochyliła się do wnętrza samochodu, wyjęła drukowaną w kwiaty bandanę, którą nosiła na strzelnicy, i związała włosy, żeby utrzymać je z dala od twarzy. Na końcu podwinęła spódnicę i zapięła kaburę na udzie.

Ciągle było wczesnie i centrum handlowe świeciło pustkami. Zaledwie kilkoro ludzi przechadzało się po sklepach. Jej obcasy brzmiały na marmurowej posadzce jak wystrzały. Z każdym krokiem czuła, że zostawia wszystko za sobą, cały lęk.

Po raz drugi tego ranka Becki weszła po schodach w atrium. Była w połowie drogi, kiedy kabura zaczęła ześlizgiwać się po udzie. Becki tego nie zauważyła, dopóki broń nie wylądowała nagle na jej kolanie. Podciągnęła kaburę, nie zwalniając kroku. Nie patrzyła, gdzie idzie, i uderzyła ramieniem chłopaka schodzącego po tych samych schodach. Był to wysoki, chudy, czarny dzieciak, który pracował w Boost Yer Game – niósł dwie mrożone kawy. Nie złapała z nim kontaktu wzrokowego i nie obejrzała się, gdy poprawiała kaburę. Ale była świadoma, że zatrzymał się i gapił na nią.

Nie czuła żadnych emocji. Czuła się szklista i nieożywiona, jak jeden z łyżwiarzy w jej szklanej kuli. Zdumiało ją więc, kiedy u szczytu schodów wykręciła kostkę i potknęła się. Nie wiedziała, że jej nogi drżą. Gruby gość z kręconymi włosami pojawił się znikąd, chwycił ją za łokieć i pomógł się podnieść. W wolnej ręce trzymał pudełko ze śniadaniem z kawiarni. Wypadła z niego jajecznicą, prosto na podłogę.

– Wszystko okay? – spytał.

Był pryszczatym chłopakiem o twarzy jak księżyc, w za ciasnej koszulce polo w paski, które opinały jego cycki. Pachniał gorącym sosem i dziewictwem.

– Spierdalaj – odpowiedziała i wyrwała ramię z jego miękkiej ręki. Brzydził ją jego dotyk.

Zatoczył się na bok, a ona poszła przed siebie, stukając obcasami, ale ta pieprzona kabura znowu zsunęła się na kolano. Widocznie Becki nie dociągnęła pasków dostatecznie mocno. Zakłęła, szarpnęła za klamrę, zdarła kaburę i przycisnęła ją do piersi. Każdy, kto by ją zobaczył, pomyślałby, że to torebka.

Sklep Devotion Diamonds był labiryntem szklanych witryn, kuloodpornych trumien na artystycznie ułożone bransoletki i kolczyki, krzyżyki i medaliony. Rog stał przy stoisku w tylnym rogu. Kończył transakcję z ładną ciemnoskórą kobietą w jasnoszarym płaszczu albo sukni i chuście, jakie noszą Arabki. Hidżab, to było to słowo. Becki była dziwnie z siebie dumna, że je zna. Nie była taka głupia, jak myślał Rog.

Rog przyjmował zamówienie muzułmanki i roztaczał wokół atmosferę łagodnego spokoju, mówiąc miłym, aprobującym tonem, jak zawsze, kiedy rozmawiał z kimś, kto dawał mu pieniądze. Drzwi do biura na tyłach zostawił otwarte i Becki ruszyła w tamtą stronę, trzymając dłonie w dole, broń poniżej poziomu witryn, żeby nikt nie

mógł jej zobaczyć. Przechodząc, złapała spojrzenie Roga i skinęła głową, żeby za nią poszedł.

Zacisnął szczęki. Muzułmanka zauważyła zmianę na jego twarzy i rozejrzała się. Becki dostrzegła, że kobieta ma niemowlę w nosidełku na piersi. Dziecko było zwrócone twarzą do matki, spało w błękitnej czapeczce w paski. Mama miała niesamowite rzęsy, ocieniające jej ciemne oczy, i naprawdę była bardzo ładna. Becki od razu przyszło do głowy pytanie, czy coś przymierzyła i czy Rog jej powiedział, że wygląda nieskazitelnie.

Przeszła obok tej dwójki do biura i przymknęła za sobą drzwi. Trzęsa się od adrenaliny. Nie pomyślała, że wokół mogą być inni ludzie. Okno wychodzące na tylny parking ciągle było otwarte i Becki znalazła się za biurkiem, bo miała nadzieję, że uspokoi ją solidny łyk powietrza.

Z tego miejsca spojrzała na ekran iMaca Roga i zamarła. Zdjęła okulary, odłożyła je i zamrugowała.

– Chwileczkę, proszę pani. – Rog mówił swoim gładkim, aksamitnym głosem, ale Becki znała go na tyle dobrze, żeby rozpoznać tuż pod powierzchnią ledwo stłumioną niecierpliwość. – Za chwilę wrócę.

– Czy wszystko w porządku?

– Absolutnie, absolutnie. Jeden momencik i załatwimy sprawę. Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Becki słyszała jego głos, ale słabo do niej docierał. Był jak hałas w tle, jak szum klimatyzacji.

Na ekranie wyświetlało się otwarte okno Messengera. Rog korespondował z kimś o imieniu Bo. W ostatniej wiadomości wkleił zdjęcie Becki na kolanach, w śliskich, srebrzystych majteczkach, z rozchyłonymi ustami i włosami opadającymi na twarz, schylającej się nad fiutem. Pod spodem było kilka zdań od Roga: **Przynajmniej**

**zawsze będę miał to na pamiętkę. A do tego UWIELBIAŁA w dupę. Nie musiałem nawet prosić. Na drugiej randce.**

A Bo odpowiedział: **Kurwa, nienawidzę cię, chłopie. Dlaczego mnie nigdy nie przytrafiają się takie dobre rzeczy?**

Rog wślizgnął się do biura, zobaczył, że Becki gapi się na komputer, i uszło z niego powietrze.

– W porządku – odezwał się. – Przyznaję, że to było głupie. Nie powinienem nikomu pokazywać tego zdjęcia. Byłem zdołowany i próbowałem się rozweselić w taki prostacki sposób. Zastrzel mnie za to, że też mam uczucia.

Becki wybuchła śmiechem.

## 10.37

Kiedy Kellaway usłyszał pierwszy strzał, rozlał kawę. Na drugi strzał wcale nie zareagował, po prostu stał na środku knajpy, z przekrzywioną głową, i nadśłuchiwał. Dzień Niepodległości dopiero co minął, więc pomyślał, że może jakieś pieprzone dzieciaki bawią się fajerwerkami. Kurewsko się oparzył w rękę, nie zrobił jednak żadnego ruchu, poczekał, aż dźwięk ucichnie. Gdy broń wypaliła po raz trzeci, wrzucił kubek do kosza. Nie trafił – papierowy kubek uderzył w bok pojemnika – ale Kellawaya już tam nie było i nie mógł zobaczyć, jak kawa rozpryskuje się dookoła. W tym czasie biegł pochylony w kierunku, z którego dochodziły hałasy.

Minął Spencer Gifts, Sunglass Hut i Lidsa, gdzie dostrzegł kobiety i ich dzieci przykucnięte za filarami i witrynami. Czuł w bębenkach uszu walenie własnego serca. Wszyscy wiedzieli, co robić, widzieli to

w telewizji. Padnij, a jeśli strzelec pojawi się w zasięgu wzroku, bądź gotowy do ucieczki. Krótkofalówka Kellawaya obudziła się i eksplodowała rykiem przestraszonych pytań i odpowiedzi.

– Co to było, chłopaki? Chłopaki? Chłopaki? Ktoś wie...?

– O kurwa! To strzały! To strzały z pistoletu! Kurwa mać!

– Jestem u Searsa, mamy zamknąć? Czy ktoś może mi powiedzieć, czy mamy zostać na miejscu, czy mam wysłać ludzi do wyjść, czy...

– Panie Kellaway? Panie Kellaway, tu Ed Dowling. Proszę podać swoją lokalizację? Powtarzam, proszę podać swoją...

Kellaway wyłączył krótkofalówkę.

Tłusty dwudziestokilkulatek – dzieciak, który wyglądał jak ten aktor Jonah Hill – leżał twarzą w dół na lśniącej, kamiennej posadzce, tuż przed wejściem do Devotion Diamonds. Usłyszał, że Kellaway nadchodzi, obejrzał się i zaczął machać ręką w geście oznaczającym: padnij, padnij. W drugiej dłoni miał zawiniątko z kanapką albo burrito.

Kellaway opadł na jedno kolano i pomyślał, że to musi być napad z bronią. Oczami wyobraźni widział już facetów w kominiarkach, którzy dwuręcznymi młotami rozwalają gabloty i chwytają biżuterię garściami. Jego prawa ręka powędrowała do ciężkiego żelaza na lewej kostce.

Gruby dzieciak oddychał ciężko, nie mógł wydusić z siebie słowa. Machnął ręką w stronę Devotion Diamonds.

– Powiedz mi, co wiesz – wyszeptał Kellaway. – Kto jest w środku?

Dzieciak wydyszał:

– Muzułmanka, kobieta, która strzelała. I właściciel, nie żyje. Tak mi się wydaje.

Oddech Kellawaya stał się świszczący, przyspieszył. Czyli pieprzona Al-Kaida. Myślał, że czarne chusty i zamachowców samobójców zostawił za sobą w Iraku, ale oto tu byli. Szarpnął

nogawkę i odczepił rugera federala, którego Jim Hirst opylił mu za sto dwadzieścia dolców. Wyciągnął cudowny ciężar z kabury.

Popędził w kierunku kolumny z lustrami, przy wejściu do sklepu, i przycisnął się do niej tak mocno, że jego oddech zamglił szkło. Zerknął za róg. Witryny dzieliły sklep na zygzakowate korytarze. Drzwi do biura na tyłach były otwarte. Czarna kula na suficie skrywała kamerę monitorującą sklep. To nie była jedna z kamer centrum handlowego, obserwujących tylko wspólne przestrzenie. To musiała być prywatna ochrona Devotion Diamonds. Kellaway nie widział w sklepie nikogo, żywej duszy.

Ruszył się, opadł na dłonie i kolana i poczołgał się w głąb sklepu. Powietrze śmierdziało prochem. Kellaway usłyszał jakiś ruch po prawej stronie, w rogu, niedaleko kącika obsługi klienta. Z miejsca, gdzie się znajdował, nie miał dobrego widoku. Przesunął się do końca jednego z kontuarów w kształcie litery Z. Otwarte drzwi do biura były zaledwie metr dalej. To był dobry moment. Może ostatni moment. Zamknął oczy. Pomyślał o swoim synu, o George'u, zobaczył go wyraźnie, jak przyciska do piersi wypchanego pingwina, a potem wyciąga go do taty na całuska.

Otworzył oczy i wyprostował się, rzucił na ścianę tuż obok drzwi do biura. Uniósł broń i obrócił się w kierunku kącika obsługi klienta. W tej samej chwili podniosła się mała, drobna muzułmanka w hidżabie i sukni, i w kamizelce wypchanej ładunkami wybuchowymi, ze srebrnym zapalnikiem w jednej dłoni. Wpakował kulę w środek jej ciała. Jak tylko to zrobił, zdał sobie sprawę, że przestrzelił też materiał wybuchowy. Czekał na iskrę i błysk, czekał, aż odrzuci go uderzenie światła. Ale wybuchu nie było. Kobieta upadła. Kula przeszła prosto przez nią i przez lustro z tyłu, szkło rozprysło się w czerwoną pajęczynę.

Coś stuknęło w biurze, po jego lewej stronie. Kątem oka uchwycił ruch, spojrzał i zobaczył kolejną kobietę. Także miała hidżab, z ładnego, kwiecistego i przejrzystego materiału. Trzymała srebrny pistolet z wymyślną dekoracją. Była biała, ale to go nie zdziwiło. Dobrze sobie radzili, werbując w sieci białe dziewczyny na żołnierzy Allaha.

Pomiędzy nimi na podłodze leżało ciało: Roger Lewis, właściciel sklepu. Leżał na brzuchu, tył jego koszuli nasiąknął krwią. Wyglądało, jakby upadł na biurko, może próbował przytrzymać się swojego wielkiego iMaca, a następnie osunął się i przetoczył na twarz. Prawie ściągnął komputer z biurka. Duży, srebrny monitor balansował niebezpiecznie na rogu blatu, jak gdyby w każdej chwili mógł spaść.

Konwertytka była tak blisko, że Kellaway mógł wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Pasma blond włosów wydostały się spod chusty. Długi, złoty kosmyk przylepił się do wilgotnego, zaróżowionego policzka. Wytrzeszczyła na niego oczy, by zaraz zajrzeć do sąsiedniego pomieszczenia, ale nie dostrzegła ciała w kącie obsługi klienta.

– Twoja partnerka nie żyje – powiedział Kellaway. – Odłóż broń.

– Nie powinieneś być tego robić – odparła z całkowitym spokojem.

Jej broń wypaliła z trzaskiem i błyskiem światła. Wystrzelił instynktownie i wywalił na biurko większą część jej prawego płuca.

Swędziała go skóra na głowie. Lufa jej rewolweru ciągle pokazywała podłogę. Jeśli został trafiony, nie czuł tego, jeszcze nie. Dziewczyna patrzyła na niego rozszerzonymi, zdumionymi oczami. Spróbowała coś powiedzieć, ale wykasła krew. Jej prawa dłoń zaczęła się unosić, razem z bronią. Chwycił jej rękę i wyjął rewolwer z palców, i wtedy zobaczył, że iMac leży na podłodze. Kellaway odtworzył w głowie trzask i błysk światła, odsunął jednak tę myśl, zanim zdążyła się uformować. Nie. Słyszał strzał. Był pewien, że to wystrzał, a nie hałas upadającego komputera. Pamiętał nawet



mgliście: kula przeszła tak blisko, że miał wrażenie, jakby zahaczyła o materiał jego koszuli.

Konwertytka osunęła się. Prawie dał krok do przodu, żeby ją złapać, ale w ostatniej chwili odepchnął ją lewym ramieniem, by nie upadła na niego. Już nie była człowiekiem. Była tylko dowodem. Klapnęła na Rogera Lewisa i zamarła.

W uszach dziwnie mu dzwoniło. Świat się rozszerzył i nabrał blasku, przez moment miał śmieszne uczucie, że zemdleje.

Powietrze było błękitne od prochu. Wyszedł z biura, byle dalej od stosu trupów.

Druga fundamentalistka leżała na plecach, wpatrzona w sufit, wciąż przyciskała do siebie srebrny zapalnik. Kellaway podszedł bliżej, żeby wytrącić go z jej ręki. Zastanawiał się, co to za rodzaj materiałów wybuchowych, wsadzonych do kamizelki, która wyglądała jak przerobiona z dziecięcego nosidełka.

Dojrzał parę małych, śniadych piąstek zaciśniętych na jej sukni. Ten widok nie miał sensu, nie od razu. Popatrzył na zapalnik w jej prawej ręce i zobaczył srebrny nóż do listów z opalem w rączce tam, gdzie powinien być czarny guzik. Zmarszczył brwi. Spojrzał jeszcze raz na kamizelkę z bombą. Czapeczka zsunęła się z główki niemowlęcia. Mógł dostrzec kawałek czaszki pokryty ciemnym, delikatnym puszkami.

– Kurwa mać, chłopie – usłyszał głos z prawej strony.

Odwrócił się i zobaczył tłustego chłopaka podobnego do Jonaha Hilla. Podszedł blisko i stanął za Kellawayem, ciągle przyciskając do piersi śniadaniowe burrito. Zerknął na ciała, jedno na drugim w biurze, a potem na martwą kobietę i martwe niemowlę.

– Ty ją zastrzelełeś? – zapytał chłopak. – Człowieku, ona się tylko ukrywała.

– Spytałem cię, kto jest w sklepie. Powiedziałeś, że strzelała kobieta muzulmanka.

– Wcale nie! – zaprzeczył grubas. – Spytałeś, kto tam jest. Powiedziałem, że muzulmanka, kobieta, która strzelała, i właściciel. Jezu, kurwa! Myślałem, że tam wejdiesz i ją uratujesz, a nie rozwalisz jak jakiś pieprzony szaleniec.

– Nie rozwaliłem jej – odparł Kellaway mrocznym, ciężkim głosem. – To robota tej suki z biura. Rozumiesz? To nie byłem ja. To ona. Powiedz, że rozumiesz.

Tłusty chłopak się zaśmiał, trochę dziko. Nie rozumiał. W ogóle tego nie pojmował. Machnął ręką w kierunku ściany z lustrem, gdzie uderzyła kula, która przeszła przez Arabkę i jej dziecko. Srebrnoróżowa sieć pęknięć rozbiegających się po szkle wskazywała punkt wejścia.

– Człowieku, ja widziałem, jak do niej strzeliłeś. Widziałem cię. A oni, to znaczy ludzie z kryminalistyki, wydłubią kulę ze ściany. – Potrząsnął głową. – Odpierdoliło ci. Myślałem, że powstrzymasz strzelaninę, a nie że sam będziesz zabijał. Zabiłeś więcej ludzi niż ona. Chryste, dobrze, że mnie nie zastrzeliłeś.

– Hm – mruknął Kellaway.

– Co?

– Skoro już o tym mowa – odpowiedział Kellaway i podniósł zdobiony rewolwer dziewczyny.

Harbaugh dotarł do klatki schodowej jako pierwszy i potoczył się na górę w trzydziestokilowym pancerzu z teflonu. W połowie drogi nadepnął na jakieś ciało i usłyszał okrzyk. Chudy czarny dzieciak leżał rozciągnięty na schodach, a Harbaugh zmiążdżył mu rękę obcasem buciora. Nie przeprosił, poszedł dalej. Jak się jest w środku strzelaniny, to maniery pierwsze wylatują z głowy.

Na szczycie schodów przycisnął się plecami do okrągłego filara z gipsu i zerknął na galerię na drugim piętrze. To był koszmar: kilkaset metrów kwadratowych błyszczącej marmurowej posadzki, jasno oświetlonej, i tylko paru ludzi w zasięgu wzroku, wszyscy ukryci za doniczkami albo rozciągnięci płasko na podłodze. Całkiem jak w filmie o zombie zdobywających centrum handlowe. W głośnikach grali Matchbox Twenty.

Harbaugh ruszył przed siebie, przebiegł przez korytarz, podczas gdy dwóch innych facetów z ekipy, Slaughter i Velasquez, deptało mu po piętach. Przez całą drogę miał oczy dookoła głowy. Chłopaki nazywały to „czasem Xboxa”: polować i strzelać.

Dopadł do ściany po jednej stronie wejścia do sklepu i zniżył głowę w hełmie, żeby zajrzeć do środka. Ale zaraz, po pierwszym spojrzeniu, opuścił broń o kilkanaście centymetrów. Jeden ochroniarz stał w rogu, naprzeciwko potrzaskanego lustra. Był jak w transie, jak we mgle; dłubał palcem w dziurze po kuli pośrodku szkła. Nie miał broni, ale dwa pistolety leżały na witrynie obok.

– Hej – powiedział miękko Harbaugh. – Policja.

Facet nagle się obudził, potrząsnął głową i odsunął się od stłuczonego lustra.

– Możesz się odmeldować. Już po wszystkim – odparł.

Był po czterdziestce, napakowany, wielkie ramiona, gruba, muskularna szyja, włosy ostrzyżone jak u marines.

– Ilu zginęło? – spytał Harbaugh.

– W biurze jest dziewczyna, która strzelała, leży na jednej z ofiar – poinformował ochroniarz. – Oboje martwi. Tutaj mam jeszcze trójkę, w tym niemowlę.

Nie zająknął się przy ostatnim słowie, musiał jednak odchrząknąć, zanim je wypowiedział.

Harbaughowi wszystko przewróciło się w środku. Sam miał dziewięćmiesięczne niemowlę i nie chciał widzieć dzieciaka z czaszką pękniętą jak różowe jajko. Ale i tak wszedł do sklepu, stąpając niemal bezdźwięcznie po grubym dywanie.

Tłusty chłopak, może dwudziestoletni, leżał na jednej z witryn, z otworem po kuli prawie dokładnie pomiędzy oczami. Miał otwarte usta, jakby chciał zaprotestować. Harbaugh popatrzył na martwą dziewczynę w chustce na głowie, rozciągniętą na białym mężczyźnie w biurze.

– Jest pan ranny? – zapytał.

Ochroniarz pokręcił głową.

– Nie... tylko... Chyba muszę usiąść.

– Proszę pana, proszę stąd wyjść. Moi koledzy pana wyprowadzą.

– Chcę jeszcze chwilę zostać. Z tą kobietą. Chcę z nią chwilę posiedzieć i powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

Ochroniarz patrzył na swoje stopy. Harbaugh skierował wzrok na podłogę za jego kostkami i zobaczył kobietę w gołębioszarej sukni, z otwartymi oczami wpatrzonymi pusto w podwieszany sufit. Niemowlę tkwiło nieruchomo w nosidełku, z twarzą przy piersi matki.

Muskularny mężczyzna oparł się o witrynę i powoli usiadł na dywanie, obok niej. Ujął jej dłoń, przesunął palcami po jej kłykciach, uniósł do ust i pocałował.

– Ta kobieta i jej dziecko nie powinni byli zginąć – powiedział. – Zawahałem się i ta zwariowana cipa z biura ją zabiła. Ją i dziecko, oboje. Jeden strzał. Jak mam z tym teraz żyć?

– Winny jest tylko ten, kto pociąga za spust – pocieszył go Harbaugh. – Proszę o tym nie zapominać.

Ochroniarz zastanowił się, a potem powoli skinął głową. Jego bezbarwne oczy były wbite w pustkę.

– Postaram się – wyszeptał.

## 11.11

Harbaugh z jednostki szybkiego reagowania pomógł Kellawayowi wstać i otoczył go ramieniem, kiedy wychodzili na korytarz. Broń i martwych zostawili za sobą.

Harbaugh doprowadził Kellaway'a do stalowej ławki w holu i posadził go na niej. Obok przebiegło dwóch sanitariuszy z noszami. Harbaugh powiedział Kellawayowi, żeby nie wstawał, a sam odszedł.

W holu zbierał się tłum. Pojawili się policjanci w mundurach. Kellaway zobaczył grupę dzieciaków hinduskich, które stały w odległości dziesięciu metrów, a dwójka z nich filmowała wszystko komórkami. Ktoś krzyczał, żeby gapie się cofnęli. Dwóch gliniarzy niosło drewniany koziół.

Obok ławki zatrzymał się Ed Dowling z ochrony centrum. Był chudy jak bocian, z wystającym jabłkiem Adama i rozbieganymi oczami.

– Wszystko w porządku? – spytał, patrząc na swoje stopy.

– Nie – odpowiedział Kellaway.

– Chce pan wody? Mogę przynieść wody.

– Chcę być sam przez chwilę.

– O. Dobra. Rozumiem.

Dowling zaczął się odsuwać, bokiem, jak człowiek stojący na wąskim parapecie wieżowca.

– Czekaj. Pomóż mi, Edwardzie. Chyba się zaraz porzygam, a nie chcę być na YouTube. – Kellaway skinął głową w stronę piętnastoletnich Hindusów czy kim tam oni byli.

– A tak, jasne, panie Kellaway – odparł Dowling. – Chodźmy do Lidsa. W pomieszczeniu na tyłach mają wiadra.

Ujął Kellawaya za ramię i pomógł mu się dźwignąć.

Przeszli do Lidsa, który znajdował się tuż obok Devotion Diamonds, i minęli rzędy stojaków z czapkami baseballowymi. Kilkunastu Kellawayów szło razem z nimi, odbitych w lustrzanych ścianach – wielki, zmęczony mężczyzna z podkrążonymi oczami i w mundurze zaplamionym na biodrze krwią. Nie był pewien, jak się tam dostali. Dowling użył swojego klucza, żeby otworzyć jeden z lustrzanych paneli, który jednocześnie był drzwiami na zaplecze. Ale zanim weszli do środka, Kellaway usłyszał, jak ktoś woła.

– Hej! – krzyczał umundurowany policjant z okrągłą, różową twarzą. Kellawaya zdziwiło, że siły porządkowe biorą takie podtatusiałe typy, kompletnie bez formy, a odrzuciły jego. – Zaczekajcie. On musi tu zostać. Jest świadkiem.

– Przede wszystkim jednak źle się czuje – powiedział Dowling tak ostro, że Kellaway się zdumiał. – Przecież nie będzie rzygał tam, gdzie jakieś świry zaczną go filmować. Facet prawie stracił życie, kiedy próbował powstrzymać strzelaninę. Chyba może dostać trzydzieści sekund, żeby się pozbierać. Chyba mu się należy. – Popchnął Kellawaya na zaplecze, a potem stanął w drzwiach, jakby chciał je zablokować ciałem. – Proszę iść, panie Kellaway. Niech pan zrobi, co potrzeba.

– Dzięki, Edwardzie – rzucił Kellaway.

Przy ścianach po obu stronach stały zakurzone stalowe półki wyładowane pudełkami. Wciśnięta w kąt z tyłu, obok poplamionej lady, na której stał ekspres do kawy, tkwiła brudna kanapa połatana taśmą izolacyjną. Bardzo wąskie drzwi prowadziły do zapuszczonej łazienki. Z jarzeniówki nad zlewem zwisał łańcuszek. Mury były pokryte graffiti, ale Kellaway im się nie przyglądał.

Zamknął drzwi i zasunął zasuwkę. Opadł na kolana, pogrzebał w kieszeni i wyjął zdeformowaną łuskę, którą wydłubał ze ściany za potrzaskanym lustrem. Wyskoczyła od razu, wystarczyło chwilę popracować scyzorykiem. Wrzucił ją do toalety.

W głowie miał już całą historię. Powie policji, że usłyszał strzały i poszedł do Devotion Diamonds, żeby zorientować się w sytuacji. Usłyszał trzy strzały, ale w zeznaniu poda, że cztery. Nie miało znaczenia, co powiedzą inni. Kiedy ludzie wpadają w panikę, szczegóły się zmieniają. Trzy strzały czy cztery – kto może wiedzieć na pewno, ile ich było.

Wkroczył tam i odkrył trzy ciała: muzułmankę, jej dziecko i Rogera Lewisa. Natknął się na dziewczynę, która strzelała, tę blondynkę, i wymienili kilka słów. Uniosła broń do strzału, ale on wypalił pierwszy, dwukrotnie. Trafił ją za pierwszym razem, za drugim spudłował. Pomyślał, że druga kula wyleciała przez okno. Na końcu wszedł do sklepu chłopak wyglądający jak Jonah Hill, a wtedy dziewczyna, na moment przed śmiercią, wpakowała kulę w jego głupią, tłustą twarz. Tak naprawdę to Kellaway wystrzelił dwukrotnie z jej broni. Raz do chłopaka i raz za okno. Kiedy technicy kryminalni to policzą, łuski będą się zgadzać: trzy dla Lewisa, jedna dla Arabki i jej dziecka i jedna dla grubasa.

Nacisnął dźwignię, żeby spuścić wodę, ale nic nie poleciało. Zmarszczył brwi i spróbował znowu. Nic. Ołowiana łuska leżała na dnie toalety jak mały zgnieciony kawałek gówna.

Ktoś zapukał.

– Panie Kellaway? – usłyszał głos, którego nie znał. – Wszystko u pana okay?

Odchrząknął.

– Chwileczkę.

Jego spojrzenie powędrowało na ścianę i dopiero wtedy przeczytał to, co było namazane flamastrem: TOALETA SIĘ SPIEPZYŁA – PROSZĘ KORZYSTAĆ Z PUBLICZNEJ ŁAZIENKI.

– Panie Kellaway, jest tu sanitariusz, który chce pana zbadać.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Tak. Ale on i tak chciałby na pana zerknąć. Przeszedł pan coś, co się nazywa traumatycznym doświadczeniem.

– Chwila – powtórzył.

Rozpiął guzik przy lewym rękawie, podwinął go do łokcia i wsadził rękę do wody. Wyłowił łuskę od kuli, która zabiła Yasmin Haswar i jej dziecko, Ibrahima, i położył ją na podłodze.

– Panie Kellaway, jeśli można panu jakoś pomóc...

– Nie, dziękuję.

Podniósł ciężką pokrywę zbiornika na wodę za toaletą i bardzo ostrożnie odłożył ją na klapę. Z jego lewej ręki ciekła woda. Podniósł łuskę i wrzucił ją do zbiornika. Potem dźwignął pokrywę i starannie, cicho opuścił ją na miejsce. Za dzień lub dwa – góra za tydzień – będzie czas, żeby ją stąd zabrać i ukryć gdzieś na stałe.

– Panie Kellaway – dobiegł go głos z drugiej strony drzwi – musi pan pozwolić komuś się obejrzeć. Chciałbym rzucić na pana okiem.

Odkręcił kran, namydlił i umył ręce, ochlapał wodą twarz. Sięgnął po papierowy ręcznik, ale w podajniku nie było żadnego, jak zawsze. Nie było też papieru toaletowego. Kiedy otworzył drzwi, jego twarz ciągle była wilgotna, krople lśniły na brwiach i rzęsach.



Mężczyzna po drugiej stronie drzwi był dobre ćwierć metra niższy od Kellawaya i nosił niebieską baseballówkę, na której było napisane POLICJA ST. POSSENTI. Jego głowa była niemal cylindryczna, co podkreślały krótko ścięte, jasne włosy. Twarz miał w głębokim odcieniu czerwonej opalenizny, wyglądającej prawie jak poparzenie słoneczne, typowej dla mężczyzn niemieckiego pochodzenia mieszkających przez dłuższy czas w tropikach. Jego błękitne oczy lśniły humorem i inteligencją.

– Już jestem – powiedział Kellaway. – Na co chce pan popatrzeć?

Mężczyzna w baseballówce zacisnął wargi, otworzył usta, zamknął je, znowu otworzył. Wydawało się, że zaraz się rozpłacze.

– No, proszę pana, dwójka moich wnuków była dzisiaj rano w centrum handlowym, razem ze swoją matką, moją córką. I wciąż żyją, podobnie jak wielu innych ludzi. Więc chyba po prostu chciałem zobaczyć, jak wygląda bohater.

I to powiedziawszy, komendant policji w St. Possenti, Jay Rickles, objął Kellawaya i go uściskał.

## 11.28

Lanternnglass widziała światła i słyszała wycie syren, i była już w drodze do centrum, kiedy Tim Chen zadzwonił, żeby spytać, czy jest zajęta.

– Zaraz będę – odpowiedziała. – Już tam jadę.

– Do centrum handlowego?

– Mhm. Co pokazują na skanerze?

– Strzały. Wszystkie jednostki. Wielokrotne zabójstwo.

– O kurwa! – brzmiała jej przemyślana odpowiedź. – Masowa strzelanina?

– Wygląda na to, że teraz nasza kolej. Jak tam pożar?

Lanternnglass spędziła rano w helikopterze, latając tam i z powrotem na skraju ognia szalejącego w narodowym lesie Ocala. Brązowa chmura dymu tworzyła brudną ścianę, wysoką na trzy kilometry i pulsującą gorączkowym pomarańczowym światłem. Lanternnglass towarzyszył urzędnik z obsługi parków narodowych, który musiał krzyczeć, żeby go usłyszała poprzez łoskot śmigła. Wykrzykiwał wkurzająco drobiazgowo informacje na temat tego, jak stan obciął fundusze dla służb ratunkowych, jak władze federalne obcięły fundusze na pomoc po katastrofach i że do tej pory mieli szczęście z wiatrem.

– Szczęście? Jak to mieliśmy szczęście z wiatrem? – zapytała go. – Nie wspominał pan czasem, że tracicie dziesięć hektarów dziennie?

– Tak, ale przynajmniej wiatr wieje na północ – odparł facet z obsługi parków. – Popycha ogień w kierunku niezamieszkanego buszu. Jeśli powieje na wschód, ten ogień dojdzie do St. Possenti w ciągu trzech dni.

Teraz Lanternnglass opowiadała swojemu wydawcy:

– Pożar jak to pożar. Gorący. Zachłanny. Nie do zaspokojenia.

– Gorący. Zachłanny. Nie do zaspokojenia – powtórzył Tim bardzo wolno, ważąc każde słowo. – A jak się zaspokaja pożar?

– Timmy. To była podpucha. Miałeś powiedzieć: „Całkiem jak moja była żona”. Musisz się trochę postarać. Kiedy podsuwam ci taką doskonałą podpuchę, musisz dać się nabrać.

– Nie mam byłej żony. Jestem szczęśliwie żonaty.

– Co daje do myślenia, bo jesteś najmniej zabawnym i najbardziej dosłownym człowiekiem w szeregach amerykańskich dziennikarzy. Dlaczego ona jeszcze z tobą jest?

– Cóż, pewnie przez dzieciaki.

Aisha Lanternglass zabuczała, jakby źle odpowiedział w telewizyjnym teleturnieju:

– ZŁA ODPOWIEDŹ. Zła odpowiedź. Spróbuj ponownie, Timmy. Jesteś najmniej zabawnym facetem wśród amerykańskich dziennikarzy, więc dlaczego twoja żona jeszcze z tobą jest? Zastanów się. To może być kolejna podpucha.

– Bo...

W jego głosie słychać było niepewność.

– Dasz radę. Wiem, że dasz radę.

– Bo mam grubego nieobrzezanego penisa? – zgadywał.

– Brawo! – krzyknęła Lanternglass. – O wiele lepiej. Wiedziałam, że znajdziesz odpowiedź.

Skręciła już na parking centrum handlowego i zobaczyła nosze, karetki i pół tuzina radiowozów. Błękitne i srebrne błyski pojawiały się i znikwały w niemal równikowym upale. Jeszcze nie było południa, ale wątpiła, czy zdąży do Parks & Rec odebrać córkę z obozu tenisowego.

– Muszę spadać, Tim. Muszę wybadać, kto kogo zabił.

Zaparkowała i wysiadła, przepchnęła się przez tłum aż do noszy ułożonych w równej linii przed wejściem do głównego atrium. Podjeżdżały wozy transmisyjne telewizji lokalnej, kanałów 5 i 7. Zorientowała się, że jest tylko troje albo czworo zabitych, za mało, żeby przyciągnąć uwagę ogólnokrajowych kablówek. Po drugiej stronie noszy panował chaos typowy dla miejsca zbrodni. Gliniarze się kłębili. Krótkofalówki piszczały i trzeszczały.

Nie widziała nikogo znajomego w mundurze, więc usiadła na masce swojego dwunastoletniego passata i czekała. Na parkingu było jak w piekarniku, fale upału unosiły się z miękkiego asfaltu i wkrótce musiała wstać, bo stalowa karoseria parzyła ją w pośladki. Masa ludzi

przyjechała zobaczyć, co się stało. A może przyjechali na zakupy i zdecydowali się zostać i pogapić na zamieszanie. W dyskretnej odległości, obok sklepu z artykułami imprezowymi po drugiej stronie drogi obiegającej centrum, zaparkowała ciężarówka z hot dogami.

Ośmioletnia córka Lanternglass, Dorothy, trzy tygodnie wcześniej została wegetarianką. Nie chciała jeść niczego, co miało uczucia. Lanternglass starała się dotrzymać jej towarzystwa, jak umiała; jadła makaron, sałatki owocowe i burrito z fasolą, ale zapach hot dogów bynajmniej nie wywoływał u niej współczucia.

Ruszyła, żeby kupić sobie lunch, którego miała pożałować, i przeszła obok kilku czarnych dziewczyn stojących wokół małego sportowego samochodu w kolorze różowej gumy do żucia. Usłyszała, jak jedna z nich mówi:

– Okello jakby siedział w pierwszym rzędzie. Sanitariusz opatrzył mu rękę, bo jeden z antyterrorystów na nią nadepnął. Antyterrorysty przebiegli obok niego, z karabinami maszynowymi i w ogóle.

To było interesujące, ale Aisha Lanternglass nie zatrzymała się, bo nie dałaby rady niepostrzeżenie podsłuchiwać. Ciężarówka z hot dogami specjalizowała się w kuchni azjatyckiej, więc dostała wielką porcję zawiniętą w liście kapusty, z sosem śliwkowym. Mogłaby powiedzieć Dorothy, że jadła na lunch kapustę i owoce, i to nie byłoby kłamstwo – po prostu pominięcie niektórych szczegółów.

Przecisnęła się z powrotem w sam środek tłumu, zaraz jednak zwolniła, przystanęła obok auta w kolorze gumy do żucia, z rejestracją OOHYUM, i zaczęła jeść hot doga. Przy przednim zderzaku kręciły się trzy dziewczyny w wieku policyalnym. Miały na sobie dzinsy tak obcisłe, że żadna nie mogła wetknąć telefonu do tylnej kieszeni. Takim samochodem – konkretnie to było audi – na pewno nie przyjechały z Czarno-Niebieskiego. Już prędzej z Boulevards w północnej części miasta, gdzie każdy dom miał

podjazd wysypany białymi, pokruszonymi muszlami i zazwyczaj też fontannę z miedzianą syrenką pośrodku.

Dziewczyna, która mówiła coś o antyterrorystach, pisała teraz na telefonie, a potem powiedziała do pozostałych dwóch:

– Okello czeka, aż mu pozwolą zabrać rzeczy i przebrać się z powrotem w normalne ciuchy. Nie cierpi tego uniformu Boost Yer Game. Jak go zdejmuje, to dla niego najlepszy moment dnia.

– A ja myślałam, że to dla ciebie najlepszy moment dnia – zażartowała jedna z jej koleżanek i wszystkie radośnie zachichotały.

Lanternglass zauważyła, że kamerzyści zbierają się przed jednymi z noszy jak gołębie rzucające się na świeże okruchy chleba. Musiała iść. W pośpiechu skończyła hot doga i wcisnęła się pomiędzy dziennikarzy z lokalnych telewizji. Tylko ona w tym towarzystwie była z gazety i jako jedyna miała nagrywać wypowiedzi telefonem. Przyzwyczaiała się. „St. Possenti Digest” zatrudniał na pełen etat osiem osób, z czego dwie w dziale sportowym. Dziesięć lat wcześniej było ich trzydzieścioro. Zdarzały się dni, kiedy podpisywała swoim nazwiskiem aż pięć tekstów.

Komendant Rickles wyszedł z centrum, a za nim mała grupa policjantów w mundurach i jakiś facet z prokuratury okręgowej, szczupły, przystojny Latynos w kowbojskim kapeluszu. Rickles był zbudowany jak hydrant i miał mniej więcej tyle samo wzrostu. Jego włosy były tak jasne, że brwi pozostawały niewidoczne na bladej niemieckiej skórze. Przemierzył pas asfaltu, podszedł do kamerzystów, zatrzymał się przed nimi i zdjął baseballówkę. Lanternglass wylądowała tuż pod jego nosem, ale on jej chyba nie widział, po prostu patrzył na jakiś punkt za jej lewym ramieniem.

– Nazywam się Jay Rickles, jestem komendantem policji w St. Possenti i złożę krótkie oświadczenie na temat wydarzeń, do których dzisiaj doszło. Około godziny dziesiątej trzydzieści, krótko po otwarciu

centrum, ktoś strzelał na górnym piętrze galerii. Podczas tego ataku, który możemy chyba nazwać masową strzelaniną, zginęły cztery osoby. Sprawca został zastrzelony na miejscu przez pracownika ochrony, zanim zdołał dotrzeć do zatłoczonych restauracji. Mówię „sprawca”, ponieważ na razie wiemy tylko o jednej osobie. Śmierć sprawcy została stwierdzona na miejscu o jedenastej szesnastce. Bohater, który zapobiegł dalszej tragedii, czuje się dobrze, ale nie będzie teraz składał oświadczenia.

Rickles opuścił podbródek i podrapał się po różowej skórze na głowie. Lanternglass ze zdziwieniem zobaczyła, że walczy z napływem silnych emocji. Kiedy podniósł głowę, jego bardzo błękitne oczy lśniły od łez radości:

– Taki osobisty akcent: dwójka moich wnuków była dzisiaj w centrum handlowym ze swoją matką, moją córką. Jeździli na karuzeli koło restauracji, niecałe sto metrów od miejsca strzelaniny. Oprócz ich trojga było tam wiele dzieci, ich mam i kupujących. Zawdzięczają życie heroicznej akcji człowieka, który powstrzymał strzelaninę, zanim ogarnęła całe centrum. Zdołałem podziękować mu osobiście, kilka minut temu. Jestem pewny, że będzie chciało to zrobić więcej osób. Mogę teraz odpowiedzieć na parę pytań.

Wszyscy zaczęli krzyczeć naraz, Lanternglass też. Komendant stał tuż przed nią, ale ciągle na nią nie patrzył. Nie dziwiło jej to. Rickles i Lanternglass mieli wspólną skomplikowaną przeszłość.

– Powiedział pan cztery ofiary plus zabójca. Ile osób jest rannych?!

– wrzeszczała kobieta z kanału 5.

– Kilkanaście osób trafiło pod opiekę sanitariuszy z powodu szoku i drobnych obrażeń. Otrzymali pomoc na miejscu i w szpitalu St. Possenti.

Więcej krzyków.

– W tej chwili bez komentarza.

Więcej wrzasków.

– Jeszcze nie wiemy, jest za wcześnie.

Ludzie z mikrofonami popychali i szturchali Lanternglass. Czują, że Rickles specjalnie ją ignoruje. Wtedy krzyknęła coś, co spowodowało, że obrócił głowę i popatrzył na nią jasnymi, rozbawionymi oczami wypełnionymi uczuciem.

Jej pytanie brzmiało:

– Czy policja miała już do czynienia z domniemanym zabójcą? Czy ma on kryminalną przeszłość?

– Nie powiedziałem, że to mężczyzna – odparł.

Na twarzy Ricklesa nie było uśmiechu, ale jego oczy lśniły. Lubił opowiadać zaskakujące rzeczy przed kamerami. I chyba był zadowolony, że przyłapał Lanternglass na spekulacjach na temat sprawcy.

Tłum dookoła oszalał. Reporterzy to uwielbiali. Rickles cofnął się, podniósł rękę dłonią na zewnątrz, nakazując zachowanie spokoju, i oświadczył, że na teraz koniec. Kiedy odszedł kawałek, ktoś krzyknął pytanie o imiona jego wnuków, a on odpowiedział: Merritt i Goldie. Ktoś inny poprosił, żeby potwierdził wiek i płeć zabójcy, ale on zmarszczył brwi i poradził:

– Skupmy się na tych, którzy dzisiaj zginęli. To o nich powinny mówić media, zamiast gloryfikować opętane czyny sprawcy, żeby podkręcić oglądalność.

Kolejny ryk. To też kochali. Każdy znany Lanternglass reporter lubił od czasu do czasu dostać publicznie prztyczka w nos.

Rickles ruszył z powrotem do centrum. Lanternglass spodziewała się, że znowu go przywołają. Komendant był człowiekiem uwielbiającym składać oświadczenia, uwielbiał rolę publicznego mędrca, wychowawcy, moralisty i myśliciela. Przypominał jej w tym Donalda Rumsfelda, który także kochał żartować z prasą i rzucać

zdaniami do cytowania. Lanternglass pomyślała, bezlitośnie, że Rickles prawdopodobnie jest szczęśliwy, bo jego wnuki były na miejscu i dzięki temu może zagrać naraz dwie role: nieustępliwego stróża prawa i wdzięcznego, uspokozonego ojca rodziny.

Mimo to nie obchodziło jej, czy komendant wróci i powie coś jeszcze. Nie miał już nic wartościowego, czym mógłby się podzielić, jeśli zatem odpowie na więcej pytań, będzie to zgodne z jego wolą, a nie ich. Poza tym... na skraju jej pola widzenia poruszyło się coś różowego, co przykuło jej uwagę. Kiedy wspięła się na palce i wyciągnęła szyję, zobaczyła, że dziewczyny w różowym jak guma samochodzie odjeżdżają powoli. Ale nie w stronę autostrady, tylko za róg centrum handlowego, gdzie nie było ich widać.

Lanternglass pojechała za nimi.

## 14.11

Południowo-wschodnia fasada centrum nie miała okien, monotonię długiej ściany z piaskowcowej kostki przecinały zwykłe brązowe drzwi i doki przeładunkowe. Nikt oprócz pracowników nie wchodził z tej strony. Parking był wąski i kończył się wysokim na ponad trzy metry ogrodzeniem z siatki, a po drugiej stronie rosły krzaki. Takie miejsca denerwowały Lanternglass. Przypominały jej o dniu, w którym patrzyła, jak dwudziestoczteroletni gliniarz imieniem Reb wpakował sześć kul w Colsona Withersa.

Parking blokowały dwa radiowozy, każdy z jednego końca. Lanternglass zwolniła na widok wielkiego, lalusiowatego gliniarza w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Musiała się zatrzymać,



kiedy stanął na jej drodze, a potem podszedł do okna od strony kierowcy i leniwie pokręcił jedną ręką, co znaczyło, że ma opuścić szybę.

– Tylko rodzina i pracownicy, proszę pani. Jest pani członkiem rodziny?

– Tak, proszę pana – skłamała. – Mój syn, Okello, pracuje w Boost Yer Game. Był w środku, kiedy to się stało. Jestem z tymi panienkami, które pan właśnie przepuścił.

Pokazała OOHYUM wślizgujące się na miejsce w połowie parkingu. Gdy tylko wypowiedziała imię, gliniarz przestał słuchać, machnął ręką i odsunął się na bok.

Kiedy parkowała, trzy dziewczyny wysypały się już ze swojego audi w kolorze koktajlu truskawkowego, a ta, która siedziała za kierownicą, stała teraz na palcach, obejmując czarnego chłopaka wyglądającego jak członek gangu. Pomiędzy samochodami przewalał się mały tłumek, pracownicy ewakuowani z budynku i ich towarzysze, podekscytowani i opowiadający sobie ciągle od nowa historie o tym, jak ledwo uszli z życiem. Pomyślała wcześniej o Colsonie, który czuł się na scenie jak w domu, i może dlatego hałaśliwy, radosny tłum przypominał jej ludzi za kulisami po udanym przedstawieniu: może po jakiejś krwawej tragedii.

Zaparkowała i wysiadła dokładnie w chwili, gdy chłopak i dziewczyna odsunęli się od siebie. Ruszyli w stronę różowego samochodu i wtedy ich zaczepiła.

– Byłeś w środku, jak to się stało? – zapytała chłopaka bez żadnego wstępu, trzymając już w dłoni telefon gotowy do nagrywania. – Chciałabym o tym usłyszeć.

Chłopak zwolnił, zmarszczył brwi. Nie był tak po prostu czarny, był bardzo czarny, jak piasek wulkaniczny na plaży. Światło w nim znikało. Oczywiście przystojny – musiał być, żeby dostać robotę

w Boost Yer Game. Młodość, zdrowie i czarna skóra – sprzedawali tego na kopy, głównie białym klientom z przedmieść. Chłopak wciąż miał na sobie uniform sklepowy; najwyraźniej gliniarze nie pozwolili mu się przebrać.

– Tak. Byłem w środku. Byłem osobą znajdującą się najbliżej miejsca zdarzenia, która nie została zabita. Nie licząc pana Kellowaya.

Trzy dziewczyny spoglądały na Lanternglass z mieszaniną rezerwy i ciekawości. Dziewczyna chłopaka, najładniejsza (zadarty noseć, długa szyja i prostowane włosy obcięte na pazia), powiedziała:

– Czemu pani pyta?

– Jestem z gazety „St. Possenti Digest”. Chciałabym usłyszeć, jak to było znaleźć się metr od kul. Taka historia z pierwszej linii frontu. O tym, jak dałeś sobie radę – wyjaśniła dziewczynie, ale patrzyła na chłopaka.

– Zamieścicie w gazecie moje zdjęcie? – spytał.

– Załatwione. Ludzie będą cię prosić o autograf.

Uśmiechnął się, jego dziewczyna jednak znów się odezwała:

– To będzie sto dolców.

I stanęła przed nim, jakby chciała fizycznie uniemożliwić Lanternglass zbliżenie się do niego.

– Gdybym miała stówę w portfelu, stać by mnie było na nianię. Ale mnie nie stać, a to znaczy, że mam tylko pół godziny, a potem muszę odebrać córkę z miejskiego obozu letniego.

– Do diabła – zniecierpliwiła się dziewczyna. – Jak chce pani poznać jego historię, będzie pani mogła sobie posłuchać na Dateline. Jestem pewna, że oni zgodzą się na stówę.

Lanternglass przyszło do głowy, że dziewczyna w nowiutkim, różowym audi zapewne ma większy limit na karcie kredytowej niż ona. Pomyślała, że dla dziewczyny ta stowa to taka poza, coś jak spontaniczny performance. Może chłopak był z Czarno-Niebieskiego,

a dziewczyna z Boulevards i teraz chciała mu zaimponować, więc zachowywała się, jakby rządziła ulicą.

– Nie mam pewności, czy Dateline do was zadzwoni – ostrzegła Lanternglass. – Ale jeśli nawet, nie wolicie, żeby rozmawiali z waszym człowiekiem, a nie z jedną z setek osób, które były dzisiaj w centrum? Ten, kto pierwszy opowie swoją historię, jest zazwyczaj jedynym, który opowie swoją historię. A poza tym – przygwoździła dziewczynę spojrzeniem – tak naprawdę chciałabym porozmawiać z wami obojgiem. Chciałabym się dowiedzieć, jak się czuć, kiedy usłyszałaś o strzelaninie, wiedząc, że twój chłopak jest w środku, i nie mając pewności, czy go jeszcze zobaczysz.

To ją zmiękczyło. Zerknęła na swojego chłopaka, na Okella, który w ogóle nie mówił nic o pieniądzach i który spokojnie i z zainteresowaniem słuchał Lanternglass.

– Powiem pani, co się wydarzyło – powiedział. – Nie musi mi pani płacić.

– Mogę cię nagrać? – spytała Lanternglass, machając smartfonem. Pokiwał głową.

– Jak się nazywasz? – zapytała, bo to był dobry początek, nawet jeśli już znała odpowiedź.

– Okello Fisher. Jak Otello, tylko przez „k”.

W umyśle Aishy Lanternglass Colson umarł ponownie. Umierał trzy, cztery razy każdego dnia, nawet po tylu latach. Twarzą w dół, w swojej własnej krwi. Gdyby przyczyną śmierci nie było wykrwawienie, mógłby się w niej utopić.

– Co to za imię? Okello? – chciała wiedzieć Lanternglass.

Wzruszył ramionami.

– Moją mamę fascynuje historia Afryki. Na dziesiąte urodziny zrobiła mi ciasto z jagodami num-num i dostałem w prezencie bęben plemienny. Jakby było coś złego w czekoladowym torcie i PlayStation.

Już go polubiła, wiedziała, że da jej dobre cytaty. Dziewczyna miała na imię Sarah. Aby wszyscy byli zadowoleni, Aisha spytała też o imiona przyjaciółek, Katie i Madison. Wszystkie trzy nosiły imiona z Boulevards.

– Kiedy się zorientowałeś, że coś jest nie tak?

– Chyba jak zobaczyłem broń – odpowiedział.

– Widziałeś zabójczynię?

– Centrum otworzyło się kilka minut wcześniej. Poszedłem do knajpy po frappuccino dla Irvinga i dla mnie. Irving i ja mamy zmianę w BYG przed południem. Nie wiem, po co on tam pracuje, jego rodzina ma pieniądze. Zdaje się, że jego mama chce, żeby się przekonał, jak to jest pracować. – Wątpliwość zamigotała w jego wielkich, wrażliwych oczach i dodał: – Niech pani lepiej tego nie drukuje. Irving jest w porządku. Byłem u nich na kolacji.

– Nie wydrukuję niczego, czego nie będziesz chciał.

– No więc w BYG jest kosz i gramy H-O-R-S-E. Kto przegrywa, płaci za frappuccino tego drugiego, ale zwycięzca musi po nie pójść.

– Kiedy ostatni raz płaciłeś? – spytała Sarah z zaczepną dumą w głosie.

– Irving jest w porządku. Czasami płacę. Ma słabszą lewą stronę. No więc... tak, zazwyczaj on płaci, a ja chodzę po kawy.

– Tego też nie wydrukuję – obiecała Lanternglass. – Nie zdradzę sekretów twojej zwycięskiej strategii.

Znowu się uśmiechnął i Lanternglass polubiła go jeszcze bardziej. Po raz kolejny pomyślała, że musi być z Czarno-Niebieskiego, nie dlatego, że mówił slangiem, ale dlatego, że nim nie mówił. Wysławiał się bez wysiłku, za każdym jednak razem starannie formułował zdania. Lanternglass znała ten przymus wyrafinowanego doboru słów. Tak to działało, kiedy wiedziałeś, że wystarczy jeden błąd, i będziesz brzmiał, jakbyś sprzedawał narkotyki na rogu ulicy. Przez

rok studiowała dziennikarstwo w Londynie; zrobiła to, czego Colson nie zdołał, a gdy tam była, przeczytała pracę o angielskim systemie klasowym. Anglicy – tak przeczytała – mieli ometkowane języki. Można było rozpoznać, czy ktoś jest snobem, czy śmieciem w chwili, kiedy otworzył usta i przemówił. I to jeszcze bardziej pasowało do czarnej Ameryki. Ludzie wyrabiali sobie opinię na czyjs temat już po pierwszym „cześć”, wyłącznie na podstawie sposobu, w jaki zostało to powiedziane.

Okello mówił dalej:

– Minęła mnie, gdy wracałem do Boost Yer Game. Spotkaliśmy się na tych dużych schodach pośrodku atrium. Ja szedłem na dół, a ona do góry. Spojrzałem na nią dwa razy, bo kombinowała przy czymś wysoko na nodze. Najpierw pomyślałem, że poprawia pończochę. Tylko że to była kabura. Kabura na udo. Po prostu ją zerwała i poszła dalej. A do tego płakała. Miała okulary przeciwsłoneczne, ale poznałem po smugach tuszu pod oczami.

– Jak byś ją opisał?

– Drobna. Blond. Naprawdę ładna. Chyba miała na imię Becki. Albo Betty? Nie. Prawie na pewno Becki.

– Skąd to wiesz?

– Pracowała w Devotion Diamonds, tam gdzie strzelała. Całe centrum ma takie wspólne święto w każdą ostatnią sobotę miesiąca, rano, przed otwarciem. Rog Lewis, który kierował sklepem, dał jej raz nagrodę. Pracownik Miesiąca albo coś takiego. Jego zabiła najpierw. Przynajmniej tak mi się wydaje. Krzyknął, zanim wystrzeliła po raz pierwszy. Wiem, że on nie żyje. Widziałem, jak go wywozili.

– Wróc. Minęła cię na schodach. Miała broń. I co potem?

– Odwróciłem się i popatrzyłem za nią. Chyba nawet cofnąłem się kilka kroków, żeby zobaczyć, czy ona... Au!

Jego dziewczyna walnęła go w ramię.

– Ty dupku. Ona miała broń, tak?

Uderzyła go ponownie.

Pomasował sobie rękę, a kiedy odezwał się znowu, było to bardziej do Sarah niż do Lanternglass:

– Nie szedłem za nią blisko. Tak czy inaczej, zostawiła mnie z tyłu. Po chwili pomyślałem, że może powinienem znaleźć kogoś z ochrony. Ruszyłem w dół po schodach i wtedy usłyszałem krzyk pana Lewisa i strzał. Rzuciłem się na stopnie i zamarłem. Potem usłyszałem, jak krzyczy pan Kellaway, szef ochrony centrum, i jeszcze więcej strzałów.

– Pamiętasz ile?

Okello zamknął jedno oko, a drugim zerknął na niebo.

– Najpierw trzy. Jak zabijała Rogera Lewisa. Po jakiejś minucie kolejny strzał i dźwięk, jakby coś upadło. Potem piąty strzał. A po jakichś pięciu minutach dwa następne.

– Jesteś tego pewien? Całe pięć minut pomiędzy piątym strzałem i dwoma ostatnimi? To bardzo stresujące przeżycie, łatwo stracić rachubę czasu.

Kiwnął głową.

– Mhm. Cztery, pięć minut. Wiem, bo wysyłałem esemesa do Sarah, więc widziałem godzinę na telefonie.

Lanternglass przytaknęła, ale nie dowierzała mu. Naoczni świadkowie bardzo szybko zamieniają wspomnienia w opowieść, a ta zawsze jest przynajmniej częściowo zmyśloną, dramatyczną interpretacją na wpół zapamiętanych faktów.

Okello wzruszył ramionami.

– I to już wszystko. Zostałem na miejscu, a kilka minut później policjanci wbiegli na schody w pełnym rynsztunku, z karabinami maszynowymi, gotowi na walkę z bojownikami Państwa Islamskiego. Jedyne, co udało im się zrobić, to uszkodzić mi rękę. Jeden z nich

nadepnął na nią w biegu. – Zamilkł, a następnie pokręcił głową. – To też może pani wyrzuci. W końcu ratowali czyjeś życie. Mogli się spodziewać gradu kul. Nie chcę ich gnębić. Sanitariusz obejrzał mi rękę, kiedy składałem zeznanie. Nie mam połamanych kości.

– I wyszedłeś, i wszystko jest okay – podsumowała Sarah i wspięła się na palce, żeby pocałować go w policzek. – I nawet się nie waży tego powiedzieć, bo wykręcę ci sutek.

Okello wyszczerzył się w uśmiechu, jego wargi odnalazły wargi Sarah, a Lanternglass mimo wszystko uznała, że OOHYUM jest w porządku.

– Powiedzieć czego? – spytała.

– Że on zawsze jest okay – odparła Sarah i przewróciła oczami. – Głupie dowcipy jego i jego taty.

– Teraz jestem nawet bardziej okay niż zazwyczaj. To znaczy to nie jest okay, że zginęło niemowlę...

– Niemowlę? – powtórzyła Lanternglass.

Opuścił powieki, a na jego twarzy pojawiły się nagle smutek i strach.

– Tak, proszę pani. Zginęło razem ze swoją mamą. Ta kobieta w hidżabie, jej dziecko, ten gruby chłopak i pan Lewis. To cztery ofiary, wszyscy, którzy zostali zabici, nie licząc dziewczyny, tej, co strzelała. Ale jak przypominę sobie, co się stało w innych miejscach, w Aurorze i Columbine, to się cieszę, że nie było gorzej. Jestem pewien, że gliniarze się cieszą, że nie musieli strzelać. – W tym momencie roześmiał się chropawym, zgrzytającym śmiechem, w którym nie było radości. – I mogę się założyć, że pan Kellaway jest zadowolony, że w końcu mógł kogoś zabić.

Lanternglass pomyślała, że powinna kończyć, wziąć od dziewczyn kilka wypowiedzi, których nie wykorzysta, i spadać. Jeśli się stąd zaraz nie ruszy, spóźni się po córkę na obóz. Ciągle żywo pamiętała to

uczucie mdłości i osamotnienia, kiedy jako ostatnia czekała na kogoś, kto miał ją odebrać, i gapiła się przez poznaczone deszczem okno sali do lekcji tańca nowoczesnego. Pamiętała, jak zastanawiała się, czy ktoś, ktokolwiek, pojawi się, żeby ją zabrać. Ale po ostatnim zdaniu, przykuwającym uwagę, nie mogła ot tak odejść.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jest zadowolony? Że w końcu mógł kogoś zabić?

Nieomal drapieżny uśmiech zniknął z twarzy Okella.

– Może o tym też nie powinna pani pisać.

– Nie napiszę o niczym, co wpędzi cię w kłopoty, Okello. Po prostu jestem ciekawa. Co to za historia z tym Kellawayem?

Okello popatrzył jej prosto w oczy swoimi nagle chłodnymi oczami w kolorze Missisipi.

– Ten stary nazistowski skurwysyn celował do mnie z pistoletu podczas mojego trzeciego dnia w pracy.

– On... co?

– Pan Boston, manager oddziału Boost Yer Game, spytał, czy mogę zawieźć moim samochodem trochę towaru do Daytona Beach. Załatwiałem wtedy takie drobne sprawy, bo nawet nie miałem jeszcze uniformu. – Szarpnął za przód głupiej, złotej koszulki koszykarskiej z napisem BOOST YER GAME i z czarną ręką chwytającą pomarańczową, ognistą kulę. – Ładowałem właśnie pudełka do bagażnika, kiedy Kellaway zakradł się za moimi plecami i przyłożył mi lufę pistoletu do szyi. Powiedział: „Więzienie albo kostnica, wybór należy do ciebie. Mnie tam wszystko jedno”.

– Nonsens – odparła Lanternglass, chociaż mu wierzyła i jej ton mówił, że mu wierzyła.

Sarah miała napięte mięśnie szczęki, prostą kreskę zamiast ust i mocno ścisnęła palce chłopaka. Już słyszała tę historię, Lanternglass widziała to po niej.



– Naprawdę, z ręką na sercu – obruszył się Okello i postukał palcami po klatce piersiowej. – Włączył radio i powiedział, że złapał kogoś, kto kradnie pudełka z rampy załadunkowej za Boost Yer Game. Dodał jeszcze, że mam nóż do kartonu i pistolet. Ale zanim jego biuro zawiadomiło gliny, pan Boston zobaczył, co się stało, i przybiegł, żeby mu wyjaśnić, że wszystko jest w porządku. Że jestem pracownikiem.

– Miałeś pistolet?

– Miałem pistolet do taśmy – odpowiedział Okello. – Do zamykania pudełek. Rękojeść wystawała z kieszeni mojej bluzy. Nie mylił się co do noża do kartonu. Miałem go w tylnej kieszeni spodni.

„Podejrzany podniósł się i coś błysnęło w jego ręce. Skoczył. Pomyślałem, że ruszył na mnie z nożem, i wystrzeliłem w samoobronie” – tak mówił funkcjonariusz Mooney przed sądem. Lanternglass przeczytała całe zeznanie lata później. Wystarczyło trochę wyobraźni, trochę strachu i dużo rasowych uprzedzeń i płyta CD zamieniła się w nóż, a pistolet do taśmy w broń kalibru .45.

– Masz szczęście, że cię nie postrzelił – stwierdziła Lanternglass. – Dlaczego go nie wywalili?

Jeden kącik ust Okella ułożył się w ten jego gwiazdorski uśmiech, ale teraz był w nim cynizm, który jej się nie spodobał.

– Pan Boston trząsał się przez godzinę. Był blady, jakby miał gripę. Powiedział, że zadzwoni na linię zażaleń do firmy zajmującej się ochroną centrum, ale kiedy spróbował, okazało się, że linia jest odłączona. Napisał też do nich maila, który wrócił. To duża firma z południa, chyba Falcon Security. Zapewniają ochronę w wielu centrach handlowych. Można by pomyśleć, że jest z nimi łatwy kontakt. Pan Boston spytał, czy chce iść na policję i złożyć oficjalną skargę, doszedłem jednak do wniosku, że to i tak nic nie da, więc uznałem, że sobie daruję.

– Dlaczego nie odszedłeś wtedy z pracy?

- Bo moja uroda to za mało, żeby zapłacić za college.
- Czy Kellaway przeprosił?
- Tak. Od razu, na miejscu, i potem jeszcze następnego dnia, w swoim biurze. Dał mi bon na dwadzieścia pięć dolarów do wydania w dowolnym sklepie w centrum.
- Niech to diabli. Ale hojny. Całe dwadzieścia pięć dolarów. Na co je wydałeś?
- Ciągle je mam – powiedział Okello. – Zachowam je, dopóki ktoś w centrum nie przeceni kamizelek kuloodpornych. Wtedy kupię jedną.

## 17.15

Lanternglass oglądała razem z Dorothy konferencję prasową w telewizji.

Dorothy klęczała naprzeciwko telewizora, niecałe pół metra od ekranu, tak jak lubiła najbardziej. Czarna ośmiolatka ze smukłą szyją i nogami długimi na kilometr, we wściekle różowej czapce z króliczymi uszami. Przechodziła fazę czapek, miała ich całą szufladę. Wyprawić ją rano z domu to była codzienna męka, czasem znalezienie odpowiedniej czapki zajmowało do dwudziestu minut.

– Wolałabym oglądać *Kim Kolwiek*. – Dorothy mówiła o swoim ulubionym serialu na Disney Channel.

W lokalnych wiadomościach właśnie pokazywali anonimową salę konferencyjną i obiecywali, że policja z St. Possenti skomentuje strzelaninę w centrum handlowym Miracle Falls oraz że może

zidentyfikują bohaterskiego ochroniarza, który powstrzymał zabójcę, zanim ten zastrzelił więcej osób.

– Mama musi to obejrzeć do pracy – powiedziała Lanternglass od kuchennego stołu, gdzie siedziała przy laptopie, wystukując dwa tysiące słów o pożarze w lesie Ocala.

Nietrudno było się nastroić na właściwy ton. Czuła dym nawet we własnym salonie, chociaż paliło się całe kilometry stamtąd. Zastanawiała się, czy wiatr się zmienia.

– Ja też chcę mieć pracę, w której mogłabym oglądać telewizję i latać helikopterami.

– Jak następnym razem spotkasz pana Chena, spytaj go, czy szuka pracowników. Temu gospodarstwu domowemu przydałaby się druga pensja.

Ojciec Dorothy nie dokładał nawet okruszka. Zniknął z pola widzenia tuż po tym, jak Dorothy się urodziła, ponieważ nie zamierzał dopuścić, żeby niemowlę spieprzyło mu karierę muzyczną. Z ostatnich wiadomości, jakie Lanternglass miała, wynikało, że żył w Nowym Jorku, w Queens, miał dwie córki z inną kobietą, a jego kariera muzyczna polegała na bębnieniu w plastikowe rury na Times Square i zbieraniu dolarów do czapki.

Błysnęły flesze. Rozległ się szum, jakby wiatr poruszył liśćmi na drzewach, ale był to odgłos wydawany przez niewidoczną publiczność, szepczącą i poprawiającą się na krzesłach. Komendant Jay Rickles i szczupły Kubańczyk z biura prokuratora okręgowego zajęli miejsca za składanym stołem zastawionym mikrofonami. Za nimi pojawił się trzeci mężczyzna, w luźnej bluzie z kapturem z napisem SEAWORLD i obrazkiem skaczącej orki. Był koło czterdziestki, siwiały mu wąsy i wojskowa fryzura. Miał grubą szyję marines albo boksera i wielkie, kościste dłonie. Spoglądał na kamery dziwnie bezbarwnymi, obojętnymi oczami.

Komendant Jay Rickles poczekał, aż wszyscy się uciszą, a potem poczekał jeszcze chwilę, bo uwielbiał długie, dramatyczne pauzy. Dorothy podskoczyła trochę bliżej do telewizora.

– To za blisko, Guziczku – powiedziała Lanternglass.

– Chcę być blisko ekranu, żeby zobaczyć, czy ktoś kłamie.

– Twoja czapka mi zasłania.

Dorothy odsunęła się jakiś centymetr do tyłu.

– Dzień dobry i dobry wieczór – rozpoczął Rickles. – Nazywam się Jay Rickles, jestem komendantem i mam zamiar zacząć od krótkiego oświadczenia, podsumowania wydarzeń z dzisiejszego poranka w centrum handlowym Miracle Falls. O mniej więcej dziesiątej trzydzieści rano w Devotion Diamonds, na drugim piętrze, doszło do strzelaniny. Zidentyfikowaliśmy osobę, która strzelała. To Rebecca Kolbert, lat dwadzieścia, pochodząca z St. Possenti, pracowała w sklepie jako sprzedawczyni. Przypuszczamy, że pani Kolbert weszła do sklepu, po czym strzeliła do Rogera Lewisa, lat czterdzieści siedem, managera sieci sklepów Devotion Diamonds, do Yasmin Haswar, klientki, i do jej syna, Ibrahima. Potem na drodze pani Kolbert stanął Randall Kellaway, szef ochrony w centrum handlowym, zatrudniony w Falcon Security, były żandarm w armii Stanów Zjednoczonych. – W tym momencie Rickles pochylił się do przodu i spojrzał z podziwem na drugi koniec stołu, w kierunku wielkiego mężczyzny w bluzie z kapturem. – Pan Kellaway kazał pani Kolbert rzucić broń. Zamiast tego uniosła rewolwer do strzału i wtedy ją zastrzelił. Uznał, że nie żyje, i pośpieszył udzielić pomocy pani Haswar. Do sklepu wszedł inny mężczyzna, Robert Lutz, który zaoferował pomoc, i zaraz został zastrzelony przez panią Kolbert. Wówczas pan Kellaway odebrał jej broń. Niedługo później na miejscu pojawiły się oddziały antyterrorystyczne i personel ratunkowy. Pani Kolbert została uznana za zmarłą o godzinie jedenastej szesnaście.

Rickles trzymał przed sobą złożone dłonie. Wyglądał jak człowiek podziwiający w spokoju na ganku zachód słońca, z puszką piwa.

– Niektórzy z was wiedzą już, że moja córka i jej dwoje dzieci przebywali w centrum podczas zdarzenia. Nie ma powodu przypuszczać, że byli w fizycznym niebezpieczeństwie. Nie ma też powodu przypuszczać, że nie byli. Pani Kolbert było wszystko jedno, komu odbiera niewinne życie, i nie jesteśmy pewni, jakie były jej ostateczne plany. Z pewnością zamierzała zabijać do ostatniego tchu. Wolę nie myśleć, co by się wydarzyło, gdyby pan Kellaway nie zareagował w taki szybki i zdecydowany sposób. Doszłoby do niewyobrażalnej tragedii. W ciągu kilku minut straciliśmy lokalnego przedsiębiorcę, niewinnego przechodnia, który wkroczył do sklepu w bezinteresownym akcie współczucia, matkę i jej niemowlę. Jej niemowlę. Pięknego chłopczyka, członka patriotycznej społeczności muzułmańskiej w St. Possenti. Będziemy go opłakiwać przez najbliższe dni, tygodnie i miesiące. Ale dzisiaj dowiedzieliśmy się, co się dzieje, kiedy zły człowiek z bronią napotyka dobrego człowieka z bronią. Dzisiaj nasz żal jest zrównoważony wdzięcznością, a ból odczuwamy równocześnie z dumą.

Zamilkł, nachylił się i spojrział na asystenta prokuratora okręgowego.

– Panie Lopez? Czy chciałby pan teraz coś dodać?

– Dlaczego ktoś zastrzelił niemowlę? – spytała Dorothy. – Czy to się naprawdę stało?

– To się naprawdę stało, Guziczku – odparła Lanternglass.

– To głupie.

– Też tak myślę.

W telewizorze Lopez pochylił się do przodu i powiedział:

– Biuro prokuratora okręgowego hrabstwa Flagler oddało do dyspozycji całe nasze zasoby, w tym dwóch śledczych w pełnym

wymiarze godzin, aby zbadać przyczyny dzisiejszych haniebnych i tragicznych wydarzeń i dowiedzieć się, czy pani Kolbert działała sama, czy miała wsparcie współników.

Mówił jeszcze przez kolejne trzydzieści sekund, cytując gotowca: jeśli ktokolwiek ma jakiegokolwiek informacje, bla, bla, na razie nie ma aktu oskarżenia, bla, bla, najnowsze techniki kryminalistyczne, ple, ple. Skończył, a Rickles znowu nachylił się nad blatem.

– Rand? Czy chciałbyś złożyć oświadczenie? – spytał, patrząc na drugi koniec stołu na ogromnego faceta w bluzie z napisem SEAWORLD.

Flesze aparatów znów zaczęły strzelać.

Kellaway siedział z rękami na kolanach i opuszczoną głową, wyglądał trochę na zaszczutego i jakby prześladowały go wspomnienia. Zamyślił się na moment, potem przesunął do przodu na krześle i sięgnął po mikrofon.

– Jeśli mój syn to ogląda, chcę, żeby wiedział, że tata jest w porządku – odezwał się.

Zebrany tłum odpowiedział cichym pohukiwaniem, które skojarzyło się Lanternglass z gołębiami.

– On nie jest taki dobry – oznajmiła Dorothy.

– Powstrzymał szaleńca z bronią.

– Ale był w SeaWorld – powiedziała Dorothy i pokazała palcem bluzę. – Trzymają tam orki w naprawdę małych zbiornikach. To jakby ciebie ktoś zamknął w szafie i kazał ci tam siedzieć cały dzień. Nikt nie powinien odwiedzać SeaWorld.

– No tak – potwierdził miękko Jay Rickles, nieomal drżąc z rozkoszy. – Tata jest w porządku. Ludzie, tata jest w porządku. Tata to równy facet.

Salę rozświetlił ostatni spazm szalonych błysków fleszy. W ich urywanym, niemal oślepiającym świetle bardzo blada skóra

Kellawaya miała błękitny połysk, jak metal broni.

## 21.18

Ciągle tam byli, samochody transmisyjne, ekipy z kamerami; blokowali ulicę naprzeciwko jego domu. Siedział na otomanie pośrodku salonu, z telefonem stacjonarnym na kolanach. Policjanci zabrali jego komórkę. Przez szparę w zasłonach zaciągniętych na wielkim, panoramicznym oknie widział wozy transmisyjne. CNN. Fox. Jego własny telewizor, ze ściszonej dźwiękiem, stanowił jedyne źródło światła w pokoju. Puszczali wciąż ten sam kawałek, gdy Jay Rickles mówił o złym człowieku z bronią spotykającym dobrego człowieka z bronią.

Kellaway sam czuł się jak kula w pistolecie, naładowany i gotowy wypalić i polecieć, i zderzyć się mocno i ostatecznie z jakimś celem. Naładowany i gotowy wywalić dziurę w tym, co wszyscy o nim myśleli. Kiedy broń wypaliła, wszyscy odwrócili głowy, żeby popatrzeć, i teraz też by na niego patrzyli. Na niego, zamiast przez niego albo obok niego.

Czekał, aż telefon zadzwoni, i w końcu się doczekał. Kellaway podniósł słuchawkę do ucha.

Głos Holly był cichy i zasapany.

– Jesteś w domu. Nie byłam pewna, czy cię zastanę. Właśnie oglądałam telewizję.

– Nagranie jest sprzed kilku godzin. Teraz to oglądasz?

– T... tak. Dopiero teraz. Wszystko w porządku? Nie jesteś ranny?

– Nie, kochanie – powiedział do żony. Ciągłe żony, nawet teraz. W każdym razie na papierze.

Cicho wciągnęła powietrze.

– Nie powinieneś mnie tak nazywać.

– Kochanie?

– Tak. Nie powinieneś nawet o tym myśleć.

– Myślałbym o tym, nawet gdyby mnie zabiła. Gdyby dzisiaj do mnie strzeliła, to byłaby moja ostatnia myśl.

Kolejny urywany wdech. Próbowwała nie płakać. Płacz przychodził jej tak łatwo: na zakończenie telewizyjnych filmów o Bożym Narodzeniu, podczas reklam promujących działalność towarzystwa przeciwko znęcaniu się nad zwierzętami czy kiedy umierała jakaś gwiazda filmowa. Zawsze ubrana w cienką, aksamitną suknię z emocji, której tkanina darła się przy każdym kroku w świat, oblepiając Holly, gdziekolwiek szła.

– Nie powinieneś był tam iść. Powinieneś poczekać na policję. Co by było, gdyby cię zastrzeliła? Twój syn potrzebuje ojca – podkreśliła.

– Twoja prawniczka tak nie uważa. Twoja prawniczka uważa, że powinienem widywać George’a tylko raz w miesiącu, z opiekunką na karku.

Pociągnęła nosem i wiedział już na pewno, że płacze. Minęło kilkanaście sekund, zanim mogła znowu mówić, a i tak jej głos rwał się od emocji.

– Moja prawniczka nie tylko ciebie rozstawia po kątach. Mnie też. Zagroziła, że zostawi sprawę, jeśli będę z tobą negocjować. Przez nią poczułam się taka głupia, kiedy jej powiedziałam, że wiem, że nigdy byś nas nie skrzywdził, że nigdy byś...

Siostra Holly zakwakała gdzieś w tle. Ostry, niewyraźny dźwięk skojarzył mu się z tym, jak mówią dorośli w komiksach o Charliem Brownie. Holly nie umiała postawić na swoim. Oczekiwania innych



były jak nawałnica, a Holly jak kawałek gazety trzepoczący tu i tam pod wpływem ludzi. Zdaniem Randa Kellawaya siostra Holly, Frances, była ukrytą lesbiją, a facet, którego poślubiła – według wszelkiego prawdopodobieństwa – gejem. Nosił jaskrawe koszule w dziwnych kolorach (pomarańczowym, turkusowym) i z entuzjazmem oglądał w telewizji jazdę figurową na lodzie.

– Co powiedziała Frances? – spytał Kellaway.

Czuł, jak w jego wnętrzu coś się roznieca, jak draśnięta zapalka wybuchająca ogniem.

Ale Holly już go nie słuchała, słuchała swojej siostry. Powiedziała „Tak”. Więcej kwakania. „Nie!” I znowu „Nie!” błagającym, jękliwym tonem.

– Powiedz jej, żeby pilnowała swojego nosa – polecił jej Kellaway. Czuł, jak Holly odpływa, przestaje zwracać na niego uwagę, i doprowadzało go to do szału. – Nie słuchaj jej. To bez znaczenia, co ona mówi.

Holly ponownie odezwała się do niego, ale jej głos był speszony, szarpany emocjami.

– G... George chce z tobą rozmawiać, Rand. Dam ci go. Fran mówi, że ja nie mogę już z tobą dłużej gadać.

Dokładnie z tego powodu, kiedy jeszcze mieszkali razem, jedną z zasad Kellawaya było, że Holly mogła rozmawiać z Frances tylko wtedy, gdy on przebywał w pokoju. Nie chciał, żeby Holly miała komórkę, bo Frances mogłaby jej wysyłać SMS-y. Nie pozwolił żonie kupić telefonu, ale w tej pieprzonej firmie, w której pracowała, dali jej komórkę i nalegali, żeby ją nosiła.

– Powiedz tej włochatej cipie... – zaczął, w tym jednak momencie telefon zaklekotał i to był George.

– Tatusiu – powiedział. Tak jak matka, miał podniecony, zdyszany głos, tak samo miękko i słodko mamrotał. – Tatusiu, byłeś

w telewizorze!

– Wiem – odparł Kellaway. Wielkim wysiłkiem woli uspokoił głos i wstrzyknął w niego ciepło. – Przez całe popołudnie byłem w Krainie Telewizyjnej, tam gdzie mieszkają telewizyjni ludzie. Najtrudniej jest się tam dostać. Muszą cię zmniejszyć do bardzo, bardzo małych rozmiarów, żebyś się zmieścił w telewizorze.

George zachichotał. Ten dźwięk był tak uroczy, że Kellawaya aż zabolalo. Chciał trzymać syna na kolanach i przytulać go, aż zaczęłby krzyczeć i próbował się wyrwać. Chciał go zabrać na plażę i strzelać dla niego do butelek. George zawsze zaciskał pięści i tańczył za każdym razem, kiedy butelka się roztrzaskiwała. Kellaway roztrzaskałby świat, żeby zobaczyć, jak syn tańczy.

– To nieprawda – zaprzeczył George.

– Ależ tak. Najpierw bardzo, bardzo cię zmniejszają, potem dają ci bilet i jedziesz do Krainy Telewizyjnej Gadającą Lokomotywą Thomasem. Podczas podróży siedziałem obok jednego z Teletubisiów.

– Nieprawda.

– Serio. Siedziałem obok niego.

– Obok którego?

– Tego żółtego. Pachnie musztardą.

George znów zachichotał.

– Mama mówi, że uratowałeś ludzi od śmierci! Ona mówi, że tam była bardzo zła osoba i że ją zastrześliłeś o tak: bum! Czy to prawda?

– Tak, to prawda. Dokładnie tak.

– Okay. To dobrze. Cieszę się, że zastrześliłeś złą osobę. – Kwaczący dźwięk znowu włączył się w tle, Fran znowu się rozpędzała. George posłuchał jej i powiedział: – Muszę zjeść tosta i iść do łóżka.

– Zrób to. Idź już. Kocham cię, George.

– Ja też cię kocham.

– Daj mi jeszcze mamę.

– Ciocia Fran chce z tobą mówić.

Zanim zdołał odpowiedzieć, telefon ponownie zaklekotał. Następnie po drugiej stronie kabla pojawił się ktoś nowy. Nawet jej oddech był nieprzyjemny: cienki, powolny i przemyślany.

– Cześć, Randy – odezwała się Frances. – Masz sądowy zakaz rozmowy z moją siostrą.

– To ona do mnie zadzwoniła – odparł cierpliwie. – Nie mam sądowego zakazu odbierania telefonu.

– Ten sam zakaz sądowy mówi, że nie możesz nosić broni.

– Broń – zaczął – była pod ladą w wietnamskiej restauracji w centrum handlowym, poprosiłem o nią pana Nguyena. Gliny nie podały tego do wiadomości, żeby chronić jego, nie mnie. Ma wizę pobytową i posiadanie broni mogłoby go wystawić do odstrzału facetom z urzędu imigracyjnego. Ale proszę bardzo. Rób rozpierduchę. Zmusz policję, żeby deportowali faceta, który dał mi pistolet, bo go potrzebowałem, żeby zapobiec masowej strzelaninie. Ale będzie z ciebie bohaterka! Chcę rozmawiać z moją żoną.

Wcześniej starannie przemyślał swoje kłamstwo i uznał, że Frances nie da rady się do niego przyczepić.

I miał rację – nawet nie próbowała. Zamiast tego przypuściła łatwiejszy atak:

– Ona nie jest już twoją żoną.

– Jest, dopóki nie zobaczę papierów rozwodowych.

Frances wciągnęła powietrze. Widział w wyobraźni, jak szparki nozdrzy zwięzają się na końcu tego jej długiego, garbatego nosa. Miała rysy Holly, lekko zmienione, całkowicie jednak pozbawione urody siostry. U Holly miękkie, uległe usta i lśniące oczy odbijały wszystkie uczucia i jej głęboką potrzebę przypodobania się. Oczy Frances były pozbawione blasku i zmęczone, a po obu stronach jej ust biegły głębokie bruzdy. Holly chętnie się przytulała. Nikt nie chciałby

przytulić Frances: stalowe czubki jej twardych, małych cycków prawdopodobnie pozostawiłyby siniaki.

– Może myślisz, że dasz radę to wykorzystać, żeby ich odzyskać – powiedziała. – Ale to się nie zdarzy. Ona nie wróci, i on też nie. Nie po tym, co im zrobiłeś.

– Dzisiaj – wysyczał – ocaliłem niejedno życie. Dzisiaj zastrzeliłem szaloną kobietę, zanim ona zastrzeliła innych ludzi.

– Będziesz musiał zastrzelić jeszcze jedną szaloną kobietę, zanim znajdziesz się w pobliżu któregoś z nich. Będziesz musiał zabić mnie, żeby ich zabrać.

– No cóż, to na pewno byłby jakiś plus, nie?

I rozłączył się.

Nie spodziewał się, że oddzwoni, ale chwilę później, zanim jeszcze odłożył słuchawkę, telefon zatrzęsł się w jego dłoniach. Frances nie mogła znieść, kiedy ktoś inny miał ostatnie słowo.

– Lepiej oszczędzaj język – rzucił. – Na później, dla jakiejś cipki.

Po drugiej stronie zapadła niezręczna cisza. A potem młody człowiek powiedział:

– Pan Kellaway? Nazywam się Stanley Roth, jestem producentem programu *Telling Stories* w NBC. O rany, niełatwo zdobyć pana numer. Pan jest Randallem Kellawayem, tak?

Chwilę trwało, zanim do Kellawaya dotarło.

– Oglądam wasz program. To wy zrobiliście ten kawałek o arbusach nafaszerowanych metamfetaminą w hrabstwie Orange.

– Tak. Tak, to my. Nasz największy powód do chwały. Met Arbus to też nazwa naszej biurowej drużyny softballu. Zeszłego lata pokonaliśmy chłopaków z programu *20/20* i wygraliśmy w naszej lidze. Mam nadzieję, że znowu ich pobijemy w eliminacjach w ten weekend. Jestem pewien, że oni także próbują się z panem skontaktować. Chcą zaprosić pana do swojego programu, żeby

opowiedział pan o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Byłbym bardzo szczęśliwym człowiekiem, gdyby mnie pierwszemu udało się pana zaprosić.

Stanley Roth mówił tak kwieście i chaotycznie, że Kellaway musiał odsłuchać to sobie w głowie jeszcze raz, nim zrozumiał, że facet składa mu propozycję.

– Chce pan, żebym pojawił się w waszym programie?

– Tak, proszę pana. Żeby opowiedział pan swoją historię. Historię o dobrym człowieku z bronią. Jest pan jak Clint Eastwood, tylko prawdziwy.

– Clint Eastwood jest prawdziwy. A może nie?

– Hm, no cóż... tak. Ale jemu płacą, żeby udawał kogoś, kim pan jest naprawdę: kogoś, kto wie, jak kontratakować. Ludzie przez większość czasu czują się tacy bezradni, zdominowani przez siły jednoczące się przeciw nim. Potrzebują takich historii tak jak jedzenia i picia. Historii o osobach, które dokonały najlepszych, najodważniejszych wyborów, chociaż łatwiej byłoby schylić głowę. O ludziach, którzy zmieniają ten pieprzony świat. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan słownictwo, ale naprawdę mnie to poruszyło.

– Musiałbym pojechać do Nowego Jorku?

– Nie, może pan wystąpić u siebie. Możemy zamówić lokalne studio i nagrać wywiad. Jeśli pomoże to panu podjąć decyzję, chciałbym dodać, że komendant Jay Rickles już zgodził się z nami porozmawiać i dołączyłby do pana przed kamerą. Ten facet pana uwielbia. Myślę, że chciałby pana adoptować. Albo ożenić pana z którąś ze swoich córek. Albo samemu się z panem ożenić. Mówi o panu z taką fascynacją, z jaką mój syn mówi o Batmanie.

– To może on panu wystarczy. Gość chyba wie, co robi, kiedy rozmawia z mediami. Nie jestem typem mówcy. Nigdy nie byłem w telewizji.

– Nie musi pan być typem mówcy. Proszę wyłącznie być sobą. To nic takiego, pod warunkiem że w czasie nagrania nie będzie pan myślał o trzech milionach widzów spijających każde słowo z pana ust. Ale to i tak mniej przerażające, niż wejść do sklepu, w którym kobieta zabija ludzi jak leci.

– To nie było przerażające. Nie miałem czasu się przestraszyć. Po prostu pochyliłem się i ruszyłem do przodu.

– Doskonale. O Boże. To jest doskonale. No to będzie musiał się pan pochylić jeszcze raz, bo kobiety będą rzucać w pana majtkami.

– Jestem żonaty – zaznaczył z rozmysłem Kellaway. – I mam małego syna. Fantastycznego sześciolatka.

Nastąpiła pełna szacunku pauza. A następnie Stan powiedział:

– A w tamtej chwili myślał pan o tym, czy jeszcze kiedyś go pan zobaczy?

– Nie bardzo – przyznał Kellaway. – Ale ciągle tu jestem. Ciągle tu jestem i nigdy go nie opuszczę.

Rozmawiali przez kolejne dwadzieścia minut, Stan nazwał to „wywiadem wstępnym”; potem przybliżył mu, na czym będzie polegać dyskusja na żywo. Nagrają to po południu dziesiątego i wyemitują tego samego wieczoru. „Jak załpisz, nie ma newsów” – powtórzył Stan kilkakrotnie. Dał Kellawayowi parę wskazówek, jak dobrze prezentować się przed kamerą, ale ten nawet ich nie zarejestrował. Kiedy się rozłączyli, jedyne, co pamiętał z uwag Stana, to nie jeść jagód, bo nasionka włożą między zęby i będzie wyglądał, jakby nigdy nie używał nitki.

Telefon znowu zadzwonił, prawie natychmiast po tym, jak Kellaway odłożył słuchawkę. Myślał, że to jeszcze raz Stan, z ostatnimi, zapomnianymi i nieistotnymi uwagami. Albo ktoś z ABC lub NBC z zaproszeniem do ich programu.

Ale to wcale nie był Stan ani CNN, ani Frances. To był Jim Hirst. Połączenie było słabe, coś syczało w tle, a jego głos brzmiał, jakby Jim dzwonił z drugiej strony kuli ziemskiej albo z drugiej strony Księżyca.

– Patrzcie państwo, kto został dzisiaj sławny – odezwał się Jim i zaniósł się suchym urywanym kaszlem.

– Już prędzej: patrzcie państwo, kto miał dzisiaj szczęście – odpowiedział Kellaway. – No bo jeśli naprawdę ktoś miał mi odstrzelić głowę, to raczej tam, w tym gównie, a nie tutaj, w centrum handlowym.

– No tak, wychodzi na to, że jakaś wściekła suka wybrała dzisiaj złe miejsce na zakupy. Dostała coś ekstra za swoje pieniądze, nie?

Znowu zakaszłał. Kellaway pomyślał, że Jim musi być trochę pijany.

– Pijesz tę szkocką, którą ci dałem? – spytał.

– A tak. Parę łyżków. Wypiłem za ciebie, bracie. Cieszę się, że żyjesz, a ona jest martwa, a nie odwrotnie. Chętnie bym cię uściskał, człowieku. Gdyby ona zabiła ciebie, to by zabiło mnie, wiesz?

Kellaway nie był przyzwyczajony do silnych emocji i zdziwiło go łaskotanie pod powiekami.

– Chciałbym być wart połowę tego, co o mnie myślisz.

Zamknął oczy, ale tylko na chwilę. Kiedy opuścił powieki, zobaczył tę kobietę, Yasmin Haswar, podnoszącą się zza szklanej lady, z rozszerzonymi, przerażonymi oczami. Obrócił się i ponownie do niej strzelił. Prosto poprzez dziecko przymocowane do jej piersi.

– Nie myśl o sobie źle. Nie rób tego. Dzisiaj uratowałeś sporo pieprzonych istnień. Jestem z ciebie dumny. Chociaż raz się cieszę, że przeżyłem i wróciłem do domu. I coś ci powiem, człowieku. Nigdy nie chciałem żyć pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat jak jakaś bezużyteczna pijawka na społeczeństwie. Ale dziś sobie pomyślałem, że może nie jestem kompletnym śmieciem. Gdy mój najlepszy przyjaciel Rand

Kellaway potrzebował broni... no cóż. Nie poszedłeś tam dzisiaj z pustymi rękami i to jest mój wkład. Mój mały smak chwały.

– To prawda. Osłaniałeś mnie dzisiaj. Choć nikt nigdy się o tym nie dowie.

– Choć nikt nigdy się o tym nie dowie – powtórzył Jim.

– Wszystko gra? Mówisz, jakbyś był chory.

– A nie, to ten pieprzony dym. Dziś wieczorem wisi dokładnie nad domem. Wypala mi oczy, człowieku. Mówią, że pożar jest jeszcze trzy kilometry stąd, ale ledwo widzę koniec przedpokoju.

– Powinieneś iść spać.

– Niedługo, człowieku. Niedługo. Chcę trochę posiedzieć i obejrzeć powtórkę wiadomości. Wtedy znowu będę mógł za ciebie wypić.

– Daj mi Mary. Powiem jej, żeby położyła cię do łóżka. Nie musisz więcej za mnie pić. Za to musisz o siebie zadbać. Daj mi Mary.

Głos Jima się zmienił, nagle pojawiła się w nim ponura i zrzędlawa nuta.

– Nie mogę, człowieku. Nie ma jej tutaj.

– Gdzie jest?

– A skąd ja mogę wiedzieć, do kurwy nędzy – powiedział Jim Hirst.

– Na pewno ją zobaczę, prędzej czy później. Zostawiła wszystkie swoje rzeczy!

I zaśmiał się, aż śmiech przeszedł w urywany gardłowy kaszel człowieka krztuszącego się krwią na łożu śmierci.



## 8 lipca 2013

### 8.51

Najpierw Lanternglass dotarła do rodziny Lutza. Jak się ma do zrobienia coś nieprzyjemnego, najlepiej od tego zacząć i mieć z głowy. Nienawidziła dzwonić do rodzin zmarłych. Czowała się jak wrona wyciągająca wnętrzności ze zwierzęcia rozjechanego przez samochód.

Numeru Lutzów nie było w książce telefonicznej, ale według strony internetowej szkoły podstawowej w Bush Robert Lutz, który zmarł w wieku dwudziestu trzech lat, udzielał uczniom prywatnych lekcji gry na pianinie. A tak się złożyło, że wicedyrektorem w Bush był Brian Lutz. Lanternglass zadzwoniła na numer jego biura i usłyszała nagraną wiadomość, że podczas wakacji będzie odsłuchiwał sekretarkę, w pilnych sprawach najlepiej jednak dzwonić na komórkę. Numer był podany.

Wybrała go, stojąc na chodniku naprzeciwko Starbucksa, niedaleko terenów rekreacyjnych St. Possenti, gdzie Dorothy miała obóz tenisowy. Lanternglass piła mrożoną kawę, tak zimną, że po pierwszym łyku całe jej ciało pokryło się gęsią skórą. Była trochę za bardzo zdenerwowana na kawę, nie potrzebowała kofeiny, żeby się podkręcić. Wątpiła, czy Brian Lutz odbierze komórkę, ale zrobił to, po drugim dzwonku, dokładnie tak, jak gdzieś tam mimo wszystko przypuszczała.

Przedstawiła się cichym, łagodnym głosem, powiedziała, że pracuje dla „St. Possenti Digest”, i spytała, jak się miewa.

Mówił głębokim, lekko się załamującym barytonem.

– Dwa dni temu mój młodszy brat został zabity strzałem prosto w twarz, więc nie za dobrze. A jak pani się miewa?

Nie zareagowała. Zaznaczyła, że jest jej przykro, że nie chciałaby mu przeszkadzać, zwłaszcza kiedy zмага się z bólem.

– Przecież właśnie mi pani przeszkodziła – wytknął jej i zaśmiał się.

Lanternglass miała ochotę opowiedzieć mu o Colsonie. Chciała powiedzieć, że go rozumie, że sama była kiedyś po tamtej stronie. Kiedy Colson został zabity, dziennikarze parkowali naprzeciwko bliźniaka, w którym Aisha mieszkała z matką, i czekali, aż wyjdą. Gdy matka Aishy, Grace, odprowadzała ją rano do szkoły, dziennikarze tłoczyli się wokół nich, wymachując magnetofonami. Grace chwyciła rękę Aishy i patrzyła prosto przed siebie, a jedyna odpowiedź, jaka wychodziła z jej ust, to dźwięk: Nmm-nm! To miało znaczyć: „Nie widzę was, nie słyszę was i moja córka też nie”. Lanternglass rozumiała teraz, że matkę mdliło z przerażenia, bała się cudzej uwagi, bała się, kiedy przyglądano się jej z tak bliska. Grace była trzy razy w więzieniu – po raz drugi siedziała nawet w ciąży z Aishą – i przerażało ją, że dziennikarze mogą napisać coś, co znowu ją tam pośle. Z kolei Aisha chciała, żeby wszyscy dowiedzieli się, co tak naprawdę się wydarzyło. Uważała, że powinny powiedzieć wszystkim dziennikarzom, jak Colson został zastrzelony, chociaż NIC NIE ZROBIŁ oprócz tego, że zabrał tę głupią płytę. Chciała opowiedzieć, jak Colson miał pojechać do Londynu i spotkać Jane Seymour, i być Hamletem. Chciała, żeby cały świat się o tym dowiedział.

– Nie wystarczy ci, że go straciłaś? – spytała ją Grace. – Mnie też chcesz stracić? Chcesz, żeby mnie znowu zamknęli? Myślisz, że jak nagadamy na policjantów, to po nas nie przyjdą?

Ostatecznie Aisha Lanternglass i tak opowiedziała o tym świecie. Musiała tylko poczekać piętnaście lat. „St. Possenti Digest” opublikował historię Colsona w pięciu częściach w ciągu jednego tygodnia. Te teksty zostały nominowane do Nagrody Pulitzera za lokalny reportaż i dlatego Lanternglass ciągle miała pracę, podczas gdy prawie wszyscy inni pełnoetatowi reporterzy „Digest” zostali zwolnieni z powodu recesji.

Ale Brianowi Lutzowi nie powiedziała o Colsonie, bo już dawno temu obiecała sobie, że nigdy nie wykorzysta tamtej śmierci, żeby zdobyć opowieść. Po tym, jak się kogoś straciło, nadal żyje się z nim w związku i trzeba o to dbać, tak jak dba się o związek z żyjącym przyjacielem albo krewnym. Nawet teraz Colson był kimś, o kogo się troszczyła i kogo nie chciała wykorzystywać.

Więc odparła:

– Chciałam tylko spytać, czy pana rodzina ma jakieś zdjęcie Boba, które moglibyście udostępnić. Nie chcę pogarszać i tak już okropnej sytuacji. Pana brat zrobił coś niezwykłego, wie pan? Wielu ludzi uciekłoby w przeciwną stronę, a on wszedł do Devotion Diamonds i próbował pomóc ofiarom. Dobrze byłoby, żeby inni poznali jego odwagę, i dlatego piszemy o tym, co się wydarzyło. Pragnę też uszanować pana uczucia i być w porządku wobec pana rodziny, więc jeśli nie chce pan mieć do czynienia ze wścibską dziennikarką, proszę się rozłączyć. Nie płacą mi aż tyle, żebym przepuszczała ludzi w żałobie przez uczuciową wyżymaczkę.

Długo nic nie mówił. A potem znowu się zaśmiał zardzewiałym, złamanym śmiechem.

– Chce pani, żeby inni dowiedzieli się o jego odwadze? Ludziska, to paradne. Nawet nie wie pani, jak paradne. Znam tylko jednego większego tchórza niż Bob, to ja. Wujek zabrał nas kiedyś do lunaparku na dziecienną kolejkę, taką dla maluchów, na wiejskim

jarmarku. Ja miałem trzynaście lat, a Bob osiem i obaj ryczeliśmy przez całą jazdę. W tej kolejce siedziały pięciolatki, które wstydziły się za nas. Nie mam pieprzonego pojęcia, dlaczego Bob tam poszedł. To kompletnie do niego nie pasuje.

– Może myślał, że już po strzelaninie – zasugerowała Lanternglass.

– Musiałby mieć całkowitą pieprzoną pewność – odpowiedział Brian Lutz, a kiedy zaśmiał się znów, zabrzmiało to bardziej jak szloch. – Płakaliśmy w kolejce Little Zoom-Zoom. Ja nawet zmoczyłem trochę majtki! Jak zsiadliśmy, wujek nie mógł na nas patrzeć, na żadnego z nas. Zabrał nas prosto do domu. Powiem pani coś o moim małym braciszku. Prędzej by umarł, niż poszedł gdzieś, gdzie mogliby go zabić. Po prostu by, kurwa, umarł.

## 9.38

Lanternglass dostała dwa maile od Alyony Lewis, żony Rogera Lewisa. Pierwszy przyszedł za pośrednictwem jej prawnika, o 9.38. Lanternglass przeczytała go przy biurku w newsroomie w redakcji „Digest”.

**Alyona Lewis pogrążona jest w żałobie po stracie Rogera Lewisa, swojego ukochanego męża, z którym żyła w związku przez dwadzieścia jeden lat, zabitego w bezsensownej masowej strzelaninie w centrum handlowym Miracle Falls; Margot i Peter Lewisowie opłakują śmierć swojego ukochanego syna; St. Possenti łka nad stratą aktywnego, dobrodusznego i hojnego członka swojej społeczności.**

Dalej leciało jeszcze osiemset słów, wszystkie równie formalne i nieistotne. Alyona i Roger otworzyli swój pierwszy sklep z biżuterią w Miami w 1994 roku, należeli do Kościoła Baptistów Next Level, hodowali trzy gryfoniki brukselskie i wypisywali czeki na duże sumy na rzecz olimpiad specjalnych. Kwiaty można przesyłać do domu pogrzebowego Lawrence. To było profesjonalne i wyważone oświadczenie publiczne i nie było w nim ani jednego zdania, które Lanternglass mogłaby zacytować.

## 22.03

Drugi mail Alyona wysłała osobiście; przyszedł pół godziny po tym, jak Lanternglass poszła do łóżka, ale jeszcze nie spała – przykryta prześcieradłem gapiała się w sufit. Jej telefon zapikał, więc odwróciła się na bok, żeby zerknąć. Wiadomość została wysłana z prywatnego adresu mailowego Alyony: Alyo\_Lewis\_Gems@aol.com, składała się z jednego zdania i brzmiała:

**Myślę, że on ją pieprzył.**

**9 lipca 2013**

**5.28**

Numer stacjonarny Rashida Haswara nie figurował w książce telefonicznej, mężczyzna nie miał konta na Twitterze ani na Instagramie, a profil facebookowy jego żony był prywatny. Haswar pracował we Flagler-Atlantic Natural Gas Corporation, w dziale księgowości, ale recepcjonistka nie zgodziła się podać Lanternglass numeru jego komórki.

– Gdyby chciał z panią porozmawiać albo z kimkolwiek z mediów, sam by zadzwonił – powiedziała cienkim, oburzonym głosem. – Nie zrobił tego, bo nie chce.

Ale Lanternglass miała pewien pomysł, więc we wtorek rano obudziła córkę przed świtem i zaprowadziła ją do samochodu. Dorothy ciągle jeszcze na wpół spała, kiedy szła z zamkniętymi oczami przez mokry od rosy trawnik. Miała na głowie grubą, włochatą czapkę z pyskiem niedźwiedzia polarnego. Zaraz znowu usnęła z tyłu samochodu, gdy jechały przez miasto.

Centrum Islamskie mieściło się w Czarno-Niebieskim, w niskim, brzydkim betonowym budynku naprzeciwko ciągu sklepów, wśród których znajdowały się kawiarnia Honey Dew Donuts, biuro poręczyciela zwolnień za kaucją i dyskont z butami. Ostatni wierni wchodzili na poranną modlitwę, kobiety przez drzwi z boku budynku,

mężczyźni przez podwójne wejście od frontu. Wielu z nich nosiło tradycyjne stroje, chociaż tylko nieliczni pochodzili z Bliskiego Wschodu. Lanternglass zaparkowała koło Honey Dew, znalazła miejsce przy ladzie koło okna i obserwowała ulicę. Dorothy, z lukrowanym pączkiem i butelką mleka, wspięła się na stołek obok niej, ale ugryzła ciastko tylko raz, a potem opuściła głowę. Niebo na zewnątrz miało odcień królewskiej purpury, chmury znaczyły złote pocałunki. Wiatr orzeźwiał, liście palm furkotały.

Po dziesięciu minutach obserwacji meczetu Lanternglass zauważyła smukłego, żyłastego mężczyznę w czarnej czapce baseballowej, z ramionami skrzyżowanymi na zapadniętej piersi, stojącego w kawiarni koło drzwi. On też obserwował ulicę. Kiedy spojrzała na niego po raz pierwszy, dostrzegła ciemne kręgi pod zaczerwienionymi oczami. Wyglądał, jakby od kilku dni nie spał. Spojrzała na niego po raz drugi, bo zwrócił jej uwagę napis wyhaftowany na kieszonce niebieskiej dżinsowej koszuli: FLAGLER-ATLANTIC NGC. Lanternglass pocałowała Dorothy w policzek – córka chyba tego nie zarejestrowała – i przesunęła się trzy stołki w prawo, razem ze swoją kawą i pączkami, tak że znalazła się tuż obok faceta.

– Pan Haswar? – spytała łagodnie.

Drgnął, jakby go poraził prąd, i rozejrzał się rozszerzonymi, zdumionymi i trochę przerażonymi oczami. Spodziewała się, że w każdej chwili może wybiec za drzwi i uciec, ale nie zrobił tego, stał w miejscu i ciasno obejmował się ramionami.

– Tak? – zapytał bez akcentu.

– Nie modli się pan?

Zamrugnął. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie nie słychać było gniewu ani chęci obrony, tylko ciekawość:

– Pani z prasy?

– Niestety, tak. Nazywam się Aisha Lanternglass i jestem z „Digest”. Próbowaliśmy się z panem skontaktować. Mieliśmy nadzieję, że może mógłby pan udostępnić nam zdjęcie żony i syna. Chcielibyśmy ich uhonorować najlepiej, jak potrafimy. Pana też, pańską stratę. Stratę pana rodziny. To straszne.

Sama złapała się na tym, że brzmi to okropnie fałszywie.

Znowu zamrugał, odwrócił głowę i spojrzał na meczet.

– Czytałem pani tekst o masakrze.

Nie dodał nic więcej, jakby nie czuł takiej potrzeby.

– Panie Haswar, czy wie pan, dlaczego pana żona poszła tamtego ranka do Devotion Diamonds?

– Dla mnie – odpowiedział, nie patrząc na nią. – To ja ją poprosiłem. Moja szefowa, pani Oakley, przechodzi na emeryturę. Mam zająć jego miejsce. Yasmin poszła do centrum handlowego wybrać coś, co mógłbym ofiarować pani Oakley podczas przyjęcia. Yasmin... zawsze lubiła kupować coś dla innych. Uwielbiała dawać prezenty. Już się cieszyła, że jak Ibrahim podrośnie, będzie dawać mu podarunki na Id. Wie pani, co to jest Id al-Fitr?

– Tak – odparła Lanternglass. – Święto końca ramadanu.

Skinął głową.

– A wie pani, że dzisiaj jest pierwszy dzień ramadanu? – Parsknął śmiechem, w którym nie było wesołości, i dodał: – Oczywiście, że pani wie. Dlatego tkwi pani przed meczetem. – Nie mówił tego z gniewem, to nie było oskarżenie. Ale jego łagodność była jeszcze gorsza. Lanternglass nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Przyprowadziłem tu matkę Yasmin. Jest w środku z innymi kobietami. Nie wie, że ja się nie modłę, bo kobiety i mężczyźni modlą się w oddzielnych pomieszczeniach. Wie pani o tym?

Przytaknęła.



– Ojciec Yasmin nie mógł przyprowadzić jej na poranne modlitwy. Jest w szpitalu, na obserwacji. Od kiedy się dowiedział, zemdłał już kilka razy. Śmiertelnie się o niego boimy. W zeszłym roku miał wszczepione by-passy. – Postukał się kciukiem w pierś. – Ona była jego jedynym dzieckiem. – Pogładził się kciukiem po mostku, potarł miejsce, gdzie została postrzelona jego żona. Popatrzył nieuważnie w kierunku świątyni i w końcu spytał: – Myśli pani, że to dlatego, że była muzulmanką?

– Co takiego? – zdziwiła się Lanternglass.

– Że dlatego została zastrzelona? Oboje zostali zastrzeleni?

– Nie wiem. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

– I dobrze. Nie chcę wiedzieć. Wczoraj w nocy śniło mi się, że mój syn powiedział pierwsze słowo. To było „ciastko”. Powiedział: „Mm, ciastko!”. To zapewne mało prawdopodobne. Yasmin jeszcze mi się nie śniła. Ale nie śpiam zbyt wiele – dodał. – Nie zjadła pani swojego pączka.

– Nienawidzę ich. – Lanternglass odepchnęła talerz. – Nie wiem, dlaczego go wzięłam.

– Szkoda by było, żeby się zmarnował. Pachnie cudownie. – Bez pytania wziął pączek z talerza. Patrząc jej prosto w oczy, ugryzł duży kawałek. – Mm. Ciastko.

**10 lipca 2013**

**17.40**

Po nagraniu wywiadu dla *Telling Stories* Jay Rickles zaprosił go do domu na kolację. Chciał, żeby Kellaway poznał jego rodzinę. Mogliby otworzyć kilka piw i obejrzeć program, który będą nadawać o dziewiątej. Kellaway nie miał nic innego do roboty.

Rickles mieszkał przy Kiwi Boulevard. To nie był wielki dom, żadnej fontanny od frontu, żadnego otynkowanego na biało muru okrążającego posiadłość; nie było nawet basenu. Ale wyglądał przyjemnie, duża hacjenda z dachem z czerwonych hiszpańskich dachówek i ogromnym dziedzińcem wysypanym potłuczonymi białymi muszlami. Schodki frontowe oflankowane były dwiema zielonymi figurami karpia koi z miedzi, wielkości walijskich corgi.

W środku dom wyglądał jak restauracja tex-mex, na ścianach wisiały lassa i wybielone czaszki z rogami. Był też zatłoczony, pełen smukłych młodych kobiet w wysokich skórzanych butach i dżinsowych spódnicach i małych dzieci, które przebiegały z pokoju do pokoju. Kellaway najpierw pomyślał, że Rickles wydaje przyjęcie i zaprosił wszystkich sąsiadów. Zajęło mu ponad godzinę, żeby się zorientować, że dziewczyny ze złotymi włosami to były jego córki, a małe dzieci – wnuki.

Zasiedli na sofie rozmiaru cadillaca, ozdobionej plemiennymi motywami, przed telewizorem wielkim jak maska cadillaca. Na stoliku do kawy stało już spore stalowe wiadro wypełnione lodem i butelkami corony, a obok miseczka z solą i druga z kawałkami cytryny. Rickles wziął piwo jedną ręką. Drugą owinął wokół biodra wysokiej kobiety z długimi nogami, we wranglerach tak obcisłych, że prawie nieprzyzwoitych. Kellaway w pierwszej chwili pomyślał, że Rickles klepie po tyłku jedną z własnych córek. Ale w następnej sekundzie zauważył, że ta kobieta jest koło sześćdziesiątki, ma ciężki makijaż, który przykrywa drobniejsze zmarszczki w kącikach ust i oczu, a żółty kolor jej włosów to niemal na pewno farba. Miała harmonijną urodę Christie Brinkley, kogoś, kto zawsze był piękny i zawsze będzie piękny, z przyzwyczajenia.

– Czy to jest pan Kellaway? – spytała. – Czy zastępca komendanta Kellaway?

Rickles klepnął ją jedną ręką po pupie, aż podskoczyła, zaśmiała się i potarła pośladek.

– Ucisz się, kobieto. Wszystko zepsujesz.

– Psucie męskich planów to cel mojego życia – powiedziała i odeszła, prowokacyjnie kołysząc biodrami. A może po prostu tak chodziła.

Kiedy sobie poszła, Kellaway spojrzał na Ricklesa i zapytał:

– Zastępca komendanta?

Oczy komendanta policji zalsniły z emocji.

– To miała być niespodzianka. W przyszłym miesiącu mianujemy cię honorowym zastępcą. Wręczymy ci też klucze do miasta. Wielka ceremonia. Kiedy to ogłosimy, udawaj, proszę, że nic nie wiesz.

– Dostanę własną odznakę?

– No pewnie. – Rickles zaśmiał się chropawym śmiechem kogoś, kto nie żałuje sobie piwa. – Zastanawiam się, dlaczego naprawdę nie

jesteś zastępcą.

– Chciałem. Odrzuciłeś mnie.

– Ja? – Rickles położył rękę na piersi i szeroko otworzył oczy z niedowierzaniem.

– No cóż. W każdym razie policja.

– Służyłeś w Iraku?

– Mhm.

– I my cię odrzuciliśmy? Dlaczego?

– Jedno miejsce, pięćdziesiąt podań, a ja pewnie mam za mało melaniny.

Rickles smutno pokiwał głową.

– Chryste, zawsze ta sama historia. Żeby człowiek nie wiem jak dbał o równe szanse mniejszości, to zawsze za mało. Czytałeś ten kawałek w „Digest” o studencie aktorstwa? Nie? To było dwadzieścia lat temu, wypuścili list gończy za czarnym Amerykaninem, który pociął nożem parę białych, ukradł ich miatę i torbę Hermèsa pełną łupów. Żona zmarła, mąż się wylizał. Gliniarze namierzyli miatę na parkingu w Czarno-Niebieskim i zobaczyli faceta, który pasował do opisu, jak odchodzi stamtąd z nożem w ręce i torbą na ramieniu. Każą mu się położyć twarzą do ziemi, ale on zamiast tego ucieka. Biegnie za róg ciągu sklepów, a potem zmienia zdanie i wraca. Kiedy gliniarze wybiegają zza rogu, wpadają prosto na niego. Myślą, że ich atakuje, i jeden z nich strzela w jego czarną dupę. Okazało się, że nie miał wcale noża. Tylko płytę CD. A torebka Hermèsa na jego ramieniu? Był to plecak z Małą Syrenką, który niósł za kuzynką. Ten siedemnastoletni przystojniaczek występował w letnim teatrze i chciał się dostać do londyńskiej Akademii Sztuki Dramatycznej. Uciekał, bo szwendał się po okolicy i zabawiał w otwieranie samochodów, zabieranie rzeczy, drobne kradzieże. Tak naprawdę to chyba zabiły go wyrzuty sumienia.

W swojej głowie Kellaway znowu zabijał muzułmankę, ciągle od nowa. Wkurzało go myślenie o niej, myślenie o tym, dlaczego ta suka się podniosła, dlaczego nie siedziała nieruchomo. Oskarżał ją, że to była jej wina.

– Adrenalina w żyłach – powiedział. – Jest ciemno. Wiecie, że facet, którego szukacie, już pociął kilka osób, że jest świrnięty. Nie rozumiem, dlaczego obwiniacie gliniarzy o to, że strzelali.

– My nie, sąd też nie. Tylko zrobił się z tego publiczny skandal i w ogóle nieszczęście. Gliniarz, który zastrzelił dzieciaka, wpadł w narkotyki i alkohol. Biedak, później wyrzucili go z roboty za przemoc domową. No cóż. Kuzynka, ta od plecaka z Małą Syrenką, była świadkiem strzelaniny. Mija piętnaście lat, zostaje dziennikarką „St. Possenti Digest” i pisze o tym wielki tekst. O systemowym rasizmie na Florydzie i o tendencji do chronienia policjantów, którzy nadużywają władzy. Posiedziałem z nią, udzieliłem jej wywiadu, powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Pochwaliłem się, że zatrudniamy mniejszości, zaznaczyłem, że tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci rok był, w sensie dosłownym, w ubiegłym stuleciu i że zależy nam, żeby czarna społeczność widziała w nas sprzymierzeńca, a nie okupanta. Kiedy prowadziłem ją do mojego biura, upewniłem się, że wokół siedzą sami czarni. Przy biurku jednego z detektywów posadziłem nawet faceta z IT. A przy innym gościu myjącego okna. W środku było tak czarno, jakby przyszła na koncert Luthera Vandrossa, a nie na komendę. Przy takich wywiadach nie masz wyboru. Albo powiesz to, co chcą usłyszeć, albo prasa cię obsmaruje za nieprawomyślne myślenie. Nie podobało mi się to, ale zagrałem w tę grę. Pamiętaj o tym, jak będziesz z nią rozmawiać.

– Co masz na myśli: jak będę z nią rozmawiać?

– Teraz interesuję ją twój tyłek, partnerze. Aisha Lanternglass. Dziewczyna, która napisała historię o martwym studencie aktorstwa i przez którą cała moja komenda prezentowała się jak lokalny rozdział historii Ku-Klux-Klanu. Będzie opisywać wydarzenia w centrum handlowym. Uważaj na nią, Kellaway. Ona nienawidzi białasów.

Kellaway sącył coronę i rozmyślał.

– A dorwali tego faceta, który pociął tę parę? – spytał w końcu. – Tego czarnego z nożem?

Rickles pokręcił z żalem głową.

– Nie było żadnego czarnego gościa z nożem. Okazało się, że mąż miał dziewczynę. Zamordował żonę, a potem jego kochanie dźgnęło go kilka razy, żeby wyglądało, jakby on też oberwał. Kazał jej odjechać miatą i zaparkować w Czarno-Niebieskim. Mieliśmy dziewczynę na kamerze, jak zostawia samochód na parkingu. – Westchnął. – Do diabła, szkoda, że nie mamy więcej ujęć z tego, co zdarzyło się w Devotion Diamonds. Widać, jak dziewczyna wchodzi do środka, ale dalej już nic. Szkoda. *Telling Stories* na pewno też chciałoby to mieć.

– Nie możecie tego wyciągnąć z komputera Rogera Lewisa?

Kamery w Devotion Diamonds przesyłały obraz prosto do dużego iMaca w biurze Lewisa, tego, który spadł z biurka. Kellaway kilkoma kopniakami upewnił się, że sprzętu już się nie da włączyć.

Rickles machnął ręką w geście oznaczającym: może tak, może nie.

– Technicy mówią, że może ocalał twardy dysk, ale uwierzę, dopiero jak zobaczę. – Łyknął piwa i dodał: – Może jeśli uda się coś zgrać, *Telling Stories* znowu nas zaprosi.

Gdyby technicy uratowali twardy dysk, nagranie pokazałoby, jak Kellaway wsadza kulkę w sześciomiesięczne niemowlę i jego matkę, a następnie zabija Bobby'ego Lutza pistoletem Becki Kolbert. Kellaway miał nadzieję, że jeżeli tak się stanie, będzie wtedy miał inny pistolet.

Całkiem spokojnie potrafił sobie wyobrazić, że siedzi na ubikacji w głównej łazience i dotyka podniebienia czubkiem gnata kalibru .38, podczas gdy gliny wrzeszczą coś z sąsiedniego pomieszczenia. Mógłby to zrobić. Wiedział, że mógłby połknąć kulkę. Lepiej umrzeć w ten sposób, niż żyć dalej wyśmianym przez brukowce, znienawidzonym przez wszystkich i oddzielonym od własnego dziecka. Nie mówiąc już o tym, co by się wydarzyło, gdyby wylądował w więzieniu.

Wizja jednej ubikacji przypomniła mu o innej.

– Jak myślisz, kiedy będę mógł wrócić do centrum? – spytał. – Chciałbym zabrać swoje rzeczy. I może... Sam nie wiem. Zobaczyć jeszcze raz miejsce zbrodni.

– Pewnie za jakiś tydzień. Jak znowu otworzą. Jeśli chcesz, możemy razem tam pójść. Chciałbym. Zobaczyć to ponownie, twoimi oczami.

Kellawayowi przemknęło przez myśl, że Rickles gada, jakby zamierzał się do niego wprowadzić, i że już może czas kupować piętrowe łóżko.

Kiedy spojrzął przed siebie, zauważył tuż obok kobietę idealną, blondynkę, co najmniej metr osiemdziesiąt, w kwiecistej ołówkowej spódnicy, satynowobiałej bluzce z jedwabiu i słomianym, kowbojskim kapeluszu. Trzymała za ręce dwoje małych dzieci, po jednym z każdej strony. Pierwsze było wyjątkowo brzydką, tłąstą dziewczynką z zadartym jak świnka nosem, ubraną w różową koszulkę z Hannah Montaną, podciągniętą na wystającym brzuchu. Chłopiec wyglądał jak miniaturowa wersja Jaya Ricklesa, świński blondyn z wąskimi, niebieskimi oczami i upartym, mułowatym wyrazem twarzy. Ich matka była tak wysoka, że musieli wyciągać ramiona w górę, żeby dosięgnąć jej rąk.

– Panie Kellaway – odezwała się kobieta idealna. – Nazywam się Maryanne Winslow, jestem córką Jaya. Moje dzieci chciałyby panu coś powiedzieć.

– Dziękujemy – wyrecytowały jednym głosem.

– Za co? – spytała Maryanne, ciągnąc za jedną rączkę, a potem za drugą.

Dziewczynka ze świńskimi rysami twarzy dopowiedziała:

– Za uratowanie nam życia.

I zaczęła dłubać w nosie. Chłopiec dodał:

– Za zastrzelenie niedobrego człowieka.

– Byli w centrum – wyjaśnił Rickles, odwracając głowę i posyłając Kellawayowi zdziwione i zarazem wdzięczne spojrzenie zawilgotniałych oczu. – Kule latały kilkaset metrów od nich. Byli na karuzeli.

– Oj, tatusiu – przerwała mu Maryanne. – Nawet nie weszliśmy do środka. Mieliliśmy zamiar pojeździć na karuzeli, ale kiedy doszliśmy do drzwi, strażnik odesłał nas z powrotem do samochodu. Już było po wszystkim. Spóźniliśmy się na akcję jakieś dziesięć minut.

Rickles zwrócił się do Kellawaya:

– Łaska boska.

I wyciągnął do niego butelkę. Stuknęli się szyjkami.

– Z czego pan ją zastrzelił? – zapytał Kellawaya mały chłopiec.

Maryanne szarpnęła go za ramię:

– Merritt! To niegrzeczne!

– Ruger federal, kalibru trzysta dwadzieścia siedem – odpowiedział Kellaway. – Znasz się na broni?

Chłopiec odparł:

– U mnie jest browning buck mark kalibru dwadzieścia dwa.

– Merritt! U ciebie nie ma żadnego browninga buck marka.

– A właśnie, że jest!

– Masz browninga buck marka – poprawiła go Maryanne i przewróciła oczami, żeby pokazać, co myśli o jego nieznajomości gramatyki.



– Lubisz pistolety? – spytał Kellaway, pochylając się do przodu i opierając łokcie na kolanach.

Merritt skinął głową.

– Mój synek jest tylko trochę młodszy od ciebie. On też lubi broń. Czasem jeździmy razem na ryby, a potem idziemy sobie wzdłuż plaży i szukamy butelek, do których można postrzelać. Kiedyś znaleźliśmy parę śmierdzących butów i też do nich strzelaliśmy. Chcieliśmy, żeby zatańczyły.

– Udało się? – zaciekawiał się Merritt.

Kellaway pokręcił głową.

– Nie. Tylko się przewróciły.

Merritt gapił się na niego przez chwilę swoimi niebieskimi oczami, jak w transie, ale zaraz poderwał głowę i spojrzał na mamę.

– Czy mogę teraz iść pograć w Xboxa?

– Merrittcie Winslow! To było bardzo niegrzeczne!

– W porządku. Staruszkowie są nudni – wtrącił się Kellaway. – Tak mi kiedyś powiedział syn.

Maryanne Winslow bezdźwięcznie wymówiła „Dziękuję panu” i odeszła z dziećmi, ciągle trzymając ich rączki nad głowami, tak że musiały szybko podskakiwać, żeby utrzymać się na nogach.

Rickles westchnął i rozparł się na sofie. Przez moment wpatrywał się tępo w telewizor, a następnie powiedział:

– Miałem zamiar zapytać cię o pistolet.

– Hm? – mruknął Kellaway. Poczul ciarki na karku.

– Poszperałem trochę i w tym stanie nie ma zarejestrowanej na ciebie broni. – Rickles poskrobał się po brwi, nie patrząc na niego. – Wiesz, to może być problem.

– A. Jest zarejestrowana na Falcon Security. To ich pistolet. Mam poprosić, żeby poszukali na to jakiegoś papierka? Mają centralę w Teksasie. Może pistolet jest zarejestrowany tam, a może...

Ale Ricklesa to nie obchodziło, nie słuchał. Podekscytowany poklepał Kellawaya po ramieniu i nachylił się. W telewizji pokazywali migawki z centrum Miracle Falls, wjazd na parking zablokowany przez radiowóz.

– To nowy sport narodowy – intonował głęboki męski głos. – Znacie to: niezadowolony pracownik idzie do pracy z bronią i sercem pełnym nienawiści i zaczyna zabijać. Ale to, co zdarzyło się później w centrum handlowym w St. Possenti na Florydzie, zdziwi was i zainspiruje.

– No i proszę – odezwał się Rickles. – Coś ci powiem, chłopie. Lubię oglądać siebie na ekranie. A czy dzwoniли do ciebie ludzie Billa O'Reilly'ego?

– Tak. I z 20/20.

– U nich też wystąpimy?

– Tak sądzę.

– I dobrze – ucieszył się Rickles i westchnął. – Czasami, jak sobie myślę, że mógłbym zginąć na służbie, wiesz, co mnie martwi? Że kiedy już mnie nie będzie, ominą mnie te słodkie, łzawe kawałki w wiadomościach.

– A może umrzesz w swoim łóżku, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, po porannym bzykanku?

– Wolałbym, żeby odstrzelili mi głowę – przyznał Rickles i pociągnął kolejny łyk piwa. – Wolałbym umrzeć jako legenda, ale wątpię, czy będę miał tyle szczęścia.

– Będę trzymał za ciebie kciuki – powiedział Kellaway.

**11 lipca 2013**

**10.00**

Jay Rickles przesadził, kiedy opowiadał Kellawayowi, jak to wypełnił biuro czarnymi, żeby zmiękczyć czarną dziennikarkę. Nie posadził za biurkiem faceta od mycia okien i nie kazał mu udawać detektywa. Facet od mycia okien był z Kambodży i w ogóle nie pracował tamtego dnia.

Ale prawdą było, że Shane Wolff, spec od komputerów z Atlantic Datastream, był na komendzie tamtego ranka, gdy Lanternglass przyszła przeprowadzić wywiad z Ricklesem na temat tragicznej śmierci nieuzbrojonego czarnego chłopaka, zastrzelonego przez policję w 1993 roku. Shane pracował dorywczo w komendzie w St. Possenti, dwa albo trzy razy w tygodniu. Odbudowywał ich biurową sieć, która choć to prawie niemożliwe, ciągle jechała na Windows XP. I prawdą było, że Rickles posadził Shane'a za pustym biurkiem naprzeciwko drzwi, żeby Aisha Lanternglass zaraz po wejściu zauważyła czarnego mężczyznę w krawacie.

Lanternglass skinęła głową Wolffowi, a on skinął jej, potem specjalnie się ignorowali. Oczywiście od razu go rozpoznała, poznałaby go, nawet gdyby nie pracował też dla „Digest”. Wolff i Colson chodzili razem do szkoły, podrywali te same dziewczyny. Ale nic by to nie dało, gdyby otwarcie przyznała, że go zna. Tak się

składało, że zlecenia Shane'a Wolffa wykonywane dla policji w St. Possenti były jego najlepiej płatnymi fuchami. Po pierwsze, płaciły mu gliny, a po drugie – Aisha, jeśli natrafił na coś, co mogła wykorzystać.

W czwartek pojawił się w redakcji „Digest”, akurat kiedy kończyła poranne ćwiczenia. Biegała po schodach, dwa piętra w górę i na dół, w sumie czterdzieści osiem stopni. Sztangi trzymała w ciemnym schowku pod schodami. W mieszkaniu, które dzieliła z Dorothy, nie było na nie miejsca, a Tim Chen nie miał nic przeciwko temu.

– Ile razy robisz w górę i w dół? – spytał ją Shane; jego głos odbił się echem w betonowej klatce schodowej.

Zbiegła na dół schodów.

– Pięćdziesiąt. Już prawie skończyłam. Zostało mi pięć kólek. Czy ty płaczesz?

Shane Wolff oparł się o otwarte metalowe drzwi, które prowadziły na parking. Nie przypominał typowego komputerowego nerda. Mierzył sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył może dziewięćdziesiąt kilo, a szyję miał grubości głowy. Teraz jego nabiegłe krwią i załzawione oczy wyglądały, jakby przydarzyła mu się tragedia.

– To ten dym. Po drodze przejechałem przez wielką chmurę. Nigdy wcześniej nie używałem wycieraczek, żeby odgarniać iskry. Wczoraj musiałem być na komendzie, żeby wyczyścić twarde dyski w obyczajówce. Mniej więcej raz na tydzień oglądają w internecie pornosy, a potem się dziwią, że mają ruskie wirusy. Tak czy inaczej, kiedy tam siedziałem, widziałem raport balistyczny dotyczący tej strzelaniny w centrum handlowym.

Lanternglass znowu ruszyła w górę schodów. Jej łydki drgały.

– Poczekaj chwilę. Zaraz wracam.

– Hej! – zawołał. – Czy to te schody tak dobrze działają na twoje mięśnie pośladkowe? Chyba tak.

Lanternglass zawahała się, prawie spadła ze schodka, ale pobiegła dalej bez odpowiedzi.

Na górze czekał na nią Tim Chen. Otworzył ognioodporne drzwi do „Digest” i siedział na stopniu, opierając się o skrzydło, ze starym macbookiem Aishy na kolanach. Redagował jej tekst.

– Muszę wyciąć te dwa akapity na końcu – powiedział rozkojarzony. – Przekroczyłaś limit o pięćset słów, a temat nie jest taki ważny.

– Jak, do diabła, przekroczyłaś o pięćset słów? – Zwolniła na szczycie schodów, wsparła ręce na kolanach i głęboko oddychała. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co jej wycina. – Oj, daj spokój, Tim. Nie wycinaj tego. Dlaczego to wycinasz?

– Bo wyszło, jakby Kellawaya wywalili z armii. Nie wywalili go. Odsłużył dla kraju pełną rundę w Iraku. A następnie wrócił do domu i zapobiegł masowej strzelaninie.

– Został zwolniony dyscyplinarnie. To znaczy, że go wyrzucili.

– Nie powinnaś kontynuować swoich ćwiczeń? – spytał Tim.

– Jezu – prychnęła i potruchtała na dół.

Wolff patrzył, jak się zbliża, jego czerwone oczy łzawiły. Wyglądał jak żałobnik nad grobem.

– Okay – rzuciła. – Dawaj. Źródła powiązane ze śledztwem podają, że...

– Becki Kolbert strzeliła do Rogera Lewisa trzy razy z trzystapięćdziesiątkióssemki. Pierwszy strzał trafił go w pierś, kiedy stał twarzą do niej. Odwrócił się, żeby uciec, a ona trafiła go w plecy i w lewy pośladek. Po tym Becki Kolbert prawdopodobnie próbowała opuścić biuro i została zaskoczona przez panią Haswar. Wydaje się, że zgładziła niemowlę i Yasmin jednym strzałem, w sam środek ciała.

– Zgładziła? To bardzo starotestamentowe określenie – zakpiła Lanternglass. – Może powinieneś zostać pisarzem.

– Zaraz po tym, jak Kolbert zabiła Haswarów, Kellaway wszedł do Devotion Diamonds. Dziewczyna cofnęła się do biura, wymienili kilka słów, bum, bum, on wystrzelił dwa pociski. Jeden chybił, drugi trafił ją w lewe płuco. Upadła, a on odwrócił się, żeby pomóc pani Haswar. Wtedy wkroczył Bob Lutz i zbliżył się do dziewczyny, żeby zobaczyć, czy jeszcze żyje. Na nieszczęście dla niego okazało się, że tak. Becki Kolbert strzeliła mu dokładnie między oczy, z wojskową precyzją. Chwilę potem Kellaway ją rozbroił, ale już i tak było po wszystkim. Wykrwawiła się, gdy tylko pojawili się sanitariusze.

Lanternglass wbiegała na górę i zabrakło jej tchu, żeby odpowiedzieć. Wspięła się po dwudziestu czterech stopniach tam, gdzie na betonowym podejściu siedział jej wydawca.

– Już skończyłaś? – zapytał Tim Chen. – Jestem zmęczony od samego patrzenia.

– Czemu wywalasz ten kawałek o służbie wojskowej? – wysapała.

Odczytał fragment jej artykułu:

– „Kellaway stracił okazję, żeby nad Zatoką stać się bohaterem, jego służba była problematyczna i nie zwolniono go w honorowy sposób. Ale ostatecznie, po wydarzeniach w Miracle Falls, zostanie uhonorowany za swoje zasługi”. Dlaczego to napisałaś? Nieważne, co było w armii dziesięć lat temu. Masz doskonałą historię, po której czytelnik czuje się dobrze, i wsadzasz do niej dziwne, zjadliwe zakończenie.

– Zjadliwe?

– Chciałem powiedzieć „suczo wredne”, ale to nie jest poprawne politycznie.

– Został zwolniony z armii, ponieważ nadużywał władzy, kiedy był żandarmem wojskowym. Często wyciągał broń w sytuacjach, gdy nie było bezpośredniego zagrożenia, i raz uderzył skutego więźnia.

Zajrzyj do jego akt. To nie jest żaden bohater wojenny i nieważne, jak to ujęli wczoraj wieczorem w *Telling Stories*.

– A tak z ciekawości – odezwał się Tim. – Ten facet, którego Kellaway uderzył, kiedy był żandarmem wojskowym? Ten skuty więzień. Był czarny?

– Och, odpiardol się – warknęła i zbiegła po schodach do Wolffa. Wolff wycierał kąciki oczu białą chusteczką.

– Mogę ci pokazać kilka niezłych ćwiczeń rozciągających.

– Po co? – spytała.

– Na twoje mięśnie pośladkowe. Powinnaś je porozciągać, zanim znowu będziesz się nad nimi znęcać.

Lanternglass zwolniła, kiedy dobiegła do końca schodów.

– Przed minutą powiedziałeś coś dziwnego. Powiedziałeś: „Wydaje się, że zgładziła niemowlę i Yasmin Haswar jednym strzałem”.

– Tak, i robiłaś sobie ze mnie jaja.

– Nie, poczekaj. Co masz na myśli, mówiąc „wydaje się”?

Przetarł chusteczką oczy.

– To jedyna teoria pasująca do faktów. Ciągłe szukają kuli. Weszła w lustro i ścianę za nim i zniknęła we wnętrznościach Miracle Falls.

– Zgładziła. Wnętrzności. Mięśnie pośladkowe. Znasz mnóstwo ciekawych słów, Shane. Czy mogę coś zasugerować?

Ruszyła z powrotem w górę schodów.

– Co?

– Komplementy na temat mięśni pośladkowych kobiety to nie jest najlepszy sposób namówienia jej na randkę. Powiedz lepiej coś o jej śmiechu.

Była już dwadzieścia stopni wyżej, gdy krzyknął za nią:

– Musisz się najpierw zaśmiać, żebym mógł coś o tym powiedzieć!

Pracuję z tym, co mam!

Chen ciągle siedział na szczycie schodów.

– No dobra – rzuciła Lanternglass. – Kiedy Kellaway służył w żandarmerii wojskowej, zakuł czarnego szeregowca w obecności jego dziewczyny, a potem go uderzył. A w zeszłym roku groził bronią czarnemu nastolatкови, bo myślał, że kradnie towary z centrum handlowego. Okazało się jednak, że dzieciak był pracownikiem bez uniformu, przewożącym towary z jednego sklepu do drugiego. Ale to nie jest ważne, że obaj byli czarni. Ważne jest, że Kellaway w przeszłości lubił się zabawiać w Rambo, zachowywał się agresywnie.

– W tym artykule nie ma nic o tym, że groził pracownikom.

Podbiegła do niego.

– Nie ma, bo moje źródło prosiło, żeby nie dawać tego do druku. Ale nie byłoby to wcale takie złe, gdyby ta gazeta przynajmniej zasugerowała, że Randall Kellaway ma tendencję do nadużywania siły. Na wypadek gdyby glinom udało się odzyskać te jakże dogodnie zniszczone nagrania z iMaca i gdyby się okazało, że Kellaway zastrzelił Becki Kolbert w chwili, kiedy chciała się poddać.

– Tak jak został zastrzelony Colson?

Zatrzymała się, chwyciła za kolana i opuściła głowę. Gdy wciągała powietrze, czuła, jakby w miejscu jej serca rósł kaktus, którego igły wbijały się w płuca.

– Jezu – powiedziała. – To było poniżej pasa, Tim.

– Serio? – spytał spokojnie. – Usłyszałaś historię o tym, jak Randall Kellaway groził czarnemu nastolatкови. Usłyszałaś, że prześladował czarnego żołnierza w wojsku. Teraz jednak jest bohaterem, Jay Rickles obejmuje go przed kamerami i nazywa dobrym człowiekiem z bronią. Gdyby historia Kellawaya przestała trzymać się kupy, upokorzyłabyś ich obu. Zestrzeliłabyś obu jednym strzałem.

– Nie, Tim. Słowa to nie kule. Dwoje od jednego strzału to byli Yasmin Haswar i jej dziecko.



Tim uderzył w dwa klawisze, mocno i zdecydowanie. Jednym z nich było DELETE.

– Podaj mi jeden argument za tym, żeby zniszczyć jego opowieść wojskową, a zaraz umieścimy to w następnym artykule. Ale twoje osobiste uprzedzenia to nie jest dobry argument.

Poczuła w żołądku głębokie ukłucie, które ją samą zdziwiło. Miała na końcu języka „Pieprz się”, ale nie powiedziała tego. Miała na końcu języka „To, kurwa, nie jest w porządku, Tim”, ale to również zatrzymała dla siebie. Odwróciła się i odbiegła z powrotem w dół schodami, bo przyszło jej do głowy, że to jednak jest w porządku i że jeśli pobiegnie dostatecznie szybko, zostawi swój wstyd z tyłu, na szczycie schodów, ze swoim przyjacielem i wydawcą.

Kiedy dotarła na dół, Shane Wolff zagadnął:

– Tobie też przeszkadza dym?

– Co?

– Twoje oczy – odparł i pokazał je palcem. – Ty też płaczesz. Chcesz chusteczkę?

Wyrwała mu ją z ręki i otarła twarz.

– Dziękuję.

– Znam fajny bar na dachu – zaczął. – Na piątym piętrze. Ja mógłbym wjechać windą, a ty pobiec i spotkalibyśmy się na górze na piwo. To byłoby świetne ćwiczenie.

– Ciężko jest się wyrwać, gdy się ma w domu ośmiolatkę – odpowiedziała. – Mogę zapłacić albo za twój raport balistyczny, albo za opiekunkę, ale nie stać mnie na obie rzeczy.

– No to co? Raport stawiam. Piwo też.

Delikatnie puknęła go w pierś. Obróciła się. I ruszyła w górę schodów.

– To słodkie, Shane, ale nie chcę cię wykorzystywać. I przestań się gapić na moje mięśnie pośladkowe.

Była jakieś dziesięć stopni nad nim, kiedy obejrzała się i zerknęła do tyłu. Shane Wolff stał w otwartych drzwiach na parking, zasłaniał oczy ręką, żeby ochronić je przed widokiem jej mięśni pośladkowych.

– Czyli... poczekaj! – zawołała do niego. Zatrzymała się z dłońmi zwiniętymi w pięści i opartymi o biodra. – Cztery strzały, kiedy zabijała Lewisa i Haswarów. Przerwa. Potem dwa kolejne, gdy Kellaway wkroczył do sklepu i strzelił do niej. Kolejna przerwa. Potem jeszcze jeden, gdy Becki Kolbert zabiła Boba Lutza. Siedem strzałów w...? Pięć minut?

– Coś w tym stylu – potwierdził.

– Aha – mruknęła i zaczęła się wspinać.

Kiedy dotarła na samą górę, Tim Chen wciąż tam siedział z laptopem, oparty plecami o otwarte drzwi przeciwpożarowe.

– Chcę cię przeprosić – oświadczył. – Za to, co powiedziałem przed chwilą.

– Nie przepraszaaj. Po prostu wsadź ten kawałek z powrotem do tekstu.

Westchnął ciężko.

– Nie mogę wymyślić żadnego dobrego powodu, żeby robić temu facetowi koło pióra.

– A co powiesz na to? – spytała. – Gliny mówią, że Kolbert wystrzeliła cztery razy, trzy do Rogo Lewisa i raz do Yasmin i jej dziecka. Minutę później Kellaway wszedł do sklepu i wypalił dwa razy, raz ją trafił i raz chybił. I w końcu, kolejną minutę później, następuje ostatni strzał, ten, który zabił Boba Lutza. Tak wynika z raportu kryminalistycznego.

– No.

– Ale jest naoczny świadek, a tak naprawdę nauszny, który to wszystko słyszał. I on twierdzi, że były trzy strzały, przerwa, potem dwa, przerwa i potem jeszcze dwa.

– I co z tego? Twój nauszny świadek był śmiertelnie przestraszony i coś pokręcił. To się często zdarza.

– Wysłał dziewczynie esemesy. Jednego po każdej serii strzałów. Jest pewien: trzy, dwa, dwa. Nie cztery, dwa, jeden.

– Nie mam pojęcia, co to może znaczyć.

– To znaczy, że po strzale, który zabił Boba Lutza, był jeszcze jeden. Wyjaśnij to, proszę.

Tim Chen nie potrafił. Siedział i stukał jednym palcem w laptopa.

– Czy twój świadek pokazał ci te esemesy dowodzące, że słyszał to, co mówi, że słyszał, i to w tej dokładnie kolejności? Czy widziałaś, kiedy zostały wysłane?

– Nie – przyznała. – Musiałam odebrać Dorothy z obozu tenisowego. Nie miałam czasu spojrzeć na te wiadomości. Ale jestem pewna, że mi je pokaże, jeśli poproszę.

Tim pokiwał głową.

– Okay. No cóż. To może być ciekawe. Nie wiem jednak, co to ma wspólnego z zafajdaną kartoteką wojskową Randalla Kellowaya.

– Nic.

– Więc po co umniejszać znaczenie całej jego służby? Nawet tak mimochodem?

– Żeby go wkurwić i zobaczyć, co się stanie. Jak się kogoś wkurwi, można się o nim wiele dowiedzieć.

– Serio, Aisha? Nauczyłaś się tego w szkole dziennikarstwa?

– To nie szkoła, bracie – odpowiedziała. – To samo życie.

**12 lipca 2013**

**18.13**

Nagranie dla *O'Reilly Factor* zostało przygotowane w tym samym lokalnym studio telewizyjnym, w którym wcześniej nagrali wypowiedzi dla *Telling Stories* i *20/20*. Kiedy Rickles i Kellaway wyszli w ciepły, zadymiony wieczór, Aisha Lanternglass czekała już na nich. Odcięła im drogę, zanim zdążyli wsiąść do pick-upa Ricklesa.

– Cześć, chłopaki – przywitała ich. – Co powiecie na dziesięć minut dla lokalnej gazety? Czy też muszę mieć własny program w telewizji, żebyście chcieli ze mną rozmawiać?

Uśmiechnęła się i błysnęła swoimi bardzo białymi zębami, taka delikatna próba flirtu z fajnymi facetami. Dopasowane džinsy i czarny top bez rękawów uwydatniały jej świetną figurę, na stopach miała sandały z pasków. Zabrała ze sobą córkę, co zdaniem Kellawaya było tanim chwytem. Mała dziewczynka siedziała na masce najbardziej gównianego passata na świecie. Miała wyszywaną czapkę z pyskiem kotka i ze sterczącymi szarymi uszami. Dzieciak ignorował dorosłych i przeglądał książkę z obrazkami.

Jay Rickles uśmiechnął się radośnie, przez co pogłębiły się zmarszczki na jego pooranej twarzy. Podciągnął pas.

– Aisha! Odsłuchałem twoją wiadomość. Miałem się do ciebie odezwać, wpisałem to na sam początek listy rzeczy do zrobienia.

Chcesz, żeby zadzwoniła do ciebie moja sekretarka, żeby się wstępnie umówić?

– Świetnie – odparła. – Jeśli moglibyście poświęcić mi dziesięć minut teraz, a potem, za kilka dni, znaleźć czas na dłuższą rozmowę, byłoby super.

Rickles zerknął na swojego towarzysza.

– Lepiej dajmy jej te dziesięć minut – stwierdził Kellaway. – Boję się, że jak będę próbował wsiąść do samochodu, to ona się na mnie rzuci.

Kellawayowi było trudno spojrzeć jej prosto w oczy. Płonął w środku. Z samego rana dowiedział się o jej artykule obsmarującym jego służbę wojskową. Otagowali go w porannych wiadomościach.

„Pojawiły się nowe informacje na temat Randa Kellawaya, bohatera ubiegłego tygodnia ze strzelaniny w Miracle Falls – powiedział prowadzący, dzieciak, który wyglądał, jakby powinien pakować zakupy w spożywcza, a nie paplać w telewizji. – W »St. Possenti Digest« podano dzisiaj, że pan Kellaway został zwolniony z armii USA w dwa tysiące trzecim roku po wielokrotnych zarzutach dotyczących nadużywania siły podczas służby w żandarmerii wojskowej. Przeciwnicy pozwoleń na broń palną podchwycili już tę informację i argumentują, że Kellaway zaognił sytuację, wkraczając z naładowaną...”.

Później Kellaway znalazł pomięty egzemplarz „Digest” w poczekalni w studio telewizyjnym i sam przeczytał artykuł. W całej historii nie było niczego nowego z wyjątkiem kilku ostatnich akapitów, gdzie zamiast żołnierza zrobiono z niego mistrza tortur z Trzeciego Świata. Z boku zamieszczono zdjęcie Aishy Lanternglass, wielkości znaczka pocztowego; szczyrzyła się na nim tak jak teraz.

Najpierw pomyślał, że syn się o tym dowie. Holly przysłała mu SMS-a parę dni wcześniej, że George ogląda wszystkie lokalne wiadomości, poranne wydanie przed szkołą i wieczorne po kolacji, żeby zobaczyć, czy powiedzą coś o ojcu. A teraz usłyszy, że armia wyrzuciła jego ojca, bo nie umiał się kontrolować. George usłyszy, że jego ojciec nie był wystarczająco dobry, żeby służyć krajowi. Kellaway musiał się bardzo postarać, żeby wytrzymać do końca nagrania u Billa O'Reilly'ego.

Parking przed lokalnym studiem telewizyjnym był pokryty świeżym asfaltem, miękkim w ustępującym upale dnia. Słońce ciągle tkwiło na niebie, ale już niewidoczne. Horyzont pokryty był rdzawym tumanem dymu. Lanternglass wyciągnęła telefon, żeby nagrać rozmowę, i dźgnęła nim Kellawaya jak nożem.

– Panie Kellaway, od strzelaniny minął prawie tydzień. Myślę, że nasi czytelnicy przede wszystkim chcą się dowiedzieć, jak się pan miewa.

– Dobrze. Nie mam kłopotów ze snem. Jestem gotowy wrócić do pracy.

– Jak pan myśli, kiedy to nastąpi?

– Centrum handlowe otwierają jutro. Będę na pierwszej zmianie.

– Jest pan pełen poświęcenia.

– Nazywam to etyką pracy – wyjaśnił.

– A czy miał pan możliwość porozmawiać z pogrążonymi w żałobie rodzinami? Czy kontaktował się pan z panem Haswarem, mężem Yasmin? Albo z rodzicami Boba Lutza?

– Czemu miałbym to robić? Tylko po to, żeby powiedzieć, że żałuję, że nie uratowałem ludzi, których kochali?

Kąśliwe były to słowa. Jay Rickles poklepał go po ramieniu.

– Na pewno na to też przyjdzie czas. Może gdy ich rany zaczną się już goić i gdy rany pana Kellawaya również trochę się zagoją.

Kellawayowi wydało się, że Rickles poklepał go jakoś ostrożnie, jak psa. Siad, piesku. Wzruszył ramionami, żeby Rickles przestał.

– Zapewne po tym, co pan przeszedł, pana własna rodzina jest dla pana źródłem wsparcia? – Lanternglass zmieniła temat. – Ma pan syna, prawda?

– Tak.

– I mieszka ze swoją matką? Gdzie? Bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o pana sytuacji rodzinnej. Rozumiem, że żyją państwo w separacji. Czy chcą się państwo rozwieść? Sprawdziłam akta hrabstwa...

– Naprawdę to pani zrobiła? Trochę grzebiemy w poszukiwaniu brudów, co? Kto pani kazał?

Podniesiony głos Kellawaya przyciągnął uwagę małej dziewczynki na masce samochodu. Uniosła podbródek i popatrzyła na nich.

– Nikt. Zawsze w takiej sytuacji rozmawiamy z rodzinami.

– Nie tym razem. Proszę trzymać się z daleka od mojej żony i syna.

– Mamo? – odezwała się płaczliwym, niespokojnym głosem mała dziewczynka na passacie.

Lanternglass rzuciła na nią okiem i pomachała ręką.

– Jeszcze minutka, Dorothy.

Spojrzała znowu na Kellawaya, uśmiechnęła się enigmatycznie i powiedziała miękko:

– Hej, tu są sami przyjaciele. Może nie straszmy krzykiem mojego dziecka, dobrze?

– A pani się zastanowiła, zanim przestraszyła moje dziecko, kiedy dziś rano obsmarowała pani moją służbę wojskową w swoim artykule? Przyszło to pani w ogóle do głowy?

Rickles już się nie uśmiechał. Znowu poklepał Kellawaya po ramieniu.

– Już w porządku – rzucił. – W porządku. Rand jest ostatnio pod wielką presją. Aisha, proszę, żebyś wzięła to pod uwagę i potraktowała go łagodnie.

Pokiwała głową i cofnęła się o krok. Ona też już się nie uśmiechała.

– Okay. Przepraszam. Wiem, że to był wyczerpujący tydzień. Jay, niech twoja sekretarka do mnie zadzwoni. Umówimy się na spotkanie i porozmawiamy o reakcji policji.

– Tak zrobimy – obiecał Rickles.

Trzymał Kellowaya za ramię, chwytem trochę powyżej łokcia, i zaczął sterować nim w stronę samochodu.

– O, czekajcie – ocknęła się Lanternglass. – Jeszcze jedna rzecz, skoro już was widzę. Oddział ochrony w centrum handlowym Miracle Falls nie ma na wyposażeniu broni palnej. Czy to była pana prywatna broń?

Kelloway rozpoznał pułapkę. Wiedział, że chciała, żeby oficjalnie przyznał się do posiadania broni mimo zakazu sądowego.

– Bardzo by pani pasowało, gdyby tak było, prawda?

Żołądek bolał go, jakby miał raka.

Wyjeżdżając z parkingu, mężczyźni minęli Lanternglass, która siedziała na masce swojego passata. Masowała plecy córki i gapiała się na ich samochód, z oczami zmrużonymi od głębokich myśli. Rickles wyjechał tak szybko, że spod tylnych opon wystrzelił żwir. Ruszył autostradą na północ, w kierunku St. Possenti.

– O co, do diabła, chodziło, partnerze? – zapytał Rickles.

Po raz pierwszy brzmiał, jakby był zirytowany i zły.

– Mój syn ogląda wszystkie wiadomości, rano, w południe i wieczorem, żeby usłyszeć najnowsze wieści o swoim ojcu. Z jej artykułu wynika, że opuściłem armię zhańbiony, i on to usłyszy.

– Usłyszy też, że niedługo zostaniesz mianowany honorowym zastępcą komendanta. Lanternglass to podrzędna reporterka



w podrzędnej lokalnej gazecie. Większość tego, co pisze, ma po prostu wypełnić miejsce między ogłoszeniami i informacjami o ślubach. Ale jeśli zrobisz dym, ona pomyśli, że gdzieś się pali. O wilku mowa – jęknął.

Wjechali w gęstą, puchatą chmurę. Dym zapiekł Kellowaya w oczy. Ujechali kolejny kilometr i Rickles spytał:

– Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o tej broni?

– Taaa – przyznał Kelloway. – Że gdybym jej wtedy nie miał, zginęłoby o wiele więcej ludzi.

Rickles nie odezwał się już. Zapadła niewygodna cisza. Trwała minutę, potem drugą, aż w końcu mruknął pod nosem coś wulgarnego i włączył radio. Przez resztę drogi powrotnej słuchali wiadomości, żaden nie powiedział do drugiego ani słowa. Bomby w Iraku. Sankcje przeciw Iranowi. I złe wieści dla strażaków usiłujących ujarzmić pożar w lesie Ocala: wiatr zmieniał kierunek na wschodni. Przy spodziewanych umiarkowanych podmuchach ogień mógł zagrażać domom i biurom na zachodnim krańcu St. Possenti.

„Będziemy trzymać rękę na pulsie”, obiecał prowadzący audycję.

## 18.27

– Jedziemy? – spytała Dorothy. – Czy będziemy tu siedzieć?

– Jeszcze chwilkę – poprosiła Lanternglass. – Mama chyba musi zadzwonić.

Siedziały w aucie naprzeciwko budynku telewizji, z opuszczonymi oknami i włączoną cicho muzyką. Lanternglass odtwarzała sobie w głowie od nowa to, co powiedział Kelloway i jak to powiedział.

Nie chciał na nią spojrzeć, ale kiedy to zrobił – kiedy ich oczy się spotkały – poczuła jego nienawiść. Chciała go wkurwić i zobaczyć, jak zareaguje. Teraz już wiedziała.

I dlatego zaczęła myśleć o broni, o wielkim odbezpieczonym pistolecie, takim, jakie nosił Wyatt Earp. W wyobraźni Lanternglass pojawił się obraz ogromnej armaty z odciągniętym kurkiem, leżącej na siedzeniu pasażera w samochodzie, który pędził wyboistą bitą drogą porytą koleinami. Każdy idiota mógł się zorientować, co się stanie, jeśli się ją trąci. Wypali. Przyszła jej do głowy paskudna myśl, że jeśli trąci się Kellowaya, on też wypali.

Zapytała, czy to była jego broń, a on odpowiedział: „Bardzo by pani pasowało, gdyby tak było”. Czemu miałoby jej to pasować?

– Mamo, muszę siusiu.

– Zawsze musisz siusiu. Masz pęcherz wielkości orzeszka – odparła Lanternglass, chwyciła telefon i wybrała numer Richarda Watkina z policji stanowej.

Watkins odebrał po drugim dzwonku.

– Biuro szeryfa hrabstwa Flagler, mówi Richard Watkins z pomocy ofiarom, w czym mogę pomóc?

– Richard Watkins! Tu Aisha Lanternglass, „St. Possenti Digest”.

Pisała o Watkinsie rok wcześniej, kiedy stworzył grupę wsparcia dla dzieci i zaczął wozić je do Orlando, żeby mogły popływać z delfinami. Uznała, że to słodkie (a do tego bardzo chętnie klikane), ale Dorothy była innego zdania; powiedziała, że delfiny prawdopodobnie same potrzebują grupy wsparcia po traumatycznych doświadczeniach, ponieważ są więźniami i jeśli chcą jeść, muszą zabawiać turystów.

– Hej – odezwał się Watkins. – Jeśli dzwonisz w sprawie strzelaniny w centrum handlowym, lepiej zgłoś się do policji w St. Possenti. To ich działka, nie nasza. A jeśli dzwonisz w sprawie pożaru, rozłącz się, jedź

do biura i spakuj rzeczy, zanim wszystko pójdzie z dymem. Pożar zawraca w waszą stronę. Niewykluczone, że jutro zostanie wydany nakaz ewakuacji.

– Serio? – spytała.

– Serio.

– Uch.

Dorothy kopnęła tył jej siedzenia.

– Mamo!

Lanternglass mówiła dalej:

– Ej, Watkins, tak naprawdę to dzwonię, żeby spytać, kto w biurze szeryfa zajmuje się papierami. Rozwodami, wezwaniami do sądu, takimi rzeczami.

– Mamy od tego kilku ludzi, ale szefową wszystkiego jest Lauren Acosta. Jeśli chcesz się dowiedzieć, czy na czyjeś nazwisko są wystawione papiery, to albo ona sama to zrobiła, albo powie ci kto.

– Super. Mogę z nią porozmawiać?

– Dam ci numer jej komórki. Nie wiem, czy odbierze. Jest na Alasce. Pojechała na wyprawę z siostrą. Robią zdjęcia gór lodowych, reniferów i innych pierdół... na samą myśl o tym dostaję odmrożeń. Ma fioła na punkcie bieguna północnego. W grudniu doręcza wezwania do sądu w czapce Mikołaja.

– Wow! Nic tak nie wprawia faceta w świąteczny nastrój jak kobieta w czapce Mikołaja wręczająca mu papiery rozwodowe. Tak, jasne, daj mi jej numer. Chcę z nią zamienić tylko kilka zdań, jeśli znajdzie minutę.

Dorothy znowu kopnęła siedzenie matki w chwili, kiedy ta dziękowała Watkinsowi i rozłączała się.

– Przestaniez? – zapytała Lanternglass.

– Chcesz, żebym zasikała całe siedzenie?

– Po drodze jest McDonald. Możemy tam pójść do ubikacji.

Wrzuciła bieg i zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni, żeby wyjechać na ulicę.

– Gdzieś indziej – zażądała Dorothy. Skubała jedno z uszu swojej kociej czapki. – McDonald nie pasuje do moich standardów etycznych. Mięso to morderstwo.

– Chcesz się dowiedzieć czegoś o morderstwie, to kopnij jeszcze raz moje siedzenie.

## 20.11

Rickles dojechał do swojej hacjendy przy Kiwi Boulevard, gdzie Kellaway wysiadł z samochodu. Komendant powiedział, żeby wpaść jutro, tuż przed jedenastą, to pojedą razem do centrum handlowego.

– Możemy spotkać się na miejscu – odparł Kellaway. – Tak będzie łatwiej.

Wyskoczył z pick-upa, a jego podeszwy zachrzęściły na tłuczonych muszlach.

– Lepiej pojedźmy razem. Na ceremonię zapalenia świec. Ludzie z prasy będą chcieli cię sfotografować, jak wracasz do pracy.

Dla uczczenia ofiar zaplanowano ceremonię zapalenia świec, obok restauracji, tuż przed karuzelą. Potem w centrum miał być specjalny Dzień Pamięci, z przecenami od dwudziestu do czterdziestu procent na wybrane towary w każdym sklepie.

– Kogo obchodzi, czego chcą ludzie z prasy?

Kellaway stał na podwórzu i zaglądał do samochodu Ricklesa.

Ten przerzucił jedno ramię przez kierownicę i pochylił się nad siedzeniem pasażera w stronę Kellawaya. Uśmiechał się, ale jego oczy

pozostawały chłodne, nieprzyjazne.

– Ciebie powinno. Lanternglass to mała, wkurwiająca aktywistka zwalczająca rasizm, taka osoba, która myśli, że każdy gliniarz nie może się doczekać, żeby użyć węża strażackiego przeciwko tłumowi czarnuchów. Ale nie jest głupia, a ty właśnie sam się dopraszałeś, żeby zaczęła grzebać w twojej przeszłości. Nie wiem, jakie zawstydzające gówno się tam kryje, ale jestem pewien, że będę mógł o tym przeczytać najdalej pod koniec tygodnia. Jeśli masz trochę rozumu, to ogol się ślicznie jutro rano, wklep w bużkę najlepszą wodę toaletową i o jedenastej bądź gotowy zapalić ze mną świece. Prasa to leniuchy. Jeśli podasz im na srebrnej tacy pocieszającą historyjkę, to ją zjedzą. I w twoim interesie jest dobrze ich karmić. Inaczej mogą wbić w ciebie noże i widelce, *capisce*?

Kellaway nie chciał jechać do centrum z Ricklesem. Chciał tam być przed nim, przed wszystkimi, dostatecznie wcześnie, żeby odwiedzić małą łazienkę dla pracowników za Lidsem. Był gotowy się kłócić, powiedzieć – zgodnie z prawdą – że nigdy nie przychodzi do pracy tak późno. Ale dostrzegł, że Rickles przygląda mu się lodowato zza cienkiego, już nie tak przyjacielskiego uśmiechu, więc skinął głową.

– Brzmi nieźle – przytaknął i zatrzasnął drzwi pick-upa.

Odjechał z podjazdu swoją toyotą prius i skręcił w lewo tam, gdzie powinien skręcić w prawo. Nie chciał wracać do domu, nie chciał oglądać zaparkowanych przed budynkiem vanów telewizji, nie chciał, żeby dziennikarze go widzieli. Skierował samochód w stronę wyjazdu z miasta, w kierunku dymu i nadciągającej nocy.

Farma Jima Hirsta była ciemna, kilka czarnych pudełek na tle nieba w kolorze popiołu. Jedyne źródłem światła był telewizor. Roztaczał niezdrową, błękitną poświatę, widoczną w dziurach po oknach po zachodniej stronie domu. Płachty folii, które osłaniały ten

koniec budynku, trzepotały na silnym wietrze, wydając powolne, ciężkie, kłapiące dźwięki.

Kellaway szedł do domu, chrząszcząc stopami na żwirze – ale nagle zatrzymał się w bezruchu i zaczął nadśłuchiwać. Usłyszał kroki, był tego niemal pewny. Wydawało mu się, że ktoś jest po drugiej stronie samochodu. Widział to kątem oka. Był zbyt przestraszony, żeby spojrzeć wprost, nie mógł się zmusić, żeby odwrócić głowę.

To był Jim Hirst – Jim, który nie chodził od prawie dziesięciu lat. Jim idący swobodnie pod osłoną nocy, trzy metry od niego, po drugiej stronie auta. Poznałby Jima wszędzie po tym, jak jego ramiona zwisały po bokach. Rozpoznał krzywiznę jego łysej czaszki na tle zadymionej nocy.

– Jim! – krzyknął głosem, którego sam nie poznawał. – Jim, to ty?

Jim zrobił powolny, ciężki krok w jego kierunku i Kellaway musiał zamknąć oczy; nie mógł znieść widoku mężczyzny w ciemności na skraju drogi. Lęk odebrał mu oddech. Nawet w połowie się tak nie bał, kiedy czołgał się do Devotion Diamonds, w stronę kobiety z bronią.

Usłyszał, jak Jim stawia kolejny krok, i zmusił się, żeby otworzyć oczy.

Jego źrenice przyzwyczyły się już do mroku i w jednej chwili pojął, że to, co wziął za człowieka, było powykręcany, czarnym namorzynem. Krzywizna, która przypominała łysą czaszkę Jima Hirsta, była po prostu gładkim guzem po dawno odłamanej gałęzi.

Plastik zwieszający się z domu zatrzepotał, brzmiał jak ciężkie, powolne kroki mężczyzny.

Kellaway wypuścił powietrze z płuc. Ale gdy znowu ruszył do domu, nie mógł się pozbyć uczucia, że ma towarzystwo. Tamtej nocy wszystko się ruszało, gałęzie huśtały się jak szalone tam i z powrotem. Trawa syczała. Wiatr się wzmaczał.

Zastukał we framugę drzwi i zawołał Jima, zawołał Mary, nie był jednak zdziwiony, że nikt mu nie odpowiedział. Z jakiegoś powodu nie oczekiwał odpowiedzi. Wszedł do środka.

– Halo?!

Zajrzał do salonu. W telewizorze ścigały się wielkie ciężarówki, rzucając się na pokryte błotem wzgórza. Nikogo tam nie było.

– Jim?! – zawołał ponownie.

Zerknął do kuchni. Pusta.

Już wtedy wiedział, co znajdzie, jeszcze zanim to znalazł. Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Może wiedział to już na podjeździe, kiedy wyczuł Jima obok, w ciemności. Nie chciał zaglądać do głównej sypialni, ale nie mógł się powstrzymać.

Światła były zgaszone. Jim leżał na łóżku, jego wózek inwalidzki stał w pobliżu. Kellaway pstryknął włącznikiem, ale tylko na sekundę. Nie chciał patrzeć. Pstryknął po raz drugi i pokój znowu ogarnęła ciemność.

Po chwili Kellaway podszedł do łóżka i usiadł na wózku. Pokój śmierdział ostrym, miedzianym odorem krwi. To było paskudne miejsce do umierania: pieluchy w plastikowym koszu na śmieci, puszki po piwie na podłodze, pomarańczowe butelki po lekarstwach i magazyny pornograficzne na stoliku nocnym. Kilka metrów od łóżka znajdowała się garderoba. Kellaway włączył światło w środku. W ten sposób mógł wszystko widzieć, ale mężczyzna pod prześcieradłem nie był jasno oświetlony.

Jim Hirst z pistoletem kalibru .44 w ustach i z mózgiem rozprysniętym na całym zagłówku.

Umierając, zostawił trochę swojej urodzinowej whisky, jakieś ćwierć butelki. Umieścił ją na poduszce obok siebie, jakby wiedział, że Kellaway później wpadnie, i chciał mu ją zwrócić. Ubrał się w kurtkę od munduru, do piersi przypiął Purpurowe Serce. Nie zawracał sobie

głowy koszulą; prześcieradła były podciągnięte pod jego wielki brzuch.

Kiedy Kellaway sięgnął przez ciało Jima po butelkę szkockiej, zahaczył rękawem o zwinięty papier. Chwycił go, usiadł i uniósł kartkę, żeby odczytać ją w świetle lampy z garderoby. Nie zdziwił się, gdy zobaczył, że list jest zaadresowany do niego.

*Rand...*

*Hej, bracie. Jeśli to Ty mnie znajdziesz – mam taką nadzieję – przepraszam za bałagan. Już nie dawałem rady.*

*Jakieś trzy miesiące temu wpadłem do lekarza na rutynową kontrolę i nie podobały mu się szmery w mojej klatce piersiowej. Na rentgenie wyszedł cień w prawym płucu. Lekarz powiedział, że powinniśmy podjąć jakieś leczenie. Obiecałem, że się zastanowię.*

*I zastanowiłem się. Doszedłem do następującego wniosku: pieprzyć to. Już nie mogę znieść smrodu własnych sików, w telewizji nie ma nic dobrego, a Mary odeszła. W pewnym sensie odeszła już rok temu. Nadal była tu w dzień, żeby się mną opiekować, ale wieczorem wychodziła do faceta, którego poznała w pracy. Spędza z nim większość nocy, a kiedy wraca do domu, czuję to od niej. Czuję, że się z nim pieprzyła. Kilka dni temu powiedziała to otwarcie, że czas, żeby się wyprowadziła.*

*Nikt nie powinien tak żyć. Czasem wkładam do ust lufę i jestem zdziwiony, jakie to fajne uczucie. Jaki to fajny smak. Smakowałem cipkę Mary tysiąc razy i powiem Ci coś: wolę swoją czterdziestkęczwórkę.*

*To brzmi jak żart z wegetarian: jeśli Bóg nie chciał, żebyśmy jedli zwierzęta, nie powinien tworzyć ich tak smaczными. Jeśli Colt nie chciał, żebyśmy wsadzali do ust jego pistolety, nie*



*powinien produkować takiego smacznego oleju do konserwacji broni.*

*Myślę, że to, co zdarzyło się w centrum handlowym, w końcu pozwoliło mi zdobyć się na odwagę i to zrobić. Wtedy, kiedy to miało znaczenie, pokazałeś, że masz jaja. Wstałeś i wpakowałeś kulkę tam, gdzie mogła czynić dobro. Byłeś gotowy umrzeć, żeby powstrzymać coś, co trzeba było powstrzymać. I ja też się tak czuję, chłopie. Już nie mogę tak żyć. To się musi skończyć, a ja muszę się zdobyć na odwagę, żeby to skończyć. Żeby wsadzić kulkę tam, gdzie będzie mogła czynić dobro.*

*Nie dałbym rady się powiesić ani podciąć sobie nadgarstków i powoli się wykrwawić. Wiem, że bym nie dał. W ostatniej chwili opuściłaby mnie odwaga. Mój mózg to mój wróg. Dzięki Bogu są sposoby, żeby go szybko wyłączyć.*

*A, i jeszcze jedno: jeśli chcesz coś z mojej broni, wszystko jest Twoje. Wiem, że to docenisz i że o nią zadbasz. Ha, ha, ha, możesz ją przetestować na Mary. Jeżeli tak to zaaranżujesz, jakbym to ja zabił ją, a potem siebie, wyjdę za Ciebie w niebie, weźmiemy gejowski ślub.*

*Nie jestem gejem, ale kocham Cię, Rand. Byłeś jedyną osobą, która mnie odwiedzała. Jedyną, której zależało. Spędziliśmy razem kilka fajnych chwil, nie?*

*Trzymaj się!*

*Jim Hirst*

Wcześniej, na zewnątrz, Kellawayowi wydawało się, że czuje bliskość Jima, że jego stary przyjaciel w jakiś niemożliwy sposób idzie razem z nim. Teraz znowu poczuł, że Jim jest obok. Nie w łóżku. Tam znajdowało się tylko zepsute mięso wraz z gęstniejącą, stygnącą

krwią. Miał wrażenie, że widzi Jima kątem oka, zaraz za drzwiami, wielki, ciemny kształt kryjący się w korytarzu.

Na zewnątrz przeraziła go myśl, że Jim spaceruje w pobliżu, ale teraz wcale go to nie ruszyło. Przeciwnie, uspokoiło.

– Wszystko w porządku, bracie – powiedział do niego. – Już wszystko w porządku.

Złożył list i wsunął do kieszeni. Otworzył szkocką i pociągnął łyk. Czuł, jak pali go w środku.

Po raz pierwszy od strzelaniny w centrum handlowym poczuł wewnętrzny spokój. Był pewien, że gdyby znalazł się na miejscu Jima, zastrzeliliby się już całe lata wcześniej, ale cieszył się, że Jim pociągnął tak długo.

Lepiej jednak, żeby to nie on odnalazł ciało. Niech Mary je znajdzie. Albo siostra Jima. Albo ktokolwiek. Jeśli prasa połączy go z kolejną ofiarą broni palnej... no cóż... Jak powiedział Rickles? Na pewno go zjedzą.

Mimo to Kellaway nie spieszył się z wychodzeniem. Nikt nie przyjdzie do domu Jima Hirsta o dziesiątej wieczorem. Nikt nie będzie im przeszkadzał. Whisky była dobra, a Kellaway sypiał już u Jima na sofie.

A poza tym, zanim rano wyjdzie, wpadnie do garażu i rzuci okiem na broń Jima.

## 21.32

Usłyszała, jak dzwoni komórka, ucałowała Dorothy w nos i wyszła z ciemnej sypialni córki do przedpokoju. Odebrała po trzecim

dzwonku, nie rozpoznała numeru.

– Lanternglass – powiedziała. – „Possenti Digest”. O co chodzi?

– Nie wiem! – zawołał wesoły głos z lekkim latynoskim akcentem, słyszalnym nawet mimo piszczenia sygnału, odbijającego się od satelity przez pół świata. – To pani do mnie dzwoniła. Lauren Acosta, biuro szeryfa. Ooo!

To „Ooo!” chyba nie było do niej. Jacyś inni ludzie w tle krzyčili „Ooo!”.

– Dziękuję, że pani oddzwoniła. Jest pani na Alasce?

– Tak! Wieloryby się wynurzają! Ooo!

Z drugiej strony kabła, zza koła podbiegunowego, Lanternglass słyszała krzyki, oklaski i dźwięki, jakby ktoś fałszował na tubie.

– Przepraszam, że przeszkadzam pani na wakacjach. Może woli pani teraz obserwować wieloryby i oddzwonić do mnie kiedy indziej?

– Nie, nie ma sprawy, mogę jednocześnie rozmawiać i podziwiać, jak te trzydziestotonowe seksowne bestie rzucają się na grzbiet.

– Wieloryby? – spytała Dorothy.

Podeszła na palcach do drzwi sypialni i stała oparta o framugę, wpatrując się w przedpokój. Jej oczy błyszczały, otoczone ciemnymi kręgami. Na głowie miała szlafmycę w biało-czerwone paski, która wyglądała jak ukradziona Wally’emu.

– Nie twoja sprawa – odparła Lanternglass. – Wracaj do łóżka.

– Co pani powiedziała? – zapytała Acosta.

– Przepraszam. Mówiłam do córki. Zainteresowały ją wieloryby. Jaki to gatunek?

– Humbaki. Stado osiemnastu sztuk.

– Humbaki – powtórzyła Lanternglass. – A teraz uciekaj.

– Muszę siusiu – oznajmiła dobitnie Dorothy i kołysząc biodrami, przeszła obok matki, do łazienki. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Lauren, dzwonię w sprawie Randalla Kellawaya. Pewnie pani słyszała...

– A, o tego faceta chodzi.

Lanternnglass zeszywniała; poczuła, jakby coś pełzło jej po plecach, jakby ktoś dmuchał jej w kark.

– Zna go pani? Doręczała mu pani papiery?

– Tak, zakaz zbliżania się do rodziny. Musiałam mu zabrać pół arsenału. Mój współpracownik Paulie zabrał resztę z jego domu. Facet miał w pełni automatyczne uzi. Woził je w samochodzie! Wie pani, kto woził uzi w samochodzie? Prawa ręka tego złego w *Jamesie Bondzie*. Co z tym Kellawayem? Mam nadzieję, że nikogo nie zastrzelił.

Lanternnglass oparła się o ścianę.

– Do diabła. Pani nic nie wie.

– Nie wiem czego? O, nie – stęknęła Acosta, a z jej głosu zniknęła przyjazna wesołość. W tle ktoś znowu zafałszował na tubie. – Proszę, niech pani powie, że nie zabił żony. Albo syna.

– Dlaczego... dlaczego pani tak myśli?

– Bo właśnie dlatego zabraliśmy mu broń. Miał brzydki zwyczaj celowania z niej w członków rodziny. Kiedyś żona poszła z synem do domu siostry obejrzeć film. Napisała Kellawayowi kartkę, ale papier spadł za lodówkę i Kellaway go nie znalazł, gdy wrócił z pracy. Pomyślał, że może go zostawiła. Kiedy w końcu przyszła do domu, wziął chłopca na kolana i spytał ją, czy wie, co on zrobi, jeśli ona kiedykolwiek naprawdę go porzuci. Wycelował broń w głowę chłopca i powiedział „Bang”. A potem wycelował w nią i puścił oko. To pierwszej klasy psychol. Dzieciak nie jest martwy, prawda?

– Nie. Nic takiego.

Lanternnglass opowiedziała jej o centrum handlowym.

Zanim skończyła, Dorothy wyszła z łazienki i przytuliła się do ściany obok matki, policzkiem przy jej biodrze.

– Wracaj do łóżka – wyszeptwała Lanternglass, ale Dorothy się nie ruszyła i udawała, że do niej nie dotarło.

– Hm – odchrząknęła Acosta.

– Czy miał wydane wyjątkowo pozwolenie na noszenie broni w miejscu pracy? W ramach obowiązków służbowych?

– Nie, nie jako strażnik w centrum handlowym. Może gdyby był prawdziwym gliniarzem. Albo żołnierzem. Nie wiem. Musi pani przejrzeć zapis jego przesłuchania.

– Przejrzałam akta dostępne w sieci i nie ma tam nic o rozwodzie.

– Nie ma, bo on się nie rozwiódł. Jego żona jest bardzo nieśmiała, cierpi na coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego. Przez lata nie pozwalał jej mieć własnej komórki. Ani konta mailowego. Zostawiła go tylko dlatego, że bardziej boi się siostry niż męża. Zakaz zbliżania się jest w aktach sądowych. Nie może go jednak pani ściągnąć. Mogę kogoś poprosić, żeby przesłał pani kopię. Jutro, pojutrze.

Lanternglass milczała i myślała. Musi zobaczyć papiery, żeby Tim pozwolił jej napisać, że Kellaway celował z broni do żony i syna. Ale w jutrzejszym wydaniu mogłaby przynajmniej dać coś o zakazie zbliżania się do rodziny, wspomnieć, że Kellaway miał zakaz noszenia broni po... po czym? Po tym, jak groził żonie i dziecku? Pomyślała, że „groził” to bezpieczny czasownik. Może Tim się zgodzi.

– Tak – powiedziała Lanternglass. – Bardzo dziękuję. Czy mogę coś o tym wcisnąć już w jutrzejszym wydaniu? Informator z biura szeryfa mówi...

– A co mi tam! Może pani nawet użyć mojego nazwiska. Albo jeszcze lepiej, proszę sprawdzić, czy znajdzie pani moje zdjęcie. Uwielbiam oglądać siebie w gazecie.

– Czyli mogę panią bezpośrednio zacytować?

– Oczywiście. Kellaway i ja naprawdę zapalałiśmy do siebie sympatią, kiedy się spotkaliśmy. Na pewno się ucieszy, że ciągle o nim

myślę.

Coś w słuchawce jęknęło głęboko.

– Czy to syrena przeciwmgielna? – spytała Lanternglass.

– To wieloryb! – krzyknęła Acosta. W tle znowu rozległy się oklaski.  
– Śpiewają dla nas serenadę.

Nie wiadomo, jak Dorothy to dosłyszała, ale nagle zaczęła podskakiwać.

– Mogę to usłyszeć? Mogę posłuchać?

– Pani Acosto? Moja córka pyta, czy mogłaby pani na chwilę podnieść telefon, chciałyby usłyszeć wieloryby.

– Proszę ją dać!

Lanternglass przycisnęła telefon do ucha Dorothy. Stała i patrzyła na córkę. Osiem lat. Wielkie oczy, spokojna, skupiona twarz. Słuchała, jak świat dla niej śpiewa.

**13 lipca 2013**

## **8.42**

Kellaway obudził się przed dziewiątą, odkleił od sofy i poczłapał do łazienki, żeby się odlać. Kiedy dziesięć minut później wrócił z tostami i kawą, jego własna szczeciniasta i niewzruszona twarz była w telewizorze, nad paskiem, który głosił: PROBLEMY Z BRONIA? Zasnął z włączonym obrazem i wyłączonym dźwiękiem i spał doskonale w cichym migotaniu nieziemskiego światła. Czuł się lepiej, gdy znowu miał przy sobie broń, odpłynął w sen z należącym do Jima brytyjskim pistoletem marki Webley & Scott na podłodze.

Usiadł teraz na krawędzi sofy, nieświadomie w jednej ręce trzymając broń, a w drugiej pilota. Pogłodził.

„...historii o tym, jak Randall Kellaway został zwolniony z armii po zarzutach o wielokrotne nadużycie siły podczas służby w żandarmerii wojskowej” – powiedział prowadzący wiadomości.

Mówił w stylu spopularyzowanym przez Wolfa Blitzera: urywanymi zdaniami i z naciskiem na każde słowo, jeśli tylko brzmiało dostatecznie dramatycznie.

„Teraz w »St. Possenti Digest« wystąpiono z szokującym stwierdzeniem, że Kellaway miał zakaz posiadania broni palnej z powodu zagrożenia żonie i synowi. Sierżant z biura szeryfa, Lauren Acosta, potwierdza w »Digest«, że Kellaway nie dostał wyjątkowego

pozwolenia na noszenie broni w ramach obowiązków służbowych, które pełnił jako strażnik ochrony centrum handlowego, i że posiadanie przez niego broni kalibru trzysta dwadzieścia siedem w oczywisty sposób stanowiło pogwałcenie zakazu. Nie wiadomo jeszcze, dlaczego pani Kellaway wystąpiła o wydanie zakazu ani jaki charakter miały groźby jej męża. Pan Kellaway i policja z St. Possenti nie skomentowali jeszcze tych informacji, ale spodziewamy się dzisiaj oświadczenia komendanta Ricklesa, który pojawi się w centrum Miracle Falls o jedenastej przed południem na ceremonię zapalenia świec dla upamiętnienia ofiar ataku. Randall Kellaway ma zapalić pierwszą świecę i być może udzieli nam wypowiedzi, nie wiemy tego na pewno, będziemy jednak nadawać stamtąd na żywo i komentować dla państwa...”

To musiała być ona. To była ta czarnucha Lanternglass, która pojawiła się wczoraj wieczorem, żeby wpędzić go w pułapkę, kiedy wychodził z lokalnego studia telewizyjnego. Nie mogła zostawić go w spokoju. Nie obchodziło jej, czy będzie mógł jeszcze zobaczyć syna. Dla niej był tylko bohaterem paskudnej historii i chciała ją wykorzystać, żeby sprzedać więcej gazet.

Aż do tej pory nie odważył się tego przyznać sam przed sobą, ale zaczął wierzyć, że dzięki nagle uzyskanemu statusowi celebryty uda mu się wszystko odzyskać. Holly i George’a, ich na pewno, a może coś jeszcze. „Jego prawa”, te słowa nasunęły mu się jako pierwsze, ale to jednocześnie było i nie było to. Nie chodziło o jego prawo do posiadania broni, nie chodziło tylko o broń. To była wyłącznie część czegoś większego. Wydawało mu się, że jest coś obrzydliwego w Ameryce, w której wyszczerzona w uśmiechu Latynoska może mu kazać trzymać się z dala od syna, i nieważne, że pracował pięćdziesiąt godzin tygodniowo, nieważne, że jako żołnierz poświęcał się i reprezentował swój naród we wrogim, obcym kraju. Myśl o drobnej



czarnej kobiecie z uśmiechem podtykającej mu telefon pod nos i zasypującej go pytaniami sprawiła, że poczuł gorączkę. Społeczeństwo, w którym ktoś taki mógł się utrzymać z poniżania ludzi, było groteskowe. Nie obchodziło jej, co George zobaczy w telewizji: że jego ojciec jest chorym człowiekiem celującym z broni do własnej rodziny. Nie obchodziło jej, co dzieciaki powiedzą George'owi w szkole, że będą go wyśmiewać i dręczyć. Lanternglass od razu uznała go za kryminalistę. Był biały i był mężczyzną. Więc musiał być przestępcą.

Kellaway wyłączył telewizor.

I usłyszał chrzęst opon na żwirze na zewnątrz.

Wstał, odsunął zasłonę i zobaczył Mary parkującą na podjeździe swoją toyotę RAV4 w kolorze bananowym, która połyskiwała złotem w świetle poranka.

Zostawił webleya na sofie. Otworzył drzwi w chwili, kiedy ona zatrzymała już auto i wyłączyła silnik.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Mógłbym spytać cię o to samo.

Przystanęła przy masce samochodu, chuda i żylasta, ubrana w obcięte dżinsy i męską koszulę flanelową. Uniosła rękę nad oczy, żeby osłonić je od słońca, chociaż nie było jakoś szczególnie jasno.

– Przyjechałam po kilka moich rzeczy – powiedziała. – Już wszystko od niego wiesz?

– Wiem jedno – odparł Kellaway – że łatwo ci się żyło z jego pieniędzy z ubezpieczenia, a jak się skończyły, to zwiłaś z pokładu, co?

– Jeśli uważasz, że zmienianie pieluch i pompowanie co noc kutasa to takie łatwe życie, może sam powinienes spróbować – odwarknęła.

Kellaway pokręcił głową.

– Ja tam nic nie wiem o zmienianiu pieluch, ale czy możesz pokazać mi, gdzie są worki na mocz? Ten, który miał założony, pękł i szczyny są wszędzie.

– O Jezu. – Załamala ręce. – Jezu Chryste. Ile pozwoliłeś mu wypić wieczorem?

– Chyba za dużo.

– Pieprzony kaleka. Zajmę się tym.

– Dzięki – rzucił i cofnął się do domu. – Spotkamy się w sypialni.

## 9.38

Już po wszystkim, kiedy Mary leżała na podłodze, z dziurą w miejscu, gdzie wcześniej było jej prawe oko, Kellaway włożył w jej dłoń pistolet Jima. Przez jakiś czas siedział na krawędzi łóżka, z dłońmi na kolanach. Dźwięczące echo wystrzału pulsowało w jego głowie, odbijało się jeszcze długo po tym, jak ostatecznie ucichło. Czuł, jakby ktoś go wyłączył. Czuł się pusty. Płakała, gdy patrzyła w lufę. Obiecała, że obciągnie mu druta, a z jej nosa wychodziły bąbelki gili. Trochę łez i glutów to niezła rzecz. Będzie wyglądało, jakby płakała, zanim sama się zastrzeliła.

Jak potraktują to gliny? Może dojdą do wniosku, że po odkryciu ciała byłego kochanka zdecydowała się dołączyć do niego w zaświatach, uboga, chuda Julia goniąca za swoim kalekim cukrzykiem Romeo. Ale może jej nowy chłopak nie będzie mógł potwierdzić, że spędziła z nim w łóżku całą noc. Może oskarżą ją o zamordowanie Jima. Bo nie znajdą jego listu samobójcy. Kellaway zabierze go ze sobą i gdzieś się go pozbędzie.

A może policjanci wywąchają jakiś szwindel, ale kogo to, do diabła, obchodziło? Będą chcieli coś udowodnić? A proszę bardzo. Urwał się z haczyka w centrum handlowym, urwie się i teraz.

Wyszedł na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Tylko że tam go nie było. Dzień śmierdział jak popielniczka. W środku było chyba lepiej.

Myśli Kellowaya wirowały jak iskry wznoszące się z wygasającego ogniska. Czekał, żeby się uspokoiły, i wtedy usłyszał – prawie poczuł – lekkie pulsowanie w powietrzu. Drobinki dymu zadrżały wokół niego. Tego ranka wszystko dziwnie wibrowało i drżało. Przekrzywił głowę, nadśluchiwał, aż wychwycił odległy dźwięk komórki.

Wskoczył do samochodu, złapał telefon z siedzenia pasażera. Miał siedem nieodebranych połączeń, większość od Jaya Ricklesa. Teraz to też był Jay.

Kelloway odebrał.

– Tak?

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz całe rano? – Głos Ricklesa się załamywał.

– Poszedłem na spacer. Musiałem oczyścić myśli.

– Są już czyste?

– Chyba tak.

– To dobrze, bo mamy tu pieprzony burdel do posprzątania. W ciągu najbliższej godziny każdy program wiadomości w tym stanie będzie nadawał historię o tym, jak celowałeś z broni w małe dziecko i groziłeś, że je zastrzelisz, jeśli twoja żona kiedykolwiek cię opuści. Wiesz, jak to wszystko wygląda?

– Skąd masz te informacje?

– A jak myślisz, skąd je mogę mieć? Przeczytałem pieprzony zapis z twojego pieprzonego przesłuchania w sądzie, dwie godziny temu. Dorwałem go, zanim zrobił to ktokolwiek inny, żeby się zorientować,

z czym walczę. Nie przyszło ci do głowy, żeby wspomnieć mi o tym przy jakiejś okazji, co?

– Czemu miałem o tym wspominać? O czymś tak upokarzającym?

– Bo to i tak wyszłoby na jaw. Bo siedziałeś obok mnie w studio telewizyjnym i opowiadałeś światu, jaki to z ciebie wielki bohater, co to unieszkodliwił strzelca, wykorzystując do tego bezprawnie posiadaną broń.

– Pomyśl, jakie to szczęście, że nie zastosowałem się do zakazu. Becki Kolbert dopiero się rozpędzała, kiedy tam wszedłem.

Rickles wziął długi, nierówny wdech.

– Wróciłem z Iraku z zespołem stresu pourazowego. Nie brałem antydepresantów, bo nie chciałem rozwiązywać problemów prochami. Nigdy nie celowałem z naładowanej broni do syna, ale robiłem inne rzeczy, których żałuję. Rzeczy, które chciałbym cofnąć. Gdybym ich nie zrobił, moje dziecko ciągle by ze mną mieszkało.

Sporo z tego było prawdą. Raz wycelował w George'a, żeby pokazać Holly, kto tu rządzi, ale broń nie była naładowana. I z tego, co wiedział, naprawdę mógł mieć zespół stresu pourazowego. Więcej ludzi wróciło z Iraku z tą chorobą niż bez niej. I nie kłamał, gdy mówił, że nigdy nie brał antydepresantów. Nikt mu ich nigdy nie przepisał.

Rickles nie odpowiadał długo. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był zachrypnięty od emocji, Kellaway słyszał jednak, że się uspokoił.

– I to właśnie powiesz dzisiaj prasie podczas zapalania świec. Dokładnie w taki sposób.

– Wiesz, że to sprawka tej dziennikarki – powiedział Kellaway. – Tej czarnej. Chce, żeby twoja komenda źle wypadła. Ludzie nie wierzą, że czarni też mogą być rasistami, ale to prawda. Poznałem to po sposobie, w jaki na mnie patrzyła. Jestem białym facetem, z bronią,

dla nich wszyscy jesteśmy faszystami. Dla czarnuchów. Na ciebie patrzy tak samo.

Rickles się roześmiał.

– To prawda. I nieważne, ile zabawek wręczyłem maluchom, których pieprzeni tatusiowie i mamusie siedzą w pierdłu. Czarnuchom przeszkadza wszystko, czego sami nie mają, nie znoszą wszystkich, którzy radzą sobie lepiej. Nigdy nie jest tak, że osiągnąłeś swoje ciężką pracą. To zawsze efekt działania systemu rasistowskiego.

– Na pewno nadal chcesz, żebym pojechał na to zapalenie świec? – spytał Kellaway. – Może lepiej, jeśli będziemy zachowywać pewien dystans.

– Do diabła z tym – odparł Rickles i znowu roześmiał się. I Kellaway wiedział, że wszystko jest w porządku. – I tak już za późno. Przez cały tydzień każdego wieczoru występowaliśmy razem w kablówce. Jeszcze nie wiesz, ale dostałem maila od kogoś z samej wierchuszki Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, gdzie chcą, żebyśmy wspólnie wygłosili główną mowę w Las Vegas w przyszłym roku. Zapłacą za wszystko, hotele, bilety, plus tysiąc dolarów wynagrodzenia. Rozmawiałem z nimi o twoim zakazie noszenia broni i to im nie przeszkadza. Jeśli o nich chodzi, to tylko dowód, że państwo naraża ludzi na niebezpieczeństwo, pozbawiając ich należnych praw. – Westchnął i potem dodał: – Przejdziemy przez to. W tym wszystkim to ty ciągle jesteś tym dobrym. Tylko... nie rób mi już więcej niespodzianek, Kellaway. Dobrze?

– Żadnych niespodzianek – obiecał Kellaway. – Widzimy się u ciebie w domu za pół godziny.

Zakończył rozmowę i wciągnął w płuca zapach spalenizny i skwierczących sosnowych szyszek – stał wyprostowany pośród dymów płonącego świata. Po chwili rzucił telefon z powrotem na

siedzenie pasażera. Pomyślał, że zanim odjedzie, wrzuci webleya do bagażnika. Jim już go nie potrzebował.

Jim nie potrzebował też broni, którą trzymał w garażu. Kellaway zdecydował, że powęszy sobie trochę i zobaczy, czy jest tam coś, co mu się spodoba. Jim powiedział, żeby wziął, co chce.

## 9.44

– Dokładnie w tym miejscu – stwierdził Okello i pokazał na swoje stopy.

Byli w połowie wielkich, krętych schodów w centrum handlowym Miracle Falls, w głębokiej studni słonecznego światła, pod oszklonym dachem.

– Rzuciłem się na schody i zostałem tutaj – powiedział Okello. – Sarah zmusiła mnie, żebym wysyłał jej esemesy co trzydzieści sekund, żeby dać znać, że jeszcze żyję.

– Zamierzałam cię o to spytać – odezwała się Lanternglass. – Przejdźmy do końca. Chcę spojrzeć na Devotion Diamonds.

Weszli na samą górę: Okello, Lanternglass i Dorothy. Lanternglass zadzwoniła do Okella podczas śniadania i zapytała, czy może przeczytać i – jeśli to możliwe – zacytować swoje SMS-y do dziewczyny. Nie wspominała, że chce zobaczyć, o której godzinie zostały wysłane, żeby sprawdzić, czy mówią coś o tym, kiedy padły strzały. Okello miał lepszą propozycję.

– Dziś rano otwierają centrum. O jedenastej będzie ceremonia zapalenia świec.

– Wiem – odparła Lanternglass. – Miałam zamiar tam być i o tym napisać.

– To proszę przyjść o dziewiątej trzydzieści, zanim otworzą sklepy. Spotkajmy się przy wejściu do Boost Yer Game. Pokażę pani moje esemesy i opowiem dokładnie, co robiłem i słyszałem.

– Czy to nie problem?

– Chyba pani żartuje. Moje siostry wariują z radości, kiedy widzą mnie w gazetach. Obcy ludzie pytają, czy mogą sobie zrobić ze mną selfie. Smak sławy. Podoba mi się.

Uśmiechnęła się, ale poczuła w piersi delikatny ucisk. Okello mówił tak jak Colson.

Wejście do Devotion Diamonds ciągle blokowała żółta taśma policyjna. Drzwi po drugiej stronie były zasunięte i zamknięte na klucz. W innych sklepach w centrum handlowym trwały przygotowania do ceremonii o jedenastej; spodziewano się ciekawskich tłumów. W wielkiej przestrzeni otwartego atrium słychać było okrzyki i ich echo. W Lidsie, sklepie z kapeluszami koło Devotion Diamonds, krata była w górze, a zaspany (i chyba lekko upalony) sprzedawca z kędzierzawymi, żółtymi włosami do ramion przyczepiał metkownicą wywieszki z dwudziestoprocentową obniżką.

– Czapki! – zawołała Dorothy, ściskając matkę za rękę. Dzisiaj miała włochatą żółtą czapkę z głową kurczaka, zapiętą pod brodą. – Mamo! Czapki!

– Mhm – mruknęła Lanternglass.

Wyciągnęła szyję i podniosła głos, żeby upalony sprzedawca ją usłyszał.

– Czy moja córka mogłaby sobie u pana poszperać?

– Co? Jasne. Proszę bardzo – odparł sprzedawca, a Dorothy jeszcze raz ścisnęła palce matki i ruszyła w alejki Lidsa.

– Przykro mi, nie ma chyba zbyt wiele do oglądania – powiedział Okello. – Chce pani zobaczyć mój telefon? – Wyciągnął aparat w jej stronę. – Przewinąłem do wiadomości z tamtego dnia. Hm, proszę się już dalej nie cofać, okay?

– Zdjęcia? – spytała Lanternglass.

– No wie pani.

Okello się wyszczerzył.

– Ona już skończyła liceum, nie? – rzuciła.

Chłopak się obruszył, wyglądał na urażonego.

– Jest ode mnie rok starsza.

– A ty skończyłeś liceum?

– Już pani mówiłem, jestem w college’u. To dlatego tu pracuję. Książki same za siebie nie zapłacą.

– Zwrócą ci tę forszę, i jeszcze więcej, tylko trzymaj się ich – poradziła mu Lanternglass i wzięła telefon.

**Do diabła, ta dziewczyna właśnie weszła do Devotion Diamonds i zaczęła strzelać.**

10.37

**Serio. Trzy strzały.**

10.37

**CO??? Gdzie ty jesteś?**

**Wszystko w porządku?**

10.37

**Na tych wielkich schodach, mniej więcej w połowie. Leżę płasko na stopniach.**

**Jestem prawie tak blisko, że mogę zobaczyć,**



**co się dzieje.**

10.38

**LEŻ! Możesz się wydostać?**

**OMG OMGOMG, zaraz zwar iuję**

10.38

**Nie zejść na dół, bo jeśli ktoś jest w holu  
na górze, to mnie zobaczy.**

10.39

**Kocham cię.**

10.39

**Ja ciebie też.**

10.39

**Nie ruszaj się. Zostań, gdzie jesteś.**

**O Jezu. Ciężko mi się modlić.**

10.39

**Mówiłeś, że ta osoba z bronią  
to dziewczyna, widziałeś ją?**

10.40

**Kolejne strzały.**

10.40

**strzały, nie strzały**

10.40

**oboże, o boże proszę proszę  
proszę nie chcę, żebyś do stał**

10.40

**Mam nadzieję, że nie dostanę**

10.40

**kocham cię ty głupku**

10.40

**Coś upadło i był kolejny strzał.**

10.41

**czy ok? nie odzywasz się**

10.42

**OK**

10.42

**czemu przestałeś pisać**

10.42

**Nie przestałem, to była tylko minuta.**

10.42

**Jeśli cię obchodzę nie wąż się przestać pisać**

10.42

**U mnie w porządku.**

10.43

**Ciągle w porządku.**

10.44

**Kurwa. Znowu strzał.**

10.45

**O Boże. O Boże.**

10.45

**Nie wiem, co się dzieje.**

10.46

**I znowu strzał.**

10.46

**OK może uciekaj stamtąd**

10.46

**Wszystko w porządku. Nie zostawię przecież  
frappachino**

10.47

**CZEGO TY IDIOTO?**

10.47

**Mam tu dwa frappachino. Nie mogę biegać  
z napojami. Wyleją się.**

10.48

## **Nienawidzę cię. Bardzo.**

10.49

Było tego jeszcze więcej, ale Okello nie pisał już o strzałach. O 10.52 przybiegli gliniarze i nadepnęli mu na rękę. To było niecałe dwadzieścia minut po pierwszym strzale, o wiele jednak za późno, żeby zmienić to, co już się stało.

Według policji z St. Possenti Becki Kolbert władowała trzy kule w swojego szefa i jedną w panią Haswar i jej dziecko. Wkroczył Kellaway, wypalił dwa razy, jeden ze strzałów trafił Kolbert, a drugi chybił. A potem był ostatni strzał, kiedy Kolbert się uniosła i wymierzyła w Boba Lutza. W sumie siedem.

Ale zgodnie z czasem wysyłania wiadomości grupowały się inaczej. Trzy, trochę później dwa. (I coś spadło. Co? Może komputer?) A następnie jeden i później jeszcze jeden. Lanternglass miała pewien pomysł, co to może znaczyć, mimo to nie zamierzała tego publikować. Nie była nawet pewna, czy Tim Chen pozwoli jej opisać rozbieżności między SMS-ami Okella i oficjalnym raportem.

Oddała chłopakowi telefon i wyciągnęła z kieszeni własny.

– Jeśli chce pani to sfotografować, nie ma sprawy – powiedział.

– Może – rzuciła. – Muszę najpierw porozmawiać z moim wydawcą i przedstawić mu kilka możliwości.

Dorothy przykicała do progu Lidsa i zatrzymała się przy samej bramce. Miała na sobie czapkę „Szop pracz”, z łapami szopa i pyskiem. Nie ten model, jaki nosił Davy Crockett, bardziej przypominała pacynkę, taką do wkładania na rękę.

– Nie – odezwała się Lanternglass i uśmiech Dorothy zniknął, zastąpiony przez brzydki grymas.

– Przeceniona o dwadzieścia procent – nie dawała za wygraną dziewczynka.

– Nie. Odłóż to.

Lanternnglass wybrała numer redakcji. Dorothy zajęczała:

– Muszę siusiu.

– Zaraz.

– Na tyłach Lidsa na pewno mają toaletę dla pracowników – doradził Okello. Kiwnął głową w stronę upalonego sprzedawcy o kędzierzawych włosach. – Hej, bracie. Czy ta panienka może skorzystać z waszej łazienki?

Sprzedawca zamrugał powoli i powiedział:

– Pewnie, człowieku. Niech idzie.

Dorothy pokicała z powrotem w głąb Lidsa.

– Nie, zaczekaj – zatrzymał ją sprzedawca sennym głosem. Wyglądał, jakby się w tej chwili obudził. – W środku jest facet, który naprawia spłuczkę. Od trzech miesięcy nie mogę się doprosić, żeby ją zreperowali. A wystarczy jedna strzelanina i znaleźli czas.

Dorothy popatrzyła na matkę wielkimi oczami: I co teraz?

– Poczekaj – syknęła Lanternnglass, bo Tim Chen właśnie odebrał.

– Aisha – rzucił bez wstępów. – Słyszałaś?

– Co słyszałam?

– O nakazie ewakuacji. – Tim nie brzmiał, jakby go to ruszało. – Strażacy z obsługi parków narodowych zadzwonili czterdzieści minut temu i to już oficjalnie. Mamy się zabrać z biura do jutra, do dziesiątej rano.

– Gówno prawda.

– Niestety, to nie gówno – odpowiedział Tim.

– No tak. Masz największe zatwardzenie ze wszystkich ludzi, jakich znam.

– Musisz tu przyjechać – rozkazał. – Wszyscy przyjdą i Shane Wolff spakuje nasze komputery. Niecałe pół kilometra stąd płoną drzewa, a wiatr jeszcze roznieca ogień.

– Stracimy budynek? – spytała.

Zdziwił ją własny spokój mimo strachu, który tkwił w jej brzuchu jak gładki, twardy ciężar, jak połknięty kamień.

– Powiedzmy tak: nie mogą nam obiecać, że go ocala.

– A co z ceremonią zapalenia świec?

– Pokażą w telewizji. Możemy sobie popatrzeć, jeśli będziemy mieli okazję.

– Damy radę wypuścić jutrzejsze wydanie? – zapytała.

Odpowiedź Tima Chena była ostra, prawie brutalna. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby mówił takim tonem.

– Możesz się założyć o wszystko, że tak. Ta gazeta wychodzi w każdy dzień roboczy od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku i nie będę pierwszym wydawcą, który zawiedzie swoją ekipę.

– Przyjadę, jak tylko zdołam się stąd wydostać – obiecała mu Lanternglass.

Rozłączyła się i rozejrzała za córką.

Spodziewała się, że Dorothy wróciła do Lidsa pooglądać więcej czapek. Ale dziewczynka siedziała z Okellem na stalowej ławce w korytarzu, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie prawie tydzień wcześniej siedział Randall Kellaway po strzelaninie w Devotion Diamonds.

W Lidsie natomiast pojawił się ktoś jeszcze: starszy, chudy Azjata w poplamionym kombinezonie. W jednej ręce trzymał ciekącego mopa i machał nim w kierunku sprzedawcy, mrużąc coś cichym, gniewnym tonem.

– Wszystko w porządku? – spytała Lanternglass.

Facet z serwisu zamilkł i spojrział na nią ciężkim wzrokiem. Upalony sprzedawca wzruszył ramionami.

– Powtórzę pani to samo, co powiedziałem jemu – odparł, wciąż wymachując mopem. – Ostatnia osoba, która używała tej toalety, coś w niej zostawiła. Myślę, że ktoś powinien to zobaczyć.

Sprzedawca uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Tak jak mówiłem. Człowieku. Cokolwiek to jest, to nie byłem ja. Przysięgam na Boga. Nigdy nie sram w centrum handlowym.

## 10.28

Kiedy Kellaway skręcił toyotą prius na dziedziniec wysypany pokruszonymi białymi muszlami, Jay Rickles już siedział w kabinie pick-upa, przy otwartych drzwiach, z nogą na chromowanym wsporniku. Kellaway wysiadł ze swojego pojazdu i przesiadł się do komendanta.

– Masz na sobie to samo ubranie co wczoraj wieczorem? – spytał Rickles.

Zatrzasnął drzwi i zapalił silnik.

Włożył świeży mundur galowy: granatową marynarkę z podwójnym rzędem mosiężnych guzików i granatowe spodnie z czarnymi lampasami z boku. Glock na jego prawym biodrze tkwił w czarnej skórzanej kaburze, która wyglądała jak pokryta olejem. Kellaway miał pogniecioną, niebieską marynarkę narzuconą na koszulkę polo.

– To jedyna rzecz w mojej szafie nadająca się do wystąpienia w telewizji – powiedział.

Rickles odchrząknął. Dzisiaj nie był już ani uśmiechniętym, ani wdzięcznym dziadkiem o załzawionych oczach. Był spalony słońcem i podminowany. Ruszyli z gwałtownym szarpnięciem.

– To miało być powitanie bohatera – przypomniał. – Wiesz, że ty i ja mieliśmy razem złożyć wieniec białych róż?

– Myślałem, że każdy z nas ma tylko zapalić świecę.

– Facet od PR-u uznał, że wieniec będzie dobrze wyglądał. No i dyrektor Sunbelt Marketplace, ten gość, który zarządza centrum handlowym Miracle Falls...

– Tak. Znam go. Russ Dorr?

– Zgadza się, on. Miał dać ci rolexa. Ale nie wiem, czy tak będzie. Ludzie są kapryśni, gdy przychodzi do dawania medali katom żon.

Kellaway się obruszył.

– Nigdy w życiu nie dotknąłem Holly. Ani razu.

To była prawda. Kellaway wierzył, że traktowanie żony pięścią to znak, że strasznie straciło się kontrolę nad sytuacją.

Rickles zgarbił się trochę. A potem powiedział:

– Przepraszam. Wycofuję. Nie miałem tego na myśli. – Urwał, a następnie dodał: – Nigdy nie celowałem do żony, ale kiedy moja najstarsza córka miała siedem lat, przylałem jej pasem. Napisała swoje imię kredkami na ścianach w całym domu i odwaliło mi. Uderzyłem ją pasem, trafiłem sprzączką w rękę i złamałem trzy kostki. To było ponad dwadzieścia lat temu, ale ciągle to pamiętam, jakby zdarzyło się wczoraj. Byłem wtedy pijany. A ty? Piłeś wtedy?

– Co? Kiedy jej groziłem? Nie. Byłem trzeźwy jak ty teraz.

– Już lepiej, gdybyś był pijany. – Rickles postukał kciukiem w kierownicę. Skaner policyjny na desce rozdzielczej zatrzeszczał i usłyszeli męskie głosy leniwie recytujące kody. – Dałbym wszystko, żeby to cofnąć, to, co zrobiłem w rękę mojej małej dziewczynce. To była najgorsza rzecz na świecie. Byłem całkiem rozwalony i użalałem



się nad sobą. Zalegałem ze spłatą kredytu. Zajęli mi samochód. Ciężkie czasy. Chodzisz do kościoła?

– Nie.

– Powinieneś o tym pomyśleć. Ja nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłem. Ale dzięki łasce Jezusa odkupiłem grzechy i znalazłem siłę, żeby sobie wybaczyć i iść dalej. A teraz mam te wszystkie niesamowite wnuki i...

– Szefie. – Głos wydobył się ze skanera. – Szefie, jest pan tam?

Komendant chwycił za mikrofon.

– Tu Rickles, dawaj, Martin.

– Chodzi o to, co się dzieje w centrum handlowym. Zabrał pan już Kellawaya? – spytał Martin.

Rickles przycisnął mikrofon do piersi i spojrzał na mężczyznę obok.

– Zaraz mi zdradzi, że nie dostaniesz rolexa. Mam powiedzieć, że tu jesteś czy nie?

– Najlepiej powiedz, że jeszcze mnie nie widziałeś – mruknął Kellaway. – Obiecuję, że nie zawstydzę cię, łkając w tle, jeśli będzie gadał o tym, że nie dostanę eleganckiego zegarka.

Rickles zaśmiał się, w kącikach jego oczu pojawiła się delikatna sieć zmarszczek i przez chwilę był taki jak dawniej.

– Lubię cię, Rand. Zawsze cię lubiłem, od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Mam nadzieję, że to wiesz. – Potrząsnął głową, ledwo tamując wesołość, i przysunął mikrofon do ust. – Nie, ten sukinsyn jeszcze się nie pojawił. O co chodzi?

Jechali autostradą przez zasłonę bladego, niebieskiego dymu. Byli może dziesięć minut od centrum handlowego. Wiatr uderzył w pick-upa i zakołysał nim na resorach.

– Uff – odetchnął Martin. – To dobrze. Słuchaj, mamy tu naprawdę pieprzony problem. Facet z serwisu naprawiał toaletę na tyłach Lidsa,

sklepu obok Devotion Diamonds, i nie uwierzysz, co znalazł w zbiorniku. Ołowianą kulę. Wygląda, że to ta, której nie mogliśmy się doliczyć, ta, która zabiła panią Haswar i jej dziecko, odbiór.

– Jak ona, do diabła, dostała się do toalety? Odbiór.

– No cóż, chyba ktoś ją tam podrzucił. Ale jest jeszcze gorzej, szefie. Ta reporterka, Lanternglass, akurat tu była, wszystko słyszała. O co zakład, że to pójdzie w telewizji jeszcze przed lunchem? Odbiór.

Kiedy Martin paplał, Kellaway sięgnął przez siedzenie i odpiął kaburę komendanta. Rickles spojrział w dół i zobaczył, że Kellaway wyciąga jego glocka i wciska mu lufę w żebra.

– Powiedz mu, żeby pojechał do mojego domu i że tam się z nim spotkasz, a potem się rozłącz – wyszeptał Kellaway.

Rickles trzymał w dłoni mikrofon i gapił się zdumionymi jasnoniebieskimi oczami na broń przy swoim boku.

– I uważaj na drogę – dodał Kellaway, bo komendant podniósł wzrok i wdepnął hamulec, żeby nie wbić się w tył chevroleta caprice, jadącego powoli w dymie.

Rickles ścisnął mikrofon.

– Jezu. Co za pieprzony burdel. Najlepiej... najlepiej spotkajmy się przy domu Kellawaya. Nie pojawił się u mnie, więc pewnie jeszcze tam jest. Kto przyjedzie pierwszy, niech go zatrzyma. Włączam koguta i ruszam. Bez odbioru.

Wyciszył mikrofon i powiesił go na skanerze.

– Zatrzymaj się na stacji benzynowej – polecił mu Kellaway. – Na tym Shellu po prawej. Pozwolę ci wysiąść i zostawię cię, bo ja też cię lubię, Jay. Zawsze byłeś dla mnie bardzo hojny.

Rickles włączył kierunkowskaz i zaczął zwalniać. Twarz miał nieruchomą, bez wyrazu.

– Yasmin Haswar? I jej chłopiec, Ibrahim? To byłeś ty? – spytał.

– Naprawdę tego nie chciałem – powiedział Kellaway. – Mówią, że to nie pistolety zabijają ludzi, że to ludzie zabijają ludzi. Ja jednak czułem, że mój pistolet chciał dorwać ich oboje. Naprawdę to czułem. Yasmin Haswar wyskoczyła znikąd, jakby wiedziała, że kulka na nią czeka, i wtedy broń wypaliła. Czasem to broń zabija ludzi.

Pick-up zatrzymał się na stacji z ośmioma rzędami pomp i małym sklepem pośrodku. O tej godzinie większość dystrybutorów stała nieużywana. Zasłona niebieskiego dymu snuła się po parkingu, słała się na dachu malutkiego minimarketu. Kierunkowskaz wciąż migał klik-klik-klik.

– Co za kupa gówna – odezwał się Rickles. – Ty dupku. Ty bezmyślny dupku. Pistolety same nie strzelają.

– Naprawdę? – zdziwił się Kellaway i go zastrzelił.

## 10.41

Odpiął pas Ricklesa i pociągnął, a krępy, dobrze zbudowany mężczyzna upadł w poprzek siedzenia. Potem Kellaway wysiadł i przeszedł na stronę kierowcy. Wcisnął się za kierownicę. Boczne okno było zalepione krwią i tkanką, jakby ktoś rzucił na szkło garść różowego błota.

Odepchnął Ricklesa, żeby zrobić więcej miejsca, i stary człowiek ześlizgnął się i spadł pod siedzenie pasażera. Tylko jego nogi pozostały zaplątane na siedzeniu.

Ze sklepu wyszedł jakiś facet, pięćdziesięciokilkulatek z długimi, siwiejącymi włosami i koszulką zespołu Lynyrd Skynyrd pod rozpiętą flanelową koszulą. Kellaway uniósł dłoń w swobodnym geście, facet

skinął głową i wsadził sobie papierosa w usta. Może usłyszał strzał i wyszedł się rozejrzeć. A może chciał tylko zapalić. Nikt inny nie obejrzał się za pick-upem. To nie telewizja. Do ludzi nie dociera, co usłyszeli, nie rozumieją, co zobaczyli. Zajęci swoimi sprawami przechodnie mogą godzinami mijać martwego bezdomnego i myśleć, że śpi.

Kellaway zawrócił do domu Jaya. Pozostawił za sobą ostatnich piętnaście lat życia. Uważał, że ma bardzo małe szanse na ucieczkę, ale kilka rzeczy grało na jego korzyść. Te rzeczy znajdowały się w jego toyocie prius. Jedna z nich miała magazynek łukowy.

Wjechał na dziedziniec przy hacjendzie Ricklesa i zaparkował pick-upa. Kiedy wysiadał, frontowe drzwi się otworzyły i stanął w nich świński blondynek, chłopiec o imieniu Merritt. Gapił się tępo. Kellaway pokiwał głową – „Jak się masz?” – i poszedł szybko do swojej toyoty, z glockiem komendanta Ricklesa w dłoni. Rzucił go na boczne siedzenie i odjechał. Gdy spojrzął w lusterko wsteczne, dzieciak wciąż wpatrywał się w pick-upa dziadka. Może zastanawiał się, dlaczego całą szybę od strony kierowcy pokrywało od wewnątrz jakieś paskudztwo.

Podmuch wiatru spróbował zepchnąć toyotę z pasa na ziemne pobocze i Kellaway musiał walczyć z kierownicą, żeby pozostać na asfalcie. Jechał na zachód, więc dym wirował wokół niego.

Pomyślał, że jeśli się pospieszy i nie zawaha, może uda mu się jeszcze zabrać George'a od Holly i szwagierki. Miał łódź, małą, pięciometrową, z silnikiem; w lepszych czasach zabierał nią George'a na ryby. Zamierzał wziąć chłopca i uciec na Bahamy. Mogliby się ukrywać wśród skał Małego Abaco, a może nawet udałoby im się dotrzeć dalej na południe, na Kubę. Do Freeport na Wielkiej Bahamie było jakieś trzysta kilometrów albo więcej, a on nigdy wcześniej nie zapuścił się głębiej niż pięć kilometrów od brzegu. Nie myślał jednak

o wielkich falach, o dryfowaniu, o powolnym smażeniu się na śmierć w podzwrotnikowym słońcu ani o wywrotce i utonięciu z własnym dzieckiem. Wydawało mu się o wiele, o wiele bardziej prawdopodobne, że straż przybrzeżna namierzy go na wodzie i że snajper z helikoptera rozwali jego mózg, a mały George będzie na to patrzył.

Jeśli daliby radę go trafić. Jeśli on nie trafiłby ich pierwszy.

Poza tym mogli trzymać się na odległość, bo nie będą pewni, co zrobi z dzieckiem. Nigdy nie wycelowałyby we własne dziecko z naładowanej broni, ale z helikoptera nie będą przecież mogli zobaczyć, czy pistolet jest naładowany, czy nie.

Bulwary były szerokie i rozległe, ale im bardziej na zachód, tym mniej imponujące stawały się domy. Z dymu wyłaniały się skromne jednopiętrowe budynki i znikaly z powrotem. W brudnym mroku prawie nie dało się odróżnić marek samochodów. Światła wynurzały się z zupy i odpływały do tyłu, doczepione do cieni. W filmach szpieg z licencją na zabijanie naciska guzik i wypuszcza chmurę dymu ze swojego astona martina, żeby oślepić prześladowców i uciec. Kellaway był skazany na toyotę prius zamiast brytyjskiego samochodu sportowego, ale zasłona dymna była o wiele lepsza.

Należące do Frances srebrne bmw kombi stało na podjeździe, zaparkowane przodem do garażu, i Kellaway mógł odczytać tablicę z tyłu: COEXIST. Podjechał tak, żeby zablokować samochód, i wysiadł. Wiatr hulał po trawniku i oczy Kellawaya piekły od kłębiącego się dymu. Jedną ręką trzymał glocka. Otworzył bagażnik toyoty i odrzucił śpiwór przykrywający broń, którą podprowadził z domu Jima Hirsta. Zawahał się pomiędzy bushmasterem, webleyem i czterdziestkąpiątką, ale w końcu wziął jednolufowego mossberga, strzelbę z pistoletowym chwytem. Załadował go pociskami PDX1, pięć do magazynka rurowego, jeden do komory. Matowe wykończenie lufy

było nieskazitelnie czarne. Strzelba wyglądała, jakby nigdy z niej nie strzelano.

Kellaway przeciął podwórze i ruszył do drzwi. Ściany domu Frances miały odcień zielony jak guacamole, pokrywał je szorstki, ostry w dotyku tynk. Przed wejściem szwagierka posadziła kaktusy, co zdaniem Kellawaya odpowiadało jej charakterowi. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się wysokie, wąskie okna, przesłonięte tanimi białymi żaluzjami.

Kiedy się zbliżył, zobaczył, że jedna z zasłon się poruszyła. Nie potrafił powiedzieć, kto go obserwuje, Holly czy Frances, ale gdy sięgnął do klamki, usłyszał dźwięk przekręcanej zasuwki. To było nawet dość zabawne. Ona naprawdę myślała, że może go nie wpuścić.

Opuścił mossberga i pociągnął za spust, broń wystrzeliła z hukiem pioruna i wywalila dziurę w zamku i otaczającym go drewnie. Przyłożył but do centralnego miejsca drzwi i popchnął, a one się otworzyły. Kiedy wszedł do środka, prawie stanął na George'u.

Mossberg zrobił dziurę wielkości pięści w drzwiach i w górnej prawej części twarzy chłopca oraz w jego czaszce. Drzazga długości kuchennego noża wbiła się w jego lewe oko. George otwierał i zamykał usta i dziwnie gulgotał. Kellaway widział jego mózg lśniący różowo. Zdawał się pulsować, uderzać jak serce. George próbował coś powiedzieć, ale wydawał z siebie tylko wilgotne, mlaszczące dźwięki.

Kellaway patrzył na niego zdziwiony. To było jak złudzenie optyczne, coś, co nie miało sensu.

Holly stała dwa metry z tyłu, trzymała przy policzku komórkę. Miała na sobie białe spodnie i zieloną bluzkę bez rękawów, a na głowie turban z ręcznika. Podobnie jak George, otwierała i zamykała usta, nie wydając żadnego dźwięku.

Broń wypaliła znowu i jeszcze raz, tylko że w głowie Kellawaya. Po chwili zorientował się, że krzyczy. Nie wiedział, kiedy upadł na jedno

kolano. Nie wiedział, kiedy odrzucił glocka i delikatnie położył rękę na piersi chłopca. Czas przeskakiwał naprzód i Kellaway po kilku minutach odkrył, że pochyła się nad dzieckiem. Czas znów przeskoczył i Holly klęczała przy głowie George'a, trzymając czerwoną ruinę jego czaszki w obu dłoniach. Krew tryskała na jej białe spodnie. George nie próbował już mówić. Holly odłożyła telefon na podłogę obok kolana, choć po drugiej stronie kabla ktoś wołał: „Halo? Proszę pani? Halo?”. Operator linii 911 wzywał ich z innej galaktyki.

Kellaway wziął jeszcze jeden głęboki wdech i zrozumiał, że przestał krzyczeć. Gardło go bolało i paliło. Trzymał dłoń na piersi syna, wsunął ją pod koszulkę i dotknął ciepłej skóry. Czuł, jak serce George'a bije szybko, szaleńczo, jakby krztusiło się ze strachu. Poczuł, kiedy się zatrzymało.

Holly płakała, łzy kapały na twarz George'a. Chłopiec miał zdziwiony i nieobecny wyraz twarzy.

– Kazałaś mu zamknąć przede mną drzwi – powiedział do niej Kellaway.

Wydawało mu się to niewiarygodne, że jego syn, niecałe dwie minuty temu cały i zdrowy, leżał teraz nagle martwy z twarzą bez wyrazu. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko, żeby to pojąć.

– Nie – odparła Frances.

Stała na środku salonu, po drugiej stronie niskiej ścianki działowej. Trzymała w ręce wazon. Kellaway przypuszczał, że miała heroiczny zamiar rozwalić nim jego czaszkę, ale nie była w stanie wykonać ruchu. Cała trójka tkwiła wmurowana w miejscu, zaszokowana tym, że George zginął od jednego strzału, jakby to był jakiś błąd logiczny.

– Pierwszy zobaczył, że idziesz. Zobaczył cię i przestraszył się – powiedziała Frances. Dygotała. – Miałeś broń.

– Ciągle ją mam, ty głupia cipo – warknął.

Okazało się, że ten pedał Elijah, mąż Frances, chowa się w sypialni. Zanim Kellaway go znalazł, magazynek strzelby był już pusty. Wpakował trzy kule we Frances i dwie w Holly, kiedy ta próbowała uciekać. Ale w glocku wciąż tkwiło czternaście naboju, a on potrzebował tylko jednego, żeby skończyć robotę.

## 11.03

Mógłby tak siedzieć z George'em przez całą wieczność.

W głowie odgrywał, ciągle od nowa, to, co powinno było się wydarzyć.

W swojej głowie Kellaway przecinał podwórze do drzwi wejściowych i wywalał w nich dziurę, i otwierał drzwi kopniakiem, i George tam był, ale cały i zdrowy, na podłodze, z dłońmi nad głową. Kellaway chwycił go jedną ręką i celował z pistoletu w Holly, kiedy wycofywała się od drzwi. Już z nim byłaś. Teraz moja kolej.

Albo inaczej: przecinał podwórze do drzwi i wywalał dziurę w zamku i jednocześnie w brzuchu Frances. To ona stała po drugiej stronie drzwi, nie George. Dlaczego miałby tam być George? To bez sensu. Dlaczego George miałby się go bać?

Wyobraził sobie, jak przecina podwórze, idąc do frontowych drzwi, a George otwiera je na oścież, zanim jeszcze Kellaway do nich dochodzi, i biegnie do niego, krzycząc „Tatusiu!”, z szeroko rozłożonymi ramionami. George krzyczał „Tatusiu!” i biegł do niego za każdym razem, gdy Kellaway wracał z pracy do domu, tak jakby nie widział go od paru miesięcy, a nie od kilku godzin.



Kellaway powrócił z krainy swoich myśli do rzeczywistości, kiedy usłyszał, jak ktoś wymawia w sąsiednim pokoju jego imię niskim, odległym głosem. Przez chwilę podejrzewał, że może Frances jeszcze żyje, chociaż nie bardzo wiedział, jak mogłoby to być możliwe. Jej wnętrzności pokrywały cały dywan. Dwa strzały prawie przecięły ją na pół, w talii.

Trzymał małą rączkę George'a – była już naprawdę zimna, kończyny wychładzały się bardzo szybko, kiedy ustawało krążenie – więc teraz ułożył ją w poprzek małej, delikatnej klatki piersiowej chłopca i wstał. Frances leżała na plecach po drugiej stronie ścianki działowej. Tam gdzie miała żołądek, widniała czarno-czerwona masa jej rozwalonych jelit. Trzeci strzał wyrwał dziurę w lewej części szyi. Wyglądało to, jakby jej gardło zostało rozdarte przez jakieś zwierzę. Kellaway uznał, że w pewnym sensie coś takiego się wydarzyło – to on był tym zwierzęciem.

To także nie Holly wypowiedziała jego imię. Holly uciekła do kuchni, gdzie teraz leżała twarzą do dołu, z ramionami rozpostartymi nad głową, jak dziecko, które udaje, że lata. Trafił ją w serce, w to samo miejsce, gdzie ona trafiła jego.

Głos, który usłyszał, dochodził z telewizora. Poważny, ciemnowłosy prowadzący mówił, że znaleziono ukrytą w toalecie ołowianą kulę i że to odkrycie stawia pod znakiem zapytania całą historię Randalla Kellawaya. Poinformował, że ceremonia zapalenia świec została nagle odwołana bez wyjaśnienia. Dodał, że odnalezienie nowych niepokojących dowodów zostało potwierdzone przez dziennikarkę „Digest”. Prowadzący wypowiedział nazwisko dziennikarki – i Kellaway też je wypowiedział, bardzo cicho.

Dlaczego George się go bał? Bo Aisha Lanternglass mu kazała. Od kilku dni opowiadała światu, że Kellaway był przerażającym człowiekiem. Może nie dosłownie tak. Ale sugerowała to,

zamieszczając radosne insynuacje w każdej linijce swoich tekstów. Kiedy spotkał ją na parkingu i wyszczerzyła do niego zęby, jej spojrzenie mówiło: „Usadzę cię, dupku. Usadzę cię na dobre”. Ta myśl sprawiła jej radość, widział to na jej twarzy.

Ucałował George’a na pożegnanie w to, co pozostało z jego brwi, a potem wyszedł.

## 11.26

Przez ostatnie pół kilometra do biura Lanternglass wlokła się w korku na zachodnich obrzeżach miasta. Dym snuł się po szosie dławiącymi żółtymi falami, przez które ledwo przenikały światła samochodów. Wiatr uderzał w jej starego passata, rzucając nim to w jedną stronę, to w drugą. Raz przejechała przez wir iskier, najpierw się rozpełzły, a potem zgasły na masce i przedniej szybie.

– Mamo, mam, patrz! – zawołała Dorothy z tylnego siedzenia, wskazując na coś palcem, i Lanternglass zobaczyła po prawej stronie drogi dwudziestometrową sosnę spowitą czerwonym welonem płomieni.

Nic innego w zasięgu wzroku nie płonęło, tylko to jedno drzewo.

– Gdzie są wozy strażackie? – spytała Dorothy.

– Walczą z ogniem – odpowiedziała Lanternglass.

– Właśnie przejechałyśmy obok ognia! Nie widziałaś tego drzewa?

– Dalej jest gorszy ogień. Próbują go zatrzymać. Próbują nie dopuścić, żeby przeskoczył przez autostradę.

Nie dodała: „I pochłonął wzgórza aż do St. Possenti”.

Tuż przed biurem dym trochę się podniósł. „Digest” mieścił się w przysadzistym, niepozornym piętrowym budynku z czerwonej cegły, który redakcja dzieliła ze studiem jogi i oddziałem banku Merrill Lynch. Parking był w połowie zapełniony i Lanternglass zobaczyła znajome twarze innych pracowników, którzy nosili pudła do swoich samochodów.

Wysiadła i ruszyła w kierunku drzwi przeciwpożarowych. Wiatr popchnął ją od tyłu. Dostrzegła jeszcze więcej iskier tańczących w prądach powietrza. Oczy jej łzawiły. Poranek cuchnął spalenizną. Lanternglass wzięła córkę za rękę. Pchane przez wiatr, podbiegły do klatki schodowej.

Wdrapały się po betonowych schodach, po trzy stopnie naraz, tak jak Lanternglass robiła wcześniej wiele razy. Nie da rady zapakować swoich sztang, ciągle ukrytych pod schodami. Jeśli budynek spłonie, przetopią się w sztaby surowego żelaza.

Drzwi przeciwpożarowe do newsroomu stały otworem, zablokowane blokiem betonu. Była to skromna przestrzeń biurowa: sześć najtańszych biurek, a pomiędzy nimi niskie przegrody. Na drugim końcu pomieszczenia, oddzielone szklaną ścianą, znajdowało się jedyne prywatne biuro w redakcji, należące do Tima Chena. Tim stał w drzwiach, ściskając kartonowe pudło, na wierzchu którego balansowały oprawione w ramki fotografie i kubki do kawy.

Shane Wolff też tam był, siedział przy biurku koło drzwi na klatkę, odłączał komputer i porządnie układał części w kartonowym pudle. Kilka innych komputerów już zabrano. Praktykantka, chuda i nerwowa dziewiętnastolatka o imieniu Julia, wyciągała stalowe szuflady z szafki zajmującej znaczną część ściany i układała je na wózku. Niski, mocno zbudowany dziennikarz sportowy, Don Quigley, przymocowywał je linką elastyczną. W biurze panowała atmosfera spokoju i pracowitego pośpiechu.

– Lanternglass – powiedział Tim i pokazał głową jej biurko, które znajdowało się najbliżej jego gabinetu.

– Już się za to biorę. Spakuję wszystko w dziesięć minut.

– Nie pakuj. Pisz.

Oślupiała.

– Nie mówisz poważnie.

– Oboje wiemy, że słyne z braku poczucia humoru. Ustawiłem alert na stronie internetowej, w związku z tą kulą. Wiadomości telewizyjne już to podają. Chcę, żeby do południa cała historia trafiła na serwer. Wtedy możesz się pakować – oznajmił i przeszedł obok, razem ze swoim pudełkiem.

– Nie zamknęłam samochodu – rzuciła Lanternglass. – Możesz przynieść mojego laptopa? Jest na tylnym siedzeniu.

Poruszył głową w geście, który chyba oznaczał zgodę, i dalej holował swoje pudło na zewnątrz i w dół po schodach.

Lanternglass zatrzymała się obok Shane’a Wolffa.

– Będzie mi brak tego miejsca, jeśli się spali. Spędziłam tutaj wiele najsmarniejszych godzin mojego życia. Myślisz, że ty też będziesz za tym tęsknił?

– Za patrzeniem, jak ganiasz w górę i w dół po schodach – powiedział. – To naprawdę nie było marne.

– Oj – wtrąciła się Dorothy. – Mamo, on cię podrywa.

– I kto to mówi? – spytał Shane. – A może jestem maniakiem fitnessu. Może po prostu podziwiam kogoś, kto z pełnym poświęceniem pracuje nad formą.

Dorothy zmrużyła jedno oko do rozmiarów szparki i powtórzyła:

– Podrywasz ją.

– Pff – parsknął Shane. – Nie traktuj mnie z góry. To nie ja chodzę z głową w tyłku kurczaka.

Dorothy dotknęła kurczakowej czapki i zachichotała, a Lanternglass chwyciła ją za rękę i zaprowadziła do swojego biurka.

Przy szklanej ścianie gabinetu Tima Chena piętrzyły się spłaszczone kartonowe pudła. Złożyła jedno i razem z Dorothy zaczęły opróżniać biurko. Pudło było do połowy pełne, kiedy Tim Chen wrócił z jej laptopem.

Odpaliła sędziwego macbooka i otworzyła nowy dokument, podczas gdy Dorothy dalej pakowała rzeczy do pudła. Lanternglass zaczęła pisać, najpierw nagłówek: ODKRYCIE W MIEJSCU ZBRODNI RODZI PYTANIA. Za ogólny, za słaby. Skasowała go, spróbowała ponownie. KULA W MOCZU: ODKRYCIE W MIEJSCU ZBROD... Kurwa, ten był jeszcze gorszy.

Ciężko jej się myślało. Miała wrażenie, że świat wokół niej rozpada się, rozłazi w szwach. Tim Chen w swoim biurze wrzucał stosy folderów do pudełka. Shane Wolff po drugiej stronie pomieszczenia odsunął wykładzinę na podłodze. Wyciągnął spod niej długi kabel do Ethernetu i zwijał go w pętle. Wszystkie otwarte szuflady przeważały szafkę na akta i upadła z łoskotem. Chuda praktykantka wrzasnęła. Dziennikarz sportowy wybuchł śmiechem.

Lanternglass usłyszała za plecami, jak wiatr uderza w okna, i nagle Dorothy skoczyła na nogi i wyjrzała na zewnątrz ogromnymi oczami.

– O rany, mamó, naprawdę wieje – stwierdziła.

Lanternglass obróciła się na biurowym krześle, żeby zobaczyć. Na chwilę wszyscy przestali robić to, co robili, i rzucili się do okien. Po drugiej stronie szyb mgła kotłowała się i pieniała, prawie zasłaniając widok na parking w dole. Wiatr ryczał i pędził chmurę dymu w trującym, żółtawym odcieniu. Iskry wirowały. Aishy Lanternglass po raz pierwszy przyszło do głowy, że to może nie był najlepszy pomysł zabierać córkę ze sobą do biura, bo może płomienie zwyciężą ze strażą pożarną i dotrą do budynku, kiedy one będą w środku. Nie,

to było niemożliwe. Mieli nakaz opuszczenia tego miejsca dopiero jutro rano. Gdyby istniało realne niebezpieczeństwo, obsługa parków nie dałaby im tak dużo czasu na ewakuację. Poza tym ludzie ciągle przychodzili, żeby pomóc w wyprowadzce. Na dole, na parkingu, zobaczyła zarys czerwonej toyoty prius zjeżdżającej z autostrady. A potem dym zgęstniał i straciła samochód z oczu.

– No dobra – powiedziała Lanternglass. – Kochanie, daj spokój. Ja tylko zrobię, co mam zrobić, i możemy jechać.

Znowu zaczęła pisać, nowy tytuł: JEDNA KULA ZMIENIA WSZYSTKO. Tak, to miało energię. Ktokolwiek to przeczyta, nie będzie mógł się oderwać od następnej linijki. Jakakolwiek by była. Za chwilę ją wymyśli. Lanternglass zmrużyła oczy, wpatrując się w ekran jak strzelec w cel.

– Co, do kurwy? – odezwał się dziwnie piskliwym głosem reporter sportowy.

Stał w drzwiach prowadzących na klatkę schodową, gotowy powoli sprowadzić wózek ze stopni. Lanternglass usłyszała go, ale nie podniosła głowy; była zatopiona głęboko w historii i układała następne zdanie.

Nie podniosła głowy, dopóki karabin AR-15 nie wypalił z płaskim, ogłuszającym trzaskiem, a po sekundzie jeszcze raz i jeszcze. Spojrzała akurat w momencie, kiedy głowa dziennikarza sportowego odskoczyła i krew rozprysła się drobniutkimi kropelkami na suficie i ścianie za nim. Upadł do tyłu, przewracając na siebie żelazny wózek. Szuflady wysunęły się spod przytrzymującej je linki elastycznej i rozwały po podłodze.

Kellaway wszedł do środka, przestępując przez ciało. Trzymał bushmastera na wysokości biodra, pasek przerzucił przez ramię. Wielki facet w koszulce polo koloru gołębiego, już poplamionej krwią.

Shane Wolff w drugim kącie pomieszczenia wyprostował się, podnosząc kilka zwojów kabla. Uniósł wolną rękę, wyciągnął dłoń.

– Hej, czegokolwiek chcesz... – powiedział, a Kellaway postrzelił go w żołądek i pierś, popychając prosto na okno z tyłu.

Ramiona Shane'a walnęły w szkło tak mocno, że na szybie pojawiła się pajęczyna pęknięć.

Lanternglass odepchnęła pupą krzesło i upadła na jedno kolano. Dorothy wstała, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale matka chwyciła ją za nadgarstek i mocno pociągnęła. Dziewczynka upadła na kolana. Lanternglass otoczyła córkę ramionami i wciągnęła pod biurko.

Bushmaster wypalił znowu, z kolejnym płaskim, twardym dźwiękiem. To był dźwięk Kellawaya zabijającego Julię, stażystkę. Ze swojego miejsca pod biurkiem Lanternglass widziała okna wychodzące na parking i – przez szeroki panel szkła, który służył jako ściana – część prywatnego gabinetu Tima Chena. Tim stał za biurkiem, patrząc na newsroom oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

Dym za oknami gotował się i przepływał, napędzany wiatrem. Za szybą przesunął się kolejny wirujący krąg iskier. Dorothy zadrżała. Lanternglass trzymała głowę córki przy swojej piersi i przyciskała usta do jej włosów. Odetchnęła głęboko zapachem dziecięcej skóry i kokosowego szamponu córki. Chude ramiona dziecka owinięte były wokół talii matki. I Lanternglass pomyślała: Nie pozwól mu nas zobaczyć. Proszę, Boże, nie pozwól mu nas zobaczyć. Proszę, Boże, pozwól żyć temu dziecku.

Tim Chen zniknął z pola widzenia Lanternglass; przesunął się w stronę drzwi biura. Złapał marmurowy przycisk, blok biało-różowego kamienia, jedyny przedmiot w zasięgu ręki, którym mógł walczyć. Lanternglass usłyszała, jak krzyczy, jak wydobywa się z niego nieartykułowany wrzask strachu i wściekłości, a potem bushmaster znowu wystrzelił trach-trach-trach-trach, ale nie dwa

metry dalej, tylko tuż po drugiej stronie biurka. Tim Chen upadł tak ciężko, że podłoga zadrżała.

Lanternnglass dziwnie dzwoniło w uszach. Nigdy wcześniej nie ścisnęła tak córki; gdyby przycisnęła ją jeszcze mocniej, coś by jej złamała. Zaczepnęła trochę powietrza; bała się, że jeśli odetchnie zbyt głęboko, Kellaway ją usłyszy. Ale może już nic nie słyszał po tylu wystrzałach. Może po tych grzmotach z broni był głuchy na ciche dźwięki wydawane przez trzęsącą się dziewczynkę i cicho dyszącą matkę.

Wiatr wył, coraz głośniejszy i głośniejszy. Lanternnglass gapiała się za okno w dym i z pełnym przerażenia zdumieniem zobaczyła wijącą się linię płomieni, wysoką na sto metrów, wynurzającą się z mroku: płonący wir pośrodku autostrady. Smukłe tornado ognia sięgało dusząco białego nieba i tam znikało. Gdyby skręciło w stronę budynku, może rozdarłoby cegły i zabrało jej córkę Dorothy do jakiegoś złotego, płonącego, straszliwego, ale wspaniałego Oza. Może zabrałoby je obie. Ten widok napełnił Aishę Lanternnglass grozą, jak oddech rozdymając jej płuca i serce. Piękno i makabra świata były splecione razem, jak wiatr i płomień. Dym się uniósł, brudny i ciemny, i przycisnął do szkła, a następnie opadł i nagle te płonące, wirujące schody do chmur znikły.

Przed jej kryjówką pod biurkiem pojawił się jeden but bojowy. Powieki Dorothy były zaciśnięte. Nie widziała. Lanternnglass patrzyła ponad głowę córki, wstrzymując oddech. Pojawił się drugi but. Dokładnie przed biurkiem.

Powoli, powoli Kellaway schylił się i zerknął na nie. Trzymał kolbę bushmastera pod pachą. Przyjrzał się Lanternnglass i jej małej córce, a jego błękitne, prawie białe oczy były spokojne.

– Pomyśl tylko – powiedział. – Gdybyś miała broń, ta historia mogłaby się skończyć inaczej.





# WNIEBOWZIĘTY



# 1

Czuł się okropnie, ściśnięty razem z innymi z tyłu małego samolotu. Nie znosił smrodu benzyny, spleśniałego płótna i własnych zjełczałych pierdów i zanim osiągnęli wysokość dwóch kilometrów, Aubrey Griffin uznał, że nie da rady skoczyć.

– Przykro mi, że to robię, chłopie... – zaczął mówić przez ramię do faceta, którego w myślach nazywał Axe.

Nazwisko instruktora wyleciało mu z głowy zaraz po tym, jak mężczyzna się przedstawił. Już wtedy Aubrey miał kłopoty z przyswajaniem najprostszych informacji. Przez całe pół godziny, kiedy ładowali się do jednosilnikowej cessny, w głowie Aubreya ryczała panika. Ludzie patrzyli mu prosto w oczy i wypowiadali różne słowa, a nawet je wykrzykiwali, bo każdy pławił się w adrenalinie, ale on słyszał tylko niezrozumiały hałas. Od czasu do czasu wyłapywał przekleństwo, nic poza tym.

Aubrey nazywał więc instruktora Axe, skrót od Axe Body Spray, nazwy dezodorantu, ponieważ facet wyglądał, jakby zszedł z planu reklamy pełnej napalonych gości, eksplozji i modelek w samej bieliźnie walczących na poduszki. Mężczyzna był wysportowany i smukły, miał krótko przycięte i odgarnięte do tyłu złotorudawe włosy i kipiał energią, co zamiast uspokoić Aubreya, jeszcze potęgowało jego strach. Czy to nie absurd powierzać swoje życie komuś, czyjego imienia nawet nie mógł zapamiętać?

– Co mówiłeś?! – krzyknął Axe.

Aż dziwne, że tak słabo się słyszeli, zwłaszcza że instruktor był dosłownie doczepiony do tyłka Aubreya. Siedzieli spięci uprzężą; Aubrey na kolanach Axe'a jak dziecko, które mości się na podołku Mikołaja w centrum handlowym.

– Nie mogę tego zrobić. Naprawdę miałem nadzieję, że dam radę. Naprawdę myślałem...

Axe pokręcił głową.

– To normalne. Każdy tak ma.

Chciał go zatem zmusić do błagania. Aubrey nie zamierzał błagać, nie w obecności Harriet. Ku jego przerażeniu wyleciało z niego jeszcze więcej tłustych pierdów. Warkot silnika je zagłuszał, ale tyłek piekł i oczywiście śmierdziały. Axe musiał czuć smak każdego z nich.

To było okropne dla Aubreya, że jest taki żałosny w obecności Harriet Cornell. I nie miało znaczenia, że on i Harriet nigdy nie będą ze sobą chodzić, nigdy się w sobie nie zakochają i nigdy nie będą leżeć nago pod chłodnymi prześcieradłami na St. Barts, z otwartymi drzwiami na werandę, przy dźwięku fal rozbijających się w oddali o rafy. Pozostawały mu jednak marzenia i musiał je chronić. Aubreya przerażało, że takie właśnie ostatnie wspomnienie o nim Harriet zabierze ze sobą do Afryki.

Harriet i Aubrey mieli oboje skoczyć po raz pierwszy. (A właściwie to Harriet miała wykonać swój pierwszy skok. Aubrey w ostatniej chwili zrozumiał, że on nie). Mieli skakać w tandemie, to znaczy z instruktorem, który robił to codziennie. W samolocie znajdowali się też Brad i Ronnie Morrisowie. Dla nich to była bułka z masłem, obaj chłopcy byli doświadczonymi spadochroniarzami.

June Morris nie żyła, wszyscy skakali ku jej pamięci: jej bracia, Brad i Ronnie, jej najlepsza przyjaciółka, Harriet, i Aubrey. June nie żyła od sześciu tygodni, w wieku dwudziestu sześciu lat zabrał ją rak. Według Aubreya było to zupełnie bezsensowne gówno. Jego zdaniem

prawdopodobieństwo śmierci na raka w młodym wieku było mniej więcej takie jak prawdopodobieństwo zostania gwiazdą rocka.

– Nie ma w tym nic normalnego! – odpowiedział, wrzeszcząc. – Zdiagnozowali u mnie kliniczny zespół trzęsących się gaci. Serio, chłopie, jeśli zmusisz mnie do skoku, napełnię majty gorącym, rzadkim gównem...

W tym samym momencie w pustej trzeszczącej kapsule ze stali nierdzewnej, z której wykonany był kadłub, ucichły wszelkie dźwięki i głos poniósł się z jednego końca samolotu na drugi. Aubrey zdał sobie sprawę, że Brad i Ronnie odwracają się i patrzą na niego. Obaj mieli kamery GoPro przyśrubowane do kasków. Na pewno wrzucą to potem na YouTube'a.

– Pierwsza zasada skakania ze spadochronem: nie srać na instruktora – przykazał Axe.

Bezmyślny łomot silnika znowu rozbrzmiał. Brad i Ronnie spojrzeli gdzie indziej.

Aubrey nie chciał zerkać na Harriet, ale nie mógł się powstrzymać.

Nie patrzyła na niego, chociaż miał wrażenie, że sekundę wcześniej odwróciła głowę w przeciwną stronę. Ścisnęła małego, purpurowego i wypchanego konika ze sterczącym z czoła srebrnym rogiem i cukierkowymi, tęczowymi skrzydłami przytroczonymi do grzbietu – Junicorna. Harriet i Junicorn byli zwrócenii przodem do drzwi, wielkiego, luźno osadzonego i brzęczącego włazu z przezroczystego plastiku. Za każdym razem, kiedy samolot przechylał się w lewo, Aubrey był pewny, że drzwi wypadną, a on wysunie się na zewnątrz, Axe Body Spray dostanie zaś ataku maniakalnego śmiechu. Wydawało się, że nic nie trzyma tych drzwi, nic, do kurwy nędzy.

Sposób, w jaki Harriet specjalnie na niego nie patrzyła, był nieprzyjemny, jakby wcześniej spoglądała z mieszaniną współczucia

i rozczarowania. Aubrey nie potrzebował pozwolenia Axe'a, żeby zostać w samolocie. Zdanie instruktora nie miało znaczenia. Aubrey chciał tylko, żeby Harriet powiedziała, że to w porządku.

Nie. Tak naprawdę to chciał wyskoczyć z samolotu z nią, przed nią. Ale żeby to zrobić, musiałby stać się kimś innym. Może tego właśnie nienawidził najbardziej: nie swojego słabego żołądka, nie swoich mdlących pierdów ani nawet swojego załamania nerwowego. Może najbardziej nie mógł znieść tego, że się dowiedziała. Czy istnieje na świecie coś gorszego niż myśl, że przejrzała cię na wylot osoba, której miłości tak pragniesz?

Pochylił się i stuknął swoim kaskiem w jej, żeby zwróciła na niego uwagę.

Spojrzała w jego kierunku i po raz pierwszy zauważył, że jest blada i wyczerpana, a wargi ma zaciśnięte tak mocno, że uciekł z nich cały kolor. Pomyślał z ulgą, że ona też się boi. Uchwycił się tego pomysłu z szaleńczą nadzieją: może Harriet zostanie z nim na pokładzie samolotu! Jeśli oboje okażą się tchórzami, sytuacja nie będzie już wstydliva ani tragiczna; to będzie najwspanialsza rzecz, jaka kiedykolwiek się wydarzyła.

Miał zamiar jej powiedzieć, że się wycofuje, ale teraz, pod wpływem tej nowej myśli, krzyknął:

– Jak się czujesz?

Był gotowy ją pocieszać. I tak naprawdę na to liczył.

– Chyba zaraz zwymiotuję.

– Ja też! – zawołał, może ze zbyt wielkim entuzjazmem.

– Trzęsę się jak osika.

– Jezu. Jak dobrze, że nie tylko ja.

– Nie chcę tu być – wyznała i oparła się swoim kaskiem o jego, a ich nosy prawie się zetknęły.

Jej oczy w chłodnym, zielonobłękitnym odcieniu zamrożonych mokradeł były rozszerzone z nieukrywanego strachu.

– Kurwa! – zaklął. – Ja też nie. Ja też nie! – Niemal wybuchł śmiechem i niemal chwycił jej dłoń.

Znowu zerknęła na brzęczące drzwi z przezroczystego plastiku.

– Nie chcę ani przez sekundę dłużej siedzieć w tym samolocie. Chcę już być na zewnątrz. Zrobić to. Czuję się, jakbym stała w kolejce do rollercoastera. To czekanie jest zabójcze. Człowiek coraz bardziej się nakręca. Ale jak już jedzie, myśli: „Czego tak się obawiałem? Chcę to zrobić jeszcze raz!”.

Aubreyowi wymknął się mały, tłusty pierd rozczarowania. Entuzjazm i słodka odwaga, jakie usłyszał w jej głosie, napełniły go rozpaczą rodem z grunge’owego rocka.

Oczy Harriet rozszerzyły się ponownie. Pokazała coś za stukającymi drzwiami i krzyknęła z dziecięcym entuzjazmem:

– Hej! Hej, ludzie! Statek kosmiczny!

– O co chodzi?! – zawołał wielki metroseksualny drwał obejmujący ją od tyłu.

Harriet była przyczepiona do krępego faceta z krzaczastą brodą, która sugerowała, że miał całą szafę kraciastych koszul i drugą pracę w szykownej kawiarni, gdzie serwował espresso fair trade. Kiedy przyszło do wybierania instruktorów, Aubrey szybko zdecydował się na Axe’a Body Spraya. Nie chciał, żeby Harriet skakała właśnie z nim, z pupą przez całą drogę w dół przyciśniętą do jego penisa, prawdopodobnie we wzwodzie. Wookiee został więc parą Harriet. Niestety (co było do przewidzenia), ona i futrzasty, gruby facet od razu przypadli sobie do gustu. W porze lunchu śpiewali już razem *a cappella Total Eclipse of the Heart* i tłustawy instruktor intonował męskie partie ciepłym, niskim, zadziwiająco mocnym głosem. Aubrey go nienawidził. To on miał być mocny i zadziwić Harriet śmiechem.

Nienawidził wszystkich inteligentnych, przyzwoitych grubasów, których Harriet spontanicznie obściskała.

– Tam! – krzyknęła. – Tam, tam! Aubrey! Widzisz to?

– Co widzę? – odezwał się Wookiee, chociaż nie mówiła do niego.

– Tę chmurę! Spójrzcie na tę dziwną chmurę. Wygląda całkiem jak UFO!

Aubrey nie chciał patrzeć. Nie chciał się znaleźć w pobliżu drzwi. Ale nie mógł temu zapobiec – Axe przesunął się, żeby zobaczyć, co pokazywała, i zabrał ze sobą Aubreya.

Harriet wyciągała rękę w kierunku chmury w kształcie latającego talerza z filmów z lat pięćdziesiątych, takich o inwazji obcych. Obłok był szeroki i okrągły, a pośrodku wybrzuszał się w strzępiastą kopułę.

– Trochę za duża na UFO! – zawołał pseudo-Chewbacca.

Miał rację, chmura była długa na ponad kilometr.

– To statek matka! – oświadczyła Harriet radośnie.

– Kiedyś widziałem chmurę, która wyglądała jak pączek – powiedział Axe. – Jakby Bóg puścił kółko z dymu. Miała w środku wielką dziurę. Tu, w górze, jesteśmy bliżej dziwów. Gdy się spada z czterech kilometrów, wszystko wydaje się surrealistyczne. Rzeczywistość staje się cienka jak jedwab spadochronu, a mózg otwiera się na nowe możliwości.

Pieprzyć cię i twoją cienką jak jedwab spadochronu rzeczywistość – taki był punkt widzenia Aubreya. Pieprzyć Axe'a i jego obietnicę, że to doświadczenie otworzy Harriet na nowe możliwości (takie na przykład jak seks po skoku, we trójkę, z Axe'em i włochatym instruktorem).

Harriet potrząsnęła głową z zadowoleniem.

– June spodobałaby się ta chmura. Wierzyła, że Oni są wśród nas. Zielone ludziki. Goście.

Gruby Futrzak odparł:



– Niedługo przyjrzymy się jej z bliska. Jesteśmy już prawie na wysokości do skoku.

Aubrey poczuł świeże ukłucie strachu, jak dziabnięcie igłą, ale przynajmniej przez chwilę skok zajmował dalsze miejsce w jego myślach. Pochylił się do przodu, sam nie wiedząc, co robi, i zaskakując Axe'a, który musiał pochylić się wraz z nim. Spinająca ich uprząż zatrzeszczała.

Przez pół minuty Aubrey wpatrywał się w chmurę, samolot tymczasem wzleciał jeszcze wyżej i zaczął skręcać w jej stronę – za chwilę mieli przelecieć dokładnie nad nią. A potem spojrzał na Harriet i faceta z brodą.

– Tak – powiedział. – Ona ma rację. Ta chmura jest jakaś dziwna. Popatrzcie tylko na nią.

– To doskonały egzemplarz cumulonimbusa – wtrącił się instruktor Harriet. – Bardzo fajny.

– Nie, nieprawda. Nie jest fajna. Jest dziwna.

Wookiee zmierzył go spojrzeniem, które wyrażało zarówno znudzenie, jak i pogardę. Aubrey pokręcił głową, zirytowany, że facet tego nie łapie, i znowu pokazał palcem.

– Ona przesuwa się tam – zaznaczył, wskazując północ.

– No to co?! – krzyknął Brad Morris.

Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut wszyscy patrzyli na Aubreya.

– Inne chmury poruszają się w przeciwnym kierunku! – wrzasnął Aubrey, machając ręką w stronę południową. – Ona płynie pod prąd.

## 2

Przez chwilę wpatrywali się w chmurę w pełnej szacunku ciszy, dopóki instruktor Harriet nie wyjaśnił:

– To jest komórka powietrzna. Taki prąd okrężny. Na pewnej wysokości powietrze płynie w jedną stronę, a potem, na innej wysokości, załamuje się i pcha wszystko dokładnie w przeciwnym kierunku. Jeśli lecicie balonem na gorące powietrze, takie prądy oznaczają, że możecie wzbić się, przelecieć kawałek, a następnie opaść o kilka tysięcy metrów i wrócić do miejsca, gdzie rozpoczęliście podróż.

Instruktor grubasek organizował też loty balonem i zaoferował Harriet, że może ją kiedyś zabrać za darmo. Według Aubreya była to diabelska propozycja, równoznaczna z zaproszeniem jej do seksklubu na leniwą noc brania kokainy i ręcznych robótek. Aubrey przypuszczał, że większość mężczyzn, którzy skaczą na spadochronie, latają balonami i robią inne cholerne rzeczy na ogromnych wysokościach, popisuje się wyłącznie przed cipkami. Mnóstwo było okazji, żeby zapiąć dziewczynę w uprząż ochronną, wzbudzić gorące uczucia, pocieszając w chwili lęku, czy zasłużyć na podziw, prezentując własną odwagę. Oczywiście – żeby być uczciwym – Aubrey również nie znalazłby się w samolocie, gdyby nie chciał zrobić wrażenia na Harriet.

– Och – powiedziała Harriet, wzruszając ramionami z udawanym rozczarowaniem. – Co za szkoda. Myślałam, że uda nam się nawiązać kontakt.

Axe podniósł dwa palce, jak Churchill w Dzień Zwycięstwa.

– Dwie minuty.

Harriet puknęła swoim kaskiem w kask Aubreya i spojrzała mu w oczy.

– Tak?

Aubrey próbował się uśmiechnąć, ale to, co wyszło, bardziej przypominało grymas.

– Nie – odparł. – Nie mogę.

– Ależ możesz! – wrzasnął Axe, który w końcu zdecydował, że nie może dłużej udawać głuchego. – W całym tym doświadczeniu chodzi o potęgę „mogę”.

Aubrey go zignorował. Axe Body Spray się nie liczył. Chłopaka interesowało tylko, jak to przyjmie Harriet.

– Naprawdę chciałem – odezwał się do niej.

Harriet skinęła głową i wzięła go za rękę.

– Ja muszę. Obiecałam June.

Oczywiście on też obiecał June. Kiedy Harriet powiedziała, że skoczy, Aubrey przysiągł, że będzie wrzeszczał u jej boku przez całą drogę na dół. June wtedy umierała i wydawało mu się, że tak właśnie powinien zrobić.

– Czuję się jak kawał gówna... – zaczął.

– Nie przejmuj się! – krzyknęła Harriet. – Moim zdaniem to super, że dotarłeś tak daleko.

– Wziąłem podwójną dawkę środków uspokajających i wszystkiego innego... – Aubrey wolałby już się nie tłumaczyć.

– Jedna minuta – poinformował Axe.

– W porządku, Aubrey – powiedziała Harriet, uśmiechając się psotnie. – Chyba lepiej się przygotuję, nie?

– Tak jest – zgodził się, kiwając energicznie głową.

– Jestem gotowy! – zawołał Ronnie Morris. – Chętnie łyknę trochę świeżego powietrza.

Brad Morris roześmiał się i przybili piątkę. Do Aubreya dotarło, że to mogą być żarty z jego tchórzliwych pierdów, których smród ciągle unosił się w kabinie. Nie dość, że był żałośnie przerażony, to jeszcze zdradziło go własne ciało, a inni śmiali się z tego powodu.

Aubrey popatrzył na Harriet, ale ona wpatrywała się w drzwi z przezroczystego plastiku. Zniknął już z jej myśli. Czuł się z tym gorzej, niż mógł przypuszczać. Spodziewał się, że będzie nim rozczarowana, ona jednak nie była nim rozczarowana, było jej wszystko jedno. Wcześniej wierzył, że musi to zrobić, musi tu być dla June, dla Harriet, ale okazało się, że to bez znaczenia.

Teraz, kiedy był pewny, że nie skoczy, poczuł się zgaszony i przybity. Harriet trzymała Junicorną i szeptała do niego, pokazując rozległą chmurę w kształcie UFO, i zaraz też cessa przechyliła się w tę stronę.

Axe poprawiał kamerę na kasku.

– Hej, Audrey, słuchaj, człowieku. – Jakaś maleńka, gorzka przyjemność tkwiła w tym, że instruktor również nie zapamiętał jego imienia. – Jeśli jesteś zdecydowany się wycofać, masz do tego prawo. Ale musisz wiedzieć, że kosztuje to tyle samo, czy skaczesz, czy nie. Nie mogę nawet zwrócić ci za DVD.

– Przykro mi, że zepsułem wam zabawę – oświadczył Aubrey, naprawdę okropne było jednak to, że nikomu zabawy nie zepsuł. Nikt go nawet nie słuchał.

Samolot podczas skrętu przechylił się jeszcze bardziej.

– Zatoczmy kółko nad pasem do lądowania... – zaczął Axe i wtedy wszystko ucichło.

Śmigło na nosie małej cessny zawyło, zaterkotało i nagle przestało się obracać. Wiatr szumiał pod skrzydłami i ten miękki dźwięk

wypełnił całą ciszę. Światła w kabinie zamigotały i zgasły.

Wszechogarniająca, gwizdząca cisza bardziej zdumiała Aubreya, niż go przestraszyła.

– Co się stało? – spytała Harriet.

– Lenny! – krzyknął Axe w kierunku dziobu samolotu. – Co jest, do diabła, człowieku? Silnik wysiadł?

Pilot z kręconymi włosami wyłazącymi spod grubych słuchawek pstryknął przełącznikiem, wyciągnął z deski rozdzielczej długi, stalowy pręt i wcisnął guzik.

Cessna szybowała jak gazeta nad kratownicą metra.

Pilot Lenny spojrział na nich przez ramię i wzruszył ramionami. Miał na sobie białą koszulkę z maskotką Kool-Aid, czyli niedorzecznie uśmiechniętym dzbankiem czerwonego napoju. Ściągnął słuchawki na szyję.

– Nie wiem! – odkrzyknął. W jego głosie nie było strachu, już prędzej irytacja. – Może! Ale nie mamy prądu! Wszystko zdechło. Jakby kabel się odłączył od akumulatora.

Cessna zadrżała, skrzydła odchyliły się odrobinę w jedną stronę, a potem w drugą.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy – odezwał się Brad. – I tak miałem właśnie wysiadać.

– Taaa – dorzucił Ronnie. – Dobrze rozprostować nogi.

– To ruszajcie się! – rozkazał Lenny. – Skaczcie! Jak nikogo nie będzie, zanurkuję i spróbuję odpalić. Jeśli to nie zadziała, będę musiał zejść lotem szybowym. Mam nadzieję, że trafię w pas. Bo jak nie, to będzie trzęsło.

– Przestańcie! – wrzasnęła Aubrey. – Dajcie spokój z tymi wygłupami! Nie wierzę w ani jedno słowo.

Brad podskoczył do drzwi i jedną po drugiej obrócił wypustki ze stali nierdzewnej, które przytrzymały klapę w pozycji zamkniętej.

Popchnął drzwi do góry i na zewnątrz. Otwór był mniej więcej wielkości hokejowej bramki. Spadochroniarz postawił nogę na rurze pod włazem.

– Audrey, mój przyjacielu – powiedział miękko Axe.

– Nie! – krzyknął Aubrey. – To nie jest śmieszne! Niech on włączy silnik! Nie możecie w ten sposób zmuszać nikogo do skoku!

– Do zobaczenia na dole – odparł Brad.

Trzymał się ściany kadłuba, zwrócony twarzą do nich, z jedną ręką wczepioną w barierkę na górze. Zasalutował wolną dłonią – dupek – a następnie wyszedł z samolotu i niebo go porwało.

– Audrey! Audrey, oddychaj! – powtarzał Axe. – Nikt nie robi sobie z ciebie jaj. Naprawdę mamy problem z samolotem. – Mówił bardzo wolno i starannie wymawiał każde słowo. – Nigdy byśmy nie wyłączyli silnika, żeby cię przestraszyć i zmusić do skoku. Serio. Wielu ludzi rezygnuje w ostatniej chwili. To mnie nie obchodzi. I tak płacą mi tyle samo.

– Więc dlaczego silnik nagle zgasł?

– Nie mam pojęcia. Ale wierz mi, nie chcesz być w środku, kiedy pilot będzie próbował go odpalić.

– Bo?

– Bo będzie pikował, dziobem w dół.

Ron Morris podbiegł do krawędzi otwartych drzwi, gotowy pójść w ślady brata. Usiadł na moment, nogi umieszczając na poprzeczce, która biegła wzdłuż samolotu po zewnętrznej stronie kadłuba. Oparł łokcie na kolanach i podziwiał widoki. Jego skóra marszczyła się od wiatru, luźne poliki odkształcały się na pyzatej twarzy. Powoli, jakby przysypiał, pochylił się i spadł głową do przodu, by natychmiast zniknąć.

– Pospieszcie się tam! – ponaglał ich z fotela za sterami Lenny.

Harriet siedziała pomiędzy nogami instruktora, patrzyła na Aubreya i Axe'a z pełną lęku fascynacją. Przycisnęła Junicorna do piersi, jakby się obawiała, że ktoś jej go wyrwie. Junicorn zastępował samą June i Harriet miała przykazane opiekować się nim i zabierać go ze sobą zawsze, kiedy będzie robiła rzeczy, których June już nigdy nie zrobi: gdy będzie oglądała piramidy, surfowała w Afryce czy skakała ze spadochronem. Aubrey nie mógł pozbyć się komicznego uczucia, że gapią się na niego oboje: dziewczyna i pluszowe zwierzątko.

– Aubrey – powiedziała Harriet. – Myślę, że musimy się ruszyć. Teraz. Oboje. – Przeniosła wzrok na Axe'a. – Możemy to zrobić razem? Na przykład trzymając się za ręce?

Axe pokręcił głową.

– Będziemy trzy sekundy za wami.

– Proszę, pozwól nam trzymać się za ręce. Mój przyjaciel jest przerażony, ale wiem, że da radę, jeśli zrobimy to razem – nie dawała za wygraną i Aubrey poczuł, że kocha ją tak bardzo, że zaraz się rozpłacze.

Chciał wyznać jej od razu, że ją kocha, ale przekraczało to jego możliwości nawet bardziej niż wyjście z samolotu w czterokilometrową przepaść.

– To nie jest najlepszy pomysł podczas pierwszego skoku. Nasze spadochrony mogłyby się zaplątać. Harriet, proszę, skacz. Będziemy tuż za tobą.

Tłustawy instruktor zaczął przesuwając się na tyłku po stalowej podłodze, ciągnąc Harriet coraz dalej od nich i bliżej do drzwi.

– Audrey? – odezwał się Axe. Jego głos był łagodny, uspokajający i pełen rozsądku. – Jeśli nie skoczymy, ryzykujesz moje życie i swoje własne też. Chcę skoczyć, póki możemy. Wolałbym, żebyś się zgodził.

– O Boże!

– Zamknij oczy!

– O Boże. O mój Boże. To jest popierdolone.

Harriet i jej instruktor byli już przy otwartym luku. Nogi Harriet wisały na zewnątrz. Rzuciła przez ramię ostatnie błagalne spojrzenie na Aubreya. A potem chwyciła rękę instruktora i zniknęli.

– Zanim się zorientujesz, będziesz miał twardy grunt pod stopami – powiedział Axe.

Aubrey zamknął oczy. Pokiwał głową na znak zgody.

– Przepraszam, że jestem takim tchórzem – wymamrotał.

Axe podskokami przesunął ich obu po stalowej podłodze, małymi ruchami zbliżając się do otworu. Aubrey pomyślał, że w sumie cieszy się, że to nie Harriet siedzi na kolanach Axe'a i to nie ona czuje jego biodra napierające w ten sposób na jej tyłek.

– Skakałeś kiedyś z kimś gorszym niż ja? – spytał Aubrey.

– Raczej nie – odpowiedział Axe i wypchnął ich obu z samolotu.

Do ziemi mieli ponad trzy kilometry – minuta swobodnego spadku i jakieś cztery minuty powolnego ślizgania się pod czaszą spadochronu. Ale kiedy Aubrey Griffin i jego instruktor opadli mniej więcej o cztery piętra, uderzyli o krawędź chmury w kształcie UFO, która tak naprawdę nie była chmurą. I przestali spadać.



### 3

Strach zagęszcza czas, sprawia, że staje się powolny i kleisty. Jedna sekunda obezwładniającej paniki trwa dłużej niż dziesięć normalnych. Aubrey spadał tylko przez chwilę, ale ta chwila trwała dłużej niż całe to stopniowe zataczanie kół podczas wspinaczki do nieba na pokładzie cessny.

Kiedy przeszli przez drzwi, Aubrey próbował się obrócić, zostać w samolocie, Axe jednak wyciągał go na zewnątrz. Zanurkował tyłem, patrząc na samolot, podczas gdy instruktor był pod spodem. Dreszcz emocji łaskotał Aubreya od jąder po gardło, a w trakcie spadania w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl:

CIĄGLE ŻYJĘ CIĄGLE ŻYJĘ CIĄGLE ŻYJĘ CIĄGLE...

...i wtedy uderzyli.

Wstrząs nie przypominał zetknięcia z ziemią, raczej z surowym ciastem chlebowym. Podłoże było gęste, gumiate i zimne i gdyby upadli na nie z jakichś trzech, czterech metrów, mogłoby to być miękkie, sprężyste lądowanie. Ale spadli z ponad dziesięciu metrów i Axe przyjął na siebie główny impet uderzenia. Delikatne obręcze jego miednicy pękły w trzech miejscach, a górna część prawej kości udowej złamała się z trzaskiem. Tył kasku Aubreya walnął go w twarz i z odgłosem tłukącego się szkła zmiażdżył mu nos.

Sam Aubrey też nie wyszedł z tego cało. Axe uderzył go kolanem w biodro tak mocno, że nabił mu paskudnego siniaka. Walnął go również w łokieć, tak że chłopak stracił czucie w prawej ręce.

Suchy, zimny dym wystrzelił spod nich wielkim kłębem. Wydobywał się z niego ostry odór, jak strużyny z ołówka, jak koła pociągu, jak błyskawica.

– Hej – powiedział Aubrey cienkim, roztrzęsionym głosem. – Hej, co się stało?

– Aaa! – krzyczał Axe. – Aaa!

– Wszystko w porządku?

– Aaa! O Jezu. Och, co za skurwysyn!

Uderzenie wybiło Aubreyowi całe powietrze z płuc. I wszystkie myśli też. Poruszył rękami i nogami jak żuk, który bezradnie próbuje uwolnić się z pozycji leżącej na grzbiecie. Gapił się przy tym w przejrzysty błękit. Ciągle dostrzegał w górze samolot, maleńki jak zabawka, przechylony do skrętu na wschód. Dziwnie było widzieć, że jest już tak daleko.

Axe zaszlochał.

Ten dźwięk był tak niespodziewany i tak straszny, że Aubrey otrząsnął się z otępiałego zdumienia. Zwinął palce prawej dłoni w pięść, starając się odzyskać czucie.

– Możesz mnie odpiąć? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedział Axe. – O rany. Wszystko się całkiem popierdoliło.

– W co uderzyliśmy? – chciał wiedzieć Aubrey. Przecież to wyglądało jak chmura, bez sensu. – Na czym jesteśmy?

Axe potwornie dyszał, jakby oszalał. Aubrey pomyślał, że zaraz znowu zacznie płakać.

– Musisz mnie odpiąć – stwierdził.

Instruktor obmacał boki Aubreya, w górę i w dół. Jeden karabinek odskoczył, potem drugi, trzeci i w końcu czwarty i Aubrey stoczył się z Axe'a, podźwignął do kłęk i rozejrzał.

Siedział na chmurze, na wyspie z ubitego białego kremu, dryfującej w bezmiarze spokojnego błękitu. Musiała mieć jakieś dwa kilometry długości, pośrodku wypiętrzała się kopuła. Przypominała Aubreyowi katedrę Świętego Pawła w Londynie.

Mdłości załaskotały go w gardle. Zakręciło mu się w głowie.

Przycisnął pulsującą prawą rękę do chmury. Na początku dłoń zniknęła w chłodnej unoszącej się parze. Ale kiedy oparł się całym ciężarem ciała, mgła zestaliła się w masę o konsystencji kremowego sera, a może tłuczonych ziemniaków albo plasteliny. Gdy Aubrey uniósł rękę, chmura znów roztopiła się w mgłę.

– Kurwa – zaklął.

W tamtym momencie to była najbardziej wyrafinowana wypowiedź, na jaką było go stać.

– Och, chłopie. O Boże. Naprawdę coś sobie zламаłem.

Aubrey odwrócił zdumiony wzrok od chmury i spojrzał na mężczyznę, który wił się i skręcał w falującym dymie. Obcasami kopał w mgłę, złobiąc bruzdy w tym dziwnym, na wpół płynnym kremie. Sportowe gogle Axe'a, z soczewkami w kolorze miedzianoczerwonym jak zachód słońca nad Cape Cod, były zmiażdżone. Prawdopodobnie nic nie widział, jedną ręką macał ślepo wokół siebie. Zamontowana na kasku kamera GoPro gapiała się pusto i tępo na Aubreya.

– Czy ja otworzyłem spadochron? – zapytał Axe. – Chyba tak, skoro jesteśmy na ziemi. Co się stało? Uderzyłem głową o drzwi, gdy wypadaliśmy z samolotu?

Jego głos był napięty i drżał z bólu. Instruktor nie wiedział, gdzie są. Nie rozumiał, co się wydarzyło.

Aubrey też nic z tego nie rozumiał. Ciężko mu było myśleć. Zbyt wiele rzeczy zdarzyło się zbyt szybko i żadna z nich nie miała sensu ani nie wydawała się prawdziwa.

Axe nie otworzył spadochronu, chociaż pilocik, mały, pomocniczy spadochron, rozwinął się automatycznie. Był wielkości niedużego wiadra, z czerwonego i żółtego jedwabiu, akurat żeby zawinąć indyka na Święto Dziękczynienia. Wiatr szarpnął go do góry i teraz unosił się nad brzegiem obłoku jak latawiec, huśtając się to w tę, to w tamtą stronę. Aubrey nie był do końca pewny, do czego służył ten pilocik. Axe wprawdzie mu wyjaśniał, ale wtedy Aubrey był za bardzo zdenerwowany, żeby przyswoić jakąkolwiek informację.

Zorientował się nagle, że Axe nie wije się już i nie skręca. Ani nie kopie nogami. Leżał w całkowitym bezruchu, z jedną ręką na torsie, drugą przyciskał do biodra. Jego obcasy żłobiły płytkie dołki w mlecznej paście chmury, ponieważ ciągnął go pilocik, powoli, ale nieustannie.

– Hej – powiedział Aubrey. – Hej, człowieku, uważaj.

Chwycił za uprząż okalającą pierś Axe'a i pociągnął. Axe wrzasnął z bólu. Jego głos był tak przeraźliwy, że Aubrey natychmiast puścił pasy.

– Moja klata! – wydierał się Axe. – Moja pieprzona klata! Co ty robisz?

– Chciałem cię tylko odsunąć od krawędzi – odparł Aubrey.

Znowu sięgnął po uprząż, Axe jednak odepchnął łokciem jego dłoń.

– Nie rusza się kogoś, kto miał wypadek, ty neurotyczny dupku! – krzyknął. – Czy ty nic nie wiesz?

– Przepraszam.

Axe dyszał i próbował złapać oddech. Jego policzki były usmarowane łzami.

– Krawędzi czego? – spytał w końcu żalonym, niemal dziecinnym głosem.

W tym momencie powiał wiatr, wzburzając mleczną chmurę wokół nich. Pilocik nadał się, uniósł i nagle szarpnął do tyłu,

wyrywając w stronę jaskrawobłękitnego nieba. Wiatr napiął wszystkie linki i na wpół podźwignął Axe'a do pozycji siedzącej. Instruktor jeszcze raz wrzasnął. Butami przejechał po tym gumiastym, puszystym, chmurowym czymś, ryjąc ślady głębokie na piętnaście centymetrów. Aubrey znowu pomyślał o nieupieczonym chlebie, o kimś wciskającym palce w surowe elastyczne ciasto.

Sięgnął po jeden z tych butów górskich i złapał go zdrętwiałą wciąż ręką. Ale nie miał czucia w palcach i trzymał but w uchwycie tylko przez chwilę, zanim podmuch nie wyszarpnął go z jego uścisku.

– Krawędzi czego?! – wykrzyczał Axe, kiedy wiatr go odciągał.

Prąd powietrza zassał pilocika w górę, a potem do tyłu i jednym błyskawicznym ruchem zrzucił mężczyznę z chmury, jak pokojówka strzepująca prześcieradło w pokoju hotelowym. Axe zaskowytał i chwycił linki unoszące się wokół niego. Wiatr uniósł go w niebo na jakieś dwa metry. A następnie zmienił kierunek i Axe nagle zniknął, z chmury i z pola widzenia.

## 4

Wiatr wyśpiewywał swoją piosenkę piskliwym, drwiącym, ledwie słyszalnym głosem.

Aubrey gapił się w miejsce, gdzie przed chwilą leżał Axe, jakby instruktor mógł się tam ponownie pojawić.

Po jakimś czasie zorientował się, że bezsilnie drży, chociaż panikę pozostawił z tyłu, w samolocie. To, co teraz czuł, było silniejsze niż efekt działania adrenaliny. Mógł to być szok.

Albo może po prostu było mu zimno. W świecie na dole był trzeci sierpnia i panował suchy upał, od którego wszystko więdło. Pyłki pokrywały samochody warstwą brudu w kolorze musztardy. Trzmiele brzęczały swoją senną melodię w suchej, spieczonej trawie. Ale tu, na górze, wiało chłodem wczesnopaździernikowego poranka, rześkiego, świeżego i słodkiego jak kęs dojrzałego jabłka.

Aubrey pomyślał: To się nie dzieje naprawdę.

Pomyślał: Boję się, że coś mi przeskoczyło w mózgu.

Pomyślał: Uderzyłem głową o bok samolotu i to jest moja ostatnia, chora fantazja, i zaraz umrę z powodu pękniętej czaszki.

Przerzucał te myśli jak człowiek tasujący karty, choć ledwo zdawał sobie z tego sprawę.

Ciężko było dyskutować z rześkim chłodem powietrza czy z gwizdem wiatru, który wydawał z siebie czyste, wysokie E.

Przez długi czas nie wstawał z klęczek, patrząc poza krawędź chmury i zastanawiając się, czy będzie w stanie się poruszyć. Nie był

pewien, czy się odważy. Czuł, że jeśli wykona jakikolwiek ruch, grawitacja go zauważy i ściągnie przez chmurę.

Poklepał mgłę przed sobą, pogłaskał wręcz jak kota. Po pierwszym dotknięciu zestaliła się znów w brylastą, plastyczną masę.

Aubrey poczołgał się przed siebie, jego uda drżały. Odnosił wrażenie, że pełza po powierzchni miękkiej gliny. Przemieścił się o jakiś metr i obejrzał za siebie. Ścieżka, którą wyłobił w chmurze, powoli się roztapiała i zamieniała z powrotem w zwarzoną mgłę.

Kiedy był już półtora metra od postrzępionej, płożącej się południowej krawędzi chmury, położył się płasko na brzuchu. W tej pozycji podciągnął się jeszcze kawałek, chociaż jego puls walił tak mocno, że dzień jaśniał i ciemniał przy każdym uderzeniu serca. Aubrey zawsze miał lęk wysokości. Zresztą to było dobre pytanie: dlaczego mężczyzna, który boi się wysokości i który unikał latania, jak tylko mógł, zgodził się skoczyć z samolotu. Oczywiście odpowiedź była szalenie prosta: Harriet.

Przy samej krawędzi chmura stawała się cienka... nie była to jednak jej osobna część. Brzeg miał zaledwie kilka centymetrów grubości, ale trzymał się mocno reszty, twardy i solidny jak cement.

Aubrey zerknął w dół.

Pod nim leżało Ohio, prawie doskonale płaska przestrzeń pokryta różnymi prostokątami w odcieniach szmaragdu, pszenicy, najgłębszego brązu i najbledszego bursztynu. Były to pewnie te słynne fale zboża opisywane z takim podziwem w pieśni *America the Beautiful*. Proste jak spod linijki wstążki asfaltu poprzecinały pola. Na jednej z tych czarnych nitek ślizgał się czerwony pick-up, jak lśniący stalowy paciorek na liczydło.

Na południowym zachodzie, za hangarem, gdzie mieściło się Cloud 9 Skydiving Adventures, Aubrey zobaczył ziemny pas startowy w kolorze przepalanej czerwieni. I była tam cessa, która właśnie

dotykała ziemi. Albo Lenny zdołał odpalić silnik, albo wykonał dobrą robotę lotem ślizgowym.

Chwilę później Aubrey dojrzał spadochron – rozciągnięty, napięty namiot z lśniącego, białego jedwabiu. Patrzył, jak opada w dół i osiada na polu, gdzie rosły zielone rzędy rozdzielone liniami ciemnej ziemi. Spadochron się zapadł. Czyli Axe wylądował. Był na ziemi, więc leciał dostatecznie przytomny, żeby pociągnąć za linkę. Axe był na dole, pomoc niedługo nadciągnie i będzie im musiał powiedzieć...

...coś. Aubrey nie za bardzo mógł to sobie wyobrazić. Zostawiłem klienta na chmurze?

W dole spadochron szurał po polu, rozciągając się i zapadając jak płuco.

Kiedy Axe powie im, co się stało, dojdą do wniosku, że to histeria. Zakrwawiony, ciężko ranny mężczyzna, który twierdzi, że wylądował na chmurze. Będą starali się go pocieszyć i uspokoić, ale mu nie uwierzą. Wytłumaczą to sobie w sposób mający najwięcej sensu. Będą przypuszczać, że Aubrey się odczepił w jakimś dziwnym wypadku, może po zderzeniu z bokiem samolotu – co by wyjaśniało również obrażenia Axe'a – spadł i zabił się. Nawet dla Aubreya taka historia brzmiała o wiele bardziej wiarygodnie niż to, co naprawdę się wydarzyło. Tylko że Aubrey właśnie leżał na chmurze i patrzył na dół.

Ta myśl była przerażająca, coś tu jednak nie pasowało. Próbował się jej przyjrzeć – znaleźć słaby punkt, tak jak szuka się komara, który brzęczy koło ucha, ale znika, kiedy człowiek się odwraca, żeby go trzepnąć. Po chwili musiał przestać szukać, całkiem przestać o tym myśleć. Musiał pozwolić oczom błądzić.

W jego zatokach i za skroniami narastał suchy, pulsujący ból.

Przypomniał sobie swoje ostatnie spojrzenie na Axe'a Body Spraya, zaraz przed tym, jak pilocik pociągnął instruktora w pustkę – i wtedy dostrzegł co trzeba. Jego umysł skoncentrował się na głupim,



wgapionym w niego oku GoPro zamontowanym na kasku instruktora. Wszystko było na filmie. Nieważne, czy uwierzą Axe'owi. Muszą tylko zobaczyć nagranie. I już będą wiedzieli.

Wtedy po niego przylecą.

## 5

Trochę później podniósł się na kolana i rozejrzał.

Wielkie koło chmury ciągle miało kształt talerza UFO, z dominującą ogromną kopułą wznoszącą się dokładnie pośrodku. Reszta wcale nie była gładka; powierzchnia pulsowała, marszczyła się w wydmy i wzniesienia.

Aubrey przeszukiwał wzrokiem błękit nieba, aż zakręciło mu się w głowie i musiał opuścić wzrok. Kiedy jego głowa przestała wirować, zdał sobie sprawę, że wciąż znajduje się na krawędzi – nie najlepsze miejsce do siedzenia. Na tyłku przesunął się w głąb chmury, z dala od przepaści.

W końcu zdecydował, że zaryzykuje i wstanie. Oparł się na nogach, które strasznie drżały.

Aubrey Griffin stał samotnie na swojej wyspie z chmury.

Powoli dotarło do niego, że uwiera go uprząż. Pasy zbiegały się w bolesne V na jego kroczu, zgniatając mu jaja. Inny pas przeciągnięty był ciasno przez pierś i utrudniał oddychanie. A może to było rzadkie powietrze?

Odpiął uprząż i wyszedł z niej. Miał już zamiar zrzucić ją z chmury, kiedy zobaczył wieszak.

Znajdował się po jego lewej, na skraju pola widzenia: staroświecki wieszak z ośmioma wygiętymi hakami, wykonany z rzeźbionej chmury.

Aubrey przyjrzał mu się uważnie, z zaschniętym gardłem, świadom, że serce bije mu o wiele za szybko.

– Co to, kurwa, jest? – rzucił pytanie w przestrzeń.

Oczywiście było jasne, co to jest. Każdy, kto miał oczy, widział. Mimo to Aubrey wmówił sobie, że tak naprawdę to nie wieszak, tylko deformacja chmury. Okrążył to coś i obejrzał z każdej strony. Bez względu na to, gdzie stał, uparcie wyglądało jak wieszak – wieszak z chmury, ale jednak wieszak.

W ramach eksperymentu powiesił oliwkową uprząż na jednym z haków. Powinna była spaść, ciągnąc za sobą smugi oparu.

Zamiast tego wisiała i kołysała się na wietrze.

– Ha!

To nie był śmiech, tylko słowo, wyraz zdziwienia, nie rozbawienia. Choć nie było czemu się dziwić. W końcu chmura utrzymywała też jego, a ważył osiemdziesiąt kilogramów. Cała zaś uprząż nie miała więcej niż kilogram. Odpiął kask i umieścił go na drugim haku.

Ból, który zaczął się w zatokach, teraz rozlał się od prawej skroni do lewej. To na pewno uraz czaszki, pomyślał, to się stało, kiedy uderzyłem głową o bok samolotu. Stąd to wszystko: wyobraził sobie swój mózg podziurawiony odłamkami kości.

Ale pod tą myślą kryła się inna. Był to kolejny z tych mentalnych komarów krążących dookoła jego głowy – raczej w środku niż na zewnątrz. Sam siebie pytał: Skąd chmura wie, jak wygląda wieszak? Pomysł był tak absurdalny, że przypominał dymek z dowcipu rysunkowego w „New Yorkerze”.

Aubrey wciągnął rzadkie, chłodne powietrze i po raz pierwszy zastanowił się, jaka temperatura będzie za sześć godzin, kiedy zajdzie słońce.

Do tego czasu pokażą go w CNN. To będzie najważniejszy news na całym świecie. Otoczy go rój helikopterów telewizyjnych, chcących sfotografować mężczyznę, który chodzi po chmurach. Za godzinę

nagranie z GoPro będzie leciało na wszystkich kanałach, będzie wszędzie w internecie.

Żałował, że w cessa nie zachowywał się tak tchórzliwie i żałośnie. Gdyby wiedział, że będą go oglądać na całej kuli ziemskiej, mógłby przynajmniej udawać, że się nie boi.

Aubrey odszedł kilka kroków od wieszaka, na wpół świadomie stawiając nogi. Zatrzymał się i obejrzał. Wieszak ciągle tam był. Wieszak coś znaczył. Był czymś więcej niż tylko wieszakiem. Ale przez ten ból głowy Aubrey nie mógł rozpracować czym.

Ruszył przed siebie.

Na początku szedł jak człowiek, który podejrzewa, że stąpa po kruchym lodzie. Przesuwał jedną nogę do przodu, żeby się upewnić, że chmura pod spodem jest twarda, przy czym wykopywał w górę kłęby dymu. Powierzchnia wciąż go utrzymywała i po jakimś czasie – nawet nie wiedząc, że to robi – zaczął iść normalnie.

Przez cały czas trzymał się co najmniej dwa metry od krawędzi i początkowo nie poruszał się też w stronę wypukłości w centrum chmury. Zamiast tego okrążał swoją bezludną podniebną wyspę. Rozglądał się za samolotami i kiedy zobaczył jeden, przystanął. Odrzutowiec ciągnął przez lśniący błękit linię białego dymu. Leciał bardzo daleko od chmury, więc po chwili Aubrey przestał zwracać na niego uwagę. Rozumiał, że jego szanse na zostanie dostrzeżonym są takie, jak gdyby spacerował po swoim kampusie Cleveland Institute of Music.

Kręciło mu się w głowie i zatrzymywał się od czasu do czasu, żeby zaczerpnąć tchu. Za trzecim razem schylił się, chwycił za kolana i oddychał głęboko, aż zawroty głowy i uczucie, że zaraz się przewróci, minęły. Kiedy się wyprostował, poraziła go wreszcie jakaś sensowna myśl.

Tu nie ma dość powietrza.

Albo, w każdym razie, powietrza, do którego był przyzwyczajony. Jak wysoko się znajdował? Pamiętał, że tuż przed tym, jak w cессnie wysiadło zasilanie, Axe mówił coś o czterech kilometrach. Czy na czterech tysiącach metrów można w ogóle oddychać? Najwyraźniej tak. Przecież oddychał. Przyszło mu na myśl wyrażenie „choroba wysokościowa”.

Okrażenie wielkiego talerza z mgły zajęło mu sporo czasu. Powierzchnia chmury w większości była płaska: gdzieniegdzie tylko coś wystawało albo natrafiał na mały dołek. Wdrapał się na szczyt niedużego pagórka, a potem zszedł do kilku płytkich rowów. Na chwilę zgubił się wśród żlebów po wschodniej stronie, błakając się między wąskimi rozpadlinami z białego puchu. Na północy zatrzymał się, żeby podziwiać masę chmurowych głazów, do złudzenia przypominających głowę buldoga. Po zachodniej stronie chmury przeciął trzy wały, które wyglądały jak ogromne progi zwalniające na drodze. Ale po godzinie marszu przekonał się ze zdumieniem, że na jego wyspie w kształcie dekla naprawdę nic nie ma.

Kiedy wrócił do wieszaka, było mu słabo, był zmęczony i mdliło go z zimna. Musiał się czegoś napić. Gardło bolało go przy przełykaniu.

Aubrey wiedział z doświadczenia, że w snach występują nagle nieprawdopodobne zwroty akcji. Najpierw jesteś w windzie z najlepszą przyjaciółką swojej siostry, potem się z nią bzykasz na dachu, w obecności rodziny i przyjaciół, potem budynek zaczyna się bujać z powodu gwałtownego podmuchu wiatru, a potem cyklon niszczy całe Cleveland. Tu jednak, na chmurze, nie działo się nic, a już na pewno nie szalone rzeczy z sennych marzeń. Jeden moment przechodził płynnie w następny. Aubrey nie miał jak wyśnić, że schodzi z chmury i przenosi się w jakieś lepsze miejsce.

Gapił się na wieszak i myślał, że chciałby wysłać jego zdjęcie Harriet. Zawsze, kiedy widział coś pięknego lub

nieprawdopodobnego, jego pierwszym odruchem było uchwycić to na zdjęciu i wysłać jej MMS-em. Oczywiście, gdyby zaczęła dostawać fotki chmur od swojego zaginionego-przypuszczalnie-zmarłego przyjaciela, pewnie od razu przyszłoby jej do głowy, że pisze do niej z nieba, pewnie zaczęłaby wrzeszczeć...

W tym momencie Aubrey Griffin przypomniał sobie, że jest dwudziesty pierwszy wiek i że ma komórkę.

Była w kieszeni jego szortów, pod kombinezonem. Wyłączył ją, gdy samolot kołował na pasie, tak jak się to robi w czasie lotów, ale ciągle miał ją przy sobie. Teraz, kiedy o niej pomyślał, poczuł jej ucisk na udzie.

Nie będzie musiał czekać, aż obejrzą nagranie z kamery GoPro Axe'a. Może do nich zadzwonić. A jeśli połączenie będzie dobre, może nawet połączyć się z nimi na czacie wideo.

Szarpnął suwak kombinezonu. Zimne powietrze ukłuło go jak nóż, przenikając przez podkoszulek pod spodem. Aubrey wysupłał telefon z kieszeni – a ten natychmiast wyslizgnął się z jego spoczonej ręki.

Aubrey krzyknął, pewien, że aparat wpadł w chmurę i zniknął.

Ale nie. Wylądował na kawałku stwardniałej mgły, uformowanej prawie jak mydelniczka.

Chwycił telefon, trzęsąc się w szoku nagłej nadziei. Przycisnął guzik, żeby włączyć aparat, podczas gdy jego myśli były już przy następnym kroku: zadzwoni do Harriet, powie jej, że żyje, ona zacznie płakać z ulgi i niedowierzania, on też zacznie płakać, oboje sobie popłaczą ze szczęścia, ona spyta: „O Boże, Aubrey, gdzie ty jesteś?“, a on odpowie: „No cóż, dziecino, nie uwierzysz, ale...”.

Ekran jego telefonu uparcie pozostawał ciemny. Aubrey jeszcze raz nacisnął WŁĄCZ.

Kiedy ekran znowu się nie zaświecił, wdusił WŁĄCZ tak mocno, jak tylko mógł, zaciskając przy tym zęby, jakby do uruchomienia telefonu

potrzebna była brutalna siła, tak jak na przykład do poluzowania zardzewiałej śruby przy zmianie opony.

Nic.

– O co. Kurwa. Chodzi? – powiedział, naciskając i naciskając, aż rozboleła go ręka.

Jego martwy telefon nie podsunął mu żadnego wyjaśnienia.

To nie miało sensu. Był pewien, że bateria ciągle jest naładowana. Spróbował zrestartować aparat. Nic.

Przyłożył szklany ekran do czoła i w myślach błagał telefon, żeby był dla niego miły, żeby pamiętał, jak Aubrey dobrze go traktował przez te wszystkie lata. A potem cierpliwie podjął kolejną próbę.

Nic.

Zagapił się na aparat suchymi, bolącymi oczami. Nienawidził Steve'a Jobsa i nienawidził swojego operatora sieci.

– To nie fair – odezwał się do bezużytecznego szklanego klocka w swojej prawej dłoni. – Nie możesz tak po prostu zdechnąć. Dlaczego nagle przestałeś działać?

W głowie usłyszał tekst wypowiedziany nie jego własnym głosem, tylko głosem instruktora Axe'a: „Co jest, do diabła, człowieku? Silnik wysiadł?”. A następnie odpowiedź pilota Lenny'ego: „Nie wiem. Może! Ale nie mamy prądu! Wszystko zdechło”.

W mózgu Aubreya zaczęła się formować okropna myśl. Miał ze sobą zegarek marki Shinola, prezent gwiazdkowy od matki, taki ze skórzanym paskiem i normalnymi ruchomymi wskazówkami. Bez aplikacji, bez połączenia z telefonem, bez żadnych dodatkowych funkcji – miał wyłącznie fajnie wyglądać i podawać czas. Aubrey podciągnął rękaw kombinezonu i spojrział na zegarek. Wskazówki pokazywały czwartą dwadzieścia trzy. Sekundnik się nie poruszał. Aubrey wpatrywał się w tarczę bez mrugania, dopóki się nie upewnił, że wskazówka minutowa też tkwi nieruchomo.

Chmura musiała zrobić coś cennie. Być może wyemitowała jakąś falę elektromagnetyczną, która była w stanie zepsuć akumulator samolotu, zegarek i smartfona.

Oraz kamerę GoPro.

Ta myśl tak zdołowała Aubreya, że chciał krzyczeć z bezsilności. Powstrzymywało go tylko zmęczenie. Krzyczenie tutaj, w chłodnym, suchym powietrzu, wymagało o wiele więcej energii, niż mógł z siebie wykrzesać.

Teraz wszystko już rozumiał: nikt nie obejrzy filmu z nim w roli głównej, zagubionym na chmurze jak jakiś podniebny Robinson Crusoe. Nie zostanie bohaterem sieci. Helikoptery stacji telewizyjnych nie będą krążyć nad głową człowieka, który chodził po niebie. Nawet gdyby podleciały, ich kamery nic nie zarejestrują, a same maszyny pospadają jak bloki cementu. Nikt jednak nie przyleci, bo kamera na kasku jego instruktora usmażyła się tak jak akumulator pod maską samolotu. Może nagrało się tych kilka nieprzyjemnych minut, kiedy Aubrey coraz bardziej się bał, ale aparat stracił baterię na długo, zanim skoczyli.

Aż się zatoczył, takie to było niesprawiedliwe. Opadł ciężko na tyłek i objął kolana ramionami. Ale nawet siedzenie wymagało zbyt dużego wysiłku. Położył się na boku i zwinął w pozycji embrionalnej. Obłoki puszyły się i opadały wokół niego. Zdecydował, że zamknie oczy i trochę poczeka. Może kiedy znowu je otworzy, okaże się, że zemdłał, zanim w ogóle wsiadł do samolotu. Może jeśli weźmie kilka głębokich wdechów i odpocznie, a potem uniesie głowę, zobaczy pod sobą zieloną trawę, a wokół – zaniepokojone twarze pochylonych nad nim ludzi, między nimi Harriet.

Było jednak za zimno, żeby mógł się poczuć lepiej. W pewnej chwili, skulony w miękkim, elastycznym gnieździe z chmury,



bezmyślnie wyciągnął rękę, namacał róg koca, naciągnął na ciało gruby pled z wirującego białego dymu i zasnął.

## 6

To była pełna otuchy chwila, tuż po obudzeniu, kiedy nic nie pamiętał.

Popatrzył na jasne, czyste niebo i poczuł, że świat to przyjazne miejsce. Jego myśli w naturalny sposób pobiegły ku Harriet, jak często to robiły, gdy się budził. Aubrey lubił sobie wyobrazać, że się odwraca, a ona leży obok niego. Lubił sobie wyobrazać jej nagie plecy i ostre, szlachetne linie jej łopatek i kręgosłupa. To była jego ulubiona poranna myśl.

Przekreślił się na bok i spojrział na jałową chmurę.

Poczuł, jak jego ciałem wstrząsa szok i wybija go z leniwego, spokojnego przekonania, że może jeszcze trochę poleżeć, bo nigdzie się nie spieszy. Usiadł i zobaczył, że znajduje się w dużym łóżku, takim z czterema słupkami, zrobionym z białej mgły. Koc z kremowego dymu zsunął mu się do pasa. Pod głową piętrzyły się natomiast poduszki z masy waniliowej.

Wieszak pełnił samotną straż kilka metrów dalej, kask i uprząż zwisały z niego tak, jak je zostawił.

Zaczynało zmierzchać. Czerwony węgielek słońca znajdował się na zachodzie, prawie na wysokości chmury. Cień Aubreya rozciągał się aż po skraj podniebnej wyspy. Cień łóżka był słabiej widoczny, jak zarys ducha.

W tamtym momencie nie poświęcił łóżku zbyt wiele uwagi. Było jak wieszak, tylko że większe, a on wciąż był za bardzo ospały, żeby

się tym zdumieć. Wysunął się spod koców, podszedł do krawędzi wyspy i zatrzymał się zaledwie metr od przepaści.

Kraina na dole nurzała się w purpurowej poświacie. Zielone pola stawały się czarne. Nie dojrzał już pasa startowego i nie rozpoznawał tego, co było pod spodem. Jak szybko poruszała się chmura? Dostatecznie szybko, żeby siedzibę Cloud 9 Skydiving Adventures zostawić daleko w tyle. Był zdziwiony, lecz jednocześnie dziwiło go jego własne zdziwienie.

Aubrey przyglądał się ciemniejącej mapie Ohio w dole. Przynajmniej przypuszczał, że to było Ohio. Widział las. Widział czerwone prostokąty spalonej ziemi. Widział aluminiowe dachy, połyskujące w płomiennym blasku umierającego dnia. Tuż pod sobą dostrzegł szeroką, ciemną kreskę autostrady stanowej, ale nie wiedział której.

Biorąc pod uwagę to, gdzie zachodziło słońce, podejrzewał, że ciągle przemieszcza się na północ i wschód. Jakie miasto leżało przed nim? Canton? Mogli dolecieć do Cantonu, kiedy spał. Nie potrafił nawet oszacować, jak szybko przesuwała się chmura, bo nie miał jak zmierzyć czasu.

Zdenerwowało go patrzenie w dół, poza krawędź chmury. Dzięki pomocy terapeutki, doktor Wan, poczynił niedawno znaczne postępy, poczuł wręcz, że już przewyciężył lęk wysokości, a był to jeden z kilkunastu neurotycznych lęków, nad którymi z nim pracowała. Pod koniec każdej sesji otwierała okno w biurze i oboje wystawiali głowy na zewnątrz, by popatrzeć na chodnik, sześć pięter poniżej. Przez długi czas prawie mdlał od zawrotów głowy, ale w końcu doszedł do tego, że mógł nonszalancko oprzeć się o parapet i gwizdać w przestrzeń kawałki Louisa Armstronga. Doktor Wan silnie wierzyła w „testowanie lęku”, w ciągle osłabianie jego mocy przez stawianie

mu czoła. Ale biuro na szóstym piętrze to jedno, a platforma z dymu na wysokości trzech kilometrów ponad ziemią to zupełnie coś innego.

Ciekawiło go, jak doktor Wan oceniłaby jego próbę skoku ze spadochronem. Nie zdradził się z tym przed nią, bo uważał, że odniesie się do jego możliwości sceptycznie, a on sceptycyzmu nie chciał. Poza tym, gdyby się przyznał, że zamierza skoczyć z samolotu, spytałaby dlaczego i musiałby powiedzieć coś o Harriet, a na potrzeby terapii już się uporał z fantazjami o niej.

Obrócił się i przyjrzał zrobionemu z chmury łóżku z czterema słupkami, wieszakowi i temu, co prawdopodobnie go czekało.

Nic dobrego nie mogło wyniknąć z negocjowania okoliczności i z braku wiary, że to naprawdę się stało. Był tutaj i nadal tu będzie, niezależnie od tego, jak bardzo próbował sobie wmówić, że może odrzucić otaczającą go rzeczywistość.

I to było dobre, i to było w porządku. Aubrey był muzykiem, a nie fizykiem albo dziennikarzem. Nie był pewien, czy wierzy w duchy, ale lubił o nich myśleć. Kiedyś, razem z June i Harriet, z entuzjazmem wziął udział w seansie spirytystycznym (trzymał rękę Harriet przez pół godziny!). Nie miał też prawie żadnych wątpliwości, że Stonehenge to lądowisko dla obcych. W naturze Aubreya nie leżało bezlitosne negocjowanie jakiegokolwiek rzeczywistości i nazywanie bzdurą każdej niepotwierdzonej rzeczy i niemożliwej nadziei. Akceptacja była dla niego naturalnym stanem. Pierwsza zasada udanej sesji jazzowej: dopasuj się do sytuacji.

Gardło miał popękane i obolałe, przełykanie więc było mordęgą. Zmęczenie wróciło i uświadomił sobie, że marzy o wygodnym miejscu, żeby posiedzieć i pomyśleć. Czy jego wyczerpanie to po prostu choroba wysokościowa? Umysł Aubreya, mający skłonność do generowania najgorszych scenariuszy, podsunął mu nowy pomysł: być może stał na jakiejś lżejszej od powietrza chmurze

promieniowania. To, co wyłączyło elektryczność w samolocie i w jego telefonie, wkrótce rozładuje impulsy elektryczne regulujące bicie jego serca. Chmura pewnie wytwarzała jakąś atomową truciznę, jak przegrzane reaktory w Fukushima, które zmieniły kilkadziesiąt hektarów Japonii w niebezpieczną dla ludzi strefę.

Ta myśl wypełniła jego nerki chłodną, stojącą wodą. Nogi nagle się pod nim ugięły i instynktownie wyciągnął rękę, żeby odzyskać równowagę – jego dłoń natrafiła na oparcie wielkiego fotela.

Wyłonił się z mgły za Aubreyem, kiedy ten nie zwracał na nic uwagi. Był to ogromny tron, wyglądał na miękki. Ostatnie promienie dziennego światła barwiły go na ładny odcień koralu.

Aubrey przyjrzał mu się ciekawie i podejrzliwie, na moment zapomniał nawet o śmiertelnych dawkach promieniowania. Ostrożnie usiadł. Wciąż miał obawy, że przeleci przez mebel, ale oczywiście tak się nie stało. To był miękki, dobrze wypchany fotel, taki, jakim chciałyby być wszystkie fotele.

Wieszak, łóżko, fotel. To czego potrzebował, wtedy kiedy potrzebował.

Gdy tylko o tym pomyślał.

Zapamiętał ten wniosek, obracał go w głowie i przyglądał się mu.

To nie była chmura. Musiał przestać myśleć o tym jako o chmurze. To było... no właśnie, co? Urządzenie? Maszyna? Tak, coś w tym rodzaju. Od razu pojawiło się następne pytanie: Co było w środku? Co, do diabła, znajdowało się w środku?

Niepewnie przeniósł wzrok na rozległy, centralny wzgórek, jedyną część wyspy, której nie zbadał. Będzie musiał sprawdzić. Ale jeszcze nie teraz. Nie był pewny, czy brakuje mu siły, czy odwagi. A może obu. Spał co najmniej godzinę, wciąż jednak był wyczerpany, a widok wielkiej, kremowej kopuły w jakiś sposób go przytłaczał.

Uniósł głowę, czekając na następną złotą myśl, i zobaczył wiśniowe niebo, usiane pierwszymi gwiazdami. Zdumiała go niezwykła klarowność wczesnej nocy. Poczuł nawet ukłucie czegoś, co niebezpiecznie przypominało wdzięczność. Nie był ani trochę martwy, a gwiazdy pojawiały się w całej swojej lśniącej obfitości. Patrzył, podczas gdy niebo ciemniało i kolejne konstelacje wyznaczały punkty orientacyjne w czerni.

Kiedy pokrywa nocy zamykała się nad Midwest, zdał sobie sprawę, że jest mu bardzo zimno. Ciągłe wprawdzie dało się wytrzymać, ale było to na tyle nieprzyjemne, że zajął myśli bezpośrednim problemem przetrwania.

Uznał, że powinien zrobić inwentarz. Miał na sobie kombinezon i jeden trampek z wysoką cholewką. Powiedzieli mu, żeby zostawił prawy but na ziemi, ale nie pamiętał już dlaczego. Teraz wydawało się to głupie. Dlaczego miał skakać ze spadochronem tylko w jednym bucie?

Pod kombinezonem miał szorty do kolan, z kieszeniami, i podkoszulek z grubej bawełny. To była jego ulubiona koszulka, bo Harriet kiedyś ją pogłaskała i stwierdziła, że podoba jej się ten materiał.

Gdzieś na obrzeżach świadomości czuł głód. Przynajmniej temu mógł chwilowo zaradzić. Pamiętał, że rano wetknął w kieszeń szortów batonik granola na wypadek spadku poziomu cukru we krwi. Batonik ciągle tam był. Większym problemem będzie pragnienie. Chciało mu się pić tak bardzo, że bolało go gardło, a nie miał pomysłu, co z tym zrobić.

Z powrotem do inwentarza. Miał uprząż i miał kask. Rozpiął suwak kombinezonu i zadrżał pod zimnym dotknięciem wiatru. Przesunął dłońmi po kieszeniach szortów, wyczuwając, co tam ma.

Telefon: martwy bloczek ze stali i szkła.

Portfel: skórzany prostokąt z paroma kartami wetkniętymi w kieszonki i legitymacją studencką. Był zadowolony, że ma jakiś dokument. Gdyby został zdmuchnięty z chmury albo gdyby jego magiczne podparcie nagle ustąpiło, zmiażdżona rzepa, którą stanie się jego ciało, będzie miała imię. Pewnie kilka osób przestraszy się potwornie, gdy jego zwłoki, zgniecione na naleśnik, pojawią się w północno-wschodnim Ohio – albo w południowej Pensylwanii – setki kilometrów od miejsca, gdzie go ostatnio widziano, jak skakał z samolotu. Wyjął portfel i telefon i położył je na brzegu stołu.

W kolejnej kieszeni miał...

...poderwał głowę i spojrzał na stół.

W letniej ciemności, rozjaśnianej jedynie przez księżyc w pierwszej kwadrze, chmura miała srebrzysty, perłowy odcień. Po wieszaku, łóżku i fotelu już nie był taki zdziwiony, kiedy w odpowiedzi na jego niewypowiedziane życzenie ofiarowano mu stolik do kawy, ale ciągle szokował go sposób, w jaki meble podkradały się do niego. Najciekawsze jednak było to, że znał ten stolik. Dokładnie taki sam stał pomiędzy sofą, na której wyciągała się jego matka, i fotelem, gdzie siadywał on, gdy razem oglądali telewizję (zazwyczaj coś w rodzaju *Sherlocka* albo *Downtown Abbey* na PBS). Na takim stoliku stawiali popcorn.

Wyobraził sobie, jak Harriet dzwoni do jego matki, żeby powiedzieć, że Aubrey zginął w wypadku podczas skoku, ale natychmiast odsunął tę myśl, nie mógł jej znieść. Wizja matki krzyczącej, a potem przeraźliwie szlochającej, zgiętej wpół z bólu, to było więcej, niż w tej chwili mógł wytrzymać.

Dość. Naprawdę zafrapował go fakt, że stolik – z szerokim, okrągłym blatem na wysokiej, zdobionej kolumnie – był bliźniaczo podobny do tego, który pamiętał z dzieciństwa. Różnił się jedynie tym,

że był zrobiony z chmury, a nie z drewna czereśniowego. A to coś znaczyło, nie?

Ciągle grzebał w kieszeni szortów i w końcu jego palce natrafiły na kilka małych bryłek w woskowanych papierkach. Wyciągnął jedną i przyjrzał się jej w opalizującym świetle. Kiedy zrozumiał, co to jest, jego całe ciało zadrżało z radości i głodu.

W małym biurze wewnątrz hangaru na lotnisku, na biurku recepcjonistki, stała szklana misa wypełniona pakowanymi pojedynczo cukierkami Starburst. Poszperał w niej ukradkiem, wybierając wszystkie w kolorze bladego różu, o smaku truskawkowym. Miał do nich słabość, a poza tym uznał, że mogą się przydać – gdyby zaczął panikować w samolocie, mógł wetknąć jeden do ust i dać się ukoić słodczy. Mniejsza też była szansa, że z pełnymi ustami powie coś tchórzliwego.

Ale, oczywiście, starbursty tkwiły w kieszeni szortów, pod kombinezonem i uprzężą, gdzie nie mógł ich dosięgnąć, nie mówiąc o tym, że gdy trzy godziny później przemierzał już niebo, tak go zaabsorbowało własne przerażenie, że o nich zapomniał.

Ile ich było? Trzy. Miał pięć, ale dwa zjadł, żeby uspokoić nerwy, kiedy czytał dokumenty przed lotem.

Bolące gardło błagało o choć jednego. Trzęsącymi się palcami odwinął cukierek z papierka i wrzucił do ust. Zadrżał z fizycznej przyjemności. Nie była to co prawda butelka wody, ssanie cukierka łagodziło jednak pragnienie, a miał jeszcze dwa na później.

Jeśli królestwo chmur mogło mu dostarczyć fotel i stół, nie mogłoby mu dać dzbanka wody?

Nie. Pewnie nie. Gdyby mogło, już by mu dało. Odpowiadało na jego potrzeby natychmiast, gdy tylko pojawiła się myśl. Było więc... czym? Telepatą? Niewykluczone. Skąd inaczej wiedziałyby, jak ma wyglądać stół? Aubrey otrzymał nie po prostu jakiś tam mebel, ale



własny platoński ideał stolika. Czyli to coś mogło w jakiś sposób odczytywać jego wspomnienia i myśli, całkiem jakby to był podręcznik *Życie pośród ludzi*.

No to dlaczego nie mogło mu dać wody? – zastanawiał się, ssąc w zadumie ostatni skrawek starbursta. Czy chmura to nie woda, tylko w formie gazu?

Być może – ale nie ta. Kiedy stwardniała w kształt łóżka albo krzesła, nie zamieniła się w śnieg.

W poczekalni doktor Wan leżały na stoliku czasopisma: „New Yorker”, „Fine Cooking”, „Scientific American”. Aubrey przypomniał sobie zdjęcie, które widział na okładce „Scientific”: czegoś, co wyglądało jak duch cegły, na wpół przezroczysty sześcian bladego błękitu, w niemożliwy sposób spoczywający na kilku źdźbłach trawy. To coś nazywało się aerożel, blok stałej materii, lżejszej niż powietrze. Aubreyowi przyszło do głowy, że to, co znajdowało się pod nim, musiało mieć podobną budowę, ale o wiele lepszą.

Ostatni kawałek owocowego cukierka rozpuścił się, pozostawiając w ustach Aubreya lepką słodycz. Pragnienie stało się jeszcze większe niż wcześniej.

Pomyślał, że zanim wykluczy tę możliwość, musi spróbować zwizualizować sobie dzbanek z wodą. Łatwo oczywiście przyszłoby mu wyobrażenie sobie dzbanka świeżej wody, kostek lodu zderzających się w środku i mgiełki na szkle. Ale nie zdołał nawet zamknąć oczu i skoncentrować się, gdy dotarło do niego, że dzbanek już tam jest, stoi na stoliku. Pojawił się, kiedy myśli Aubreya błędziły gdzie indziej. Doskonały dzbanek, zrobiony z mgły, nie ze szkła, a obok szklanka.

Uniósł dzbanek za ucho i zaczął nalewać. Spieniona struga mgły i małe kostki stwardniałego dymu przetoczyły się do kubka sennie i powoli.

– No dzięki, to jest, kurwa, wspaniale – powiedział, sam zdumiony goryczą we własnym głosie.

Dzbanek, zawstydzony, rozpuścił się w jego dłoni i odpłynął. Szklanka zamieniła się w kałużę mgły i pieniając się cicho na stoliku, połączyła się z chmurą.

Aubrey zadrżał, sięgnął do stóp i naciągnął na nogi koc z kłębiących się oparów. Tak lepiej. Zgubił wątek, próbował sobie przypomnieć, gdzie był i do czego zmierzał.

Inwentarz. Robił przecież inwentarz. Skończył sprawdzanie swoich zasobów materialnych. Teraz zabrał się za psychiczne, jakiegokolwiek były.

Nazywał się Aubrey Langdon Griffin, był singlem, jedynym dzieckiem swoich rodziców, miał skończone dwadzieścia dwa lata i szedł mu dwudziesty trzeci rok. Dobrze sobie radził na rolkach, mógł płynnie opowiadać o ligach baseballu i koszykówki, a także umiał grać na wiolonczeli jak skurwysyn.

Nigdy jeszcze w życiu nie uderzył go tak bardzo jego własny, prawie całkowity brak umiejętności potrzebnych do przetrwania. W podstawówce miał przyjaciela, Irwina Ozicka, który potrafił zrobić kompas z igły i szklanki wody. Ale teraz, nawet gdyby Aubrey miał szklankę i wodę, wypiłby ją, a poza tym w jaki sposób, do kurwy nędzy, kompas miałby mu pomóc? Czy to ważne, w jakim kierunku się poruszał? W końcu i tak nie mógł sterować tym cholernym czymś.

– A może mogę? – zastanowił się głośno.

To coś dało mu łóżko, kiedy był zmęczony. Dostarczyło wieszak, kiedy miał coś do powieszenia. Reagowało.

Czy mógłby zawrócić z powrotem do Cleveland?

Gdy tylko pojawiła się ta myśl, ukłuła go następna, jeszcze bardziej ekscytująca. Czy mógłby po prostu zamknąć oczy i skoncentrować się

na obniżaniu? Może wystarczy sobie zażyczyć, żeby chmura się opuściła?

Zamknął oczy, głęboko wciągnął chłodne powietrze i całym swoim sercem przemówił do chmury...

Ale zanim sformułował w głowie to, czego chciał, poczuł, że coś go odpycha. To było niemal fizyczne odczucie. Jego umysł wypełnił się nagle, pod przymusem, obrazem gładkiej, czarnej masy, szklistej i gęstej. Wdarła się w jego myśli, miażdżąc pomysły, tak jak obcas buta może zmiażdżyć puszkę po piwie.

Odchylił się w fotelu, jego dłonie pofrunęły do brwi. Przez chwilę był ślepy. Przez chwilę w jego umyśle nie było nic poza tym czarnym blokiem (nie, nie blokiem... perłą). W uszach pyknęło mu od ciśnienia. W koniuszkach nerwów czuł nieprzyjemne łaskotanie, rozlewającą się wysypkę szczypiącego gorąca.

Kiedy wzrok mu wrócił, Aubrey znów stał. Choć nie przypominał sobie, żeby stawał na nogi. Stracił jakiś odcinek czasu. Niezbyt długi, jak sądził. Raczej sekundy, nie minuty.

Ciemna, spłaszczająca myśli masa (perła) oddaliła się, ale pozostawiła go zamroczonego i wyczerpanego. Wczołgał się niepewnie do łóżka, pod grube, śnieżne przykrycie. Gwiazdy wirowały pośród bezmiernej, kryształowo czarnej nocy. Niebo było szklanym, ciemnym kręgiem (perłą), naciskało na niego z góry, dusiło.

Zamknął oczy i spadał, spadał, spadał w bezdenną ciemność podświadomości.

## 7

W sobotnie wieczory, kiedy publiczność miała wstęp na scenę, Harriet i June grywały w pubie zwanym Slithy Toves. Zazwyczaj miały do dyspozycji jeden mikrofon, razem grały na ukulele i świetnie wyglądały w swetrach, plisowanych spódnicach i swoich słodkich nakryciach głowy. June nosiła cylinder z fioletowego welwetu, z małą, brązową wypchaną słonką zerkającą zza runda. Harriet zakładała szokująco jaskrawy melonik. Występowały z coverami Belle & Sebastian i Vampire Weekend oraz z kilkoma własnymi wariacjami. Od czasu do czasu June siadała do pianina.

Aubrey widział ich występy wiele razy. Sam był w zespole, który przerabiał ścieżki dźwiękowe z gier wideo na muzykę kameralną, i oni także grywali w Slithy Toves.

Jednego wieczoru jego grupa (nazywali się Mieszkanie Mieszczan – dowcip, którego absolutnie nikt nie chwycił) miała zagrać zaraz po duecie Harriet i June (dziewczyny nazwały się Junicorn i ten dowcip chwyłali wszyscy – od imienia June i nazwiska Harriet: Cornell). Aubrey stał w ciemności na skraju sceny, wyciągnąwszy już wiolonczelę, żeby natrzeć kalafonią smyczek. Junicorn kończyły najgorszy ze wszystkich swoich kawałków. Harriet spieprzyła początek *Oxford Comma* i całość zamieniła się w bezładny chaos. Nie tyle nawet skończyły grać, ile po prostu przerwały. Przez chwilę klóciły się szeptem, bo stało się jasne, że Harriet zapomniała banjo, którego potrzebowały do wykonania uroczego numeru końcowego (wybrały kawałek Monty Pythona *Always Look on the Bright Side of*

*Life*, by zachęcić publiczność do wspólnego śpiewu). Pod sceną stało sporo ludzi, ale nikt nie słuchał. Harriet miała od gniewu czerwone plamy na policzkach i próbowała nie trzeć oczu; nie chciała, żeby ktokolwiek zauważył, jak bardzo stara się nie płakać. June skończyła ją wreszcie besztać szeptem, który pewnie był słyszalny na ulicy, i usiadła do pianina, plecami do Harriet i do widowni. Nie patrząc na siebie, kłóciły się, co zagrać. Harriet syczała June nad ramieniem, aż pijak z tłumu zaczął wyc podpowiedzi.

– Zagrajcie coś Kissów! – krzyknął. – *Lick It Up!* Hej, dziewczyny! Dziewczyny! *Let's Put the X in Sex!* Dawajcie!

W końcu Harriet i June zgodziły się na *Wonderwall*. Hałas przycichł na chwilę i w tym momencie, w prawie kompletnej ciszy, wszyscy obok sceny mogli usłyszeć, jak June mówi:

– Wysokie F! F, F jak w „głupia fujara”.

Ludzie najbliżej sceny zachichotali.

Harriet zaczęła uderzać w struny gitary akustycznej, a June odnalazła melodię na klawiszach. Zaczęły śpiewać, ale ich głosy brzmiały krucho i marnie i tłum ich nie słuchał, dopóki Aubrey nie dołączył spoza sceny, ciągnąc smyczkiem po strunach i nadając melodii tęskny ton. Dziewczyny na początku nie zauważyły, nie zdały sobie sprawy, że nagle stały się triem. Zorientowały się jednak, że publiczność znowu jest po ich stronie, wyprostowały więc plecy, a ich głosy odzyskały moc i splotły się razem. Rozmowy ucichły, piosenka wypełniła salę. Pijak wył:

– Chcę pieprzonych Kissów! *Lick It Uuuuuuuuuup!*

Ale po chwili zamilkł, kiedy ktoś inny powiedział:

– Będiesz lizał jak w piosence, tylko to, co jest na podłodze, jeśli zaraz się nie zamkniesz.

Gdy dzielnie i radośnie śpiewały ostatni refren i gdy wiedziały już, że zostały ocalone, Harriet usłyszała wiolonczelę. Odwróciła głowę

i zobaczyła Aubreya za kulisami. Jej oczy rozszerzyły się, brwi podjechały do góry i wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć śmiechem. Kiedy piosenka się skończyła i ludzie zaczęli gwizdać, nie została, żeby nacieszyć się brawami, tylko zeskoczyła z podwyższenia dla wykonawców, zdjęła kapelusz i założyła go Aubreyowi na głowę. Ucałowała go gorąco w policzek.

– Kimkolwiek jesteś, musisz wiedzieć, że będę cię zawsze kochać. A może i dłużej – odezwała się do niego.

June zagrała trzy nuty *Lick It Up*, a potem skoczyła na równe nogi, prześlizgnęła się po wieku pianina, jak gliniarze w filmach akcji z lat osiemdziesiątych prześlizgiwali się po maskach ferrari, i zawołała:

– Hej, kto ma ochotę na trójkącik?

I następnie pocałowała Aubreya w drugi policzek.

Żartowała, ale – co zabawne – tamtego lata rzeczywiście stanowili jedność. W maju Aubrey zrezygnował z miejsca w orkiestrze clevelandzkiej, żeby mieć swobodę i móc grać gigi na Wschodnim Wybrzeżu, razem z Junicorn.

## 8

Obudził go zimny, porywisty wiatr i skręcony z głodu żołądek. Ostry ból kłuł go w gardło za każdym razem, kiedy przełykał ślinę.

Aubrey, oszołomiony i słaby, skulił się pod chmurowym kocem, puszystym jak owieczka. Okrycie było miękkie w dotyku jak pióra i tworzyło kapsułę cudownego, przytulnego ciepła. Ale głowa Aubreya wystawała na zewnątrz i uszy bolały go od chłodu, aż mdliło.

Wygrzebał baton granola, rozpakował go i pozwolił sobie na jeden kęs: lepki kokos i solone migdały połączone słodką czekoladą. Strasznie chciał zjeść resztę, ale zawinął ją z powrotem i wsadził do kieszeni, a potem zasunął suwak kombinezonu, żeby stworzyć dodatkową barierę między sobą a batonem. Może jednak miał jakieś umiejętności konieczne do przetrwania: umiejętność powstrzymywania się, wyćwiczoną podczas setek nocy spędzonych razem z Harriet na tylnym siedzeniu samochodu June. Czasem Harriet przysypiała z głową na jego udzie, mamrocząc: „Dobranoc, kochany głuptasku”, z ustami prawie przy jego brzuchu. Samokontrolę miał opanowaną perfekcyjnie. Bardzo chciało mu się jeść, ale kiedyś jeszcze bardziej chciał Harriet, mimo to nigdy nawet jej nie pocałował, nigdy nie dotknął jej twarzy, a za rękę brał ją tylko wtedy, gdy o to prosiła. Oczywiście oprócz tego jednego razu w Sugarloaf, ale to ona zainicjowała dotykanie i całowanie, nie on.

Ssał starbursta, żeby poczuć w gardle wilgoć. Robił to tak długo, aż się obudził i zaczął z powrotem myśleć. Niebo nad nim było

zachmurzone; rozbabrany, srebrny pejzaż ołowianych wzgórz i cynowych dolin.

Kiedy odrzucił koce i wstał, uderzył go wiatr, a jego osłabione nogi prawie się pod nim ugięły. Podmuch rozwiął mu włosy na wszystkie strony. Aubrey zatoczył się aż do rozciągniętej rufy chmury.

W dole leżały gęsto zalesione wzgórza. Dostrzegł jasnobrązową nitkę małego strumienia. Plamy zieleni poznaczone były przez farmy. Tu i ówdzie nabazgrano drogi. Nikt, do diabła, nie odgadłby, na co patrzy. Maryland? Pensylwania? Kanada? Nie. Prawdopodobnie nie Kanada. Nie wierzył, żeby podczas snu przekroczył rozległe jezioro Erie. Trudno było stwierdzić, jak szybko się poruszali, ale wolniej niż samochody lśniące na drogach na dole.

– Dokąd nas zabierasz? – spytał, drżąc i czując się, jakby miał gorączkę.

Spodziewał się, że ta szklista czerń – ta perła – znowu ściśnie mu umysł, nic takiego jednak się nie stało.

Co to było? Zastanawiał się, choć tak naprawdę już wiedział. To była odpowiedź, wyraźne nie. To była odmowa w telepatycznym języku chmury.

Rozbitek rozejrzał się niepewnie po swojej wyspie. Szybko zorientował się, że nie odrywa wzroku od centralnego wzniesienia, wielkiego jak katedra Świętego Pawła i mniej więcej w tym samym kształcie.

Z dymu wokół stóp wyciągnął miękki, puszysty szlafrok oraz długi szalik, trzymetrowy pas mgły. Przesunął dłonią przez chmurę i wyjął jeszcze czapkę. Kiedy się opatulił i wyglądał jak ożywiony bałwan, ruszył w stronę środka chmury.

Stąpał po rozległej kremowej łące, otoczony głęboką ciszą i spokojem. Brak jakiegokolwiek dźwięku działał mu na nerwy. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile hałasu i rwetesu czyni świat,



dopóki nie znajdzie się w odległości kilku kilometrów od innych istot ludzkich.

Dotarł do mlecznobiałej kopuły w sercu podniebnej wyspy i wtedy jego głowę wypełnił czarny błysk, aż się zachwiał. Dotknął dłonią czoła i oparł się kolanem o ścianę wzniesienia. Ból (perła) ustąpił, zostawiając w jego umyśle obolałe miejsce. Skronie Aubreya pulsowały, kiedy czekał na kolejny czarny telepatyczny strzał, jak ludzki kręgiel, który szykuje się do upadku pod ciosem obsydianowej perły. Nic.

Pomyślał, że wie, co się stanie, jeśli pójdzie dalej. Zaczął podciągać się po ścianie kopuły. Było stromo i musiał zahaczać dłonie i stopy o chmurę. Miała konsystencję lepkiego sosu. Równie dobrze mógł się wspinać na kawał wpółściętego puddingu.

Wspiął się może jakieś dwa metry, gdy znowu starł go na proch czarny cios. Jakby gałąź strzeliła mu w twarz. Z oczu Aubreya popłynęły łzy. Zatrzymał się i znieruchomiał. Mentalna eksplozja wymazywała wszystko, była gorsza niż utrata przytomności. Była to raczej utrata bycia. Przez chwilę Aubreya po prostu nie było.

– Co ty mi tam zabraniasz zobaczyć? – spytał.

Chmura nie odpowiedziała.

Zdecydował się wdrapywać dalej tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie i jak mocnego kopa psychicznego da mu chmura, jeśli będzie uparty. Wczepił się rękami w podłoże jeszcze raz i jeszcze raz, i



Ciemny ciężar spadł na jego umysł jak żyrandol.

Ale kiedy jego mokre, spływające łzami oczy znów coś dostrzegły, zorientował się, że nadal się wspina, że robił to nawet w tych

momentach niebytu, gdy wydawało mu się, że najzwyczajniej w świecie przestał istnieć. Znajdował się już w połowie kopuły, gdzie krzywizna była mniejsza, nie piał się więc, tylko pełzał na czworakach. Widział szczyt w odległości jakichś dziesięciu minut zmagania, pod warunkiem że jego gospodarz nie postanowi zmiażdżyć mu mózgu, tak jak człowiek miażdży kleszcza między kciukiem i palcem wskazującym.

Aubrey miał twarz wilgotną od wysiłku. Zamknął oczy i odpoczął chwilę.

Wtedy właśnie to poczuł. Coś tkwiło w samym środku chmury, jak szklana kulka (perła) w czyichś ustach. Brzęczało, bardzo delikatnie, niskim, cichym tonem. Ale Aubrey i tak to usłyszał. Może to była jego kolejna umiejętność służąca przetrwaniu – miał czułe, wrażliwe uszy, był w stanie wyłapać jedne fałszujące skrzypce w pięćdziesięcioosobowej sekcji smyczkowej. A przy tym delikatnym brzdąkającym dźwięku czuł coś na kształt bólu. Czy jedna osoba może czuć ból innej? Ta bezsensowna, niepokojąca myśl nie dawała mu spokoju. Stał przed zamkniętymi na klucz drzwiami ciemnego domu. W środku zgromadziła się rodzina w żałobie. Martwy dziadek leżał sztywny na prześcieradle w swoim łóżku.

Aubrey nie wiedział, czy odważy się zapukać do tych drzwi i spytać, którądy iść do domu.

Był pewien, że jeśli nadal będzie się wspinał, dostanie kolejnego czarnego kopa, może tak mocnego jak ten, którym oberwał poprzedniej nocy, gdy poprosił chmurę, żeby zabrała go na ziemię. Obrócił się i usiadł na stoku wzgórza. Przyjrzał się swoim włościom, wielkiemu, białemu lenu z puszystej, jałowej chmury. Z góry, z wysokości jakichś czterech pięter nad powierzchnią wyspy – ale wciąż daleko od szczytu kopuły – już nie widział swojego

cumulonimbusowego łóżka, fotela i wieszaka. Zagubiły się na jasnym tle, nie można ich było odróżnić od innych nierówności chmury.

Rozbitek siedział i pozwalał bryzie chłodzić pot na swojej twarzy.

Kilometr dalej dostrzegł jumbo jeta 747, wznoszącego się na wyższy pułap. Podskoczył i zamachał ramionami, bez sensu. Był dla nich tak samo widoczny jak jego łóżko dla niego. Nie mówiąc już o krzyku i podskokach.

Kiedy podskoczył trzeci raz, stracił podparcie i na tyłku ześlizgnął się z kopuły. Na dole upadł twarzą prosto w dryfującą jasność. Jego głowa uderzyła o coś puszystego i miękkiego, innego niż gąbczasta miękkość chmury.

Pomacał wokół, marszcząc brwi, i znalazłszy to coś, wyciągnął z oparu. To był purpurowy pluszowy konik ze srebrnym rogiem i małymi skrzydełkami na grzbiecie. Harriet wyskoczyła z nim z samolotu, ale musiała go upuścić. Więc jednak Aubrey nie był taki samotny na tej chmurze.

Razem z nim był Junicorn.

Junicorny to był pomysł Harriet – mogły je sprzedawać razem z koszulkami i lokalnie wyprodukowanymi płytami. Szybko okazało się, że to dobry biznes. Faceci kupowali je dla swoich dziewczyn, dziewczyny kupowały je dla siebie, a rodzice dla dzieciaków. June twierdziła, że mają obroty jak dilerzy heroiny.

Aubrey uczył się w Cleveland Institute of Music i załatwił im dostęp do studia nagrań. W małym zeszyciku, który dołączały do płyty, Harriet wymieniona była jako autorka jednej piosenki, June zaś dwóch. Było też kilka coverów. Pod resztą podpisali się całą trójką: Cornell-Griffin-Morris. Aubrey przynosił melodie i wymyślał aranżacje, a także pracował nad refrenami, ale jego zdaniem dodatkowe teksty Harriet i partie fortepianowe June dawały im prawo do równych udziałów. Dobrze mu szło wmawianie sobie, że to naprawdę była wspólna robota. W pewnym sensie wierzył w to bardziej niż ktokolwiek inny.

– Czy tylko ja uważam, że to głupie? – spytała Harriet pewnego dnia, kiedy nagrywali w przestronnym studio, z surowymi drewnianymi belkami na suficie. – Nazywamy się Junicorn, ale to Aubrey jest naszym muzycznym geniuszem. Powinniśmy nazwać zespół Griffin. I sprzedawać pluszowe gryfy.

– Nie podsuwaj mu tego pomysłu – powiedziała June i zabrzdąkała na pianinie kilka nut swojej piosenki *I Hallucinate You*.

A może to było *Princess of China* Coldplayów? Wszystkie piosenki June brzmiały jak inne piosenki. Jedna była tak bardzo podobna do

*Shadowboxer*, że June najadła się kiedyś wstydu, bo zapomniała własnych słów i śpiewała na scenie tekst Fiony Apple. Nikt z publiczności się nie zorientował, a Harriet i Aubrey też udawali, że niczego nie zauważyli.

Na gigi jeździli starym volvo June, ale pudła z Junicornami woził im Ronnie Morris, posępny, czerwonym fordem econoline. Bracia Morrisowie jeździli na wszystkie koncerty jako techniczni, nosili sprzęt i towary. Prędko przekonali się, że kiedy kręcili się blisko zespołu, często dostawali darmowe piwa i mieli spore szanse poznać jakieś laski. Razem z instrumentami, Junicornami i pudełkami pełnymi koszulek Ronnie i Brad prawie zawsze przywozili ze sobą również Korespondencyjnego Przyjaciela.

Tak Aubrey nazywał w myślach chłopaka Harriet. Kiedy miała pięć lat, jej ojciec zabrał ją do San Diego, w podróż służbową, która przeciągnęła się na długi weekend, więc mogli zobaczyć mecz baseballu i odwiedzić zoo. Ostatniego ranka tata Harriet zabrał ją na spacer wzdłuż wybrzeża i kupił jej napój. Gdy cola się skończyła, Harriet włożyła do butelki banknot jednodolarowy i kartkę ze swoim adresem w Cleveland oraz obietnicą, że więcej pieniędzy czeka na tego, kto odnajdzie butelkę i zostanie jej korespondencyjnym przyjacielem. Jej ojciec wrzucił zapieczętowaną flaszkę dobre kilkadziesiąt metrów w głąb morza.

Dwa miesiące później Harriet dostała list od kogoś o imieniu i nazwisku Chris Tybalt. Zwrócił jej jednodolarowy banknot i przysłał zdjęcie oraz parę zdań o sobie. Miał jedenaście lat, a jego hobby polegało na budowaniu i odpalaniu modeli rakiet. Kiedy wybrał się na Imperial Beach na południe od San Diego, żeby odpalić nową raketę CATO, znalazł tam butelkę po coli wystającą z piasku. Napisał też, że jego ulubionym prezydentem był JFK, szczęśliwa liczba to sześćdziesiąt trzy i że ma tylko cztery palce u prawej stopy (wypadek

z fajerwerkiem). Fotografia, standardowe zdjęcie szkolne na mglistym, niebieskim tle, ukazywała chłopaka z rudawoblond włosami, pryszczami i aparatem na zębach.

Pisali do siebie przez kolejne trzy lata, zanim spotkali się osobiście, gdy Korespondencyjny Przyjaciel podróżował przez kraj z babcią. Tybalt spędził weekend w domu Harriet, on i babcia spali w pokoju gościnnym. Harriet i Korespondencyjny Przyjaciel odpalili razem raketę Estes AstroCam, która zrobiła im zdjęcie z wysokości dwustu metrów: wyglądali na nim jak dwie jasne plamki na zielonym polu, z sennym ogonem różowego dymu wiodącym do ich stóp. Podczas ostatniego roku Harriet w liceum „chodzili ze sobą”, przestawili się na maile i uzgodnili, że się kochają. On złożył podanie o przyjęcie do programu aeronautycznego na uniwersytecie stanowym w Kent, żeby być blisko niej.

Aubrey uważał, że Korespondencyjny Przyjaciel przypomina piegowatego młodszego śledczego z powieści dla nastolatków, chociaż był już po dwudziestce. Grał w golfa z nerwowym wdziękiem, wyglądał, jakby nigdy nie trapił go trądzik, i miał w zwyczaju wyszukiwać zranione ptaki i troszczyć się o nie, póki nie wyzdrowiały. Bracia June uwielbiali go, bo łatwo się upijał, a kiedy był pijany, próbował ich całować – nazywał to braterskimi pocałunkami. Aubrey rozpaczliwie pragnął, żeby Chris okazał się utajonym homoseksualistą. Ale niestety był po prostu Kalifornijczykiem. Gdy Harriet i Korespondencyjny Przyjaciel rozmawiali o tym, jak nazwą swoje dzieci – Jet, jeśli to będzie chłopiec, i Kennedy, jeśli dziewczynka – Aubrey czuł, że jego życie nie ma sensu.

W vanie Ronniego Morrisa było dość miejsca dla Harriet, ale zawsze jeździła na występy w volvo, z June i Aubreyem. Korespondencyjny Przyjaciel na to nalegał.

– Chris mówi, że powinnam – powiedziała Harriet do Aubreya podczas jednej z takich podróży. – Mówi, że nie chce być naszą Yoko Ono.

– Ach – westchnął Aubrey – więc rozdzielamy kochanków. Jechanie ze mną na tylnym siedzeniu to prawie jak kara.

– Mmm – zgodziła się Harriet, zamykając oczy i przesuwając głowę, żeby ułożyć się wygodniej na jego kolanach. – Jak lanie raz na tydzień.

June za kierownicą odchrząknęła dziwnie, a po chwili Harriet mruknęła coś niezadowolona i usiadła, by trochę się odsunąć. Miała przecież ze sobą własnego Junicorna i zrobiwszy sobie z niego poduszkę, usnęła w odległości pół metra od Aubreya.

Później, po południu, wiatr się wzmógł, ubijając powierzchnię niemożliwej wyspy w serię szorstkich fałdek. Jego wyspa, jak żaglówka, płynęła pod wiatr, halsując to w jedną, to w drugą stronę. Aubrey czuł zapach deszczu.

Podniebny statek kierował się ku niskim, brzydkim chmurom, prosto w ulewę, która rozciągała się na całe kilometry, jak czarna szarfa. Pierwsze grzechoczące kuleczki uderzyły Aubreya z boku, rozdierając jego płaszcz z chmury. Wzdrygnął się i objął opiekuńczo Junicorna, jak matka złapana przez deszcz objęłaby dziecko. Cofnął się, szukając schronienia. Z mgły, tuż obok wieszaka, wystawała rączka parasola z białego dymu. Chwycił ją i potrząsnął, i rozległa czasza twardej chmury rozpostarła się nad nim. Od czasu do czasu odchyłał parasol, zamykał oczy i otwierał usta. Lodowate krople wody piekły go w wargi, były zimne i smakowały, jakby lizał ostrze noża.

Więcej deszczu zebrało się w wannie z gęstej chmury, stojącej na lwich łapach. Wyglądało to jak basen zawieszony w kielichu z lodu. Jak wielka kałuża wisząca w dymie.

Unosili się w deszczu przez trzy godziny, dopóki statek z chmury gwałtownie nie skręcił na wschód i nie odsunął się od nawałnicy. Aubrey leżał płasko w ostatnich promieniach słońca, z głową przewieszoną przez krawędź, i przyglądał się ogromnemu cieniowi, jaki podniebna wyspa rzucała na zieloną mapę poniżej.

Brzuch go bolał od całej tej wody, którą pił z wanny za pomocą kubka, wielkiego jak jego własna łepetyna. A potem, stojąc na brzegu



wyspy, sikał przez całe trzydzieści sekund złotym łukiem, prosto w blask popołudnia. Aubrey Griffin zapomniał, że ma lęk wysokości. Wyleciało mu to z głowy.

Ten jeden jedyny raz, kiedy wsunęła mu się w ramiona, zdarzył się w nocy, gdy grali w górach Sugarloaf w stanie Maine – gig w pubie z nieco lepszym jedzeniem, przy samych stokach. Korespondencyjny Przyjaciel nie przyjechał. Harriet powiedziała, że musiał zostać w szkole, żeby się uczyć, ale Aubrey wyciągnął od June, że się pokłócili: brzydkie szloch, okropne słowa, trzaskanie drzwiami. Harriet znalazła maile od dziewczyny z Zachodniego Wybrzeża, o której istnieniu Korespondencyjny Przyjaciel nigdy nawet się nie zająknął. Przysięgał, że nie są już razem, nie uważał jednak za stosowne skasować jej zdjęć. I to wcale nie półnagie selfie były najgorsze. To, po którym Harriet naprawdę zemdliło, zrobiono na Imperial Beach z wysokości stu pięćdziesięciu metrów, z rakiety AstroCam, odpalonej wspólnie przez Dziunię z Zachodniego Wybrzeża i Korespondencyjnego Przyjaciela. Dziunia z Zachodniego Wybrzeża nazywała go w mailach Rakietą.

Aubrey czuł się chory po tych nowinach – chory z ekscytacji. Za trzy tygodnie miał lecieć do Londynu. Przez cały semestr, zaczynając zaraz po przerwie bożonarodzeniowej, zamierzał studiować w Royal Academy of Music. Władował już swoje półroczne oszczędności w wynajem mieszkania i nie mógłby ich odzyskać, ale miał szczerzy zamiar zrezygnować z wyjazdu, wykonać ten szalony ruch i skorzystać ze swoich pięciu minut u Harriet.

Harriet siedziała sztywno i prawie w ogóle się nie odzywała przez całą dwunastogodzinną podróż na występ, podczas którego mieli grać

jako suport Nilsa Lofgrena. Aubrey policzył w myślach, że ich wynagrodzenie nie pokryje nawet kosztów benzyny, ale mieli dostać za darmo pokoje w ośrodku, vouchery na posiłki i bilety na wyciąg. W lepszych czasach Harriet i Korespondencyjny Przyjaciel planowali wspólny dzień na nartach. Na dowód tego, jak sprawy się mają, Harriet nie wzięła nawet nart, wymamrotała tylko, że coś sobie naciągnęła.

– Tak naprawdę to Rakieta kogoś naciągnął, nie? – zagała June, kiedy pakowali rzeczy do samochodu.

W odpowiedzi Harriet zatrzasnęła bagażnik.

Przez całą drogę obgryzała paznokcie i patrzyła na ośnieżone wzgórza i sosny przysypane białym pyłem. W poprzednim tygodniu śnieg padał intensywnie i po obu stronach szosy wznosiły się rzeźbione, puchowe klify. Miało się wrażenie, jakby jechali przez tunel w chmurach.

Wieczorem zagrali dla sali nabitej ludźmi o wiele starszymi i zamożniejszymi od nich, szukającymi hałaśliwej rozrywki na sobotni wieczór po ciężkim dniu szusowania i ćwiczenia karty kredytowej. W pubie było gorąco i śmierdziało chmielem, wilgotną wełną, mokrymi włosami i dymem z kominka. Harriet miała na sobie dzinsy biodrówki i kiedy kucała przy swojej gitarze, Aubrey widział brzeg szmaragdowych stringów. Była wyjątkowo dobra tamtego wieczoru, zabawna i niedbała, a jej zazwyczaj czysty głos pobrzmiwał przyjemną chrypką, jakby dopiero wychodziła z przeziębienia. Grali i pili belgijskie piwo z różowym słoniem na etykiecie. Aubrey był już po czterech, nieźle napruty, gdy odkrył, że to ośmioipółprocentowy lager.

Nie zmieścili się wszyscy w małej windzie, do tego z wiolonczelą Aubreya, więc Aubrey i Harriet pojechali razem, zostawiając June z braćmi. Kiedy wysiedli na trzecim piętrze, Harriet

rozejrzała się, zezując na drzwi z białymi numerami. Zachwiała się i chwyciła Aubreya za ramię.

– Pamiętasz, gdzie jest mój pokój? – spytała.

Poprosił, żeby pokazała mu kartę do drzwi, ale to był tylko czarny prostokąt bez żadnych oznaczeń.

– Zadzwońmy do recepcji ode mnie – powiedział, nigdy jednak tego nie zrobili.

## 12

Pokazały się gwiazdy, rój jaskrawych iskier w lodowatej ciemności. Na górze, trzy tysiące metrów nad ziemią, było zimno jak w zimie. Aubrey zjadł ostatni kawałek batonika granola i otulił się kocami razem z Unicornem. Wcisnął w niego twarz, próbując wychwycić zapach Harriet i przypominając sobie aromat jej włosów. Tamtej nocy w Maine pachniały jak sosna, jak jałowiec.

Gdy myślał o Maine, wróciły do niego obrazy, jak szarpali na sobie ubrania i całowali się, nieomal rozpaczliwie. Aubrey poczuł, że tak strasznie potrzebuje Harriet, jak dopiero co potrzebował wody. I wtedy ona, w środku nocy, odepchnęła koce i przysunęła się ostrożnie, prawie nieśmiało, do jego boku: Harriet z chmury, z puchatymi, białymi piersiami, chłodną, jedwabistą falą włosów, ustami z suchej mgły i językiem z zimnego oparu.

Zaszlochał z wdzięczności, przyciągnął ją do siebie i spadał w niej długo. Słodki skok bez spadochronu.

## 13

Gdyby Aubrey obudził się pierwszy, pewnie jego całe życie wyglądałoby inaczej. Nie dowiedział się jednak, jak to jest ocknąć się na skąpanym w słońcu łóżku, wśród poduszek i stert białych prześcieradeł, z nagą Harriet u boku. A tak bardzo chciał ją obudzić pocałunkiem w ramię.

Kiedy wygrzebał się ze snu, Harriet już nie było. Nie odpowiedziała, gdy zapukał do jej drzwi. Nie przyszła też na śniadanie. I nie widział jej przez resztę czasu, jaki spędzili w Sugarloaf, poza jednym, krótkim momentem: kiedy stała na dziedzińcu przed ośrodkiem, trzęsa się w zbyt cienkiej dżinsowej kurtce i dyskutowała z kimś przez telefon, a z jej oczu leciały łzy. Rozmawiała ze swoim chłopakiem, był tego pewien, i poczuł silne pulsowanie nadziei. Zrywają ze sobą – pomyślał. Ona z nim zrywa i teraz będzie nasz czas.

Przyglądał się jej przez barwione szybki frontowych okien hotelowego lobby i już miał zamiar do niej iść – chciał być blisko, gdyby go potrzebowała, jeśli jego milcząca obecność miałyby jej pomóc przez to przejść. Ale przyszedł do lobby razem z cierpiącą June. Miała paskudne skurcze menstruacyjne albo zaszkoziło jej coś, co zjadła. Wisiała na ramieniu Aubreya, a kiedy oboje zobaczyli scenę na dziedzińcu, zaciągnęła go do kontuaru recepcji.

– Zostawmy ją w spokoju – powiedziała. – Ja potrzebuję cię bardziej niż ona. Krwawię tak okropnie, że to wygląda bardziej jak połów niż

jak okres. Jeśli wyleci ze mnie coś jeszcze, będę musiała nadać mu imię i kupić pieluszki.

June czuła się tak źle, że poprosiła go, żeby prowadził. Zanim Aubrey zniósł na dół wiolonczelę, Harriet już nie było. Odjechała z braćmi Morrisami. June wyjaśniła, że Harriet strasznie męczył ból głowy i chciała się przespać na posłaniu na tyle vana, ale Aubrey i tak poczuł się nieswojo. Miał wrażenie, że Harriet uciekła, a nie odjechała.

– Chyba to świństwo z różowym słoniem, które piliśmy wczoraj wieczorem, pogorszyło moją miesiączkę – powiedziała June. – A w każdym razie nie pomogło. Wszyscy za dużo wypiliśmy. Chciałabym cofnąć ostatnią noc. Pewnie Harriet też. Jak powiedział Reagan: popełniono wiele błędów.

Aubrey miał ochotę spytać, o co jej chodziło. Chciał sprawdzić, co June wie i czy mówi o czymś więcej niż piwo, ale zabrakło mu odwagi, a potem June usnęła i chrapała, bardzo nieelegancko.

Kiedy znalazł się z powrotem w swoim mieszkaniu, napisał do Harriet przynajmniej z tuzin SMS-ów, zaczynając od: **Wow! Więc TO się stało**, przez: **Naprawdę chcę dać nam szansę** i kończąc na: **Jesteś tam? Wszystko w porządku?** Na żadnego nie odpowiedziała i przez jej milczenie było mu aż słabo z niepokoju. Nie mógł spać, nie mógł nawet położyć się do łóżka. Chodził z bolącym żołądkiem po swojej małej sypialni i grał w gry na telefonie, żeby nie myśleć. W końcu zdrzemnął się na wytartej używanej sofie, która trochę śmierdziała zjełczałą pizzą.

Jego telefon zapiszczał o czwartej piętnaście nad ranem.

**Jestem okropnym człowiekiem, tak mi przykro. Nie powinnam była tego robić, to nie było fair w stosunku do ciebie. Muszę trochę pobyć sama. Miałam chłopaka przez cały czas, od dziewiątego roku życia, i muszę odkryć, kim**

**jestem, gdy jestem sama. Proszę, nie nienawidź mnie. Mój drogi Aubreyu, proszę, nie nienawidź mnie.**

Pod spodem był emotikon z sercem rozdartym na pół.

Trzy tygodnie później rozpakowywał walizki w mieszkaniu na East Endzie. Nie miał wiadomości od Harriet aż do marca, dopiero wtedy dostał kolejnego SMS-a:

**June jest bardzo, bardzo ciężko chora. Czy możesz zadzwonić?**



Myślał, że jego chmurowa Harriet zniknie, gdy się obudzi, ale wciąż przytulała się do jego piersi – delikatne jak pajęczyna widmo dziewczyny o rozmytych, gładkich rysach klasycznego posągu. Jej włosy powiewały i zwijały się na wietrze, pióra z białego jedwabiu. Jego kutas był obolały od pieprzenia. Które przypominało trochę pieprzenie wiadra zimnej owsianki.

Ale nie wyznał jej tego. Aubrey lubił myśleć, że jest dżentelmenem. Zamiast tego powiedział:

– Świetnie całujesz.

Spojrzała na niego z uwielbieniem.

– Rozumiesz, co mówię? – spytał.

Uklękła na łóżku, z rękami na udach, i przyglądała mu się z pełnym uwagi, choć nieco idiotycznym oddaniem.

Wziął jej dymną rękę i uściśnął, nieznacznie niszcząc jej kształt.

– Muszę zejść na dół. Umrę tu z głodu.

Jej dłoń wysunęła się z jego dłoni bez żadnego wysiłku, jak woda przeciekająca przez palce. Przez krótką chwilę Harriet z mgły wydawała się jakby mniejsza i zniechęcona. Jej opuszczone ramiona sugerowały, że Aubrey jest smutasem.

– Musisz się o mnie troszczyć – spróbował jeszcze raz. – A jak nie, lepiej zrzucić mnie na dół. Musisz to zrozumieć. Umrę, jeśli tu zostanę. Albo z zimna, albo z głodu.

Chmurowa Harriet patrzyła na niego ślepymi oczami pełnymi rozpaczliwej troski, a potem odwróciła się i spuściła smukłe nogi

z łóżka. Rzuciła przez ramię chytre, wabiące spojrzenie i wskazała głową dalszą część chmury, żeby zwrócić jego uwagę na to, co tam czekało.

W oddali majaczył pałac z chmury, coś jak z *Księgi tysiąca i jednej nocy*: strzelista masa minaretów i łuków, dziedzińców i ścian, schodów i ramp. Wspaniała budowla wznosiła się wysoko w niebo, olśniewając we wczesnoporannym świetle i opalizując jak perła (perła!). Pojawiła się nocą i otoczyła kopułę centrum, górującą nad latającą wyspą.

Aubrey wstał, żeby pójść za Harriet, i prawie upadł na kolana. Był słaby, czuł się lekki jak chmura. Jeszcze sporo brakowało mu do śmierci głodowej – trwałoby to tygodnie – ale głód już go otumaniał i kiedy poruszał się zbyt szybko, kręciło mu się w głowie.

Wzięła go za rękę i wkrótce znaleźli się nad fosą. Jego serce podskoczyło. Wokół pałacu rozciągał się krąg otwartego nieba. Kilka kilometrów poniżej widział fałdy zielonej ziemi, wąwozy i cieniste stoki porośnięte jodłami. Harriet ujęła go pod ramię i po szerokim, zwodzonym moście z dymu przeprowadziła na drugą stronę, przez pałacową bramę.

Kiedy przeszli przez nią, wyswobodził rękę i powoli obrócił się dookoła, chłonąc widok. Stali w wielkim holu o wysokim, łukowatym sklepieniu w kolorze śniegu. Z dołu wyglądało jak suknia ślubna olbrzymki.

Od obracania się zakręciło mu się w głowie i znowu prawie upadł. Harriet chwyciła go za łokieć i pomogła utrzymać równowagę, a następnie pociągnęła w kierunku ogromnego, białego tronu. Usiadł, szczęśliwy, że nie musi stać na miękkich nogach; ona opadła mu na kolana, chłodna, ze smukłą talią i zaokrąglonymi biodrami. Zamknął oczy i złożył głowę na zimnym, kojącym ramieniu Harriet. Jej uścisk przynosił ulgę.

Ale gdy otworzył oczy, odkrył, że trzyma zrobioną z chmury wiolonczelę. Gładki, doskonały tyłek Harriet, jej talia osy i blady biust stały się ciałem instrumentu.

Za to sama Harriet z troposfery siedziała metr dalej, w jasnej, jedwabistej sukni, i patrzyła na niego z uwielbieniem, jak pies, który obserwuje człowieka z hamburgerem.

Aubrey sięgnął do chmury pod stopami i wyjął smyczek, cienki jak bicz, w kolorze przejrzystej, kościanej bieli. Był głodny, od pierwszego pociągnięcia zaczął więc grać muzykę głodu: *V symfonię* Mahlera, trzecią część, medytację o braku, o zdawaniu sobie sprawy z tego, czego nie ma i czego nie będzie. Wiolonczela z chmury brzmiała inaczej niż instrument z drewna. Wydawała niski, nawiedzony dźwięk wiatru pod okapem czy wichury szalejącej w szyjce pustego dzbanka, ale właśnie dlatego jej melodia była tak szczególna.

Podniebna Harriet wstała ze stołka, zakołysała się i obróciła. Pomyślał o wodorostach poruszanych falą przyływu, a kiedy przełykał ślinę, w gardle mu zachrypiało.

Obracała się jak balerina w pozytywce, wysmukła, nieziemsko gładka. Miał wrażenie, jakby sam ją obracał, jakby była kołowrotkiem napędzanym muzyką. Uniosła się z chmury i wzleciała w niebo. Rozłożyła oszałamiająco piękne skrzydła i zaczęła zataczać nad nim kręgi.

Był tak oczarowany, że zapomniał o grze. To nie miało jednak znaczenia. Wiolonczela grała bez niego, tkwiła między jego kolanami, a smyczek unosił się, głaszcząc struny, które Aubrey czuł, ale których nie widział.

Widok Harriet poderwał go na nogi. Wyciągnął ku niej rękę. Chciał, żeby go pochwyciła, chciał latać.

Zanurkowała, złapała go za dłoń i uniosła wprost pod pałacowy dach. Zostawił za sobą żołądek. Powietrze gwizdało, a wiolonczela

tęsknie łkała, aż Aubrey zapłakał i przyciągnął dziewczynę do siebie, jej biodra do swoich. Opadli, dali nura w dół, po czym wzniesli się znowu. Jego krew była ciężka, ale głowa lekka. Był już twardy.

Jego Harriet z mgły przeniosła go na podest przyprawiających o zawrót głowy schodów. Osunęli się tam razem. Skrzydła zamieniły się w prześcieradła miodowego miesiąca i znów ją wziął, a wiolonczela grała na dole sprośny, dumny kawałek kabaretowy.

June czuła się raz lepiej, raz gorzej. Przez jeden dobry miesiąc chodziła, podpierając się na aluminiowych kulach, z głową owiniętą szalem, i mówiła o przystosowywaniu się do nowej rzeczywistości. A potem przestała mówić o przystosowaniu i zajęła łóżko na oddziale chorych na raka. Aubrey przyniósł jej ukulele, ale przez cały czas tkwiło w tym samym miejscu, pomiędzy pająkowatymi roślinami doniczkowymi na parapecie.

Któregoś dnia, kiedy Aubrey i June byli sami – Harriet i bracia June poszli na dół do sklepu po batony – June powiedziała:

– Jak to się już skończy, powinieneś ruszyć z miejsca, tak szybko, jak tylko potrafisz.

– Może pozwolisz, że sam będę się martwił o swoje uczucia? – obruszył się. – Zdziwisz się, ale nie mogę tak po prostu... skończyć z tobą i już. Jakbyś była parasolem zapomnianym w hotelu.

– Nie mówię o sobie, głupku – odparła June. – Mam nadzieję, że będziesz chodził w żałobie po mnie przynajmniej przez dekadę. Życzę sobie długotrwałego i nieutulonego żalu i co najmniej jeden raz musisz się po babsku rozbeczeć przy ludziach.

– To o czym ty...

– O niej. O Harriet. To nie działa, chłopie. Chociaż na to liczyłeś przez prawie dwa lata, grając w naszym głównianym zespole.

– To już zadziało.

June spojrzała w inną stronę, poza swoje zakurzone ukulele, przez okno, na parking. Deszcz drapał szybę.

– A. Tamto. – Westchnęła. – Nie robiłabym sobie w związku z tym wielkich nadziei, Aubrey. Ona miała wtedy naprawdę zły tydzień, a ty byłeś bezpiecznym rozwiązaniem.

– Dlaczego byłem bezpiecznym rozwiązaniem?

June popatrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby odpowiedź była oczywista. I pewnie była.

– Miałeś wyjechać na sześć miesięcy. Nie zaczyna się związku z kimś, kto ma spakowane walizki i jest już jedną nogą gdzie indziej. Byłeś bezpiecznym rozwiązaniem, a ona wiedziała, że jej nie znienawidzisz, nieważne, co zrobi.

Od kiedy u June zdiagnozowano chłoniaka, rozdawała wszystkim samorodki swojej łaskawej mądrości, udając Judi Dench albo Whoopi Goldberg w rolach tragicznych menterek w rozgrzewającym serca filmie o tym, co naprawdę liczy się w życiu. Męczyło go to.

– Może powinnaś się zdrzemnąć – zasugerował.

– Wiesz, byłam na nią wściekła – powiedziała do niego June, jakby w ogóle się nie odezwał.

– Bo się upiliśmy i bzyknęliśmy?

– Nie! Nie z tego powodu. Z powodu wszystkiego, co było wcześniej. Tych wszystkich nocy, kiedy podczas długich tras w ciemności kładła ci głowę na kolanach. Przedstawiała cię ludziom jak ukochaną maskotkę. Nie powinna nikomu robić takich rzeczy. Bo jeszcze ktoś mógłby się w niej zakochać.

– Okay – mruknął tonem, który potwierdzał, że to nie jest okay.

– Wcale nie. – Podniosła głos. – To było nie fair w stosunku do ciebie.

– Przeprowadziłem z Harriet kilka najlepszych i najważniejszych rozmów w życiu.

– W twoim życiu. Nie w jej. Napisałeś tę piosenkę o noszeniu nawzajem swoich ulubionych swetrów i ona ją śpiewała, ale Aubrey,

Aubrey! To były twoje słowa. Nie jej. Ona po prostu śpiewała słowa, które dla niej napisałeś. Musisz z tym skończyć.

– Nie jesteśmy razem.

– Jesteście, w twojej głowie. Musisz zerwać z wyimaginowaną Harriet i zakochać się w kimś, kto też cię pokocha. Oczywiście to nie jest tak, że prawdziwa Harriet cię nie kocha. Ona po prostu nie kocha cię w ten sposób.

– A gdzie, do diabła, jest prawdziwa Harriet? – parsknął. – Chyba poszła aż do Hershey w stanie Pensylwania po ten baton.

Harriet zawsze chodziła na te wyprawy z braćmi June, żeby znaleźć dla niej wyszukaną czekoladę albo niezwykły napój, albo odjechany T-shirt, który choć trochę rozjaśni następny dzień z rakiem.

June westchnęła, bardzo ciężko, odwróciła głowę i wyjrzała za okno.

– Dlaczego jest tyle romantycznych piosenek o wiosnie? Nienawidzę wiosny. Śnieg topnieje i wszystko śmierdzi jak rozmarzające psie gówno. Nie waż się pisać żadnych romantycznych piosenek o wiosnie, Aubrey. To by mnie zabiło, a wystarczy mi już jedna śmierć.

## 16

Leżał później, dysząc, przez długi czas, wyczerpany, szczęśliwy i śliski od zimnego potu. W głowie mu wirowało od głodu i zmęczenia, ale to nie było całkiem nieprzyjemne uczucie, towarzyszył mu wyrzut endorfin, taki jaki czuje się podczas przejażdżki na karuzeli.

Harriet wyślizgnęła się, stopiła w jego dłoniach, gdy skończył się jego orgazm – spłynęła na podłogę jak drżący koc z mgły. Chciałby usłyszeć, że jej też się to podobało. Kiedy szukając jej, zaczął wodzić wzrokiem, zobaczył, że czeka pod wysokim, łukowatym sklepieniem, przy stole w kolorze ducha.

Wsunął się z powrotem w kombinezon i przeszedł do wielkiej jadalni. Przyjrzał się przepychowi stołu, zastawionego ułudnymi kielichami, z białym, jak zrobionym z bawełny indykiem i misą chmurowych owoców.

Aubrey był wygłodzony, a nawet więcej – trząsał się z głodu, ale widok jedzenia z dymu nie był obiecujący. Nie czuł żadnego zapachu. To była rzeźba, nie obiad.

Harriet ukroiła mu porcję niczego i położyła na talerzu z nieba, obok kolczastego chmurowego owocu. W jej oczach widział prawie dziecięce pragnienie, żeby go zadowolić.

– Dzięki – powiedział. – Wygląda przepysznie.

Użył bladego noża, żeby odkroić od owocu z chmury długi kawałek w kształcie canoe. Nadział go na widelec, spojrzął na niego w zmienionym świetle, a następnie uznał, że nic mu nie zaszkodzi, i ugryzł.



Owoc zachrupał i rozłupał się, trochę jak landrynka. Smakował deszczem, miedzią i zimnem. Aubrey się mylił. Z bliska owoc miał zapach. Pachniał lekko burzową ulewą.

Aubrey wciął z zapalem.

Zaczęło go boleć przy drugiej porcji fantomowej piersi z indyka – ostre, przeszywające klucie w brzuchu. Chrząknął, zacisnął zęby i zgiął się wpół na dymnym krześle.

W ustach miał jedwabisty nalot i niesmak, jakby ssał garść pokrytych brudem drobniaków z kieszeni. Kolejna igła przebiła jego wnętrzności. Krzyknął.

Zaalarmowana Niebieska Harriet, siedząca po przekątnej, wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Aubreya. Wolną ręką podała mu kielich białego dymu. Wypił pianę łapczywie, dwoma wielkimi łykami, zanim zdał sobie sprawę, że to jeszcze więcej Bóg wie jakiej toksycznej wydzieliny. Odrzucił puchar.

Trzmiele pełzały szaleńczo w jego trzewiach, kłując na oślep.

Zerwał się na nogi, niechcący odrywając ramię Niebieskiej Harriet. Chyba jej to nie przeszkadzało. Przebiegł pod łukiem i tam dopadła go następna eksplozja bólu. Jego jelita się skurczyły. O Boże.

Aubrey bardziej spadł, niż zbiegł ze schodów, nie wiedząc, dokąd idzie. Jego wnętrzności oplatał zwój kolczastego drutu, który z każdą chwilą coraz mocniej się zaciskał. Nigdy wcześniej nie czuł tak rozpaczliwie, że zaraz narobi w spodnie. Przegrywał ze swoim zwieraczem.

Rzucił się przez bramę i po moście nad fosą. Toaleta czekała obok jego wielkiego jak limuzyna łóżka. Ostatnie kilka kroków przebiegł z pętającym nogi kombinezonem wokół kolan. Usiadł.

To była erupcja. Jęknął. Czuł, jakby wydała go garść szklanych odłamków. Jego jelita zacisnęły się znowu, aż poczuł promieniowanie bólu do kolan. Stopy mrowiły, kiedy odpływała z nich krew. Gdy jelita skurczyły się w konwulsji po raz trzeci, ból ukłuł go za mostkiem. Intensywny, falujący wstrząs rozszedł się po całej klatce piersiowej.

Jego Harriet na wysokościach obserwowała go z odległości kilkunastu metrów, twarz jak u greckiej bogini przybrała wyraz transcendentnego smutku.

– Zostaw mnie, proszę! – krzyknął, wyciskając świeżą masę stalowych opiłków.

A tak naprawdę chciał wrzasnąć: „Odpierdol się ode mnie!”. Albo może: „Właśnie mnie zabiłaś, suko!”. Nie miał jednak odwagi być okrutny, to nie leżało w jego naturze.

– Chcę być sam. Jestem chory.

Rozpłynęła się więc w delikatnych strumieniach, w jedwabnym wodospadzie, który wsiąknął w chmurę u jej stóp.

Co za dziwna prośba: „Chcę być sam”. Nie było żadnego „sam”. Nie było żadnej Harriet. Była tylko chmura. Wiedział to od pierwszej chwili, kiedy spojrzał w oczy dziewczyny, a ona nie patrzyła na niego. W każdym razie nie oczami.

Może, w pewnym sensie, to właśnie cała chmura patrzyła na niego. Jeśli „patrzyła” było odpowiednim słowem. Bardziej pasowałoby chyba „monitorowała go”. Monitorowała, co robił, ale także, w jakiś sposób, co myślał. Skąd inaczej wiedziałaby, jak wyglądał stolik w jego domu? Albo kochanka? Jego idealna kochanka?

Czy chmura rozumiała wewnętrzny język, którym mówił do siebie w swojej głowie?

Na myśl o tym zamroczył go strach. Nie miał jednak pewności, czy tak było, czy mogła odczytywać wszystko z taką precyzją. Czuł, że przerzucała zawartość jego mózgu, tak jak nieumiejące czytać dziecko przerzucałoby strony czasopisma z wieloma obrazkami. Zastanawiał się, czy mógł zatrzymać coś dla siebie, czy gdyby zaszła taka potrzeba, mógł wypchnąć widmowe oko chmurowego umysłu ze swojej głowy. Od tej odpowiedzi wiele zależało.

Ból ustępował, chociaż wnętrzości Aubreya nadal były obolałe i poranione. Nie spodziewał się, że to, co zjadł, od razu go zabije. Gdyby to był jakiś rodzaj zagęszczonej trucizny, nigdy nie wy dostałby się z pałacu. Ale nie było to też jedzenie, a on nie mógł pozwolić, żeby coś takiego znowu się wydarzyło. Nie mógł dopuścić, żeby chmura kroila go od środka, nie wtedy, kiedy i tak już ledwo trzymał się na

nogach i słańiał po dziesięciu krokach. Wszystko, co wymagało fizycznego wysiłku, zużywało kalorie, on zaś nie mógł ich marnować.

Przypomniął sobie o wizycie Niebieskiej Harriet w nocy i o drugich, bardziej wyczerpujących, zmaganiach przed bankietem z tłuczonego szkła. Czy ona... Ale przecież jej nie było, upomniał sam siebie. Zmusił się, żeby zacząć od początku. Czy chmura próbowała go zmęczyć? Czy chciała doprowadzić go do stanu wyczerpania, zużyć go i jego zasoby energii? Ale jeśli chciała się go pozbyć, Aubrey mógł sobie wyobrazić o wiele łatwiejszy sposób, na przykład zamianę podłoża na nietwardniejący dym, przez który spadłby na dół.

Nie. Nie sądził, żeby mu źle życzyła. Chciała, żeby miał wokół siebie rzeczy, które go uszczęśliwiały, sprawiały, że czuł się dobrze i pewnie. Wychodziła z siebie, żeby zapewnić mu wszystko, za czym tęsknił. Nie spełniała tylko jednego jego życzenia: nie pozwalała mu odejść.

Może nawet nie mogła się powstrzymać, żeby nie odpowiadać na jego nieświadome prośby. Dowód miał pod ręką, dosłownie. Podczas gdy koncentrował się na innych sprawach, na pręcie wystającym z chmury zmaterializowała się rolka białego jak bawełna papieru toaletowego. Urwał garść i podtarł się, a potem spojrział. Krew. Wielki kłęb dymnej substancji był nią nasiąknięty.

Wyczyścił się najlepiej, jak mógł. Miał krew na wewnętrznej stronie ud, krwawił, zanim dotarł do toalety. Jedna dobra rzecz: nieważne, ile papieru zużył, rolka się nie zmniejszała. Kiedy skończył, wziął zwitek chmurowej bawełny i zasuwając kombinezon, wypchał nią majtki.

Dokuśtykał do łóżka i wsunął się do środka. Pomacał dookoła w poszukiwaniu koców i jego dłoń natrafiła na pluszowego Junicorna. Przycisnęła go do twarzy. Trzymał maskotkę przy nosie i wdychał zapach detergentu i kurzu, i poliestru. Junicorn był powycierany

i brudny, ale przez to jeszcze bardziej cenny. Aubrey był wdzięczny za wszystko, co nie charakteryzowało tą gładką, chłodną doskonałością rzeczy zrobionych z chmury, wdzięczny za wszystko, co było prawdziwe. To co prawdziwe, poznawało się nie po nieskazitelności, lecz po niedoskonałościach.

Zagapił się tępo na wielkie, białe jajo wznoszące się wewnątrz pałacu i myślał o tej jednej trwałej, nieprawdopodobnej rzeczy na wyspie z chmury. To znaczy jedynej stałej rzeczy, jaką dostrzegł. Nagle opadły go wątpliwości. Wydawało mu się, że widział po drodze przynajmniej jedną nieregularność, która nie była wystarczająco nieregularna, żeby to mógł być przypadek. Ale za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, co to było.

No i co z tego? Zostaw to. Wrócisz do tego później.

Myślał o kopule, o perle w sercu pałacu. Kiedy próbował się na nią wspiąć, oberwał w środek głowy czarną, szklistą, gładką masą, a kopniak był na tyle potężny, że pozbawił go najmniejszej myśli. Poddał się, wrócił na dół i co się wtedy stało? Chmura stworzyła z jego marzeń dziewczynę. Dziewczynę, której pragnął, tak jak nie pragnął w życiu nikogo.

„Nie powinniśmy się kłócić – zakomunikowała mu jakoś chmura. – Zróbmy tak: pozwól mi mieć moje sekrety, a tym możesz mieć Harriet. To co zakryte, niech pozostanie zakryte i...”

Aubrey od razu uczepił się tej koncepcji. Jego ciało zareagowało i delikatne włoski stanęły sztorcem na przedramionach. Znowu próbował sobie przypomnieć, czy widział na wyspie cokolwiek, co nie wyglądało na całkiem przypadkowe, i przyszedł mu do głowy pomysł, bardzo brzydki pomysł.

Wiedział, że musi się wspiąć na wielki, biały wzgórek w centrum chmury. Nie dało się tego uniknąć. Kiedy będzie to robił, chmura

spróbuje go odciągnąć, jak wcześniej, wszelkimi dostępnymi sposobami.

Czy chmura wiedziała, że miał zamiar znów się wspinać? Czy dostrzegła to w jego umyśle? Przekierował swoje myśli na pierwszy obraz, jaki mu się nasunął: Junicorna, którego trzymał w rękach, purpurowego, pluszowego Junicorna z zagiętym rogiem i pretensjonalnymi skrzydełkami. Męczyło go, że musi ukrywać swoje myśli nawet przed sobą.

Zamknął oczy i zagrzebał twarz w poduszkach. Nie był jeszcze gotowy na wspinaczkę. Był zbyt wątpy, za bardzo zmęczony, musiał odzyskać trochę energii. Może by i usnął, gdyby nie poczuł, że coś ociera się o jego policzek. Otworzył oczy i popatrzył prosto w pysk ogromnego konia uformowanego z chmury.

Aubrey krzyknął, a koń nerwowo cofnął się o krok. Nie. Nie koń. Z jego głowy wystawał róg, a na grzbiecie trzepotały absurdalnie małe skrzydełka. Jego ślepe spojrzenie było ponure, głupie i nieśmiałe. Junicorn.

Gdy Aubrey usiadł, natychmiast się skrzywił, bo igły bólu przebiły mu żołądek. Junicorn stał obok łóżka, przyglądając mu się z powątpiewaniem. Aubrey przesunął dłonią po jego alabastrowym boku. W dotyku był chłodny i gładki, jak koń zrobiony z gipsu. Aubrey wcześniej skoncentrował się na Junicornie i teraz, co było do przewidzenia, Junicorn czekał na jego rozkazy.

Pod warunkiem że nie każe mu zanieść się na dół, na ziemię, albo wznieść na szczyt wielkiej, białej kopuły. Aubrey wiedział, że o tym może sobie tylko pomarzyć. Ale i tak mógł go wykorzystać. Był za słaby, żeby iść, Junicorn go zawiezie, był już nawet osiodłany.

Aubrey wsadził nogę w strzemię i podciągnął się do góry. Złapał gwałtownie oddech i opadł na szyję Junicorna. Pot skropił się na jego zaczerwienionych policzkach. Poszukał uzdy, znalazł ją zwisającą na

boku i pociągnął. Całe lata upłynęły, od kiedy ostatnio jeździł konno, ale jego rodzina ze strony matki to byli sami farmerzy, więc wiedział, o co w tym chodzi.

Junicorn obrócił się i ruszył truchtem wzdłuż krawędzi chmury, podrzucając Aubreya na siodle. Na początku jazda była trudna. Każdy wstrząs wywoływał ukłucia bólu w żołądku i jelitach, a wnętrzności wypełniały się wtedy stalowymi struzynami. Ale szybko się okazało, że gdy opiera się na strzemionach, nie jest tak źle. Ataki bólu w brzuchu stały się słabym pulsowaniem i Aubrey zaczął głębiej oddychać.

Jechał wzdłuż wybrzeży wyspy, przez niskie wydmy i jałowe przestrzenie. Wszystko wydawało mu się znajome i zarazem całkiem nowe. Krajobraz bez przerwy się zmieniał pod działaniem wiatru, mimo to ciągle pozostawał taki sam, hektar za hektarem tłuczonych ziemniaków.

Ostatnim razem, kiedy poruszał się po granicach swoich małych włości, zgubił się na wschodzie w labiryncie urwisk i wąwozów. Teraz jednak ich nie było, wiatr prawie całkowicie wygładził teren. Aubrey przywołał obraz puszystego głazu, który wyglądał jak buldog. Też go nie było.

Dopóki nie zrobili trzech czwartych trasy dookoła wyspy, nie zobaczył nic z tego, co pamiętał ze swojej wcześniejszej wyprawy. Niemal zdrzemnął się w siodle; kołysanie i podrzucanie Junicorna w naturalny sposób podziało na niego usypiająco. Nagle mocny wstrząs wybił go z transu i ból rozprysnął się po jego zaciśniętych wnętrznościach. Aubrey rozejrzał się i zrozumiał, że przeskoczyli przez śnieżną wypukłość, uformowaną prawie dokładnie jak próg zwalniający na drodze. Teraz musieli przestąpić następny, a potem trzeci. Trzy płaskie wzgórki ukształtowane w równoległe wały. Skrzywił się, szarpnął za uzdę i zmusił kobyłę do zatrzymania się.



Powoli, ostrożnie zsunął się z siodła i stanął na własnych nogach. Oparł się o konia, żeby złapać równowagę, i poczekał, aż świat przestanie wirować. Kiedy było już po wszystkim, wziął głęboki wdech i zastanowił się, gdzie się znalazł.

Gdy przechodził tędy poprzednim razem, nie zauważył wielkiego nachylonego bloku w kształcie sześcianu niedaleko centralnego wzgórza. Na gładkiej, bezbarwnej powierzchni nie było wygrawerowanych liter R.I.P., ale Aubrey i tak przypuszczał, że to grób. Teraz, kiedy stał na nogach i rozglądał się, nie rozumiał, dlaczego za pierwszym razem nie zorientował się, że to cmentarz. Często jednak zdarzało mu się nie widzieć tego, co miał przed nosem.

Upadł na kolana i wepchnął palce w zimną, sztywną masę pierwszego grobu. Był zmęczony i nie chciał kopać rękami. Byłoby łatwiej, gdyby miał łopatę. Zamknął oczy i pochylił głowę, próbując sobie wyobrazić doskonały szpadel metrowej długości. Mimo to, gdy otworzył oczy, nie było żadnej łopaty, a Unicorn odsunął się o kilkanaście metrów i przyglądał mu się z niewątpliwą pogardą. Aubrey pomyślał, że to pierwszy raz, kiedy chmura odmówiła mu drobnej przysługi. Ucieszył się. To był znak, że znalazł coś ważnego.

Pociągnął za suwak kombinezonu. Smartfon tkwił w kieszeni szortów. Nie była to prawdziwa łopata, już bardziej tępą ogrodową szpachelką, ale lepsza niż nic. Skrobał i kopał. Kawalki chmury odpadały, lecz jeszcze więcej pojawiała się, żeby wypełnić dziury, jak błoto zsuwające się do rowu w deszczowy dzień. Chmura jednak potrzebowała chwili, żeby zalać wykopane dołki i stwardnieć, i nie nadążała za Aubreyem. Podczas pracy przestał czuć zmęczenie. Nieustanne ukłucia bólu w brzuchu wyostrzyły tylko jego uwagę.

Poluzował wielki kawał miękkiej, białej skały i odkrył pod spodem skrawek spłowiałej czarnej bawełny i kleks jaskrawożółtego jedwabiu. W tym momencie chmura jakby zrezygnowała. Nagrobek

rozpadł się i rozprysnął we wszystkie strony, a z mgły wyłoniło się ciało. Biały dym sączył się z pustych oczodołów.

Szkielet miał na sobie ładny, stary garnitur trzyczęściowy, z surdudem z długimi połami. W kieszonce na piersi tkwiła starannie złożona chusteczka w kolorze kanarkowym. Intensywna żółć zszokowała Aubreya, jakby ktoś wsadził mu głowę do zimnej wody. W świetle chmury wszystko było białe: jak pomniki, jak marmur, jak kość. Te fałdy żółci przypominały wybuch dziecięcego śmiechu w mauzoleum.

Nie było trudno się zorientować, jak umarł ten mężczyzna. Jego czaszka została rozłupana z jednej strony mocnym uderzeniem. Zmarłemu to chyba nie przeszkadzało. Szcherzył do Aubreya małe, szarawe zęby, delikatne jak ziarenka kukurydzy. Jedną szkieletową dłoń ścisnęła rondo cylindra.

Aubrey obrócił się i zaczął rozkopywać następny grób, ale dym już się rozpuścił, chmura oddawała umarłych. Kobieta. Pochowana z parasolką. Małe, czarne buciki ze skóry wystawały spod sukni i płaszcza. Kość nad oczami zapadła się. Aubrey nie wiedział, czy to skutek naturalnego rozkładu, czy ślad po ranie.

Po przeciwnej stronie kobiety leżał kolejny mężczyzna. Za życia musiał być grubasem. Jego kości pływały w ogromnym, czarnym garniturze. Jedną ręką trzymał Biblię króla Jakuba. W drugiej miał pistolet z wielką żelazną lufą. Musiał włożyć go do ust i wypalić. Tylko w ten sposób dało się wytłumaczyć dziurę na szczycie czaszki.

Oddech Aubreya zwolnił. Bolała go głowa i paliły trzewia, chciał się położyć obok tych trzech szkieletów i odpocząć. Zamiast tego jednak podczołgał się do grubasa i wyszarpnął Biblię. Otworzyła się tuż za okładką, tam gdzie wsunięta została ciemnoczerwona, stara wstążka.

Na stronie po lewej widniał tekst: „Dla Marshalla i Nell w dniu ich ślubu, 4 lutego 1859. Miłość nigdy nie ustaje, List do Koryntian.

Z miłością od ciotki Gail”.

Słowa po prawej stronie zostały zapisane ciemnobrązowym tuszem, zamazane tam, gdzie trzęsła się ręka.

„Zostawiliby mnie – baloniarz i Nell – więc zabiłem ich oboje. Nigdy nie będę bliżej nieba! I tak już nie wierzę w Naszego Pana. Ani jedno słowo w tej głupiej książce nie jest prawdziwe. Nie ma Boga, a niebo należy do Diabła”.

Biblia zaciążyła w dłoni Aubreya, jakby była cegłą, nie książką. Położył ją z powrotem na piersi tłuściocha.

Morderstwo, a następnie samobójstwo. Marshall zastrzelił tego w cylindrze – baloniarza, bez wątpienia – potem żonę, a na końcu siebie. Ich kości od tego czasu podróżowały na chmurze – przez prawie sto sześćdziesiąt lat, sądząc po dacie w Biblii. Nell nie była ubrana na biało, więc nie wzbili się w górę w dniu swojego ślubu, ale może zdecydowali się na romantyczne uniesienie podczas miodowego miesiąca. Aubrey obrócił drugą rękę Marshalla, tę ściskającą pistolet, i przyjrzał się obrączce, prostemu złotemu kółku, które z czasem zmatowiało.

Wyłuskał pistolet z gniazda kości. Broń miała nie jedną, nie dwie, lecz cztery lufy, ozdobione wytrawionymi w metalu zawijasami i piórami, oraz wygiętą rękojeść z czarnego orzecha. W rowku pomiędzy dwoma górnymi lufami wybite były słowa CHARLES LANCASTER NEW BOND STREET LONDYN. New Bond Street. Aubrey spacerował nią niemal codziennie, kiedy wychodził z Royal Academy of Music, żeby zjeść lunch. Zaszokowało go, że tu, na górze, w dzikiej krainie niebios, odnalazł kawałek świata, który znał.

Otworzył pistolet. Naboje nie wyglądały jak amunicja do pistoletu, już bardziej jak do strzelby. Aubrey wytrząsnął kule. Trzy miedziane łuski były zniszczone, ale w czwartej tkwiła kula rozmiarów jaja sójki, tak wielka, że to prawie było śmieszne. Prawie, choć nie całkiem.

„Zostawiłem jedną dla ciebie, dzieciaku – Aubrey wyobraził sobie, że grubas mówi do niego. Czaszka Marshalla szczyrzyła małe, ostre i krzywe zęby. – Może ci się przyda. Nigdy nie wiadomo. Za kilka dni, kiedy będziesz za słaby, żeby utrzymać się na nogach, może to okazać się dokładnie tym, co przepisał doktor. W razie potrzeby połknąć jedną dla złagodzenia bólu i proszę nie dzwonić do internisty”.

Kiedy Aubrey wstał, cała krew odpłynęła mu z głowy i popołudnie ściemniało. Zachwiał się, omal nie usiadł z powrotem. Łóżko – pomyślał. Odpoczynek. Mógł się zastanowić nad tragicznym losem ekipy z balonu, gdy poczuje się lepiej. Dał nawet krok w stronę Junicorna, który niespokojnie stukał kopytami w puszysty grunt, i dopiero wtedy zauważył, że ciągle trzyma pistolet z czterema lufami. Zmroziło go to. Wyglądało na to, że podjął jakąś decyzję, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie było powodu, żeby zabierał ze sobą broń, chyba że gdzieś tam w głębi chciał jej użyć.

Odwrócił się, żeby ją odłożyć. Ciała leżały na wierzchu w świetle dnia, głowa dziewczyny u stóp wielkiego bloku nagrobnego kamienia.

Aubrey dopiero w tym momencie skojarzył kilka rzeczy, nawlekł kilkanaście paciorków nic nieznaczących drobiazgów na pojedynczą lśniąca nic.

Przybyli tu, nie mogli się wydostać i umarli, ale ważne było to, że nie przylecieli na spadochronie, tylko balonem. W jakiś sposób znaleźli się na chmurze i co najmniej dwoje z nich planowało powrót. Jak chcieli to zrobić? A poza tym dziwne, że chmura ukryła ciała, pozostawiła jednak nagrobek, ten olbrzymi, prostokątny, gładki blok. Aubrey zastanowił się nad tym. Zauważył też, wtedy właśnie, że pomnik nie miał kształtu tradycyjnego nagrobka, w każdym razie nie takiego, jaki Aubrey by sobie wyobraził. Kiedy chmura coś tworzyła, łóżko, stolik albo kochankę, zawsze kierowała się wzorami w mózgu

swoich gości, ale to nie był wzór niczego. To był kamuflaż i do tego niezbyt dobry.

Aubrey przeszedł zygzakiem między szkieletami i zatrzymał się przed nagrobkiem, który nagrobkiem nie był. Kopnął go raz i drugi, za każdym razem mocniej. Kremowe odpryski chmury poleciały we wszystkie strony. Gdy to nie wystarczyło, Aubrey opadł na kolana i rozdzierał materię rękami. Nie zajęło to długo.

W środku dziwnego pomnika w kształcie sześcianu był wiklinowy kosz, dość duży, żeby pomieścić rodzinę złożoną z pięciu osób. Wypełniał go po brzegi jedwab w kolorach amerykańskiej flagi. Wiklina była tak stara i wysuszona, że prawie utraciła kolor. Jedwab też był w złym stanie, zniszczony i wypłowiejały z czasem, błękit jaśniejszy niż niebo, biel bledsza od chmury.

Aubrey wyciągnął na zewnątrz wielką, drżącą masę. Stos jedwabiu – pamiętał, że baloniarze nazywają to powłoką – nie był już przymocowany do gondoli ani do zardzewiałego palnika, ale został celowo złożony i odsunięty na bok. Od pierścieni wokół czaszy biegł tuzin cienkich linek; były porządnie zwinięte w jeden zwój, a wszystkie żelazne pierścienie w kształcie litery D zebrano w jednym miejscu.

Kiedy Aubrey wyjął jedwab, zobaczył, że kosz jest bardzo uszkodzony. Dno zostało rozerwane, a właściwie oderwane. Gondola była kwadratowa, ale w jednym rogu ratan został przerwany i nic nie łączyło ścianek. To musiał być skutek potężnego uderzenia. W głowie Aubreya pojawił się nagle obraz, jak balon spada na twardą chmurę i wlecze się przez kilkaset metrów, podczas gdy wiklina rozpada się pośród ogłuszających trzasków.

„Zostawiliby mnie” – napisał z żalem gruby Marshall, nikt jednak nie wystartowałby tym wrakiem. Gdyby ktoś spróbował rozpaścić palnik, czasza balonu oderwałaby go od pozostałości kosza.

Aubrey uchwycił skraj śliskiego, starego jedwabiu i potarł go między palcami. Rozłożył materiał starannie, rozpostarł przed sobą. Cały czas pilnował, żeby jego umysł pozostał pusty, głowa czysta i otwarta jak wysokie, błękitne niebo. Prawie dwadzieścia minut zajęło mu rozłożenie ogromnej czaszy, dostatecznie dużej, żeby nakryć parterowy dom. W wielu miejscach między fałdami tkanina wytarła się do gołej osnowy. W innych była cienka jak marzenie. W końcu Aubrey usiadł ze zwojem sznurów na kolanach, sznurów, które zostały specjalnie odłączone od kosza balonu. Kiedy ułożył je przed sobą, całość w zabawny sposób przypominała spadochron.

*Zostawiliby mnie.*

Aubrey był zbyt zmęczony, żeby wdrapywać się z powrotem na Junicorną, ale to nie miało znaczenia. Gdy się rozejrzał, zobaczył, że stwór zniknął.

Powlókł się więc i położył pomiędzy baloniarzem elegancikiem i martwą kobietą. Mógłby wyciągnąć z oparów pod stopami ciepły koc, lecz miał już dosyć tumanów mgły. Zamiast tego naciągnął na siebie jedwab balonu, owinął się w niego i przycisnął zwój sznurów do piersi. Broń uwierała go w nogę, ale nie dość boleśnie, żeby rozsunąć kombinezon i ją wyjąć.

Ciekawe – pomyślał – ile czasu może wytrzymać kula?

## 19

– Umieranie to musi być kawał ciężkiej roboty – powiedziała Harriet podczas stypy. Wyglądała ślicznie w białej bluzce i dopasowanym szarym żakiecie. – Kiedy jesteś zdrowy, wydaje ci się, że będziesz walczyć w każdej sytuacji. Wyciśniesz ostatnią kroplę ze swojego życia. Ale, chłopie, rak. To gównno cię rozwała. To musi być ulga, gdy w końcu cię zabiera. Jak najlepsza w świecie drzemka.

Byli u Morrisów, siedzieli na werandzie z braćmi June i pili piwo Pabst Blue Ribbon.

Starszy z braci, Brad, oparł się o okiennicę, a słońce popołudnia oświetlało mu ramiona. Ronnie zapadł się w jeden z głębokich foteli ogrodowych, wyrzucając w powietrze chmurę kurzu i pyłków, która wirowała w złotej smudze światła. Harriet przysiadła na poręczu.

– Nie ma w tym żadnego sensu – odezwał się Aubrey z jednego z pozostałych foteli. – W tym, kto dostaje pełne życie, a kto nie.

Ronnie był już pijany. Aubrey czuł od niego piwo z odległości metra, czuł zapach alkoholu w jego pocie.

– Ona robiła więcej jednego dnia, leżąc w szpitalnym łóżku, niż ludzie, którzy żyją trzy razy dłużej. – Ronnie znacząco postukał się po skroni. – Robiła to tu, gdzie czas jest bardziej elastyczny. To, co masz w głowie, to wszystko, czego kiedykolwiek dowiesz się o świecie. Więc jeśli coś sobie wyobrażasz, to jakbyś to przeżył. Raz mi powiedziała, że od kiedy skończyła piętnaście lat, romansuje ze Stingiem. Tutaj. – Jeszcze raz znacząco postukał się w skroń. – Pamiętała pokoje hotelowe. Pamiętała, jak siedziała z nim w kawiarni w Nicei, przy

stoliku na zewnątrz, i jak zaczęło padać. To był jej dar. Miała skłonność do dwóch rzeczy: fantazjowania i raka.

Aubrey pomyślał, że to połączenie zgrzyta, takie mądrości wychodziły zazwyczaj z ust pijaków. Wyobraźnia to rak serca. Te wszystkie życia, które nosiło się w głowie i których nigdy nie dało się przeżyć – przepełniały człowieka, aż nie mógł oddychać. On sam czuł, że nie może oddychać, kiedy tylko wyobrażał sobie, że Harriet przeżyje resztę życia bez niego.

– A co z jej listą? – spytała Harriet. – Co z tymi rzeczami, które chce, żebym dla niej zrobiła? Skok z samolotu, surfowanie u wybrzeży Afryki? – Znow zaczęła płakać. Chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Płakała łatwo i pięknie. – Co z listą niespełnionych marzeń, którą mi zostawiła?

Ronnie i Brad pokręcili głowami. Harriet patrzyła na nich oczami rozszerzonymi ze zdziwienia i z nadzieją, jakby mieli wyjawić jakiś zdumiewający zapis pozostawiony przez June dla ukochanej i najlepszej przyjaciółki.

– Ona wcale nie chciała robić tych wszystkich rzeczy – wyjaśnił Ronnie. – Chciała, żebyś ty je zrobiła, bo ona i tak już świetnie się bawiła, przeżywając je. W swojej głowie. – Znowu postukał się w skroń. Jeśli łeb nie bolał go jeszcze od piwa, za chwilę musiał zacząć od tego całego stukania.

– To co robimy najpierw? – zapytał Aubrey.

Harriet spojrzała na niego obojętnie. Przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl: może zapomniała, że on tam jest.

– Skoczmy dla niej – powiedział Brad. – Już zrobiłem rezerwację.

– Skoczmy z nią – poprawiła go Harriet, przytulając małego Unicorna, którego nosiła ze sobą przez cały dzień.

– Kiedy ruszamy? – dopytał Aubrey.



– Och, Aubrey – rzuciła Harriet. – Ty nie musisz. Masz lęk wysokości.

– Nie myślałem o nim ani razu, od kiedy biorę prochy – odpowiedział. – I dzięki Bogu. Nie chcę za bardzo się bać, bo inaczej nie będę mógł dzielić najważniejszych rzeczy z najważniejszymi ludźmi w moim życiu.

Harriet nie ustępowała:

– Już tak dużo zrobiłeś dla June. Sprawiliś, że nasz zespół dawało się słuchać. Ona cię strasznie kochała, wiesz o tym. – Pochyliła się i postukała go kostkami palców po udzie. – Mówiła mi to cały czas przez ostatnich kilka miesięcy.

– To samo czuła do ciebie. Byłaś jej ulubionym tematem do rozmów.

Harriet obdarzyła go roztargnionym uśmiechem i spytała:

– O czym jeszcze rozmawialiście?

Aubrey miał wrażenie, że próbuje sterować rozmową w jakimś kierunku, ale nie wiedział w jakim.

– June chciała, żebym ruszył z miejsca – powiedział. – I to chcę zrobić. Mam zamiar ruszyć od razu, od pierwszego punktu na liście.

– Porządny z ciebie człowiek – stwierdził Ronnie. – Skaczemy za sześć tygodni.

Aubrey uniósł podbródek na znak zgody, ale żołądek zacisnął mu się od nerwowego napięcia. Sześć tygodni to niedługo. Niewykluczone, że niepewność odbiła się na jego twarzy. Harriet przyglądała mu się ze spokojnym, mokrookim zainteresowaniem i... Co to, do kurwy? Jak to się stało, że siedziała Ronniemu na kolanach?

Przeszkadzał mu ten widok, wzbudził w nim dziwną urazę.

– Oczywiście moglibyśmy też po prostu skoczyć w wyobraźni – zaproponował. – I zaoszczędzić pieniądze.

Ronnie zmarszczył brwi.

– I okazać się cipami.

– Przed chwilą powiedziałeś, że jak ktoś coś sobie wyobraża, to jakby to przeżył.

– Jezu, człowieku! – zawył Ronnie i rozplakał się. – Dopiero co straciłem siostrę, a ty zaczynasz chujową kłótnię?

Kiedy Aubrey się obudził, prawie jedenaście godzin później, wiedział coś, co powinien był zrozumieć wiele miesięcy wcześniej. June nie powiedziała mu, żeby ruszył z miejsca w sprawie Harriet, bo troszczyła się o niego. Powiedziała mu to, bo troszczyła się o Harriet, a Harriet była zbyt słodka – albo, jeśli wolicie, za mało asertywna – żeby posłać Aubreya do diabła. Właśnie o tym myślała w dniu pogrzebu, gdy spytała: „O czym jeszcze rozmawialiście?”.

Harriet i June miały przed sobą być może jeszcze tylko kilka głupich folkowych występów, a potem wszystko by się skończyło, ale on wciął się tamtego wieczoru w Slithy Toves. Przekształcił to w coś o wiele poważniejszego, niż miało być i niż one chciały, żeby było. Dziewczyny zrobiły mu miejsce w swoim życiu, dopiero jednak wtedy, kiedy wszedł tam z łokciami i narzucił ich nieszkodliwej zabawie własne ambicje.

Tak naprawdę na ziemi nie został nikt, z wyjątkiem jego matki, kto nie doszedłby szybko do siebie po jego niewytłumaczalnym zniknięciu. Na dole nie czekało na niego żadne życie, bo nigdy żadnego nie zbudował. Zostawił równie dużo śladów co chmura wędrująca nad polem. Ta myśl go wkurzyła i sprawiła, że tym bardziej zapragnął wrócić.

Złożył jedwab balonu w taki sposób jak wcześniej, wzdłuż nadzartych przez czas linii. Kiedy to robił, zauważył, że czasę przeprojektowano, żeby otwierała się szerzej niż w normalnych

balonach, chociaż linki nadal mogły ją ściągnąć w jeden wąski okrąg, mniej więcej średnicy męskiej talii.

Aubrey potruchtał przez strzępiaste kłęby chmury z grubą masą jedwabiu pod jednym ramieniem i zwojem lin pod drugim. Powietrze, które wydychał, zamieniało się w mgiełkę. Trząśł się, nie wiedział jednak, czy to z zimna, czy z oburzenia. Wstydził się tego, jak zabiegał o Harriet, chociaż ona w tak oczywisty sposób go nie chciała, wstydził się, że próbował wycofać się ze skoku z samolotu, wstydził, że miał dwadzieścia trzy lata i jeszcze nie zaczął żyć. Uczepił się swojego wstydu, jakby to był jakiś rodzaj broni, może nawet lepszy niż pistolet.

Jego łóżko, łazienka i wieszak były tam, gdzie je zostawił. Powiesił zwój jedwabiu obok uprząży do skoków. Jeśli był sens go zatrzymać... cóż, nie chciał o tym zbyt intensywnie myśleć. Nie teraz. Nie, kiedy miał broń. Pistolet po raz ostatni został użyty do popełnienia samobójstwa, ale Aubrey uważał, że da mu inną, lepszą możliwość ucieczki. Jedwab i linki przydadzą się później, jeśli wszystko inne zawiedzie i gdy Aubrey naprawdę, z całego serca, będzie chciał się zabić.

Zgarnął kask, zapiął go pod brodą (bo nie idzie się na wojnę bez zbroi) i ruszył w kierunku pałacu. Wieżyczki i strzeliste blanki sięgały wysoko w niebo, a nad wszystkim górowała centralna kopuła. Już raz próbował się na nią wspiąć, ale został odciągnięty. Uznał, że czas się dowiedzieć od czego. Chmura czegoś tam strzegła, to zaś znaczyło... że można temu zagrozić.

Maszerował w stronę pałacowej bramy. Zastanawiał się, co znajdzie, jeśli zdoła dotrzeć na sam szczyt kremowobiałej czaszy. Po głowie krążyła mu dzika, nawet trochę histeryczna myśl, że jest tam panel kontrolny, właz z ukrytym kokpitem. Wyobraził sobie czarny skórzany fotel w maleńkiej kapsule wypełnionej błyskającymi

światełkami i jaskrawoczerwoną dźwignię z napisami GÓRA i DÓŁ. Ta myśl była tak uroczo głupia, że musiał się roześmiać.

Wciąż śmiał się do siebie, kiedy dotarł do fosy wokół pałacu i zobaczył, że zwodzony most został wciągnięty. Od rozdziawionej bramy prowadzącej na dziedziniec dzieliły go cztery metry otwartego nieba.

Wtedy spoważniał.

Pokryte zielenią fałdy ziemi w dole lśniły w roztopionym, złotym blasku pierwszych promieni słońca. Wzgórza rzucały rozległe jeziora cieni na doliny. Aubrey dostrzegł czerwoną stodołę i srebrny silos, a także bladozielone pole poorane w kosmate bruzdy i kilka żółtych guziczków, które prawdopodobnie były stogami siana.

Niebieska Harriet patrzyła na niego z drugiej strony fosy, skręcając się nerwowo w swojej sukni. Jej twarz greckiego posągu była przerażona i pozbawiona nadziei.

Puls walił mu jak dłoń uderzająca w barbarzyński bęben.

– Co zrobisz, jeśli dam krok do przodu? Pozwolisz mi spaść? Jeśli mogłabyś mnie zrzucić, czy nie zrobiłabyś tego wcześniej? – spytał ją. – Ja myślę, że to wbrew zasadom.

Nie był pewien, czy rzeczywiście tak uważa. Ale chmura unosiła baloniarzy nawet po ich śmierci, unosiła ich przez wszystkie te lata, a mogła przecież w każdej chwili pożeglować nad jezioro Erie i zrzucić ich tam bez śladu. Zatrzymywała zatem, co złapała. Kiedy dotarło do niego, że on właśnie zamierza sprawdzić tę hipotezę, poczuł, jak jego zmęczone wnętrza ciężko i powoli się skręcają.

– Żadna z rzeczy, które mi pokazałaś, nie była prawdziwa, więc twoja fosa też nie jest – powiedział.

Zamknął oczy i podniósł nogę. Jego płuca skurczyły się w piersi. Jądra podciągnęły się tak blisko ciała, że aż zaboląły.

Aubrey dał krok do przodu.

I zaczął spadać. Otworzył oczy, gdy leciał już głową naprzód.

Chmura zapieniła się i rozprysła. Przez chwilę pikował w otwarte niebo. Ale potem opadł na ręce i kolana, a żywa mgła zagotowała się pod nim i złapała go.

Kłębiący się opar ścielił się dalej w poprzek fosy, aż uformował nad przepaścią smukły most. Aubrey rozejrzał się w poszukiwaniu Niebieskiej Harriet, ona jednak się rozpuściła.

Dźwignął się niepewnie na nogi. Krata z mgły opuściła się w prześwicie bramy. Pochylił głowę i wszedł w nią.

Pasy chmury rozciągnęły się jak lina do bungee, oplotły ciasno jego przypominający kulę do kręgli kask. Naparł na nie, zrobił jeden mały krok do przodu, potem następny. Krata się zniekształciła, jakby była wykonana z włóczki, a po chwili nagle cała się rozdarła i poleciał twarzą do przodu na dziedziniec.

Gdy się pozbierał, ruszył do wielkiej hali.

Czekał tam na niego harem: dwa tuziny gibkich dziewcząt z najbielszej bieli, smukłe marmurowe piękności, niektóre ubrane w opalizujące jedwabie, a inne nagie. W otwartej przestrzeni ustawiono sofy i łóżka i dziewczyny rozkładały się na nich, zwijały się w swoich ramionach i pomiędzy swoimi nogami.

Inne dziewczęta sunęły ku niemu, wpatrując się przed siebie ślepych oczami, z wyrazem rozpaczliwej ochoty na twarzach. Jakaś kobieta chwyciła go od tyłu, piersi jak poduszki przycisnęła do jego pleców, a usta do szyi. Niebieska Harriet czekała już przed nim na kolanach, sięgając do suwaka kombinezonu.

Strącił jej głowę jednym mocnym uderzeniem. Z taką siłą wywinął się z ramion kobiety ściskającej go od tyłu, że jej dłonie odpadły, ciągnąc za sobą nitki pary. Brnął przed siebie wśród nagich ciał. Próbowwały go otoczyć wszystkie dziewczyny, o których kiedykolwiek myślał, waląc konia: począwszy od jego pierwszej nauczycielki

wiolonczeli, a skończywszy na Jennifer Lawrence. Torował sobie między nimi drogę, rozdierając je na szarfy perłowej mgły.

Wszedł na schody. W jadalni stali wojownicy: napakowani, piankowi mężczyźni, wysocy na trzy, cztery metry, z bawełnianymi pałkami i wielkimi młotami z obłoków. Gorzej ich uformowano niż dziewczęta w holu poniżej. Mieli dłonie jak z plasteliny i ramiona spęczniałe w buły, bardziej podobne do części ciała postaci z komiksów niż do prawdziwych ludzkich.

Aubrey Griffin, choć ostatnio bił się na pięści, kiedy miał lat dziewięć, ucieszył się na ich widok. Oddychał ciężko, a krew w nim dudniła.

Wojownik zamierzył się swoim chmurowym młotem – jego obuch był olbrzymi jak indyk na Święto Dziękczynienia – i uderzył go w pierś. Aubrey zdziwił się, jak bardzo to zabolalo i jak silny był cios, który odczuł w całym ciele. Ale chwycił koniec młota i już nie puścił. Obracał się, wykręcając i ciągnąc młot za sobą.

Te rzeczy, te kształty z twardej chmury były słabe na złączach. Musiały być, inaczej nie mogłyby się zginać ani ruszać. Wyszarpnął młot atakującemu, a razem z nim wyrwał mu ramię. Przeleciał przez całą drogę, wirując wokół własnej osi, aż w końcu wypuścił zdobytą broń. Młot wciął się w nadciągającą masę gigantów. Rozdarł jednego na pół, przecinając go w talii, tak że górna połowa ciała zwała się na podłogę. Młot nadal leciał po łuku i oderwał jeszcze głowę maruderowi z tyłu.

Gładiatorzy z chmury rzucili się na Aubreya z pięściami i pałkami.

Wyrwał więc najbliższe ramię i użył go jako kosy, ścinając pierwszą falę przed sobą, tak jak chłopiec atakujący krzaki kijem. Przebijał się przez nich, jakby brnął zanurzony po pas w słodkim kremie.



Cofnęli się, uciekając raczej przed radosną furią Aubreya, jego podwiniętą górną wargą i odsłoniętymi zębami niż przed jego pięściami. Chmura nie miała odwagi zrealizować własnych planów i nie chciała go zranić, tak jak nie chciała pozwolić, żeby spadł. On jednak nie miał takich skrupułów. Kiedy dotarł na środek hali, dyszał i mimo chłodu ociekał potem. I był sam.

Ruszył w stronę, gdzie powinien stać pałac, ale takiego miejsca w ogóle nie było. Chmura zrobiła wejście i salę bankietową, po czym skończyły jej się pomysły. Przeszedł pod kolejnym strzelistym łukiem i znalazł się u stóp kopuły.

Szczyt był daleko, kilkadziesiąt metrów nad nim. Gdy Aubrey na niego spojrzał, zakreśliło mu się w głowie. Ale było w tym coś jeszcze gorszego – duch szklistej, czarnej perły, unoszący się na skraju jego myśli.

Wziął długi, głęboki oddech i zaczął się wspinać.

Rozkaz STOP uderzył w niego z taką siłą, że Aubrey prawie fizycznie odczuł cios z tyłu głowy. Ale kiedy jego myśli powróciły, znajdował się już dobre sześć metrów nad chmurą. Pomruగాł załawionymi oczami, sięgnął przed siebie i wcisnął rękę w stok.

Komenda znów go przygwoździła, tak jak człowiek, który przydeptuje zranioną osę, żeby przestała się czołgać.

On jednak nie przestał się czołgać. Odepchnął to.

NIE! – ryknął, chociaż nie wydał z siebie dźwięku. To była myśl, obrzydliwy odruch.

Z jego oczu znowu popłynęły łzy. Grań olśniewającej, białej kopuły stała się nieostra, ale po chwili pojawiła się ponownie. Ciągle się wspinał, był dwadzieścia, trzydzieści metrów wyżej.

Cokolwiek wysyłało te myślowe ciosy, w tym momencie się zawahało. Może nie było przyzwyczajone, żeby na nie wrzeszczeć. Aubrey pokonał kolejnych dziesięć metrów i dotarł do miejsca, gdzie krzywizna stała się na tyle łagodna, że mógł bezpiecznie stanąć. Właśnie się dźwigał na chwiejnych nogach, kiedy czarna perła zadała mu cios poniżej pasa, uderzyła go znowu. Zachwiał się, stracił równowagę, jedna stopa wysunęła się i uciekła spod ciała. Gdyby odchylił się do tyłu, spadłby czterdzieści metrów na sam dół. Ale upadł do przodu, na brzuch i walnął w podłoże tak mocno, że powietrze uleciało mu z płuc. Rozciągnął się, rozrzucił ręce i nogi w kształt litery X i przycisnął się mocno do zakrzywionego zbocza chmury.

– Och, ty suko – powiedział i zmusił się do ukłęknięcia, a potem z powrotem wstał.

Parł dalej. Z każdym urywanym oddechem lodowate powietrze rozrywało mu piersi. Stopniowo do jego świadomości znów dotarł galwaniczny szum, który słyszał i wyczuwał tuż pod stopami. Tak jakby stał na stalowej platformie i czekał na nadjeżdżający pociąg. W miarę jak się wspinał, brzęczący dźwięk narastał, aż zmienił się w głębokie, mechaniczne buczenie, przywodzące na myśl pierwszą nutę z piosenki Beatlesów *I Feel Fine*.

Przestał się wdrapywać jakieś pięćdziesiąt kroków od szczytu kopuły i wtedy zachwiał się na piętach. W głowie mu pulsowało. W uszach też.

Po raz pierwszy zobaczył, że stoi na czymś, co nie jest chmurą. Miało kolor chmury, matowy odcień cyny, ale było twardsze niż wszystko, czego dotykał do tej pory. To coś było tutaj, ukryte pod dywanem z oparu o grubości zaledwie kilku centymetrów.

Aubrey upadł na kolana i odsunął dym dłońmi. Wydawało się, że chmurze brak woli albo gęstości, żeby słać się w tym miejscu grubszą warstwą. Pod spodem znajdowała się krzywizna chyba największej na świecie perły, perły wielkości dziesięciopiętrowego budynku. Nie była czarna, bardziej przypominała wypolerowaną kulę lodu. Tylko że lód jest zimny, a to było ciepłe i brzęczało jak transformator.

I jeszcze jedna rzecz. Aubrey dostrzegł coś w środku. Jakiś niewyraźny kształt. Wyglądało to jak węgorz zamarznięty w nie-lodzie.

Aubrey zaczął się czołgać, dmuchaniem odganiając chmurę z drogi. Para nie stawiała tu oporu. Odkrył coś, co przypominało złoty drut grubości włosa, wystający na zewnątrz zmaconego szkła. Kilkanaście metrów dalej znalazł kolejną złotą nić. Wkrótce trafił też na trzecią

i czwartą. Wszystkie biegły ku szczytowi kuli i oplatały ją delikatną siecią.

Kiedy przesunął dłonią nad jednym z tych drutów, poczuł na skórze chłodny oddech. Zatrzymał się, pochylił niżej i zobaczył, że linie były podziurawione tysiącami maleńkich otworków, z których wylatywały pasma białego dymu.

To tu powstawała ta cała niemożliwa substancja chmury. Perła nosiła płaszcz ze złotych nici, które wytwarzały chmurę jako rodzaj kamuflażu, wydzielając dym lżejszy od powietrza, ale równie wytrzymały jak ludzka skóra. To nie była magia, tylko maszyna.

Za tą myślą zaraz przyszła następna. Nic nie przeszkadzało mu już snuć rozważań. Od kiedy znalazł pierwszą złotą nić, nie czuł psychicznego nacisku czarnej, szklistej masy.

Jestem za jej linią obrony – pomyślał, nie wiedząc, skąd ta pewność. Nie może tu ze mną walczyć. I nie może się ukryć.

Spojrzał znowu przez złotą sieć do środka nie-łodu i dostrzegł drugiego zamrożonego węgorza, grubego jak udo mężczyzny. Odgarniając po drodze cienki opar, podążył za zarysem kształtu, bo chciał się przekonać, dokąd go zaprowadzi.

W końcu znalazł się na samym szczycie. Wydał wargi, zdmuchnął warstwę dymu i nareszcie zobaczył to, co od piętnastu minut już słyszał. Kula była przykryta czymś w rodzaju odwróconej do góry dnem misy z pięknej złotej folii. Setki lśniących nici wychodziły ze środka jak szprychy z piasty koła. Misa emitowała nieustanne elektryczne brzęczenie, które Aubrey czuł we włoskach na przedramionach, na powierzchni skóry, we wnętrznościach.

Wstał i otarł ramieniem czoło. Gdy spoglądał pod złotą misę, w głąb wielkiej kuli z nie-szkła, jego wzrok odzyskał ostrość. Chwilę zajęło, zanim zrozumiał, na co patrzy, ale kiedy myśl wskoczyła na swoje miejsce, Aubreyowi zakręciło się w głowie.

To była twarz. Szara, gładka sfera miała w środku głowę, większą niż głowa kaszalota. Aubrey dojrzał jedno zamknięte oko, zwrócone w jego stronę, oko o średnicy mniej więcej wanny. Poniżej rosła broda z macek – to były te węgorze, które widział wcześniej – każdy wyrostek grubszy od węża strażackiego. Trudno było powiedzieć, jakiego koloru jest to stworzenie. Wszystko wewnątrz kuli miało zielonkawoszary odcień, jak stary, zimny glut.

Aubrey opadł na kolana. Złota misa na szczycie perły nieustannie szumiała. Pomyślał, że ta istota w środku nie-łodu umarła albo znajduje się w śpiączce bardzo bliskiej śmierci, natomiast maszyna, która ją skrywa, jest żywa i w świetnym stanie.

Coś poruszyło się na skraju jego pola widzenia i Aubrey obrócił głowę. Niebieska Harriet czekała kilka metrów dalej, nerwowo wyłamując sobie palce. Rąbek jej jasnej szaty, doskonałej do ślubu, ocierał się o stalowoszare nie-szkło podłoża.

Aubrey wskazał twarz w kuli.

– Co to jest? Czy to ty jesteś w środku?! – zawołał do Harriet. – To jesteś prawdziwa ty?!

Nie był pewny, czy zrozumiała, i znowu pomyślał o dziecku, które przegląda magazyn z obrazkami. Ale ona rozpaczliwie potrząsnęła głową i objęła się ramionami.

Nie, raczej nie. Zastanowił się jeszcze raz (z nadzieją, że uda mu się bardziej skupić): cokolwiek tam było na dole, było martwe. Ona – chmura – była czymś w rodzaju... Czego? Obronnego drona? Zwierzątka domowego?

Pochylił się lekko do przodu i położył dłoń na pofałdowanej, odwróconej do góry dnem misie ze złotej folii.

To było jak wetknięcie palca do kontaktu. Poraził go tak duży ładunek elektryczny, że całe jego ciało zeszywniało, a zęby się zacisnęły. Przez chwilę nic nie widział, bo przed jego oczami

ekspłodowało srebrne światło, jakby tuzin żarówek wybuchł mu jednocześnie w twarz. To jednak, co go zmiażdżyło, to nie była elektryczność, ale coś jak pięćset tysięcy woltów samotności, uczucie tak mocne, że mogło zabić.

Wyszarpnął dłoń. Kiedy zamrugał, żeby zatrzeć poświatę tych wszystkich błysków, Niebieska Harriet patrzyła na niego z czymś na kształt lęku.

Aubrey położył sobie lewą rękę na piersi. Czuł w niej kłucie jak od igieł.

– Przykro mi – powiedział. – Tak mi przykro z twojego powodu. Ale nie możesz mnie tu trzymać. Zabijasz mnie. Przykro mi, że jesteś samotna, ale musisz pozwolić mi odejść. Ja... ja nie chcę już z tobą być.

Patrzyła na niego z kompletnym brakiem zrozumienia.

Nie był zdziwiony, czuł tylko zmęczenie i rozczarowanie. Wrażliwa i empatyczna forma życia, zrobiona z mgły, przybyła na ten świat, kto wie jak dawno temu, w jednym jedynym celu – żeby ukrywać i chronić głowę w kuli. Monstrualną, milczącą rzecz, która być może nawet nie przetrwała podróży.

Świadomość chmury kierowała się wyłącznie jedną zasadą: chronić swój ładunek przed odkryciem. Nie mogła zawieść. Nie mogła puścić wolno nikogo, kto byłby w stanie zagrozić tej rzeczy w środku kuli, odciętej głowie wielkości domu. Żywy dym zatrzymał baloniarzy – i bez wątpienia próbował ich zadowolić – żeby nie czuć się samotnie. A teraz więził Aubreya, z tego samego powodu. Nie rozumiał, że to tylko chwilowa ulga w jego cierpieniu, przerwa w nieskończonej samotności, Aubreya zaś miała kosztować jedyne życie, jakie posiadał.

Może chmura tak naprawdę nie pojmowała, czym jest śmierć. Może myślała, że baloniarze nadal tam są, tylko bardzo cisi i spokojni, trochę jak stworzenie wewnątrz kuli. W końcu ile wiedziała żyjąca chmura? Ile mogła wiedzieć? Głowa w środku kuli niewątpliwie miała

mózg wielkości garażu na dwa samochody. Ale myślący, czujący dym... to były jedynie jakieś zwarcia we wnętrzu niedużej złotej misy.

– Muszę się dostać na dół – odezwał się Aubrey. – Chcę, żebyś mnie gdzieś opuściła. Zostaw mnie na szczycie góry, a ja obiecuję, że nigdy nikomu o tym nie powiem. Możesz mi ufać. Możesz zajrzeć w moje myśli i zobaczyć, że nie oszukuję.

Harriet potrząsnęła głową, bardzo smutno i bardzo poważnie.

– Nie rozumiesz. Ja nie proszę. To nie jest prośba. To jest propozycja – powiedział. – Sprowadź mnie na dół, a ja nie będę zmuszony użyć tego.

I wyjął z kieszeni broń.

Przekrzywiła głowę, trochę jak pies, który właśnie usłyszał gdzieś daleko interesujący dźwięk. Nawet jeśli wiedziała, co robi pistolet – a przecież musiała wiedzieć, z pewnością była tu, kiedy ostatnio był używany – nie zdradziła się z tym. Aubrey czuł, że musi jej wytłumaczyć.

– To jest pistolet. Może spowodować poważne szkody. Nie chcę cię zranić – wyjaśnił. – Ani twojego przyjaciela tutaj. Ale zrobię to, jeśli nie wyślesz mnie bezpiecznie na dół.

Potrząsnęła głową.

– Muszę. Dostać. Się. Na. Dół.

Trzy ostatnie słowa podkreślił, stukając pistoletem w misę, za każdym razem trochę mocniej. Bong, bong, bong.

Gdy uderzył po raz trzeci, jej ciało z mgły pomarszczyło się jak kawałek ligniny trzepoczący na lekkim wietrze. Cofnęła się o krok. Nie był pewien, czy w ogóle mogła podejść bliżej. Mgła w tym miejscu była najcieńsza. Ledwo zakrywała kopułę.

Najwyraźniej zamierzała pozwolić mu strzelić. Nie myślał, że do tego dojdzie. Sądził, że wystarczy wleźć na górę i wycelować broń w kierunku tego, co ukrywała, czymkolwiek to było. Nie upewnił się nawet, czy stuletni pocisk zdoła wypalić, a nawet jeśli, nie spodziewał się, żeby kula przebiła to, na czym siedział. Nie miał złudzeń, że ogromna perła pod nim pochodziła z Bardzo Daleka i została skonstruowana, żeby wytrzymać o wiele więcej niż pocisk z jakiejś dziewiętnastowiecznej frymuśnej pukawki.



Czy ona wiedziała, że pistolet może wypalić tylko raz, jeśli w ogóle? Niemożliwe – pomyślał, chociaż nie miał pewności, rozpaczliwie jednak tego pragnął. Nie, musiał to rozegrać, naciskać tak mocno, jak tylko się da. Nie wiedział jeszcze, czy żeby udowodnić, że broń działa, wyceluje w powietrze, czy raczej odważy się wystrzelić w kulę albo złotą misę. Nie miał jedynie wątpliwości, że jeśli ma się to udać, musi działać dalej, musi być gotowy nacisnąć spust.

– Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił – poprosił. – Jeśli zostanę do tego zmuszony, nie zawaham się. Więc proszę.

Patrzyła na niego z wyrazem dzikiego, bezmózgiego oczekiwania.

Pistolet miał cztery smukłe, eleganckie kurki, upakowane ciasno razem, jeden na każdą lufę. Aubrey w myślach odciągnął je wszystkie kciukiem do tyłu, jednym ruchem, z głośnym kliknięciem, jak Wyjęty spod Prawa Josey Wales, szykujący się pośród biegaczy pustynnych, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Zdziwił się więc, kiedy naprawdę je odciągnął, a one nie wskoczyły na pozycję gotową do strzału. Opuścił pistolet i przyjrzał się kurkom. Były szczipione rdzawą koronką i musiał odciągać je pojedynczo. Z zaciśniętymi zębami siłował się z pierwszym. Przez prawie całą nedorzeczną minutę nic się nie działo. Naciskał i naciskał, czując, że dramatyczny efekt jego groźby rozplywa się z każdą sekundą.

A potem, nagle, kurek zaskoczył z przyjemnym, metalicznym chrzęstem, a dookoła poleciały płatki rdzy. Ręka Aubreya pulsowała, od nacisku zrobił mu się siniak, głębokie, niebieskawe wgłębienie w dłoni. Uchwycił następny kurek i odciągnął go oboma kciukami, wkładając w to całą siłę, jaką mógł z siebie wykrzesać. To było jak otwieranie wyjątkowo upartego słoika pikli. Po chwili, równie nagle jak poprzedni, kurek odskoczył do tyłu i dał się zablokować w pozycji do strzału. Aubrey wypuścił z płuc powietrze i poczuł, jak powraca

jego pewność siebie; kciukami chwycił trzeci kurek, gotów wykorzystać do tego całą swoją moc.

Ale trzeci kurek odskoczył od razu, tak niespodziewanie, że Aubrey go puścił i broń wypaliła z gorącym błyskiem światła i suchym kasznięciem, jak gaźnik bardzo starego samochodu.

Siarka buchnęła Aubreyowi w twarz, opaliła jego nozdrza. Lufy nie były wycelowane w kierunku złotej misy, ale raczej pod kątem, w zakrzywioną powierzchnię gładkiego, szarego globu. Pocisk wyłobił szczelinę w sferze i przerwał jeden z tych cienkich jak włos złotych drutów. Zniszczona złota linka zaczęła pryskać czymś, co wyglądało jak miliard lśniących płatków śniegu. Na powierzchni kuli, w miejscu, gdzie uderzył pocisk, pojawiła się wąska szczelina.

Nieustanny, niski, brzęczący dźwięk zmienił ton, stał się napięty i zaczął odbijać się echem.

Aubrey odsunął się – od tego dźwięku, od syczącego strumienia maleńkich cząstek, od szczeliny w nie-szklanej kuli. Spojrzał na pistolet, a potem odrzucił go od siebie z przerażeniem. To był, dobrze o tym wiedział, pierwszy, naturalny odruch każdego mordercy: pozbyć się broni. Pistolet odbił się od szkła, zsunął w dół zbocza i zniknął z pola widzenia w nagle poruszonym dymie.

Aubrey rozejrzał się za swoją Niebieską Harriet. Cofała się chwiejnym krokiem i jednocześnie się rozpuszczała, trochę jak czarownica z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Tonęła w musującym dymie, rozpływając się aż do bioder. Jej ramiona już zniknęły i teraz jeszcze bardziej przypominała grecki posąg.

Aubrey obrócił się wkoło. Z tego miejsca mógł zobaczyć całą swoją chmurową wyspę. Popatrzył na minarety i blanki. Zapadały się. Na jego oczach wieża zachwiała się, osiadła i upadła w breję – wielką górę trzęsącej się białej bitej śmietany. Inna złożyła się wpół, przyjmując postawę mężczyzny, który się schyla, żeby spojrzeć na

swój rozporek. Pozostała część chmury za pałacem wiła się, smagana wiatrem. Powierzchnia była posiekana, podmuchy chwytaly zmaczone fale i wyrzucały dym w górę jak morską pianę.

Przerażenie wbiło Aubreya w podłozę. Tym, co w końcu sprawiło, że się poruszył, nie był ani rozpuszczający się pałac, ani gotująca się chmura, ani prysznic prawdopodobnie toksycznych cząsteczek z przerwanego kabla. Nie mógł się ruszyć, dopóki nie zerknął w dół, pomiędzy swoje stopy.

Dokładnie poniżej oko w groteskowej, ogromnej twarzy otworzyło się w wąską szczelinę. Gałka oczna pod powieką była czerwona, upstrzona czarnymi plamkami, jak kula wypełniona krwią i pełna martwych much. Przesunęła się tępo, sennie w jedną stronę i w drugą, zanim zatrzymała się wpatrzona: w niego.

Aubrey uciekł. To nie był jego wybór, to nie było coś, czemu poświęcił chociaż jedną myśl. Nogi po prostu go poniosły – jak w piosence *Feet Don't Fail Me Now* – zabierając go z dala od szczytu perły, z dala od potwornej twarzy, z dala od buczenia złotego dysku coraz bardziej przypominającego bzyczenie osy.

Pobiegł w dół krzywizny, w wirujący dym, aż nagle twarda, gładka powierzchnia pod jego stopami stała się stromą rampą i nogi mu uciekły. Upadł na tyłek i zsunął się prawie trzydzieści metrów w dół, zanim zdołał się przekręcić i czegoś złapać. Kolejnych trzydzieści metrów pokonał w serii kontrolowanych spadków, chwytając się chmury, zwieszając, puszczając, chwytając się następnego uchwytu, huśtając się jak mała, aż na sam dół.

Aubrey w końcu odpadł od ściany i przeleciał ostatnie cztery metry. Spodziewał się sprężystego lądowania, kiedy jego stopy uderzą w podłozę. Zamiast tego przez jedną straszną chwilę spadał w głąb chmury, jak przez każdą inną chmurę.

Zatrzymał się, bo chmura zgęstniała i naparła na niego ze wszystkich stron. Czuł, jakby zapadł się po pas w wilgotnym piachu. W tej pozycji miał czas, żeby dostrzec, co się stało z salą bankietową. Zapadła się do środka, jak trafiona bombą. Urwiste, spękane ściany wznosiły się wszędzie dookoła. Na podłodze leżała rozrzucona masa poduszek w kształcie głazów.

Wyciągnął się i uwolnił, po czym zaczął się wspinać po ruinach. Cały czas miał wrażenie, że wzgórki i bryły z na wpeł zestalonego dymu pod nim podskakują, niesione przez szybki prąd powodzi. Wydawało mu się, że niestabilne bloki mogą w każdej chwili przekreślić się i zrzucić go przez kłębiącą się biel w kierunku ziemi. Chmura traciła zwartość, swoją zdolność do zestalania się – chociaż Aubrey nie nazywał tego „zwartością”. Słowo, które mu się nasunęło, kiedy rozpaczliwie gramolił się przez szlam, to „osobowość”.

Zbiegł z wielkich schodów, pokonując po trzy stopnie. Ostatnie osiem zagotowało się i spieniło, zanim zdołał do nich dotrzeć, potknął się więc i upadł, ślizgając się po chmurze jak dzieciak, który przy ogromnej prędkości spadł z sanek i teraz je śnieg.

Wstał i znowu ruszył, przeskakując ponad zdeformowanymi kształtami, rozrzuconymi po całej podłodze w holu. Stopione jak żużel ciała fantomowych kochanek sięgały po niego wyciągniętymi pazurami. Głowy wyskakiwały z mlecznej zupy na ziemi, a zniszczone twarze miały utrwalony wyraz paniki. Aubrey nastąpił na co najmniej jedną z nich, kiedy biegł do bramy.

Zdawał sobie sprawę, że mostu w poprzek fosy może nie być. Odepchnął zwisające nici rozpuszczającej się kraty. To było uczucie, jakby wszedł głową do przodu w zimną, wilgotną od rosy pajęczynę. Minął bramę i biegł dalej, i wtedy dostrzegł, że wysoki łuk mostu zawalił się w centrum. I nie tylko to – zwijał się w stronę obu końców, szybko znikając w ścianach fosy. Serce zerwało się w piersi Aubreya

jak balon na gorące powietrze wznoszący się ze świata poniżej. Nie myślał, nie zwolnił. Przyspieszył. Jeden krok, dwa, po ostatnim, cienkim, rozpływającym się fragmencie mostu, a potem skoczył.

Przeskoczył dziurę, mając metr zapasu, a następnie zachwiał się i upadł. Kiedy się pozbierał, dziko rzucił wzrokiem za siebie, w samą porę, żeby zobaczyć, jak pałac wali się i spłaszcza jak wspaniałe namiot, zapadając się w siebie. Nagle dopadło go wspomnienie: leżał w łóżku, miał siedem lat i ciało napięte z radości, ponieważ ojciec strzepnął nad nim prześcieradło w powietrzu i pozwolił mu opadać łagodnie jak spadochron.

Spadochron – zwoje jedwabiu, które kiedyś były balonem na gorące powietrze – wciąż wisały na wieszaku, chociaż ten zaczął uginać się pod ciężarem. Łóżko obok straciło cały sens i wyglądało jak największa rozpuszczona pianka cukrowa na świecie.

Aubrey chwycił swoją uprząż do skoków i wszedł w nią, zaciskając ją ciasno na jędrach i naciągając na kombinezon. Kiedy mocował pasy na ramionach, usłyszał płacz. To było uderzenie fali dźwiękowej, coś pomiędzy syreną przeciwmgielną a podmuchem metra pędzącego w tunelu. Cała chmura zadrżała. Aubrey pomyślał o tej ogromnej, potwornej, monstrualnej twarzy i straszna, straszna myśl wcisnęła mu się do głowy: Obudził się! Gigant się obudził! W nogi!

Złapał stertę jedwabiu w momencie, gdy wieszak rozpadł się, nagle miękki jak makaron. Aubrey ruszył biegiem do krawędzi chmury. Szybko odkrył, że się zapada. Po chwili nie widział już kolan.

Namacał starannie zwinięte linki i kiedy przedzierał się w stronę błękitnego nieba poza wybrzeżem chmury, zaczął przypinać stare zardzewiałe pierścienie do karabińczyków swojej uprzęży. To, co miał zamiar zrobić, niewiele się różniło od samobójstwa, było rozpaczliwym aktem szaleństwa, który z pewnością się nie powiedzie.

Więc dlaczego – pomyślał Aubrey – drzę w środku od powstrzymanego histerycznego śmiechu?

Starych pierścieni w kształcie litery D było w sumie tuzin. Przypiął cztery z przodu upręży i cztery z tyłu, a resztę zostawił, żeby luźno zwisały. Ciągle przyciskał jedwab do piersi. Gdy podniósł głowę, zauważył, że jego Harriet z nieba stoi pomiędzy nim a brzegiem chmury. Tuliła w ramionach pluszowego, brudnego Junicorna, jakby to było ich dziecko, jakby chciała powstrzymać niewiernego kochanka przed odejściem.

Aubrey obniżył brodę i przebił się prosto przez nią. Jeszcze dwa kroki i stanął na krawędzi.

Spadł jak cegła.

Spadał prosto w dół, nogami do przodu. Opadł jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów, zanim przyszło mu do głowy, żeby wypuścić kłęb jedwabiu z ramion. Nie wiedział, jak go uwolnić, więc po prostu odrzucił go od siebie.

I spadał, i spadał, i spadał. W dół, dzikim korkociągiem, ciągnąc za sobą długą, splątaną linę z jedwabiu.

Ziemia wirowała wokół niego: kwadraty ładnie utrzymanej zieleni, wyniosłe, zalesione wzgórza, mała osada w kształcie rozplaszczonej ośmiornicy. Bardzo wyraźnie zobaczył trzy iglice, starannie odlane włócznie, białe jak kości, wznoszące się nad kościołami. W oddali widział rozległy horyzont zamglonego błękitu. Zajęło mu kilka chwil, żeby rozpoznać jedno z Wielkich Jezior, albo może Atlantyk.

Wiatr wyciskał z niego oddech. Skóra twarzy marszczyła się, przylegając do czaszki. Spadał coraz szybciej. Napięte liny wydawały z siebie głośnie, strzelające dźwięki. Podmuchy szarpały i trzęsły poplątaną masą jedwabiu ciągnącą się pociesznie za nim. To było szaleństwo, że w ogóle pomyślał, że to może się udać. Że baloniarz sprzed stu pięćdziesięciu lat zostawił mu drogę ucieczki z tej samotnej wyspy na niebie.

Jednak bez względu na to, jak bezużyteczny był ten idiotyczny, stary koc ze zużytego jedwabiu, Aubrey poczuł, że sam otwiera się jak spadochron – czuł rosnącą radość. Pochylił się do przodu i rozpostarł ramiona i nogi w pozycji, którą instruktor skoków nazywał hamowaniem powietrznym.

Cal. Tak nazywał się ten facet. Nagle wskoczyło to do głowy Aubreya: *cool* Cal, jedyny i wspaniały. Jak mógł zapomnieć?

Przestał wirować i spadał ku bogatej zieleni na dole. Gdyby nie był pewny, że umrze przy uderzeniu, mógłby umrzeć z radości. Łzy leciały mu z oczu i Aubrey Griffin zaczął się uśmiechać.



Znajdował się na wysokości niecałych dwóch tysięcy metrów, kiedy wlokący się za nim długi zwój jedwabiu rozwinął się i wypełnił. Czasza eksplodowała z szokującym „bang” – i wydeła się szeroko jak obrus podrzucany przez kelnera. Aubreya szarpnęło w tył, a właściwie to wzniósł się o prawie piętnaście metrów i zostawił pod sobą żołądek, zanim znowu zaczął spadać – ale teraz wolniej, z nagłym uczuciem spokoju. Czuł, że płynie w powietrzu jak nasiona dmuchawca w łagodnej sierpniowej bryzie. Znowu było mu ciepło: słońce ogrzewało mu twarz i całe ciało w kombinezonie.

Odchylił głowę do tyłu i zobaczył rozpostartą kopułę czerwonego i niebieskiego jedwabiu z ogromnymi białymi gwiazdami. Słońce przeświecało przez cienkie miejsca, szerokie płaty, gdzie materiał był wytarty do osnowy.

Grunt wznosił się ku niemu. Niemal dokładnie pod sobą widział żółcące się pastwisko, z tyłu porośnięte sosnami. Od wschodu pole ograniczała czarna wstęga dwupasmowej szosy. Aubrey patrzył, jak sunie nią czerwony pick-up z czarno-białym owczarkiem collie na pace. Pies go zobaczył i zaszczekał, płaskimi, urywanymi szczeknięciami, które dochodziły z bardzo daleka. Na północy stał dom, z tyłu miał pyliste podwórko, a obok zniszczoną stodołę. Aubrey zamknął oczy, czuł zapach złotego pyłku kwiatowego, suchej ziemi, gorącego asfaltu.

Kiedy otworzył oczy, łąka pędziła ku niemu. Zrozumiał, że lądowanie może nie być takie łagodne jak powolne opadanie ku ziemi.

A potem uderzył, najpierw nogami. Twardy wstrząs zderzenia boleśnie przebiegł po jego kości ogonowej.

Zorientował się, że biegnie po suchej, żółtej trawie. Motyle wzlatywały przed nim w panice. Łachmaniarski spadochron w górze jeszcze z nim nie skończył. Szarpnął go do tyłu, upuścił i znowu podciągnął w powietrze – rzucał tak nim po całym polu. Za każdym razem, gdy złapał nowy haust wiatru, wydawał z siebie tubalny dźwięk i wypełniał się ciasno. Aubrey biegł – i nie mógł przestać. Gdyby stanął w miejscu, spadochron zaczęłby go wlec. Aubrey zabrał się więc za odpinanie karabińczyków, walcząc z twardą liną, napiętą jak cuma okrętowa.

Widział przed sobą drogę i płot, zbutwiałe drewniane pale z rozciągniętymi na nich trzema szeroko rozstawionymi pasmami rdzewiejącego drutu kolczastego. Spadochron ponownie się nadał, ciągnąc go w górę. Aubrey uniósł kolana prawie pod brodę i przeleciał nad drutami.

Opuścił stopy do rowu po drugiej stronie, potknął się i został bezlitośnie powleczony na drogę. Sięgnął za siebie, macając dziko w poszukiwaniu karabińczyków na plecach. Odpiął jeden, potem drugi. Asfalt palił kolana przez kombinezon. Aubrey wykonał kilka podskoków jak w tańcu, znalazł trzeci karabińczyk i odpiął go. Skręcił się w talii, szukając ostatniego. Ten otworzył się nagle i Aubrey upadł na pierś, w poprzek żółtej linii przerywanej.

Podniósł głowę i patrzył, jak wesoła szmata spadochronu zostaje wessana w koronę wielkiego dębu po drugiej stronie drogi. Natychmiast opadła, owijając się wokół gałęzi.

Aubrey obrócił się. Bolały go kolana i tyłek. Gardło miał suche jak papier ścierny. Zagapił się w jaskrawy, twardy błękit, szukając swojej chmury. I była tam – wielki, biały kłęb, nieróżniący się prawie od innych tłustych, puszystych i poszatkowanych chmur w górze. Ciągle

wyglądała jak statek kosmiczny, dokładnie tak, jak opisała ją Harriet, która powiedziała, że to UFO, i miała rację.

Ukłuło go jakieś niewytłumaczalne uczucie: dla chmury i dla domu, jaki Niebieska Harriet próbowała mu tam urządzić. W pewien sposób wciąż miał wrażenie, że łagodnie żegluje ku ziemi. Zapewne będzie tak jeszcze przez ładnych parę dni.

Ciągle leżał na plecach na drodze, kiedy z północy nadjechał facet w czarnym cadillacu. Zwolnił, gdy znalazł się bliżej, a potem ominął Aubreya dużym łukiem. Cadillac zatrzymał się.

Kierowca – starszy mężczyzna z gniewnymi, błękitnymi oczami pod krzakami brwi w kolorze chmury gradowej – opuścił szybę.

– Co ty, do cholery, robisz na drodze? Ktoś cię może przejechać, dupku!

Aubrey nie poczuł się dotknięty. Oparł się na łokciach.

– Proszę pana, gdzie ja jestem? W Pensylwanii?

Mężczyzna spojrzał na niego i twarz mu pociemniała, jakby teraz to Aubrey jego nazwał dupkiem.

– Co ty brałeś? Powiniennem zadzwonić po gliny.

– Więc to nie Pensylwania?

– Nie. To New Hampshire!

– Uch. To nie żarty.

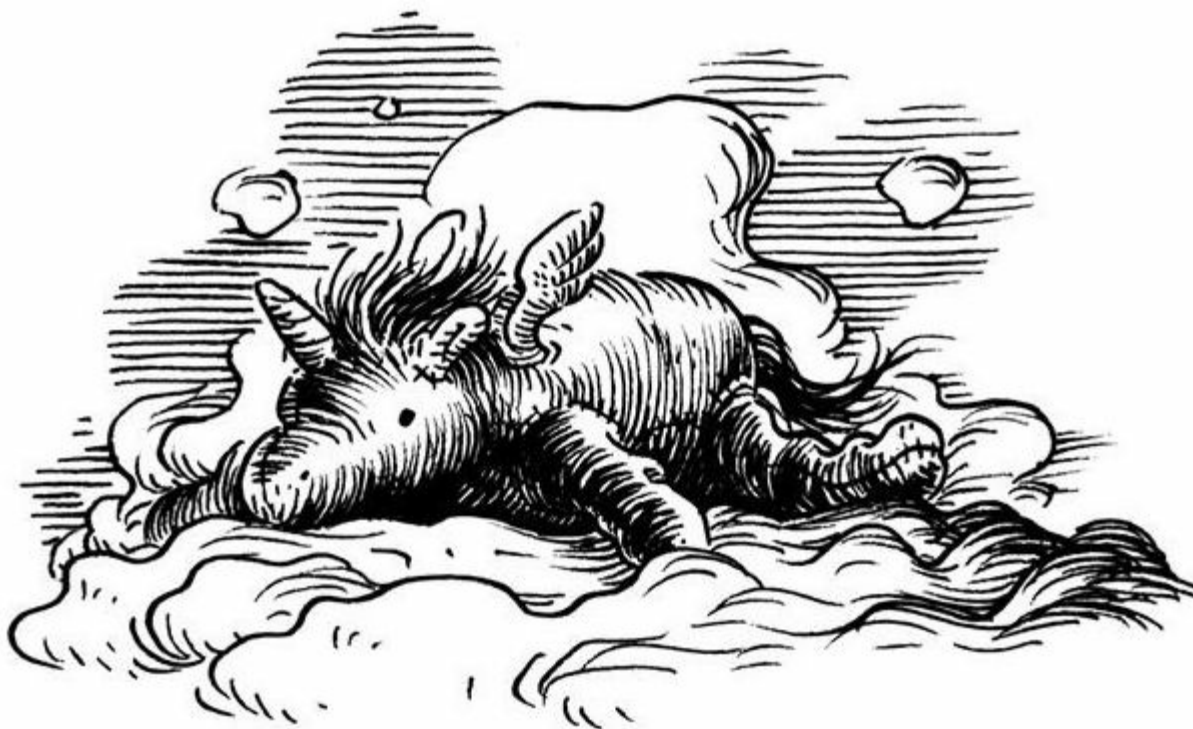
Aubrey nie był pewien, czy da radę wstać z drogi. Było tu okropnie przyjemnie, ciepły asfalt pod plecami, słońce na twarzy. Nigdzie się nie spieszył.

– Jezu! – powiedział staruch, pryskając z ust kropelkami śliny. – Zejdź z tych chmur na ziemię.

– Właśnie to zrobiłem – odparł Aubrey.

Starszy facet zamknął okno i odjechał. Aubrey przekręcił głowę i obserwował, jak cadillac się oddala.

Kiedy znowu miał drogę tylko dla siebie, podniósł się, otrzepał z kurzu i ruszył. Jeszcze gdy leciał, zauważył niedaleko dom na farmie. Jeśli ktoś w nim był, może pozwoli mu skorzystać z telefonu. Pewnie matka Aubreya chciałaby wiedzieć, że syn żyje.



# DESZCZ



Deszcz złapał wiele osób na dworze.

Pewnie się dziwicie, dlaczego aż tylu ludzi zginęło w pierwszej ulewie. Ci, których tam nie było, pytali: „Czy w Boulder to nie wiedzą, że jak pada, wchodzi się do środka?”. No cóż, to nie takie proste. Była ostatnia sobota sierpnia, pamiętacie, i było G-O-R-Ą-C-O, gorąco. O jedenastej przed południem? Niebo bez jednej chmurki. Tak błękitne, że bolały oczy, ale nie dało się wytrzymać w środku. To był wspaniały dzień, jak pierwszy dzień w raj.

Wyglądało na to, że każdy znalazł sobie jakąś robotę na zewnątrz. Pan Waldman, który zginął pierwszy, siedział na dachu i walił młotkiem w nowe gonty. Zdjął koszulę i słońce zaraz spaliło do czerwoności jego chude plecy starego człowieka, jak u gotowanego kraba, ale jemu to chyba nie przeszkadzało. Na wąskim pylistym podwórku Martina, rosyjska striptizerka, która mieszkała pode mną, opalała się w czarnym bikini, tak maleńkim, że aż człowiek miał ochotę wrzucić do automatu ćwierćdolarówkę, żeby zobaczyć coś więcej. W wielkim, rozwalającym się, kolonialnym domu obok, tam gdzie żyli ci ludzie od kultu komety – Starszy Bent i jego „rodzina” popaprańców – okna były pootwierane. Trzy z ich kobiet znajdowały się na zewnątrz, miały na sobie srebrne szaty, jakie nosili tam wszyscy, a na głowach ceremonialne dekle. Jedna z nich, gruba, ze smutną, pustą jak grejpfrut twarzą, przewracała kiełbaski na grillu i błękitny dym snuł się aż nad ulicą, tak że sąsiadom burczało w brzuchach. Dwie pozostałe przygotowywały sałatkę owocową przy drewnianym stole na trawniku: jedna kroїła ananasa, a druga wyłuskiwała czerwone nasionka z granatów.

Ja zabijałam czas z Małym Drakulą i czekałam na osobę, którą kochałam najbardziej na świecie. Yolanda jechała z Denver, razem ze

swoją matką. Yolanda wprowadzała się do mnie.

Mały Drakula był to chłopiec o imieniu i nazwisku Templeton Blake, mieszkał naprzeciwko mnie, po drugiej stronie ulicy, obok pana Waldmana. Yolanda i ja czasem pomagałyśmy Ursuli, jego matce, opiekować się nim. Od śmierci męża rok wcześniej Ursula wychowywała chłopaka sama. Od czasu do czasu próbowała nam płacić, ale zazwyczaj udawało się ją przekonać do innej formy rekompensaty: kilku kawałków pizzy albo świeżych warzyw z jej ogródka. Było mi ich żal. Ursula była smukłą, niedużą, pełną wdzięku kobietą, która cierpiała z powodu łagodnej hafefobii. Nie mogła znieść cudzego dotyku, więc ludzie się zastanawiali, jakim cudem w ogóle miała dziecko. Jej dziewięciolatek posługiwał się słownictwem czterdziestoletniego socjologa i prawie nigdy nie wychodził; był ciągle chory na to albo tamto, szprycowany antybiotykami i lekami antyhistaminowymi. Tego dnia, kiedy spadł deszcz, leczyli go na nawracającą anginę i nie mógł wyjść na zewnątrz, bo lekarstwo powodowało nadwrażliwość na słońce. Tamtego dnia w Boulder umarło wiele zdrowych, pełnych życia dzieci – rodzice w całym mieście posłali dzieciaki na dwór, żeby skorzystały z jednego z ostatnich wspaniałych dni lata – a Templeton przeżył, bo był zbyt chory, żeby się bawić. Daje do myślenia, nie?

Ponieważ powiedziano mu, że się usmaży, jeśli muśnie go choćby jeden promień słońca, przechodził fazę wampiryczną: paradował w czarnej jedwabnej pelerynie i z plastikowymi kłami. Jego matka była w domu, ale my siedzieliśmy w ciemnym, cieniście garażu. Nie mogłam wytrzymać ze zdenerwowania – w dobrym tego słowa znaczeniu. Yolanda była w drodze. Zadzwoiła, kiedy razem z matką ruszały z Denver, podróż miała im zabrać godzinę.

Byłyśmy razem od osiemnastu miesięcy i Yolanda spędziła wiele leniwych popołudni w moim mieszkaniu przy Jackdaw Street, ale

opowiedziała o nas rodzicom dopiero rok temu. Chciała dać im trochę czasu, żeby przyzwyczaili się do myśli, że ma się do mnie oficjalnie przeprowadzić. Miała rację, potrzebowali czasu: jakichś pięciu minut, może dziesięciu. Nie wiem, jak mogło jej przyjść do głowy, że rodzice okażą cokolwiek innego oprócz miłości. Szokujące było tylko to, jak szybko zdecydowali się pokochać także mnie.

Doktor i pani Rustedowie pochodzili z Brytyjskich Wysp Dziewiczych. Doktor Rusted, ojciec Yolandy, był pastorem Kościoła episkopalnego, z doktoratem z psychologii. Jej matka miała galerię sztuki w Denver. Wystarczyło popatrzeć na nalepkę na zderzaku ich toyoty prius: GŁOSOWANIE JEST JAK JAZDA SAMOCHODEM: R OZNACZA DO TYŁU, A D – DO PRZODU<sup>1</sup>, żeby wiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Dzień po tym, jak córka powiedziała im o mnie, doktor Rusted zdjął z masztu na werandzie flagę Brytyjskich Wysp Dziewiczych i zastąpił ją proporczykiem w kolorach tęczy. Pani Rusted natomiast nalepiła na zderzak hybrydy nową naklejkę, różowy trójkąt ze słowami MIŁOŚĆ TO MIŁOŚĆ. Zdaje się nawet, że skrycie byli dumni, kiedy ktoś obrzucił ich dom jajami, chociaż udawali, że złości ich bigoteria sąsiadów.

– Nie rozumiem tej nietolerancji – oznajmił doktor Rusted głębokim, dudniącym głosem. – Yolanda opiekowała się połową dzieciaków na tej ulicy! Zmieniała im pieluchy, śpiewała do snu. A oni teraz wsadzają nam pod wycieraczkę anonimową kartkę, że nasza córka jest zboczona i że powinniśmy zwrócić pieniądze rodzicom wszystkich dzieci, które niańczyła.

Potrząsnął głową, jakby był zniesmaczony, ale jego oczy lśniły rozbawieniem. Wszyscy dobrzy kaznodzieje mają w sobie małego diabełka.

Yolanda i jej rodzice spędzili lato na wyspach, odwiedzając dalszą rodzinę, i zostawili mnie samą. Mnie, czyli Honeysuckle Speck, jedyną



w okolicy dwudziestotrzyletnią, wyglądającą jak Joe Strummer lesbijkę, studentkę prawa na Uniwersytecie Stanu Kolorado w Boulder, fiskalną konserwatystkę, wielbicielkę koni i była użytkowniczkę tytoniu do żucia (dziewczyna sprawiła, że rzuciłam). Nie trzymałam Yolandy w ramionach od sześciu tygodni i tamtego ranka, czekając na nią i jej matkę, tak się napompowałam kofeiną, że trzęsło mną z nerwów.

Właściwie szczęśliwie się złożyło, że miałam obok małego wampira do zabawy. Na tyłach garażu znajdował się stalowy wieszak, taki na rowery, i Templeton chciał, żebym go tam zaczepiła do góry nogami, żeby mógł zwisać jak nietoperz. Opowiadał, jak lata co noc w poszukiwaniu świeżych ofiar. Mógł w każdej chwili stamtąd zejść – położyłam pod wieszakiem materac i gdy miał dosyć, spadał, wykonując akrobatyczne salto i lądując na stopach, zręcznie, jak nie on. Ale nie mógł zawiesić się bez pomocy. Kiedy usłyszałam pierwszy grzmot burzy, moje ramiona omdlewały już od podnoszenia i wieszania go tyle razy.

Huk mnie zaskoczył. Pomyślałam, że na drodze zdarzył się wypadek, i podbiegłam do otwartych drzwi garażu – moja nerwowa wyobraźnia szkicowała już obraz Yolandy i jej matki w zderzeniu czołowym. Aż dziw, że ludzie tak szukają miłości, gdy się pojmie, ile wiąże się z tym lękiem. To całkiem tak, jak kiedy po wygranej na loterii trzeba zapłacić podatki.

Ale na drodze nie zobaczyłam żadnych wraków, a niebo wyglądało na równie jasne i błękitne jak wcześniej, przynajmniej z miejsca, w którym stałam. Za to wiał silny wiatr. Po drugiej stronie ulicy, tam gdzie mieszkali ci ludzie od kultu komety, podmuch porwał stos papierowych talerzy i rozrzucił je na trawniku i jezdni. Czułam w tym wietrze zapach deszczu – albo czegoś podobnego do deszczu. Jakiś aromat kamieniołomu lub odór sproszkowanej skały. Kiedy

wystawiłam głowę na zewnątrz i spojrzałam do góry, zobaczyłam ją: wielką, czarną chmurę gradową rozmiaru samolotu, nadciągającą szybko znad góry Flatirons, tak jak takie chmury mają w zwyczaju. Zdumiała mnie jej czerń – czerń z siniakami różu, miękkiego, sennego różu, koloru, który czasem widzi się podczas zachodu słońca.

Nie patrzyłam długo, bo w tym momencie Yolanda i jej matka skręciły w Jackdaw Street. Jechały jaskrawożółtą toyotą prius z obitym pluszem fotelem przymocowanym na dachu. Zahamowały pod moim domem, więc ruszyłam w ich kierunku. Yolanda z głośnym krzykiem wyskoczyła z siedzenia pasażera: tyczkowata, czarna dziewczyna z pupą tak okrągłą, że na bocianich, chudych nogach stanowiła nieomal parodię kobiecości. Yolanda zawsze krzyczała, kiedy coś ją uszczęśliwiało, a także tańczyła ten śmieszny, tupiący taniec wokół osoby, której widok ją cieszył. Okrążyła mnie kilka razy, zanim chwyciłam ją za nadgarstek, przyciągnęłam i... no cóż, poklepałam po plecach w jakimś dziwnym uścisku. Tak strasznie tego potem żałowałam: że nie chwyciłam jej wpół, nie przycisnęłam do siebie i nie pocałowałam w usta. Ale wychowałam się na wsi. Wystarczy jeden rzut oka i od razu wiadomo, kim jestem. Jedno spojrzenie na biały podkoszulek bez rękawów i fryzurę jak u kierowcy ciężarówki i już widać, że męski ze mnie typ. Mimo to przy ludziach zniknęła cała moja poza „mam-to-w-dupie” i wstydziłam się dotykać albo całować, nie chciałam przeginać ani nikogo urazić. Na widok Yolandy moje serce urosło, aż zabolęło mnie w klatce piersiowej, ale mocniej niż moją ukochaną przytuliłam jej matkę. Nie było ostatniego uścisku. Ani ostatniego pocałunku. Będę tego żałować do końca życia.

Przez jakąś minutę gawędziłyśmy o locie powrotnym z Brytyjskich Wysp Dziewiczych, robiłam sobie żarty z mojej dziewczyny, z ilości spakowanych przez nią rzeczy: „Na pewno pamiętałaś o wszystkim?”

Mam nadzieję, że nie zapomniałaś trampoliny. A co z canoe? Udało ci się jakoś je wcisnąć?”.

Ale nie rozmawialiśmy długo. Kolejny grzmot poniósł się echem. Yolanda podskoczyła i znowu krzyknęła. Ta dziewczyna uwielbiała porządne burze.

– Yo-lan-da! – zawołała ją Martina ze swojego ogrodowego fotela.

Martina to ta rosyjska striptizerka, która mieszkała na dole z Andropowem. Często sobie z Yolandą dokuczały i flirtowały, co nie za bardzo mnie cieszyło: nie dlatego, że byłam zazdrosna, ale dlatego, że Martina była miła dla lesbijek tylko po to, żeby dokuczyć swojemu chłopakowi. Andropow, ponury i z nadwagą, kiedyś był chemikiem, teraz jednak ledwo udawało mu się dostać robotę w Uberze.

– Yo-lan-da, twoja śliczna rzecz zmoknie.

– Co mówisz, Martina? – spytała Yolanda, bez troski i niewinnie jak dziecko słuchające nauczyciela.

– Tia, znowu chcesz tego spróbować? – wtrąciłam się.

Martina obrzuciła mnie cwany spojrzeniem i powiedziała:

– Twój fotel, deszcz go zmoczy. Wielka chmura zmoczy wszystko. Lepiej się pospiesz. Przyda ci się miłe miejsce, żeby posadzić swoją pupkę.

Mrugnęła do mnie i podniosła z trawy telefon. Chwilę później paplała z kimś swoim lekkim, roześmianym rosyjskim.

Słuchanie jej sprośnej gadki i cała ta gra – że niby nie wie, co mówi, bo angielski jest jej drugim językiem – zirytowały mnie. Ale nie miałam czasu porządnie się rozzłościć. Ktoś pociągnął mnie za rękaw i zobaczyłam, że Mały Drakula dołączył do nas na ulicy. Templeton zarzucił pelerynę na głowę, żeby chronić twarz przed słońcem, i spoglądał na mnie spod gładkich, czarnych fałd. On też lubił Yolandę i nie chciał, żeby impreza z rozpakowywaniem odbyła się bez niego.

– Hej, Temp – powiedziałam. – Jak mama zobaczy cię na zewnątrz, nie będziesz już musiał udawać, że śpisz w trumnie.

Dokładnie w tej chwili jego matka zawołała:

– TEMPLETON BLAKE! – I zmaterializowała się na frontowych schodkach ich przyjemnego domku w kolorze masła. – DO ŚRODKA! JUŻ! HONEYSUCKLE!

Ten ostatni krzyk skierowała do mnie, jakby to była moja wina, że jej syn zrobił sobie wycieczkę. Trzęsła się cała, traktowała zdrowie swojego syna poważnie i w końcu wyszło na to, że jej troska o niego też mnie uratowała życie.

– Mam go! – krzyknęłam.

– Wniesiemy fotel do środka – odezwała się do mnie matka Yolandy.

– Zostawcie go. Zaraz wracam – odparłam.

I to była ostatnia rzecz, jaką powiedziałam do którejkolwiek z nich.

Przeprowadziłam Templetona przez ulicę. Widziałam, że ludzie nie mogą się zdecydować, czy wejść do domów, czy nie. Chmura burzowa była jak samotny Everest ciemności na bezkresnym niebie. Wyglądało na to, że popada przez jakieś pięć minut, a potem się przejaśni i znowu będzie gorąco i przyjemnie. Ale kiedy po raz kolejny zagrzmiało, we wnętrzu chmury przeskoczyła błękitna błyskawica i to wreszcie ich ruszyło z miejsca, trochę. Pan Waldman, który zmieniał gonty, zawiesił sobie młotek u pasa i zaczął schodzić ze szczytu dachu w kierunku drabiny. Martina skończyła rozmawiać i ze złożonym leżakiem pod pachą przeszła na werandę, z mieszaniną ciekawości i ekscytacji wpatrując się w ciemniejące niebo. Była tam jeszcze, kiedy pojawił się Andropow. Podjechał swoim czarnym chryslerem, o wiele za szybko, zapiszczał hamulcami, a następnie wyskoczył i zatrzasnął drzwi. Martina posłała mu uśmiezek, gdy szedł, aż parując ze złości,

przez małe podwórko. Był czerwony na twarzy, jakby ktoś pokazał mu zdjęcie jego własnej matki uprawiającej seks z klaunem.

Przyjaźnie pomachałam do Ursuli, która potrząsnęła głową z jakąś zmęczoną dezaprobatą – zawsze ją stresowało, kiedy Templeton zapominał o swoich chorobach – i zniknęła w środku. Wprowadziłam Templetona do garażu, chwyciłam go wpół i posadziłam na stołku przy roboczym stole jego ojca. Ojciec odszedł – zginął, gdy pijany zjechał z drogi do kanionu Sunshine – ale pozostawił starą maszynę do pisania, w której brakowało czcionek „h” i „e”. Templeton pisał na niej swoją historię o wampirach. Jak na razie miał sześć stron i już upuścił krew z prawie każdej panienki w Transylwanii. Powiedziałam mu, żeby napisał dla mnie coś mocnego i krwawego, poczochrałam mu włosy i ruszyłam z powrotem do Yolandy i jej matki. Nigdy do nich nie dotarłam.

Yolanda stała na tylnym zderzaku toyoty prius, walcząc z linką elastyczną. Jej matka, na drodze, z rękami na biodrach, oferowała jej emocjonalne wsparcie. Jedna z bab od kultu komety chodziła po ulicy i zbierała papierowe talerze. Grubaska pracująca przy grillu zezowała w stronę czoła burzy, z wyrazem kwaśnej rezygnacji na twarzy. Pan Waldman przycupnął na górnym szczeblu drabiny. Andropow chwycił Martinę za nadgarstek i ciągnął ją w kierunku ich mieszkania. To właśnie robili, kiedy uderzyła burza.

Dałam krok na podjazd i coś ukłuło mnie w ramię. Najpierw nadszedł szok, a potem obolałe odrętwienie, jak po wbiciu strzykawki w ciało przez pielęgniarkę. Pomyślałam, że ugryzła mnie końska mucha. Ale zaraz spojrzałam na moje nagie ramię i zobaczyłam jaskrawoczerwoną kroplę krwi i coś wystającego ze skóry: złoty cierń. Wzięłam głęboki oddech i wyciągnęłam go. Stałam i gapiłam się na niego. Miał jakieś pięć centymetrów długości, a wyglądał jak szpila zrobiona z ostrego, bursztynowego szkła. Był ładny jak biżuteria,

zwłaszcza unurzany w jaskrawej czerwieni mojej krwi. Nie miałam pojęcia, skąd się wziął. Był twardy, twardy jak kwarc. Obróciłam go w jedną stronę i w drugą. Odbił to dziwne, różowe światło burzy i błysnął.

Pan Waldman krzyknął. Popatrzyłam na niego akurat w chwili, kiedy uderzał w coś ręką na karku, jakby ta sama końska mucha, która ugryzła mnie, gryzła teraz jego.

Słyszałam nadciągający deszcz, szalony stukot, coraz głośniejszy. Hałasował, jakby ktoś wrzucał do metalowego wiadra tysiące pinezek. Włączył się alarm samochodowy, mechanizm gdzieś na wzgórzu wył uiju-uiju-uiju. Wydawało mi się, że ziemia pod stopami zaczyna drżeć.

To nie był lęk. To, co mnie ogarnęło, było o wiele większe. Nagle dostrzegłam zbliżającą się katastrofę, a mój żołądek się skręcił. Wykrzyknęłam imię Yolandy, ale nie byłam pewna, czy mnie usłyszała przez narastający terkot deszczu. Ciągle stała na tylnym zderzaku. Uniosła brodę, spojrzała w niebo.

Templeton zawołał do mnie, a strach w jego głosie sprawił, że znowu brzmiał jak mały chłopiec, którym przecież był. Obróciłam się i zobaczyłam, że podszedł do wejścia do garażu, przyciągnięty rykiem coraz bliżej huczącego deszczu. Położyłam dłoń na jego piersi, popchnęłam go w głąb pomieszczenia. I dlatego przeżył, i ja też.

Odwróciłam się dokładnie w chwili, kiedy deszcz spadł na ulicę. Łamał się, gdy uderzał o asfalt, i dzwonił, gdy walił w samochody, i przez sekundę myślałam, że to grad, ale jakaś część mnie wiedziała, że na pewno nie.

Baba od komety, zbierająca z drogi papierowe talerze, wygięła nagle plecy w łuk i zrobiła wielkie oczy, jakby ktoś uszczypnął ją w zadek. Widziałam, jak szpile tłuką o drogę i rozpryskują się na wszystkie strony: igielki srebra i złota.

Pan Waldman zeszywniał jak kołek. Już wcześniej trzymał jedną rękę na karku. Druga pofrunęła do tyłka. Zaczął nieświadomie płasnąć na szczycie drabiny, jak gdyby coś gryzło go co chwila. Jego prawa noga opadła na następny szczebel, nie trafiła i pan Waldman zanurkował, uderzając o drabinę i fikając koziołka po drodze na ziemię.

Deszcz walił. Tłusta kobieta przy grillu ciągle miała twarz zwróconą do góry – tylko ona nie uciekła – i obserwowałam, jak rozdziera ją ulewa gwoździ. Pofałdowana srebrna szata na jej ciele była szarpana w każdym możliwym kierunku, jakby walczyły o nią niewidzialne psy. Kobieta uniosła ręce, poddając się nadciągającej niewidocznej armii, i zobaczyłam setki igieł wbitych w jej dłonie i przedramiona – wyglądała jak bladoróżowy kaktus.

Pani Rusted obróciła się wkoło, pochyliła głowę, odbiegła dwa kroki od samochodu, ale zaraz zmieniła zdanie i wróciła. Pomacała na ślepo i znalazła klamkę. Jej ręce były usiane igłami. Jej ramiona. Jej szyja. Walczyła z drzwiami od strony kierowcy, otworzyła je i zaczęła wczołgiwać się do środka. Ale udało jej się wpełznąć tylko do połowy, gdy eksplodowała przednia szyba. Pani Rusted upadła i już się nie poruszyła, jej nogi wciąż wystawały na drogę. Tył okrągłych, pełnych ud był gęstym gąszczem igieł.

Yolanda zeskoczyła z tylnego zderzaka i ruszyła biegiem w moim kierunku. Próbowwała dotrzeć do garażu. Słyszałam, jak krzyczy moje imię. Dałam dwa kroki w jej stronę, ale Templeton chwycił mnie za nadgarstek i nie puścił. Nie mogłam się od niego odczepić i nie mogłam wyjść z nim uwieszonym na mnie. Kiedy się obejrzałam, moja dziewczyna klęczała i Yolanda... Yolanda...

Yolanda.

Ulewa nie trwała długo. Może osiem, dziewięć minut, zanim deszcz zaczął rzednąć. A potem pokazało się słońce i w jego promieniach pokrywający wszystko koc szklistych odłamków załśnił i zabłyszczał. Wszystkie okna na ulicy były potłuczone. Toyota prius pani Rusted wyglądała, jakby przez kilka minut uderzały w nią tysiące małych młoteczków. Yolanda, skulona na kolanach, czołem dotykała drogi, z ramionami na głowie. Klęczała tak w rozpylonej różowej mgiele. Moja ukochana wyglądała jak kupka krwawego prania.

Ostatnie krople spadły z trzaskiem i przyjemnym dzwonieniem, jak gdyby ktoś grał na szklanej harmonice. Kiedy terkot ustał, jego miejsce zajęły inne dźwięki. Ktoś krzyczał. Wyła syrena policyjna. Pulsowały alarmy w samochodach.

W końcu Templeton puścił mój nadgarstek i gdy się obejrzałam, zauważyłam, że jego matka jest z nami w garażu i obejmuje go ramieniem. Jej szczupła, inteligentna twarz była nieruchoma od szoku, a oczy za okularami rozszerzone. Zostawiłam ich bez słowa i wyszłam na podjazd. Od razu stanęłam na igłach i wrzasnęłam z bólu. Uniosłam nogę i zobaczyłam, że kolce wbiły się w podeszwę adidasa. Wyciągnęłam je i obejrzałam jedną igłę. To nie była stal, tylko jakiś kryształ, kiedy przyjrzałam się bliżej, dostrzegłam maleńkie fasetki, jak w kamieniu szlachetnym. Na czubku igła była cienka jak włos. Spróbowałam ją złamać, ale nie dałam rady.

Wyszłam na drogę, szurając nogami, żeby odsunąć igły i nie pokłuć się. Yolanda leżała na początku podjazdu. Upadłam na kolana, ignorując ból, który poczułam, gdy ciężar mojego ciała osiadł na tych cienkich, lśniących gwoździach. Gwoździe. Niebo się otworzyło i spłynęło gwoździami. Wreszcie to do mnie dotarło.



Yolanda otuliła ramionami głowę, żeby ochronić się przed kryształową ulewą. Nie miało to jednak znaczenia. Została rozdarta jak każdy, kto nie zdążył się schronić. Z jej pleców sterczały igły gęste jak pokrycie jeżozwierz.

Chciałam ją przytulić, ale to nie było łatwe, bo stała się bryłą z błyszczących ostrzy. Jedyne, co zdołałam zrobić, to przysunąć twarz do jej twarzy, policzek prawie do policzka.

Kiedy tam przy niej klęczałam, miałam wrażenie, jakbym była w pokoju, z którego ona właśnie wyszła. Czułam słodki zapach jojoby i konopi – nimi pielęgnowała lśniąca bicz swoje dredy; czułam, że jej lekka, słoneczna energia właśnie się ulotniła, ale sama dziewczyna była gdzieś indziej. Wzięłam ją za rękę. Nie płakałam, nigdy jednak nie przychodziło mi to łatwo. Czasem myślę, że ta część mnie jest zepsuta.

Powoli zaczęłam dostrzegać resztę świata. Wycie alarmów samochodowych. Krzyki i płacz. Dźwięczące szkło. To, co przydarzyło się Yolandzie, przydarzyło się niemal każdemu na tej ulicy. Przydarzyło się całemu Boulder.

Znalazłam miejsce na ciele Yolandy, które mogłam ucałować – nie było kolców na jej lewej stroni – i przycisnęłam wargi do skóry. Po chwili zostawiłam ją i poszłam zobaczyć, co z jej matką. Pani Rusted leżała twarzą w dół, pod lawiną z błękitnego, bezpiecznego szkła z przedniej szyby, pokryta lśniącymi gwoździami jak skóra jeża. Jej twarz zwrócona była w bok, w policzku tkwiły gwoździe, a jeden przebił dolną wargę. Oczy miała otwarte i rozszerzone, wybałuszone w groteskowej parodii zdziwienia. Gwoździe wystawały z jej pleców, sterczały z bioder.

Ze stacyjki zwieszał się breloczek. Instynktownie przekręciłam kluczyk i włączyłam akumulator. Obudziło się radio. Spiker czytał wiadomości szybkim, zdyszonym głosem. Mówił, że w Denver

wystąpiły dziwne zjawiska pogodowe, że z nieba spadały igły, i radził pozostać w domach. Mówił, że nie wiadomo, czy to wypadek przemysłowy, czy coś w rodzaju supergradu albo zjawiska wulkanicznego, ale ludzie przebywający na zewnątrz ryzykują życie. Mówił, że z całego miasta dostaje wiadomości o pożarach i zabitych ludziach na ulicach, na koniec zaś dodał: „Elaine, proszę, zadzwoń do mnie na komórkę i daj znać, że ty i dziewczynki jesteście bezpieczne w domu” i zaczął płakać, na antenie. Słuchałam jego szlochów prawie przez minutę, a potem wyłączyłam silnik.

Podeszłam z tyłu do toyoty, otworzyłam bagażnik i grzebałam w nim, aż znalazłam pikowaną kołdrę, którą zrobiła dla Yolandy jej babcia. Zniosłam ją tam, gdzie leżała Yolanda, i przeturlałam moją dziewczynę na okrycie, choć igły trzeszczały i chrzęściły mi pod stopami. Chciałam przenieść ją na górę do mieszkania, ale gdy tylko skończyłam owijać ją tym całunem, w moim polu widzenia pojawiła się Ursula Blake.

– Zabierzmy ją do mojego domu, kochanie – powiedziała. – Pomogę ci.

Jej łagodny, pełen siły spokój i szybkość, z jaką zaczęła się opiekować Yolandą i mną, prawie doprowadziły mnie do łez. To właśnie wtedy, w ciągu całego tamtego popołudnia, byłam najbliżej płaczu. Moja pierś zacisnęła się z żalu i przez chwilę nie mogłam oddychać.

Skinęłam głową i razem ją podniosłyśmy. Ursula podtrzymywała głowę, a ja stopy i zniosłyśmy Yolandę do domu Blake’ów, małego domku w kolorze masła, ze schludnym podwórkiem. To znaczy: kiedyś było schludne. Lilie i goździki zostały porwane na strzępy.

Położyłyśmy Yolandę w zacienionym frontowym holu. Templeton obserwował nas z odległości kilku kroków; plastikowe kły zniknęły z jego ust i ssał kciuk, czego prawdopodobnie nie robił od lat. Ursula

odeszła, by po chwili wrócić z jeszcze jedną kapą na łóżko. Wyszliśmy zabrać panią Rusted.

Ułożyliśmy je obok siebie w holu i Ursula dotknęła – bardzo lekko – mojego łokcia, zaprowadziła mnie do pokoju i posadziła na sofie. Poszła zrobić herbatę i zostawiła mnie wpatrzoną w wyłączony telewizor. W całym Boulder nie było prądu. Kiedy pojawiła się znowu, niosła kubek irish breakfast i swojego laptopa, na baterię. Modem nie działał, ale złapała internet przez komórkę. Postawiła komputer przede mną, na stoliku do kawy. Nie ruszyłam się z miejsca, dopóki nie zapadł zmrok.

No cóż, czy byliście wtedy w Kolorado, czy nie, wiecie, jak wyglądała reszta dnia. Nie jestem pewna, czy widzieliście w telewizji to samo, co ja widziałam na tanim, czarnym laptopie Ursuli. Dziennikarze wyszli na zewnątrz, przekopywali się przez igły i opisywali zniszczenia. Burza spustoszyła szeroki na ponad sześć kilometrów pas od gór przez Boulder aż do Denver. Pokazywali wieżowiec, w którym wszystkie okna od zachodniej strony zostały wybite i ludzie gapili się ze środka z wysokości czterdziestu pięter. Porzucone samochody straszyły na drogach, nadawały się tylko na złom. Zaszokowani mieszkańcy Kolorado łazili po ulicach, nosząc obrusy i zasłony, i płaszcze, i cokolwiek mogli znaleźć, żeby przykryć ciała na chodnikach. Pamiętam, jak jeden reporter jazgotał przed kamerą, a w tle przeszedł osłupiały, nabity igłami mężczyzna z martwym yorkiem na rękach. Pies wyglądał jak krwawy mop z oczami. Twarz tego faceta była pusta i usmarowana krwią. Sterczało z niego co najmniej sto gwoździ.

Zgodnie z roboczą hipotezą – z braku innego prawdopodobnego wyjaśnienia – zwalano to na terrorystów. Prezydent zniknął w bezpiecznym schronieniu, ale z pełną mocą odpowiedział na swoim koncie na Twitterze. Napisał: „NASI WROGOWIE NIE WIEDZĄ, NA CO

SIE PORWALI! ZEMSTA BĘDZIE KUREWSKA!!! #Denver #Kolorado #Ameryka!!!”. Wiceprezydent obiecał modlić się najgoręcej jak umiał, za ocalonych i martwych; przysiągł, że pozostanie na kolanach przez cały dzień i całą noc. Dobrze było wiedzieć, że przywódcy naszego narodu wykorzystywali wszystkie dostępne środki, żeby pomóc zrozpaczonym: media społecznościowe i Jezusa.

Później po południu jedna z reporterek znalazła faceta siedzącego po turecku na chodniku; rozpostarł przed sobą kawałek czarnego aksamitu, na którym leżały delikatne gwoździe we wszystkich kolorach. Na pierwszy rzut oka mężczyzna wyglądał jak jeden z ulicznych sprzedawców zegarków. Studiował swoją kolekcję igieł za pomocą lupy jubilerskiej, oglądając je po kolei. Dziennikarka spytała go, co robi, a facet odpowiedział, że jest geologiem i że analizuje gwoździe. Powiedział, że jest niemal pewien, że to forma fulgurytu, a kiedy ona zapytała, co to jest, odparł, że rodzaj kryształu. Do wieczora wszystkie kanały kablówki pokazywały ekspertów mówiących mniej więcej to samo, opowiadających o analizie spektrograficznej i wzroście kryształów.

Fulguryt już wcześniej formował się w chmurach. Zdarzało się to po wybuchach wulkanów. Błyskawice stapiały płatki popiołu w kły z kryształu. Ale w Górach Skalistych od ponad czterech tysięcy lat nie było żadnej erupcji, a fulguryt nigdy nie przybierał postaci takich perfekcyjnych małych igiełek. Chemicy i geolodzy nie mogli znaleźć naturalnego procesu, który odpowiadałby za to, co się stało – co oznaczało, że stało się to w wyniku nienaturalnego procesu. Ktoś wymyślił sposób, jak zatruć niebo.

Tak więc wiedzieli, co w nas uderzyło, ale nie wiedzieli jak. Gdy Wolf Blitzer spytał jednego z chemików, czy mógł to być wypadek przemysłowy, facet odpowiedział: „Tak, jasne”, z nerwowego

i przestraszonego wyrazu jego twarzy łatwo było wywnioskować, że nie ma pojęcia.

Poza tym rozbiły się samoloty. Tylko w jednym z nich zginęło dwieście siedemdziesiąt osób po tym, jak maszyna przeleciała prosto przez chmurę. Usmażone ciała, przypięte do siedzeń, huśtały się na falach jeziora Barr jak spławiki. Tył samolotu leżał kilkaset metrów dalej, na autostradzie I-76, na pasie wiodącym na północ, gotując się od czarnego dymu. Wszystkie samoloty w okolicy Denver pospadały, ich wraki układały się w okrąg o promieniu stu trzydziestu kilometrów wokół lotniska.

W końcu wydobyłam się ze stuporu – głębokiego transu wywołanego obrazami niekończących się katastrof, podobnego do tego, jaki wszyscy przeżyliśmy 11 września – i dotarło do mnie, że moi rodzice chcieliby wiedzieć, czy żyję. Potem pojawiła się kolejna myśl: ktoś musi zadzwonić do doktora Rusteda i powiedzieć mu, co stało się z jego żoną i córką. I tym kimś muszę być ja. Była sobota rano, więc nie przyjechał z nimi do Boulder; został w domu, żeby napisać kazanie na wieczorną mszę. Dziwiło mnie, że sam dotychczas do mnie nie zadzwonił. Po chwili zastanowienia uznałam, że nie podoba mi się to, co ta cisza może oznaczać.

Najpierw spróbowałam zatelefonować do matki. Nieważne, że nie żyłyśmy ze sobą zbyt dobrze. Nie ma znaczenia, kim jesteś. To ludzki odruch szukać matki, kiedy obtarłeś sobie kolana, kiedy twojego psa przejechał samochód, kiedy otworzyło się niebo i spadł deszcz gwoździ. Ale nie mogłam się do niej dodzwonić, na linii słychać było jedynie irytujące jazgotanie. Oczywiście gdyby odebrała, też usłyszałabym irytujące jazgotanie!

Spróbowałam do ojca, który mieszkał w Utah ze swoją trzecią żoną, ale i tu mi się nie udało – usłyszałam tylko długie elektryczne syczenie. Nic dziwnego, że sieć komórkowa była przeciążona. Każdy

do kogoś dzwonił, a do tego stacje przekaźnikowe pewnie też oberwały. To i tak niezwykle, że ciągle miałyśmy internet.

Dlatego gdy wybierałam numer doktora Rusteda, nie spodziewałam się, że się uda. W końcu nigdzie się nie dodzwoniłam. Ale po ośmiu sekundach martwej ciszy rozbrzmiał sygnał i wtedy miałam już nadzieję, że nie odbierze. Do dziś źle się z tym czuję. Całe moje ciało drżało na myśl o tym, co mam mu powiedzieć: że stracił żonę i córkę.

Telefon dzwonił i dzwonił, a potem nagle usłyszałam głos, słodki, szczęśliwy i uprzejmy, mówiący, żebym zostawiła wiadomość i że chętnie dowie się, co u mnie.

– Doktorze Rusted, proszę do mnie zadzwonić, jak tylko będzie pan mógł. Tu Honeysuckle. Muszę panu powiedzieć... Niech pan po prostu do mnie zadzwoni.

Bo nie mogłam dopuścić, żeby dowiedział się z taśmy.

Odłożyłam telefon na stolik i czekałam, aż oddzwoni, ale nie zrobił tego.

Nagrania w internecie oglądałyśmy do późnego wieczora. Ursula i ja. Czasem transmisja się rwała albo zawieszała – raz na całe dwadzieścia minut – ale zawsze leciała dalej. Jeśli o mnie chodzi, oglądałabym, dopóki nie wyczerpałaby się bateria w laptopie, ale kiedy CNN puściło obrazy szkolnego autobusu przewróconego na bok, pełnego sześć- i siedmiolatków, Ursula wstała i zamknęła przeglądarkę, a następnie wyłączyła komputer. Siedziałyśmy razem na sofie przez cały dzień, popijając herbatę i dzieląc się kocem okrywającym nam kolana.

Nie wiem, w którym momencie ujęłam Ursulę za rękę, a ona przez jakiś czas pozwoliła mi się trzymać, co na pewno nie było dla niej łatwe. Może była inna, zanim umarł jej mąż, ale od kiedy ją znałam, z trudem znosiła jakikolwiek kontakt fizyczny z kimś, kto nie był jej

synem. Wolała rośliny, miała magisterkę z rolnictwa i pewnie zdołałaby wyhodować pomidory nawet na Księżycu. Nie była gadatliwa, chyba że miałeś ochotę porozmawiać o najlepszych nawozach albo okresie opryskiwania pól. Ale na swój własny sposób była spokojną, miłą osobą.

Podniosła koc z naszych kolan i zarzuciła go na mnie, jakbyśmy już uzgodniły, że tej nocy śpię u niej na sofie. Otuliła mnie, jakbym była nasionkiem, a koc – ciepłą, aromatyczną ziemią. Nikt mnie nie otulał od lat. Ojciec był wiecznie pijanym gnojkiem, który ukradł mi pieniądze zarobione na roznoszeniu gazet i wydał je na kobiety oferujące uczucia na sprzedaż; rzadko kiedy bywał w domu w porze snu. Matka z kolei, bezustannie zniesmaczona tym, że ubieram się jak chłopak, mówiła, że jeśli chcę być małym mężczyzną, a nie małą kobietką, równie dobrze mogę sama kłaść się do łóżka. Ale Ursula Blake zawinęła mnie w koc, jakbym była jej własnym dzieckiem, i była tak czuła, że prawie pomyślałam, że pocałuje mnie na dobranoc. Nie zrobiła tego jednak.

– Tak mi przykro z powodu Yolandy, Honeysuckle – powiedziała. – Wiem, jak bardzo ją kochałaś. My też ją kochaliśmy.

I to było wszystko. Nic więcej. Nie tamtej nocy.

To było miłe z jej strony, że zaproponowała mi sofę, ale kiedy sobie poszła, wzięłam kołdrę i zaniiosłam ją do przedpokoju. Pomodliłam się, klęcząc między dwiema martwymi kobietami. I przyznam wam, że miałam parę rzeczy do wygarnięcia Temu na Górze. Powiedziałam mu, że bez względu na całe zło świata byli na nim jeszcze dobrzy ludzie, tacy jak Yolanda i pani Rusted, i jeśli on uważa, że uśmiercanie ich za pomocą gradu z gwoździ miało czemuś służyć, to może jest coś, o czym nie wie! Powiedziałam, że z pewnością na świecie żyło okropnie wielu grzeszników, ale załatwienie gromady dzieciaków jadących na letni obóz na pewno nie zmniejszy tej liczby. Powiedziałam Mu, że jestem rozczarowana tym, co zrobił przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, i że jeśli chce mi to jakoś wynagrodzić, lepiej niech się pośpieszy i zmiążdży tego, kto spuścił na nas burzę gwoździ. Powiedziałam, że doktor Rusted spędził całe swoje dotychczasowe życie, głosząc Dobrą Nowinę, mówiąc ludziom, jak odnaleźć wybaczenie i postępować tak, jak nakazywał Chrystus, i że minimum tego, co Bóg mógłby dla niego zrobić, to pozwolić mu nadal żyć i troszczyć się o niego w czasie żałoby. Poinformowałam Naszego Ojca, że moim zdaniem to naprawdę nie fair zabrać doktorowi ukochane kobiety. Piękna zapłata za jego usługi! Przynajmniej jedna dobra rzecz w byciu lesbijką: i tak idziesz do piekła, więc możesz nawtykać Bogu, kiedy tylko masz ochotę.

Gdy miałam już dosyć przeklinania Pana, zmęczenie wzięło górę i ułożyłam się między Yolandą a panią Rusted. Naciągnęłam na siebie kołdrę i objęłam ramieniem Yolandę. Aż dziwne, że byłam tak zmęczona, chociaż przez cały dzień nie robiłam nic, tylko gapiłam się w komputer. Żałoba to ciężka praca. Męczy cię bardziej niż machanie



łopatą przez kilka godzin podczas kopania rowów. Albo – raczej – grobów.

Tak czy inaczej, pogadałam sobie trochę z Yolandą na dobranoc, kiedy leżałam zwinięta obok niej na podłodze. Powiedziałam jej, że do końca życia będę jej wdzięczna za to, że podzieliła się ze mną swoją rodziną. Powiedziałam, że tak cholernie mi przykro, że nie będziemy mogły się już razem wygłupiać. Powiedziałam, że uwielbiałam słuchać jej śmiechu, głośnego i swobodnego, i że zawsze miałam nadzieję, że sama też nauczę się tak śmiać. A potem się zamknęłam i objęłam ją najściślej, jak mogłam. Nie byłam w stanie się do niej przytulić – nawet kiedy była owinięta w kołdrę, setki kolców na jej plecach skutecznie to uniemożliwiały. Ale mogłam otoczyć ją ramieniem i położyć udo na jej nogach, i w tej pozycji w końcu usnęłam.

Minęła zaledwie godzina, może dwie, gdy znowu otworzyłam oczy. Coś się zmieniło, ale nie wiedziałam co. Rozejrzałam się nieprzytomnie dookoła i zobaczyłam Templetona, który stał dokładnie nad moją głową, w płaszczu Drakuli na ramionach i z kciukiem w buzi. Nie wychodził na zewnątrz od paru dni i jego twarz i ciało świeciły bladością w mroku. Władca wampirów odwiedzający kolonię swoich umarłych. Najpierw pomyślałam, że to Templeton mnie obudził, ale to było coś innego. Po chwili powiedział mi:

– Oni śpiewają.

– Kto? – spytałam, ale zaraz umilkłam i zaczęłam nadśłuchiwać, aż sama ich usłyszałam.

W ciepłej sierpniowej nocy niosło się kilka słodkich głosów, śpiewających chórem piosenkę *Take Me Home* Phila Collinsa. Trwało to już jakiś czas. To właśnie ten dźwięk mnie zbudził, a nie stojący nade mną Templeton.

Wyjrzałam przez grube kwadratowe okienko pośrodku drzwi. Wyglądało na to, że wszyscy członkowie Kościoła Chrystusa

w Siódmym Wymiarze zgromadzili się tam tej nocy, odziani w te swoje lśniące, srebrne szale i suknie, niosąc papierowe latarnie z wetkniętymi do środka świeczkami. Pozbierali swoich zmarłych, trzy kobiety, które przygotowywały lunch, i owinęli je w metaliczną folię bąbelkową, tak że ciała przypominały monstrualne burrito w opakowaniach z folii aluminiowej. Kongregacja ustawiła się wokół zwłok w dwa koncentryczne pierścienie. Wewnętrzny poruszał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a zewnętrzny – w przeciwną stronę. Nawet fajnie to wyglądało, pod warunkiem że się zapomniało, jakie to świry.

Wzięłam Templetona na rękę, zniosłam go do jego sypialni na końcu korytarza i otuliłam w łóżku. Okno było uchylone i pieśń czcicieli komety wpadała do środka, głośna i wyraźna. Jak na bandę zwariowanych i patetycznych próżniaków całkiem nieźle wychodziło im utrzymywanie linii melodycznej.

Położyłam się na chwilę obok Templetona, żeby go uspokoić. Spytał mnie, czy myślę, że dusza Yolandy uleciała w chmury. Odparłam, że gdzieś na pewno uleciała, bo w ciele już jej nie ma. Templeton powiedział, że mama mówiła mu, że jego ojciec jest w chmurach i patrzy na niego z góry, i dodał, że kiedy zamienia się w nietoperza, lata i szuka w niebie taty. Zapytałam, czy często tak lata, a on odpowiedział, że każdej nocy, ale jeszcze nie znalazł ojca. Pocałowałam go w brew, miejsce, które Yolanda nazywała dreszczykiem, a chłopiec nagroził mnie słabym, radosnym uściskiem. Powiedziałam mu, żeby dał sobie na dzisiaj spokój z lataniem, czas spać, a on skinął uroczyście głową i oświadczył, że już w ogóle nie będzie nigdy latać. Stwierdził, że niebo jest pełne gwoździ i to nie jest bezpieczne miejsce dla porządnego nietoperza. A gdy mnie spytał, czy myślę, że znowu będzie tak padać, odpowiedziałam, że raczej nie, no bo kto mógł wiedzieć? Gdybym tamtej nocy

przypuszczała, co nas czeka, nie jestem pewna, czy dałabym radę przez to przejść.

Szepnęłam Templetonowi, żeby przestał już myśleć, i wstałam, by zamknąć okno. Powiedziałam „Dobranoc”. Byłam w stanie się uśmiechać, dopóki nie znalazłam się w holu. Minęłam ciała moich ukochanych i wyszłam w wilgotną, pachnącą letnią noc.

Chciałam zwrócić uwagę tym od kultu komety, żeby raczej śpiewali w porze, kiedy ludzie nie próbują zasnąć, ale gdy się zbliżyłam, zauważyłam coś, co zirytowało mnie nawet bardziej niż ich chórki. Trzech postawnych młodych ludzi przeciągnęło pana Waldmana przez ulicę na kraniec trawnika. Byli zajęci owijaniem go w tę srebrną, błyszczącą folię. Starszy Bent obserwował ich z odległości kilku kroków. Jego łysa głowa pokryta była czarnym tatuażem z mapą Układu Słonecznego. Merkury i Wenus, Ziemia i Mars, Saturn i Neptun lśniły widmowym, błękitnoszarym blaskiem na jego czasce, a fosforyzujące przerywane linie pokazywały drogę ich wędrówki dookoła Słońca w kolorze goblina. Słyszałam, że w poprzednim życiu występował w cyrku na trapezie; na pewno miał do tego odpowiednie ciało: smukłe mięśnie i węzłaste ramiona. Tak jak pozostali, ubrany był w srebrną szatę. Na jego szyi wisiało na złotym łańcuchu wielkie złote astrolabium; tylko mężczyźni mogli nosić takie ozdoby.

Nazywałam ich wyznawcami komety, ale był to jedynie głupi żarcik i nie mówił nic o ich wierzeniach. Większość z nich była w średnim wieku i nie kryła swojego szaleństwa. Jeden facet stracił trójkę dzieci w pożarze domu i opowiadał z uśmiechem, że one wcale nie zmarły – przeszły do nowej – siedmiowymiarowej – formy egzystencji. Inny mężczyzna czasem wkładał sobie do ust dziewięciowoltową baterię, żeby odbierać „transmisje” od różnych religijnych bytów, które, jak twierdził, nadawały z Neptuna. Nie słyszał ich głosów, tylko smakował ich rady i pomysły w miedzianym

szwungu baterii. Jeden z wiernych miał zęza i nerwowo spluwał, jakby właśnie do ust wleciał mu owad. Jeszcze inny nosił na ramionach blizny w kształcie uśmiechniętej buźki – sam je sobie zrobił.

Zawsze, kiedy próbowałam z nimi rozmawiać, robiło mi się smutno z powodu tych bzdur, w które wierzyli, i tych zawstydzających rzeczy, na jakie się porywali. Wszyscy oczekiwali końca świata, a w międzyczasie Starszy Bent uczył ich, jak przygotować dusze na siedmiowymiarową egzystencję czekającą na nich po śmierci. Dawał im mapy gwiazd do studiowania i radia do naprawiania (sprzedawali je na ulicznych targach w soboty). Wszyscy wierzyli, że ostateczny Testament Pana będzie zapisany nie słowami, ale jako diagram jakiegoś obwodu elektrycznego. Nawet nie mogę udawać, że to rozumiałam. Yolanda miała dla tej grupy świrów i dla Starszego Benta więcej cierpliwości, zawsze miło sobie gawędzili, kiedy wpadła na kogoś na ulicy. W te klocki była zdecydowanie lepsza niż ja. Czują żal w tych sytuacjach, w jakich ja się wkurzałam.

Teraz też byłam wkurzona, ale nie miałam pod ręką Yolandy, żeby mnie uspokoiła. Przeszłam na róg ich podwórka, gdzie trzech chłopaków szykowało się do zawinięcia pana Waldmana w srebrną folię, i stanęłam na brzegu materiału, zanim zarzucili go na zwłoki.

Mężczyźni, którzy zawijali staruszkę w ten całun rodem z science fiction, spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. Byli najmłodsi z ekipy Starszego Benta. Pierwszy z nich, wysoki i smukły, miał złotą brodę i włosy do ramion – mógłby grać Naszego Pana w przedstawieniu *Jesus Christ Superstar*. Drugi był miękki i pulchny, taki typ, o którym z góry wiesz, że będzie miał wilgotne i ciepłe rączki. Trzeci był czarny i chorował na bielactwo, jego ciemna twarz lśniła upstrzona łatami jasnej, szokująco różowej skóry. Wszyscy otworzyli usta, jakby mieli

zamiar coś powiedzieć, ale żaden tego nie zrobił. Starszy Bent wyrzucił przed siebie rękę gestem nakazującym ciszę.

– Honeysuckle Speck! Co przywiodło cię do nas w tę upojną noc?

– Nie wiem, co jest upojnego w tym, że jakieś sześć do siedmiu tysięcy ludzi zostało rozdartych na strzępy stąd do Denver.

– Sześć do siedmiu tysięcy ludzi wystąpiło z tych smutnych pojemników na ducha – pokazał w stronę zmarłego – i przeszło do następnej fazy. Zostali uwolnieni! Teraz są wszędzie, w siedmiu wymiarach, ich energia jest w szczelinie tła rzeczywistości, w ciemnej materii, która spaja wszechświat. Przygotowują się do kolejnego wielkiego przejścia.

– A ja bym chciała się dowiedzieć, dlaczego pan Waldman przeszedł na wasz trawnik. Dlaczego uważacie, że chciałby być owijany tą waszą folią jak jakieś resztki z kolacji?

– On jest jednym z pierwszych! Wyznaczy drogę, razem z wieloma innymi. Nie ma nic złego w uhonorowaniu jego ofiary.

– Pan Waldman nie złożył się w ofierze dla takich jak wy. Nie należał do waszej sekty. Był członkiem synagogi, a nie domu wariatów, i jeśli ma zostać uhonorowany, powinno się to odbyć według jego wiary, a nie waszej. Dlaczego nie zostawicie go w spokoju? Idźcie się napić jakiejś zatrutej lemoniady i polatajcie na komecie, sępy! Nic nie rozumiecie, ani jednej cholernej rzeczy!

Wysoki, chudy świr z głową świecącą w ciemnościach popatrzył na mnie z uśmiechem. Nieważne, jak się go skłęło, zawsze się do ciebie szczyrzył, jak do jakiegoś uroczego łobuziaka.

– Ależ owszem! – zaprzeczył. – Akurat rozumiem jedną cholerną rzecz: ta planeta jest przeklęta! Przepowiedziałem, że świat skończy się dwudziestego trzeciego listopada, dokładnie tego roku, o piątej rano i widzisz... już się zaczyna.

– A dwa lata temu mówiłeś, że skończy się pod koniec października.

– Powiedziałem, że apokalipsa nadejdzie dwudziestego trzeciego października, dwa lata temu, i tak się stało. Tylko rozwija się powoli. Niewielu obserwatorów dostrzega znaki.

– Mówiłeś też, że świat skończy się w dwa tysiące ósmym, nie?

Wreszcie przybrał wyraz twarzy, jakbym go rozczarowała.

– Asteroida, która miała w nas wtedy uderzyć, została zepchnięta z kursu przez tysiące połączonych modlitw, żeby dać nam więcej czasu na doskonalenie umysłów przed opuszczeniem trójwymiarowego świata. Ale dzień i godzina prawie już nadeszły. Tym razem nie zmienimy zakończenia. Powitamy je radosną pieśnią płynącą z naszych gardeł. Wyśpiewamy kurtynę, która opuści się na nasze życie. Ten koniec wyśpiewujemy już od jakiegoś czasu.

– Może powinniście wrócić do tego wyśpiewywania rano. Niektórzy z nas próbują usnąć. A skoro o tym mówimy: czy nie moglibyście śpiewać czegoś innego, nie zaraz koniecznie Phila Collinsa? Nie dość się dzisiaj nacierpieliśmy?

– Słowa nie mają znaczenia! Tylko radość, jaką generuje śpiew! Ładujemy się nią tak jak baterie. Jesteśmy już prawie pełni i gotowi do odejścia. Czyż nie?! – zawołał do swoich ludzi.

– Gotowi do odejścia! – odkrzyknęli, kołysząc się lekko i gapiąc na niebo na jego łysej, kościstej głowie.

– Gotowi do odejścia – powtórzył miękko Starszy Bent, splatając palce na płaskim brzuchu.

Tatuaże na jego głowie świeciły w ciemności, ale gwiazdy, które nosił na kłykciach, zostały wydziarane czarnym tuszem, kiedy siedział w więzieniu. Dwa lata za to, co zrobił żonie i pasierbicom. Przez niemal całe jedno lato trzymał je zamknięte na strychu, dając im rano jedną łyżkę stołową wody do podziału, a wieczorem jednego

herbatnika i zmuszając je każdego dnia do kartowania orbit planet. Jeśli któraś z nich odmawiała i nie brała udziału w tych „studiach”, pozostałe musiały kopać ją w plecy, dopóki nie posłuchała. Pewnego wieczoru, gdy wypuścił rodzinę na dwór, żeby obserwowała gwiazdy, żona uciekła. Policja wtrąciła go do kicia, ale nie siedział tam długo. Został wypuszczony po apelacji, na podstawie pierwszej poprawki, prawa do praktykowania swojej religii, chociaż w tych praktykach najwyraźniej mieściło się głodzenie i wykorzystywanie innych wiernych, jeśli nie śpiewali hymnów we właściwym rejestrze. Co gorsza, jego pasierbice dołączyły do niego, kiedy wyszedł. Teraz były oddanymi siostrami w wierze. Stały tuż za nim, szczupłe i ładne pod swoimi kołpakami, i obie patrzyły na mnie wilkiem.

Bent paplał i odciągnął moją uwagę od trzech kolesi kucających wokół pana Waldmana. Wykorzystali okazję, żeby znowu zacząć go owijać. Gdy usłyszałam szelest srebrnej folii, ponownie ją przydepnęłam, zanim zdążyli zakończyć pakowanie.

– Róbcie tak dalej, chłopcy, a apokalipsa spadnie na was szybciej, niż myślicie – powiedziałam do nich.

Spojrzeli nerwowo na Starszego Benta, a ten po chwili wykonał gest dłonią o długich palcach. Trzej młodzi mężczyźni wstali i odsunęli się od ciała.

– Myślisz, że ktoś odbędzie za niego sziwę, co, Honeysuckle? Żona pana Waldmana nie żyje. Syn jest w piechocie morskiej, stacjonuje gdzieś daleko i kto wie, biorąc pod uwagę obecny kryzys, kiedy się dowie o śmierci ojca. A nawet jak się już dowie... jeśli w ogóle... nie da rady wrócić do Boulder. Twarde deszcze dopiero zaczęły padać. Nadciąga więcej, zapewniam cię.

– Nadciąga więcej – powtórzył chłopak, który wyglądał jak Chrystus. Pomacał swój naszyjnik z astrolabium. – I tylko my jesteśmy przygotowani. Tylko my wiemy, co się...

Ale Starszy Bent machnął szybko długopalcą ręką i chłopak się zamknął. A Bent mówił dalej:

– Może jednak ktoś powinien go uhonorować. Czy jakaś ceremonia nie jest lepsza niż żadna? Czy to komuś szkodzi? Jeśli jego syn wróci do Boulder, uwolnione ziemskie ciało pana Waldmana cały czas tu będzie i można je będzie opłakiwać do woli. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – A może ty chcesz go zabrać? Ale jak go uczcisz, Honeysuckle? Odbędziesz sziwę? Wiesz chociaż, jak to się robi?

Miał mnie. Nie podobało mi się to, musiałam jednak zadbać o własnych zmarłych.

– No dobra... ale przynajmniej bądźcie cicho – odparłam słabo. – Po drugiej stronie ulicy dziecko chce spać.

– Powinnaś zaśpiewać z nami! Dziś w nocy nie powinnaś być sama, Honeysuckle. Chodź, usiądź. Nie bądź sama. Nie bój się. Lęk jest gorszy niż ból, wiesz? Pozbądź się swojego. Boisz się deszczu. Boisz się nas. Boisz się śmierci. Ale jeszcze nie jest za późno, możemy nauczyć cię kochać i być szczęśliwą, nawet teraz, kiedy ostatni rozdział ludzkości jest pisany.

– Nie, dziękuję. Jeśli wszyscy jesteśmy na wylocie, chcę zakończyć moje życie w zdrowiu psychicznym, a nie ubrana w spódnicę z folii, śpiewając największe przeboje Phila Collinsa. Wciąż istnieje coś takiego jak godna śmierć.

Obrzucił mnie smutnym, współczującym spojrzeniem i złożył razem czubki palców w geście, który przypominał mi Spocka, a to znowu mnie zasmuciło. Yolanda i ja szalałyśmy na punkcie Zachary'ego Quinto.

Starszy Bent uklonił się przede mną i obrócił, szeleszcząc srebrną szatą. Ciężko jest traktować poważnie duchowego przywódcę, kiedy paradyje w czymś przypominającym sukienkę na bal maturalny uszytą z folii aluminiowej. Gruby dzieciak i chłopak z bielactwem



ponownie pochylili się nad ciałem pana Waldmana, ale ten, który wyglądał jak Jezus, przesunął palcami po swoich złotych lokach i zbliżył się do mnie o pół kroku.

– Gdybyś wiedziała to co my – wyszeptał – błagałabyś, żeby móc do nas dołączyć. Tylko my byliśmy gotowi na to, co się dzisiaj wydarzyło. Mądra dziewczyna zastanowiłaby się nad tym. Mądra dziewczyna zapytałaby samą siebie, co jeszcze wiemy, czego ona nie wie.

Brzmiało to złowieszczo, ale kiedy odwrócił się z dramatycznym szelestem, nastąpił na igłę i zawył wysokim głosem, co zepsuło cały efekt. Przyglądałam się, jak odchodzi, powłócząc nogą, i wtedy kątem oka zauważyłam jakiś ruch i błysk światła. Obróciłam się.

To był Andropow w swoim mieszkaniu na parterze. Stał za szybą, trzymał lampę olejną i patrzył na nas. Patrzył na mnie. Sposób, w jaki spoglądał, sprawił, że ścisnęło mnie w żołądku.

Przyłożył do szyby kawałek sklejki i zniknął za nią, a następnie usłyszałam, jak wali młotkiem. Zabijał deskami okna, odcinając Martinę i siebie od reszty świata.

Kiedy obudziłam się na sofie Ursuli, frontowy pokój zalewały silne, przejrzyste światło i zapach kawy oraz ciepłego syropu klonowego. Templeton stał nade mną, popijając espresso z małego kubeczka, a jego peleryna Drakuli zwisała zawadiacko z jednego ramienia.

– To byli terroryści – powiedział bez żadnego wstępu. – A teraz mówią, że jest sześćdziesiąt procent szans na to, że gwoździe spadną w Wichita. Chcesz gofry z orzechami pekanowymi?

Ursula miała na sobie flanelową piżamę i obsługiwała żelazną gofrownicę postawioną na palniku kuchenki. Z jej laptopa leciały poranne wiadomości. Sami wiecie, co było na topie tamtego poranka: jestem pewna, że też to oglądaliście. Do „Denver Timesa”, „New York Timesa” i „Drudge Report” przyszły listy. Były pokazywane, omawiane i lekceważone przez cały ranek:

*Szanowni Państwo!*

*Nadciąga czas końca. Sztorm ogromny jak furia Alla spada wam na głowy. Drogi spływają krwią. Gnijące ciała blokują parki, stają się wylęgarniami dla larw. Miliony gwoździ spadają na was, za wojny i rabowanie z muzułmańskich krajów ropy i za to, że wasz rasistowski naród wyrzuca muzułmanów. Wkrótce w waszych duszach pojawi się myśl o 11 września jako o dniu spokoju.*

Na dole ekranu leciała lista szkół i kościołów, jak wtedy, kiedy zamykają wszystko z powodu burzy śnieżnej. Tak też najpierw pomyślałam: że to lista zamkniętych obiektów. I dopiero gdy jadłam pierwszego gofra, zdałam sobie sprawę, że to lista miejsc, gdzie można przynieść zmarłych.

Mówili, że w granicach miejskich Denver zginęło co najmniej siedem i pół tysiąca osób, ale służby przypuszczały, że pod koniec dnia ta liczba okaże się znacznie wyższa. Pokazali wesele i pannę młodą w czerwonej sukni ponabijanej igłami. Zawodziła i obejmowała to, co pozostało z jej męża. Został rozdarty, ochraniając ją swoim ciałem. Byli małżeństwem przez niecałą godzinę. Kiedy to się stało, tańczyli w pawilonie pod gołym niebem. Panna młoda straciła męża, obie siostry, rodziców, dziadków i siostrzenice.

W CNN do programu *Situation Room* zaprosili chemika. Rozpoczął od powtórzenia tego, co już wszyscy wiedzieli: że twardy deszcz składał się z krystalicznych fulgurytów, które czasem nazywa się „skamieniałymi błyskawicami”. Przyznał, że co prawda fulguryty występują w przyrodzie, ale kryształy, które uderzyły w Boulder i Denver, to coś nowego. Reprezentują sztuczną formę fulgurytu, najpewniej zaprojektowaną w laboratorium. Inaczej niemożliwa byłaby taka prawie przemysłowa doskonałość gwoździ spadających na Kolorado. Chemik powiedział Wolfowi Blitzerowi, że to możliwe – a nawet prawdopodobne – że ktoś zasiał je w chmurze, przypuszczalnie za pomocą zwykłego samolotu do oprysków, co by potwierdzało hipotezę o terrorystach.

Dodał, że twardy deszcz zachowywał się inaczej niż normalny fulguryt. Zamiast spadać na ziemię zmieszany z deszczem, wchłonał całą wodę, wykorzystując każdą dostępną odrobinę wilgoci do zwiększenia swoich rozmiarów. Nie potrzebował błyskawic, żeby przybrać formę kryształu: wystarczyła stara, dobra elektryczność statyczna.

Wolf Blitzer poinformował, że gwoździe spadły też w okolicy Wichity, i spytał swojego gościa, czy to ta sama chmura, która spowodowała opad igieł nad Boulder. Chemik pokręcił głową. Wyjaśnił, że w górnych warstwach stratosfery mogą być miliony

ziarenek tego czegoś i że to pewnie może zbierać się w chmurach, tak jak się to dzieje z pyłem. I że niektóre z tych ziarenek spadną pod postacią igieł i gwoździ. Inne trochę urosną, a potem połamią się na części, tworząc nowe ziarna kryształu, które zainfekują kolejne systemy chmurowe. Wolf zapytał, co to znaczy, tak po ludzku. Chemik wepchnął okulary głębiej na nos i powiedział, że może się to stać stałym elementem globalnego cyklu pogodowego. Ten nowy syntetyczny kryształ fulgurytu jest samoodnawialny, a teraz znajduje się w atmosferze. Zastrzegł, że będą musieli wyliczyć modele, ale niewykluczone, że w końcu z każdej deszczowej chmury będą spadać deszcze kryształów. Nazwał to „scenariuszem Vonneguta”. Że zwykły deszcz może już należeć do przeszłości.

Wtedy Wolf chyba zapomniał, że kamery są na niego skierowane. Po prostu stał tam i wyglądał, jakby mu było niedobrze. Po chwili wybełkotał, że przełączają się na wydarzenia w Wichicie, i ostrzegł rodziców, żeby zabrali dzieci sprzed ekranów.

Do tamtego momentu Ursula pochylała się nad zlewem, szybko czyszcząc kubki i patelnie i ustawiając je do wyschnięcia na suszarce. Ale kiedy to usłyszała, powiedziała mi łagodnie, że może powinnam wyłączyć laptopa, bo niedługo padnie bateria, a ja wiedziałam, że chce oszczędzić Templetonowi widoku kolejnej rzezi.

Dołączyłam do niej przy zlewie i zaczęłam wycierać wilgotne szklanki.

– Starszy Bent mówi, że tej jesieni nadejdzie koniec świata – wyszeptalam. – Wydaje mi się, że ten naukowiec na CNN właśnie powiedział coś podobnego. Niedobrze mi. To wszystko jest takie straszne, nie wiem, co robić.

Ursula milczała przez chwilę, myjąc gąbką gofrownicę. A potem odezwała się:

– Nigdy nie czułam się bardziej samotna, przestraszona i bezradna niż w dniach po śmierci Charliego. Nic nie działa na człowieka gorzej niż bezradność. Byłam taka wściekła, bo nic nie mogłam na to poradzić. Nie mogłam mieć go z powrotem. Nie mogłam naprawić, cofnąć, zmienić tego, co się wydarzyło. Wiem, co czujesz, Honeysuckle. Ja już tam byłam, w tym opuszczonym miejscu na krańcu świata, i wiem tylko to: jedynym sposobem, żeby żyć dalej, jest robić to, co ludzie, których kochałaś, chcieliby, żebyś robiła. Wyobraź sobie, jak bardzo Yolanda chciałaby, żebyś wykorzystała czas, jaki ci został. Tylko w ten sposób ona pozostanie blisko ciebie. Jeśli się boisz, jeśli ci niedobrze i nie możesz sobie wyobrazić, jak masz żyć dla siebie, spróbuj wyobrazić sobie, jak możesz żyć dla niej. Nie będziesz się czuła tak strasznie bezradna. Po prostu będziesz wiedziała, co robić.

Kiedy zabrakło jej słów, poklepała mnie lekko po czubku głowy, jak osoba, która boi się ugryzienia, ale musi poklepać dużego, obcego psa. To był kiepski sposób okazywania uczuć, wiedziałam jednak, że wiele ją kosztował, i doceniałam to. Poza tym dopuściła mnie tak blisko do siebie i podzieliła się ze mną swoim własnym bólem, a takie coś wymaga więcej odwagi niż przytulenie.

Poprosiła, żebym popilnowała trochę Templetona, podczas gdy ona zgarnie gwoździe z podwórka. Siedziałam w garażu i patrzyłam, jak dzieciak stoi na wiaderku na sól kamienną i wali w klawisze wielkiej żelaznej, ręcznej maszyny do pisania, jedynej rzeczy, jaką zostawił mu ojciec. Siedziałam pod oprawionym dyplomem doktorskim jego ojca z Uniwersytetu Cornella. Templeton był bezpośrednim potomkiem bladych, nerwowych geniuszy, którzy lepiej czuli się w towarzystwie mikrobów na szalce niż przy innych ludziach. Nie było jasne, czy Charlie Blake po kilku drinkach przez przypadek przebił samochodem barierkę w kanionie, czy zrobił to celowo. To Yolanda pojechała

z Ursulą zidentyfikować ciało, kiedy ja zostałam z Templetonem. Powiedziała mi później, że Charliego dopiero co wywalili z roboty. Firma przeprowadzała się gdzieś do Grecji i zabierała ze sobą jego badania i najlepsze pomysły, ale jego samego już nie. Za dziesięć lat pracy dostał tylko uścisk dłoni i złotego iPada. Podczas wypadku czaszka wgniotła mu się w mózg, iPad jednak ocalał z zaledwie paroma zadrapaniami. Ursula dała go Yolandzie, nie mogła znieść jego widoku.

Templeton walił w klawisze, a ja starałam się wymyślić, co Yolanda chciałaby, żebym zrobiła. Bateria w telefonie miała jeszcze jakieś trzydzieści procent, spróbowałam więc ponownie zadzwonić do jej ojca. Tym razem nawet nie przełączyło mnie na pocztę głosową. Podeszłam do otwartych garażowych drzwi. Nad Górami Skalistymi rozciągało się błękitne niebo i w zasięgu wzroku wisiało jedynie kilka rozrzuconych wysepek chmur.

Ursula stała na środku trawnika, opierała się o grabie i przyglądała mi się. U jej stóp leżała kupka lśniących, kryształowych odłamków.

– O czym myślisz? – spytała.

– Sądzisz, że będzie padać?

– Może później pokropi – odpowiedziała ostrożnie.

– Pomyślałam sobie, że powinnam zobaczyć się z doktorem Rustedem. Ojcem Yolandy. Ktoś musi mu powiedzieć, co stało się z jego córką. Mnie jest łatwiej dotrzeć do niego niż jemu tutaj. Ma sześćdziesiąt cztery lata i nie jest takim znowu sportowcem.

– Gdzie on mieszka?

– W Denver.

– Jak chcesz się tam dostać?

– Chyba na piechotę. Przejechać się nie da. Drogi są całe w gwoździach.

– Wiesz, że to pięćdziesiąt kilometrów?

– Tak, proszę pani. Dlatego jak mam iść, to najlepiej zaraz. Jeśli wyjdę w ciągu godziny, wrócę jutro przed nocą.

– A jeśli złapie cię kolejny deszcz, jutro przed nocą będziesz martwa.

Podrapałam się w szyję.

– No cóż. Będę uważnie obserwować niebo i gdy się zaciągnie, poszukam schronienia.

Ursula zacisnęła dłonie na trzonku grabi i rozmyślała, marszcząc czoło.

– Nie jestem twoją matką – powiedziała w końcu. – Więc nie mogę ci zabronić. Ale chcę, żebyś regularnie przysyłała mi esemesy, żebym wiedziała, co się z tobą dzieje. A jak wrócisz, masz przyjść od razu tutaj i pokazać Templetonowi, że wszystko z tobą w porządku, żeby nie musiał się o ciebie martwić.

– Tak, proszę pani.

– Szkoda, że nie mam broni, żeby ci dać.

– Dlaczego? – zapytałam, autentycznie zdziwiona.

– Bo nie wszyscy będą przestrzegać prawa, a tam jest całe miasto przestraszonych ludzi. Obudzili się dzisiaj w zatrutym świecie i niektórzy z nich na pewno dojdą do wniosku, że nie ma sensu powstrzymywać się od zrobienia tych okropnych rzeczy, o jakich zawsze marzyli. – Zastanawiała się jeszcze chwilę, a potem uniosła brwi. – Mam dużą zardzewiałą maczetę, mogłabyś ją wziąć. Trzymam ją do wycinania krzaków.

– Nie, proszę pani – odparłam. – Jeśli wdam się w bójkę, prędzej dziabnę się tym w kolano, niż kogoś trafię. Lepiej zostaw ją sobie. Będę wybierała główne drogi. Nie sądzę, żeby w świetle dnia było się czego obawiać.

Odwróciłam się i poszłam z powrotem do garażu. Templeton miał dosyć pisania i powiedział, że jest gotowy na bycie nietoperzem.

Chwyciłam go w pasie, uniosłam i powiesiłam do góry nogami na wieszaku rowerowym. Kołysał się nad brudnym, poplamionym materacem, który miał złagodzić upadek, gdyby Templeton się ześlizgnął.

– Hej, mały – zaczęłam.

– Wszystko słyszałem – oznajmił. – Całą rozmowę.

– Nie chcę, żebyś się o mnie martwił. Jeśli zaczniesz padać, schowam się. Nic mi nie będzie. A ty zostań w domu albo w garażu, póki nie wrócę.

– Mama i tak nie wypuści mnie na dwór.

– No i dobrze. Skończyło się twoje latanie jako nietoperz. Właściwie to chyba będę musiała zajrzeć w Denver do Federalnej Administracji Lotnictwa i donieść im, co ty wyprawiasz. Powinni wiedzieć, że latasz sobie nocą bez pozwolenia. I zobaczymy, czy nie obetną ci skrzydeł, raz a dobrze.

– Lepiej tego nie rób – ostrzegł.

– Nie powstrzymasz mnie.

Zasyczał jak wąż i pokazał mi plastikowe kły. Potargałam mu włosy i powiedziałam, że niedługo się zobaczymy.

– Nie martw się o Yolandę i jej matkę – odezwał się do mnie poważnie. – Jeśli nie wrócisz, moja mama wymyśli, co z nimi zrobić. Być może zasadzi je w ogródku.

– To dobrze. Mam nadzieję, że wyhoduje na nich coś fajnego. Yolanda chyba chciałaby powrócić jako grządka pomidorów.

– Mama nie lubi przytulać ludzi – dodał Templeton, ciągle wisząc głową w dół, tak że jego peleryna sięgała prawie do ziemi. – Obejmiesz mnie?

– Pewnie – powiedziałam i to zrobiłam.



Wystarczyło, że przeszłam kawałek ulicą, i miałam już pojęcie, jak ciężko będzie dojść do Denver. Droga była pokryta na półtora centymetra dywanem z kryształowych igieł. Jedna przebiła miękką, gumową podeszwę mojego adidasa i dźgnęła mnie w prawą stopę. Usiadłam na krawężniku, żeby ją wyciągnąć, zaraz jednak wrzasnęłam i zerwałam się, z trzema kolejnymi gwoździami sterczącymi z mojego głupiego tyłka.

Wspięłam się po zewnętrznych schodach na pierwsze piętro, do mojego mieszkania. Od Andropowa z dołu dobiegały hałasy. Odtwarzacz grał na ful rosyjską muzykę. Na tyłach budynku równie głośno chodził telewizor. Słyszałam, jak Hugh Grant opowiada dowcipy chytrym głosem, tak donośnym, jakby należał do Boga. Jak zapewne pamiętacie, w Boulder nie było prądu, cały ten sprzęt musiał działać na baterie.

Czekając na przyjazd Yolandy, pozamiatałam i umyłam każdy kąt w mieszkaniu. Otworzyłam nawet buteleczkę olejku sandałowo-szałwiowego i całe wnętrze upojnie pachniało słodkim aromatem gór.

Miałyśmy tylko cztery pomieszczenia. Salon łączył się z niewielką kuchnią. Do tego dochodziły jeszcze sypialnia i małe biuro na tyłach. Podłoga była ze starej sosny, zabejcowana dawno temu na żółtawy kolor, który przechodził w odcień bursztynu. Prawie nie miałyśmy mebli, z wyjątkiem łóżka i taniego futonu znajdującego się tuż pod plakatem Erica Churcha. Wyglądało to niepozornie. Ale przytulałyśmy się do siebie na tym futonie, oglądałyśmy razem telewizję, czasem całowałyśmy się i obejmowałyśmy. Yolanda trzymała w moim mieszkaniu swoją ulubioną poduszkę; zobaczyłam ją, gdy zajrzałam do sypialni – długą i płaską, w spłowiałej fioletowej poszewce, porządnie ułożoną na łóżku. Jej widok sprawił, że wyciekła ze mnie

cała energia na wyprawę i znowu poczułam, jaka jestem nieszczęśliwa.

Leżałam przez jakiś czas, wtulając się w poduszkę. Czułam zapach Yolandy. Kiedy zamknęłam oczy, prawie uwierzyłam, że jest ze mną w łóżku, że tylko na chwilę przerwałyśmy jedną z tych długich, sennych rozmów, które tak często odbywałyśmy zaraz po obudzeniu. Mogłyśmy się radośnie sprzeczać niemal o wszystko: która z nas lepiej wygląda w kowbojskim kapeluszu, czy jest za późno, żeby rozpocząć naukę na ninja, czy konie mają dusze.

Ale nie mogłam się zanurzyć w długotrwałym żalu. Na dole było zbyt głośno. Nie wiedziałam, jak oni to wytrzymują – w jednym pokoju aria po rosyjsku, a w drugim Hugh Grant, i wszystko ryczące na cały regulator. Pewnie się kłóć, pomyślałam, jedno próbuje wkurzyć drugie. To nie pierwszy raz, kiedy z dołu dobiegały wściekłe dźwięki: walenie garnkami, trzaskanie drzwiami.

Wyskoczyłam z łóżka i tupnęłam w podłogę, żeby się zamknęli, i jedno z nich natychmiast odpowiedziało, kopiąc w ścianę. Kopnięcia były tak mocne i było ich tak dużo, że cały dom się trząsał. Tupnęłam jeszcze mocniej, żeby pokazać, że mnie nie wystraszą, ale Andropow też kopnął mocniej i nagle zdałam sobie sprawę, że dałam się wciągnąć w ich dziecinną grę, więc przestałam.

Wrzuciłam do plecaka kilka butelek z wodą, trochę sera i chleba, a także ładowarkę, na wypadek gdyby gdzieś był prąd, nóż wielofunkcyjny i parę innych drobiazgów, które mogły się przydać. Zrzuciłam z nóg miękkie obuwie i wciągnęłam kowbojskie buty, czarne, ze srebrnym haftem i stalowymi noskami. Wyszłam i nie zamknęłam nawet za sobą drzwi. Nie widziałam powodu. Deszcz roztrzaskał szyby na zewnętrznej klatce schodowej. A gliny z pewnością miały inne rzeczy do roboty niż troszczenie się o drobne

włamania tu i ówdzie. Jeśli pojawi się ktoś, komu spodobają się moje graty, może je sobie wziąć.

Hałas z mieszkania Andropowów szarpał moimi nerwami i buzował mi głowie; to było więcej, niż normalny człowiek powinien znosić. W ostatnim odruchu irytacji odwróciłam się na pięcie, wpadłam na werandę i zadudniłam w drzwi. Chciałam zapytać, o co im chodzi. Nikt jednak mi nie otworzył, chociaż stałam tam i waliłam, dopóki nie rozboleły mnie pięści. Było głośno, to prawda, ale nie aż tak. Jestem pewna, że mnie słyszeli.

Wkurzyłam się, że oboje mnie ignorują. Podeszłam do okna, potem do następnego, ale oba zostały od wewnątrz zabite deskami. Szyby były całe, ochronił je dach nad werandą.

Zeszłam po schodkach i okrążyłam dom od wschodu. Gwoździe padały ukośnie z zachodu, więc okna z tej strony budynku również przetrwały. Tu też Andropow poprzybijał deski. Pierwsze okno było całkiem zasłonięte, ale kiedy dotarłam do drugiego, zobaczyłam między deskami szczelinę, szeroką może na dwa centymetry. Stojąc na palcach, mogłam zajrzeć przez nią do środka.

Dojrzałam ciemny przedpokój i otwarte drzwi do zapuszczonej łazienki. Plastikowe rurki wiły się od wanny do zlewu. Na toalecie stał szklany dzbanek, a obok niego pojemnik z kilkoma litrami płynu, który mógł być wodą, bardziej jednak wyglądał na amoniak albo jakiś inny środek chemiczny.

Wspięłam się trochę wyżej na palce, próbując zobaczyć, co leży na podłodze łazienki. Uderzyłam czołem o szybę. Chwilę później w szczelinie pojawiło się oko Andropowa, wybałuszone, nabiegłe krwią i dzikie ze strachu lub wściekłości. Jego krzaczaste brwi były czarne i przerośnięte. Widziałam pory na baniastym nosie. Andropow wybełkotał coś wściekłym, charkotliwym rosyjskim i zaciągnął na okno czarną zasłonę.

Szłam przez kampus Uniwersytetu Stanu Kolorado w Boulder, kiedy zobaczyłam faceta na drzewie, jakieś dziesięć metrów nad ziemią; miał na sobie ciemną wiatrówkę i czerwony krawat, zwisał prawie do góry nogami, a żołądek przebijała mu gałąź. Przeszłam pod nim. Wyciągał przed siebie obie ręce, a oczy miał szeroko otwarte, jakby prosił, żeby go ściągnąć na dół. Za diabła nie mogłam pojąć, jak się tam znalazł.

Poranek pod wielkimi dębami na Norlin Quad był chłodny i cienisty, ale nie dało się udawać, że przypominał inne niedzielne przedpołudnia. Obok mnie przebiegła dziewczyna w nasiąkniętym krwią podkoszulku z Joshem Ritterem, szlochając z głębi trzewi. Kto wie, od czego uciekała albo gdzie chciała dobiec. Co wywołało jej ból? Co mogło go ukoić i czy kiedykolwiek to coś odnalazła?

Na ścieżkach leżały lśniące gwoździe z najpiękniejszego kryształu, okna we wszystkich akademikach były powybijane, a trawę zaśmiecały martwe gołębie. W powietrzu wcale nie unosił się zapach końca lata: spalonej słońcem trawy i srebrnych świerków. Zamiast tego śmierdziało paliwem lotniczym.

Zauważyłam helikopter, dopiero kiedy przeszłam ciemną alejką między budynkami i zerknęłam przez kamienny łuk na teatr pod gołym niebem, gdzie wystawiano zazwyczaj sztuki Szekspira i takie tam. To była maszyna stacji telewizyjnej, spadła prosto na kamienne płyty. Z kokpitu została tylko splątana masa stali, potłuczonego szkła i krwi. Helikopter wyglądał, jakby go zestrzelono, cały w dziurach, wgnieceniach i obtłuczeniach. Stąd wziął się ten facet na drzewie. Kiedy zobaczył, co się dzieje, próbował wyskoczyć. Może pomyślał, że dąb zamortyzuje jego upadek. No i tak rzeczywiście było.

Wyszłam na Broadway, szeroką czteropasmową ulicę, która linią prostą przecinała tę część Boulder. Dopiero gdy znalazłam się na chodniku, zrozumiałam, jak źle sprawy się mają. Gdziekolwiek spojrzałam, wszędzie stały porzucone samochody: szyby wgniecione do środka, potłuczone, karoserie poznaczone setkami dziur, jak przestrzelone. Samochody zjechały z drogi na krawężniki. Zobaczyłam ciężarówkę z plandeką, z której zostały tylko gałgany, i pick-upa zaparkowanego w biurze agenta nieruchomości – najwyraźniej przejechał prosto przez szybę, próbując uciec przed burzą. Ktoś inny władował się swoim lincolnem continentalem w przystanek autobusowy, bezpośrednio w pleksiglasową wiatę, gdzie ludzie stłoczyli się, uciekając przed deszczem. Na pleksiglasie była rozprysnięta krew, ale przynajmniej ciała już uprzątnięto.

Dwie przecznice dalej stał autobus międzymiastowy, dziurawy jak sito. Drzwi były uchylone, a na dolnym schodku siedział jakiś facet z nogami na jezdni. Szczupły Latynos w błękitnej dżinsowej koszuli zapiętej pod szyją, ale rozwartej poniżej, odsłaniającej nagą klatę. Trzymał pięść przy ustach, jakby chciał stłumić kaszel. Myślałam, że cicho jęczy, ten dźwięk wydawał jednak kot.

Potworny, chudy, bezwłosy kot, jedno z tych stworzeń całych w zmarszczkach, z wielkimi uszami jak nietoperz. Stworzenie wlekło się na przednich łapach, powoli zataczając koło i próbując znaleźć w tym ulgę. Jeden gwóźdź tkwił w jego zadzie, a drugi przebijał gardło.

Rosły Latynos, którego twarz obramowana była długimi pasmami tłustych włosów, płakał prawie bezgłośnie. Bezgłośnie i gorzko. Miał nos złamany w kilku miejscach i blizny w kącikach oczu. Wyglądał, jak gdyby miał za sobą sto barowych bójek i przegrał dziewięćdziesiąt z nich. Z ciemnymi włosami i skórą w odcieniu czerwieni – w kolorze

polerowanego drewna tekowego – przypominał meksykańskiego kowboja.

Zatrzymałam się i przykucnęłam na drodze przy kocie. Obrzucił mnie zdumionym, bezradnym spojrzeniem bardzo zielonych oczu. Nie przepadam za bezwłosymi kotami, ale czułam się strasznie z powodu tego biedaka.

– Biedny maluch – powiedziałam.

– To mój kot – odparł wielki facet.

– O Boże. Tak mi przykro. Jak ma na imię?

– Roswell – wykrztusił. – Szukałem go cały ranek. Wołałem. Był pod autobusem. Żałuję, że w ogóle go znalazłem.

– Może jednak nie – zauważyłam. – Ma pan szansę się pożegnać. Wielu innych nie mogło powiedzieć kilku ostatnich słów do tych, których kochali. On się cieszy, że pana widzi, bez względu na ból.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Masz popieprzone pojęcie tego, czym jest szansa.

– Nie bardzo mi się podoba używane przez pana słownictwo – odpowiedziałam. – Ale odpuszczę, bo widzę, że jest pan zdenerwowany. Jak się pan nazywa?

– Mark Znak.

– To nie jest prawdziwe nazwisko.

– To mój pseudonim na ringu. – Lekko rozchylił koszulę i pokazał mi czarne gotyckie X wytatuowane na piersi i brzuchu. Linie przecinały się tuż nad mostkiem. – Jestem profesjonalnym zawodnikiem w mieszanych sztukach walki. Na chwilę obecną mam pięć wygranych walk i siedem przegranych, ale nie straciłem punktów w żadnej z ostatnich czterech. A ty, kim jesteś?

– Honeysuckle Speck.

– A to co za imię?

– To mój pseudonim na ringu.

Przez chwilę patrzył na mnie zdumiony, sponad pięści, którą ciągle trzymał przy ustach. A potem żal wziął górę i jego ramiona opadły w kolejnym szlochu, a z nosa i ust pociekły mu gluty i ślina. Kiedy gwiazdy filmowe oplakują kogoś w tragicznym trzecim akcie historii miłosnej, zawsze wygląda to ładniej niż w rzeczywistości.

Roswell spoglądał to na mnie, to na Marka i miauczał słabym, cienkim głosem. Trząśł się cały. Pogłaskałam jego gładki, pokryty meszkiem bok. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby jakieś stworzenie tak wyraźnie błagało o pomoc.

– Nie wiem, co mam zrobić – odezwał się Mark Znak.

– Została tylko jedna rzecz, jaką może pan dla niego zrobić.

– Nie dam rady! – powiedział i znowu wybuchł płaczem. – Nie ma mowy. Byliśmy przyjaciółmi przez dziesięć lat.

– Dziesięć lat to niezły kawałek życia dla kota.

– Wędrował ze mną od Tucumcari po Spokane. Miałem tylko jego i koszulę na grzbiecie. Po prostu nie mogę tego zrobić.

– Nie, jasne, nie może pan – potwierdziłam. – Niech go pan przytuli. On szuka ukojenia.

Wyciągnął wielką, gruzłowatą łapę i podrapał Roswella po łebku, delikatnie jak mężczyzna, który głaszczce twarz noworodka. Roswell przymknął oczy, przycisnął czaszkę do dłoni Marka i miękko, sucho zamruczał. Leżał w lepkiej kałuży krwi, ale czuł na boku ciepło słońca, a na pyszczku dłoń przyjaciela.

– Och, Roswell – westchnął Mark. – Nikt nigdy nie miał lepszego towarzysza.

Znowu przycisnął rękę do ust, walcząc ze świeżymi łzami, i zacisnął powieki. Uznałam, że to równie dobry moment jak każdy inny, więc zamknęłam jedną dłoń na głowie Roswella, a drugą na jego szyi i mocno przekręciłam. Tak samo jak z kurczakami na farmie mojego ojca.

Powieki Marka Znaka zatrzepotały. Zesztywniał od szoku.

– Co ty robisz? – spytał, jakby nie wiedział.

– Już po wszystkim – odparłam. – On cierpiał.

– Nie! – zawołał, ale chyba to nie było do mnie, nie dotyczyło tego, co zrobiłam. Krzyczał na Boga za to, że zabrał jego kota. Krzyczał na swoje zasmucone serce. – Kurwa! Kurwa, Roswell.

Zsunął się ze stopnia autobusu na kolana. Roswell leżał zwinięty na boku, w czerwonej kałuży krwi. Mark Znak dźwignął obiema rękami jego miękkie ciało, przyciągnął do siebie, uniósł i przytulił.

Dotknęłam ramienia Marka, ale on odepchnął łokciem moją rękę.

– Spierdalaj stąd! – wrzasnął. – Nie mówiłem, żebyś to robiła. Nie miałaś prawa!

– Przepraszam. Ale tak było najlepiej. Ten kot był w agonii.

– Kto cię prosił? Ja cię prosiłem?!

– Nic nie mogło ocalić Roswella.

– Jak zaraz nie ruszysz stąd w podskokach, brudna lesbo – zaczął mi grozić – ciebie też nic nie ocali.

Nie poczułam się dotknięta. On cierpiał. Cały świat cierpiał.

Poszperałam w plecaku i podałam mu butelkę wody. Nie spojrział na nią ani na mnie, więc postawiłam wodę na drodze, koło jego biodra. Z bliska dostrzegłam, że jest młodszy, niż się na początku wydawał. Może nawet nie był starszy ode mnie. Poczułam do niego sympatię, mimo jego paskudnego słownictwa i dziecinnego zachowania. On też był sam na tym świecie.

Wstałam i poszłam dalej, ale kiedy mijałam trzecią przecnicę, obejrzałam się i zobaczyłam, że Mark Znak idzie za mną. Zataczał się jak pijany, jakieś trzydzieści metrów z tyłu, gdy jednak zorientował się, że go widzę, szybko się odwrócił i udawał, że przygląda się wystawie ze zbitą szybą, na tle ciemnego wnętrza sklepu z elektroniką z drugiej ręki. Znalazł gdzieś biały kowbojski kapelusz ze słomki.



Z nim na głowie i z czerwoną bandaną na szyi wyglądał jeszcze bardziej jak młody poganiacz bydła.

Przestraszyłam się. Podczas naszego krótkiego spotkania uznałam go za człowieka łatwo ulegającego emocjom, impulsywnego i niedojrzałego. Być może on z kolei doszedł do wniosku, że jestem sadystyczną łamaczką serc i morderczynią kotów, więc teraz pędził, żeby wyrazić swoje niezadowolenie za pomocą zaciśniętej pięści. A może chciał poprawić swój wynik do sześciu wygranych i przywalić samotnej lesbijce, która na swoje nieszczęście wyglądała jak Squiggy z *Simpsonów*.

Ruszyłam dalej i przy następnej przecznicy odetchnęłam z ulgą. Jeśli zamierzał na mnie napaść, stracił właśnie okazję. Tam gdzie Broadway opadał w kierunku południowym do Lower Chautauqua, zaczęło pojawiać się coraz więcej ludzi. Usłyszałam niski grzmot i w ulicę przede mną skręciła ogromna wywrotka z łańcuchami założonymi na opony. Lśniące, krystaliczne gwoździe eksplodowały pod jej kołami. Z tyłu jechał wielki koleś w brudnym żółtym kombinezonie i w gumowych rękawicach po łokcie. Platforma za nim załadowana była ciałami poukładanymi jedne na drugich.

Wywrotka omijała porzucone samochody, ale tam, gdzie nie było dość miejsca, przejeżdżała po nich, spychając wraki z drogi. Dołączyła do powolnego konduktu innych wywrotek. Ustawiły się do skrętu na boisko futbolowe za szkołą.

Wydawało się, że jest tam pół Boulder, wszyscy szli oszołomieni – gromady dzieciaków z brudnymi buziami, starsze panie w podomkach. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam martwe ciała ułożone w rzędach wzdłuż linii boiska, od jednej bramki do drugiej. Wywrotki zbierały zmarłych, a członkowie rodzin podążali w kondukcje, żeby przekonać się, czy szczątki tych, których kochali, są odpowiednio traktowane.

Można się było spodziewać, że wszyscy będą szlochać, że całe boisko będzie jednym wielkim greckim chórem płaczów i krzyków, ale ci ludzie byli na to zdecydowanie za dobrze wychowani. Jesteśmy z prerii, nie robimy wiele hałasu. To niegrzeczne. Pomyślałam jednocześnie, że wielu z tych ludzi jest zbyt zmęczonych i zszokowanych, żeby płakać. Poza tym niezbyt elegancko jest rozdzierać szaty i szarpać się za włosy, kiedy dookoła znajduje się tyle osób pogrążonych w żalu.

Na jednym końcu boiska stały rozkładane stoły, a przy nich dwie drużyny: ekipa ze sklepu z artykułami biurowymi Staples i gang dzieciaków z McDonalda. Ci ostatni rozstawili kilka grillów na węgiel drzewny. W środku spalinowej chmury dało się wyczuć upojny, tłusty zapach McMuffinów i burgerów.

W kolejce do stolików tłoczyło się jakieś dwadzieścia osób. Nie wiem, dlaczego ustawiłam się za nimi. Może to ten zapach wywoływał głód, a może pomyślałam, że sprawdzę, czy znajdzie się tu miejsce dla Yolandy i jej matki. Mogłam też po prostu mieć nadzieję, że Mark Znak straci zainteresowanie i przestanie podążać za mną w tłumie. Ciągłe tu był, udawał, że na mnie nie patrzy, ale nigdzie się nie oddalał.

Poczekalam na moją kolej, a kiedy doszłam do stołu, wysoka, niezdarna laska w gigantycznych okularach i czerwonej koszulce z logo Staples zapytała:

– Szukasz kogoś, czy kogoś przywiozłaś?

Przed nią na stole leżał obrotowy skorowidz wraz z torebką pełną etykietek.

– Jeszcze nie. Jak to działa?

– Staples oznakuje twoich bliskich i zaznaczy ich pozycję na boisku, żebyś w przyszłości mogła ich odnaleźć. Jeśli masz konto Staples Rewards, przyślemy ci maila z informacją o pochówku. Wszystko nieodpłatnie, chcemy pokazać nasze zaangażowanie

w odbudowę rejonu Boulder przy pomocy połączonych sił wolontariuszy oraz świetnych produktów i usług Staples – wyrecytowała te zdania tępym, brzęczącym głosem.

– Może będę chciała przywieźć tu moją przyjaciółkę i jej mamę. Jeszcze nie wiem. To trochę daleko.

– Jesteśmy w stanie zorganizować odbiór ciał, ale może to potrwać trzy do pięciu dni.

– A czy wtedy będzie jeszcze miejsce na boisku? – spytałam.

Skinęła głową.

– Oczywiście. Pierwszą partię chowamy o trzynastej. Zostaną odmówione modlitwy sześciu różnych wyznań, a sieć Sizzler zapewnia catering. – Pokazała mi inne ciężarówki zaparkowane koło bramek, wypełnione ziemią i kamieniami. – Kiedy ich przykryjemy, prawdopodobnie będzie trzeba ułożyć kolejną grupę na wierzchu. Mamy nadzieję, że uda nam się to zrobić w trzech warstwach.

– Zastanowię się – powiedziałam, ona skinęła głową, a potem nastolatek obok niej spytał, czy chcę duże frytki i McMuffina z jajkiem, i dodał zaraz, że McDonald's pragnie wyrazić swój żal z powodu mojej straty.

Nadciągnął koniec świata, ale w drodze do otchłani zawsze można było jeszcze wpaść do Maca.

Oczywiście to, co robili, było świetne: pomagali ludziom w chowaniu ukochanych i dbali, żeby wszyscy coś zjedli. Kiedy z nieba zaczynają spadać gwoździe, szybko okazuje się, która część naszej kultury jest najbardziej odporna. Amerykanie naprawdę dobrze radzą sobie z taśmą produkcyjną. Niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak kilka tysięcy ludzi zostało rozdartych na strzępy przez spadające igły, grzebaliśmy zmarłych równie efektywnie, jak pakujemy zestawy Happy Meal.

Wydostałam się stamtąd, skubiąc frytki. Może uznacie, że nie powinnam mieć apetytu, stojąc obok długiego na kilkadziesiąt metrów dywanu z martwych ciał, ale pierwszy plan szybko zamienia się w tło. Każdy powtarzający się wzór w końcu stanie się tapetą, czy to kwiaty, czy zwłoki.

Gdy frytki się skończyły, zlizalam z palców tłustą powłokę i wypilałam duszkiem pół butelki wody, żeby wypłukać sól z ust. Momentami na skraju mojego pola widzenia pojawiały się nagle iskierki i rozbłyski światła; albo słońce odbijało się w rozrzuconych gwoździach, albo robiło mi się słabo. Raczej nie wędrowałam na tyle długo, żeby zemdleć, ale poprzednia noc była ciężka.

Nie uszłam daleko, kiedy znowu zobaczyłam Marka Znaka, trzymającego się jakąś przecznicę ode mnie. Od razu opuścił wzrok i udawał, że interesuje go stadion piłkarski, ale wiedziałam, że chodzi mu o mnie. Skręciłam do Starbucksa za rogiem, niby żeby spłukać smak frytek świeżą latte. Drzwi, rzecz jasna, były zaryglowane – chyba nikt się nie spodziewał, że będą otwarte – ale pociągnęłam za klamkę, udając, że mam zamiar wejść. Zajrzałam przez przyciemnianą szybę, jakbym zobaczyła w środku coś wartego uwagi. Tak naprawdę światła były pogaszone, a na drzwiach wisiała kartka: ZAMKNIĘTE Z POWODU KOŃCA LUDZKIEJ RASY. Mimo to uniosłam kciuki i pokiwałam głową, zupełnie jakby ktoś powiedział mi, żebym weszła z boku.

Kiedy zniknęłam za rogiem budynku, rzuciłam się biegiem najszybciej, jak tylko mogłam w moich kowbojkach. Naprzeciwko Starbucksa rozpościerał się rozległy parking usłany kryształowymi gwoździami, błyszczącymi i odbijającymi tęcze. Wyglądało to, jakby ktoś zrzucił obok supermarketu wszystkie skarby Aladyna.

Przebiegłam przez pół parkingu, a potem skuliłam się za czyjąś kiał w kolorze winogron. Przez prześwit pod podwoziem obserwowałam

Starbucks. Oczywiście Mark Znak wkrótce wyszedł zza rogu, rozglądając się i wyraźnie polując na mnie. Zaraz jednak się obejrzał, jakby za nim też ktoś szedł. Po chwili wahania odwrócił się i ruszył z powrotem po swoich śladach.

Siedziałam i liczyłam: sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, aż doszłam do dwustu. Wstałam i ciągle schylona, przemknęłam przez parking, a następnie Baseline Road poszłam do zjazdu wiodącego do bramek na autostradzie.

Obawiałam się, że drogę mogą blokować zapory, ale wjazd stał otworem, nie licząc małego hatchbacka, który w jakiś sposób się zapalił i spłonął do podwozia. Gdy znalazłam się obok budki kasowej, w zasięgu wzroku nie widziałam nic, co mogłoby mi przeszkodzić w wędrówce wzdłuż żółtej, przerywanej linii do samego Denver. Deszcz spadł o dziesiątej rano w piękną sierpniową sobotę. Kiedy rozpętała się burza, samochody na autostradzie musiały jechać sto dwadzieścia na godzinę. To pewnie było jak jazda przez ogień przeciwniczy. Zauważyłam czarną corvette otwartą jak puszka: cały dach miała odgięty do tyłu, a czerwone skórzane siedzenia w środku zostały posiekane jak hamburgery. Ale zaraz przyjrzałam się i zobaczyłam, że skóra wcale nie była czerwona. Białe siedzenia zostały poplamione czerwienią ludzi, którzy na nich siedzieli.

Byli tam też inni, szli wzdłuż drogi i rabowali wraki. Jedna pani w średnim wieku miała wózek z supermarketu. Widziałam, jak zatrzymuje się przy mercedesie i grzebie w schowku na desce rozdzielczej. Nie miała więcej niż czterdzieści lat, na siwiejących włosach zawiązała różową chustkę w kwiaty i w ogóle wyglądała schludnie i porządnie, jak wzorowa mama. Przekopła się przez czyjaś portmonetkę zaplamioną krwią, znalazła kilka banknotów, złotą bransoletkę i egzemplarz *Nowego oblicza Greya*; włożyła go do wózka, zanim ruszyła przed siebie.

Jakiś kilometr dalej, po drugiej stronie drogi, zobaczyłam ekipę w pomarańczowych kombinezonach, wykonującą jakąś pracę. Byłam za daleko, żeby dojrzeć jaką.

No cóż, to był bardzo przyjemny poranek na spacer, pod warunkiem że komuś nie przeszkadzali ci wszyscy martwi ludzie w samochodach. Bateria w moim telefonie pokazywała tylko dwadzieścia pięć procent, ale tak stęskniłam się za ludzkim głosem, że włożyłam słuchawki i spróbowałam złapać jakąś stację radiową z wiadomościami.

I dlatego nie usłyszałam zbliżających się chłopaków od komety. I dlatego mnie dorwali.

W wiadomościach usłyszałam, że wstępne dowody sugerują, że terroryści, którzy spowodowali deszcz gwoździ, mogą działać gdzieś w rejonie Morza Czarnego. Jedna z firm w tamtej okolicy demonstrowała już wcześniej związek chemiczny wywołujący błyskawiczną produkcję syntetycznego fulgurytu w warunkach laboratoryjnych. Prezydent opublikował na Twitterze obietnicę BIBLIJNEJ ODPOWIEDZI! oraz ŚWIĘTEJ WOJNY i przysiągł, że islamiści zrozumieją na własnej skórze, co to znaczy WPAŚĆ Z DESZCZU POD RYNNĘ. Ogłosił, że niedługo spuścimy na nich nasz własny deszcz, tylko że zamiast jakichś tam kiepskich kryształowych gwoździ będą to bomby Daisy Cutter.

Potem puścili w radiu nagranie o gwałtownej ulewie w Pueblo, gdzie gwoździe przedziurawiły zbiorniki z benzyną i wywołały eksplozję tak wielką, że czujniki w Colorado Springs zarejestrowały trzęsienie ziemi. Powiedzieli, że ogień pochłonął pół miasta i wozy strażackie nie mogły podejść dostatecznie blisko, żeby z nim walczyć, bo nie były w stanie przedostać się przez nabite gwoździami drogi. Meteorolog poinformował, że kryształowe kolce w Pueblo były większe niż w Denver, niektóre osiągnęły długość kciuka mężczyzny. Inżynier chemik miał to właśnie wytłumaczyć, ale nie usłyszałam, co chciał powiedzieć, bo akurat wtedy ktoś walnął mnie w głowę.

Upadłam tak szybko i ciężko, że nie pamiętam, kiedy uderzyłam o ziemię. Nie straciłam przytomności. To bardziej przypominało migotanie świateł w domu. Coś zamigotało w mojej głowie, a gdy wróciła mi jasność, byłam na czworakach i widziałam gwiazdy. To żadna figura retoryczna, naprawdę je widziałam. Patrzyłam na miedziany dysk wielkości spodka, z wyrytymi konstelacjami. Na krawędzi lśniła moja krew.

Chłopaki od komety nadciągnęły przez wysoką po pas, jasną trawę na poboczu drogi, szybko poruszając się w szatach z folii aluminiowej. To byli ci trzej, którzy owijali pana Waldmana. Chłopak przypominający Chrystusa rzucił w moją głowę astrolabium. Dwaj pozostali zdjęli swoje ozdoby z szyi i kręcili nimi na sznurkach w koło, znacząc wielkie pętle. Wirujące złote medaliony buczały jak rury, w jakie dmą australijscy Aborygeni.

Podczas upadku pokaleczyłam sobie dłonie i kolana. Droga była usłana lśniącymi pinezkami. Dotknęłam głowy i przed moimi oczami zapulsowało błękitne światło. Poczułam głębokie ukłucie bólu, jakby ktoś wbił mi w czaszkę metalowy klin. Kiedy znowu mogłam patrzeć, moja prawa ręka miała dziesięć palców, a nie pięć, i wszystkie były mokre od krwi. W jednym uchu ciągle tkwiła mi słuchawka i słyszałam strzępy informacji, mamrotanej dziwnym, głębokim, podwodnym głosem:

*Nieeee wieeerzysz, żeee niebo może naprawdę spaaaść, ale wieszzzz coooo? Onoooo już spaaaaadaaaa...*

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego chcieli ze mną walczyć, a nie bardzo miałam ochotę czekać na ich wyjaśnienia. Pozbierałam się i poderwałam do biegu, ale od uderzenia byłam wciąż zamroczone i kręciło mi się w głowie. Zatoczyłam się w jedną stronę, potem w drugą i po chwili kolejny z tych klaunów od komety wypuścił swoje astrolabium i uderzyło mnie w pupę. To było jak pchnięcie nożem. Moje kolana się ugięły i znowu upadłam. Walnęłam twarzą w ziemię i wbiłam sobie fulgurytowe igły w podbródek. Na szczęście wcześniej przetoczyłam się na krawędź szosy, upadłam więc na miękką trawę, a nie na twardy asfalt, i stoczyłam się z nasypu.

Wiedziałam już, jak musi się czuć gąsienica zamknięta w całunie swojego kokonu. Wszystko słyszałam, trochę też widziałam – chociaż rzeczy były nieostre i zasnuwane mgłą – ale nie czułam kończyn,



zdrętwiały i jakby pozbawionych kości. W mojej głowie nie pojawiła się żadna myśl. Nawet ból. Nie miałam w ciele dość czucia, żeby czuć ból.

Zbliżyli się. Obserwowałam też, co dzieje się za nimi. Cała akcja przyciągnęła uwagę wzorowej mamuśki pchającej swój sklepowy wózek. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje, zdenerwowana, ale również podekscytowana.

Gruby chłopak zauważył ją i zasyczał:

– O rany, do diabła, Sean, nie powinniśmy robić tego tutaj, gdzie ludzie patrzą...

– Zamknij się, Pat – powiedział ten, który wyglądał jak Chrystus.

Oczywiście, tłuścioch musiał mieć na imię Pat. W życiu nie widziałam nikogo, kto by bardziej przypominał Pata.

Sean – Chrystus w foliowej szacie – spojrzał na nasyp, na wzorową mamuszkę.

– To dla jej własnego dobra – wyjaśnił. – To wariatka. Zabieramy ją do domu, żeby się nią zaopiekować. Prawda, Randy?

Czarny chłopak z bielactwem przytaknął z szalonym entuzjazmem.

– Robi się taka, kiedy odstawia lekarstwa. Myśli, że wszyscy ją prześladują!

– Ciekawe, skąd jej się to bierze – wtrąciła się wzorowa mamuśka.

– Chcesz jej iPhone'a? – wybełkotał Randy. Miał płaczliwy, roztrzęsiony głos. Podniósł z ziemi mój telefon, otrzepał go i wyciągnął w kierunku mamuśki. – Jest nowy.

– To siódemka?

– Siódemka plus. Weź go. Nie chcemy żadnych kłopotów.

– Dokładnie – potwierdził Sean. – Tak będzie najlepiej dla niej... i dla nas. A ty przecież robisz to, co jest najlepsze dla ciebie... chociaż policja miałaby pewnie inne zdanie. Gliniarze mogliby pomyśleć, że rabujesz, ale tak naprawdę walczysz o przetrwanie, prawda?

Jej twarz trochę się zapadła.

– Ludzie, którym zabrałam te rzeczy, nie protestowali.

– No właśnie. A ta dziewczyna jest słaba na umyśle i rozhisteryzowana i musi być pod opieką rodziny. Oczywiście ktoś mógłby uznać, że ją molestujemy, kiedy ciągniemy ją w ten sposób do domu. Chyba lepiej, jak każdy będzie pilnował swoich spraw, nie sądzisz?

Przez chwilę nie odpowiadała, tylko gapiała się na telefon w ręce Randy'ego.

– Zawsze chciałam wypróbować ten większy. Ale pewnie nie umiecie go odblokować.

– Jasne, że umiemy. On działa na odciski palców – powiedział Sean.

Skinął na Randy'ego. A ten schylił się, chwycił moją dłoń i przycisnął kciuk do sensora. Telefon odblokował się z wyraźnym kliknięciem.

Randy rzucił go wzorowej mamusce, a ona złapała aparat obiema rękami. Randy swoim nerwowym, urywanym głosem poradził jej:

– Powinnaś zmienić zabezpieczenia, zanim znowu się zablokuje.

– Miłej zabawy – odezwał się Sean. – I myśl poza schematami... tak jak my!

Mamuska się zaśmiała.

– No widzę! Opiekujcie się tą biedną dziewczyną.

I odeszła z klekotem wózka, bawiąc się moim telefonem.

Skreśliło mnie w środku na myśl o utracie iPhone'a. Były tam wszystkie SMS-y od Yolandy. Wysyłała mi zdjęcia nieba – wielkiego, błękitnego zachodniego nieba z małymi grudkami białych chmurek – i pisała: **Ta chmurka pośrodku to mój domowy jednorożec** albo **Ta chmura nad górami to ty, jak chowasz się pod prześcieradłem**. Raz przesłała mi zdjęcie górskiego jeziora z odbiciem chmury, jakby to

było szerokie na kilometr lustro, i napisała: **Chcę cię obejmować, jak woda obejmuje niebo.**

Przyglądanie się, jak ta kobieta odchodzi z moim telefonem, było gorsze niż cios astrolabium w głowę. Było jak owijanie Yolandy w całun, ciągle od nowa.

Randy, Pat i Sean patrzyli dzikimi, łajdackimi oczami, jak mamuśka się oddala. Nigdy nie widziałam większych popaprańców. Spróbowałam się poruszyć – wstać na czworaki – ale na samą myśl o wysiłku wydałam z siebie dźwięk, coś pomiędzy szlochem a jękiem. To z powrotem przyciągnęło ich uwagę. Znowu mnie okrążyli.

– Chłopaki, wiecie, co byłoby najlepsze? Chłopaki? – powiedział Pat. Był nabzdyczonym, zdyszanym gnojkiem, takim, którego nikt nigdy nie słucha. – Chłopaki, uważam, że najlepiej byłoby zabić tę sukę. Moglibyśmy jej wbić gwóźdź w skroń. Nikt na całym świecie się nie zorientuje, że to nie od deszczu.

– Znalazcy będą wiedzieli – przerwał mu Sean. – Znalazcy zobaczą zabójstwo w twoim umyśle i pozwolą, żeby twoja kwantowa energia rozmyła się razem z innymi, nieprzygotowanymi – powiedział.

Albo coś takiego. Nigdy nie rozumiałam zbyt dobrze ich wariackiej teologii. Może Znalazcy to rodzaj wyższej inteligencji? A energią kwantową, zdaje się, była dusza. Trudno uwierzyć, że ktoś łykał te czwartorzędne historie jak z komiksów, tylko że autorstwa Starszego Benta. Ale ludzie są z natury zwierzętami stadnymi i większość z nich akceptuje – całościowo i entuzjastycznie – wszystko, co pozwala utrzymać dobre miejsce w stadzie. Dajcie człowiekowi wybór między rzeczywistością w samotności a fantazją w społeczeństwie: zawsze wybierze przyjaciół.

– Powinniśmy się martwić nie tylko o Znalazców – odezwał się Randy, siąkając nosem i wycierając go dłonią. – Ona zawlekła Yolandę

i jej mamę do domu po drugiej stronie ulicy. Wiecie, tam, gdzie mieszka ten dzieciak wampir.

– Zgadza się, Blake’owie – powiedział Sean. – No to co?

– Jeśli ta kobieta nie dostanie wiadomości od Honeysuckle, pewnie zacznie się niepokoić, nie sądzicie? Pewnie spodziewa się meldunków.

– Jeżeli Ursula Blake i jej pieprznięty dzieciak będą robić problemy, załatwimy z nimi sprawę tak, jak załatwimy teraz z nią – odparł Sean.

– Nie musimy się martwić, że nas zamkną. Ludzkość wyginie przed końcem roku. Nie ma na świecie więzienia, które mogłoby nas zatrzymać, chłopaki. Mamy tunel, którym uciekniemy aż do siódmego wymiaru!

To zabawne: nawet kiedy ci się wydaje, że jesteś wolny i nikt nie ma na ciebie haka, świat i tak złapie cię w sidła. Po tym, jak owinęłam Yolandę całunem i powiedziałam jej „Do widzenia”, zdawało mi się, że odłączyłam się od emocjonalnej sieci, która napędza większość z nas, dzień po dniu. Byłam jak układ scalony wyjęty z wielkiej, żywej, szumiącej maszyny ludzkiego społeczeństwa. Nikomu nie służyłam, niczego nie rozwiązywałam, nie miałam nic użytecznego do zaoferowania. Bez Yolandy byłam jak przestarzały komputer.

A potem Sean zaczął mówić o Ursuli i Templetonie – to oni przecież zabrali mnie do domu, kiedy byłam w szoku, nakarmili i opiekowali się mną – i poczułam słaby sygnał dzwonka alarmowego, który w końcu dał mi siłę. Ale wciąż nie dość. Próbowałam podnieść się na dłonie i kolana, Sean jednak postawił but na moim tyłku i popchnął mnie z powrotem na twarz. Leżałam tam z nozdrzami wypełnionymi kurzem i igłami wbijającymi się w pierś i dotarło do mnie, że jeśli cokolwiek stanie się z mojego powodu z Ursulą i jej synem, nie zniosę tego.

– Tak, to prawda, Sean! Nadciąga Wielki Błysk! – powiedział Randy.

– Za dziesięć tygodni Ursula Blake, jej dzieciak i Honeysuckle będą już

martwym mięsem, razem z resztą niezorganizowanych, a my będziemy ze Znalazcami!

– Ucząc się, jak stworzyć własny wszechświat – wyszeptał Pat głosem pełnym szacunku.

– No to... na czym stoimy? – spytał Randy i językiem jak papier ścierny oblizał suche wargi. – Gwoździem ją?

– Nie. Lepiej. Ocalimy ją – zdecydował Sean. – Przyprawimy ją z powrotem do Starszego Benta i wymusimy jej przebudzenie. Chodźcie. Zawinimy ją.

Wyciągnął z plecaka wielki złożony kwadrat tego szeleszczącego materiału przypominającego folię i rozpostarł go obok mnie na ziemi. Dwaj pozostali zawinęli mnie w niego, tak jak zwija się dywan. Próbowałam uwolnić się kopniakami. Ale nie miałam siły na porządną walkę, a po chwili moje ramiona tkwiły unieruchomione przy bokach i byłam spowita od kostek po gardło grubą, lśniąca tkaniną. Kiedy Sean klęczał na jednym kolanie, z rolką taśmy izolacyjnej, mocując ciasno mój srebrny płaszcz, mnie udało się splunąć dużą pecyną śliny prosto w jego oko.

Wzdrygnął się.

– Fuj! – krzyknął Pat.

Sean wytarł oko i popatrzył na mnie.

– Ja na twoim miejscu oszczędzałbym ślinę. Starszy Bent uważa, że cierpienie fizyczne przygotowuje duchową energię potrzebną do opuszczenia ciała. Wątpię, czy dostaniesz dużo do picia w ciągu najbliższych miesięcy.

– Jeśli fizyczne cierpienie pomaga w kształtowaniu duchowej energii, to ja wam zaraz naładuję baterie do pełna! Przygotujcie się na wysokoenergetyczne kopanie tyłków, skurwysyny.

Wszyscy się rozejrzeliśmy i zobaczyliśmy Marka Znaka, o którym myślałam, że zgubiłam go przy Starbucksie. Jego kamienna twarz

patrzyła spod runda kowbojskiego kapelusza. Poły koszuli powiewały, ukazując wspaniałe, czarne X wytatuowane na czerwonawobrazowej klacie. Prawą rękę miał zaciśniętą w pięść. Spomiędzy jego palców sterczały gwoździe.

Trzem Pachołkom stojącym wokół mnie została tylko chwila, żeby się na niego pogapić, bo zaraz spadł na nich, zeskakując w dół zbocza tak szybko, że zgubił kapelusz. Jedyne Randy miał jeszcze astrolabium, którym mógł walczyć. Ściągał je właśnie z szyi, gdy Mark go zaatakował: najpierw prawą pięścią, a potem całym ciężarem ciała. Uderzył Randy'ego tak mocno, że obaj upadli. Pół twarzy Randy'ego zostało przeorane, jakby trafił na grabie. Nabita gwoździami pięść Marka wyryła w policzku głębokie czerwone rozpadliny, prosto do ust.

Ten, który miał na imię Pat, wrzasnął, obrócił się i zaczął uciekać. Potknął się o mnie obiema nogami i zwałił na ziemię. I w ten sposób stracił swoją jedyną szansę, bo Mark Znak już tam był, warcząc jak chory z upału pies. Dopadł Pata, kopnął go w dupę i z powrotem rzucił na brzuch. Pat rozpląszczył się z kasznięciem. Mark upadł na niego, chwycił za kołnierz i szarpnął jego głowę do tyłu. Złapał Pata za nos i mocno go przekręcił. Kość wydała z siebie ostry, suchy trzask, jakby ktoś nadepnął na talerz z porcelany. Nigdy wcześniej nie słyszałam tak okropnego dźwięku. Mark puścił Pata, a tłusty chłopak opadł na glebę i wstrząsany drgawkami, zwinął się w kłębek.

Przez cały ten czas Sean, ten, który wyglądał jak Chrystus, nie ruszył się z miejsca. Stał jak wmurowany, z rozszerzonymi oczami i zeszywniałą twarzą. Ale kiedy usłyszał, jak pęka nos Pata, przełamał paraliż i odwrócił się do ucieczki. Zdaje się, że tchórzostwo i pozostawienie kumpli leżących na ziemi nie ma negatywnego wpływu na energię kwantową.

Mark schwytął go po trzech długich susach, złapał za tył foliowej szaty i ściął z nóg. Gdy Sean upadł na plecy, Mark walnął go prawym kolanem w podstawę czaszki. Jeśli tak walczył na ringu, nie chciałabym spotkać kolesia, który go pokonał.

Sean gapił się na niego i przewracał oczami jak spanikowany koń. Mark miał zamiar stanąć mu na twarzy, kiedy krzyknęłam:

– Czekaj!

Popatrzył na mnie, marszcząc z irytacji brwi, jakby się spodziewał, że wyjadę z miękkim sercem i innymi kobiecymi sztuczkami. Rozbijałam się na lewo, potem na prawo i w końcu potoczyłam po zboczu, aż zatrzymałam się na Seanie.

Leżeliśmy rozciągnięci obok siebie, ja w srebrnym opakowaniu, a on w chwastach i z butem Marka na klatce piersiowej.

Spojrzałam Markowi w oczy i spytałam:

– Czy oni za mną szli?

Zerknął na mnie i znów zmarszczył brwi.

– Przez cały ranek. Siedziałem tam z Roswellem, kiedy się pojawili. Trzymali się jakieś dwie przecznice za tobą. Nie podobało mi się to, więc poszedłem za nimi, żeby zobaczyć, czego od ciebie chcą. Pomyślałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić. Gdy się pozbierałem, poczułem, że jestem ci coś winien.

Skrzyżowaliśmy spojrzenia, ale tylko na moment; zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

Przekreśliłam głowę i popatrzyłam na przerażoną, zdumioną twarz Seana.

– Dlaczego, do diabła, ty i tych dwóch półgłówków szliście za mną osiem kilometrów, żeby mnie zniecka zaatakować, trzech na jedną? Czy ja wam kiedyś coś zrobiłam, oprócz tego, że się nabijałam z waszych ciuchów i tego, jak mówicie, i z waszych kretyńskich pomysłów?

Kiedy Sean się odezwał, jego głos był cienki i chropawy.

– Powiedziałybyś im. Szłaś do Denver na spotkanie z FBI, żeby im opowiedzieć o naszych zamiarach! Powiedziałybyś im, że Starszy Bent wiedział, że deszcz spadnie! On wiedział! Uprzedzono go!

– Co masz na myśli, mówiąc, że go uprzedzono?

– On wiedział, co się wydarzy. Znał dzień i godzinę, kiedy ignoranci zostaną wycięci i pozostaną tylko ci, którzy się przygotowali. Tylko my!

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, a następnie spytałam:

– A skąd Starszemu Bentowi przyszło do głowy, że pójde do FBI? Dostał cynk od kogoś z siódmego wymiaru?

Sean zagryzł wargi, jakby uznał, że powiedział już za dużo. Mark Znak przeniósł ciężar na lewą stopę, wciąż przyciskając pierś Seana, i z chłopaka uszło powietrze.

– Rosjanin! – krzyknął. – Zostawił wiadomość! Tam było, że wiesz, co zamierzamy, i że jeśli cię nie zatrzymamy, Starszy Bent zostanie ujęty przez FBI! Bo wiedział o deszczach!

– Andropow zostawił wam wiadomość?

Sean zakrztusił się powietrzem, jak gdyby się zaśmiał.

– Taaa. – A potem z odrażającym rosyjskim akcentem dodał: – „Wy zatrzymać pannę ‘Onysuck! Dziewczyna mówić FBI’”. Pewnie tak samo jak my nie chce, żeby przedstawiciele prawa węszyli po okolicy.

– Kto z nim rozmawiał? – zapytałam. – Kto odebrał wiadomość? Czy powiedział coś jeszcze?

Ale wyszło na to, że rozmowa się skończyła.

Przez cały czas chłopak imieniem Randy czołgał się chyłkiem przez wysoką trawę. Kiedy dotarł do skraju drogi, wstał i zerwał się do biegu. Mark zobaczył go i chwycił jedno z wielkich astrolabiów, które zwały się mnie na ziemię. Nie zawracał sobie głowy złotym łańcuchem,



tylko rzucił je jak frisbee. Uderzyło Randy'ego w plecy z brzękiem, całkiem śmiesznym, gdyby to był film rysunkowy. Randy upadł.

Kiedy to wszystko się działo, Sean dźwignął się na kolana. W jego dłoni błysnęło ostrze. Od razu je rozpoznałam – to był mój nóż, część wielofunkcyjnego narzędzia, które miałam w plecaku. Zanim zdołał wbić go w nerki Marka, przekręciłam się, wierzgnęłam i wybiłam mu ziemię spod nóg. Sean stoczył się z nasypu. Uderzył głową o płytki cementowy rowek na dnie i usłyszałam obrzydliwe chrupnięcie.

Krzyknęłam do Marka, żeby sprawdził, czy właśnie nie zamordowałam chłopaka. Ukłękł przy nim u stóp nasypu, zmierzył mu tętno i zajrzał w oczy. Potem spojrział na mnie, a na poobijanej twarzy miał wyraz smutku i rozczarowania.

– Niestety – powiedział. – Wszystko z nim w porządku. Tylko odleciał.

Wrócił do mnie sprężystymi susami, pochylił się i zaczął rozrywać taśmę.

– Prawie mnie zgubiłaś koło Starbucksa – dodał.

– Szkoda, że nie ich. Strasznie mi głupio, że się nie zorientowałam, jak za mną szli. W tym ubraniu powinni być widoczni jak światła na karetkce.

– Trzem osobom łatwiej jest kogoś śledzić niż jednej. A poza tym – podniósł zestaw połączonych mosiężnych cylindrów – mogli trzymać się z daleka, a i tak cię widzieli. Ten twój chłopak miał teleskop.

Rozerwał srebrny całun. Materiał wyglądał jak folia aluminiowa, ale był wytrzymały jak płótno. Słońce w odbiciu zaświeciło mi prosto w oczy i wtedy nagle zrozumiałam, że chyba jednak ich widziałam. Pamiętam, że dostrzegłam podobne odbicie i błysk na skraju mojego pola widzenia i zastanowiłam się, czy zaraz nie zemdleję. A to byli oni, trzymali się z tyłu, ukrywali w bramach, podążali za mną jak cienie.

Mark Znak miał ponurą minę i nie patrzył mi w oczy, gdy zwijał i rozwijał wielką płachtę srebrnego materiału. Chyba wiedziałam, w czym problem.

– Możesz się już nie martwić o to, co mi powiedziałaś, kiedy byłeś zdenerwowany – odezwałam się do niego. – Jesteśmy kwita. Mnie też jest bardzo przykro z powodu tego, co musiałam zrobić Roswellowi.

Skinął głową.

– No dobra.

– Jak się naprawdę nazywasz? Znak to taki dowcip dla pięciolatek.

Zerknął na mnie i powiedział:

– DeSoto. Ale z takim nazwiskiem nie zarobi się kasy. – Spojrzał na klaunów od komety. – Zrozumiałaś cokolwiek z tego, co wygadywali?

Usiadłam i przeciągnęłam się. Większość z tego, co bełkotał Sean, to było zwyczajne kosmiczne gówno, które głosili wszyscy ludzie Starszego Benta. Ale wydawało mi się, że usłyszałam w tym pieprzeniu kosmicznego kadeta jakieś ważne fragmenty. Potrzebowałam czasu, żeby rozwikłać to w mojej głowie, zobaczyć, czy to ma sens.

Kiedy nie odpowiadałam, Mark wymamrotał, trochę niespokojny:

– Mówili, że ten Starszy Bent... wiedział, co się stanie. Że wszyscy się na to przygotowywali. Myślisz, że oni naprawdę...? – Jego głos ucichł.

Nie wiedziałam, więc nie odparłam. Zamiast tego zauważyłam:

– Jakaś paskudna baba oddała mnie tym białym popaprańcom tylko po to, żeby dostać mojego iPhone'a siódmkę plus. Odeszła i nawet się nie obejrzała.

– Ta ze sklepowym wózkiem? Widziałem ją.

Podniósł z ziemi kapelusz i wsadził go na głowę.

– Nie, no wiem, że utrata telefonu nie jest najgorsza – przyznałam.  
– Mogłam być już w drodze do jakiejś wilgotnej piwnicy w domu pełnym wyznawców końca świata, zmuszana do Bóg wie czego, żeby zaspokoić ich porąbane pragnienia. – Poczułam, że muszę wstać i przejść się kawałek, i skopać łby wszystkim chłopakom od komety. Ale było gorąco, a ja ciągle miałam przed sobą długą wędrówkę. – Masz jakiś pomysł, jak ich powstrzymać, żeby nie wstali i znowu za mną nie poszli? Albo za tobą?

Rozłożył teleskop Seana i popatrzył na autostradę.

– Tam są więźniowie, usuwają gwoździe z drogi, pilnuje ich policja stanowa. Może pójdziesz do nich i powiesz, że mamy tu jeszcze trzech do kompletu? A ja, żeby się stąd nie ruszyli, skrępuję ich taśmą w tych błyszczących sukienkach, tak jak oni skrępowali ciebie.

Podał mi rękę. Ujęłam ją i podciągnął mnie na nogi. Staliśmy razem w ciężkim, przyjaznym milczeniu. Mark Znak zezował na błękitne niebo.

– Myślisz, że te chłopaki miały rację? Myślisz, że to koniec świata? Miałam ciotkę, która twierdziła, że to naprawdę ostatni wiek ludzkości. Że każdy, kto zrozumiał Księgę Objawienia, wiedział, że nadchodzi dzień sądu.

– Nie podoba mi się pomysł, że te głupki mogłyby mieć rację w czymkolwiek – przerwałam mu. – Wiesz co? Jeśli apokalipsa zaczeka jeszcze kilka dni, może wpadniesz do białego domu przy Jackdaw Street, takiego z zewnętrznymi schodami? Albo poszukasz mnie po drugiej stronie ulicy, w małym domku koloru masła, gdzie mieszka moja przyjaciółka Ursula ze swoim synem? Wypijemy parę piw i urządzimy burzę mózgow, żeby znaleźć ci lepszy pseudonim niż Mark Znak.

Uśmiechnął się i załopotał połamami rozpiętej niebieskiej koszuli z dzinsu.

– Za późno. Jak inaczej możesz się nazywać, kiedy masz już wielkie X na piersi?

– X-terminator?

– Myślałem o Archie X, jak z Archiwum X, ale to chyba nie pasuje.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś, przyjacielu – zmieniłam temat. –  
Uważaj na deszcz.

– Ty też – odpowiedział.

Uścisnął moją dłoń, odwrócił się i zszedł z nasypu do Seana. Postąpiłam chwilę i popatrzyłam, jak mocuje się z jego szatą, wciska ramiona chłopaka pod materiał i zawija go ciasno. Nie podejrzewałam, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę Marka Znaka, i chciałam dodać coś więcej, ale wyglądało na to, że powiedzieliśmy już wszystko, co było do powiedzenia. Czasem brak słów, żeby podziękować, więc równie dobrze można zrobić to raz i odpuścić, bo nadmiar wdzięczności potrafi być krępujący.

Obróciłam się na pięcie, miażdżąc obcasem kryształowe szpile, i ruszyłam dalej w blasku południa. Za plecami usłyszałam głośny odgłos darcia, kiedy Mark Znak odrywał kawał taśmy.

Przez następne gorące i pyliste pół godziny szłam autostradą w kierunku zakutych w kajdany więźniów. Kiedy się zbliżyłam, policjant, który wcześniej opierał się o maskę porzuconego czerwonego audi, wyprostował się i popatrzył na mnie przez lustrzane okulary przeciwsłoneczne.

Za nim pracowało jakichś trzydziestu skazańców, ubranych w pomarańczowe kombinezony z napisem SUPERMAX na plecach. Większość trzymała w rękach szczotki na kijach i zmiatała nimi gwoździe z drogi. Sześciu, w ekipach po dwóch, wydobywało ciała z wraków i ładowało je na płaską przyczepę doczepioną do monstrualnego traktora John Deere, który stał na trawie. Traktor miał na kołach ciężkie łańcuchy, ale pewnie wcale ich nie potrzebował. Opony były wielkości drzwi, tak grube i masywne, że wątpię, czy przebiłyby się przez nie nawet najostrzejszy kawałek kryształu.

Kilku innych policjantów uruchamiało silniki w tych samochodach, w których dawały się zapalić, i przetaczało je na środkowy pas zieleni, między jezdniami prowadzącymi na wschód i tymi na zachód. Oczyszczili już spory odcinek autostrady do Denver, droga była wolna, pusta i spokojna. W oddali przed nami wznosiły się bladoniebieskie wieżowce miasta.

– Słucham panią? – zaczepił mnie gliniarz, który siedział na audi.

Poprawił wielką strzelbę opartą o ramię.

Wielu skazańców przestało pracować i podniosło głowy. Byli tu cały ranek, dało się poznać po ich smrodzie. To był dojrzały męski smród, zmieszany z odorem zepsutego mięsa, wydobywającym się z ciał upieczonych w tapicerkach porzuconych samochodów. W nocy narodziły się tysiące much. Powietrze aż wibrowało od ich brzęczenia.

– Tam dalej jest trzech chłopaków, może chciałby pan z nimi porozmawiać? Napadli na mnie, kiedy szłam z Boulder do Denver, i próbowali mnie porwać do swojej sekty czcicieli końca świata. I udałoby im się to, gdyby nie uratował mnie dobry samarytanin, który dosłownie wybił im to z głów. Zostawił ich tam skrepowanych taśmą, w srebrnych szatach, które mieli na sobie. A do tego była jeszcze kobieta z wózkiem z supermarketu, która zgodziła się nie dostrzegać porywaczy w zamian za mojego iPhone'a. Ale nie musicie się nią zajmować. Utrata komórki to drobiazg wobec narodowej katastrofy.

– Ma pani krew we włosach – powiedział policjant w lustrzanych okularach.

– Zgadza się. Jeden z nich walnął mnie łańcuchem.

Nie chciałam dodawać, że zaatakowali mnie przyrządami astronomicznymi, bo obawiałam się, że nie przyda to wiarygodności mojej historii.

– Proszę pokazać – polecił.

Pochyliłam głowę i wskazałam miejsce, gdzie oberwałam. Przesunął szorstkimi, pełnymi odcisków palcami po moich włosach, a potem cofnął dłoń i wytarł czerwone opuszki o mundur na biodrze.

– Potrzebne będą szwy.

Miał luzacką gadkę, jak Yul Brynner, ale wykazał się wrażliwością, obejrzał moją ranę i nie przeszkadzała mu krew na rękach. Na zachodzie są tacy mężczyźni, faceci o czułych dłoniach i twardych głosach bez śladu uczuć. Konie i psy instynktownie ich lubią, a tchórze i dranie instynktownie się ich boją. Bywają kiepskimi mężami, dobrymi policjantami i doskonałymi rabusiami banków. Ten tu obrócił się i zawołał:

– Dillet! Założysz pani kilka szwów?

Kościsty koleś w mundurze policjanta stanowego składał się głównie z kolan i z jabłka Adama. Stał na platformie za traktorem i widłami przesuwiał ciała. Zatrzymał się i pomachał swoim szarym, filcowym kapeluszem na znak, że usłyszał.

Główny policjant popatrzył na mnie i stwierdził:

– Nie powinna pani tędy chodzić. Ogłoszono stan wyjątkowy. Nie powinna pani przebywać poza domem, chyba że ktoś umiera.

– Nikt nie umiera, ale ktoś już umarł. Moja dziewczyna i jej matka zginęły w nawałnicy i idę do Denver, żeby powiedzieć to jej ojcu.

Odwrócił wzrok i potrząsnął głową, jakby jego drużyna właśnie przegrała w ostatniej rundzie. Nie złożył mi kondolencji, spytał jednak:

– I ma pani zamiar przejść pieszo całą drogę z Boulder do Denver? A jeśli znowu spadnie deszcz?

– Chyba schowam się pod samochodem.

– Czasem ciężko jest odróżnić przyzwoitość od głupoty. Nie jestem pewien, po której stronie pani wypada. Ale wezmę kilku moich chłopaków i pójdziemy sprawdzić tych porywaczy dziewczyn. Jeśli ich znajdę, odezwę się przez radio. Dillett zawiezie panią do Denver ciągnikiem swojego ojca. Tak czy inaczej, musi już jechać, trupy nie mieszczą się na przyczepie i trzeba je odwieźć do miasta. Na miejscu będzie pani musiała złożyć oficjalne zeznanie.

– Tak jest – powiedziałam. – A co wy zrobicie, jak zacznie padać? Co wy wszyscy zrobicie?

– Schowamy się, a jak przestanie, znowu będziemy zamiatać. Po co komu drogi, jeśli nie są przejezdne? I po co komu władze, jeśli nie potrafią utrzymać przejezdnych dróg? – Zerknął na niebo z nieszczęśliwą miną i dodał: – Czy to nie byłoby smutne epitafium dla świata? Demokracja zlikwidowana z powodu deszczu. Sezon ludzki zawieszony do odwołania.

Na jego spalonej słońcem, twardej twarzy Yula Brynnera nawet powieka nie drgnęła, kiedy mówił poezją.

– Tak jest. Miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma.

– I nie ma sensu się zamartwiać, w jaki sposób zbierzemy plony, skoro z chmur, zamiast wody, spadają kamienie.

– Zgadza się.

Poszurałam nogami po tysiącach igieł lśniących jak diamenty i krzyknęłam „Cześć!” do Dilletta, chudzielca na platformie. Powiedział, żebym wdrapała się na zderzak, to on obejrzy moją głowę.

Może dziwnie to zabrzmiało, ale był to najlepszy moment podczas tego długiego, okropnego koszmaru weekendu. Wyszczrzyłam do Dilletta zęby w uśmiechu. Wyglądał na takiego samego niedbałego łachmaniarza jak strach na wróble z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* i był równie przyjacielski. Wyciągnął lateksowe rękawiczki i zaszył ranę na mojej głowie, a zrobił to tak starannie i delikatnie, że w ogóle nie poczułam bólu i nawet się nie zorientowałam, kiedy skończył. Potem spytał, czy mam ochotę na oranżadę i kanapkę z sałatką z kurczaka. Poprosiłam o cały zestaw i jadłam i piłam, siedząc na zderzaku przyczepy, gdy słońce świeciło mi w twarz. Kanapka była z pełnoziarnistego żytniego chleba ogrzanego słońcem, a oranżada – w puszcze pocącej się kroplami zimnej wody, prawie jak człowiek.

Jeden ze skazańców – ten rodzaj grubasa, o którym zazwyczaj mówi się „chorobliwie otyły” – siedział na przyczepie pośród zmarłych. Zdjął lewy but, stopę miał owiniętą bandażem. Wyłapałam jego imię – Teasdale – ale nie dowiedziałam się o nim niczego więcej, przynajmniej wtedy. Porozmawialiśmy dopiero później.

Kiedy sączyłam ostatnie łyki słodkiej, musującej oranżady, radio na biodrze Dilletta eksplodowało płaskim głosem przesyconym statycznym szumem. To był Yul Brynner.

– Dillett, jesteś tam? Odbiór.



– Mów.

– Mam tu trzech mężczyzn w błyszczących, srebrnych sukienkach. Twierdzą, że ta dama, która jest z tobą, i jej popieprzony chłopak, Pan X, wpędzili ich w pułapkę. Aresztuję tych trzech. Jeśli nie utrzyma się oskarżenie o kidnaping, możemy ich zawsze wsadzić za zbrodnie przeciwko modzie. Pakuj się i pociągnij przyczepę do Denver. Przypominam, że masz zjechać w Uptown Avenue i zawieźć ładunek na miejskie lodowisko. A jeśli CNN puści dzisiaj wieczorem zdjęcia tego, co wiesz, to będziesz miał szczęście, kończąc jako krawężnik na skrzyżowaniu. To jest rozkaz bezpośrednio od gubernatora, słyszysz mnie? Odbiór.

– Zrozumiałem – odparł Dillet.

Zauważyłam, że żaden z nich nie wypowiedział przez radio słowa „zwłoki”.

Dillet i Teasdale przez kilka kolejnych minut naciągali szeleszczącą pomarańczową plandekę na plon śmierci i przymocowywali ciała elastycznymi linkami. A potem wszyscy wdrapaliśmy się do kabiny traktorzysty. Gruby więzień usiadł pośrodku. Dillet przykuł kajdankami jeden z nadgarstków Teasdale’a do stalowej poprzeczki pod deską rozdzielczą.

Traktor miał rozmiar szopy na kółkach i kabina znajdowała się prawie trzy metry nad drogą. To nie był mały rodzinny ciągnik. Silnik, kiedy policjant go włączył, ryknął tak głośno, że zęby zatrzęśły mi się w dziąsłach.

– Co zrobiłeś? – spytałam Teasdale’a.

– Odciąłem piłką do metalu głowę właściciela mieszkania – odpowiedział radosnym głosem. – To była samoobrona, ale nigdzie już nie znajdzie się sędziów, którzy nie są uprzedzeni do ludzi z nadwagą.

– To prawda – zgodziłam się. – Ale miałam na myśli: co sobie zrobiłeś w nogę?

– A. Stałem na dwudziestocentymetrowy gwóźdź. Przebił się przez podeszwę buta i wbił mi prosto w nogę. Pewnie przez moje rozmiary. Ilekroć w życiu mi nie wychodzi, to zawsze przez nadwagę.

– Uch, dwadzieścia centymetrów? Żartujesz sobie?

– Nie – odpowiedział za więźnia Dilletta. – Sam go wyciągałem. Był wielkości kła morsa.

– Nie wiedziałam, że te gwoździe mogą być tak olbrzymie.

– Ona jeszcze nie słyszała o Enid – wtrącił Teasdale.

Dillett spojrzał ponuro i posępnie pokiwał głową.

– Co z Enid? – zapytałam. – Enid w stanie Oklahoma?

– Nie ma go – odparł Dilletta. – Spadły tam gwoździe wielkie jak marchewki. Pozabijały ludzi w domach! Burza trwała tylko dwadzieścia minut, ale podobno starła z powierzchni ziemi połowę populacji miasta. Ulewy przesuwają się na wschód i są coraz gorsze. Ten błyszczący pył, to coś, z czego rosną kryształy, wędruje z wiatrami z zachodu przez cały kraj.

– Nie możemy powiedzieć, że nie zostaliśmy ostrzeżeni – odezwał się Teasdale zadowolonym tonem.

– A kiedy to nadawali ostrzeżenie o deszczu z gwoździ? – spytał Dilletta. – Coś leciało na Weather Channel? Przegapiłem?

– To globalna zmiana klimatu – odparł Teasdale. – Mówią o tym od lat. Al Gore. Bill Nye. My po prostu nie chcieliśmy ich słuchać.

Dilletta chyba nie zdziwiłby się bardziej, gdyby z otwartych ust Teasdale'a wyleciała gołębica.

– Zmiana klimatu, ja pierdolę! To nie jest zmiana klimatu!

– No cóż, nie wiem, jak inaczej można to nazwać. Kiedyś z chmur spadała woda. Teraz spadają srebrne i złote ostrza. To jest zmiana klimatu. – Teasdale potarł kciukiem podbródek i dodał: – Następne będą duchy.

– Myślisz, że spadną z nieba jak deszcz?

– Myślę, że pojawią się zamiast mgły. Mgła będzie miała twarze zmarłych, wszystkich, których straciliśmy.

– No to miejmy nadzieję, że utrzyma się ładna pogoda – powiedział Dillett. – Jeśli zamiast mgły pojawią się duchy, twój właściciel mieszkania może wrócić i zażądać czynszu.

– Dziękuję Bogu, że żyję w suchym górskim klimacie – wytłumaczył mi Teasdale, bardzo z siebie zadowolony. – Stawię czoło wszystkiemu, co przywieje wiatr. Może będą wichury czystego smutku zamiast powietrza i będziemy musieli szukać schronienia przed żalem. A może czas, jak temperatura, będzie rósł i spadał. Zamiast zimy będziemy mieli dziewiętnasty wiek. Może już jesteśmy w przyszłości, tylko jeszcze tego nie wiemy.

– Możesz sobie pomarzyć, Teasdale – wtrącił się Dillett. – Nie będzie duchów i nie będzie ulewy emocji. Mamy do czynienia z wojną chemiczną, to proste jak drut. Stoją za tym Arabowie, ci sami, którzy stali za jedenastym wrześniem. Nasz prezydent wiedział, że to był błąd w ogóle ich tu wpuszczać, i proszę, co się dzieje. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego właśnie ustaliła, że firma odpowiedzialna za wynalezienie technologii twardego deszczu jest finansowana z arabskich pieniędzy. Rozwinęli ten patent razem z amerykańskimi naukowcami, a potem przenieśli go do swojej kwatery głównej w dawnej Persji. Dzisiaj wieczorem Kongres ma obradować nad wypowiedzeniem wojny. Myślę, że wywołali burzę, ale nie wiedzą, co ich czeka. Prezydent już obiecał, że użyje broni nuklearnej. Wtedy to dopiero będą dziwne zjawiska pogodowe! Wątpię, żeby w tym I-ranie często mieli śnieg, więc opad atomowy to może być dla nich interesujące przeżycie!

Dojechaliśmy już do płataniny wjazdów i zjazdów na przedmieściach Denver. Dillett zjechał z autostrady na drogę 287. Poza trasą szybkiego ruchu sprawy miały się kiepsko. Samochody

zostały zepchnięte na pobocza, ale asfalt nadal pokryty był tłuczonym szkłem i odłamkami kryształu. Restauracja Tastee-Freez smażyła się tłustą chmurą czarnego dymu, nikt jednak nie walczył z ogniem.

Przez następnych piętnaście minut przedzieraliśmy się w kierunku Ice Centre przy Promenadzie, wielkiego lodowiska pod dachem, otoczonego kilkoma hektarami asfaltu. Tuzin oficjalnie wyglądających czarnych samochodów parkował tuż obok doków rozładunkowych, razem z karetkami pogotowia, wozami policyjnymi, paroma dużymi opancerzonymi pojazdami do transportu więźniów i całą flotą karawanów. Dillett podjechał pod bramę garażową ze stali nierdzewnej. Wykręcił traktorem i ostrożnie się cofał, dopóki platforma nie znalazła się dokładnie naprzeciwko zamkniętej bramy.

– Tutaj trzymacie zmarłych? – spytałam.

Czułam się nieswojo. Kilka lat temu, kiedy moi rodzice ciągle byli razem, zabrali mnie do tego miejsca na przedstawienie *Disney na lodzie*.

– Tylko tu jest chłodno – odpowiedział Dillett.

Zatrąbił i ktoś otworzył małe drzwi przy rampie załadunkowej.

To był inny stanowy policjant, piegowaty rudzielec, przypominający aktora, który grał Archiego w *Riverdale*. Dillett opuścił okno i zawołał, żeby tamten otworzył drzwi garażowe. Chłopak wyglądający jak Archie pokręcił głową i powiedział coś o maszynie do odświeżania lodu, ale nie było go słychać przez ryk traktora. Krzyczeli tak przez chwilę i żaden nie rozumiał drugiego, aż w końcu Dillett uchylił drzwi od strony kierowcy i stanął na progu.

Jak tylko się wyprostował, Teasdale wyciągnął lewą nogę – tę z obandażowaną stopą! – i kopnął go w dupę. Dillett zamachał rękami i przez moment wyglądał naprawdę głupio, a następnie runął na asfalt.

Teasdale zatrzasnął drzwi kierowcy i wślizgnął się za kółko. Wrzucił bieg. Jego prawa ręka, przykuta kajdankami, nie mogła dosięgnąć kierownicy, ale była akurat w dobrym miejscu do zmiany biegów. Traktor potoczył się przez parking.

– Co ty właściwie robisz? – zapytałam.

– Uciekam na wolność – odpowiedział. – Przy tym wszystkim, co się dzieje, nikt nie będzie mnie ścigał. Mam rodzinę w Kanadzie.

– Zamierzasz tam dojechać traktorem, ciągnąc przyczepę z osiemdziesięcioma trupami?

– No cóż – odparł miękko. – Wszystko po kolei.

Archie z *Riverdale* przebiegł sprintem przez parking, żeby złapać nas, zanim wyjedziemy na drogę. Wskoczył na próg traktora. Wtedy Teasdale gwałtownie otworzył drzwi od strony kierowcy i zwałił go z nóg.

Jechaliśmy, nabierając prędkości. Pruliśmy już co najmniej pięćdziesiątką, kiedy Teasdale nagle skręcił w ulicę, zahaczając kołami o krawężnik. Elastyczne linki trzasnęły. Ciała z platformy wyleciały w powietrze i potoczyły się po chodniku jak kłody drewna.

– Masz zamiar mnie wypuścić, czy jedziemy razem na twoją wariacką wyprawę do Jukonu?

– Możesz wyskoczyć, kiedy chcesz, ale obawiam się, że nie mogę teraz zwolnić dla twojej wygody.

– Zaczekam.

– Jakbyśmy mijali jakiś sklep z narzędziami, to pewnie nie dałabyś się namówić, żeby wskoczyć tam na chwilę po piłkę do metalu do moich kajdanek, co? Jeżeli się zgodzisz, zawiozę cię do faceta, którego szukasz, nawet jeśli mi to nie po drodze.

– Wiesz, ciągle pamiętam, po co ci ostatnio była piłka do metalu. Niestety, będziesz musiał znaleźć kogoś innego, żeby zrobił ci zakupy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– W porządku. Przyznaję, że moja historia wykorzystywania narzędzi nie jest zbyt ciekawa. Zapomniałem ci powiedzieć, że jeszcze podniosłem młotek na żonę właściciela mieszkania. Ale jej nie zabiłem! Wszystko z nią okay! Podobno już z powrotem chodzi.

W przeciwieństwie do mnie – przez kolejne piętnaście minut nigdzie nie mogłam pójść. Pruł bez zatrzymania, ścinał rogi, przy każdym skręcie zrzucając ciała z przyczepy. Nie powiedziałam mu, że zostawia za sobą ślady, po których może go znaleźć każdy głupiec. Ale jak ktoś kradnie dziesięcotonowy traktor, to chyba nie zależy mu na dyskrecji.

W końcu dojechaliśmy do skrzyżowania zablokowanego przyczepą, którą można było objechać tylko po chodniku, a później na przełaj przez mały, zielony park naprzeciwko kasy spółdzielczej. Na tym terenie trzeba było zwolnić do prędkości spacerowej. Teasdale spojrzał na mnie przyjaźnie.

– A tutaj? – zapytał.

– Lepiej tu niż w Kanadzie – odparłam i otworzyłam drzwi. – No cóż, uważaj na siebie i może już nikogo nie morduj.

– Spróbuję – odpowiedział. Zerknął badawczo w lusterko wsteczne na ciąg skalistych szczytów za miastem. – Miej oko na niebo. Chyba znowu się chmurzy.

Miał rację. Nad górami stały zimne kłęby wyglądające jak lód. To jeszcze nie były chmury burzowe, ale unosił się z nich opar, który zapowiadał długotrwałe silne opady.

Gdy tylko Teasdale wjechał z powrotem na jezdnię, wrzucił wyższy bieg. Wyskoczyłam i patrzyłam, jak się oddala.

Kiedy zniknął mi z oczu, zaczęłam szukać telefonu, żeby powiadomić policję o jego planach. Dwa razy przegrzebałam kieszenie dzinsów, zanim sobie przypomniałam, że nie mam już komórki. Nie

wiedziała, gdzie mogę znaleźć najbliższego gliniarza, ale znałam drogę do domu doktora Rusteda, więc ruszyłam w tamtą stronę.

Gdy szłam w kierunku przedmieść, zaczął wiać wiatr. Dał głębokimi wąwozami pomiędzy drapaczami chmur. Pachniał deszczem.

W centrum Denver uderzyła mnie cisza. Brak ruchu ulicznego. Zamknięte sklepy. Na Glenarm Place usłyszałam płacz kobiety dobiegający z otwartego okna na trzecim piętrze. Dźwięk niósł się przez całe przecznice. Gwoździe leżały porozrzucane na ulicach, błyskając srebrem i różem w późnopołudniowym świetle.

Burza zerwała wysoki, pionowy neon na froncie Paramountu i teraz napis głosił R O U T. Pozostałe litery spadły i zalegały na ulicy.

Dogoniła mnie dziewczyna w źle dopasowanej sukni ślubnej i domowej roboty tiarze ze złotego drutu i kryształowych gwoździ. Miała jedwabne rękawiczki do łokci i niosła jutowy worek, który wyglądał na ciężki. Z bliska można było dostrzec, że suknia jest cała w strzępach, a policzki dziewczyny poznaczone są smugami tuszu. Przez jakiś czas szła obok mnie. Powiedziała, że jest Królową Apokalipsy i że jeśli ją pocałuję i złożę poddańczą przysięgę, zapłaci mi tysiąc dolarów. Otworzyła worek, żeby pokazać, że ma pieniądze. W środku były paczki banknotów.

Od razu zrezygnowałam z pocałunku i poinformowałam ją, że jestem zakochana i nie robię skoków w bok. Poradziłam, żeby wykorzystała te pieniądze i znalazła jakieś schronienie, najlepiej hotel. Znowu będzie padać. Odparła, że nie boi się niepogody. Oświadczyła, że potrafi prześlizgiwać się pomiędzy kroplami deszczu, ja powiedziałam, że tego nie umiem, i na kolejnym skrzyżowaniu poszłyśmy każda w swoją stronę.

To nie było tak, że całe miasto przypominało pustynię po powszechnym wniebowzięciu, nie chcę, żebyście tak myśleli. Gwardia narodowa oczyściła East Colfax na długości jakichś dwóch kilometrów i umieściła w sklepach punkty pierwszej pomocy. Przy Fillmore założyli ruchliwą kwaterę główną i centrum informacyjne. Szydł



obiecował:

BUTELKOWANAWODAPIERWSZAPOMOCSCHRONIENIEINFORMACJA. Generatory ryczały przeraźliwie i w kilku miejscach paliły się światła. Na płocie z żelaznych prętów powieszono fotokopie z twarzami ludzi i ich imionami oraz słowami: ZAGINIONY OD CZASU BURZY, PROSIMY O KONTAKT.

Ale żołnierze, których widziałam, byli zgrzani i przestraszeni i warczeli na ludzi, każąc im szukać schronienia. Przez aleję przetoczył się w jedną i w drugą stronę humvee z zamontowanymi na dachu szczekaczkami, nadającymi wiadomości przekazane przez Narodową Służbę Pogodową. Kobięcy głos mówił, że nad regionem Boulder i Denver tworzy się obszar niskiego ciśnienia i że w ciągu najbliższej godziny spodziewane są opady deszczu. Nie powiedziała nawet, jakiego deszczu, nie musiała.

Ruszyłam na północ do Wschodniej Dwudziestej Trzeciej Alei, a potem dalej w kierunku parku miejskiego, ostatniego dłuższego odcinka mojej wyprawy. To było, jak dotychczas, najspokojniejsze miejsce, i najsmutniejsze. W pobliżu zoo zwolniłam kroku.

Przy ulicy stała zaparkowana osiemnastokołowa ciężarówka, a w otwartej przyczepie leżała dorosła żyrafa. Jej nogi sterczały na wszystkie strony, długa szyja była skręcona tak, że głowa dotykała piersi. Facet w kasku prowadził mały dźwig, z którego ciężkich opon wystawały kryształowe drzazgi. Podjechał do osiemnastokołowca. Wyciąg zawył i operator dźwigu opuścił siatkę z żyrafiątkiem. Delikatnie ułożył je pomiędzy nogami matki. Oboje byli umazani krwią i brudem i ten widok złamał moje serce bardziej niż wszystko, co widziałam tego dnia.

Powietrze śmierdziało. Po lewej stronie, na rozległej zielonej łące, zobaczyłam martwe lwy i martwe morsy, i martwe gazy, ułożone starannie, parami. Wyglądało to jak jakaś potworna parada wiodąca

do okrutnej parodii arki Noego, statku dla wszystkiego, co odeszło i już nie wróci, wszystkiego, czego nie dało się ocalić. Obok leżała sterta pingwinów, wysoka prawie na trzy metry. Śmierdziały jak ryba sprzed tygodnia.

Przez ostatnie posępne pół kilometra człapałam pod ciężkim niebem w dziwnym perłowym zmierzchu. Moja zszyta czaszka pulsowała i mdliło mnie od tego. Im bliżej byłam domu doktora Rusteda, tym mniej chciałam się tam znaleźć. Po tym, co widziałam do tej pory, nie spodziewałam się tam zastać niczego dobrego. Nadzieja na najdrobniejszą łaskę wydała mi się nagle bardzo dziecinna.

Doktor Rusted i jego rodzina mieszkali na wschód od parku, w ładnym domu w stylu Tudorów, zbudowanym z czerwonej cegły. Po ścianach, między dzielonymi oknami, wspinał się bluszcz. Dom wyglądał jak miejsce, gdzie C.S. Lewis mógłby się spotkać z J.R.R. Tolkienem, żeby przy szklaneczce szkockiej pogadać o ulubionych germańskich poematach. Z jednej strony miał nawet małą wieżyczkę. Yolanda sypiała w okrągłym pokoju na jej szczycie i zawsze, kiedy przyjeżdżałam z wizytą, wrzeszczałam: „Hej, Roszpunko, jak leci?”.

Przed domem zwolniłam. Na osikach po obu stronach drżały liście. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego ciemność i cisza tego miejsca tak mnie zaniepokoiły. Większość domów przy ulicy była ciemna i cicha.

Naprzeciwko mały, schludny i nabity facet zmiatał gwoździe ze swojego betonowego podjazdu. Zatrzymał się i zagapił na mnie. Widywałam go wcześniej: miał pięćdziesiąt parę lat, nosił okulary w prostokątnych oprawkach i konserwatywną fryzurę i zawsze otaczała go chłodna atmosfera dezaprobaty. Teraz miał na sobie lśniący, jaskrawozielony dres, który kojarzył się z czymś radioaktywnym albo ze Shrekiem.

Zastukałam dwa razy do drzwi, a kiedy nie otrzymałam odpowiedzi, odsunęłam zasuwkę i wetknęłam głowę do środka.

– Doktorze Rusted? Jest pan tam? To ja, Honeysuckle Speck!

Miałam zamiar zawołać jeszcze raz, ale wtedy zobaczyłam u podnóża schodów jakiś cień, który mi się nie spodobał, i weszłam.

Doktor Rusted leżał na twarzy, w połowie drogi do kuchni. Miał na sobie szarą kamizelkę, białą koszulę oksfordzką i grafitowe spodnie z zaprasowanym na ostro kantem. Do tego czarne skarpetki, był bez butów. Leżał z jednym policzkiem na ciemnej drewnianej podłodze. Bez złotych okularów jego twarz wydawała się naga i zdziwiona. Dłonie miał owinięte bandażami, a oksfordzką koszulę porwaną i poplamioną krwią, ale nie od tych ran zmarł. Wyglądało, jakby śmierć spowodował upadek ze schodów na głowę. Dotknęłam jego szyi – była spuchnięta. Pomyślałam, że chyba jest złamana.

Przeszłam długą drogę, żeby przynieść mu wiadomość, której tak naprawdę nie chciałam dostarczyć, i okazało się, że nie ma kto jej odebrać. Byłam zmęczona, bolała mnie głowa i ścisnęło w sercu. Kiedy powiedziałam rodzicom o mojej orientacji, ojciec napisał do mnie list, w którym twierdził, że wolałby zobaczyć swoją córkę zgwałconą niż z inną kobietą. Matka po prostu nie przyjęła mojego wyznania, nie odzywała się do moich dziewczyn i udawała, że ich nie dostrzega. Gdy znalazła się w jednym pokoju z Yolandą, zachowywała się, jakby jej nie widziała.

Ale doktor Rusted zawsze cieszył się z mojego towarzystwa, a nawet jeśli nie, doskonale udawał. Pijaliśmy razem piwo i oglądaliśmy baseball. Podczas kolacji mieszaliśmy z błotem tych samych prawicowych polityków, nakręcaliśmy się nawzajem i – dopóki Yolanda i pani Rusted nie ubłagały nas, żeby zmienić temat rozmowy – współzawodniczyliśmy, kto obrazi ich w sposób najbardziej kreatywny, choć nie wulgarny. Czy będzie dziwne, jeśli powiem, że lubiłam jego zapach? Zapach ten sprawiał, że czułam się przytulnie. Z przyjemnością wciągałam w nozdrza aromat wody po

goleniu Bay Rum i lekki odór fajki, którą palił w ukryciu. Pachniał cywilizacją i przyzwoitością.

Telefon nie działał, nie zdziwiło mnie to. Chodziłam z pokoju do pokoju, zwiedzając muzeum zmarłej rodziny Rustedów. Kiedy się tak włóczyłam, nagle ogarnęło mnie przeświadczenie, że już nikt nigdy nie będzie tu mieszkał. Nikt już nie uwali się na tej wielkiej sofie w pasy, żeby pooglądać najnowsze brytyjskie importy telewizyjne, jak *Great British Baking Show* albo *Morderstwa w Midsomer* – programy, które pani Rusted lubiła najbardziej. Nikt nie będzie przebierał w puszkach z herbatą w szafce kuchennej, próbując wybrać pomiędzy Lady Londonderry i Crème of Earl Grey. Z gardłem zaciśniętym z żalu wspierałam się po schodach wieży do pokoju Yolandy. Popchnęłam drzwi, żeby zajrzeć tam po raz ostatni.

Jej okrągły pokój był urządony w żółciach i różach, jak wydrążony tort urodzinowy. Pozostawiła go w normalnym dla niej stanie maniakalnego bałaganu: w kącie sarta nieupranych ciuchów, na biurku jeden sportowy but, połowa szuflad zwisająca z komody, a na środku podłogi – zegarek z urwanym skórzanym paskiem. Na blacie toaletki, zamiast w szkatułce, leżała porozrzucana biżuteria, w nogach łóżka suszyły się rajstopy. Uniosłam narzutę i przycisnęłam do niej twarz, wdychając lekki zapach Yolandy. Zanim wyszłam, narzuciłam na ramiona koc, jak pelerynę. Na zewnątrz był sierpień, ale w pokoju Yolandy miało się wrażenie, że jest już późna jesień.

Zeszłam na dół i zajrzałam do głównej sypialni. Złote okulary doktora Rusteda czekały na stoliku nocnym, a na kapie ciągle odcisnięty był zarys jego dużego ciała. Spod łóżka wystawały mokasyny z kutasikami. Na łóżku leżała, zdjęciem do góry, oprawiona fotografia naszej czwórki: doktora Rusteda, pani Rusted, Yolandy i mnie podczas wycieczki do Estes Park. Może spędził bezsenną noc,

martwiąc się o żonę i córkę, i przysnął z tym zdjęciem przyciśniętym do piersi.

Mógł ścisnąć jedną z tysięcy fotografii Yolandy i pani Rusted, bo miał ich mnóstwo, ale wybrał tę, na której byłem i ja. Prawie doprowadziło mnie to do płaczu. Nigdy nie zależało mi na niczyjej sympatii tak jak na sympatii rodziców Yolandy. Zrozumcie: nie byłem zakochana tylko w niej. Pokochałam także całą jej rodzinę. Na początku mnie odrzucało, jak często się obejmowali i całowali, i śmiali się razem, i cieszyli się sobą nawzajem, i nigdy się nie obwiniali. Wcześniej nie interesowały mnie krzyżówki, dopóki nie dowiedziałam się, że lubi je doktor Rusted, i wtedy zaczęłam każdego dnia rozwiązywać je na iPadzie. Pomagałam pani Rusted piec ciastka wyłącznie dlatego, że uwielbiałam być blisko niej i słuchać, jak mruczy coś pod nosem ze swoim lirycznym akcentem z Karaibów.

Zostawiłam narzutę z pokoju Yolandy razem ze zdjęciem i wyszłam z powrotem na dwór. Zatrzymałam się tuż przed flagą w tęczyowych barwach, która zwieszała się z pochylonego masztu przymocowanego do jednej z ceglanych kolumn flankujących ganek. Shrek wycofał się w kierunku bramy do garażu, a na ulicy pojawiła się jego córka. Miała może czternaście lat, była chuda jak gałązka, albo jak bulimiczka, z zapadniętymi policzkami i cieniami pod oczami. Też miała na sobie dres, czarny z fioletowymi lamówkami i słowem SOCZYSTA na pośladkach. Ciekawe, jaki ojciec pozwala czternastolatce nosić coś takiego.

– Wie pan, że tam w środku jest martwy człowiek? – spytałam Shreka.

– Wszędzie są martwi ludzie – odpowiedział.

– Ten został zamordowany.

Czternastolatka drgnęła i szarpnęła nerwowo srebrną bransoletkę na nadgarstku.

– Zamordowany? Zresztą wczoraj zostało zamordowanych dziesięć tysięcy ludzi. Wszyscy, których deszcz złapał na dworze, z tego przynajmniej jedna czwarta mieszkańców tej ulicy. – Mówił spokojnie, bez zdenerwowania i bez specjalnego zainteresowania.

– Nie został zabity przez deszcz. Ktoś go zaskoczył i zepchnął ze schodów. Doktor Rusted skręcił kark. Słyszał pan coś?

– Pewnie. Ludzie wrzeszczeli, płakali i zawodzili przez cały dzień. Dzisiaj rano Jill i John Porterowie wyszli na ulicę i każde z nich niosło jedno z dziesięcioletnich bliźniąt rozdartych na strzępy. Przez całą noc szukali dziewczynek. Modlili się, żeby je znaleźć, ale zważywszy na to, w jakim były stanie, może raczej powinni błagać Boga, żeby się nie znalazły. Dziewczynki schroniły się pod odwróconą taczka, ale metal był zbyt zardzewiały, żeby zatrzymać gwoździe. Ich matka, Jill, zawodziła i płakała, że jej dzieci nie żyją, i John musiał ją walnąć na odlew, żeby się zamknęła. Po tym uznałem, że wydarzyły się już wszelkie możliwe okropieństwa, i nie zwracałem uwagi na żadne krzyki ani płacze. – W wystudiowany leniwy sposób spojrział na swój nadgarstek, a potem znowu przeniósł wzrok na mnie. – To, oczywiście, był sąd ostateczny. Cieszę się, że moja córka została oszczędzona. Wszyscy na tej ulicy pozwalali twojej dziewczynie opiekować się naszymi dziećmi.

Poczułam, jak coś lepkiego i zimnego zsuwa się po mojej szyi w dół kręgosłupa.

– Zechce pan rozwinąć tę myśl?

– To, co stało się wczoraj, zdarzyło się wcześniej już raz, w Sodomie i Gomorze – poinformował mnie. – Pozwalamy, żeby tacy jak wy mieszały się z takimi jak my, jakbyśmy nie wiedzieli, że kiedyś trzeba będzie za to zapłacić. Jakbyśmy nie zostali ostrzeżeni. On uważał się za bożego człowieka. – Skinął głową w kierunku domu. – Więc powinien był wiedzieć.

– Tato – odezwała się nastolatka łamiącym się, przestraszonym głosem, gdy zobaczyła wyraz mojej twarzy.

– Proszę mówić dalej – zachęciłam. – I proszę się nie martwić o nagrodę w niebiosach. Otrzyma pan swoją tu, na ziemi.

Odwrócił się, ujął córkę za łokieć i pociągnął w stronę garażu. Przeszedł obok szarego mercedesa z naklejką na zderzaku, która głosiła, że gdzieś w Kenii, w jakiejś wsi, brakuje wioskowego głupka. Poprowadził córkę po schodach, do drzwi domu. Zawołałam do niego:

– Hej, kolego, masz trochę czasu?!

Znów zerknął na swój nagi nadgarstek, ale zaraz sam się na tym złapał i wepchnął rękę do kieszeni. Klepnął dziewczynkę po pupie i przynaglił, żeby weszła przed nim do domu. Potem się zawahał, obejrzał na mnie, zastanawiając się pewnie nad kolejną zniewagą, którą mógłby mnie urazić. Nic jednak nie przyszło mu do głowy. Zadrżał, pokonał szybkimi krokami dwa ostatnie stopnie prowadzące do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Znowu weszłam do domu Rustedów. Cisza była wyczuwalna, prawie jak zmiana ciśnienia atmosferycznego i gdyby wewnątrz ceglanego domu znajdowało się na innej wysokości, miałoby swój własny, niepowtarzalny klimat. Może Teasdale miał rację i już wkrótce emocje będą pojawiać się jako zjawiska pogodowe czy jako zmiany atmosferyczne. Światło było srebrne i szare i taki sam był nastrój. Temperatura wahała się trochę poniżej samotnej.

Zwinęłam się na wielkim łóżku w głównej sypialni, pod narzutą Yolandy, trzymając zdjęcie nas wszystkich razem w Estes Park. Gdybym mogła, płakałabym – ale jak już wcześniej mówiłam, nigdy nie byłam typem beksy. Moja matka płakała, żeby mną manipulować. Mój ojciec płakał, kiedy był pijany i użalał się nad sobą. Zawsze czułam tylko pogardę na widok płaczącej osoby aż do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam szlochającą Yolandę i moje serce obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Może gdybyśmy miały więcej czasu, nauczyłaby mnie płakać. Może gdybyśmy miały więcej czasu, nauczyłabym się, jak obmywać moje chore uczucia dobrym, zdrowym strumieniem łez.

W końcu jedynie skuliłam się i przysnęłam na trochę, a kiedy się obudziłam, znowu padało.

To było delikatne tik-tik o dach, ale nie jak krople wody, tylko bardziej szeleszczące, ostrzejsze, rodzaj chrzęstu. Wyszłam z sypialni, podeszłam do otwartych drzwi frontowych i wyjrzałam na zewnątrz. Deszcz spadał równym strumieniem lśniących szpilek, nie większych od tych, którymi krawiec spina rękaw. Podskakiwały i ślicznie dźwięczały na bruku. Był to tak słodki dźwięk, że wystawiłam rękę otwartą dłonią do góry, jakbym chciała poczuć ciepły, letni deszcz.



Auć! W ułamku sekundy moja ręka zamieniła się w kaktus. Muszę przyznać, że potem już dźwięk deszczu nie wydawał mi się tak ładny.

Wyjęłam drzazgi po jednej, jedząc jednocześnie burrito z jajkami, serem i czarną fasolą. Rustedowie mieli gaz w kuchni i mogłam zapalić kuchenkę. Przyjemnie było napełnić żołądek czymś ciepłym. Jadłam w dużej sypialni, prosto z patelni.

Kiedy skończyłam, znalazłam w garażu plandeki. Przeniosłam doktora Rusteda do sypialni, położyłam go i przykryłam. Wsunęłam mu w ręce nasze zdjęcie. Podziękowałam za to, że podzielił się ze mną swoją córką i swoim domem, pocałowałam go na dobranoc i sama też poszłam spać.

Deszcz przestał padać około drugiej nad ranem i kiedy Shrek z naprzeciwka wślizgnął się do głównej sypialni, nie spałam, nadśluchiwałam. Nie poruszyłam się, gdy minął przykryte plandeką ciało na podłodze i podkraść się z boku do łóżka. Sięgnął po poduszkę i oparł kolano o krawędź materaca. Był cały napięty, drżał, nogi mu się trzęsły, kiedy ściągnął koc i przycisnął poduszkę do twarzy śpiącego.

Stał do mnie plecami, gdy odsunęłam plandekę i podniosłam się z podłogi. Ale zanim złapałam żelazną patelnię, Shrek zorientował się, że osoba pod poduszką nie walczy. Odrzucił jasiek i spojrzał ze zdumieniem i niedowierzaniem na spokojną, nieruchomą twarz doktora Rusteda. Zdążył jeszcze wydać z siebie krótki wrzask i częściowo się obrócić, nim się zamachnęłam.

Sama byłam zdenerwowana i spięta i walnęłam go mocniej, niż zamierzałam. Patelnia trafiła go z dźwięcznym „bong”. Zmiękł, jakby nie miał kości, jego kończyny wystrzeliły w czterech różnych kierunkach, a głowa odskoczyła na bok. Miałam wrażenie, że uderzyłam w pień drzewa. Zmiażdżyłam mu okulary, nos i wybiłam kilka zębów. Upadł, jakby stał na szafocie i kat otworzył pod nim zapadnię.

Chwyciłam go za jedną stopę i zaciągnęłam do holu. Przez drzwi na końcu korytarza wyciągnęłam go do garażu na dwa auta. Prowadziły tam trzy schodki i głowa Shreka uderzyła o każdy z nich. Nawet się nie skrzywiłam na ten dźwięk. Najbliżej drzwi stał czarny crown vic doktora Rusteda. Otworzyłam bagażnik, podniosłam Shreka i wcisnęłam go do środka. Po czym zatrzasnęłam pokrywę.

Znalezienie należącego do doktora Rusteda ręcznego świdra na baterie zajęło mi w świetle świecy co najmniej dziesięć minut.

Wdusiłam przycisk i wywierciłam w bagażniku tuzin dziur do oddychania. Jeśli w dzień nie zrobi się zbyt gorąco, Shrek wytrzyma przynajmniej do południa.

Nie da się już porządnie spać po tym, jak człowiek walnął intruza patelnią, więc zanim wstało słońce, byłam gotowa do drogi. Wyszłam przez garaż, z plecakiem przewieszonym przez jedno ramię, wyładowanym butelkami ze świeżą wodą i lekkim lunchem na drogę. Fajnie byłoby móc wam powiedzieć, że kiedy wychodziłam, słyszałam, jak Shrek kopie i płacze, ale z bagażnika nie dochodził żaden dźwięk. Nie byłam pewna, czy jeszcze żyje.

Wieczorny deszcz przetarł niebo do jaskrawego błękitu i dzień aż migotał. Podobnie jak świeża porcja gwoździ na ulicy.

Córka Shreka stała u podnóża ich podjazdu i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi, przerażonymi oczami. Miała ten sam dres z fioletowymi lamówkami co poprzedniego dnia i tę samą srebrną bransoletkę na nadgarstku. Nie zamierzałam z nią rozmawiać – wydawało mi się, że lepiej będzie udawać, że jej nie widzę, dla jej bezpieczeństwa i dla mojego własnego – ale ona dała nerwowy krok w moją stronę i zawołała:

– Widziałaś mojego ojca?!

Zatrzymałam się na drodze, z chrzęszczącymi gwoździami pod nogami.

– Widziałam – odpowiedziałam. – Ale on nie widział mnie. Miał pecha.

Cofnęła się o krok, przycisnęła palce jednej dłoni do piersi. Uszłam kilka kolejnych metrów wzdłuż jezdni, nie wytrzymałam jednak i zawróciłam. Dziewczynka zeszywniała. Wyglądała, jakby chciała zwać, ale wmurowało ją w miejscu ze strachu. Na jej smukłej szyi pulsowała żyła.

Chwyciłam bransoletkę na jej nadgarstku i zerwałam ją: srebrne kółko z wybitym wzorem z półksiężyców. Założyłam ją na swój nadgarstek.

– To nie twoje – rzuciłam. – Nie wiem, jak możesz to nosić.

– On... on powiedział – wyjąkała. Jej głos był cichy, a oddech gwałtowny i płytki. – On powiedział, że zapłacił Yolandzie tysiąc dolarów, żeby o... opiekowała się mną przez wszystkie te lata, i jej rodzice powinni to od... oddać. Że nigdy nie powinni pozwalać komuś takiemu jak Yolanda, jak ty, opiekować się dziećmi! – Przy ostatnich słowach jej twarz wykrzywiła się paskudnie. – Powiedział, że są nam coś winni.

– Owszem, byłam coś winna twojemu ojcu. I już to spłaciłam – odparłam i zostawiłam ją tam.

Tym razem okrążyłam park dużym łukiem. Nie chciałam oglądać ani wachać stosu nieżywych pingwinów.

Na Siedemnastej Alei, która dochodzi do południowego krańca parku miejskiego, działała brygada gwardii narodowej, czyszcząca ulicę. Kilku facetów za pomocą humvee ściągało z drogi wraki samochodów. Paru innych machało szczotkami i zmiatało z asfaltu świeżą warstwę lśniącego dywanu z gwoździ. Ale wszyscy pracowali mechanicznie i bez przekonania, jak pracują ludzie przydzieleni do bezsensownej roboty. To było jak wybieranie wody z *Titanica* filiżanką. Denver tonęło, a oni o tym wiedzieli.

Ekipa drogowa i tak miała szczęście. Inni żołnierze zostali oddelegowani do pakowania ciał w torby i układania ich rzędem na chodniku, tak jak służba oczyszczania miasta układa worki ze śmieciami, które ma potem zabrać śmieciarka.

Niedaleko za skrzyżowaniem Siedemnastej z Fillmore znajduje się przyjemne wejście do parku: mur z błyszczącego, różowego kamienia, otwierający się zapraszającym łukiem na przestrzeń zieleni, tak gładkiej jak stół do bilardu. Po obu stronach ustawiono w artystycznym nieładzie kilka ławek parkowych ze stalowych prętów. Para starszych ludzi najwyraźniej próbowała wcisnąć się pod jedną z nich poprzedniej nocy, żeby schronić się przed mżawką, ale nic to nie dało. Gwoździe przeszły przez pręty.

Znalazła ich wrona, która teraz siedziała pod ławką, wydziobując twarz kobiety. Żołnierz w panterce podszedł bliżej, schylił się, wrzasnął na ptaka i zaklaskał w dłonie. Wrona, przestraszona, wyskoczyła spod ławki, trzymając coś w dziobie. Z odległości kilku metrów wyglądało to jak trzęsące się jajko na miękko, ale kiedy podeszłam, zobaczyłam, że to gałka oczna. Ptak kroczył ścieżką ze swoją wielką, okrągłą zdobyczą, zostawiając krwawe odciski pazurów. Żołnierz dał trzy szybkie kroki na krawężnik i dokładnie naprzeciwko

mnie zwymiotował: ciężki kaszel, a następnie wilgotne splunięcie, które śmierdziało żółcią i jajkami.

Cofnąłam się, żeby nic nie poleciało na mnie. Żołnierz, czarnoskóry facet średniego wzrostu, z małym wąsikiem, wyprostował się i znowu zakaszłał. Podałam mu butelkę wody. Wziął ją, upił łyk i jeszcze raz splunął. Potem wypił więcej, długimi, powolnymi haustami.

– Dziękuję – powiedział. – Widziałaś, dokąd odleciał ten ptak?

– A bo co?

– Bo mam zamiar go zastrzelić za to, że jest świnią, nie wroną. Ma oczy większe niż żołądek.

– Masz na myśli: znalazł oczy większe niż jego żołądek.

– No tak – przytaknął i lekko zadrżał. – Chciałbym coś zastrzelić. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym gdzieś wpakować kulkę i żeby to w czymś pomogło. Wolałbym być z prawdziwymi żołnierzami. Jakieś pięćdziesiąt procent szans, że do jutra przed wschodem słońca ściągną nas do Gruzji. I gówno wpadnie w wentylator.

– Gruzja? – Nie wiedziałam, co to jest. – Chodzi o miejsce, gdzie wywozi się gruz?

Uśmiechnął się smutno i wyjaśnił:

– Też tak myślałem, kiedy pierwszy raz usłyszałem te nazwę. Nie, Gruzja to jest kałuża gówna między Irakiem i Rosją, w tej części świata, gdzie wszystko nazywa się albo A-sra-nistan, albo E-dupo-stan.

– Koło Rosji?

Pokiwał głową.

– Podobno Gruzja brała w tym udział. Chemicy, którzy wyśnili sobie to cholerstwo, chmury z opadami z gwoździ, pracują tam dla jednej firmy. Dla byłej amerykańskiej firmy, wierz mi albo nie. Wszyscy święci chcą w nich uderzyć siłą dwunastu batalionów. Największa operacja lądowa od czasów lądowania w Normandii.

– Ale powiedziałaś, że jest pięćdziesiąt procent szans...

– Prezydent gadał przez telefon z Rosjanami, żeby wybadać, czy zgodzą się na zrzućenie na Kaukaz kilku taktycznych głowic. Małe, grube paluszki aż go świerzbą, żeby wcisnąć guzik.

Po tym wszystkim, co widziałam przez ostatnich czterdzieści osiem godzin, pomyśl, żeby zrzućić na wrogów kilkaset megaton bólu, nie wydał mi się satysfakcjonujący – tylko mnie wkurzył. Dręczyło mnie niepokojące uczucie, że powinnam być gdzieś indziej i powinnam coś zrobić. To takie uczucie, jakie ludzie miewają z dala od domu, kiedy nagle zaczynają się martwić, czy nie zostawili czasem mięsa w piekarniku. Ale za nic w świecie nie mogłam określić, co mogę zrobić, żeby złagodzić ten lęk.

– Chcesz dowalić komuś niedobremu? Nie musisz lecieć na drugi koniec świata. Mogę pokazać ci jednego takiego tu, w Denver.

Spojrzał na mnie zmęczony i powiedział:

– Nie mogę się zajmować rabusiami. Zgłoś to policji w Denver.

– A mordercą? – spytałam. – Masz trochę czasu dla mordercy?

Z jego twarzy uciekło nieco zmęczenia i wyprostował plecy.

– Co za morderca?

– Przyszłam tu wczoraj z Boulder, żeby zobaczyć się z ojcem mojej dziewczyny, doktorem Jamesem Rustedem. Znalazłam go martwego w przedpokoju jego domu. Spadł ze schodów i skręcił kark.

Mój żołnierz rozluźnił się, ramiona mu opadły.

– I skąd wiesz, że został zamordowany?

– Doktora Rusteda też złapał na zewnątrz deszcz, jak wiele innych osób, ale zdołał dostać się do środka, zanim doznał poważniejszych obrażeń. Zabandażował sobie ręce i położył się w sypialni, żeby odpocząć i wydobrzeć. Przypuszczam, że obudził go jakiś dźwięk dochodzący z pokoju jego córki na górze. Był tak zdumiony, że nie założył nawet okularów, tylko poszedł od razu zobaczyć, kto tam jest.

Może myślał, że córka wróciła. Ale kiedy wszedł na górę, znalazł tam rabusia. Nastąpiła konfrontacja. Bóg jeden i napastnik wiedzą, co się wtedy zdarzyło, podejrzewam jednak, że w wyniku walki doktor Rusted spadł ze schodów i zginął.

Żołnierz podrapał się po głowie.

– Gwardia narodowa nie bardzo się przydaje na miejscu zbrodni. Lepszy byłby ktoś, kto ma doświadczenie w prowadzeniu śledztwa.

– Nie ma co śledzić. Zabójca siedzi zamknięty w bagażniku samochodu doktora Rusteda. Ostatniej nocy znowu przyszedł do domu, tym razem, żeby mnie zabić, ale czekałam na niego i przyłożyłam mu patelnię. Nie udusi się, wywierciłam w pokrywie dziury, może mu jednak być tam strasznie gorąco, więc chyba dobrze byłoby pójść tam od razu.

Kiedy to powiedziałam, żołnierz wybałuszył oczy.

– Czemu ciebie też próbował zabić?

– Wiedział, że mogę go zidentyfikować jako mordercę doktora Rusteda. Ten facet miał wąty do całej rodziny. Yolanda Rusted, córka doktora i moja dziewczyna, pilnowała córki tego gościa, gdy tamta była mała. Jak facet się dowiedział, że Yolanda jest lesbijką, obleciał go strach i zaczął się domagać, żeby doktor oddał mu każdego centa, jakiego kiedykolwiek zapłacił za opiekę nad dzieckiem. Doktor odmówił i miał rację. Więc jak spadł deszcz i sąsiad zauważył, że w garażu nie ma samochodu, doszedł do wniosku, że dom stoi pusty, i uznał, że to dobry moment, żeby coś ukraść i wyrównać rachunki. Jestem pewna, że myślał, że ma prawo splądrować szkatułkę z biżuterią Yolandy, ale jej ojciec był innego zdania. Kiedy się szarpali, złodziej zgubił zegarek. Później, gdy go spytałam, czy słyszał jakiś hałas z domu doktora, zobaczyłam, że zerka na pusty nadgarstek, jakby chciał sprawdzić godzinę.



– Wywnioskowałaś, że zabił ojca twojej dziewczyny jedynie na tej podstawie, że spojrział na nadgarstek?

– No cóż, trochę mi pomógł fakt, że jego córka nosiła bransoletkę Yolandy. Którą od razu rozpoznałam. – Uniosłam nadgarstek i pokazałam mu srebrne kółko. – Poprosiłam dziś rano, żeby mi ją oddała. Poza tym jeśli były jakieś wątpliwości co do winy sąsiada, to chyba się rozwiały po tym, jak wdarł się do domu o drugiej nad ranem, żeby udusić mnie poduszką.

Żołnierz przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, a potem obrócił głowę i krzyknął do swoich kumpli zamiatających ulicę:

– Hej, chłopaki, chcecie sobie zrobić przerwę w sprzątaniu?!

– A po co? – zapytał jeden z nich.

– Żeby złapać mordercę bigota i zawlec jego dupę do kicia.

Dwóch żołnierzy popatrzyło na siebie. Ten, który opierał się na szczotce, odezwał się:

– Jasne, czemu, kurwa, nie. Przynajmniej będziemy mieli coś do roboty podczas tego czekania na koniec świata.

– No to chodźmy – rzucił mój żołnierz. – Wskakujcie do humvee.

– Nie, ja nie mogę – wtrąciłam się. – Niestety, musicie pojechać do domu doktora Rusteda beze mnie.

– Co to znaczy, że nie możesz? Zawleczemy tego faceta na komisariat policji, a tam będą chcieli, żebyś złożyła zeznanie.

– I tak zrobię, ale będą musieli skontaktować się ze mną w moim domu przy Jackdaw Street. Zostawiłam w Boulder córkę doktora Rusteda. Muszę do niej wrócić.

– Och – westchnął i odwrócił wzrok. – Dobra. W porządku. Pewnie chciałaby się dowiedzieć, co z jej ojcem.

Nie wyjawiałam mu oczywiście, że dziewczyna, do której się spieszę, nie czeka na wieści o ojcu, bo jest tak samo martwa jak on. Niech żołnierz sądzi, co chce, byle tylko pozwolił mi odejść. W moim

obecnym stanie zaniepokojenia i podenerwowania nie mogłam znieść myśli o powrocie do doktora Rusteda i być może stracie jeszcze jednego dnia w Denver.

Powiedziałam mu, gdzie policja znajdzie doktora i jego napastnika i gdzie mogą mnie namierzyć w Boulder, jeśli potrzebne będzie zeznanie.

– O ile będą tego wymagać. O ile to w ogóle trafi do sędziego. – Żołnierz niespokojnie popatrzył w niebo. – Jeśli nadal będzie tak padać, za kilka miesięcy sądy mogą stać się tylko miłym wspomnieniem. Niedługo powróci frontowa sprawiedliwość. Będziemy wieszać ludzi na miejscu. To oszczędza czasu i nie trzeba tyle zachodu.

– Oko za oko? – spytałam.

– Wiesz, o co chodzi – odpowiedział i spojrzał na wronę. – Mam nadzieję, że słuchasz, co mówię, ty brudna bestio.

Wrona, pół przecznicy dalej, zakrakała na nas, a następnie uniosła swoją zdobycz, rozpostarła skrzydła i odleciała – póki mogła.

Byłam już prawie przy bramkach na autostradę, kiedy zobaczyłam traktor Dilletta, wbity w ogrodzenie ze smukłych drewnianych palików i porzucony na zakurzonej parkingu, niedaleko mostu nad brązowymi ruchliwymi wodami Platte Południowej. Przednia szyba została roztrzaskana przez nocny deszcz w tysiące pajęczków. Drzwi od strony kierowcy wisiały, odsłaniając ciemność.

Wdrapałam się, żeby zajrzeć do środka. Wnętrze było puste poza rozrzuconymi zakrwawionymi studolarówkami. Kajdanki zwisały ze stalowej poprzeczki pod deską rozdzielczą. Ktoś pozostawił na siedzeniu kierowcy rzecz, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak brudna nieupieczona kiełbaska. Pochyliłam się, przyjrzałam, próbując zgadnąć, co to, i wtedy zobaczyłam, że to kciuk. Cofnęłam się tak szybko, że prawie wypadłam z kabiny. W żołądku mi się przewróciło. Ktoś odciął Teasdale'owi kciuk, żeby mógł wyslizgnąć dłoń z kajdanek, a potem ten tajemniczy pomocnik starał się zatamować krwawienie banknotami. Na podłodze leżały strzępy zakrwawionego białego jedwabiu i coś zamigotało spod siedzenia pasażera. Schyliłam się i podniosłam złotą tiarę domowej roboty.

Nie mogłam mieć pewności, że Teasdale spotkał Królową Apokalipsy. Nie mogłabym przysiąc, że to ona odcięła część jego dłoni, żeby umożliwić mu ucieczkę, a następnie zabandażowała ją pasami oddartymi z sukni ślubnej i wypchała opatrunek pieniędzmi ze swojego worka. Nie potrafiłabym wam powiedzieć, czy ta dwójka pojechała razem do Kanady. Ale mogło tak być.

Może nauczyła go, jak prześlizgiwać się między kroplami deszczu.

Zostawiłam za sobą traktor i poszłam dalej. Nie jestem złodziejką traktorów, a poza tym nie miałam odwagi prowadzić pojazdu wielkości tyranozaura. Ale żałowałam, że nikt nie może mnie podwieźć. Miałam przed sobą siedem godzin na piechotę przez gorącą, suchą trawę wzdłuż autostrady Denver–Boulder. Szłam, póki omal nie padłam ze zmęczenia i z powodu bólu nóg, potem jednak znów ruszyłam.

Tego dnia na ośmiopasmowej autostradzie nigdzie nie było widać policjantów stanowych ani skazańców z więzienia typu supermax. Może po wczorajszej ucieczce uznano, że wykorzystanie więźniów w charakterze ekipy drogowej wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem. Albo – i to wydawało mi się bardziej prawdopodobne – doszli do wniosku, że to nie ma sensu. Po opadach ostatniej nocy szosa znowu była zasypana błyszczącymi kolcami z najostrzejszego kryształu. Całe to wczorajsze sprzątanie na nic się nie zdało.

Nie byłam na drodze sama. Widziałam wielu ludzi plądrujących porzucone samochody, szukających łupów. Ale tym razem nikt mnie nie zaczepiał. To był spokojny spacer: żadnych samochodów, żadnych samolotów na niebie, nikogo, z kim można by pogadać, prawie żadnego dźwięku poza brzęczeniem much. Do dzisiaj pewnie więcej much żywi się we wrakach na tym trzydziestokilometrowym odcinku autostrady, niż mieszka ludzi w całym Kolorado.

Kiedy schodziłam zjazdem do Boulder, usłyszałam hałas, od którego podskoczyło mi serce. Ludzie czasem porównują grzmot pioruna do wystrzału z armaty. Nie był to jednak huk wystrzału, bardziej uczucie, że to mnie zastrzelili. Na niebie rozciągała się błękitna mgiełka. Na pierwszy rzut oka nie było żadnej chmury. Ale potem zauważyłam coś, jakby ducha chmury, wielką, błękitną górę,

tak ogromną, że samolot byłby przy niej jak kajak. Wydawało się, że prawie jej tam nie ma. Jak szkic chmury, który ktoś nabazgrał nad szczytami. Mimo to upał popołudnia wzmagął się i zrozumiałam, że pod koniec dnia znowu nas zaleje, mocniej niż poprzednio. Nie tylko przez ten pojedynczy grzmot uznałam, że zbiera się na następną burzę. W powietrzu niemal nie było tlenu. Bez względu na to, jak głęboko oddychałam, miałam wrażenie, że moje serce i płuca nie dostają życiodajnego gazu.

Obsługa Staples i z McDonalda poszła już sobie i stadion piłkarski opustoszał. Dookoła stało kilka pustych sypialni, a powierzchnia boiska została przykryta warstwą suchego, żółtego pyłu, ukrywającego ostatnio zmarłych. Białe paliki z numerami, ustawione w rzędach, miały zastępować nagrobki. Byłam pewna, że w Boulder jest dość zmarłych, żeby ich tu pochować w trzech warstwach, ale ten projekt został chyba zarzucony. Wokół było cicho i spokojnie, prawie nikt nie chodził po chodnikach. Miało się okropne przeczucie, że miasto chroni się przed kolejnym – jeszcze gorszym – ciosem.

Dołująca cisza rozciągała się na wiele przecznic, Jackdaw Street nie była jednak ani cicha, ani spokojna. U Andropowa grały radio i telewizor, na cały regulator, tak jak wtedy, gdy wychodziłam. Słyszałam je z końca ulicy. Już samo to było dość ciekawe. Choć w mieście nie było prądu, ten facet miał dostęp do własnego źródła energii: generatora albo bardzo wielu baterii.

Na ulicy nie było żywej duszy. Dom Starszego Benta pulsował swobodną pieśnią. To, co śpiewali, początkowo brzmiało jak hymn religijny, ale jak się uważniej posłuchało, okazało się piosenką Petera Cetera *Glory of Love*. To było naprawdę dziwne słyszeć te radośnie złączone głosy po całym gorącym dniu marszu, gdy nie miałam nic do słuchania z wyjątkiem idiotycznego brzęczenia much.

Kiedy zbliżyłam się do mojego domu, zobaczyłam Templetona w otwartych drzwiach ich garażu. Podbiegł od razu do krawędzi cienia, ale jak zawsze zatrzymał się tam, wiedząc, że od słońca będzie chory. Na ramionach miał pelerynę i gdy zauważył, że idę, rozpostarł ramiona na boki i pokazał mi kły. Zrobiłam z palców krzyż, a on posłusznie wycofał się w mrok.

Stałam na ulicy, patrząc na dom Ursuli i myśląc o tym, jak miło byłoby wejść, usiąść na sofie i dać stopom odpocząć. Może przyniosłaby mi kapkę herbaty parzonej na słońcu. Potem, kiedy wieczór trochę by się ochłodził, mogłabym położyć się obok Yolandy, zdjąć z ręki srebrną bransoletkę i wsunąć na jej nadgarstek.

Ale zaraz przyjrzałam się zabitym deskami oknom w mieszkaniu Andropowa, trzęsącym się od hałasu w środku. Przypomniałam sobie, jak niezadowolony gruby Rosjanin nagadał Starszemu Bentowi, że stara 'Onysuck narobi mu kłopotów z FBI. Przypomniałam sobie, jak były chemik zajechał z piskiem opon tuż przed wybuchem pierwszej burzy, jak chwycił Martinę za rękę i mimo jej protestów wciągnął ją do domu. I jeszcze to, co zobaczyłam w łazience, kiedy zajrzałam przez okno po drugiej stronie domu: plastikowe rurki, szklane dzbanki i kilkulitrowy pojemnik z jakąś przezroczystą substancją chemiczną. Zastanawiałam się, z której części Rosji pochodzi Andropow i czy czasem nie przyjechał gdzieś z okolic Gruzji.

W oddali rozległ się kolejny grzmot, tak głośny, że powietrze aż zadrżało. Gdybym miała więcej czasu na rozważenie różnych możliwości, pewnie wymyśliłabym jakiś sprytny sposób, żeby wywabić Andropowa z jego mieszkania na parterze, żeby następnie móc się tam zakraść pod jego nieobecność i jeszcze raz zobaczyć, co trzyma w łazience. Ale wiedziałam, że jeśli będę czekać całą noc, a on się dowie, że jestem w pobliżu, sam może po mnie przyjść.

Uznałam, że podchody są przereklamowane i lepiej będzie – jak to podobno ujął admirał Nelson – „ruszyć prosto na nich!”. Opadłam na jedno kolano, wyjęłam z plecaka butelki z wodą i ustawiłam je na krawężniku. A potem zaczęłam garściami zbierać kryształowe kolce. Napełniłam nimi plecak w dwóch trzecich, aż zrobił się ciężki, jakby był pełen szklanych kulek. Zasunęłam suwak, zważyłam plecak w ręce, żeby lepiej wyczuć jego ciężar, i weszłam po schodach na werandę Andropowa.

Kopnęłam w drzwi raz, drugi i trzeci, tak mocno, że zatrzęsły się we framudze.

– Urząd imigracyjny, Iwan, otwieraj! – ryknęłam. – Donald Trump powiedział, że mamy zawlec twoją dupę z powrotem na Syberię! Albo nas wpuścisz, albo wyważymy drzwi kopniakami!

Przesunęłam się na bok i przycisnęłam ciało do ściany.

Drzwi się otworzyły i Andropow wystawił na zewnątrz swoją tłąstą, pofałdowaną twarz.

– Zimigruję swojego wacka do twojej dziury, ty liesbijska suko... – zaczął, ale nie zdążył nic więcej dodać.

Obiema rękami zrzuciłam plecak na czubek jego głowy i Andropow opadł na kolana dokładnie tak, jak chciałam. Walnęłam go kolanem centralnie w środek twarzy i z trzaskiem złamałam mu nos. Zajęczał i upadł na czworaki. W jednej dłoni trzymał wielki zardzewiały klucz francuski i nie mogłam pozwolić, żeby go użył. Opuściłam obcas kowbojki na kostki jego ręki i usłyszałam, jak się łamią. Wrzasnął i wypuścił francuza.

Chwyciłam klucz i przeszłam nad Andropowem do przedpokoju. Pomieszczenie było ciemne i bez mebli, śmierdziało kwaśno pleśnią i odorem ciała. Zielona tapeta w kwiaty zwisała w strzępach, a spod spodu wyglądał tynk z plamami wody.

Skręciłam w lewo i znalazłam się w zapyziałym salonie. Sofa i stolik były z rodzaju tych, jakie ludzie wystawiają na chodnik z kartką „Za darmo”. Stała tam fajka do palenia marihuany, zrobiona z dwulitrowej butelki po coli zero, a w środku dziesięć centymetrów brązowych pomyj, które przypominały rzadką sraczkę.

iPod był podłączony do powerbanku, obok zaś znajdowały się wielkie głośniki działające na Bluetooth. Zapętłone syntezatory grały w równym rytmie łup-łup. Wyrwałam kabel zasilania i muzyka elektroniczna rodem z Sankt Petersburga zdechła. Ale mieszkanie nadal wypełniał ryczący hałas. Gdzieś w pokoju na tyłach Hugh Grant krzyczał na tle muzyki skrzypcowej. Z tej samej okolicy dochodziły wściekłe, zduszone okrzyki.

Potknęłam się w krótkim, ciemnym przedpokoju między salonem a sypialnią. Pod moimi stopami przetoczył się ogromny wibrator w kolorze jaskrawego różu i kształcie końskiego penisa. Zachwiałam się i oparłam ręką o drzwi po mojej prawej stronie, a one otworzyły się i ukazały zapuszczoną małą łazienkę, do której wcześniej zaglądałam przez okno.

Andropow zrobił tu sobie laboratorium. Nie znam się na chemii, ale z pewnością wyglądało to jak umywalka pełna kryształowych, szklistych, żółtawobiałych odłamków. Kilka dużych, wypełnionych bursztynowym płynem pojemników z nalepkami od płynu hamulcowego – płynu hamulcowego? – stało w wannie. Łączyły je gumowe rurki. Cała łazienka śmierdziała ostro jakby lakierem do paznokci.

Zduszone krzyki rozbrzmiały teraz bliżej. Wycofałam się z łazienki i weszłam do sypialni.

Martina leżała na wielkim metalowym łóżku, przykuta kajdankami za nadgarstki, z rękami nad głową. Na prawej kostce miała zapiętą czarną skórzaną bransoletę. Z niej z kolei zwisała końcówka



przedłużacza. Jego drugi koniec został starannie zamotany wokół jednego z metalowych słupków łóżka.

Prześcieradła pod jej kościstym, lekkim ciałem były zmiętoszone. Spoglądała spod złotych loków w stylu Debbie Harry jak bystrooki lis, który wygląda zza krzaka dzikiej róży. Andropow zakleił jej usta taśmą izolacyjną. Na toaletce stał otwarty laptop, a na nim leciał, na cały regulator, jakiś film, chyba *Notting Hill*.

Spojrzała na mnie i wolną nogą kopnęła w ścianę, tak jak to robiła poprzedniego dnia – tylko w ten sposób mogła wzywać pomocy. Wiercąc się z boku na bok i dźwigając w górę ostre krawędzie swoich kości biodrowych, próbowała unieść się na kolana. Wyglądało to prawie jak porno: dwudziestodwuletnia striptizerka, tak chuda, że aż przezroczysta, w białych tanich majtkach i w trochę za ciasnym podkoszulku z Ramones, tak cienkim i spranym, że nadawałby się na ścierkę do naczyń. Stałam jak wmurowana, ale nie z powodu zdziwienia na widok dziewczyny uwięzionej w sypialni Andropowa. Tylko na widok znajdującej się na stoliku szklanej fiolki, w której zgromadzono więcej żółtawych kryształków. Kryształków, które coraz mniej kojarzyły mi się ze śmiertelnym deszczem, a coraz bardziej z wiecie-czym.

Przyglądałam się i czekałam, aż mój mózg nadąży za oczami, i wtedy do środka wpadł wściekły Rosjanin. Potknął się – było ciemno, na podłodze leżały sterty brudnych ubrań o kwaśnym zapachu – a potem odwrócił się i stanął między mną a dziewczyną. Dolna część jego twarzy lepiała się od krwi, a złamana ręka drgała przy piersi. Łzy spływały mu po szczeciniastych policzkach.

– Trzymaj się od niej z daleka, liesbo! Ona nigdzie z tobą nie pójdzie!

Nazwał mnie lesbijką, jakby to było najwulgarniejsze słowo, jakie znał. To mnie wreszcie obudziło. Trzasnęłam go otwartą dłonią.

Zabrakło mi słów i przepęłniało mnie pragnienie przyładowania mu prosto w jego tłąstą, głupią i tragiczną twarz. Gdy tylko to zrobiłam, wybuchł łkaniem, które zatrzęsło całym ciałem.

Minęłam go i zerwałam taśmę z ust Martiny. Jeślibym spisała wszystkie słowa, które spłynęły z jej warg, książka zapaliłaby wam się w rękach.

Kiedy wreszcie zaczęła mówić z sensem, powiedziała:

– Próbowalam się wynieść i ten pieprznięty dupek zamknął mnie tutaj, to już drugi dzień! Walnięta, pierdolona kupa gówna! – Wyprężyła ciało w jego kierunku najbardziej, jak mogła, i napluła mu na głowę. – Od dwóch dni non stop leci *Notting Hill*, a on rozkuwa mnie tylko na siku! Napalił się za dużo swoich gównianych dragów!

Andropow odwrócił się w jej stronę, objął głowę dłońmi i zaszlochał rozpaczliwie.

– Powiedziałaś, że uciekniesz z tymi lesbijkami! Powiedziałaś, że każesz mnie aresztować i będziesz żyła z dziewczynami, które liżą cipki, zostawisz mnie na końcu świata dla kobiet!

– Powiedziałam i tak zrobię! Pójdiesz do pierdła na milion lat.

Spojrzał na mnie błagalnym, nieszczęśliwym i obłąkanym wzrokiem.

– Codziennie to samo, ona paradyje prawie na golasa przed wami, lesbijkami. Zawsze do mnie dzwoni, żeby powiedzieć, że ma zamiar się z wami przespać! Mówi, że tylko przy kobietach robi się mokra, i śmieje się ze mnie...

– Tak, śmieję się z ciebie, z twojego penisa, zawsze miękkiego...

I dalej wrzeszczeli na siebie po rosyjsku, ona znów splunęła na niego i myślałam, że głowa mi eksploduje od ich kłótni. Cofnął rękę, jakby zamierzał uderzyć ją na odlew, a ja walnęłam go francuzem w żołądek – niezbyt mocno, ale dostatecznie, żeby wypuścił z siebie

całe powietrze. Zgiął się wpół, zachwiał, upadł na kolana i zwinął na boku, wypłakując oczy. Nigdy nie widzieliście nic bardziej żalosego.

Przeszłam przez niego i zastopowałam *Notting Hill*. Obok laptopa zobaczyłam chromowany kluczyk i uznałam, że pewnie otwiera kajdanki. Usiadłam na skraju łóżka i bransoletki Martiny opadły z brzękiem. Pomasowała swoje posiniaczone nadgarstki.

– Pieprzony, cholerny, miękki kutas – wyrzuciła z siebie, ale jej głos był już cichszy i zaczęła się trząść.

Podniosłam flaszkę z kryształkami i spytałam:

– Co to jest?

– Dragi, które musiałam brać, bo chciał, żebym siedziała cicho – odparła. – Już wcześniej próbowałam go zostawić, ale bił mnie i dusił. Sam bierze to, co sprzedaje. Zachowuje się jak jakiś rąbnięty morderca. Biję mnie, bo nie może mnie już pieprzyć! – wrzasnęła w jego stronę.

– Co to za dragi?

– Krystaliczna metamfetamina. – Zagryzła dolną wargę i zaczęła siłować się z kablem na kostce.

– Okay – odezwałam się. – Powiedz mi coś jeszcze. On nie pochodzi z okolic Gruzji, prawda?

Uniosła brwi.

– Co? Nie. Z Moskwy.

– I pewnie nie wie, jak zrobić takie kryształy jak te, które spadają z nieba?

– Co masz na myśli? Nie. Nie. – Wybuchła szorstkim, nieprzyjemnym śmiechem. – To splukany farmaceuta, a nie żaden gieniusz.

– Kocham cię – powiedział do niej Andropow ze swojego miejsca na podłodze. – Jeśli mnie zostawisz, strzelę sobie w łeb.

Wreszcie uwolniła kostkę ze skórzanego paska. Skoczyła na nogi i zaczęła kopać Andropowa.

– I dobrze! Mam taką nadzieję! Sama ci kupię naboje!

Nie próbował ruszyć się z podłogi. Jej stopa ciągle kopała go w tyłek.

Usłyszałam już dosyć. Rzuciłam klucz na łóżko i zostawiłam tych dwoje w swoim własnym miłym towarzystwie.

Stałam na werandzie, opierałam się o poręcz i wdychałam czyste, przejrzyste powietrze, które smakowało górami i latem. Kilku wyznawców kultu komety usłyszało awanturę i wyszło na zewnątrz, wśród nich Starszy Bent z pasierbicami po obu stronach. Dziewczyny były ładnymi brunetkami koło dwudziestki, każda miała na głowie taki sam ceremonialny kołpak. Dla ślicznotek Starszego Benta tylko to co najlepsze: złociste kołpaki od lancera '59, które wyglądały jak UFO z czarno-białych filmów.

Martina wyszła z domu w dżinsach tak ciasnych, że nie wiem, jak jej się udało wciągnąć je bez lubrykantu. Stała obok i odrzuciła z twarzy swoje zwariowane włosy.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytała.

– Chyba właśnie zrobiłam.

– Nie dzwoń przez jakiś czas na policję – poprosiła. Spojrzała na mnie nawiedzonym, udręczonym wzrokiem. – Ja też mam na bakier z prawem.

– Taa. W porządku – powiedziałam, ale czułam, że nie mogę na nią patrzeć, a mój głos aż się warzył z niesmaku.

Było mi jej żal i cieszyłam się, że jest bezpieczna, ale nie znaczyło to, że muszę ją lubić. Ona także miała swoje za uszami, drażniła się przecież z Andropowem, jak to niby szykuje się do wskoczenia do łóżka z panienkami z góry. Używała nas jako pałki, którą okładała jego męskość. Robiła to również tego dnia, kiedy spadł twardy deszcz. To dlatego Andropow podjechał pod dom w takim pośpiechu – nie, żeby zdążyć przed burzą, ale żeby zdążyć, zanim jego dziewczyna zrobi to, co obiecała. Na swój sposób nie była wcale lepsza niż Shrek, który nienawidził Yolandy za odmienną orientację. Dla Martiny nie byliśmy ludźmi. Byliśmy skazą na otoczeniu, czymś, czym mogła

rzucać w twarz swojemu głupiemu chłopakowi, kiedy zachciało jej się taniej uciechy.

Chyba wyczuła pogardę w moim głosie. Zmiękła więc i dała w moją stronę krok na swoich delikatnych stopach.

– Przykro mi z powodu Yo-lian-dy. To była niezwykła dziewczyna. Widziałam jej śmierć, z okna. – Jej oczy w odcieniu chabrowych przybrały wyraz zawstydzenia i winy i zaraz dodała: – Przykro mi z powodu tego, co powiedziałam Rudy’emu. Że obje robicie ze mnie ljesbijkę. Jestem gównem warta, wiesz? – Wzruszyła ramionami, a potem uśmiechnęła się i zamrugła, żeby strząsnąć łzy z długich rzęs. – Z ciebie to prawdziwa twardzielka, wiesz? Uratowałam dzisiaj mój bezwartościowy tyłek. Jesteś jak skrzyżowanie panny Marple z Rambo Balboa.

Odwróciła się i wsadziła dłonie do kieszeni obcisłego skózanego płaszcza, a następnie zeszła ze schodów. Kryształowe gwoździe chrzęściły pod jej obcasami.

– Dokąd idziesz?

Powietrze było ciężkie, tak ciężkie, że trzeba było się wysilić, żeby napełnić płuca. Podczas tych dziesięciu minut, które spędziłam w środku, duch odległego czoła burzy pociemniał, wypełnił się i zmienił w potężną masę, mniej więcej tak urocą jak guz na twarzy.

Martina obróciła się i odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Może na uniwersytet. Mam tam przyjaciół. – Zaśmiała się gorzko. – Nie. To kłamstwo. Znam tam jedynie ludzi, którym mogę sprzedać dragi.

– To na pewno ciepło o tobie myślą. Idź. Tylko nie zbaczaj z drogi. Pogoda się psuje.

Spojrzała w górę spod swoich starannie wydepilowanych brwi, potem skinęła głową i ruszyła przed siebie. Usiadłam na górnym

schodku i patrzyłam, jak odchodzi – najpierw powoli, ale już po chwili truchtem.

Ledwo zniknęła za rogiem, a drzwi za mną walnęły o framugę i Andropow wykuśtykał na zewnątrz. Krew i gluty zaschły mu na górnej wardze, a oczy nabiegły krwią, jakby był na nogach od dwudziestu czterech godzin wyłącznie w towarzystwie butelki wódki.

– Martina! – krzyknął. – Martina, wracaj! Wracaj, przepraszam!

– Zapomnij o tym, brachu – powiedziałam. – Ten pociąg już odjechał.

Przeszedł na chwiejnych nogach na koniec werandy i opadł na deski. Usiadł koło mnie, ścisnął głowę i zapłakał bezsilnie.

– Teraz nie mam nikogo! Wszyscy pieprzą mnie w dupę! Wszyscy umierają, nie mam przyjaciół, nie mam kobiety. – Otworzył usta tak szeroko, że mogłam zobaczyć jego trzonowce, a po chwili wyszłochał gromko: – Nie mam dokąd pójść, żeby nie być samemu.

– U nas jest miejsce – odezwał się miękko Starszy Bent. – Możesz pracować i poznawać sekrety, znajdzie się też łóżko do spania i sny do śnienia. Twój głos powinien brzmieć razem z naszymi, Rudolfie Andropowie. Śpiewamy, żeby spuścić na ten świat kurtynę.

Podczas gdy ja byłam pogrążona w myślach, a Andropow w swoim smutku, Bent podszedł do podnóża werandy. Stał tam z rękami założonymi na wysokości talii, uśmiechając się przyjaźnie. W dziwnym, coraz intensywniejszym, burzowym świetle popołudnia planety na jego czaszce wydawały się świecić chorym blaskiem.

Pasierbice i mała delegacja wyznawców czekali w swoich szatach za nim. Dziewczyny zaczęły miękko nucić melodię, którą rozpoznałam, ale której nazwy nie mogłam sobie przypomnieć, coś obrzydliwie słodkiego i smutnego.

Andropow gapił się na nich szeroko otwartymi oczami, z natężeniem i wyrazem otumanionego zdziwienia na twarzy.

W sumie to żałowałam, że nie zatrzymałam klucza francuskiego. Wstałam i cofnęłam się parę kroków, żeby balustrada znalazła się między mną i wariatami.

– Całe to zgrywanie głosów to dla was niezła praktyka przed śpiewaniem podczas robót publicznych, kiedy was zakują w kajdany – stwierdziłam. – Możecie się uważać za szczęśliwców, jeśli policja stanowa jeszcze nie wpadła do was w odwiedziny. Mają już tych trzech, którzy napadli na mnie na autostradzie, i niedługo przyjdą po resztę.

– Policjanci już tu byli i sobie poszli – odparł Starszy Bent i uśmiechnął się przepaszająco. – Randy, Pat i Sean działali bez mojej wiedzy. To oni jako pierwsi zobaczyli kartkę od Andropowa pod drzwiami i zdecydowali się napaść na ciebie, nie omawiając tego planu ze mną. Chyba myśleli, że w ten sposób mnie chronią, jakbym miał jakiś powód, żeby obawiać się prawa! Tak, wiedziałem, że nadciąga burza, ale proroctwa nie są objęte sankcjami prawnymi. Kiedy sam zobaczyłem tę kartkę i moje córki powiedziały mi, co poszli zrobić Sean i jego przyjaciele, natychmiast skontaktowałem się z lokalnymi władzami i ostrzegłem, co się święci. Jest mi naprawdę niezmiernie przykro, że policja nie zdołała ich powstrzymać przed atakiem na ciebie, ale oczywiście przedstawiciele prawa mają teraz pełne ręce roboty. Nic ci się nie stało?

Andropow i ja odezwaliliśmy się prawie równocześnie. Rosjanin spytał:

– Jaką kartkę?

Ja powiedziałam:

– Czekaj, Andropow zostawił kartkę? Sean mówił, że dostali od niego wiadomość, ale myślałam, że chodzi o nagranie na automatycznej sekretarce albo coś w tym rodzaju. Skąd wiesz, że ta kartka była od Andropowa? Podpisał ją?



Jeden kącik ust Starszego Benta uniósł się w cierpkim uśmiechu.

– On dość ciekawie literuje twoje imię. ‘Onysuck! Trudno się pomylić.

– Ja zostawiłem kartkę? – jeszcze raz zapytał Andropow i wyglądał na naprawdę zdziwionego. – Musiałem być nieźle napruty! Nie pamiętam żadnej kartki.

– Dobrze – rzucił Starszy Bent. – Zostawmy to. Kartkę. Martinę. Twój smutek. Całe twoje życie do tego momentu. W tej chwili, dzisiaj, rozpoczyna się nowe życie, jeśli tylko tego chcesz. Szukasz przecież społeczności, miejsca, gdzie nie musisz być sam. A my szukaliśmy ciebie, Rudy! Jeśli jesteś gotowy wykonywać pracę, która ma znaczenie, i żyć wśród ludzi, którzy będą cię kochać i prosić jedynie o to, żebyś ty też ich kochał, jesteśmy tu dla ciebie. Jesteśmy gotowi cię powitać.

Jak na komendę dziewczyny z tyłu zaczęły nucić *Hello* Lionela Richiego, pytając Andropowa, czy to ich szukał. Gdybym nie była taka zdumiona i zdezorientowana, chybabym się porzygała.

Ale Andropow patrzył na nich z nadzieją, a łzy schły na jego policzkach. Starszy Bent wyciągnął rękę i Rosjanin ją ujął. Łysy, tyczkowaty wyznawca szaleństwa postawił go na nogi i sprowadził ze schodów. Jeden z wiernych podbiegł i zawiesił astrolabium na szyi Andropowa, a potem ucałował go w policzek. Rosjanin popatrzył na instrument ze zdumieniem i zafascynowany przesunął po nim palcami.

– Mapa do gwiazd – wyjaśnił Starszy Bent. – Miej ją przy sobie. Niedługo się tam udamy. Nie chciałbyś się zgubić.

Wszyscy odeszli na ukos przez trawnik, otaczając Andropowa i śpiewając słodkimi, nieszkodliwymi i bezsensownymi głosami. Kiedy jeden po drugim wślizgiwali się do domu, muzyka przycichła, a jej miejsce zajął inny dźwięk – głośnie, metaliczne klikanie, jakby ktoś

przeładowywał broń. Tylko że to nie była broń. Dźwięk dobiegł do mnie znowu i znowu. Odgłos ręcznej maszyny do pisania.

Obróciłam się i spojrzałam na otwarte drzwi do garażu Ursuli. Z miejsca, w którym stałam, widziałam jedynie ciemność.

Przeszłam przez ulicę. Słaniałam się na nogach przez ten upał i spacer, i konieczność walki ze złem. Ale nie tylko przez to. Najbardziej wyczerpała mnie myśl, że tyle godzin spędziłam w garażu, patrząc, a jednak nie widząc.

Templeton stał przy roboczym stole swojego taty. Wspiął się na duże, białe plastikowe wiadro na sól kamienną, żeby móc dosięgnąć klawiszy starej maszyny.

– Cześć, Templeton – powiedziałam.

– Cześć, Honeysuckle – odparł, nie podnosząc głowy.

– Gdzie twoja mama, dzieciaku?

– W środku. W łóżku. Albo przy komputerze. Spędza dużo czasu przy komputerze, ogląda pogodę.

Usiadłam obok niego i potargałam mu włosy.

– Hej, Temp. Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że każdej nocy latasz w chmurach i szukasz swojego taty? Czy robisz to w snach?

– Nie – zaprzeczył. – Latam z mamą. W opylaczu. Udaję, że jestem nietoperzem.

– Mhm.

Moje spojrzenie pobiegło do oprawionego dyplomu doktorskiego zawieszzonego nad stołem. Nigdy się nie zastanawiałam, z czego doktoryzował się ojciec Templetona, ale wcale mnie nie zdziwiło, kiedy zobaczyłam, że jego dziedziną była stosowana inżynieria chemiczna. Ciekawe, czy firma, która go zatrudniała, nadal ma biura w Stanach, czy już całkiem wynieśli się do Gruzji. Yolanda wspominała, że firma pana Blake'a przeniosła się do Grecji, pomyliło

jej się. Pewnie tak jak ja nie słyszała wcześniej nazwy tego kraju sąsiadującego z Rosją.

– Mogę coś zobaczyć, Templeton? – spytałam. – Zejdź, proszę, na chwilę.

Posłusznie zeskoczył z plastikowego pojemnika na sól kamienną. Podważyłam wieko i popatrzyłam na lśniący, srebrny pył. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wyglądał jak sól, ale kiedy wetknęłam w niego palce, zakłuł jak kupka tłuczonego szkła. Wytarłam palec o biodro i wstałam.

Templeton cofnął się o kilka kroków, ustępując mi miejsca przy maszynie. Przesunęłam srebrną dźwignię i zaczęłam pisać od nowej linijki. Małe stalowe młoteczki spadały pam, pam, pam, wszystkie z wyjątkiem „h” i „e”, które nie odbijały. Napisałam „onysuck” i zatrzymałam się. Pomyślałam o liście w gazecie, „Alla” bez „h” i słowa tak dobrane, żeby w całym tekście nie było żadnej litery „e”.

– Co tam piszesz, Hemingwayu? – zapytał za moimi plecami męski głos.

Obróciłam się, a moje serce waliło jak klawisze maszyny Templetona.

Mark Znak podkradł się do wejścia do garażu i stał, przyglądając mi się – wysoki, smukły, muskularny sukinsyn w białym słomkowym kapeluszu na modłę kowbojską i niebieskiej dżinsowej koszuli zapiętej tylko przy kołnierzyku, tak że poły powiewały, ukazując ozdobne X na jego kłacie.

– Mark! – zawołałam. – Co tu robisz?

Chociaż było mi wszystko jedno. Nigdy bardziej nie ucieszyłam się na widok przyjaznej twarzy.

Wszedł do ciemnego garażu. Na zewnątrz coraz bardziej się ściemniało.

– A jak myślisz? Szukam ciebie.

– Tutaj? Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

– Sama mi powiedziałaś, Sherlocku. Pamiętasz? Że jeśli nie będzie cię w dużym, białym domu po drugiej stronie ulicy, to powinienem poszukać w małym domku w kolorze masła. Masz coś do picia? Pół dnia szedłem, żeby ci to przynieść, i trochę mnie suszy.

Wyciągnął z tylnej kieszeni prostokąt gładkiego, czarnego szkła.

– Mój telefon! Skąd go masz?

Kciukiem przesunął kapelusz na brwi.

– No cóż, złapałem tę panią, która ci go zabrała, i grzecznie z nią porozmawiałem. Trik polega na tym, żeby użyć magicznego słowa, brzmi ono „proszę”. Działa szczególnie dobrze, jeśli jednocześnie trzyma się kogoś za kostki u nóg, głową w dół.

– Daj mi go.

– Łap – powiedział.

Rzucił go łagodnym łobem z dołu i aparat uderzył mnie w pierś, po czym wpadł mi w ręce i przez chwilę go trzymałam, ale zaraz wyslizgnął się z moich niezdarnych łap i z trzaskiem walnął o beton. Na koniec niechcący go kopnęłam i słyszałam, jak wsuwa się pod stół.

– O do diabła! – krzyknęłam. – Podaj mi swój.

– Zdechł sześć godzin temu. Co ci się tak pali?

Upadłam na kolana i zaczęłam macać w ciemności pod stołem, gdzie śmierdziało myszami, kurzem i rdzą.

– Muszę z kimś porozmawiać. Może z FBI – rzuciłam. – Widzisz tę maszynę do pisania? Nie ma „e”. Ani „h”.

– Chcesz, żeby FBI przeprowadziło dochodzenie? Nie jestem pewien, czy zbrodnie przeciwko alfabetowi podpadają pod ich jurysdykcję.

Wsadziłam twarz w pajęczynę i zdarłam ją z nosa. Nacisnęłam dłońią na ostrze zardzewiałego śrubokrętu i zasyczałam:

– Nic nie widzę, do cholery.

– Może ci pomogę – zaproponował Templeton, uklęknął i zaczął szukać pod stołem razem ze mną.

– Hej! – Nagle pojawiła się Ursula. – Mam latarkę. Może się przyda.

– Dzięki, Ursula – odparłam automatycznie, przez ułamek sekundy nie pamiętając, w czyjej sprawie miałam dzwonić do FBI.

A potem moje wnętrze zapulsowało zimnym bólem i znieruchomiałam. Usłyszała naszą rozmowę i wślizgnęła się do garażu, akurat kiedy szperałam pod stołem. Obróciłam się i wyjrzałam spod blatu na nią i na Marka.

– Dziękuję pani – powiedział Mark Znak, biorąc od niej latarkę, kierując ją pod stół i pstrykając przełącznikiem.

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale nie miałam powietrza. Moje płuca nie chciały się napełnić. Mark nie widział, co trzymała w drugiej ręce. Pochylił się, spojrzał na mnie.

– Ale posłuchaj, dziewczyno, jeśli masz do kogoś zadzwonić, to i z tego telefonu nie dasz rady. Też mu siadła bateria. Takie są prawa natury. Im bardziej czegoś potrzebujesz, tym większe prawdopodobieństwo, że ta pieprzona rzecz właśnie wtedy zdechnie.

– Oj, to prawda – zgodziła się Ursula i uderzyła go w plecy maczetą.

Dźwięk przypominał walnięcie miotłą w dywan. Nogi się pod nim ugięły, kolana obily o siebie. Ursula szarpnęła ręką z całej siły, żeby uwolnić ostrze. Mark upuścił latarkę, a ta potoczyła się na prawo, oświetlając drzwi garażu i pozostawiając Templetona i mnie w cieniu. Kiedy maczeta wyszła spomiędzy łopatek Marka, ten zwałił się do przodu, ścięty z nóg. Upadł na podłogę z cichym okrzykiem.

Wpełzłam pod stół najgłębiej, jak mogłam.

– Templeton – powiedziała Ursula, pochylając się z łagodną i spokojną twarzą, jakby właśnie nie przecięła kogoś prawie na pół. – Wyłaź, Templeton. Chodź do mamy.

Wyciągnęła do niego lewą rękę, ściskając maczetę w prawej.

Templeton się nie ruszył, sparaliżowany szokiem. Zacisnęłam ramię dookoła jego szyi, przykładając mu zardzewiały śrubokręt do oka.

– Cofnij się, Ursula.

Aż do tego momentu jej głos i wyraz twarzy były całkiem spokojne. Ale teraz zaczerwieniła się jak pomidor, a na jej szyi wystąpiły ściegna.

– Nie DOTYKAJ GO! – wrzasnęła. – TO DZIECKO!

– Pełno ich na ulicach – rzuciłam. – Wszystkie poprzebijane gwoździami. Jeszcze jeden martwy dzieciak nikogo nie obejdzie. Tylko ciebie.

Templeton drżał w moich ramionach. Skóra na mojej czaszce paliła, nogi wciśnięte pod stół trzęsły się. Miałam głos tak przepełniony nienawiścią, że prawie sama sobie uwierzyłam.

– Nie zrobisz tego – nie dawała za wygraną.

– Nie? Nie wątpię, że kochasz go bardziej niż cokolwiek na świecie. Znam to uczucie. Ja też tak kochałam Yolandę.

Ursula cofnęła się o krok. Jej oddech odbijał się echem w betonowo-aluminiowej jaskini garażu.

Zaczęłam czołgać się do przodu, ciągnąc Templetona za sobą.

– On nie jest temu winny, Honeysuckle – odezwała się, próbując odzyskać spokój, ale nie była w stanie powstrzymać drżenia głosu. – Proszę. Jest wszystkim, co mam. Jego ojca już mi zabrali. Nie możesz zabrać też mojego syna.

– Nie opowiadaj mi o swojej stracie – zezłościłam się. – Kolorado jest pełne ludzi, którzy stracili ukochanych, bo nie potrafiłaś zwyczajnie pogрузzyć się w żałobie. Nie mogłaś po prostu zasadzić drzewa ku jego pamięci, jak normalny człowiek?

– Ten stan, ten naród, zabrał mojemu mężowi życie. Mojemu dobremu mężczyźnie. Kilku gruzińskich oligarchów ukradło pracę

jego życia, wszystkie pomysły, wszystkie badania, a ten kraj uznał, że nie należy mu się nawet cent. Ukradli mu przyszłość, a on nie mógł tego znieść. Teraz więc ja zabieram im przyszłość. Prezydent autoryzował taktyczny atak nuklearny. Od trzech godzin cały gruziński naród jest kupą radioaktywnego popiołu. A Kolorado, i reszta tego popieprzonego, wielbiącego pieniądze kraju, nie uznało praw mojego męża. Nie docenili potęgi jego wizji. No cóż. Teraz doceniają, nie?

Kiedy wychodziłam spod stołu, walnęłam się głową o róg i prawie zemdlałam. Temp mógł zwiać, ale myślę, że był za bardzo przerażony, żeby uciekać. Trzymałam czubek śrubokrętu centymetr pod jego prawym okiem.

– Nie rozumiem, dlaczego posłałaś za mną ludzi Starszego Benta – powiedziałam.

– Templeton mi wygadał, że wiesz o naszych conocnych lotach. Wypaplał, że opowiesz w Federalnej Administracji Lotnictwa o naszych wyprawach opylaczem. Nie wiem, czy mu uwierzyłam, ale to właśnie w ten sposób ludzie wpadają, nie? Ktoś napada na bank, ale policja go zatrzymuje, bo przepaliła mu się żarówka w tylnym reflektorze. Nie mogłam sobie pozwolić na błąd. Przecież wiesz, że osobiście nic do ciebie nie mam, Honeysuckle.

Przytrzymując chłopca między Ursulą i sobą, obróciłam się plecami do ulicy. Zobaczyłam, jak Mark unosi odrobinę jedną dłoń z podkurczonymi palcami, i usłyszałam, jak słabo jęczy. Pomyślałam, że przeżyje, jeśli pomoc nadejdzie szybko. Zaczęłam się cofać w stronę drogi.

– Nie! – krzyknęła Ursula. – Nie możesz! On nie może wyjść na zewnątrz!

– Pieprzysz! Jeszcze jedno kłamstwo. On nie bierze żadnych lekarstw, które uczulają go na słońce. To tylko historyjka, wymyśliłaś

ją, żeby mieć pewność, że nigdy nie złapie go deszcz, jeśli nie będzie cię w pobliżu. Ruszaj, Temp.

– NIE! Zaraz zacznie padać! – wrzasnęła Ursula.

– No już – powiedziałam. – Chodź, Templeton. Pobiegniemy.

Odwróciliśmy się i popchnęłam go przed sobą, na podjazd. I w tym momencie świat zamienił się w świetle błyskawicy w swój własny negatyw, a potem zadudnił miażdżący grom. Pobiegliśmy. Lewą ręką trzymałam go za ramię, a w drugiej ścisnęłam śrubokręt. Kiedy przebiegaliśmy przez drogę, poczułam ukłucie w ramię. Spojrzałam i zobaczyłam, że z mojego bicepsa wystaje diamentowy, lśniący gwóźdź.

Usłyszałam narastający terkoczący dźwięk, mniej przypominający odgłos deszczu, a bardziej lawinę. Nabierał na sile, w miarę jak się zbliżał. Dojrzałam, jak koniec ulicy znika w przesuwającej się ścianie bieli, za błyskającą, migoczącą kurtyną spadających kryształów. Góra Flatirons zatańczyła w oddali, zniknęła i znowu się pojawiła, jak obraz w kalejdoskopie.

Nie mieliśmy szans dobiec do domu Starszego Benta. Inny gwóźdź wbił mi się w rękę i przeszedł na wylot jak kula. Wrzasnęłam i wypuściłam śrubokręt.



Templeton ciągle wisiał mi na szyi, popchnęłam go więc cztery kroki dalej, do tylnego zderzaka samochodu pani Rusted. Położyłam dłoń na głowie chłopca, zmuszając go, żeby upadł na kolana. Rzuciłam się obok niego. Kolejny gwóźdź dziabnął mnie w pupę, dziesięć centymetrów lodowego kryształu. Następny wbił mi się w lewe ramię. Ukucnęłam przy zderzaku i wcisnęłam się pod samochód, ciągnąc za sobą Templetona za pelerynę. Przez ogłuszający, niszczący ryk słyszałam, jak Ursula wykrzykuje jego imię.

Dopóki nie znaleźliśmy się pod samochodem, Templeton chyba nie zauważył, że zgubiłam śrubokręt. Leżałam płasko na brzuchu, ściśnięta między podwoziem a asfaltem tak, że prawie nie mogłam się poruszyć. Chłopiec zaczął się wić. Chwyciłam go mocniej za pelerynę i zdarłam ją z niego.

Wyciągnęłam rękę, żeby jeszcze raz go złapać, i walnęłam głową o podwozie. To był już drugi raz w ciągu ostatnich minut, tym razem udało mi się trafić dokładnie w szwy. Przed moimi oczami eksplodowała, a następnie pociemniała galaktyka czarnych słońc, mapa gwiazd i siódmego wymiaru Starszego Benta. Zanim cokolwiek znowu zobaczyłam, Templeton wydostał się spod toyoty prius pani Rusted.

– Mamo! – wrzasnął.

Ledwo go słyszałam przez łoskot walącego deszczu. Droga trzęsła się, jakbym leżała na szynach i czekała na jadący wprost na mnie pociąg towarowy.

Obróciłam się i zorientowałam się, że Templeton pędzi z powrotem do domu. Gwoździe wbiły mu się w tył uda, w jedną stopę, w plecy i upadł na twarz u stóp podjazdu. Leżał tam, kiedy dotarła do niego matka.

Próbował wstać, dźwignął się na jedno kolano. Ursula przykryła go własnym ciałem, pochylając się i oplatając go ramionami. Trzymała go przy ziemi i pod sobą właśnie wtedy, gdy deszcz uderzył z całą siłą – zmiatająca wszystko sierpniowa ulewa.

To mniej więcej wszystko, co mam do powiedzenia.

Templeton został przewieziony do oddziału służby zdrowia Boulder. Zanim matka do niego dobiegła, piętnastocentymetrowy kolec przebił mu płuco, ale Ursula zasłoniła go przed najgorszym i dwa tygodnie później wypuszczono go i przeniesiono do rodziny zastępczej.

Słyszałam, że Ursula miała w sobie osiemset dziewięćdziesiąt siedem gwoździ. Zamieniła się w czerwony dywan ponabijany ostrzami. Miałam nadzieję, że zginęła, wiedząc, że jej chłopiec przeżyje, że go ocaliła. To co zrobiła nam – światu, niebu – jest niewybaczalne, ale żadna matka nie powinna umierać ze świadomością, że nie udało jej się ochronić dziecka. Sprawiedliwość to nie to samo co okrucieństwo. Niektórzy to wiedzą, ale inni nie i to jest właśnie różnica między tymi, co mają rację, a Ursulą Blake.

To wszystko wydarzyło się pięć tygodni temu i jak wiecie, od tego czasu lśniący pył zakrył całą troposferę. Ostatni deszcz, który składał się z wody, a nie z gwoździ, spadł w połowie września w Chile. W międzyczasie z nieba leciał też radioaktywny popiół. Nasze siły zbrojne zaatakowały nuklearnie Gruzję, ścierając z powierzchni ziemi firmę, która rozbudowała wizję kryształowego deszczu autorstwa Charliego Blake'a, i zabijając większość naukowców, którzy mogliby pomóc odwrócić ten proces. Państwo Islamskie dało się nabrać na fałszywe wiadomości, że twardy deszcz to dzieło żydowskich naukowców, i spuściło rakiety na Izrael. W odpowiedzi Izrael, za pomocą sześciu głowic nuklearnych, zmiotł Syrię i przy okazji jeszcze Teheran. Rosja wykorzystała międzynarodowy chaos i napadła na

Ukrainę. W Dżakarcie gwoździe z nieba osiągnęły rozmiary szabel i zabiły w ciągu godziny niemal trzy miliony ludzi, co w sumie dało wynik podobny do ataku nuklearnego. Najnowszym ruchem prezydenta było wystawienie w swoim sklepie internetowym cynowych parasoli wykonanych w Chinach, po 9,99 dolara za sztukę. Trzeba przyznać, że facet wie, gdzie rosną kokosy.

Nie wszystko jest koszmarem, chociaż są takie dni, że prawie wszystko. Jeden kolega z pracy Charliego Blake'a, naukowiec, niejaki Ali-Rubiyat, przebywał akurat w Londynie, kiedy Gruzja upiekła się w temperaturze trzech milionów stopni. Choć hodowla kryształów to nie jego dziedzina, w laptopie miał trochę ważnych plików i naukowcy w Cambridge stworzyli czynnik neutralizujący wzrost gwoździ. Może uda im się sprawić, że deszcz znowu stanie się normalny. W laboratorium metoda ta działa w połowie przypadków, ale nikt nie jest pewien, jak będzie w przyrodzie.

Pamiętam, jak Yolanda przysyłała mi zdjęcia chmur i opowiadała, co widziała, kiedy na nie patrzyła. Ta miała być rajska wyspa dla nas dwóch, gdzie mieszkaliśmy przez resztę naszych dni, ubrane w spódnice hula, karmiąc się nawzajem ananasami. Tamta to wielki dymiący pistolet, którym zestrzeliłybyśmy Księżyc. Inna była aparatem fotograficznym Boga, który robił zdjęcia, jak się całujemy. Teraz, gdy spoglądam na chmury, widzę tylko broń masowego rażenia.

I tak doszliśmy do dnia dzisiejszego: wszyscy wpatrzeni w internet (to, co zostało z internetu), obserwujemy, jak drony będą startować z Heathrow, żeby rozpylić proszek neutralizujący. Jeśli uda im się wystartować. Na dziś wieczór zapowiadano sześćdziesiąt procent szans na gwoździe w tej części Wielkiej Brytanii. Ja mam zamiar patrzeć z mojej sofy, razem z Markiem Znakiem, który przejął dawne mieszkanie Andropowa i często kuśtyka na górę sprawdzić, co

porabiam. Wokół nas będzie siedziało z pół tuzina mruczących kotów. Mark i ja mieliśmy pełne ręce roboty, ratując koty z sąsiedztwa. Czy też raczej: to ja je ratuję, a on o nie dba i nadaje im głupie imiona, jak Rach Unek czy Dow Idzenia. Mark nie może się poruszać tak sprawnie jak wcześniej, chociaż twierdzi, że już niedługo znów będzie ganiał za własnym ogonem.

Mniej niż jedna czwarta świata ma dostęp do prądu i sieci, ale wszyscy, którzy mogą, będą dzisiaj wspólnie oglądać najbardziej nagłośniony eksperyment naukowy od czasu lądowania na Księżycu. Jestem pewna, że wyznawcy komety w domu obok, Starszy Bent, jego pasierbice i Andropow też będą siedzieć przed ekranem w nadziei, że proszek nie zadziała. Wyznaczyli datę końca świata na za kilka tygodni. Naprawdę byłoby to okropne, gdyby znowu się pomylili.

Ja tam mam zaciśnięte kciuki i N-A-D-Z-I-E-J-Ę, nadzieję w sercu. Meteorolodzy zapowiadają, że pod koniec tygodnia nad Górami Skalistymi przesunie się ogromny front burzowy. Jeśli recepta Ali-Rubiyata zadziała, będzie lało jak z cebra. W przeciwnym razie będzie padało jak z wielkiej, niebieskiej skrzyni z narzędziami.

Jeżeli rzeczywiście spadnie prawdziwy deszcz, wybiegnę na dwór i zatańczę w ulewie. Będę wskakiwać w kałuże jak małe dziecko, do końca życia.

Mówią, że na każdego musi czasem spaść deszcz.

Boże, spraw, żeby tak było.



# Posłowie

Te historie powstawały przez długi czas, pisanie ich zajęło mi ponad cztery lata. Pierwszą z nich, *Zdjęcie* – wtedy noszącą tytuł *Zdjęcie, 1988* – zacząłem w Portlandzie w Oregonie w 2013 roku, podczas promocji książki *NOS4A2*. Wypełniła dwa notesy oraz tył podkładki pod talerz z jednej z jadłodajni w stylu lat pięćdziesiątych. Kiedy skończyłem pisać, spiąłem notesy i podkładkę gumką, wetknąłem gdzieś na półkę i właściwie zapomniałem o ich istnieniu.

Jesienią 2014 roku ukończyłem moją czwartą powieść, bardzo grubą książkę zatytułowaną *Strażak*. Ją też długo pisałem; zapełniłem nią cztery i pół z tych gigantycznych notesów Leuchtturm1917. Pół notesu pozostało czyste. Nienawidzę, jak marnuje się tyle papieru, więc na pozostałych stronach napisałem *Wniebowziętego*. Wtedy do mnie dotarło, że pracuję nad zbiorem nowel.

Wiele z moich ulubionych historii – z punktu widzenia czytelnika – jest właśnie tej długości. Nowele to samo mięso, nie ma w nich nic zbędnego. Zwięzłością przypominają opowiadania, ale wnikają w rzeczywistość równie głęboko jak dłuższe kawałki. Nowele nie są niespiesznymi, leniwymi podróżami. To wyścigi do najbliższych światła na skrzyżowaniu. Wciskasz pedał do oporu i mkniesz samochodem narracji poza krawędź urwiska. Żyj szybko i pozostaw po sobie ładne zwłoki: to gówniany plan dla człowieka, ale niezły na nowelę.

Moja najulubieńsza powieść, *Prawdziwe męstwo*, liczy tylko dwieście stron. Być może najlepsza powieść tego wieku, *Atlas chmur* Davida Mitchella, składa się z kolei z sześciu ściśle powiązanych nowel, tematycznie splątanych w elegancką historię. Najlepsza powieść Neila Gaimana *Ocean na końcu drogi* nie ma ani jednego zbędnego zdania i kończy się przed dwusetną stroną. Zwłaszcza horror i fantasy dobrze się czują w długościach pomiędzy dwudziestoma pięcioma i siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami słów. Przypomnijcie sobie *Wehikuł czasu*, *Wojnę światów*, *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*, większość z krótkich, żyłastych powieści Richarda Mathesona i błyskotliwą *Woman in Black* Susan Hill (nie jesteśmy spokrewnieni). Takie historie chce się połknąć w czasie jednego, dwóch posiedzeń. Chce się, żeby zacisnęły człowiekowi rękę na gardle.

Jeśli zaś chodzi o mnie, po napisaniu od deski do deski kilku siedmiusetstronicowych powieści wydało mi się, że fajnie będzie dla odmiany napisać coś chudsze i bardziej przewrotnego. Nie żebym miał coś przeciwko grubym książkom. Ale jeśli tworzysz tylko takie eposy, ryzykujesz, że przykleją ci łatkę nudziarza. Jak mawia DJ Chris Carter: nie siedź, aż cię wyproszą, bo cię więcej nie zaproszą.

Wydaje mi się, że *Deszcz* narodził się z mojego pragnienia sparodiowania siebie samego i mojej długasnej powieści o końcu świata, *Strażaka*. Wierzę, że najlepiej jest śmiać się z samego siebie, zanim inni cię wyśmieją. Napisałem tę nowelę na początku 2016 roku, kiedy atmosfera wokół wyborów prezydenckich była coraz gorętsza i początkowo w mojej historii prezydentem była zmęczona, osaczona, ale raczej kompetentna kobieta. I koniec opowieści był szczęśliwszy. Po wyborach jednak... wiele się zmieniło.

Naładowany to najstarsza historia w tej książce, chociaż usiadłem, żeby ją napisać, dopiero jesienią 2016 roku. Nosilem ją w głowie od

czasu masakry dwadzieścioro dzieci w Newtown, w stanie Connecticut. *Naładowany* to próba zrozumienia tej naszej narodowej słabości do pistoletu.

I skoro już o tym mowa, prezentowane poglądy są moje. Emerytowany porucznik amerykańskiej straży wybrzeża, Myke Cole, przeczytał *Naładowanego* i pomógł mi wyprostować parę faktów dotyczących broni i służby wojskowej. Nie odpowiada jednak za to, co spieprzyłem, i niech wam nie przyjdzie do głowy, że w jakikolwiek sposób jest odpowiedzialny za przedstawiany w noweli punkt widzenia. Myke sam potrafi za siebie mówić i robi to: w swoich powieściach, w programie telewizyjnym *Hunted* i na Twitterze. Dotyczy to też Russa Dorra, który także przeczytał *Naładowanego* pod kątem zgodności z faktami i wskazał mi kilka doskonałych publikacji na temat prawa i bezprawia na Florydzie.

Każda historia w tym zbiorze została wzbogacona ilustracjami innego artysty. W *Zdjęciu* zobaczycie obraz Gabriela Rodrigueza; Zach Howard uzbroił *Naładowanego* w parę niezłych obrazków, Charles Paul Wilson III oprawił zaś wizualnie *Wniebowziętego*; a drużyna złożona z Renae de Liz i Raya Dillona dostarczyła nieco kryształowej słodyczy dla oczu w *Deszczu*. Ta książka stała się o wiele piękniejsza dzięki ich sztuce i staraniom.

HarperCollins wyprodukował z *Dziwnej pogody* uroczego audiobooka, wykorzystując wokalne talenty czwórki artystów: Dennisa Boutsikarisa, Wila Wheatona, Stephena Langa i Kate Mulgrew. Bardzo im wszystkim dziękuję – za to, że byli moim głosem.

Wcześniejsza wersja *Zdjęcia* ukazała się w podwójnym numerze magazynu „Cemetery Dance”. Dziękuję Brianowi Freemanowi i Richardowi Chizmarowi za udzielenie tej historii pierwszego schronienia i za tak dobre traktowanie.



Wielu ludzi posłużyło się swoimi talentami i ciężko pracowało, żeby *Dziwna pogoda* dobrze wypadła. W Stanach Zjednoczonych jedną z tych osób była supergwiazda wśród redaktorów, Jennifer Brehl, a także Owen Corrigan, Andrea Molitor, Kelly Rudolph, Tavia Kowalchuk, Priyanka Krishnan i Liate Stehlik. Maureen Sugden zrobiła redakcję absolutnie każdej z moich książek i moja proza zawsze wychodzi spod jej pióra jakaś czystsza i bardziej bezpośrednia. W Wielkiej Brytanii książkę pokochał i dopieścił redaktor Marcus Gipps, a pomagali mu Craig Leyenaar, Jennifer McMenemy, Jennifer Breslin, Lauren Woosey, Jo Carpenter, Mark Stay, Hannah Methuen, Paul Stark, Paul Hussey, Jon Wood i Kate Espiner.

Moja matka i ojciec przyglądali się każdej z tych historii w trakcie powstawania i służyli zachętą i swoją uwagą. Mój brat, pisarz Owen King, też przeczytał *Dziwną pogodę* i miał kilka błyskotliwych spostrzeżeń. Jill Bosa była kochana, że zgodziła się przeczytać jedną z późnych wersji i że poprawiła wszystkie głupoty, które wślizgują się do tekstu, kiedy pisarz żyje z nim zbyt długo i już nie widzi błędów, choćby waliły go po oczach. Jestem wdzięczny mojej agentce Laurel Choate, która opiekowała się książką od najwcześniejszych chwil po ostateczny poród, a także Seanowi Daily'emu, który reprezentuje *Dziwną pogodę* na froncie filmowym i telewizyjnym. Dziękuję też Derekowi Sternowi za jego wsparcie, myśli i rady.

I wreszcie: dziękuję moim trzem synom za to, że dzielili ze mną zarówno słoneczne, jak i burzowe dni. I mojej miłości, Gillian, która jest najlepszą towarzyszką i przyjaciółką, bez względu na pogodę.

Joe Hill

marzec 2017

Exeter, New Hampshire

# Przypisy

<sup>1</sup> W samochodach z automatyczną skrzynią biegów R oznacza *reverse* (ang.: bieg wsteczny), a D – *drive* (ang.: jazda do przodu). Od tych samych liter zaczynają się nazwy dwóch głównych partii w USA: republikanów i demokratów.